

JENS HENRIK JENSEN

III CZĘŚĆ
BESTSELLEROWEJ
SKANDYNAWSKIEJ
TRYLOGII

Zamrożone płomienie

Czy uda im się pokonać tajną
sieć ludzi władzy
i odzyskać dobre imię?

Jens Henrik Jensen
Zamrożone płomienie

Tytuł oryginału: De frosne flammer

Tłumaczenie: Edyta Stępkowska

ISBN: 978-83-283-4407-5

© Jens Henrik Jensen og JP/Politikens Hus A/S København 2016

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Polish edition copyright © 2019 by Helion SA

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Helion SA dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Helion SA nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

HELION SA

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

- [Poleć książkę](#)
- [Kup w wersji papierowej](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to!](#) » [nasza społeczność](#)

Dla
Hugo, Victora i Mai

Rozdział 1.

Postać siedziała nieruchomo na klifie i chłonęła życiodajną siłę ze słońca, niczym wygłodniały zmiennocieplny gad.

Wokół rozciągał się przygnębiający krajobraz wrzosowiska usianego brązowymi spłachciami piachu, głazami i kołdrami mchu. Zima była w odwrocie, lecz w zacienionych zagłębieniach i szczelinach skalnych wciąż zalegał śnieg.

Jedynym ruchomym elementem krajobrazu była wrona, która w małej niecce zawzięcie skubała coś, co wyglądało jak zajęcze truchło.

W trzecim miesiącu roku wszystko tutaj było surowe i wygłodniałe.

Postać na klifie siedziała ze skrzyżowanymi nogami i wyglądała, jakby wyrastała wprost ze skały. Miała wyprostowane plecy, bosa stopy i dłonie złożone na udach.

Postać była mężczyzną.

Ostre marcowe światło bezlitośnie ujawniało bezlik blizn na nagim torsie. Niektóre stare i pobladłe. Inne pojawiły się niedawno — ciemnoróżowe o zaokrąglonych konturach albo proste cięcia na bladym, żyłastym ciele, zamknięte setkami szwów.

Długie włosy były zebrane w niewielki kucyk na karku. Rzadki, nieregularny zarost piał się od szyi przez podbródek i policzki. Mężczyzna wyglądał jak rozbitek na skalistym archipelagu pokrytym brudnobrązowym wrzosowiskiem i kępkami iglaków.

Siedział z zamkniętymi oczami i twarzą zwróconą ku słońcu. Miejsce było strategicznie doskonale położone między dwoma dużymi głazami, które chroniły przed wiatrem, a uwięzione między skałami powietrze nagrzewało się od świtu.

Od pół godziny ani drgnął. Nie poruszył dłonią. Nie przesunął palca. Nie uniósł brwi ani nie zmarszczył nosa. Wyglądał, jakby całym sobą skupił się na procesie wymiany energii między życiodajną gwiazdą odległą o sto czterdzieści dziewięć milionów sześćset tysięcy kilometrów a nic nieznaczącym organizmem przycupniętym na skale.

Po lewej stały stare kalosze ze skarpetami wciśniętymi w cholewki. Po prawej leżały podkoszulek, flanelowa koszula w kratę i dziergany sweter. Na samej górze spoczywał przedmiot, który w słońcu puszczał zajączki. Nóż myśliwski. Na ostrzu widać było plamy rdzy, trzon także musiał swoje przejść. Widać, że był wielokrotnie naprawiany i na koniec owinięty sznurkiem.

Kiedy w końcu mężczyzna się poruszył, ruchy miał nieskończenie powolne, jakby słońce mimo wszystko nie zdążyło tchnąć siły w jego mięśnie.

Wyciągnął ręce przed siebie, a potem uniósł je nad głowę. Wziął pięć głębokich wdechów i za każdym razem w skupieniu wypuszczał powietrze do samego końca. Wreszcie w zwolnionym tempie opuścił ramiona wzdłuż ciała i wrócił do pozycji wyjściowej.

Był w trakcie siódmej serii z rękoma nad głową, gdy nagle opuścił ręce i czujnie obejrzał się za siebie. Usłyszał jakiś dźwięk. Obcy dźwięk. Czyjeś głosy. Musiały dochodzić ze zwirowej drogi biegnącej równoległe z niewielkim masywem skalnym, na którym się usadowił.

Mężczyzna nie tracił czasu na ubieranie się. Przezornie włożył trzon noża między zęby. Mając obie ręce wolne, ruchami pewnymi jak u zwierzęcia, bezgłośnie przeczołgał się po kamieniach w stronę dużego, wolno stojącego głazu na poboczu drogi.

Przykucnął na miękkiej ziemi i ostrożnie wyjrzał zza skały. Głosy stały się wyraźniejsze. Chwilę później dostrzegł dwóch mężczyzn. Szli spokojnym krokiem i o czymś rozprawiali. Przywarł do kamienia i błyskawicznie przeanalizował wszystkie szczegóły.

Obaj mogli mieć koło siedemdziesiątki — co wcale go nie

uspokajało. Wróg nie ma ograniczenia wiekowego.

Obaj mieli na nogach buty trekkingowe, a jeden z nich szedł z niewielkim plecakiem wycieczkowym przewieszonym przez jedno ramię. Obaj byli czysti i schludni, w strojach w kolorze zgniłej zieleni i szarościach, odpowiednich na wycieczkę krajoznawczą. Każdy miał na sobie luźną kurtkę i polar pod spodem. Mężczyzna wypatrywał wybruszeń albo miejsc, gdzie odzież nienaturalnie odstawałaby od ciała, co mogłoby oznaczać, że są uzbrojeni. Prześledził także spojrzenia piechurów, by się zorientować, co przykuwa ich uwagę.

Obcy wyjątkowo rzadko zaglądali do tej niewielkiej, odizolowanej części świata, którą tymczasowo sobie przywłaszczył. Była połowa marca... nie był to wymarzony czas na piesze wędrówki, ale nic w dwójce starszych panów nie wzbudziło jego podejrzeń.

Kiedy mijali jego kamień, usłyszał wyraźnie, o czym rozmawiali. Zastanawiali się, gdzie najlepiej ulokować oszczędności emerytalne. To uspokoiło go jeszcze bardziej. Przeczekał w swojej kryjówce, aż mężczyźni zniknęli z pola widzenia.

Biały drewniany domek z czerwonym dachem z blachy falistej zdawał się lśnić w słońcu. Stał na niewielkim wzniesieniu. Z przodu przed domem ciągnęła się niewielka zatoczka, w której stała łódka. Z tyłu wznosiły się tylko klify. Teraz dom wyglądał jak świeżo wyprany i wywieszony do wyschnięcia na błękitnym niebie.

Tego dnia, w nowym roku nowego świata tego mężczyzny, słońce osiągnęło swoją największą moc. Cudowny dzień.

Już wcześniej siadywał na swoim klifie, by wystawić do słońca nagi korpus i zanurzyć się w sobie, ale dziś było bez porównania najwspanialej. Wkrótce wiosna nabierze impetu.

Z szutrowej drogi odbił i wąską ścieżką ruszył pod górę do domu. Kiedy wyszedł z za rogu, obszedłszy ogródek, dostrzegł ją, nim ona zauważyła jego. Siedziała na swoim stałym miejscu,

plecami do drewnutni i z lekko przechyloną sztalugą, by światło padało na nią pod odpowiednim kątem. Siwe włosy schowała pod słomkowym kapeluszem o szerokim rondzie.

Malowała kwiaty — znowu. Nigdy nie widział, by malowała cokolwiek innego. Teraz i ona go zauważyła. Pomachała mu pędzlem i zawołała po angielsku:

— *Hello Dragos!* Znów się gdzieś włóczyłeś? Nie usiedzisz na miejscu, niespokojny duchu.

— Róże? — zapytał.

Kobieta uśmiechnęła się i pokręciła głową.

— Tulipany. Mnóstwo tulipanów...

Rozdział 2.

Głos zadudnił w całym pomieszczeniu i brzmiał bardziej jak stwierdzenie niż pytanie:

— Lars Thøger Fritsen?

Listonosz musiał wejść do środka, gdy szlifierką kątową obrabiał podwozie zawieszzonego na podnośniku samochodu. Ton tego niby-pytania był tak zdecydowany, że na moment poczuł się jak w wojsku i całe ciało instynktownie przygotowało się do wystąpienia z szeregu, złączenia pięt i zameldowania się do służby. Na szczęście udało mu się opanować i spojrzał tylko podejrzliwie na swojego gościa zza przedniego koła toyoty.

— To ja — potwierdził.

— Polecony — zagrzemiał ponownie listonosz, grubo po pięćdziesiątce. — Musi pan pokwitować.

Odłożył szlifierkę i wyszedł spod starego kombi.

— Polecony?

— Zgadza się. Niech pan będzie łaskaw podpisać — powiedział listonosz, wręczając mu dużą bąbelkową kopertę. — O, tutaj.

Postawił parafkę na podsuniętym mu ekranie.

— Dziękuję — odparł listonosz i jednym tchem życzył mu udanego dnia, po czym odwrócił się i wyszedł.

Zdumiony oglądał kopertę. Nie spodziewał się przesyłki, a już na pewno nie polecanej.

„Warsztat Samochodowy L.T. Fritsena, Amagerbrogade 108, 2300 Kbh. DW: Lars Thøger Fritsen”. Odwrócił kopertę. W miejscu na dane nadawcy była pieczętka. Przesyłkę nadała kancelaria adwokacka Sjørslev, Blaufeldt & Juel z adresu w centrum Kopenhagi. Nic mu to nie mówiło.

Próbował oszacować wagę i w kilku miejscach docisnął zawartość kciukiem. Koperta była ciężka i zawierała podłużne pudełko z jakiegoś twardego materiału.

— I co, działa?

Spojrzał pytająco na swojego stażystę, który mocował się ze strzaskanym światłem mijania w beemce typu kebab, oczywiście czarnej. Choć w tej chwili wózek bardziej przypominał kebab w cieście, bo cały przód był dokładnie zrolowany po bliskim spotkaniu z Tisvilde Hegn. W tym przypadku słowo „płat” w nazwie uroczego skądinąd parku krajobrazowego przestawało być metaforą. Zgodnie z umową z ubezpieczycielem cały przód był do wymiany.

Chłopak skinął tylko głową. Po chwili wahania Fritsen zdecydował się pójść do swojego kantorka i tam otworzyć tajemniczą kopertę.

Usiadł przy biurku i odsunął na bok stertę papierów, żeby zrobić miejsce dla koperty. Rozerwał zamknięcie kciukiem i zajrzał do środka. Czarne pudełko i załączony list. Raz jeszcze wytarł rękę w nogawkę, nim wyjął oba przedmioty. Pudełko było podłużne i wykonane z niezniszczalnego plastiku. Z kieszeni na piersi wyjął okulary do czytania.

„Szanowny Pan Lars Thøger Fritsen, kancelaria adwokacka Sjørselev, Blaufeldt & Juel zarządza spadkiem po Gudrun Oxen, zam. w Domu Opieki Solbakken w Ringsted. Przy inwentaryzacji natrafiliśmy na załączone przedmioty. Dołączono do nich pisemną instrukcję syna zmarłej, Nielsa Oxena. Prosi w nim, aby w przypadku, gdyby nie został bądź nie mógł zostać powiadomiony o śmierci matki, przesłać te przedmioty Panu”.

O co tu chodzi do diabła? Raz jeszcze przeczytał pierwszy akapit, nim przeszedł dalej.

„Znany jest nam również niewyjaśniony wciąż status prawomocnego właściciela załączonych przedmiotów, Nielsa Oxena. Z uwagi na niejasne okoliczności jego prawdopodobnej śmierci rodzina zmarłego dopiero za pięć lat może wnioskować o wystawienie aktu zgonu. Przedstawiliśmy sytuację córce

zmarłej, Susanne Oxen Viig. Podobnie jak my uznała, że należy wykonać instrukcję pozostawioną przez jej brata i że niniejszym to Pan staje się prawowitym właścicielem załączonych przedmiotów. (Dołączamy kopię zgody pani Susanne Oxen Viig wraz ze szczegółowym spisem przekazywanych przedmiotów). Sprawę tym samym uznajemy za zamkniętą”.

Oxen. Gudrun Oxen, Susanne Oxen i... Niels.

Ostrożnie otwarł pudełko. Było wyłożone czerwonym aksamitem — i wypełnione wielkim sercem i odwagą. Niels Oxen w otwartej trumnie — *in absentia*. Jego życie streszczone w czterech orderach.

Pierwszy to wojskowy medal za odwagę. Jego historii nie pamiętał. Drugi taki sam, lecz ze srebrnym liściem dębu. I tę historię pamiętał najlepiej z wszystkich. N.O. otrzymał odznaczenie za to, że bez chwili wahania wskoczył do rzeki Uny niedaleko Kostajnicy, by uratować kolegę z kompanii Bravo, trafionego kulą serbskiego snajpera.

Tym kolegą był on sam, L.T. Fritsen.

Blizna na klatce piersiowej do dziś czasem swędzi. Do dziś również zdarza mu się czuć, jak zimna, czarna woda zamyka się wokół niego tuż przed służą na drodze do śmierci. Budzi się wówczas mokry od potu, wyszarpnięty ku życiu przez parę silnych ramion.

Trzecie odznaczenie to medal za odwagę ze złotym liściem dębu. O ile go pamięć nie myliła, N.O. dostał go w związku z misją o nazwie Task Group Ferret, która była duńskim wkładem w Operation Enduring Freedom w Afganistanie. N.O. pod ostrym ostrzałem przyszedł z odsieczą załodze zestrzelonego helikoptera.

Ostrożnie wyjął szpilkę, która przytrzymywała na miejscu czwarte, ostatnie odznaczenie. Z nabożnością ułożył je sobie na wyciągniętej dłoni.

Było to odznaczenie wyższe od pozostałych. Krzyż Waleczności. Przyznawany za wyjątkowe dokonania. Tak bardzo wyjątkowe, że jak dotąd Niels Oxen pozostawał jedynym, który je otrzymał. Był

rok 2009, kiedy Jægerkorpset^[1] wysłał swoich ludzi do prowincji Helmand w Afganistanie. N.O. zakradł się na tyły wroga i sam jeden pokonał ośmiu talibów, by ratować kolegów, którzy wpadli w zasadzkę po najechaniu na połączone szeregowo ajdiki.

Ostrożnie odłożył na miejsce piękny czarny krzyż i przypiął go do czerwonego aksamitu. Cztery odznaczenia zaczęły mu się rozmywać przed oczami.

Nie. Nie teraz. I nie tutaj, w pracy, w taki zwykły poranek. To nie jest pora, aby... Zirytowany otarł łzę brudnym od oleju wierzchem dłoni.

Musiał wracać do toyoty na podnośniku. I wziąć się w garść, do cholery, wóz ma być gotowy na jutro przed południem.

Ale teraz emocje gwałtownie wezbrały i nic już nie mógł zrobić. Słone strumienie popłynęły mu po policzkach, do ust i dalej, po brodzie, wprost do pustego naczynia, którym stało się na ten moment jego serce.

— Szefie, potrzebuję... — Chłopak z impetem wpadł do kantorka, ale zatrzymał się w połowie kroku. — Yyy... wszystko w porządku?

Fritsen spojrzał na niego i pokiwał głową.

— Tak, tak, to nic takiego...

— Okej... yyy... to ja poczekam. — Jego uczeń wycofał się i dokładnie zamknął za sobą drzwi.

Postawił pudełko na biurku. Odznaczenia lśniły w promieniach słońca wpadających przez okno. Najbardziej z wszystkiego męczyła go niepewność. Czy kiedykolwiek znajdą ciało, aby można go było pochować? Czy zjadły go kraby i węgorze? Czy tam, w morzu, istnieje coś takiego jak wieczny odpoczynek? Może śruba przepływającego statku wkręciła jego ciało i oderwała mięso od kości? A jeśli któregoś dnia morze wyrzuciło go gdzieś na jakiś obcy brzeg...? Kto się nim zajmie, kto się nim zaopiekuje i zadba, by okazano mu szacunek, na jaki zasłużył bardziej niż ktokolwiek na świecie?

Siedział nieruchomo na krześle biurowym i cały film raz jeszcze przewijał mu się przed oczami.

Dzień, w którym Oxen wyłowił go z rzeki Uny. Pobyt w szpitalu. Kiełkująca przyjaźń, która przerodziła się w nierozzerwalną więź. Te wszystkie lata, gdy Oxen zaglądał czasem do warsztatu — ot tak, żeby pogadać, wyrzucić, co mu siedziało na wątrobie. I potem równia pochyła wiodąca wprost do pokoju w piwnicy w północno-zachodniej Kopenhadze, gdzie ciemność powoli wchłaniała jego starego kompana z wojska.

Próbował mu pomóc, próbował dawać dobre rady. Lecz Niels Oxen był człowiekiem, który chodził własnymi ścieżkami i sam podejmował decyzje. To była jego siła. I słabość.

Choć potem spotykali się tylko sporadycznie, od czasu do czasu zdarzało mu się coś dla Oxena załatwić. Bo Fritsen w załatwianiu był doskonały. A gdy czegoś załatwić nie mógł, to zawsze znał kogoś, kto mógł.

Teraz wszystko skończone. A medale leżą na jego biurku. Dokładnie tak, jak powiedziała ta babka z PET. Franck, tak się nazywała. Ona widziała pudełko i czytała list z instrukcją. Znalazła je w szufladzie pokoju starej, schorowanej matki Oxena w domu opieki w Ringsted.

Jak mogło do tego dojść? W ciągu ostatnich dwóch lat docierały do niego tylko strzępy informacji, ale wiedział dokładnie, jak to się zaczęło. I jak skończyło.

Podobnie jak reszta kraju, wszystkiego dowiedział się z mediów: ścigany weteran podejrzewany o zabójstwo starego właściciela stawów hodowlanych ukradł łódź w niewielkim miasteczku portowym na północy Jutlandii. Nocą wypłynął w stronę szwedzkiego wybrzeża, ale kiedy zbliżał się do celu, na pokładzie miało dojść do eksplozji. Szwedzcy świadkowie widzieli łunę ognia na wodzie, a potem z morza wyłowiono resztki wraku. I ani śladu Nielsa Oxena.

Gdy wybierał numer swojej żony, czuł już tylko pieczenie pod powiekami. Na szczęście odebrała po pierwszym sygnale.

— Cześć, to ja. Właśnie dostałem pocztą wszystkie jego medale. Również Krzyż Waleczności. Nie wiem, co robić. Jestem w rozsypce...

Opowiedział jej całą historię. I opowiedział o swojej reakcji, bo zawsze tak robił. Ta kobieta była w jego życiu punktem zwrotnym. Znała swojego żołnierza. Wysłuchała go i mu doradziła. Poczuł, że znów może oddychać. Odłożył słuchawkę. Wspólnie zastanowią się nad tym wszystkim na spokojnie, przy kolacji.

To wszystko to jakaś cholerna brednia...

Niels Oxen, którego znał, nigdy by nie zabił bezbronnego starszego człowieka. Nigdy by nie zabił nikogo, kto nie byłby wrogiem. To wszystko było tak nieskończenie smutne. Jedno wielkie gówno. Afera na wielką skalę, wobec której zwykły człowiek, taki jak on, był kompletnie bezsilny. Dziś wszyscy wierzą w historię o tragicznym stoczeniu się bohatera wojennego. I to nie dawało mu spokoju.

Prawdziwa historia leżała przed nim na czerwonym aksamicie w pudełku na biurku. Powoli podniósł się z fotela. W warsztacie czekała toyota, która miała być gotowa na jutro.

[1] Pol. Korpus Łowców. Elitarna jednostka wojsk specjalnych duńskiej armii, odpowiednik polskiego GROM-u — *przyp. tłum.*

Rozdział 3.

Biura firmy importującej maszyny rolnicze stały puste jak pole zostawione ugorem. Był to jej drugi tydzień w *Sprzątanie B+B*, a zlecenie w Ballerup było jej pierwszą pracą na wieczorno-nocną zmianę.

Za oknami było całkiem ciemno. Wybiła dwudziesta pierwsza, początek najchujowszej zmiany. Z wiadrem zatankowanym wodą z mydlinami i z mopem gotowym do pracy skręciła w długi korytarz, pchając przed sobą wózek ze sprzętem.

Za plecami trzasnęły drzwi. To jej szef ruszył w przeciwną stronę, żeby zająć się mniejszym pomieszczeniem. Bez wahania wziął zastępstwo, gdy Litwinka, która miała pracować z nią tej nocy, się nie pojawiła.

Do tej pory pracowała wyłącznie z Polakami, Litwinami albo Łotyszami. Pięć minut temu w pomieszczeniu gospodarczym szef potwierdził, że jest jedyną Dunką w firmie.

— Witaj w Danii klasy B. Nikt nigdy nie odpowiada na moje ogłoszenia, to znaczy żaden Duńczyk. Większość woli brać zasiłki, niż ruszyć dupę i sprzątać. Jak ci się zdaje, kto sprząta pokoje w hotelach? No pewnie, że nie Duńczycy. Więc niech mi nie mówią o bezrobociu.

Kiwała tylko głową. Nie miała ochoty wdawać się w dyskusje. Szef był młodym gościem tuż po trzydziestce. Napompowany sterydami korpus opinała ultraciasna czarna koszulka z żółtym nadrukiem. Do tego włożył luźne spodnie w kolorze khaki i białe sportowe buty.

Teraz mogła powiedzieć, że już dwukrotnie spędziła z nim około pół godziny. Pierwszy raz, kiedy ją zatrudnił, a drugi teraz — kiedy szykowali się do pracy. Było dla niej całkowicie jasne, że gość z ledwością jest w stanie zarządzać spółgłoską i samogłoską,

które na chrzcie nadano mu jako imię. W ciele Bo Bremera bowiem było jedno miejsce całkowicie pozbawione mięśni i znajdowało się między uszami.

Sprzątanie było pracą fizycznie wyczerpującą, a grafik opracowany przez tego idiotę był bezlitośnie ciasny i zrobiony z myślą o obcokrajowcach gotowych się zaharować dla lepszego życia.

Kikut uda, zwykle idealnie pasujący do protezy, zaczynał boleć i czuła w plecach, że przez to za bardzo obciąża zdrową nogę. Ta praca była wyjściem awaryjnym do czasu, gdy znajdzie coś innego. W tej chwili wyjściem jedynym. W ostateczności mogła jeszcze sprzedać mieszkanie w Østerbro, które niestety kupiła za wielkie pieniądze w czasie bańki na rynku nieruchomości. Kto wie, może to właśnie będzie jej następnym krokiem w rozpaczliwej próbie złagodzenia upadku.

Włożyła w uszy słuchawki i podkręciła głośność. Stary album Metalliki z dziewięćdziesiątego szóstego, *Load*, zawsze jej pomagał w oczyszczaniu myśli i powierzchni płaskich.

Zostało jej już tylko jedno z tych wielkich biurków i będzie mogła przejść do odkurzania. Na sucho przetarła monitor i pochyliła się, żeby wilgotną szmatką przetrzeć obramowanie.

Nagle dwoje silnych rąk złapało ją od tyłu i ścisnęło jak w imadle.

— Co ty na to, mała? Tu, na biurku. Półtora tysiąca w gotówce...

To jej szef zakradł się niepostrzeżenie. Sapał jej prosto do ucha.

— Puszczaj, świnió!

Rzeczywiście na moment rozluźnił uścisk, ale tylko po to, by zamiast w talii, zacisnąć pięści na jej piersiach.

— Chętnie bym wyruchał kalekę. Zresztą twoim cyckom akurat nic nie brakuje. Dobra, niech ci będzie, dwa tysiące, mała, zboczona dziwko...

— Puszczaj, mówię!

— Narowista jesteś, co? Podoba mi się...

Tyłem głowy uderzyła go w twarz. Nie dość mocno, by ją puścić, ale wystarczająco, by na moment zbić go z tropu. Kolanem zdrowej nogi oparła się o krawędź biurka i odepchnęła. Cofnął się o krok. To wystarczyło, by mogła zaprzeć się o blat biurka stopą. Tym razem odepchnęła się z całej siły i pchnęła go w tył. Kiedy upadali, odruchowo rozluźnił uścisk.

Błyskawicznie poderwała się z podłogi. Na twarzy szefa malował się teraz fałszywy uśmiech.

— Okej, możemy też na ostro. Mnie to pasuje — wysapał, po czym wstał i zrobił krok w jej stronę.

W dawnych czasach wyjęłaby broń i wysłała mu kulkę w jakieś niegroźne dla życia miejsce. Ale dawne czasy minęły. Dlatego teraz powoli cofała się w stronę ściany, aż odległość między nimi stała się bardziej rozsądna. Nie może się z nim bić. Jest zbyt silny. Musi go powalić przy pierwszym podejściu.

Jedną z podstawowych zasad we wszystkich technikach samoobrony i walki, w których przez tyle lat się ćwiczyła, było wykorzystywanie w ataku siły inercji. To pozwalało zrekompensować przewagę fizyczną przeciwnika.

Gdy rzucił się w jej kierunku, trzepnęła go w twarz mokrą szmatą, co tylko jeszcze bardziej go rozwścieczyło. Wyciągnął ku niej łapska, wtedy chwyciła go za nadgarstek i szarpnęła ku sobie, jednocześnie się odsuwając. Tym samym szybkim ruchem wykonała półobrót i lewą ręką mocno złapała go za włosy.

Osilek dosłownie walnął głową w ścianę, a ona dodatkowo mu w tym pomogła, uderzając z całej siły jego czołem w surowy beton. Kiedy kolana się pod nim ugięły, odchyliła jego głowę i ponownie uderzyła nią w mur, aż upadł i potoczył się kawałek po podłodze.

— I co, teraz będziesz grzeczny, obleśny gnoju?

Szef z jękiem odwrócił się na plecy i posłał jej coś na kształt złośliwego uśmiešku spod strumieni krwi płynących z rozciętych

brwi i najprawdopodobniej złamanego nosa.

Z całej siły kopnęła go w krocze, na co ten zawył z bólu i zwinął się na podłodze.

— Pojebana dziwka! Nie dostaniesz ani grosza, słyszysz? Zajebię cię, kurwa!

Jęczał, ale zdumiewająco szybko zebrał siły, by stanąć na nogi i przypuścić jeszcze jeden szaleńczy atak. Chwyliła pierwsze, co miała pod ręką — lampę biurkową na ciężkiej, mosiężnej nóżce — wzięła zamach i trafiła go w podbródek.

Zwalił się na podłogę, aż zadudniło. Tym razem trochę potrwa, nim się podniesie. Przewróciła go na brzuch i z tylnej kieszeni jego spodni wyjęła uderzająco gruby portfel. Jego twarz była lepka, krwawą miazgą. Wyglądał dokładnie tak, jak na to zasłużył. Powoli otworzył oczy, kiedy wyjmowała z portfela gruby plik tysiąckoronowych banknotów. Tak jak się spodziewała — gość najwyraźniej preferował transakcje gotówkowe. Przeliczyła pieniądze. Banknotów było siedemnaście. Może do nielegalnych rozliczeń ze współpracownikami?

— A teraz słuchaj, gnoju! Ta dycha to moja zaległa pensja. Do tego dwa tysiące za molestowanie, trzy za napaść kwalifikowaną, a reszta to dodatek za pracę w ciężkich warunkach z takim obleśnym debilem jak ty. I zapamiętaj sobie, że jeśli cię jeszcze kiedykolwiek zobaczę, to zgłoszę wszystko na policję. Rozumiesz?

Schowała pieniądze do kieszeni, a pusty portfel rzuciła na podłogę. Potem odwróciła się na pięcie i wyszła z pomieszczenia.

Kiedy wracała z Ballerup do siebie, lało jak z cebra. Deszcz niemal wstrzymywał ruch na ulicy. Młynek w jej głowie obracał się w tym samym tempie co wycieraczki.

Jutro będzie musiała znaleźć nową pracę. A najlepiej dwie. I to nie może być sprzątanie. Tu mimo wszystko się przeliczyła. Może jakiś sklep całodobowy, kawiarnia albo supermarket? Albo taksówka? Albo jakieś ciekawe połączenie różnych fantastycznych opcji?

Auto jeszcze przed Herlev zaczęło strzelać fochy. Małe, czternastoletnie suzuki było wyrazistym symbolem jej gwałtownej degradacji. Była zmuszona przesiąść się do niego ze swojego ukochanego mini coopera, kiedy w pełni do niej dotarło, że nigdy już nie znajdzie sobie porządnej pracy.

Staruszek krztusił się przez jakiś kilometr na Herlev Hovedgade, wreszcie poległ. Zdążyła jeszcze zjechać na pobocze, zanim całkiem wyzionął ducha. Może to przez ten deszcz? Może zalało zapłon?

Deszcz wciąż dudnił w dach z niesłabnącą siłą, a ona z wściekłości waliła otwartymi dłońmi w kierownicę. Nie mogła zadzwonić po Falcka, bo z nich też musiała zrezygnować. Z wszystkiego musiała zrezygnować.

Ponuracy z Danehofu w krótkim czasie obrócili w proch jej całe życie. Dokładnie tak, jak zapowiedzieli, że to zrobią za to, że razem z Nielsem Oxenem, byłym szefem PET Mossmanem i jego siostrzeńcem podjęli próbę przeniknięcia do ich tajnej sieci wpływów — i rozsadzenia jej od środka. Jej dotychczas całkiem wygodną egzystencję zmienili w krainę lodu. Tak właśnie się czuła. Jakby jej życie zamarzło. Oto była cena, którą płaciła.

Rozdział 4.

Trzy starannie złożone czarne peleryny czekały przewieszane przez oparcia krzeseł. Starszy mężczyzna gestem zaprosił dwójkę swoich gości, by zajęli miejsca w niewielkim pomieszczeniu o półkolistym, pobielonym sklepieniu.

Dzieliło ich całe pokolenie. Gospodarz w okularach w złotych oprawkach, z wysokimi zakolami i posrebrzonymi siwizną włosami wyglądał, jakby dobiegał siedemdziesiątki. Na początek potarł zapalką o draskę i zapalił świece w siedmioramiennym świeczniku.

Jego goście — kobieta i mężczyzna — wyglądali na rówieśników i mogli mieć jakieś czterdzieści kilka lat. Jeśli okrągły stółk uznac za różę wiatrów, kobieta stanęła za krzesłem stojącym na północy. Mężczyzna stanął na wprost niej, od strony południa.

Starszy mężczyzna jak zwykle zajął pozycję na wschodzie. Na stole położył swoje okulary i stos dokumentów. Podobnie jak pozostali, nałożył pelerynę, zapiął pod szyją złotą haftkę i upewnił się, czy wszyscy są gotowi. Wtedy odmówili *Ojciec nasz*. Po modlitwie nastąpiła minuta ciszy.

Dyskretnie sprawdzał czas na zegarku. Zgodnie z ceremoniałem minuta ciszy miała upamiętniać tych, którzy odeszli od ostatniego zgromadzenia. Zawsze czuł, że ta chwila zadumy dobrze im robi. Wyostrza koncentrację i pomaga się skupić na pracy, do której przystąpią po upływie owych sześćdziesięciu sekund. Był to czas na przejście z jednego świata do drugiego.

Po swojej prawej ręce miał przywódczynię Danehofu Nord, Karin — albo Kajse — Corfitzen, córkę zmarłego ambasadora i właściciela zamku Nørlund w Himmerland. Jej matka była Szwedką, stąd nietypowe zdrobnienie imienia. Dojrzała,

elegancka i piękna czterdziestoczteroletnia kobieta. Skończyła handel międzynarodowy i całe dorosłe życie spędziła w Londynie. Po nagłej śmierci ojca przełamała utrzymywany w organizacji od stuleci męski triumwirat — i w najmniejszym stopniu go to nie niepokoiło. Nie ma na tym świecie rzeczy niezmiennych. Ba. Gdyby miał dwadzieścia lat mniej, bez wątplenia zabiegałby o względy tej kobiety.

Po jego lewej stał Villum Grund-Löwenberg. Jak zawsze starannie ostrzyżony, z wypielęgnowanym pełnym zarostem ostro odcinającym się od opalonej skóry. Wokół rozsiewał subtelny zapach płynu po goleniu z wyczuwalną nutą drzewa sandałowego. Kiedyś, w niezobowiązującej rozmowie, wyznał, że zawsze używa tej samej marki i kupuje ją wyłącznie w Taylor of Old Bond Street w Londynie. Z podobną starannością dobierał garnitury — dyskretnie eleganckie i od tego samego krawca z Savile Row.

Wysoki, szczupły mężczyzna przejął zamek Gram od swoich rodziców, ale nie afiszował się ze swoim majątkiem i na stałe wciąż mieszkał w Kopenhadze i Zurychu. On też wiele lat spędził w Anglii, gdzie zrobił magisterium z informatyki. Dziś miał czterdzieści sześć lat i był współzałożycielem i współwłaścicielem firmy Castle & Unicorn Corp, opracowującej platformy technologiczne i oprogramowanie dla świata finansów. Spółka odniosła niedawno ogromny sukces na giełdzie szwajcarskiej.

Villum Grund-Löwenberg był gwiazdą duńskiej sceny gospodarczej. Miliarderem i wizjonerem o imponującej sieci kontaktów w kraju i na świecie. A przy tym człowiekiem wyjątkowo nieśmiałym. Był tym, z którym wszyscy chcieli się zaprzyjaźnić, ale dopuszczał do siebie tylko nielicznych.

I oto znów staje na swoim miejscu, pomiędzy dwójką energicznych, odnoszących sukcesy młodych ludzi, a wszyscy troje w chwili przekroczenia progu tej sali zredukowani zostali każde do własnego zakątka Królestwa — Północy, Południa i Wschodu, by wspólnie tworzyć Najwyższe Zgromadzenie Danehofu.

Brak reprezentanta Zachodu miał korzenie w średniowieczu,

gdy ich parlament zaczął obradować na zamku w Nyborgu, będącym wówczas miastem królewskim i głównym ośrodkiem władzy. Wtedy królestwo Danii stanowiła Jutlandia z północą i południem oraz wyspy na wschodzie, gdzie Kopenhaga nie odgrywała jeszcze żadnej roli. Na zachodzie zaś — nie było nic. Dlatego Danehof ma tylko trzy ośrodki.

Skinieniem dał znak swoim gościom, wysunął drewniane krzesło z wysokim, pięknie zdobionym oparciem, usiadł i ponownie włożył okulary.

— Spotkanie zostaje otwarte. To jest Danehof, drugie zgromadzenie w tym roku — ogłosił.

Zgodnie z tradycją to do niego, jako lidera Wschodu, należało otwieranie zebrań. Robił to niezliczenie wiele razy, jesienią bowiem skończył sześćdziesiąt dziewięć lat. Zbliżał się do emerytury — zarówno w życiu zawodowym, jak i w zaszczytnej funkcji, jaką pełnił w ich organizacji. Dlatego już dawno rozpoczął żmudny proces poszukiwania swojego następcy. I mogło minąć jeszcze sporo lat, nim uzna ów proces za zakończony.

Trzeba się pogodzić ze swoim wiekiem i z pokorą przyjąć fakt, że stopniowo będzie człowiekowi narzucał pewne ograniczenia. Niektórzy z jego poprzedników niestety nie wykazali się w tym względzie odpowiednią rozwagą.

— Czy ktoś pragnie zabrać głos na początku zebrania?

Północ i Południe pokręcili głowami na znak, że żadne z nich nie wnosi o zmianę porządku obrad. Zatem kontynuował:

— Pozwólcie, że zacznę od krótkiego podsumowania sytuacji bieżącej. Po pierwsze: nowy szef obrony kraju został już wybrany, choć na oficjalną nominację będziemy musieli jeszcze chwilę poczekać. Jest nim Yssing. Tak, udało nam się do tego doprowadzić. W swoim czasie zaangażowaliśmy ogromne środki w pozyskanie tego akurat stanowiska i dziś możemy powiedzieć, że się opłaciło. Ostatni raz Danehof dysponował tym ważnym stanowiskiem aż trzydzieści dziewięć lat temu. Jest to zatem dla nas wydarzenie ogromnej wagi.

Dwójka jego kolegów z zadowoleniem wysłuchiwała tej informacji. Ciągnął dalej, nie zaglądając do notatek:

— Punkt drugi można w zasadzie nazwać naturalną konsekwencją punktu pierwszego... Zdecydowałem o całkowitym zawieszeniu działań operacyjnych związanych z dawnym komandosem Nielsem Oxenem. Minęło ponad pół roku, odkąd po raz ostatni widziano go żywego — i to w okolicznościach, jakie zostały wam szczegółowo przedstawione. Uznałem więc, że pora zaprzestać aktywnych poszukiwań. W pierwszym okresie drobiazgowo przeszukaliśmy zarówno małe, prowincjonalne szpitale, jak i duże ośrodki lecznicze w odpowiednim promieniu od miejsca zdarzenia, a jednocześnie prześwietliliśmy cały zgromadzony w tej sprawie materiał policyjny. Potem skupiliśmy się na monitorowaniu wszelkich zgłoszeń o ciałach znalezionych w cieśninie Kattegat, Bałtyku i odpowiednim fragmencie Morza Północnego. Wszystkie te działania pochłonęły mnóstwo środków i dlatego postanowiłem ich zaprzestać. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że Oxen nie żyje. Musimy się po prostu pogodzić z faktem, że najprawdopodobniej nigdy nie znajdziemy ostatecznego dowodu — jego ciała. Co dotyczy wielu osób, które zginęły na morzu.

Przedstawiciel Południa zasygnalizował chęć zabrania głosu. Przerwał więc i skinieniem oddał głos koledze.

— W jaki sposób monitorowaliśmy zgłoszenia?

— Przede wszystkim płacąc pod stołem naszym ludziom w komendach policji krajów basenu Morza Bałtyckiego, a także Szwecji i Norwegii. Płaciliśmy za przekazywanie nam zgłoszeń, ale również za informacje o tożsamości każdego ze znalezionych ciał. Czy to zadowalająca odpowiedź?

Południe pokiwał głową, więc mówił dalej:

— I wreszcie po trzecie: od ostatniego zebrania czterech z naszych członków pasywnych odeszło z tego świata. Jeden z Północy, jeden z Południa i dwóch ze Wschodu. Tylko jeden pozostawił po sobie wdowę. Wobec pozostałych trzech z chwilą ich odejścia ustają nasze zobowiązania.

— Moglibyśmy zaoszczędzić spore sumy, gdybyśmy zrezygnowali z tych wypłat — wtrąciła Pólnoc i natychmiast przeprosiła, unosząc ręce do góry. Spontaniczne uwagi były naruszeniem etykiety.

— Utrzymywanie naszych emerytowanych członków i ich współmałżonków jest, jak wiadomo, uwarunkowane historycznie — przypomniał jej. — To wszystko na temat sytuacji bieżącej. Czy możemy przejść dalej?

Oboje pokiwali głowami. Teraz wyjął z leżącego przed nim stosu papierów dwie teczki i uniósł je, by im pokazać.

— Te dwa raporty stanowią pierwszy punkt porządku obrad. Otrzymaliście je specjalnym kurierem sześć dni temu.

Spojrzał znad oprawek okularów — najpierw w lewo, potem w prawo. Jego towarzysze pokiwali twierdząco głowami.

Sprawa dotyczyła jego okręgu i to on zamówił raporty. Były wyjątkowo dokładne. Na każdą z osób poświęcono ponad dwa tygodnie, włącznie z podsłuchami w domach. Wszystko to kosztowało majątek.

— Przypomnę pokrótce, w czym rzecz. Pod koniec sierpnia ruszyła największa dotąd sprawa o formowanie karteli w sektorze budowlanym. Oskarżonym jest w niej Kresten Hildmand, który, jak wiecie, zasiada w Drugim Kręgu Danehofu Øst. Prokurator generalny do spraw zwalczania przestępczości gospodarczej i międzynarodowej wskazuje Hildmanda jako postać centralną całej afery. W sprawę, w całej jej rozciągłości, zamieszany jest jednak także Sigurd Back z Trzeciego Kręgu Nord. Jestem pewien, że Hildmand, zarówno dzięki uczestnictwu w Danehofie, jak i niektórym działaniom naszego znakomitego think tanku Consilium, stworzył własną sieć kontaktów pozwalającą mu kontrolować kluczowe sektory branży budowlanej. Jednocześnie Hildmand — jeśli zacznie mówić — może ujawnić pewne wątki dotyczące działalności Danehofu. Gdy zaś prokurator generalny odkryje związki między Danehofem Nord a zamkiem Nørlund, od razu natknie się na sprawę wieszanych psów i zechce się przyjrzeć z bliska ludziom, którzy byli w nią zamieszani. Innymi

słowy, idiotyczne kręactwa Krestena Hildmanda w mniejszym lub większym stopniu stanowią zagrożenie dla naszej organizacji.

Odchrząknął i z powrotem odłożył na stos obie teczki.

— Wykonano kawał dobrej szpiegowskiej roboty. Moim zdaniem mamy obecnie pełny obraz zarówno Krestena Hildmanda, jak i prokuratora generalnego Pera Eilertsena. Obie analizy wskazują na określony punkt widzenia, jaki musimy uwzględnić, szukając rozwiązania dla naszego problemu.

Zadanie zostało wykonane perfekcyjnie. Z materiałów zawartych w teczkach wyłaniały się wyraźne sylwetki obu osób.

Starzejący się przedsiębiorca prowadzi nieuporządkowane życie i okresowo nadużywa alkoholu. Z małżonką tworzą związek co najmniej dziwny. Ona przeważnie jest na wakacjach albo szaleje na weekendowych wypadach z koleżankami w europejskich stolicach. Hildmand w tym czasie poluje, dopieszcza swoją niewielką kolekcję zabytkowych samochodów albo siedzi przed telewizorem i opycha się jedzeniem na telefon. I pije. Do nieprzytomności. Kontakty z dwójką dorosłych dzieci są sporadyczne. Za to ich domowy budżet ma się znakomicie.

Z nagrań z podsłuchu zamontowanego w kuchni małżonków wynikało, że Kresten Hildmand zwierzył się żonie ze swoich dylematów: otóż uważa za warte rozważenia zawarcie swojego rodzaju układu z prokuratorem generalnym. Miałby wyłożyć wszystkie karty na stół i w zamian za wolę współpracy otrzymać niższą karę. Żona stwierdziła, że sam musi się z tym uporać. Byle tylko firma mogła działać dalej.

Prokurator generalny Per Eilertsen, ojciec dwóch nastoletnich córek, od siedemnastu lat będący w związku małżeńskim z adwokatką Line Eilertsen, to całkowite przeciwieństwo Hildmanda. Porządny i idealnie czysty, w życiu osobistym i zawodowym. Pochodzący z Langelandu Eilertsen zdawał się kierować umiarem i zdrowym rozsądkiem we wszystkim — od posiadanego portfela akcji aż po wybór obuwia.

W zasadzie wszystko to było im znane od dawna, lecz teraz mogli uzupełnić wiedzę o obu mężczyznach o kilka ciekawych

szczegółów. Prokurator generalny lubił na przykład, gdy był w domu sam, puścić sobie na cały regulator *Wind of Change*, żeby wycić i pogwizdywać ze Scorpionsami. A Hildmand trzymał w nocnej szafce *Pismo Święte*. I czytał je. Może więc był diabłem, ale mimo wszystko...

To była podstawa. Trzeba wiedzieć wszystko, zarówno o potencjalnych przeciwnikach, jak i przyjaciółach, a on miał do tego własny protokół, którego ściśle się trzymał: zawsze musieli dysponować kompletem najistotniejszych faktów, nim wspólnie, we troje, podejmą tak ważną decyzję.

Mieli bowiem zdecydować o czyimś życiu — lub śmierci.

— Zanim wam przedstawię moje zdanie, chciałbym poznać wasze. — Przyklepał otwartą dłońią obie teczki i popatrzył na zmianę to na jedną, to na drugą siedzącą przy stole postać. — Jak najskuteczniej wyeliminować zagrożenie?

Rozdział 5.

Branie ujawniło się jako długie, silne szarpanie żyłki. Czwarta zdobyła tego przedpołudnia. Jeśli sądzić po oporze, większa niż poprzednie, już leżące na dnie małej motorowej łodzi.

Dorsz... Dziś były urodziny Tessy i obiecał jej przynieść nie tylko kolację, ale jeszcze zapas do zamrażarki, która po zimie powoli pustoszała.

Uniósł krótką wędkę pilkerową, zanurzył i przybliżył do siebie. Był to sposób na wyciągnięcie bestii, ale do pełnego sukcesu sporo mu jeszcze brakowało. Stał w miejscu, które wielokrotnie okazywało się szczęśliwe — w podłużnym zagłębieniu dna między Vaxholmen a Ängholmen.

Dzień był mroźny. Na łagodną wiosenną aurę będą musieli jeszcze poczekać, choć odniósł inne wrażenie, gdy niedawno wygrzewał się w słońcu na skale.

Znów zanurzył wędkę i rozejrzał się wokół. Morze było spokojne. Wiatr wiał z północnego zachodu, więc tu Klöverön go przed nim osłaniał. Ze swojego miejsca widział Korsvik, ale nie widział białego domu ukrytego za wysuniętym w morze przylądkiem.

W końcu się pojawił, tuż pod powierzchnią. Piękny dorsz, na oko jakieś pięć kilo. Nie rzucił się jednak na żółtego pilkera na końcu linki, tylko chapsnął przywieszkę, na której wisiała mała kałamarnica z miękkiego plastiku kupiona jeszcze w lipcu w Marstrandzie.

Za pomocą niewielkiego haka wędkarskiego wciągnął rybę na pokład. Idealna kolacja urodzinowa. Theresa Lövgren kończyła sześćdziesiąt trzy lata. Pożyczył od niej sto koron i wydał je na prezent — bombonierkę, kupioną, podobnie jak kałamarnice, w Coop Nära, wielobranżowym sklepie znajdującym się w porcie.

Zawdzięczał Tessie wszystko.

To ona go zauważyła, kiedy rano wybrała się na ryby. Leżał nieprzytomny na skale wystającej z wody niedaleko Koddholmen. Wciągnęła go na pokład swojej łódki i zabrała do małego białego domu. Połatała go i przez kilka miesięcy troskliwie się nim opiekowała.

O jego życiu zdecydował szereg szczęśliwych okoliczności, jak wiatr i prądy, które tamtej nocy opływały szwedzki archipelag. Przede wszystkim jednak żył dlatego, że dawna profesor, lekarz medycyny Theresa Lövgren, nie zapomniała, jak się używa igły i nitki ani jak leczyć rany.

„Sądząc po twoim wyglądzie za to, że żyjesz, możesz dziękować tylko Panu w niebiosach”.

Doskonale pamiętał słowa, które wypowiedziała podczas ich pierwszej prawdziwej rozmowy, odbytej po angielsku. W Boga nie wierzył. Wierzył natomiast w *okoliczności*. To one sprawiły, że jego wybawicielką była kobieta, która postanowiła wycofać się z życia i zamieszkać na niemal bezludnej wyspie Klöverön. Gdyby znalazł go ktokolwiek inny, trafiłby do szpitala — logiczne.

A wówczas *oni* bez trudu by go znaleźli, bo oczywiście sprawdzili wszystkie szpitale wzdłuż wybrzeża. A gdyby go znaleźli, natychmiast by go zabili. Po prostu.

Doktor Theresa Lövgren *była* ratującą życie okolicznością, która zaistniała dokładnie w chwili, gdy wisiał uczepiony krawędzi życia już tylko końcówkami paznokci.

I właśnie dlatego gryzło go sumienie. Bo ją oszukał. Oszukiwał ją w każdej minucie, godzinie, każdego dnia i tygodnia. Dokładnie tak, jak ją oszukał, gdy po raz pierwszy otworzył oczy i wymówił swoje imię: Dragos.

Tak naprawdę to było jego pierwsze wspomnienie — jego własne kłamstwo. Wszystko, co się stało od chwili, gdy jego łódź została trafiona z helikoptera podczas ucieczki do Szwecji, do momentu, gdy Tessa wyłowiła go z wody... wszystko to jest ciemną plamą w jego pamięci. Może dryfował, trzymając się fragmentu wraku? To wydaje się prawdopodobne. W jego stanie raczej nie mógłby sam dopłynąć do skały.

Po raz drugi stał się Dragosem, bo nie umiał wymyślić lepszego kłamstwa. Pierwszy raz został nim rok temu, gdy w noc sylwestrową nocował na sianie w szopie przy gospodarstwie rybnym i sytuacja zmusiła go, by uratował starego właściciela stawów przed włamywaczami. Dwóch Rumunów zakradło się do gospodarstwa na pustkowiu niedaleko Brande w pierwszych godzinach nowego roku. Zastawszy gospodarza w domu, napadli nieszczęsnego staruszka. Wtedy on sam rzucił się na nich, unieszkodliwił i wykopał w stronę Bukaresztu, lecz wcześniej zabrał im paszporty.

I właśnie wtedy, na wysłużonej kanapie starego Johannesesa Ottesena zwanego Rybakiem, który tak bardzo chciał się napić ze swoim wybawicielem, tam, próbując ochronić własną, kruchą tożsamość, rzucił nazwiskiem z pierwszego paszportu w swojej kieszeni.

Dragos. Adrian Dragos.

Dziś staruszek nie żył. Został brutalnie zamordowany, a o dokonanie zbrodni podejrzewano jego — do czasu, gdy nie uznano, że zginął w wypadku na morzu.

Niels Oxen był martwy. Adrian Dragos żył w kłamstwie i posługiwał się wyłącznie łamanym angielskim, co teraz, po tak długim czasie, przychodziło mu zupełnie naturalnie.

Dziś rano przy śniadaniu był o krok od wyjawienia Tessie całej prawdy. Był jej to winien. Jej urodziny były chyba dobrą okazją, by to zrobić. Mimo to ich śniadanie upłynęło w porannej ciszy, przy czekoladkach, które jej podarował, bułkach, które sama upiekła, i małych chorągiewkach ustawionych na stole pomiędzy nimi.

Wciąż był Dragosem. Małą rumuńską płotką, drobnym złodziejaszkiem, który szukał szczęścia w Danii, ale niestety zadarł z niewłaściwymi grubymi rybami. Zmusili go, żeby szmuglował fajki i alkohol do Szwecji. Zagrozili, że jeśli tego nie zrobi, znajdą jego rodzinę w kraju. Był już całkiem blisko szwedzkiego wybrzeża, gdy na jego łódce doszło do wybuchu. Może wybuchła butla do gotowania?

Historia zawierała elementy prawdy. I to ją wcisnął Tessie, jeszcze leżąc w łóżku, gdy w końcu był w stanie odbyć z nią tę rozmowę.

Okłamał kobietę, która się nim zaopiekowała i przywróciła go do życia. Kłamał wprost w jej pogodną, uśmiechniętą twarz. Zrobił to, by ją chronić. Oraz by chronić siebie. Lecz mijały miesiące, a on nie natrafił na najmniejszy choćby powód do niepokoju czy podejrzeń. Zimą wyspa Klöverön była niczym miejsce poza czasem i przestrzenią.

Teraz jednak zbliżała się wiosna. Zaczynają przyjeżdżać turyści. Miłośnicy pieszych wędrówek i podglądania ptaków. Obce spojrzenia. A jeszcze później, latem — Tessa przewróciła oczami, gdy o tym mówiła — nadciągnie cały rój żeglarzy i wszyscy będą się tłoczyli jak sardynki w puszce, korzystając z uroków naturalnego portu w Utkäften niedaleko Korsviku. Niewyobrażalne tłumy.

Wszystko, co ma żagiel albo silnik, przycumuje na tym skrawku klifu. Marstrand co roku jest gospodarzem regat Match Cup Sweden, a prócz tego organizowany jest wyścig o nazwie Marstrand Regatta. Takie wydarzenia przyciągają publiczność. I uwagę.

A on wolał być niewidzialny. Dlatego musi się stąd zwinąć. Zresztą już o tym rozmawiali. Tessa prawdopodobnie będzie mogła mu załatwić pracę w tartaku prowadzonym przez jakąś rodzinę. Tartak leżał na samej północy, w Haparandzie na dole Zatoki Botnickiej. Trudno znaleźć miejsce bardziej dogodne i odizolowane. On zaś musiał się ukrywać, bo przemytnicy sądzili, że nie żyje. A kiedy odłoży trochę grosza, wróci do domu, do Rumunii. I będzie się trzymał z dala od kłopotów.

Wieczorem rzuci swoje wszystkie nieczyste karty na urodzinowy stół, przyzna się do kłamstwa i oczyści sumienie.

Kłamstwo nie było zresztą obce samej Tessie — i to na ogromną skalę. W poprzednim życiu prowadziła prace badawcze dla pewnej firmy farmaceutycznej i świadomie zataiła krytyczne dane jednego z preparatów będącego w decydującej fazie trzeciej.

Uległa, presja była zbyt wielka. W grę wchodziły grube miliony. Dla firmy to było być albo nie być. Powinna była wszcząć alarm.

Wszystko i tak się wydało. Firma zbankrutowała. Ona straciła pracę i, skruszona, sama skazała się na bezterminową pokutę w samotni na wyspie Klöverön.

Możliwe, że jego kłamstwo nie zrobi na niej wrażenia. Może jedynie uśmiechnie się i pokiwa głową w milczącej akceptacji. Przeważnie tak właśnie robi, zamiast wylewać z siebie potok słów. Postanowił, że jeśli tylko Tessa się nie pogniewa i urażona nie wycofa swojej oferty, to ją przyjmie.

Haparanda brzmi jak miejsce idealne. Nie tylko dla Dragosa, również dla Oxena.

Rozdział 6.

Magnat budowlany? Prokurator generalny? A może bezwarunkowe odrzucenie obu propozycji? Dyskusja, która dosłownie dotyczyła życia lub śmierci, trwała od ponad godziny. Teraz z wolna ustawała.

Jak zawsze debata przybrała formę kulturalnej wymiany zdań, choć jej ton był odrobinę bardziej żarliwy niż zwykle. Głosy ich trójki stanowiącej najwyższe kierownictwo prastarego *parlamentum* były równoważne. I musieli być jednomyślni.

Wziął łyk wody i przygotował się do zamknięcia tego rozległego tematu ich dzisiejszych obrad.

— Myślę, że rozważyliśmy wszystkie aspekty problemu. Czy możemy przejść do głosowania?

Jego towarzysze zgodnie pokiwali głowami, więc mówił dalej:

— Danehof głosuje nad zastosowaniem ostatecznego rozwiązania względem albo Krestena Hildmanda, albo prokuratora generalnego Pera Eilertsena. Ponieważ Hildemand należy do mojego okręgu, zaczniemy ode mnie. Zleciłem sporządzenie dwóch analiz, licząc, że pozwolą one znaleźć rozwiązanie alternatywne. Niestety, okazuje się, że nie istnieje żadna realna alternatywa. Prokurator generalny Per Eilertsen wydaje się być osobą wyjątkowo niepodatną na zastraszenie w jakiegokolwiek sferze swojej działalności, zarówno zawodowej, jak i prywatnej. Poza tym pozbawienie go wpływów albo odebranie mu sprawy w żadnym razie nie oznacza wyciszenia afery, choć niewątpliwie mogłoby to znacznie osłabić jej wydźwięk. Z kolei Hildmand nadużył naszego zaufania. Stanowi zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa. Zarówno teraz, w związku ze sprawą kartelu, jak i w dalszej perspektywie. Dlatego głosuję za ostatecznym rozwiązaniem względem Krestena Hildmanda.

Nie musiał nic więcej dodawać. Wszystko już zostało powiedziane podczas ich debaty. Oddał głos pozostałym.

— Poproszę teraz Południe o decyzję i krótkie uzasadnienie.

Lider Danehofu Syd dokończył coś notować w swoim bloku, po czym z głośnym trzaskiem odłożył długopis na blat stołu.

— Głosuję za ostatecznym rozwiązaniem problemu Krestena Hildmanda. W istocie, nadużył naszego zaufania i dla własnej korzyści wykorzystał organizację, której jest częścią. Od lat nie wniósł do niej nic konstruktywnego. Jest on — według mojej oceny — starzejącym się pijakiem o zbyt długim języku. Czy zatem zniknięcie Hildmanda osłabi naszą organizację? Absolutnie nie. Wprost przeciwnie. Poza tym musielibyśmy mieć naprawdę ważny powód, by zlikwidować prokuratora generalnego. Jego zniknięcie przykułoby uwagę wszystkich i wywołałoby ogromne poruszenie i gniew. To byłby czysty chaos.

Zlikwidować? Nie podobało mu się to określenie. Nigdy też go nie używali. Przyjęta w ich kręgu konwencja nazywała to ostatecznym rozwiązaniem. Jego uniesione z dezaprobatą brwi nie wzbudziły jednak żadnej widocznej reakcji u przedstawiciela Południa.

Ten, po krótkiej dramatycznej pauzie, niezrażony mówił dalej:

— Chciałbym jednak zwrócić waszą uwagę na fakt, że minęło zaledwie pół roku, odkąd siedzieliśmy tu i zatwierdzaliśmy ostateczne rozwiązanie w sprawie ministra sprawiedliwości Ulrika Rosborga i byłego komandosa Nielsa Oxena. Liczyliśmy, że wraz z nowym rokiem nastaną dla nas spokojniejsze czasy i będziemy mogli bez zakłóceń skupić się na naszej pracy. Nie jesteśmy tu po to, by szafować życiem i śmiercią. Wszystko to odsuwa naszą uwagę od tego, co stanowi prawdziwy sens naszej działalności: pracy dla wspólnego dobra. Służby dla narodu i państwa, od wykorzystywania w najlepszy możliwy sposób naszych ogromnych wpływów w kręgach, w których powstają nowe pomysły i podejmowane są istotne dla kraju decyzje. To dlatego jestem w tej organizacji. I mam nadzieję, że wy także...

Przedstawiciel Południa zamilkł, pozwalając, by jego słowa

zawisły w powietrzu.

Nie wiedział, co powiedzieć, lecz nie dał tego po sobie poznać. W skupieniu patrzył na młodego kolegę. Ten z kolei wpatrywał się teraz w swoje notatki. Następnie podniósł wzrok i spojrzał najpierw na Północ, a dopiero potem przeniósł wzrok na niego... Ich spojrzenia spotkały się na krótką, niezręczną chwilę. Obaj postanowili odpuścić. Ostatecznie powiedział tylko:

— Cóż, to były wyjątkowo mocne słowa. Czy one stanowią podsumowanie...

Południe pokręcił głową.

— Nie, nie. Jeszcze nie skończyłem. Chodzi mi o to, że dotykamy tu czegoś naprawdę ważnego, czegoś absolutnie nadrzędnego, od czego nie możemy się odwrócić i udawać, że tego nie ma. Sam powód, dla którego musimy się mierzyć z takim dylematem... Powód, dla którego znów musimy zawiesić naszą właściwą działalność, tkwi w strukturze Danehofu. Nasza organizacja jest beznadziejnie przestarzała i skonstruowana w sposób, który sam w sobie stanowi ciągle zagrożenie dla jej istnienia. Północ, Południe i Wschód — mamy trzy okręgi z pięcioma wybranymi członkami każdy. Tych pięć osób stanowi odosobnioną grupę i nie zna nikogo poza sobą nawzajem — teoretycznie. Wiemy bowiem, że w praktyce jest to nierealne. Mówimy o czterdziestu pięciu osobach, które są związane z jednym konkretnym miejscem i wiedzą, że łączy je właśnie ono. Tu, u ciebie, jest siedziba Wschodu, w zamku Nørlund urzęduje Północ, a Południe u mnie, w zamku Gram. To jest istota problemu. Poza tym wiele z tych czterdziestu pięciu osób jest zaangażowanych w publiczną albo wewnętrzną działalność Consilium. I jakby tego było mało, wszyscy ci ludzie cieszą się ogromnymi wpływami — w przeciwnym razie nie zostaliby wybrani — co oznacza, że obracają się w tych samych kręgach. Ich drogi krzyżują się również w ogólnokrajowej sieci kontaktów branżowych, w stowarzyszeniu liderów biznesu i tym podobnych. Nie możemy im zabronić uczestnictwa w tych organizacjach. Ci ludzie stanowią elitę i te struktury powstały z myślą o nich. Ale to wciąż nie koniec. Niektóre z tych czterdziestu pięciu osób spotykają się

w rozmaitych zarządach, które także są ich naturalnym środowiskiem. Na Boga, przecież nasi członkowie czasem zasiadają w zarządach wielu spółek jednocześnie. Każde takie zebranie zarządu niesie dla nas określone ryzyko. Ryzyko, że ktoś coś powie. Albo że powie za dużo. Każde spotkanie dwóch członków Danehofu teoretycznie jest dla nas zagrożeniem. W ten sposób sama struktura organizacji staje się naszym najgroźniejszym wrogiem. Dlatego chciałbym dziś w trybie nadzwyczajnym zgłosić wniosek o włączenie do porządku obrad debaty na temat struktury Danehofu jako punktu do rozważenia. To wszystko z mojej strony. Dziękuję.

Południe skinieniem podziękował obojgu za uwagę.

W małym pomieszczeniu zapanowała absolutna cisza. Siedem płomieni drżało. To, co się właśnie stało, było absolutnie... niespotykane. To, czego właśnie doświadczył ze strony Południa. Czy kiedykolwiek w jego wieloletniej historii w roli przewodniczącego obrad spotkało go coś podobnego? Otóż nie. Nigdy.

Poczuł, jak gdzieś w środku wzbiera w nim złość. Nagle poczuł również, że serce mu przyśpieszyło. Nie wolno mu dać się sprowokować. To on przewodzi temu spotkaniu.

— Dziękuję przedstawicielowi Południa — powiedział tylko i próbował odnaleźć spokój w powtarzaniu utrwalonych rytuałów. Przeszedł więc dalej:

— Teraz Północ. Proszę o decyzję i uzasadnienie.

Północ odchrząknęła i zaczęła:

— Analiza niestety daje podstawy, by obawiać się najgorszego: że Kresten Hildmand podczas rozprawy opowie wszystko. Nie jestem przekonana, czy jest to w istocie poważne zagrożenie. Uważam jednak, że nie powinniśmy ryzykować. Hildmand — według zaprezentowanej analizy — nie przedstawia sobą żadnej wartości dla naszej organizacji. Dlatego głosuję za ostatecznym rozwiązaniem względem Krestena Hildmanda. Alternatywa — uruchomienie procedury względem prokuratora generalnego — w ogóle nie wchodzi w grę. Nie chcemy iść na wojnę z wymiarem

sprawiedliwości. Musimy pozostać *niewidoczni*. To powiedziawszy, chciałabym się przychylić do wniosku Południa, ponieważ zgadzam się z jego przemyśleniami. W całej rozciągłości.

Ze strony Północy również atak? Tego się naprawdę nie spodziewałam. Dlaczego żadne z nich nie zająknęło się o tym ani słowem podczas wcześniejszej, mniej formalnej dyskusji? Trudno. Teraz musi się skupić na słuchaniu — a nie spekulacjach.

— Czas najwyższy, abyśmy spojrzeli krytycznie na samych siebie — mówiła dalej przedstawicielka Danehofu Nord. — Nie możemy w nieskończoność przechodzić od jednego incydentu do następnego. Jeśli dobrze pamiętam najnowszą historię naszej organizacji, był w niej na przykład wiekowy przemysłowiec Karl-Erik Ryttinger. Był też socjaldemokrata Gunnar Gregersen. Obaj stanowili zagrożenie. A także żona Gregersena, o czym nie powinniśmy zapominać. Mój ojciec w swoim czasie współdecydował o ostatecznym rozwiązaniu dla całej trójki, wspólnie z tobą, prawda?

Zaskoczyła go, pytając o to tak wprost. Ale tak, pamięć jej nie myliła.

— Zgadza się — odparł tylko i potwierdził pojedynczym skinieniem.

— Wielu było przed nimi i po nich byli inni. Ostatnim, wobec którego wspólnie zdecydowaliśmy się zastosować tę procedurę, był minister sprawiedliwości. Nasz człowiek na kluczowym stanowisku w rządzie, za które swego czasu sporo zapłaciliśmy. I gdyby w zeszłym roku Vitus Sander nie umarł w hospicjum, również względem niego musielibyśmy zastosować ostateczne rozwiązanie. Nie możemy dalej działać w ten sposób. Powinniśmy zmienić naszą strukturę tak, aby uniemożliwić pojedynczym osobom dostęp do wiedzy, która stanowi zagrożenie. A zauważmy, że nie wspomniałam nawet o tych wszystkich ludziach, którzy po czynnej służbie przechodzą na listę członków biernych i mimo wszystko wciąż stanowią zagrożenie. Na równi z członkami aktywnymi. Do tego wypłacamy spore sumy na

utrzymanie i premie dla członków pasywnych. Środki te moglibyśmy przeznaczyć na inne, bardziej perspektywiczne projekty. Przyłączam się do wniosku o debatę na temat restrukturyzacji. Dziękuję, to wszystko.

Pokiwał głową i zadumał się nad tym, co właśnie usłyszał. Północ już wcześniej przygotowała swoją wypowiedź. Czy to oznaczało, że miał tu do czynienia ze skoordynowanym buntem młodego pokolenia? Z kiełkującą rewolucją?

Jako przewodniczący zgromadzenia to on miał ostatnie słowo:

— Danehof zdecydował niniejszym o ostatecznym rozstrzygnięciu względem Krestena Hildmunda. Procedurę możemy uruchomić niemal od ręki. Podpisałem już kontrakt *pro forma* i mam ludzi w gotowości. Im szybciej zadanie zostanie wykonane, tym mniejsze jest ryzyko przecieku. Co do waszego wniosku o dyskusję na temat naszej struktury, nie będę się oczywiście przed tym opierał. Wprowadzam to zatem jako ostatni punkt dzisiejszego porządku. Przewiduję, że dzisiejsze zebranie przeciągnie się do późnych godzin wieczornych, pozwólcie zatem, że poczynię przygotowania do zorganizowania waszego noclegu. Gdy skończymy, będzie za późno, by przeprowiać się na ląd.

Rozdział 7.

Auto jechało nierówno, ale przynajmniej jechało. Nie liczyła na to po tym, jak poprzedniego wieczoru w ulewie musiała je zostawić na Herlev Hovedgade, gdzie z teatralnym zrywem wydało ostatnie tchnienie.

Dziś po śniadaniu autobusem wróciła po nieszczęsny wóz. Gdy przekręciła kluczyk, mały japończyk nadal odmawiał współpracy. Otworzyła więc bagażnik i odczekała godzinę, by silnik wysechł. Sama gapiła się przez ten czas w okna małego centrum handlowego Bangs Torv. Akcję ratunkową zakończyła pokryciem cholernego ustrojstwa i jego przewodów pochłaniaczem wilgoci Pronto. Dopiero wtedy silnik z wielkim fochem zaskoczył.

Krótko po tym była w małym warsztacie przy Amagerbrogade, chciała się poradzić. Często tu zachodziła w ciągu ostatnich dwóch lat. Zawsze w sprawach zawodowych. Zawsze po to, by zapytać właściciela, L.T. Fritsena, o jego dawnego kolegę z wojska Nielsa Oxena i by doszukać się czegoś w spojrzeniu mechanika. Zawsze — poza ostatnim razem.

Spotkała się z Fritsenem kilka tygodni po tym, jak Oxen zginął na morzu. Już po tym, jak ją wyrzucili z Policyjnej Służby Wywiadowczej. Wtedy po raz pierwszy niczego od niego nie chciała. Szukała jedynie kogoś, komu mogłaby się zwierzyć.

Mimo cienkiej warstwy smaru na twarzy mechanika widziała, jak bardzo był poruszony. Pili kawę w jego kantorku, a kiedy od niego wychodziła, po raz pierwszy poczuła, że zdobyła zaufanie byłego żołnierza, co zresztą mogło też mieć związek z tym, że była bezrobotna, a nie zatrudniona przez PET.

Wtedy miała jeszcze miniaka. Wtedy jeszcze do niej nie dotarło, jak wysoką cenę przyjdzie jej zapłacić za to, że zadarła z mroczną sferą władzy.

Dla niej rozpoczęła się wtedy nowa era. Był rok zerowy po mini cooperze. Zresztą jej życie pod każdym względem wróciło do punktu „start”.

Kiedy podjechała pod warsztat i mocno wcisnęła hamulce, jednocześnie skręcając w bok, alto zapiszczało i całe się zakołysało. Drzwi warsztatu były otwarte. L.T. Fritsen klęczał przed samochodem dostawczym. Nie zauważył ani jej, ani samochodu, tylko dalej się z czymś mocował.

— Cześć — przywitała się i stanęła blisko niego na poplamionej smarem podłodze.

— Cześć — odparł Fritsen, nadal nie podnosząc wzroku. Właśnie coś dokręcał — chyba zderzak. Stała w milczeniu. Dopiero kiedy odłożył śrubokręt, spojrzał na nią.

— Taa. W czym mogę... — Zauważyła, że na ułamek sekundy się zawahał, i to wahanie powiedziało jej wszystko. — Jasna cholera, to ty? W ogóle cię...

Fryzura — oczywiście. Ale i cała reszta. Wcześniej Fritsen widywał ją w zupełnie innej odsłonie. Teraz była *au naturel*. Troszkę za bardzo *naturel*, w jej własnym mniemaniu, ale znajdowała się w kryzysie.

Fritsen jednak nie skomentował jej powrotu do nudnego mysiego koloru. Skinął tylko w stronę alto.

— Co ci się u licha stało? Gdzie miniak?

Jego pytanie było jak cios prosto w splot słoneczny.

— Nie ma. Musiałam ciąć koszty...

Fritsen spojrzał jej w oczy, ale nic nie powiedział.

— Krztusi się. W deszczu. Wczoraj, kiedy tak strasznie lało, zdechł mi w Herlev. Pomyślałam, że może mógłbyś na niego spojrzeć?

— Jak zdechł?

— Podskoczył, trochę wydyszał i bach, koniec.

— I nie umie się podźwignąć?

— Zostawiłam mu otwarty bagażnik, żeby przesechł i spryskałam chyba z pół butelki Pronto. Wtedy zaskoczył.

— Na początek spróbujmy z silikonem. Zasklepia i zatrzymuje wewnątrz to, co chce wyjść na zewnątrz. I mam go pod ręką. A poza tym wszystko dobrze? To znaczy poza samochodem?

Wzruszyła ramionami.

— Tak. Mam mnóstwo roboty, ale jest dobrze.

— Więc znalazłaś coś po tym, jak odeszłaś z PET?

— Od tamtego czasu biorę co popadnie. Chciałabym ci zapłacić.

— Za co? Za prysnięcie silikonem? Nie wygłupiaj się. Chodź, coś ci pokażę.

Fritsen ruszył do kantorka na tyłach warsztatu i pomachał jej, żeby poszła za nim. Nad stołem roboczym wisiał ogromny kalendarz. Miss marca ewidentnie też prysnięto silikonem. Zdecydowanie nie wyglądała, jakby miała problemy z zapłonem — również w warunkach dużej wilgotności.

Fritsen zaprowadził ją do małego pomieszczenia, w którym stał stół jadalny i kilka krzeseł.

— Usiądź. Chcesz kawy?

Przytaknęła. Najwyraźniej po ich ostatnim spotkaniu wywiązała się między nimi jakiegoś rodzaju przyjaźń. Fritsen nigdy wcześniej nie był dla niej taki miły, a już na pewno nie proponował kawy.

— Niedawno dostałem to pocztą. Dokładnie tak, jak zapowiedziałaś.

Z szuflady biurka wyjął podłużne pudełko i położył przed nią.

— Medale?

Fritsen pokiwał głową z poważną miną.

— Czyli umarła... matka Nielsa?

— Taa. Był dołączony list. Od jakichś adwokatów, którzy zajmują się spadkiem. Było tak, jak powiedziałaś. On chciał, żebym je

dostał.

Ostrożnie otworzyła pudełko.

To wszystko, co po nim zostało. Milczące świadectwo człowieka wyjątkowego. Były piękne, zwłaszcza Krzyż Waleczności, czarny ze złotym obramowaniem. Poczowała, jak jej myśli rozbiegają się we wszystkich kierunkach, a w środku wzbierają emocje i chwytają ją za gardło. Szybko zamknęła pudełko.

— On... zasługuje na grób. Powinien mieć miejsce, gdzie ludzie będą mogli przychodzić i go wspominać. Uczcić jego pamięć. Był najwybitniejszym żołnierzem, jakiego mieliśmy — powiedział Fritsen i odwrócił wzrok.

— Nie — wróć. Kto konkretnie miałby tam przychodzić? Ty. I ja. I może jego siostra. Dla opinii publicznej Niels jest łajdakiem. Niedawno jeden z dzienników przypomniał całą historię, gdy minęło dokładnie pół roku od jego śmierci. Czytałeś?

Fritsen pokiwał głową. Mimo to mówiła dalej:

— Nikt nie może mieć wątpliwości — artykuł doskonale podsumowuje jego reputację. To historia z rodzaju tych, które uderzają w najniższe instynkty. „Najwaleczniejszy żołnierz w królestwie / wysoko latał, nisko upadł / w każdym z nas kryje się potwór / spotkała go zasłużona kara — rozerwany na kawałki”. Uwierz mi, Fritsen. Nikomu nie brakuje miejsca, by wspominać Oxena. Oficjalna Dania najchętniej by o nim zapomniała.

— Hm. Pewnie masz rację. Tyle że to jest cholernie niesprawiedliwe.

— Marzy ci się sprawiedliwość? Daj spokój...

— Najgorsze, że on wcale nie był gościem, który leciałby na to pierdolenie o wzorcu do naśladowania i tak dalej. Tak naprawdę wolałby nie dostawać żadnych medali. Zrobił po prostu to, co w danym momencie uznał za właściwe. Nie pozwalając, by go powstrzymywała świadomość ryzyka. Mógłbym zebrać cały wojskowy fanklub chłopaków z kraju i zagranicy, głęboko wdzięcznych Oxenowi za uratowanie życia.

— Mimo wszystko dało się wyczuć, że ostatnie odznaczenie, Krzyż Waleczności, jednak go poruszyło, prawda?

Fritsen znów w zamyśleniu pokiwał głową. Nie miał już szklistych oczu.

— Myślę, że z tego akurat był odrobinę dumny — na swój własny, uparty sposób.

Znów podniosła wieko pudełka. Tym razem była spokojniejsza, wewnętrznie gotowa. Przesunęła palcem po czarnym krzyżu.

— Możliwe, że miną lata, może dekady, nim ktoś ponownie zasłuży na to odznaczenie. Co z nim zrobisz? Zastanawiałeś się już?

Fritsen odchrząknął i wziął łyk kawy.

— Rozmawiałem o tym z żoną... To oczywiste, że wszystkie powinien dostać jego syn, Magnus. Nie ja. Nie jestem tylko pewien, czy to powinno się stać akurat teraz. Nie mam pojęcia, co ten chłopak wie, a czego nie wie. Albo w co wierzy — lub nie wierzy — o swoim ojcu.

— To znaczy?

— Rozvodu Oxena z Birgitte nie można nazwać kulturalnym rozstaniem. Ona zrobiła co w jej mocy, by odsunąć go od syna. Nie wiem, czy również w domu nie pluła jadem. Jestem natomiast przekonany, że Oxen chciałby, aby ostatecznie to Magnus otrzymał jego odznaczenia. W liście, który napisał, chodziło mu jedynie o to, aby u mnie je zdeponować.

— Tak. Jestem przekonana, że masz rację. Magnus jest chyba jego największym osiągnięciem. I największą porażką.

Podsunęła mu pudełko, Fritsen ponownie schował je w szufladzie biurka. A potem, patrząc na nią, powiedział niespodziewanie:

— W liście z kancelarii napisali coś, że musi upłynąć pięć lat, zanim będzie można go uznać za zmarłego. To prawda? Wiesz coś o tym?

— Tak, to prawda. Akt zgonu osoby zaginionej wystawia się

najwcześniej po pięciu latach od zaginięcia. Przed tsunami z dwa tysiące czwartego okres wynosił dziesięć lat, ale niemożliwych do zidentyfikowania duńskich ofiar było tyle, że rozsądniej było skrócić ich rodzinom czas oczekiwania.

— Zatem pięć lat?

— Tak. Myślę, że w przypadku Nielsa to będzie pięć lat. Jest wprawdzie paragraf mówiący, że jeśli osoba zaginiona po raz ostatni widziana była w sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia, można skrócić ten okres do sześciu miesięcy. Podobnie w przypadku, gdy łączna ocena zgromadzonych informacji na temat okoliczności zaginięcia pozwala z wysokim prawdopodobieństwem uznać, że zaginiony nie żyje.

— W jego przypadku tak chyba właśnie jest, prawda?

— Trudno sobie wyobrazić, aby sąd kupił historię o tym, że tajna elita władzy wywodząca się wprost ze średniowiecza ściagała Nielsa i go zabiła. Dlatego obstawiam, że to będzie pięć lat. A pytasz? Czy to ważne?

— Bo ja wiem. Chyba się nie pali z tym oddawaniem dzieciakowi medali. Tak naprawdę i tak pomyślałem, że parę rzeczy o jego ojcu łatwiej mi będzie mu wyjaśnić, kiedy trochę podrośnie.

Na moment się zawahała, ale ostatecznie uznała, że nie ma powodu niczego przed Fritsenem ukrywać. Byli sojusznikami. Połączyła ich tęsknota — i konieczność.

— Mam u siebie plecak — powiedziała. — Należy do Nielsa. Jest w nim ponad czterdzieści tysięcy koron. Nie mógł ich ze sobą zabrać, bo wszystko potoczyło się tak szybko. Jest w nim również małe zalaminowane zdjęcie Magnusa. Pieniądze jego ojca oczywiście należą do niego, więc wygląda na to, że nie uniknę spotkania z jego byłą.

— Ty ją w ogóle poznałaś?

— Rozmawiałam z nią przez telefon. Zadałam jej kilka pytań, ale nie była skora do pomocy. Ale kurczę... Magnus ma pewnie własne konto oszczędnościowe. To nie powinno być chyba zbyt skomplikowane?

Fritsen pokiwał głową. Wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał. W końcu spojrzał jej w oczy — i natychmiast uciekł wzrokiem.

— Tak się zastanawiałem... yyy... no wiesz, czy wy... to znaczy ty i Oxen...?

Złapała jego wzrok i przytrzymała.

— To znaczy? — Gdy tylko zapytała, sama wpadła na odpowiedź.
— Ach. Nie. Nie byliśmy. Absolutnie nie. Byliśmy chyba po prostu... nie wiem, jak to nazwać. Dobrymi przyjaciółmi — wiele rzeczy widzieliśmy podobnie, coś w tym stylu.

— Rozumiem. To zresztą nieważne. Tak tylko... Dobra, wystarczy tego. Lepiej się zajmijmy twoim alto. Podobno ma łać przez następnych parę dni.

Rozdział 8.

Tessa wyjęła półmisek z piekarnika i postawiła pomiędzy nimi na stole. Przebrała się do swojej kolacji urodzinowej. On miał na sobie czystą koszulę z szafy jej wujka.

— Filet z dorsza z szynką serrano i sezonowymi warzywami. Częstuj się, Dragos — zaprosiła z uśmiechem. Ta ciepła, serdeczna kobieta o siwych włosach dużo się uśmiechała. A młyn w jego głowie wciąż pracował pełną parą. Cały dzień rozmyślał o swoim kłamstwie.

— Mam nadzieję, że będzie ci smakować. Wina?

Pokiwał głową i Tessa napełniła mu kieliszek.

— Dragos, dobrze się czujesz?

Pochwyciła jego wzrok. Musiał odpłynąć naprawdę daleko. Skinieniem potwierdził, że wszystko w porządku, i patrzył, jak spokojnymi ruchami nakłada sobie na talerz.

Oboje wzięli pierwszy kęs. Zamknął oczy, by w pełni posmakować dania. Potem uśmiechnął się i z uznaniem pokiwał głową. Ryba była niebiańska.

— *Tessa... you see, I'm very sorry... I'm not...*

Nie potrafił dłużej z tym zwlekać. Musiał to zrobić teraz. Właściwie przygotował sobie inny początek, zamierzał użyć innych słów, bardziej odpowiednich. Tymczasem usłyszał swój łamany angielski. Machnęła tylko ręką i uśmiechnęła się życzliwie.

Kiedy po krótkiej pauzie znów się odezwał, mówił po duńsku. Tak naprawdę od samego początku chodziło właśnie o to.

— Tessa. Mam na imię Niels... Jestem Duńczykiem... Przepraszam, że nie powiedziałem ci prawdy. Żałuję, że cię okłamałem. Miałem ku temu mnóstwo powodów, ale mimo

wszystko... Adrian Dragos... to kłamstwo.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Pokiwała spokojnie głową i spojrzała na niego z powagą.

— *To jasne*, że nie jesteś Dragosem — powiedziała i wzięła kolejny kęs.

Zaniemówił, czekając na jakikolwiek znak albo widoczną reakcję. Na zdziwienie, złość, rozczarowanie. Tessa odłożyła sztucce.

— Przez cały czas o tym wiedziałam — powiedziała ściszym głosem.

— Ale ja...

— Byłbyś chyba pierwszym Rumunem, który miewa koszmary po duńsku. Co zresztą uczyniłoby cię fascynującym przedmiotem badań naukowych. — Znów się uśmiechnęła — leciutko.

— Koszmary? No tak, oczywiście. Ale w takim razie czemu...

Przerwała mu, spokojnie unosząc rękę.

— Bo widzisz, zważywszy na to, jak postanowiłam spędzić resztę życia, nie ma to żadnego znaczenia, czy jesteś Dragosem, czy Nielsem. Pilnie potrzebowałeś pomocy. I nigdy nie poczułam z twojej strony zagrożenia. To były moje jedyne dwa warunki. Co do reszty... odpowiedź przyjdzie z czasem. Jeśli tak postanowi Najwyższy.

Pokiwał tylko głową. Reakcja Theresy Lövgren była oczywiście bardzo w jej stylu. Stonowana i zrównoważona.

— Uratowałaś mi życie, a ja w podzięce cię okłamałem. Chciałbym cię za to przeprosić.

— Nie musisz przeproszać. Jestem pewna, że miałeś powód, aby postąpić tak, jak postąpiłeś. Spróbujmy tego wina.

Wziął łyk i odstawił kieliszek obok małej niebiesko-zółtej chorągiewki zdobiącej urodzinowy stół.

— Mimo wszystko jestem ci winien przynajmniej jakieś wyjaśnienie. Mogę...

— *Nic* mi nie jesteś winien. Nie prowadzę żadnych rachunków.

— Ale Tessa, ja naprawdę chciałbym, żebyś mi pozwoliła wyjaśnić, jak to wszystko wygląda.

— A ja oczywiście chętnie cię wysłucham. Ale nie śpiesz się. Czy to będzie teraz, czy jutro, czy kiedy indziej, nie ma żadnego znaczenia.

— Chciałbym opowiedzieć teraz.

— W porządku, więc mów.

— Jak powiedziałem, mam na imię Niels. Na nazwisko Oxen. Mam czterdzieści cztery lata, jestem rozwiedziony i mam syna, który skończy w tym roku czternaście lat. Ma na imię Magnus. Jest to najwspanialszy chłopak pod słońcem... Jestem zawodowym żołnierzem, to znaczy *byłem*, bo minęło już parę lat.

— Byłeś na wojnie?

— Tak. Należałem do elitarnej duńskiej jednostki, do Jægerkorpset. Byłem na wielu zagranicznych misjach. Najpierw jako młodego chłopaka i zwykłego żołnierza dwukrotnie wysłano mnie na Bałkany na początku lat dziewięćdziesiątych. Potem jeździłem już jako komandos. Wielokrotnie byłem w Afganistanie, począwszy od dwa tysiące drugiego, ale uczestniczyłem też w operacjach w Iraku.

— Tak, wy, Duńczycy, ostatnimi czasy uczestniczycie w wielu międzynarodowych konfliktach. U nas jest inaczej. My toczyliśmy własne wojny... — Tessa zmoczyła usta w winie. — *Wybacz*, przerwałam ci.

— Dopiero znacznie później to wszystko zaczęło do mnie wracać. Czasem miewam takie przebłyski, gdy znajduję się w sytuacji, która w jakiś sposób porusza tamte wspomnienia. Na przykład dźwięk helikoptera. Głośny huk. Tego typu rzeczy... Ale to w dzień. Nocą jest dużo gorzej.

— Trudno było nie zauważyć.

— Mógłbym powiedzieć to samo. Wiem, że krzyczę, albo raczej wrzeszczę. Chociaż może powinienem powiedzieć, że wydaje mi

się, że to robię. Bo czasem w środku tego wszystkiego budzę się i nie potrafię powiedzieć, czy to koszmar, czy rzeczywistość. Mam tylko nadzieję, że niczego nie słyszałaś, kiedy drzwi były zamknięte. Często się to zdarzało?

— Okresami często.

Pokiwał głową. Rumun nękany przez koszmary po duńsku. Jak to sobie niby wyobrażał? Że będzie mógł udawać Dragosa z kulawym angielskim, dzieląc dom z bystrą, wykształconą kobietą, i że ona nie zacznie niczego podejrzewać? Mówił dalej:

— Nazywam je Siódemką — moje koszmary. Wszystkie, poza jednym, przywożem z Bałkanów. Z moich pierwszych lat...

— Siódemka? O czym one są, *opowiedz...*

— Jest Krowiarz, stary Serb, który wychodzi, powłócząc nogami z porannej mgły, i prowadzi za sobą kozę w wiosce, w której doszło do czystek etnicznych. Wszystkie domy poza tymi należącymi do Serbów leżą w gruzach. Kiedy Krowiarz mnie mija, uśmiecha się fałszywie, odsłaniając przegniłe kikuty zębów. Potem jest Starowinka z głową. Przejeżdżaliśmy przez małe miasteczko na prowincji, gdzie bojownicy ustawili wzdłuż drogi pale z odrąbanymi głowami. Starsza kobieta, Serbka, zdjęła jedną z nich i schowała do siatki na zakupy. Myślę, że to był jej syn... Numer trzy to Rosyjska Ruletka. Nieprzyjemne spotkanie z pijanym serbskim partyzantem, groźnym chamem. Czwórką nazywam Salę Gimnastyczną. Znajdowała się w szkole, w której z ludźmi z mojego oddziału znaleźliśmy grupę niepełnosprawnych zamordowanych przez Serbów. Dziewczynka z lalką to trochę inna historia. Mała dziewczynka stała wśród gruzów na poboczu drogi. W ręce trzymała lalkę Barbie. Lalka miała spalone włosy i cała była stopiona niemal do niepoznaki. Dziewczynka miała spojrzenie dziewięćdziesięcioletniej staruszki. Patrzyła na mnie oskarżycielsko. I jeszcze Łza. Serbski gwałciiciel z łzą wytatuowaną przy oku. Widziałem, jak razem z innymi gwałcił kobietę. Powiedziałem do niego wtedy: „*I will make you cry for real*”, i strzeliłem mu w brzuch cztery razy. Jako ostatnia pojawiła się Kobieta z bombami w oczach. Widziałem ją w Afganistanie.

Kiedy mnie mijala, widzialem tylko jej oczy. Przepiekne. Byla w nikabie. Mysle, ze to ona kilka sekund pozniej wysadzila sie przed glowna komenda policji. Zginelo mnostwo osob.

— Dzwigasz ze soba spory bagaz, przyjacielu.

— Tak jak mowilem — to wszystko zaczelo mnie przytlaczac dopiero pozniej. Po latach. Z poczatku szukalem pomocy. Ale to na nic.

— Dlaczego?

Wzruszyl ramionami. Nie umial tego wyjasnic komus z zewnatrz.

— Moja terapeutka... Po prostu nie umielismy sie dogadac.

Tessa pokiwal glowa, ale nic nie powiedziala.

— Oszczedlem z Jaegerkorpset i zamieszkalem w piwnicy w polnocno-zachodniej Kopenhadze razem z moim psem. Dzis widze to wszystko znacznie wyrazniej. Zwlaszcza ze mialem mnostwo czasu na rozmyslanie, odkad trafilem na twoja wyspe. Pod koniec w Kopenhadze wychodilem z domu tylko nocami...

— Bo za dnia bylo za duzo ludzi?

Wzial lyk wina, po czym zastygł z kieliszkiem w dloni i ze wzrokiem wbitym w jego zawartość. W koncu jednak znów wzruszył tylko ramionami. Właściwie zamierzał jedynie pokrótce opowiedzieć jej swoją historię, ale tak dobrze się siedziało i opowiadało — oraz odpowiadało tej mądrej, starszej kobiecie. Darzył Theresę Lövgren najwyższym szacunkiem.

— Chyba za duzo wszystkiego, tak teraz mysle. Za duzo ludzi, za duzo samochodow, za duzo halasu. I bez przerwy to wrazenie, ze wszystko sie wokol ciebie kotluje. Ze musisz miec oczy dookol glowy. Ze musisz zachowac czujnosć. Twoje oczy bez przerwy skanuja otoczenie w poszukiwaniu zagrozenia.

— Wciaz tak czujesz?

— Nie wiem. Chyba tak. Wiem tylko, ze lubie cisze. I lubie... samotnosć. Tak w ogole mozna? Lubic byc samemu? W sensie — czy to nie jest choroba? Obled?

Tessa uśmiechnęła się tylko i pokiwała głową.

— Mój Boże, Niels, *oczywiście*, że można... Hm. Nie przywykłam cię tak nazywać. Ale... nie trzeba szukać daleko. Ja lubię mieszkać na Klöverön, samiutka jak palec. I nie, wcale nie jestem chora. Może trochę dziwaczeję, pewnie można tak powiedzieć. Ot, od dziś sześćdziesięcioletnia lekko szurnięta baba z Korsviku. Z kwiatkami zamiast mózgu.

Odchyliła się na krześle i zaśmiała z własnego żartu.

On też się uśmiechnął i nagle nie był w stanie przestać się śmiać. Śmiech Tessy był zaraźliwy. Nie pamiętał już, kiedy śmiał się ostatnim razem. Zresztą wcale nie czuł się rozbawiony, po prostu dobrze było poczuć, jak śmiech wstrząsa ciałem.

— Na zdrowie — powiedziała wreszcie.

— Na zdrowie. I dziękuję.

— Lepiej mi opowiedz, jak trafiłeś do mojej samotni, Nielsie Oxenie.

Tak. To pytanie musiało w końcu paść. Czy jeśli jednak opowie o wszystkim, nie narazi jej na niebezpieczeństwo? Jakiś czas temu uznałby, że owszem. Lecz po kilku miesiącach życia w spokoju i izolacji od świata miał poczucie, że mógłby się odważyć, by z grubsza przedstawić Tessie swoją sytuację. Poza tym... wkrótce i tak go tu nie będzie.

Przez chwilę zastanawiał się, w którym momencie rozpoczęła się jego osobista gehenna. Czy tamtego dnia w 1995 roku, gdy na Bałkanach zginął jego przyjaciel Bosse, a on sam rozpoczął krucjatę o pociągnięcie do odpowiedzialności kogoś z ówczesnego dowództwa armii?

A może powinien zacząć od tego, jak będąc adeptem w szkole policyjnej, któregoś dnia wrócił do domu i nagle znalazł się w potrzasku, bo ktoś z hierarchii zastawił na niego pułapkę, podrzuciwszy mu narkotyki? Wówczas szef policji postawił go przed wyborem: albo wytoczą mu proces, albo raz na zawsze przestanie krytykować dowództwo armii, a na pociechę dostanie wstęp do Jægerkorpset. Ale wtedy musiałyby jeszcze opowiedzieć

o rozwodzie i nieczystych zagraniach Birgitte. Więc nie. To za dużo informacji jak na jeden raz. Sam zresztą ledwie był w stanie się w tym połapać. Musi zacząć znacznie bliżej tego, co teraz.

— Wszystko zaczęło się chyba w dniu, gdy postanowiłem wyjechać z Kopenhagi i zamieszkać z moi psem, Mr. White'em, w największym lesie Danii. Wkrótce miną dwa lata, odkąd pierwszego maja wsiedliśmy do pociągu. Pamiętam, jakby to było wczoraj...

Nadal tkwili przy okrągłym stole, do którego zasiedli przed kilkoma godzinami, by uczcić urodziny Tessy. Na półmisku została jeszcze odrobina domowego ciasta.

Tessa jak zwykle z kubkiem parzonych ziół, częściowo z własnego zielnika. On też jak zwykle trzymał w dłoniach kubek czarnej jak noc kawy.

— *Wielkie nieba...*

Tymi dwoma słowami Tessa podsumowała jego opowieść. Spokojnie i bez pośpiechu zabrał ją w długą podróż po świecie, który był jej całkiem obcy.

Podróż, która się zaczęła pewnej nocy, gdy nieświadomie zostawił swoje ślady na trawniku przy zamku Nørlund na obrzeżach Rold Skov. A między odciskami jego butów ślady swoich łap zostawił oczywiście Mr. White. Okazało się to znaczące wyłącznie dlatego, że następnego dnia właściciel zamku, emerytowany ambasador Corfitzen, został znaleziony martwy — i pobity — w fotelu w swoim gabinecie.

I tak niespodziewanie znalazł się w samym środku śledztwa w głośnej sprawie wieszanych psów, a Policyjna Służba Wywiadowcza wymusiła na nim czynny udział w owym dochodzeniu. Musieli się dowiedzieć, dlaczego, jednego po drugim mordowano wpływowych ludzi z elit władzy. I dlaczego wcześniej wieszano na drzewach ich psy, jako rodzaj złowieszczego ostrzeżenia.

Gdy sprawę zamknięto, a on odzyskał wolność, już był

naznaczony. Bo po drodze zobaczył parę bardzo nieprzyjemnych obrazków. Zajrzał do serca maszyny władzy, w której działały siły niewyobrażalne.

Władza spoczywała w rękach tajnej, elitarnej organizacji nazywającej się Danehof — tak jak średniowieczny parlament, który zbierał się na zamku w Nyborgu. Ów krąg ludzi o ogromnych wpływach zdołał na przestrzeni wieków podtrzymać swoją działalność, przekazując pałeczkę kolejnym pokoleniom.

Tessa przez cały czas słuchała z najwyższym skupieniem, tylko z rzadka mu przerywała.

Opowiedział jej, jak potem zamieszkał w starej chacie na skraju lasu. O swoim dobrym, prostym życiu, w którym dni wypełniała mu ciężka fizyczna praca przy stawach hodowlanych i wyрубie lasu. Ale wyznał, że i tam musiał pozostawać w ciągłej gotowości i otoczyć się kamerami monitorującymi teren wokół domu. Wszystko dlatego, że podczas śledztwa w sprawie wieszanych psów odkrył ponurą tajemnicę: nagranie, w którym minister sprawiedliwości dopuszcza się zabójstwa na tle seksualnym.

Był to fizyczny dowód zbrodni, który przez wiele miesięcy służył mu jako ubezpieczenie na życie. Jego polisa wygasła w dniu, w którym na plaży znaleziono ministra martwego.

W tej samej sekundzie mroczne postacie Danehofu rozpoczęły obławę — ścigały go jak dzikie zwierzę. A kiedy w czasie akcji zabity został stary właściciel gospodarstwa rybnego, to na niego skierowały podejrzenia, by do obławy włączyły się również wszystkie siły policyjne Danii.

Miał tylko jedno wyjście: uciec z kraju. W tym celu ukradł łódź. Chciał się ukryć w Szwecji. Lecz zaledwie kilka mil morskich od celu został ostrzelany z helikoptera.

— *Wielkie nieba...* — powiedziała raz jeszcze Theresa Lövgren. Resztę historii już знаła.

Przez jakiś czas milczeli. Tessa obracała w dłoniach swój kubek. Jej czoło pokreśliły głębokie zmarszczki. Kiedy w końcu się odezwała, powiedziała tylko:

— I co teraz?

Wzruszył ramionami.

— Twoja propozycja z tartakiem w Haparandzie jest wciąż aktualna?

— Bardziej niż kiedykolwiek.

— Dziękuję.

— Ale w dalszej perspektywie... Co z twoim synem? Twoim życiem?

— Przeszkolono mnie, bym umiał przeżyć. Może kiedyś pojawi się jakaś szansa.

— Ale w chwili, gdy się zorientują, że żyjesz — już będziesz martwy.

— Tak. Martwy jak kamień.

— Kiedy chcesz wyruszyć?

— Zanim wiosna zacznie się na dobre. Myślę, że za jakiś miesiąc. Muszę sobie załatwić jakieś dokumenty, tożsamość, paszport. Wiesz może, gdzie by...

— Nie — przerwała mu. — Nie mam pojęcia o tego typu sprawach. Ale jeśli popytasz w odpowiednich kręgach w Göteborgu, to...

— Takie rzeczy sporo kosztują.

— Mogę ci pożyczyć.

Pomachał rękami na znak protestu, jednocześnie potrząsając energicznie głową.

— Właśnie że tak. To będzie pożyczka. Oddasz, gdy będziesz mógł.

— Nie wiem, jak kiedykolwiek zdołam ci się odwdzińczyć. Gdyby nie ty, nie siedziałbym tu teraz.

— Nie siedziałbyś tu, gdyby nie Wszechmocny. Zatem postanowione: Haparanda za miesiąc.

Znów pokiwał głową.

— Jeszcze jedno. Ta książka o jodze i medytacji, którą ci pożyczyłam. Pomaga ci choć trochę?

— Wydaje mi się, że dzięki tym ćwiczeniom potrafię bardziej bezpośrednio odnieść się do niektórych rzeczy. Skupić się i odprężyć jednocześnie.

— *Posttraumatic stress disorder*. Tego typu zaburzenia wymagają specjalistycznej pomocy — powiedziała.

— Może kiedyś, w innych okolicznościach...

— To już ty wiesz najlepiej. Zrobiło się późno i chyba muszę się położyć. Niezupełnie tak sobie wyobrażałam te urodziny. Nie żebym była niezadowolona... po prostu... nie tego się spodziewałam.

Theresa Lövgren uśmiechnęła się, wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

On też wstał, przeciągnął się i ziewnął. Ostatnimi laty w jego życiu zdarzały się długie okresy milczenia. Gdy mieszkał w piwnicy w Kopenhadze, rozmawiał tylko z Mr. White'em. Potem, podczas swojej włóczęgi, nie rozmawiał z nikim. Kiedy mieszkał u Rybaka, też starał się unikać zbyt długich rozmów ze swoim gospodarzem. Urodziny Tessy były dla niego ogromnym wysiłkiem.

— Tessa... Od początku wiedziałas, że kłamię. Ale nigdy mnie nie sprawdziłas. Mogłem przecież być mordercą, psychopatą albo...

Tessa przerwała krzątanie.

— Bzdury opowiadasz. Takie rzeczy się czuje.

— Wiedziałas, że nie jestem tym, za kogo się podaję. Widziałas ranę postrzałową w barku. I wszystkie inne obrażenia... Większość ludzi zadzwoniłaby na policję.

Deski w podłodze zaskrzypiały, gdy podeszła do niego od tyłu i poklepała go lekko po ramieniu, tak po matczynemu.

— To Wszechmocny położył cię na tamtej skale w Lilla Sillesundzie. Wszystko dzieje się po coś, Niels.

Rozdział 9.

Mała łódź motorowa obróciła się, gdy poluzował cumę i mocno odepchnął się od pomostu. Spojrzał w górę.

Tessa stała przy płocie i machała mu na pożegnanie. Za moment usiadł przy swojej starej maszynie do pisania i przesiedzi tak całe przedpołudnie. Potem, po obiedzie, przeniesie się do sztalugi i będzie malować — kwiaty.

Odmachał jej. Kiedy następnym razem jej pomacha, pożegna się z nią na zawsze.

Słońce nagle precisnęło się między dwiema dużymi kłębowiskami chmur i biały dom za jej plecami niemal go oślepił. Dodał gazu i raz jeszcze jej pomachał. Za dwa dni opuści swoją lśniąca pustelnię na szczycie wzgórza.

Wszystko kiedyś robimy po raz ostatni. Dziś po raz ostatni wypływa z Korsviku. Silnik ochoczo zafurkotał. Ostatni raz poczuje na twarzy morską pianę i wiatr omiatający wschodnie wybrzeże Klöverönu.

Minął ponad miesiąc od wieczoru spędzonego w kuchni Tessy i ich ważnej rozmowy podczas jej urodzinowej kolacji. Dzięki jej niesłabnącemu wsparciu załatwił sobie fałszywy paszport, który czekał teraz w komodzie w jego domu, aż on sam zdecyduje się spróbować szczęścia gdzie indziej.

Dragos zniknął nieodwracalnie. Teraz znów był Duńczykiem. Nazywał się Erik Petersen — wyłącznie dlatego, że była to jedyna wiarygodna tożsamość, jaką mógł mu zaproponować typ spod ciemnej gwiazdy urzędujący w piwnicy w centrum Göteborga.

Za dwa dni będzie pierwszy maja — niepodważalny początek panowania wiosny. Międzynarodowe święto klasy robotniczej przypadkiem stało się dniem, w którym postanowił rzucić wyzwanie losowi.

Tego samego dnia dwa lata temu opuścił Kopenhagę, by zaszyć się w gąszczu Rold Skov i stawić czoła swoim demonom. Teraz opuszczał Tessę i Klöverön, bo musiał jechać dalej. Demony go nie opuściły, ale on musiał się podnieść, pomyśleć, popracować, rozważyć bardzo dokładnie swoją dalszą egzystencję.

Po raz ostatni za sterburtą miał Ängholmen i Brandholmen. Połyskujące złotem skały prezentowały się fascynująco. I groźnie.

Służyły mu samotność i rutyna. Najprostsza praca na świecie, obrabianie pni drzew. Postanowił zdeponować swoją przyszłość w firmie Åkesons Timber w Haparandzie, daleko na północy w Norrbotten przy fińskiej granicy. Niecałe pięć tysięcy mieszkańców — plus jeden — powoli wracających do życia po mroźnej zimie. Tessa zadbała, by czekał na niego gotowy pokój.

Dużo rozmawiali od tamtego wieczoru. Theresa Lövgren zadała mu sporo pytań i po swoim, życzliwie zmuszała do konfrontacji z sobą samym. Argumentowała mądrze i bez taryfy ulgowej. Po prawdzie bowiem dla nich obojga wszystko to było rachunkiem. „Rachunkiem życia, mój drogi Nielsie”.

Każdy dylemat, każdy argument i każdy wybór na jego drodze tak wyraźnie jak to tylko możliwe naznaczony był Magnusem. Mógł obliczać plusy i minusy każdego z prawdopodobnych scenariuszy, lecz wynik zawsze wskazywał na jego syna.

Był teraz na wysokości Skäddorny. Dalej, w głębi, była Dalviken, gdzie schronił się kiedyś przed burzą.

Tessa od dwóch lat znajdowała schronienie na wyspie Klöverön i uporządkowała swoje rachunki. Zrezygnowała z pracy zawodowej. Wybrała Boga. Może któregoś dnia skończy swoją książkę — a może nie. Może się zdecyduje, by na kilka lat wrócić do wyuczonego zawodu lekarza gdzieś na północy. A może zostanie na swojej wyspie i na niej umrze.

Pożyczył od niej czterdzieści pięć tysięcy koron. Paszport kosztował czterdzieści tysięcy. Nie był kradziony. Został jedynie „pożyczony” z pokoju hotelowego, sfotografowany i odłożony na miejsce. Kradzież tożsamości na pół gwizdka. Ale za to niemal całkowicie bezpieczna, jak zapewnił go sprzedawca.

Za ostatnie pieniądze miał się utrzymać do pierwszej wypłaty, którą, jak zapewniała Tessa, dostanie w gotówce, co mu oszczędzi kłopotu z otwieraniem konta w banku i pozwoli ograniczyć swój ślad do absolutnego minimum.

Musiał jej za to uroczyście obiecać, że utrzyma się przy życiu i zapuka do drzwi małego białego domku na wyspie Klöverön najpóźniej latem za dwa lata od teraz. Bez względu na to, gdzie będzie żyła i czym się będzie wówczas zajmować, będzie tam na niego czekać, gdy przyjdzie termin spłaty pożyczki, który wyznaczili na pierwszego lipca.

Samotna skała Sandkornet wystawała z wody niczym gwóźdź, on zaś trzymał się lewej burty i obrał kurs na Albrektsund, ku cywilizacji.

W jego podróży wciąż towarzyszyła mu Siódemka, ale fizycznie był w lepszej formie, w jakiej nie był od dawna. Sporo czasu trwało, nim się wykurował z wszystkich odniesionych obrażeń. Bark dawał mu się we znaki szczególnie długo. Lecz kiedy tylko był w stanie podnieść się z łóżka, rozpoczął rehabilitację. Zaczął od spacerów. Potem ostrożnie, ale regularnie ćwiczył w terenie. I przez cały czas rozbudowywał swój trening. Obecnie ćwiczył przez godzinę dwa razy dziennie — rano i po południu. Do tego w ciągu dnia odbywał kilka spacerów albo przebieżek i oczywiście obowiązkowe rąbanie drewna.

Łódź bez przeszkód cięła wodę. Z Albrektssundu wpłynął do kanału Albrektssund. Był to wąski przesmyk pomiędzy formacjami skalnymi, pogłębiany i poszerzany na przestrzeni stuleci, by umożliwić dotarcie do przybrzeżnego archipelagu od wschodu.

Skały zamykały się wokół niego, podobnie jak demony zacieśniały swój uchwyt z nadejściem nocy. A kilka minut później otwarły się ponownie, tak jak po każdej nocy nastaje ranek.

Kiedy opłynął Prästholmarne, mógł już dostrzec cel swojej podróży — *miasto*.

Miasto nazywało się Marstrand i było lilipucią społecznością, która osiedliła się na dwóch sąsiadujących wyspach, Marstrandsön i Koön, i przez to rozdzieloną wąskim

przesmykiem. Widział przed sobą miniprom, który na co dzień służył wyłącznie pieszym. Przeprawa była tak krótka, że ledwie człowiek zawiązał sznurówki, a już ponownie był na lądzie.

Tessa opowiadała mu o Marstrandzie. Na Marstrandsön znajdowała się forteca Carlsten oraz starówka z brukowanymi uliczkami i zabytkowymi drewnianymi domami w pastelowych kolorach. To na tej wyspie zamożni mieszkańcy Göteborga co roku meldowali się w swoich letnich rezydencjach, które w pewnym okresie wykupywali wręcz masowo. Wówczas miasto rozkwitło. Restauracje i nabrzeże zaczęły tętnić życiem, a żeglarze tłumnie poczęli zjeżdżać do tej perełki archipelagu.

Poza sezonem po Marstrandsön kręciły się właściwie same zjawy.

Podniósł wzrok. Forteca odcinała się dramatycznie od bezbarwnego nieba. Według Tessy miała być nie do zdobycia. Ale Tordenskjold uknuł przebiegły plan. Duńsko-norweski bohater bitew morskich podczas oblężenia miasta kazał swojemu skromnemu oddziałowi maszerować w kółko, by wyglądało jakby dysponował potężną armią. Szwedzki dowódca obrony tak się przeraził, że szybko poddał miasto.

On nie miał jednak nawet tak skromnych środków, jakimi dysponował Tordenskjold. Był zupełnie sam, a w pojedynkę nie zdoła otoczyć miasta.

Trzymał się prawej burty, zmniejszył prędkość i podpłynął do kei po stronie Koön, gdzie natychmiast wpadł w ręce rzeczywistości. Komitet powitalny stanowiła grupa ubranych na pomarańczowo robotników zajętych zrywaniem asfaltu. Dwóch było uzbrojonych w młoty pneumatyczne, które robiły piekielny hałas.

Dwa mosty łączyły Koön ze stałym lądem, gdzie najbliższym większym miastem była stolica gminy, Kungälv, trzydzieści kilometrów w dół wybrzeża w kierunku Göteborga. Dwukrotnie odbył podróż tam i z powrotem. Najpierw by rozeznać się w terenie i zamówić oraz zapłacić z góry za swój paszport. Drugi raz przyjechał, by go odebrać.

Po dwóch latach życia poza Kopenhagą wiedział z całą

pewnością, że nigdy już nie wprowadzi się z powrotem do miasta. Przycumował łódź i wskoczył na pomost. Najbardziej w mieście przeszkadzał mu brak ciszy.

Po raz ostatni stał na tej kei z listą spraw do załatwienia w kieszeni i starym plecakiem Tessy przewieszonym przez ramię. Lepiej już mieć za sobą to, na co najmniej miał ochotę. Minął niewielki sklepik i terminal portowy, przeszedł na drugą stronę ulicy i poszedł dalej w kierunku Marstrand Havshotell.

Miał gdzieś wirus zika, recesję i rządy fundamentalistów, ale nauczono go dokładnie przygotowywać się do zadania. Dlatego musiał wiedzieć, co się aktualnie dzieje w świecie, zanim wyjdzie mu na spotkanie, gdy już wsiądzie w autobus i rozpocznie długą podróż do Haparandy.

Wszedł do hotelu przeszklonymi drzwiami obrotowymi od strony morza i kierując się wskazówkami Tessy, poszedł do recepcji. Tam zapłacił i zajął miejsce przy komputerze w najdalszym kącie holu. Tu będzie mógł w spokoju zapoznać się ze światem.

Na początek wpisał w wyszukiwarkę własne imię i nazwisko i szybko dowiedział się o swojej śmierci. Najnowszy artykuł ukazał się w sześć miesięcy po jego zniknięciu na morzu i podsumowywał wszystko, co ludzie najwyraźniej mogli o nim przeczytać do tej pory: o burzliwej historii człowieka będącego maszyną do zabijania i jego tragicznym upadku od narodowego bohatera do chorego, pospolitego mordercy, a także o obławie zakończonej ciemną nocą eksplozją w pobliżu szwedzkiego archipelagu.

Wszystko to wydało mu się dziwnie odległe i obojętne. Czytał tylko pobieżnie nagłówki i strzępy tekstów, które przewijały się na ekranie.

Potem rzucił się na witryny największych duńskich dzienników. Miał wrażenie, że dziś równie dobrze mogło być wczoraj albo przed rokiem. Na tapecie wciąż wzajemne oskarżenia polityków o wszystkie plagi współczesności, ceny mieszkań, ceny towarów konsumpcyjnych, notowania giełdowe, najnowsze trendy, nieznane gwiazdy *reality show* — i sport. Mnóstwo sportu.

W trakcie przeglądania drugiego portalu informacyjnego nagle zamarł. Czy to możliwe? Czy to naprawdę *on*? Przesunął ekran kawałek wyżej, by raz jeszcze zobaczyć zdjęcie w całości. Tak, dobrze widział. To *był on*.

Nagłówek głosił: „Nowy szef sztabu generalnego Danii gospodarzem nordyckiego spotkania na szczycie”. Czytał artykuł, wstrzymując oddech.

„Nowy szef obrony kraju, Mogens Yssing, który przed zaledwie dwoma dniami otrzymał nominację i został oficjalnie przedstawiony na konferencji prasowej na zamku Frederiksberg, już dziś przejdzie chrzest bojowy. Szef sztabu będzie bowiem gospodarzem odbywającego się co pół roku w Kastellet spotkania nordyckich szefów obrony. Yssing przedstawi swoim kolegom z Norwegii, ze Szwecji i z Finlandii duńskie inicjatywy wojskowe, a przy okazji dowódcy wojsk omówią raz jeszcze kwestię Arktyki. Oczekuje się, że nowy szef sztabu generalnego Danii będzie...”

Szczegóły spotkania pominął i wrócił wzrokiem do zdjęcia. Kliknął w nie, by powiększyć portret. Mogens Yssing przypominał siebie sprzed lat. Wciąż był krępy i miał tę samą poważną minę. Mimo to czas odcisnął na nim swoje piętno. Włosy posiwiały, powieki zrobiły się ciężkie, a pod podbródkiem pojawił się skórny nawis, jaki zawsze przychodzi z wiekiem.

Z wszystkich ludzi w kraju akurat jego, Mogensa Yssinga, wybrali na szefa duńskiej armii.

Potarł oczy i wziął głęboki wdech. Jego wzrok przykuł link pod artykułem: *Wybrano nowego szefa sztabu generalnego: stuprocentowy żołnierz*. Kliknął i czytał dalej.

„Generał brygady Mogens Yssing zastąpi Asgera Henriksena na stanowisku szefa sztabu generalnego Danii. Pięćdziesięciosiedmioletni Yssing otrzymał nominację dziś przed południem i niedawno został przedstawiony na konferencji prasowej na zamku Frederiksberg. Komentując tę nominację, minister obrony John Franzen powiedział między innymi: »Jestem niesłychanie dumny, że mogę przedstawić Mogensa Yssinga jako naszego nowego głównodowodzącego. Mieliśmy wielu mocnych

kandydatów, lecz była wśród nich postać wybitna — właśnie Mogens Yssing. To po prostu nasz człowiek. To człowiek całej Danii. Naszą armię czeka trudna, lecz konieczna transformacja i Yssing jest osobą, która będzie w stanie przeprowadzić niezbędne reformy, abyśmy stali się jeszcze mocniejsi. Chciałbym przy tej okazji... «”

Przeskoczył wzrokiem kawałek niżej, na koniec mdlącego peanu. Pod tekstem widniała niebieska ramka prezentująca chronologicznie przebieg kariery wojskowej Yssinga. Przed objęciem obecnej posady w kraju pełnił w Stanach Zjednoczonych rolę generała brygady i asystenta sztabu w dowództwie transformacji NATO, Supreme Allied Command Transformation. Przy roku 1995 napisano jedynie „UNPROFOR” — od United Nations Protection Force — Siły Ochronne Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Bossego i wojny bałkańskiej nie wspomniano ani słowem.

Ani słowa o tym, że Yssing był głównodowodzącym tamtego krytycznego dnia, kiedy dostali się pod ostrzał wielkiej chorwackiej ofensywy, bo ich odkomenderowano w miejsce, w którym absolutnie nie powinno ich być. Ani słowa, najmniejszej wzmianki... Taka to logika. Wśród zasług żyjących nie ma miejsca dla zmarłych.

Zamknął stronę portalu. Musiał wyjść na powietrze.

Stracił poczucie czasu, razem z nim zniknął w głębokiej dziurze. Nie miał pojęcia, ile razy w zwolnionym tempie przesunął wzrokiem na drugą stronę wąskiego paska wody i z powrotem.

Pastelowe nabrzeże wyspy Marstrand. A nad nim pas dachów w ceglanym kolorze i drzewa, które jeszcze nie zakwitły. Krajobraz wieńczyła potężna, kanciasta twierdza z wieżą, której czarny kontur odcinał się od szarego nieba. Po wodzie sunął mały prom, chwilę później zniknął w dole jego pola widzenia. I wypłynął ponownie.

Siedział na pomoście i patrzył na to wszystko. Lecz niczego nie

widział.

Myśli piętrzyły się w jego głowie z oszałamiającą prędkością, przecinając granice czasu i przestrzeni. Dzieciństwo, Bosse, Bałkany. Śmiertelna wyliczanka, wyrwana z kontekstu i porwana w wir, nim zdążyła w pełni zaistnieć. Płonące domy, martwa natura Tessy z kwiatami, poczerniałe ruiny, Magnus i jego jasny śmiech, jabłonie w Høng, burza piaskowa w Helmand, psy z pętlami na szyjach, Magnus ze smoczką w buzi, Margrethe Franck ze srebrnym wężem w uchu, spowite w czerń kobiety w Kabulu, niebieski hełm Bossego, potężne, mroczne cienie i wielkie cielsko szefa PET Axela Mossmana gdzieś na samej górze jak zeppelin Hindenburg dryfujące wprost ku katastrofie.

I znów Magnus. Z psem na smyczy. Ze słonecznymi refleksami we włosach. Gotów brać się z życiem za bary.

Kiedy spojrział na zegarek, okazało się, że minęła godzina. Zegarek i ciało, wciąż mocne i trwale do niego przyłączone, były wszystkim, co mu pozostało po jego nieprzytomnej podróży przez mrok. Podróż, która zaprowadziła go tu, w to miejsce, z którego teraz musi się wyrwać.

Prom ponownie wyruszył ku drugiemu brzegowi. Za jego plecami zaczął irytująco dudnić młot pneumatyczny. Z powrotem więc wpełzł do nory, w której się zatracił.

Nie umiał przywołać konkretnych obrazów ani sformułować właściwych stwierdzeń. Było to kotłowanie się w wirze, po którym zostało mu jedynie pewne odczucie. Ale za to wyraźniejsze niż wszystko inne. Odczucie, że jego podróż dobiegła końca.

Jednak nie jest mu pisana Haparanda. Nie jest mu pisana kolejna ucieczka. Kolejna zdrada. Mnóstwo skrawków wyrzuciła na powierzchnię świadomości turbina myśli. Unosiły się przed jego oczami jak kolorowe szkiełka. W mozaice był tylko jeden szlachetny kamień. Dziecko. To, co prawdziwe i szczere. Istota niezmąpana, nieprzetworzona. Ziarno, które sam zasiał bardzo dawno temu. Magnus.

Pokona wszystkie przeszkody na swojej drodze, aby dotrzeć do Magnusa i do prawdziwego życia. Prawdopodobnie umrze na

długo przed osiągnięciem celu. Lecz wówczas umrze ze świadomością, że zrobił, co było w jego mocy.

Powoli wstał. Musi zrobić zakupy. Od strony morza nadciągały granatowe chmury. I wiatr się wzmógł.

Wkrótce żegluga może się stać niebezpieczna.

Rozdział 10.

Z lufą pistoletu wciśniętą w kark Kresten Hildmand natychmiast poczuł się zmuszony wypełnić każde polecenie głosu z tylnego siedzenia.

W ten piękny pierwszomajowy ranek potentat budowlany wyszedł z domu odrobinę za późno. Żona była w Nicei z dwiema koleżankami, więc poprzedniego wieczora skorzystał z błogiej samotności i szczerze sobie polewał, siedząc na kanapie i oglądając filmy.

Powinien teraz czym prędzej udać się do głównej siedziby swojej firmy w Kopenhadze, lecz musiał słuchać szorstkiego głosu z tylnej kanapy, a ten kazał mu krążyć małymi, bocznymi uliczkami.

Piętnaście minut po tym, jak zjechał z szerokiego podjazdu spod domu, skręcił w wąską polną drogę zaczynającą się na końcu parkingu z boku drogi i biegnącą wzdłuż krawędzi lasu. Ponad trzydziestoletni jaguar XJ6 ledwie się na niej mieścił.

Hildmand obficie się pocił i całą drogę na próżno starał się uzyskać od mężczyzny z pistoletem jakąkolwiek reakcję. Mężczyzna ignorował wszystkie jego pytania. Głowa Hildmanda zaś, odrobinę obolała po wczorajszych bachanaliach, nie była w stanie niczego się domyślić.

Ostatecznie jakaś przytomna myśl przebiła się do jego świadomości, bo kiedy wjechali na leśną drogę, nagle co sił w płucach wrzasnął:

— Danehof! To oni cię przysłali, prawda? Żeby mnie zabić!

Wciąż żadnej odpowiedzi.

— Ale słuchaj. Ja nic nie powiem. Kurwa, przecież im mówiłem! Ten cały proces jest tylko na pokaz. Zostaną rozdzielone grzywny, a życie potoczy się dalej. Nic nikomu nie powiem. Słyszysz? Nic

nie powiem!

— Zamknij się! Tu w prawo.

Hildmand skręcił w błotnistą leśną drogę. Chaszczce i krzewy jeżyn rosnące po obu stronach rysowały lakier, jakby ktoś drapał widelcem po talerzu. W ogóle tego nie słyszał. Na rozkaz z tyłu zatrzymał się na małej polance.

Ku swojemu zdumieniu zobaczył, że z krzaków wyszedł kolejny nieznany mu mężczyzna. Niósł duży plecak. Podszedł do samochodu i obleczoną w rękawiczkę dłonią otworzył oboje drzwi od strony kierowcy.

— Czego wy chcecie? Jezu, no czego? Zrobię wszystko, co każecie. Mam pieniądze — mnóstwo pieniędzy. Powiedzcie tylko ile? Ile chcecie? Milion? Dwa miliony? — Narastała w nim panika.

Mężczyzna numer dwa z bocznej kieszeni plecaka wyjął butelkę. Był w niej brązowy płyn. Whisky. Lufa pistoletu wcisnęła się mocniej w solidnie obłożony sadłem kark biznesmena.

— Pij!

Odmówił. Nie mógł. Ledwie oddychał, tak był przerażony.

— Pij, kurwa!

Patrzył tylko na butelkę tkwiącą w jego własnej wielkiej dłoni. Był bez szans. Gdzieś pod powiekami prawdopodobnie uformował mu się już pewien obraz. Zarys sceny końcowej. Dotarł właśnie tu — w nieznane miejsce w nieznanym lesie. Już stąd nie wyjedzie. Nie za życia...

— Taśma!

Ten rozkaz mężczyzna na tylnym siedzeniu rzucił swojemu pomocnikowi, który natychmiast wyjął z plecaka kilka rolek taśmy izolacyjnej i mu podał. Pistolet przeszedł w inne ręce. Teraz był wymierzony w Krestena Hildmanda z boku. Mężczyzna z plecakiem trzymał go w wyprostowanej ręce.

Dłonie w rękawiczkach pracowały szybko i sprawnie. Wielokrotnie okręciły taśmę wokół czoła biznesmena i zagłówka jego fotela. I niżej. Korpus, ręce — wszystko owinięte wraz

z fotelem samochodu. Kilka warstw wokół wielkiego ciała Hildemanda, które na koniec było pewnie przytwierdzone do eleganckiego siedzenia kierowcy z tapicerką z jasnobrązowej skóry. I jeszcze jedna rundka wokół kostek, tak dla pewności.

Można było rozpocząć tankowanie. Mężczyźni dociskali szyjkę butelki do ust Hildemanda, zachowując najwyższą ostrożność. Zapewne nie chcieli ukruszyć mu zębów, co pozostawiłoby cień podejrzenia.

Dziwaczna scena. Karmienie butelką otłuszczonej twarzy o wielkich, przerażonych oczach. W przerwach prychnięcie i rozpaczliwe łapanie oddechu. Po czwartej rundzie Kresten Hildmand podjął ostatnią rozpaczliwą próbę:

— Dość, dość! Dziesięć! Dziesięć milionów... koron... Na głowę... słyszycie?

Pierwszy z mężczyzn niewzruszony kontynuował ostrożne wlewanie. Trwało to wieki, ale tu nie było miejsca na fuszerkę. A rozkaz był jasny: cała butelka.

Dwaj mężczyźni stali kawałek od jaguara i palili. Popiół strzepywali do małego metalowego pudełka trzymanego w ręce przez tego, który zaskoczył Hildemanda w samochodzie.

Nie wolno im było zostawić jakichkolwiek śladów. Żadnego niedopałka. Żadnych odcisków butów. Gdy opuszczą miejsce akcji, ich postacie muszą zostać wycięte z kadru. Dlatego uważali, gdzie stawiają kroki. I dla dodatkowego zabezpieczenia obaj mieli buty do biegania. Las był popularnym miejscem wśród rekreacyjnych biegaczy, zwłaszcza popołudniami i w weekendy. Wszystko zostało dokładnie przemyślane.

Wypalili obaj po dwa papierosy z rzędu, zgasili pety w pudełku i wrócili do samochodu. Silnik pracował na jałowym biegu, a do rury wydechowej przytwierdzili wąż, którego drugi koniec wsunęli przez uchylone okno obok miejsca kierowcy.

Ostatnie słowa Krestena Hildmanda brzmiały: „Dwadzieścia pięć milionów! Na głowę!”. Wykrzyczał je, kiedy wsunęli wąż do

środku samochodu i uszczelnili okno ręcznikiem. Szarpał się, ale taśma izolacyjna niczym imadło trzymała go w miejscu śmierci.

Otworzyli wszystkie drzwi, wyłączyli silnik i przed przystąpieniem do ostatniego etapu zadania odczekali, aż ulotni się zabójczy tlenek węgla.

Wszystko poszło sprawnie. Już wcześniej podzielili się rolami. Ostrożnie odwinęli taśmę i chwilę potrząsali ciałem, by ułożyło się w bardziej naturalnej pozycji. Potem umieścili dostatecznie dużo przekonujących odcisków palców Hildemanda na butelce, wężu i gałce rączki do otwierania okna.

Na koniec ponownie uruchomili silnik, wsunęli końcówkę węża i ręcznik w okno i przez chwilę przyglądali się całości, by sprawdzić, czy czegoś nie pominęli. Na koniec pozbyli się śladów swoich stóp. Te tuż przy drzwiach samochodu, pozostawione w lekko rozmokłej ściółce skutecznie spłukali małą ręczną pompą przyczepioną do dwudziestolitrowego prysznica polowego w plecaku.

Potem tyłem wycofywali się z miejsca zdarzenia, zacierając swoje ślady. Na koniec zamienili kilka słów i rozeszli się, każdy w swoją stronę.

Kilka chwil później słońce przebiło się spomiędzy chmur. Ciemnozielony jaguar lśnił na polanie. Za kierownicą siedział Kresten Hildmand. Presja ze strony policji podatkowej w związku z głośną sprawą kartelu budowlanego okazała się zbyt ciężka dla siedemdziesięciodwuletniego biznesmena.

Rozdział 11.

Poczuł się jak w domu, gdy wszedł w cichy, ukryty świat świerków. Zielony dach szczelnie oddzielał go od słońca powyżej, a gruby dywan brązowego igliwia tłumił odgłos kroków.

Coraz bardziej zagłębiał się w swoje dawne terytorium w lesie Rold Skov. Musiał kluczyć pomiędzy gęstymi pniami. Na wprost widział prześwit, którym w mrok wlewało się silne światło. Pamiętał to miejsce. Otwarty pas wysokiej trawy oznaczał gwałtowny koniec Hadesu. Niemal tak gwałtowny jak granica między morzem a lądem.

Dotarł tu drogą morską. Porannym promem z Göteborga do Frederikshavn. Stamtąd autobusem dojechał do Aalborga. Na komputerze w bibliotece głównej znalazł informacje potrzebne mu na pierwszym etapie jego misji.

Potem w sklepie dla myśliwych i wędkarzy kupił najpotrzebniejszy sprzęt: plecak, nóż, czajnik, kubek, sztucce, stalowe krzesiwo i trochę liofizatów. W lesie miał zostać tylko chwilę. Jedną noc. Później chciał ruszyć dalej.

Słońce go oślepiło, kiedy wydostał się z leśnego gąszczu. Teraz do przejścia zostało już niewiele. Szedł dalej przez otwarty teren, po czym wkroczył w strefę buforową lasu mieszanego, gdzie dęby, wierzby, modrzewie i pojedyncze jodły olbrzymie balansowały na zboczu doliny rzecznej.

Zatrzymał się na chwilę, kiedy wyszedł z lasu i miał widok na dolinę. W dole co jakiś czas połyskiwały na srebrno krótkie fragmenty rzeki Lindenberg Å. Ale jej spore odcinki znikły zasłonięte łożynami. W całej dolinie wszystko się zieleniło. Przyjemnie jasnozielony kolor dominował również po przeciwnej stronie, w lesie Ersted, gdzie wierzby właśnie wypuściły listki.

Niektóre elementy dokładnie przypominały mu jego pierwszą

wyprawę w tę okolicę. Po drodze widział pojedyncze czerwone flagi i słyszał brzęk butelek w reklamówkach. Świadomie ostatni odcinek z Aalborga na południe pokonał pociągiem. Chciał znów wsiąść w Skørping i powędrować dalej przez Rebild w dół wiejską drogą aż do szutrowej drogi biegnącej na zachód. Chciał pójść po własnych śladach. Aby mentalnie przygotować się do podróży w nieznane.

Za to inne elementy jego wędrówki boleśnie mu przypominały, jak wiele się zmieniło.

Nie było przy nim Mr. White'a.

Stracił go w dolinie, która ciągnęła się u jego stóp. Nawet podczas długiej rekonwalescencji na wyspie Klöverön czuł mokry nos we wnętrzu dłoni. Dodające otuchy prychnięcie, gdy chaotyczne myśli piętrzyły się groźnie.

I jeszcze pogoda... Wtedy, dwa lata temu, przemierzał te lasy w ulewnym deszczu. Teraz słońce przygrzewało niemal jak w lecie. Tak. Tym razem było zupełnie inaczej — tak bardzo inaczej, jak tylko się da.

Opuszczając piwnicę w Kopenhadze, czuł coś w rodzaju nadziei, że odnajdzie tu spokój. Że zaszyje się głęboko w lesie. Nadziei — o ile można to tak nazwać — która brała się z niejasnego przeczucia, że to może być jego droga.

Tym razem miał do wykonania konkretne zadanie, w którym nie było żadnych niejasności. Ruszał na wojnę. Znowu. Wojnę, która była wyłącznie jego. Przeciwno niewidzialnemu wrogowi.

Ruszył w dół stromego zbocza i po kilku chwilach zniknął w zaroślach. Dobrze, gdyby do dna doliny doszedł jakieś sto metrów wyżej. Stamtąd miałyby już całkiem blisko do swojego dawnego obozowiska.

Przedzieranie się w dół zajęło sporo czasu, a przed nim kolejne wyzwanie stanowiły łożyny. Były jak mur wrosnięty w ziemię, warunki glebowe sprzyjały ich bujnemu wzrostowi. Dolina była bowiem jak ogromne bagnisko, pochłaniające całą wilgoć i potrafiące ją w sobie zatrzymać. Wszystkie opady kończyły

właśnie tu. Niezliczone źródła bijące ze zboczy łączyły się w błotnistej glebie. Miejsce było najbardziej niedostępne w Danii i najbardziej zbliżone do typowej skandynawskiej dżungli.

Właśnie dlatego, kiedy uciekł z Kopenhagi, uznał to za idealne miejsce na obóz.

Wciąż poruszał się naprzód, wypatrując jakichkolwiek znaków. Stracił orientację, a chciał znaleźć wąskie przejście, które gdzieś tu było. Poszedł jeszcze kawałek dalej, ale wciąż go nie znalazł. Musiał więc torować sobie drogę sposobem wyczerpującym i potwornie czasochłonnym: odchylając gałęzie, czołgając się pod nimi, balansując na nich w błocie i wymijając je. Do tego cały czas poruszał się zygzakiem, szukając najdogodniejszego przejścia.

Wreszcie wyszedł po drugiej stronie i znów mógł się rozejrzeć. Od razu rozpoznał kępkę cienkich brzoź z jednym dużym modrzewiem, które oznaczały, że tam dalej jest pewny grunt. Rzeźba płaskiej poza tym doliny unosiła się odrobinę, a jej powierzchnia nagle zmieniała się w piaszczystą z drobnymi kamieniami. To tam założył swój obóz.

W tym akurat miejscu pas dużych pagórków ze sterczącą trawą i z szuwarami nie był szczególnie szeroki. Ostrożnie zrobił pierwszy krok. Jeśli będzie uważał, to przechodząc albo przeskakując z kępki na kępkę, da radę przejść na drugą stronę po elastycznej sieci korzeni, która się pod nim rozciągała. Gdyby po prostu poszedł na wprost, utknąłby w cuchnącym czarnym bagnie. W najlepszym razie mógłby stracić kalosz. A w najgorszym — życie.

Kierując się wyćwiczonym zmysłem odczytywania znaków w terenie, przeprawił się bez przeszkód. Teraz mógł przyśpieszyć. Za chwilę dotrze na miejsce. Łukiem obszedł miejsce swojego dawnego obozu. Chwilę potem gwałtownie się zatrzymał.

To on. Stary dąb. Sznur przerzucono przez jedną z najniższych i najmocniejszych gałęzi. Mógł go odciąć, nie stając na palcach. Lecz o wiele godzin za późno.

Wciąż czuł ciężar martwego ciała Mr. White'a w swoich ramionach. Jego futro. Zapach. Zmatowiałe oczy.

Wiedział, że w szale i rozpaczycy rzucił pętlę najdalej jak potrafił. Wiedział, że klęczał w piachu i ścisnął martwego towarzysza. Długo. Choć nie wiedział dokładnie, jak długo. Myśli i czas rozpuściły się w cierpieniu.

Dąb stał na swoim miejscu w samotnym majestacie, wnosząc na boki stare, pokrzywione gałęzie. Nieświadom tragedii, dla której stał się scenografią. Dziś wiedział coś, czego nie wiedział wtedy: że to wszystko było dziełem Axela Mossmana. Że szef PET kazał powiesić Mr. White'a, aby jego zmusić do włączenia się w śledztwo.

Skamieniały stał przed dębem, przed oczami przesuwały mu się kolejne migawki. Ostatnią był obraz Mossmana, kiedy znalazł go w gospodarstwie Rybaka — wtedy wyrzucił mu wśród grzmotów i błyskawic swoje przyznanie do winy, po którym on sam wyskoczył w deszcz i począł okładać olbrzymia kopniakami i pięściami.

Dokładnie tak jak przeczuwał od pierwszej chwili, tamta wizyta szefa PET była zapowiedzią piekła, które się rozpętało. To było jak lawina, która w szalonym tempie porwała go, obezwładniła i wypluła na wpół martwego.

Lecz ostatecznie się uratował. Lawina się przetoczyła, a on stał tutaj, u stóp Drzewa Bolesci. Żywy, lecz jeśli się o tym dowiedzą, stanie się dla nich zwierzyną łowną.

Powoli ruszył przed siebie, przeszedł pod nagą koroną, przez zeschniętą trawę, minął krzaki jeżyn i poszedł dalej. Od sosny górskiej zaczął liczyć kroki. Pięćdziesiąt w linii prostej do modrzewia. Chwilę musiał się rozglądać. I znalazł. To tu.

— Whitey, przyjacielu... — wyszeptał.

Zrzucił plecak i usiadł przed schowanym w trawie małym kopczykiem kamyków.

Słońce przesunęło się o spory kawałek, kiedy uznał, że pora się otrząsnąć. Powoli się podniósł. Wziął z ziemi plecak i postać jeszcze chwilę. W końcu uniósł dłoń w niemym pożegnaniu.

Nim zrobi się ciemno, musi wykonać jeszcze jedno ważne zadanie.

Rozdział 12.

Strefa robocza pomywalni była wyłożona szarymi płytkami. Był to jej pierwszy wieczór w tym miejscu i właśnie polewała płytki wodą, gdy rozległ się wrzask:

— Jasna cholera! Ty, nowa, bo zaraz cały hotel spłynie do kanału!

Kierowniczka, chuda i krzykliwa, o włosach zafarbowanych na czarno i w białych okularach na nosie, pogroziła jej palcem. Najwyraźniej zachlapała wodą pierwsze stopnie wiodących na górę schodów. Miała ochotę jeszcze mocniej odkręcić kurek i skierować szlauch prosto we wściekłe usta tej krowy, ale to nie byłby dobry początek ich współpracy.

— Sorry, nie chciałam — zawołała w odpowiedzi i machnęła ręką przepraszająco. Ale szefowa i tak już szła w jej kierunku.

Na wszelki wypadek zakręciła wodę, by zapobiec katastrofie.

— Pierwszy dzień?

Skinęła głową.

— Przypomnij mi jeszcze, jak się nazywasz.

— Margrethe.

— Wszyscy mają nazwisko — chyba że jesteś królową?

— Franck. Margrethe Franck.

— W porządku, dla mnie będziesz Franck. Nie chciałam na ciebie naskoczyć. Chodzi mi o to, że podłogę splukujemy bez przyskania wodą na wszystkie strony. Ale wiadomo, musisz się przyzwyczaić. Jak czegoś nie będziesz wiedziała, to pytaj szefa zmiany, okej? To Yang. Stoi tam, na samym końcu. Tak, wiem, oni wszyscy wyglądają jak sajgonki, nie? Powodzenia. — Kierowniczka uśmiechnęła się, zadowolona z własnej

błyskotliwości, skinęła głową i oddaliła się w kierunku schodów.

Może uznała za stosowne złagodzić nieco przekaz wobec swojej jedynej białej i na wskroś duńskiej pracownicy? Bo tak się składało, że tej nocy załoga pomywalni naczyń w hotelu Copenhagen Blackbird składała się poza nią z samych Azjatów, jednego chłopaka z Kongo i młodej kobiety, która również miała afrykańskie korzenie.

I chyba nie trzeba tłumaczyć, że najniższy poziom strefy roboczej znajdował się naturalnie w piwnicy. Wszystkie uwalone tłuszczem gary zjeżdżały właśnie tutaj, spuszczone małymi otwartymi windami do podziemnych katakumb. Mycie odbywało się za pomocą potężnych dyszy spłukujących zamontowanych przy długich stołach ze stali nierdzewnej.

Copenhagen Blackbird był nową perłą w hotelowej koronie stolicy. Cennik noclegów w tym modnym przybytku nie znajdował odzwierciedlenia w wynagrodzeniu pomywaczy, ale jeśli się było w kropce i trzeba było na gwałt zdobyć trochę gotówki, to, co oferowali, było do zaakceptowania. A ona właśnie była w kropce.

Cztery godziny na zmywaku w połączeniu z pięcioma godzinami na kasie w Netto — jej nową pracą, którą dopiero miała zacząć — powinno jakoś wystarczyć, żeby pociągnąć od pierwszego do pierwszego. A ją zmusić do zapieprzania jak mały samochodzik.

„Nie twierdzą, że to niemożliwe, ale jeśli zależy pani na czasie, to musi pani zejść z ceny”.

Słowa pośrednika nieruchomości nie pozostawiały złudzeń. Może sprzedać mieszkanie, ale najprawdopodobniej ze stratą. Dlatego teraz kombinowała jak tylko się dało. Nie może leżeć plackiem przez resztę życia — chociażby po to, by nie stracić dachu nad głową.

„Reszta życia” zresztą też była kategorią obarczoną sporą dozą niepewności. Odkąd szef Danehofu Syd i właściciel zamku Gram, Villum Grund-Löwenberg, poprzysiągł, że ją „zniszczy”, dał się zaobserwować pewien schemat: gdy trafiała jej się bardziej atrakcyjna praca, bardzo szybko ją traciła. Te najgorsze za to najwyraźniej wolno jej było zachować. Co z kolei oznaczało, że

mroczne siły wciąż mają ją na oku.

Czy naprawdę już zawsze będzie musiała żyć ze świadomością, że każdy jej krok jest obserwowany? Czy w końcu im się znudzi i dadzą jej spokój, by zająć się czymś innym?

Rozważała też całkiem inne rozwiązanie. Wyjazd z Danii. Emigrację. Tylko dokąd miałyby wyjechać? I czy piekielne siły nie dosięgłyby jej i tam?

Tak naprawdę jedyne, czego pragnęła, to pracować w wywiadzie. A skoro drzwi do PET nieodwołalnie przed nią zatrzaśnięto, to czy nie mogłaby spróbować w służbach zagranicznych? Jak zapukać do tych innych drzwi? I czy w ogóle była nadzieja, że jej otworzą, po tym, jak ją zwolniono w sposób tak kategoryczny?

Ze swoim dawnym szefem Axelem Mossmanem nie widziała się ani nie rozmawiała, odkąd razem z ich małą grupą operacyjną dali się wykiwać i pojmać tamtej pamiętnej nocy na zamku Gram. Myśleli, że się przyczają i zobaczą wreszcie wszystkich troje przywódców Danehofu, którzy mieli się spotkać tamtego wieczoru w zamku. Tak w każdym razie sądzili, bo wszystko okazało się zasadzką i zostali pojmani, jedno po drugim. Wkrótce potem Mossman został zmuszony do ustąpienia ze stanowiska. I choć minister sprawiedliwości oświadczyła, że odszedł na własne życzenie, to Margrethe wiedziała lepiej.

Być może Big Mossman ze swoimi rozlicznymi kontaktami i dobrymi relacjami z siostrzanymi organizacjami na świecie mógłby jej pomóc wyjść z potrzasku?

— *Hey, you! Wake up!*

Mały człowieczek stał obok niej, krzyczał i gwałtownie potrząsał głową w stronę kolejnego ładunku brudów zesłanego z góry, którego ona nie dostrzegła.

— *Sorry!* — Uśmiechnęła się i pokiwała głową na znak, że rozumie.

Może pora złożyć Mossmanowi wizytę. Porozmawiać o pierdołach i powspominać stare dzieje. Przy okazji wy badać

grunt. Sprawdzić, czy on nie dysponuje kluczem, który mógłby jej otworzyć nowe możliwości.

Szef zmiany uśmiechnął się do niej z drugiego końca metalowego stołu. Więc to jest Yang. Naiwnością byłoby wierzyć, że w tym piekle brzęczącej porcelany jest również jakaś Yin.

Rozdział 13.

Z krzesiwa strzeliły iskry, kiedy przycisnął do niego grzbiet noża. Jeden raz wystarczył. Nie zapomniał, jak to się robi. Rzuciły się dokładnie tam, gdzie na kawałku kory brzozy wydrapał dla nich miejsce.

Wątle płomienie szybko podsycił, podsunąwszy im odrobinę wiórów z kory, zgniecionych w luźną kulkę. Na to podrzucił garść suchej jak pieprz trawy. Ostrożnie podmuchał, dołożył trawy i na koniec nieco twardszych kulek wierzbowych trocin. Brzoza jest zawsze najlepsza, bo jest oleista.

Teraz miał dość trwały ogień na kawałku brzozowej kory, który umieścił pod konstrukcją z suchych gałęzi. Stopniowo, niewielkimi porcjami, dokładał chrustu do ognia. Na koniec, gdy ogień palił się już na dobre, dołożył większych gałęzi.

Nad doliną zapadał zmrok. Na wietrze wciąż łopotały pojedyncze strzepy brezentu, który dawniej był jego dachem rozpiętym nad dużym zwalonym pniem. Resztę musiała porwać wichura, albo może Kajsa Corfitzen kazała uprzątnąć jego obozowisko.

To tutaj niewielka grupa operacyjna policji z Aalborga zaskoczyła go wczesnym rankiem. Otoczyli go i zawlekli na przesłuchanie przed trybunałem rozmaitych szefów i samej wierchuszki PET. To wtedy został wciągnięty w aferę z wieszanymi psami, choć od pierwszej chwili wzbraniał się przed tym jak tylko mógł.

Nalał wrzątku do kubka z liofilizowanym gulaszem i zamieszał.

Obok na ziemi leżała mała aluminiowa walizka. Zawierała jakieś sto tysięcy koron. Bez problemu znalazł miejsce, w którym ją zakopał po tym, jak pożegnał się z Mr. White'em. Walizka na szczęście zmieściła się w plecaku. Do tego miał jeszcze

pięćdziesiąt tysięcy koron zakopane w gospodarstwie Rybaka i czterdzieści tysięcy w plecaku, który Margrethe Franck obiecała dla niego przechować.

Pieniądze nie dawały mu żadnej radości. Miały dla niego jedynie wartość praktyczną. Były zapłatą od Axela Mossmana za jego pomoc w śledztwie. Hojność szefa PET okazała się jednak okupiona krwią Mr. White'a i w tej chwili tylko tak potrafił na to patrzeć.

Gulasz zniknął błyskawicznie. Był głodny jak wilk. Miał za sobą długi dzień. Podróż po własnych śladach okazała się ciężka i męcząca.

Teraz szybko zrobiło się ciemno. Dałby tysiąc koron za filiżankę dobrej kawy. W gotówce, prosto z walizki. Ale tak mu się śpieszyło, że zapomniał kupić.

Zamierzał się położyć w śpiworze na pościeli z chrustu niedaleko ogniska. Noc będzie zimna. Na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Będzie musiał pilnować ognia w ciągu nocy.

Czy kiedy będzie drzemał, pojawi się ktoś z Siódemki? I kto to będzie tym razem? Czy to, że jest akurat w tym miejscu, ma dla Siódemki jakiegokolwiek znaczenie?

Wieki minęły, odkąd ostatni raz spędził noc z jointem i whisky. To było wtedy, gdy poszedł spać na skraj rzeki Skjern i ułożył się na siedzeniu kanu. Na krótko przed swoją wielką ucieczką. W czasie, który spędził u Tessy, przyzwyczaił się, że nie może już opróżniać głowy za pomocą zioła i alkoholu. I teraz nie brakowało mu już ani jednego, ani drugiego.

Uniósł wysoko kubek i wciągnął resztkę gulaszu. Uwielbiał intensywne ciepło ogniska. Nic tak przyjemnie nie kąsało w twarz. Położył więcej drewna na stosie obok swojego pościeli. To powinno wystarczyć do rana.

Jego życie znów można było zacząć odliczać na nowo, od teraz — odkąd wyruszył w misję, której nadrzędnym celem jest wyzwolenie. W przeciwnym razie musiałby na zawsze pozostać z dala od Magnusa.

W tym sensie wiadomość o nominacji Yssinga na szefa sztabu generalnego i poruszenie, jakie wywołała w jego głowie, pomogły mu w pełni uświadomić sobie możliwe konsekwencje decyzji o ukrywaniu się w Haparandzie.

Tam miałyby czas na rozmyślenia. Tylko o czym miałyby rozmyślać? Nic się przecież nie zmieniło w sytuacji, która skazała go na życie poza egzystencją. Haparanda byłaby jedynie zimną pustelnią.

Tysiące razy podczas pobytu u Tessy rozważał wszystkie możliwe scenariusze. Proces, będący długą analizą ryzyka, zawsze prowadził do tego samego wniosku: jedyna przejezdna droga do wnętrza labiryntu mrocznych postaci ma swój początek w Anglii...

Jego pierwszym krokiem musi być oczyszczenie się z zarzutu morderstwa. Musi odzyskać swobodę poruszania się, musi na powrót oficjalnie stać się Nielsem Oxenem. Dopiero wtedy będzie mógł podjąć działania względem ludzi władzy zrzeszonych w Danehofie.

Niewątpliwie, gdy tylko o nim usłyszą, natychmiast będą próbowali go uciszyć. Ale to jego jedyna szansa. I będzie musiał to zrobić sam. Nie wolno mu po drodze kontaktować się ani z Mossmanem, ani z Margrethe Franck, ani ze starym druhem Fritsenem. Jest wysoce prawdopodobne, że nieliczne osoby, z którymi przed domniemaną śmiercią utrzymywał bliski kontakt, wciąż są pod obserwacją.

Nim zniknął, zadbał, aby drzwi do ciemnego labiryntu pozostawić uchylone. Kiedy powalił na ziemię jednego ze swoich prześladowców w stajni zamku Gram, zabrał mężczyźnie telefon i mailem przesłał z niego całą korespondencję i książkę kontaktów siostrze Fritsena z prośbą, by przekazała te materiały swojemu bratu. Do tego zrobił zdjęcie twarzy nieprzytomnego mężczyzny, żeby móc go później zidentyfikować, i przesłał je w tym samym mailu.

Paszport mężczyzny był prawdopodobnie mniej wiarygodnym źródłem informacji niż jego telefon. Dokument wystawiony był na

anonimowego Marka Johnsona, obywatela brytyjskiego, i wyglądało na to, że Brytyjczykami byli również pozostali członkowie małej grupy operacyjnej, która na zlecenie Danehofu śledziła go i miała zlikwidować, a której członkowie w ferworze akcji zamordowali starego hodowcę pstrągów.

Musi teraz jak najszybciej odzyskać od Fritsena te dane, by dzięki nim dowiedzieć się, kim są ludzie, których ma ścigać w Anglii. Czy rzeczywiście istniał jakiś Mark Johnson, czy też mężczyzna nazywał się zupełnie inaczej.

W końcu poczuł zmęczenie. Pora się położyć. Rozwinął nowy śpiwór na posłaniu z chrustu i igliwia, które miało przynajmniej z grubsza odizolować go od zimnej gleby. Dołożył jeszcze do ognia i wsunął się do środka.

Czuł, że zaśnie szybko. Pytanie, czy dane mu będzie się wyspać.

O ile dobrze pamiętał, Brytyjczyków jest ponad sześćdziesiąt milionów. On musi złapać tylko jednego — tego właściwego. A potem zmusić go do zeznań. Wszelkimi dostępnymi środkami. Kim był ten, który dźgnął śmiertelnie starego Johannesesa Ottesena zwanego Rybakiem?

Teraz sprawa wydawała mu się całkiem prosta. Jutro pewnie będzie ją widział inaczej. Wstanie o świcie. Pójdzie do Arde i dowie się, jak się dostać na południe. Jego jutrzejszy cel to stare gospodarstwo rybne niedaleko Brande, gdzie na wykopanie czeka kolejny skarb.

Ostatni raz spojrzął na ognisko, zamknął oczy i poczuł przyjemne ciepło na twarzy.

Rozdział 14.

Nagłówek pierwszej strony popołudniówki był podzielony na dwie części. Na górze małą czcionką napisano: *Postawiony w stan oskarżenia w sprawie gigantycznego oszustwa w branży budowlanej*. A poniżej wielkimi literami dalszy ciąg zdania: *Multimilioner wybrał śmierć*.

Prokurator generalny Per Eilertsen długo patrzył w dwa wersy tekstu. Chyba dość dobrze podsumowywały sytuację. Na zdjęciu ilustrującym historię zdecydowanie mniejszą czcionką napisano: „Przedsiębiorca i multimilioner Kresten Hildmand nie wytrzymał presji. To oznacza, że starannie przygotowana przez policję finansową sprawa przeciwko niemu staje pod znakiem zapytania”.

Policja finansowa. Ludzie nadal tak nazywali reprezentowany przez niego urząd, mimo że ten nosił nazwę Prokurator Właściwy do spraw Przestępczości Gospodarczej i Międzynarodowej, w skrócie SØIK. Zresztą nie tylko ludzie — media też nie polubiły nowej nazwy, która tylko wprowadzała zamieszanie.

Poza tym wybór zdjęcia też był dość nietypowy w tych okolicznościach. Piękny, stary jaguar w środku lasu. I tylko w rogu wklejono małe zdjęcie nalanej twarzy Hildmanda.

Prokurator przerzucił strony, by odnaleźć tekst. Zajmował całe dwie strony.

„Grupa biegaczy podczas wczorajszego treningu późnym popołudniem trafiła na makabryczny widok. Na polanie w lesie niedaleko Lynge stał duży jaguar. Z rury wydechowej wystawał wąż, który wprowadzono do wnętrza samochodu. Za kierownicą siedział mężczyzna, który stworzył jedną z największych firm budowlanych w kraju, multimilioner Kresten Hildmand. Był...”

Prokurator zamknął gazetę i odłożył. O samobójstwie, o którym huczały wszystkie media w kraju, on sam wiedział już wszystko i z

samego rana zwołał swój zespół na naradę kryzysową.

Dowiedział się poprzedniego wieczora. Jeden z szefów policji Zelandii Północnej zadzwonił do niego koło dwudziestej. Nagle świat wokół kompletnie się zmienił. Samo zbudowanie oskarżenia o tworzenie kartelu często bywa trudne, bo dowody są zwykle niejednoznaczne. Wraz z usunięciem się Hildmanda z tego świata sprawa wygląda zupełnie inaczej. A ich szanse najprawdopodobniej znacznie się skurczyły. Będą musieli nieco inaczej ustosunkować się do zebranych dowodów i o tym właśnie rozmawiał ze swoimi najbliższymi pracownikami.

Prokurator nie otworzył nawet kolejnej popołudniówki. Nagłówek brzmiał: *Doprowadzony do ostateczności przez policję podatkową*. Tu ilustracją było zdjęcie uśmiechniętego Hildmanda. Obwinianie prokuratury to drastyczne przeinaczenie. Nie podobało mu się to, ale zdołał się uodpornić na takie prowokacje.

Zamiast tego zajrzał do „Børsen”. Największy w kraju dziennik gospodarczy również zdążył odnotować śmierć Krestena Hildmanda. W duchu starej dziennikarskiej tradycji o przyczynie śmierci nie wspomniano tu słowem. Dla większości mediów samobójstwo było zwykle sprawą prywatną. To oczywiście nie mogło dotyczyć Hildmanda, który był nie tylko znaną postacią duńskiej finansjery, ale i głównym oskarżonym w wielkim procesie, jaki miał ruszyć jeszcze w tym roku.

Obecnie radykalnie zmieniły się znaczenie oraz hierarchia faktów i dowodów zebranych w sprawie. Jako prokurator generalny Per Eilertsen tego typu nieprzewidziane zwroty akcji przyjmował ze spokojem. Trzeba będzie przesunąć punkt ciężkości, przegrupować się i przypuścić nowy atak. Martwi bowiem nie mają głosu — i nie można ich ukarać.

Rozdział 15.

Autobus z Aabenraa odbił w bok i zatrzymał się obok wiaty przy wiejskiej drodze na Sønderborg. Wsiadł i czekał, aż autokar odjedzie. Potem ruszył wąską dróżką przecinającą wioskę po skosie.

Był wieczór i robiło się ciemno. Wieża kościoła była oświetlona i wskazywała mu drogę wzdłuż żywopłotów i małych domów. Dotarł do kolejnej drogi, mniejszego gościńca. Na małym budynku białymi literami napisano „Ochotnicza Straż Pożarna”. Oto Jutlandia Południowa, miejsce, w którym istnieli ochotnicy gotowi ruszać z odsieczą w razie katastrofy. A dokładniej było to Ullerup na półwyspie Sundeved, pomiędzy Aabenraa a Zatoką Flensburską.

Przeszedł przez drogę i po chwili stanął na otwartym placu przed kościołem wyrastającym majestatycznie z niewielkiego wzniesienia. Krótki spacer z przystanku autobusowego był jak podróż w czasie. Wiele domów miało dachy pokryte strzechą. W blasku latarni świeciły białe fasady — z wyjątkiem wiejskiego szynku, z którego farba odchodziła wielkimi płatami. Lokal najwyraźniej od dawna był zamknięty. Przed nim rozkładał się wrak samochodu.

Nie dostrzegał jednak tego, czego wypatrywał: plebanii.

Drogę do niej wygooglował w Bibliotece Głównej w Aalborgu. Ullerup było miejscem, którego szukał Jan Johansen. A w każdym razie miejscem, w którym osiadł w czasie swojej życiowej wędrówki od kapelana polowego do plebana. Od wojny do pokoju.

„Niels, to musi być na wsi. Gdzieś, gdzie słyhać śpiew ptaków, a ludzie wciąż jeszcze ze sobą rozmawiają. I na bank musi być plebania. Cholera, zawsze marzyłem o prawdziwej plebanii”.

Oczywiście nie pamiętał słowo w słowo tamtej ostatniej długiej

rozmowy z Janem Johansenem, na którego mówili Pastor, ale bardzo dobrze pamiętał jej sens. To było zresztą wieki temu. W 2003 roku.

Byli wtedy w Camp Eden, gdzie łączyły się wody Eufratu i Tygrysu. Duński batalion miał założyć swoją kwaterę główną niedaleko Al-Kurny po tym, jak nieznaczną przewagą głosów politycy podjęli kontrowersyjną decyzję o aktywnym włączeniu Danii do wojny w Iraku.

On sam został tam wysłany wraz z niewielką jednostką Jægerkorpset oddelegowaną do wstępnej fazy operacji. W Edenie roiło się zarówno od węży, jak i nadgryzionych jabłek. Idealne miejsce dla polowego kapłana.

Siedzieli w cieniu na terenie obozu, wypili po parę piw i odświeżali dawne wspomnienia z Bałkanów, gdzie się poznali w dziewięćdziesiątym trzecim roku w kompanii sztabowej w Kiseljaku w Bośni. To tam Johansen dorobił się ksywy Pastor. Uczestniczył również w dziewięćdziesiątym piątym w misji UNPROFOR. Znał Bossego i starał się pomóc chłopakom z kompanii Bravo, którym najtrudniej było się pozbierać po jego śmierci. Było w konflikcie bałkańskim coś szczególnego, coś, co łączyło ludzi nierozzerwalnymi więzami. Obaj niesamowicie się ucieszyli, gdy spotkali się ponownie w Iraku.

Tamta misja miała być dla Johansena ostatnią. Po niej zamierzał wrócić do domu i zapaść korzenie w jakiejś parafii. I tak też zrobił. I miał swój kościół — biały, jakie zwykle bywają kościoły, ale z imponującą wieżą z czerwonej cegły.

Nie poszukał adresu plebanii. Sądził, że daleko, na głębokiej prowincji, w małej południowjutlandzkiej wiosce plebania sama się znajdzie.

Starszy mężczyzna z małym psem na smyczy dreptał w kierunku latarni, przy której on sam przystanął. Gdy go dostrzegł, na jego twarzy pojawiło się zdumienie, jakby Niels wysiadł właśnie z latającego spodka.

— Dobry wieczór! — Niels postanowił zagadnąć mieszkańca. — Może mi pan powiedzieć, gdzie znajdę pastora, Johansena?

Mężczyzna pokiwał głową.

— Na plebanii.

— A to daleko?

— Nie, całkiem blisko. Trzeba dojść do drogi, przejść rondo i drugi dom po prawej. Ulica nazywa się Langbro. Jakiś kilometr stąd.

Niels podziękował, wrócił do remizy i ruszył dalej wiejską drogą. Rondo było podświetlonym wzniesieniem porośniętym trawą. Po lewej stała stacja benzynowa, a naprzeciwko punkt wymiany opon i cztery ogromne silosy DLG.

Owieczki z rajy Pastora miały zatem pod dostatkiem paliwa, jedzenia i zadbane bieżniki. Czy były również szczęśliwe?

Tyle godzin mu zajęło dotarcie w to miejsce, za to wyjście z miasteczka było kwestią kilku kroków. Teraz szedł poboczem tuż przy rowie w całkowitej ciemności.

Po kilku minutach dotarł do drugiego podjazdu. Oświetlały go małe lampki i nie było wątpliwości, że trafił do celu. Przed domem stała tabliczka z napisem „Plebania”. Dom stał po części ukryty za drzewami i płotem. Miał duże okna, w wielu paliło się światło.

Nie widzieli się z Johansenem od tamtego spotkania przy Eufracie i Tygrysie w 2003 roku. Podobnie jak z całą masą innych znajomości, nie był w stanie podtrzymać kontaktu. Stopniowo wycofywał się z życia, nie pozostawiając za sobą śladów.

Mimo to nadal nazywał Pastora swoim przyjacielem. Nie było między nimi przepaści, choć jeden wierzył w Boga, a drugi wierzył tylko w staranne przygotowanie.

Kiedy jeszcze na północy, w domu na szwedzkim archipelagu, zastanawiał się, do kogo mógłby się zwrócić, niemal od razu pomyślał o Johansenie. Jego mógł bez obaw poprosić o przysługę. Bez obaw, że zostanie zdradzony. Albo do czegokolwiek zmuszony.

Ruszył podjazdem na duże podwórko, które również było oświetlone. Główny budynek był ogromny. Cały biały i tylko

narożniki z cegły pomalowano na żółto, podobnie jak ceglane boki dużych drzwi wejściowych i ceglany pas biegnący wokół domu tuż pod łupkowym dachem. O ile go pamięć nie myliła, Pastor urodził się i wychował w centrum Aarhus, w bloku, na trzecim albo czwartym piętrze. Teraz miał w końcu dość przestrzeni dla swojego wielkiego serca.

Tylko czy proboszcz z Ullerup go rozpozna?

Kiedy stanął na progu i unióś rękę, by zapukać kołatką, poczuł, że serce szybciej mu bije. Camp Eden był lata świetlne stąd. O ile ten piękny dom i własna parafia były spełnieniem wielkiego marzenia, o tyle on sam będzie w tej scenerii opowieścią o latach, które od początku do końca były katastrofą.

Dwukrotnie opuścił kołatkę na solidne drzwi. Potem usłyszał kroki w korytarzu. Zbyt lekkie i zbyt szybkie, by mógł je stawiać ważący ponad sto kilo Pastor. Drzwi otwarła kobieta. Uśmiechała się przyjaźnie i patrzyła na niego pytająco.

— Dobry wieczór — przywitał się. — Czy zastałem Jana Johansena?

Kobieta przytaknęła głową i powiedziała „chwileczkę”. Mogła mieć jakiś metr sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Szczupła blondynka z włosami do ramion. Oczy miała jasne, pasujące do łagodnych rysów twarzy. Zatem Johansen znalazł sobie kobietę. Albo „towarzyszkę życia”, jak pewnie sam by ją określił.

Chwilę potem usłyszał inne, zdecydowanie cięższe kroki. W otwartych drzwiach jednego z pomieszczeń mignęła potężna sylwetka zmierzająca w stronę głównego wejścia. Pastor na przestrzeni lat dorobił się jeszcze paru kilogramów, a gęsta broda dodatkowo poszerzała jego twarz. Krzaczaste brwi uniosły się pytająco.

— Dobry wieczór — przywitał się raz jeszcze. Stali całkiem blisko siebie, ale w spojrzeniu księdza nie dostrzegał nic, co by wskazywało, że został rozpoznany. — Hej... Nie poznajesz mnie? — powiedział.

— Hm. Czy poznaję? — Johansen baczniej przyjrzał się jego

twarży. — A powinienem...? Czekaj... a niech mnie!

Twarz duchownego uległa całkowitej przemianie. Oczy zrobiły się wielkie, usta się otwały. W głosie pojawiło się niedowierzanie.

— Niemożliwe... Oxen! Cholera jasna! Niels, człowieku... Ty nie żyjesz! Widziałem w wiadomościach! Niedaleko Szwecji... jakiś wypadek... tak mówili.

Niels uśmiechnął się tylko i wyciągnął rękę.

— Czołem, Pastor. No więc żyję. Kopę lat, nie?

Gruby ksiądz wciągnął go przez próg i objął potężnymi ramionami. A gdy go wypuścił, powiedział zdumiony:

— Dobra, ale Niels... nic nie kumam... oskarżyli cię o zabójstwo! Jakiś starszy człowiek... Nożem...

— Właśnie dlatego przychodzę. Muszę udowodnić swoją niewinność. I do tego potrzebuję twojej pomocy. To znaczy, jeśli zechcesz...

— Najpierw chodź do środka. Jadłeś coś?

Chwilę później został życzliwie, choć stanowczo usadzony na komodzie z siedziskiem przy kuchennym stole. Błyskawicznie pojawił się talerz z kilkoma kanapkami z ciemnego pieczywa. Równie ekspresowo się z nimi uporał i popił szklanką mleka, o którą poprosił, gdy żona Johansena spytała, co chce do picia.

Żona miała na imię Helle. Jego zaś Johansen przedstawił jako „Nielsa, drogiego przyjaciela z Bałkanów, tego, o którym ci opowiadałem, co ma te wszystkie ordery”.

Pozwolili mu spokojnie zjeść, a ich rozmowa ograniczała się do grzecznościowych komentarzy. Gdy uprzątnął cały wielki talerz do ostatniego okruszka, Johansen postawił na stole dwa kubki kawy.

— Trzymaj, Niels. Napijemy się kawy... — powiedział i usiadł ciężko na krześle na wprost niego. — I wszystko mi po kolei opowiedz, stary koniu.

Wziął łyk parującej kawy. Smakowała nieziemsko.

— Jasne. Dostaniesz sprawozdanie, po którym, miejmy nadzieję, to wszystko nabierze dla ciebie jakiegoś sensu i sprawi, że mi zaufasz. A potem...

— Ufam ci, Niels. Dobrze o tym wiesz.

— Dzięki... Bo widzisz, chwilami nawet mnie trudno uwierzyć, że to się stało naprawdę. Opowiem ci tylko fragmenty. Lepiej, żebyś za dużo nie wiedział.

— Mów.

— No więc tak... Mieszkałem sobie w piwnicy w północno-zachodniej Kopenhadze razem z moim psem...

Kubek był pusty, kiedy kończył opowieść pobylem u Tessy na szwedzkiej wyspie.

Johansen przechylił czajnik i dolał mu kawy.

— Jasna cholera, chłopie, co za historia — mruknął ksiądz, który nigdy nie był aż tak święty, by nie przeklinać jak szewc. — I co zamierzasz teraz zrobić? Co ty u licha teraz ze sobą zrobisz?

— Pamiętasz L.T. Fritsena?

— Tego, którego wyłowili z Uny?

— Tak.

— Jasne, że pamiętam. Czemu?

— Chciałem cię poprosić, żebyś pojechał do Kopenhagi i odebrał coś od niego. Coś, co jest mi potrzebne, by ruszyć z miejsca.

— Nie ma sprawy. A co to jest? I kiedy miałbym po to pojechać?

— To dysk USB. Są na nim ważne informacje. Dobrze, gdybyś to zrobił najszybciej, jak znajdziesz chwilę. Sam nie mogę po to pojechać. Nie wiem, czy nie obserwują Fritsena. Musiałbyś po prostu podjechać samochodem pod jego warsztat i postępować według moich instrukcji. A potem wrócić do domu.

— I co będzie potem?

— Szukam drzwi wiodących w głąb tego labiryntu. Mam nadzieję, że znajdę je na tym dysku. Gdy tak się stanie, otworzę je i zakradnę się do środka. To moja jedyna szansa.

Gdy się ułożył do snu, nie miał przy boku ogniska, w którym mógłby się zatracić i które grzałoby go w twarz. Miał za to łóżko, materac i kołdrę, którą mógł się nakryć. Przyznał w duchu, że tu było wygodniej niż na leśnym posłaniu w Rold Skov, choć jego zdaniem każdy człowiek powinien przed snem mieć nad głową migoczące gwiazdy.

Żona Johansena pościeliła mu w jednym z małych pokoików na górze. Pastor mówił, że cały dom ma jakieś pięćset metrów kwadratowych, więc miejsca jest pod dostatkiem i może u nich zostać, jak długo zechce. I nie mówił tego z czystej uprzejmości. Pastor zawsze mówił dokładnie to, co myślał.

Podobnie było, gdy dawny kapelan polowy stanowczo zaoferował się, że pojedzie do Kopenhagi zaraz następnego ranka. Stwierdził, że tak mu pasuje najlepiej, zważywszy na harmonogram reszty tygodnia.

Postanowił, że przy śniadaniu napisze krótki list do Fritsena i da go Johansenowi. List miał przekonać Fritsena, że on żyje i że to on przysłał Johansena, oraz zapewnić go, że nie musi się obawiać wykonania instrukcji i przekazania ich dawnemu kapelanowi dysku.

Zamierzał też poprosić Fritsena, aby opowiedział Pastorowi wszystko, co mu wiadomo o Margrethe Franck. Czy była u niego w warsztacie od tamtej pory? Czy nadal pracuje dla PET? Musiał przy tym bardzo wyraźnie zastrzec, by Fritsen nikomu nie mówił, że on żyje. Nawet Margrethe.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, już jutro wieczorem odczyta dysk na laptopie, który pożyczył mu Pastor. Tu, w tym małym pokoiku na plebanii, spokojnie będzie mógł rozważyć każdą informację, którą znajdzie na temat angielskiego

najemnika. I ułożyć plan.

Był już najwyższy czas ruszyć z miejsca. Ostatnie dwa dni spędził, błakając się po własnej, straszliwej przeszłości. Rankiem tego dnia w milczeniu chodził wokół opuszczonego gospodarstwa rybnego niedaleko Brande. Każde wspomnienie z tamtego miejsca było jak igła wbita prosto w serce.

Dzieło życia Johannesesa Ottesena popadało w ruinę. Parterowy dom opróżniono z wszystkiego, co dało się wynieść, w wielu oknach wybito szyby. Stawy stały opróżnione z wody i ryb, za to wypełnione szlamem.

Z jego własnej samotni, chatki na skraju lasu zbudowanej przez Rybaka, by była kwaterą dla pomocnika w gospodarstwie, zostały okopcone mury. Tu po raz pierwszy od lat poczuł, że ma dom. Choć dach był dziurawy, za drewnianymi panelami harcowały szczury, a sen przerywały częste alarmy uruchamiane przez leśne zwierzęta przechodzące nocami obok kamer monitoringu. Pomimo tych niedogodności miał poczucie, że znalazł tu swoje miejsce... aż do tamtej nocy, gdy mroczne postacie wyciągnęły po niego szpony — i zamordowały Rybaka.

Stary modrzew znalazł od razu. Szybko też saperką wykopał obie skrzynki. W pierwszej było dodatkowe pięćdziesiąt tysięcy koron. W drugiej cenny materiał o Danehofie Nord: lista nazwisk piętnastu członków wybranych z trzech okręgów, lista członków biernych i niedawno zmarłych oraz notatki z dzienników Corfitzena, zmarłego lidera Północy urzędującego na zamku Nørlund.

Usłyszał, jak coś skrzypnęło i gdzieś ktoś zamknął drzwi. Plebania w Ullerup była istnym labiryntem pokoi.

Podciągnął kołdrę pod samą brodę i obrócił się na bok. Ciało miał ocieężałe. Oby tylko sen nadszedł w miarę szybko.

Już za niecałą dobę miał nadzieję ujrzeć choć zarys swojego pierwszego przeciwnika.

Rozdział 16.

Wysoki mężczyzna w okularach słonecznych siedział na ławce i czytał gazetę, którą dopiero co kupił w idealnie wtopionym w tło kiosku po drugiej stronie ulicy, tam gdzie wąska Derby Hill Road skręca w prawo i pnie się ku górze.

Gdyby ktoś spojrział na niego w tej chwili, nie miałby powodów wątpić, że mężczyzna jest pochłonięty wydarzeniami ostatniej doby opisanymi w „Liverpool Echo”. Ale ktoś, kto zauważył, jak ten sam mężczyzna od pół godziny krążył po okolicy, jak poszedł w górę Derby Street i dalej w Greetby Hill, potem znów w dół, by wejść w ślepą uliczkę Bath Springs, a po chwili z niej wyjść, miał prawo się zastanawiać, co ten człowiek tak naprawdę robi w spokojnej, zadbanej dzielnicy dużych jednorodzinnych domów z wypielęgnowanymi ogródkami.

A zważywszy, że zaraz za ogrodzonym zielonym terenem po lewej, kawałek wyżej na Greetby Hill znajduje się szkoła, być może należałoby wzmóc czujność. Nikt jednak najwyraźniej nie zwrócił na niego uwagi w zabiegane czwartkowe przedpołudnie.

Mężczyzna tymczasem zerknął na zegarek. Nasilił się ruch w kierunku podjazdu do szkoły. Gdy potem samochody jeden po drugim przesuwają się w kierunku przeciwnym, wioząc na tylnych siedzeniach wymęczone nauką dzieci, on wciąż siedział spokojnie ze swoją gazetą.

Na chwilę podniósł wzrok znad gazety. Obok niego przeszła niewielka grupa dzieci — chłopców i dziewczynek. A po niej kolejne grupki. Właśnie miał wrócić do przeglądania gazety, kiedy coś najwyraźniej zwróciło jego uwagę, bo zamiast tego zamknął gazetę i złożył ją na pół.

Chodnikiem w jego stronę szły cztery dziewczynki. Wszystkie w regulaminowych mundurkach zgodnych ze szczegółowymi przepisami anglikańskiej szkoły podstawowej w Ormskirk — szare

spódniczki i białe podkolanówki. Trzy z nich na białe koszulki polo albo bluzki założyły błękitne blezery z żółtym logo szkoły na piersi. Czwarta przewiązała sobie sweter w pasie, bo wiosenne słońce już przypiekało, przydając blasku jej rudawym włosom. Związała je w kucyk, który dyndał na boki, gdy dziewczynka nagle kilkakrotnie podskoczyła na chodniku, być może chcąc uniknąć stąpania po liniach.

Mężczyzna na ławce wbił wzrok w dziewczynkę z kucykiem. Potem spojrzął na ekran swojego telefonu, na którym również widniało zdjęcie rudej dziewczynki, i ponownie na idącą ku niemu postać.

Grupa właśnie go mijala — prychające siedmiolatki, gadające jedna przez drugą. Ta z kucykiem miała piegi. Mężczyzna siedział jeszcze chwilę. Potem wstał, schował gazetę do kieszeni marynarki i powoli ruszył w dół Derby Street, trzymając się kawałek za roześmianą czwórka.

Dziewczynki przeszły na drugą stronę mostu kolejowego i zatrzymały się gwałtownie, niemal wpadając jedna na drugą, przed białym budynkiem z zielonymi parapetami i zielonymi gzymsami nad szprosowymi oknami. Był to pub *The Railway* — krytyczny punkt na ich trasie i pewnie każda z nich wielokrotnie słyszała, że w tym miejscu trzeba uważać. Samochody z A570 musiały przejechać przez miasto i tu, na płaskim odcinku, kierowcy często się rozpędzali — a na przejściu nie było świateł.

W końcu jedna z dziewcząt głośno krzyknęła i dała pozostałym znak, po czym wszystkie przebiegły z plecakami objającymi im się o plecy.

Wysoki mężczyzna też musiał się zatrzymać przed pubem i cierpliwie poczekać na własną przerwę w ruchu, zanim sprężystym krokiem przeszedł na drugą stronę i ruszył dalej za dziewczętami, które zmierzały w stronę Railway Road.

Mężczyzna odsunął okulary na czoło i odrobinę przyśpieszył kroku, zmniejszając odległość od dziewcząt do jakichś dwudziestu metrów. Na końcu drogi skręciły w prawo, w Moor Street, i stracił je z oczu.

Wtedy się zaczęło... Ciągły szum przerywany pojedynczymi zawołaniami. Mężczyzna skręcił za rogiem i nagle znalazł się w samym środku wielkiego poruszenia — na jednym z najstarszych w kraju targów ulicznych.

W leżącym dwadzieścia kilometrów na północ od Liverpoolu Ormskirk czwartek był jak sobota targowa. I to się nie zmieniło od 1286 roku, gdy mnisi z leżącego nieopodal klasztoru Burscough otrzymali od króla Edwarda I wyjątkowe zezwolenie na urządzenie cotygodniowego kiermaszu ulicznego.

Sceneria najwyraźniej zrobiła na mężczyźnie wrażenie. Zatrzymał się bowiem przy The Gold Lion, pubie na samym rogu, z ogródkiem, w którym ludzie siedzieli przy piwie albo kawie. Czyżby na dobre stracił z oczu cztery dziewczynki? Nie...

Były przed okienkiem samochodu z lodami z logo Southport Whippy. Samochód stał niemal na samym pomniku hrabiego Beaconsfield i stanowił ogromną pokusę. Nie tylko dla małałatów ze szkoły na Greetby Hill, ale dla każdego, kto tędy przechodził.

Mężczyzna ostrożnie zbliżał się do czterech dziewcząt, które z zachwytem wpatrywały się w plakat prezentujący bogatą ofertę, na którą najwyraźniej nie miały pieniędzy. Mężczyzna ugiął kolana i właśnie miał położyć dłoń na ramieniu rudowłosej, gdy jedna z koleżanek dostrzegła stojak z koszulkami Disneya i pociągnęła ją za sobą.

Mężczyzna wyprostował się i ponownie podjął śledzenie, jakby nic się nie stało. Tłum się zagęszczał, w miarę jak zbliżali się do szerokiego deptaka Moor Street, głównej ulicy handlowej w mieście.

Za każdym razem, gdy dziewczynki przystawały — a przystawały wiele razy — mężczyzna również się zatrzymywał. W ten sposób łowca i zdobywca przebrnęli przez całą Moor Street, aż dotarli do niewielkiej wieży z zegarem na środku ulicy, dumy miasta.

Dziewczynki zatrzymały się przed wózkiem z hot dogami i innymi pysznościami. Wózek stał bezczelnie przed samą wieżyczką. Tu historia się powtórzyła — nie ma pieniędzy, nie będzie hot dogów... Mężczyzna znów się zbliżył.

W tym miejscu, przy wieży zegarowej, nastąpiła kulminacja pościgu. Jakiś gwiazdor w wieku emerytalnym, z imponującą grzywą i ze złotym łańcuchem na szyi, na zaimprovizowanej scenie z linoleum zawzięcie próbował przekonać okalające go wianuszkami gospodynie, by nie opuszczały targu, nie kupiwszy jego Magic Mopa, który da sobie radę z najtrudniejszymi nawet podłogami.

Dziewczynki znów nieświadomie umknęły swojemu prześladowcy, przeskoczywszy na drugą stronę wieży, gdzie inny starszy pan sprzedawał wosk polerski.

Gdy tylko zaczął ze swoją szmatką obrabiać fragment starego zderzaka, mężczyzna, który cały czas szedł za dziewczynkami, podszedł do rudowłosej, lekko ugiął kolana i położył jej dłoń na ramieniu. Ciepłym głosem zapytał:

— Cześć. Czy ty aby nie masz na imię Emily?

— Tak.

Dziewczynka skinęła głową i popatrzyła na mężczyznę podejrzliwie, kątem oka śledząc ruchy szmatki na zderzaku.

— Ja jestem Bryan. Przyjaźnię się z twoim tatą. Właściwie to nawet razem pracujemy. Będę na jego urodzinach w przyszłym tygodniu. I kiedy cię przed chwilą zobaczyłem, to coś mi przyszło do głowy. Co ty na to, żebyśmy nagrali razem filmik, w którym złożysz mu życzenia? To mu sprawi niesamowitą frajdę, jak mu to puścimy z chłopakami. Co ty na to — zgodzisz się?

Dziewczynka spojrzała mu prosto w oczy.

— Ale... ja pana w ogóle nie znam.

— Mieszkam tu, w Ormskirk. Twój tato często mi pokazywał twoje zdjęcia. Po prostu nigdy wcześniej cię tu nie spotkałem... Zobacz, to nam zajmie tylko chwilę. Nagramy filmik tu, gdzie stoimy. Złożysz mu życzenia i na koniec oboje mu pomachamy. Okej? Jak się zgodzisz, to ci dam dziesięć funtów, żebyście mogły sobie z koleżankami kupić coś dobrego.

Dziewczynka jeszcze przez chwilę się wahała. W końcu pokiwała

energicznie głową i zapomniała o porysowanym zderzaku. Mężczyzna odciągnął ją kawałek od tłumu.

— Może usiądź na tej ławce obok wieży zegarowej — powiedział mężczyzna i wyjął z kieszeni telefon.

— Tato będzie robić przyjęcie? — spytała.

— Tak. Nic wielkiego, parę osób z pracy. Jakiś obiad i potem parę piw. Gotowa?

Dziewczynka przytaknęła. Uniósł telefon.

— Policzę do trzech i wtedy zaczniesz, dobra? Raz, dwa, trzy.

— Cześć, tato! Mam nadzieję, że masz superurodziny. I dostałeś pełno prezentów. Tęsknię za tobą. Strasznie. Kiedy po mnie przyjedziesz, żebyśmy mogli coś razem porobić? Kocham cię.

Dziewczynka posłała ojcu buziaka. Mężczyzna, nie przerywając nagrania, usiadł obok niej i z telefonem w wyciągniętej ręce powiedział:

— Dobra, teraz machamy.

Objął ją ramieniem i oboje energicznie pomachali, nim przerwał nagrywanie.

— Wielkie dzięki, Emily. Chcesz obejrzeć? Zobacz.

Kiedy krótki film się skończył, mała tylko prychnęła.

— Fajny pomysł. Pozdrów tatę ode mnie i powiedz mu, że czekam, aż do mnie przyjedzie. Powiedz, żeby przyjechał niedługo, dobrze?

— Jasne, przekażę mu. Trzymaj, zgodnie z obietnicą to są twoje pieniądze. Dziękuję za pomoc.

Mężczyzna wcisnął w dłoń dziewczynki banknot.

— Jeszcze jedno — zachowajmy to w tajemnicy, dobra? To ma być niespodzianka. Zresztą mama pewnie by ci kazała oddać mi pieniądze, jakby się dowiedziała, więc lepiej nic jej nie mówmy, dobrze?

Dziewczynka z powagą pokiwała głową.

Poklepał ją lekko po ramieniu i mała pobiegła do koleżanek.
Mężczyzna został na ławce i wyglądał na zamyślnego.

Rozdział 17.

Za ladą hotelowej recepcji wciąż pracowała ta sama kobieta co wtedy, gdy się meldował. Wyglądała, jakby miała bliskowschodnie korzenie, na co wskazywał również jej akcent. Siedziała i jadła coś zapakowanego w papierki, jednocześnie patrząc w ekran małego telewizora na ścianie.

Nawet na niego nie spojrzała, kiedy ją mijał, ale czuł, że kątem oka sprawdziła, czy jego twarz wygląda znajomo.

Wciąż nie wiedział, jak się nazywa ten przybytek, bo połowa neonu nad wejściem była stłuczona. Zachowało się tylko słowo „Hotel” napisane okrągłymi, zielonymi literami. Hotel był mały, skromny i położony w nieco zapuszczonej uliczce jakiś kwadrans pieszo od największej stacji kolejowej Liverpoolu, Lime Street, na którą wjechał wieczorem dwa dni temu.

Zostawienie po sobie jakiegokolwiek śladu elektronicznego nie wchodziło w grę. Nie chciał się z góry rejestrować, nie chciał opłacać kaucji za rezerwację ani udostępniać informacji o karcie kredytowej. Dlatego nie zamówił noclegu przed wyjazdem. I dlatego to miejsce było dla niego idealne.

Zapłacił gotówką za trzy noce z góry. Dramatyczne wydarzenia z ostatniego roku nauczyły go, że tożsamość jest czymś, co się na siebie wkłada jak koszulę. I akurat w tym momencie „Niels Oxen” leżał na samym dnie szafy. To nazwisko w tej chwili było zabronione, a jego używanie wiązało się ze śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Przedstawił się jako Erik Petersen z Danii, zgodnie z tym, co stało w paszporcie, na który kobieta nie chciała nawet zerknąć.

Był jeszcze jeden plus tego miejsca — hotel był mały, liczył zaledwie osiemnaście pokoi. A on nie miał ochoty codziennie mijać dzikich tłumów.

Wszedł na drugie piętro i otworzył drzwi. Pokój był tylko odrobinę większy od schowka na szczotki, ale było w nim wszystko, czego potrzebował. Rzucił się na łóżko, które było niewygodnie miękkie, obrócił się na plecy, odrzucił w bok ręce i wziął kilka głębokich wdechów.

Dzisiejsza wędrowka po zatłoczonych chodnikach i przebieganie po pasach mocno go zmęczyły. Był zmuszony trochę się pokręcić po ulicach Liverpoolu, bo skończył mu się prowiant. Kupił chleb, wędlinę i owoce. Jedynymi luksusami w jego pokoju były stary czajnik elektryczny i trzy małe saszetki z kawą, już dawno zużyte. Dlatego kupił też słoik kawy rozpuszczalnej.

Po wielu miesiącach życia na zwolnionych obrotach na wyspie Klöverön tempo ostatnich dni wydawało mu się szalone. Znow leżał w nowym łóżku i w nowym miejscu.

Długa podróż pociągiem wiązała się z mniej dokładną kontrolą bezpieczeństwa, niż gdyby wybrał samolot, a jednocześnie dawała mu mnóstwo czasu na zaplanowanie dalszych kroków na podstawie materiałów, które Pastor przywiózł od Fritsena.

Komórkę i małego laptopa, które trzymał w torbie, kupił jeszcze w Sønderborgu przed wyjazdem. Oba urządzenia były ważne dla powodzenia jego misji. Telefon, na kartę, był nie do namierzenia. Postanowił raz jeszcze przejrzeć plan miasta Runcorn, zanim pozwoli sobie na drzemkę.

Zgodnie z jego podejrzeniami żołnierz, którego powalił w stajni przy zamku Gram, nie nazywał się Mark Johnson. Paszport był fałszywy. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Alistair MacDuff i był Szkotem. Liczne dane z jego telefonu — a w szczególności esemesy i e-maile oraz rozmaite pokwitowania — były jak przewodnik po właścicielu i jego życiu.

W normalnych okolicznościach, gdyby najemnik odkrył, że jego telefon trafił w ręce wroga, przedsięwzięłby wszelkie środki ostrożności. W tym wypadku było inaczej. MacDuff najwyraźniej zachował spokój i po prostu kupił sobie nowy aparat. Cel jego duńskiej misji — weteran wojenny Niels Oxen — był przecież tak martwy, jak to tylko możliwe. Wysłany pociskiem z raketnicy

wprost do piekła na otwartym morzu.

Alistair MacDuff... Bez względu na napięcie, jakie czuł w związku z tym, co go czekało, musiał zebrać siły i odczekać. To, co być może będzie musiał zrobić jeszcze dziś, najlepiej zrobić po zmroku. Prześpi się trzy godziny, potem wstanie i weźmie prysznic. A potem pojedzie pociągiem do Runcorn. Tam się okaże — wóz albo przewóz.

Rozdział 18.

Pociąg jadący z London Midland do Birmingham tuż po trzeciej wtoczył się na peron jego stacji docelowej. Miasto Runcorn leżało na południowym brzegu rzeki Mersey, tylko dwadzieścia minut samochodem od Liverpoolu.

Był najedzony. I wyspany. Wziął prysznic. Czuł się wypoczęty. Był gotów do podjęcia długiej i śmiertelnie niebezpiecznej misji.

Wysiadł, przeszedł przez małą poczekalnię i bez wahania ruszył w dół, w stronę starej części miasta. Trasy od dworca do lokalizacji obiektu nauczył się na pamięć, tak jak został wyszkolony.

Wiedział, ile czasu zajmie mu dotarcie do obszaru działań. Wiedział, co będzie mijał po drodze, bo wielokrotnie odbył tę wędrowkę z funkcją Google Street View.

Jedynym, co do czego nie miał całkowitej pewności, było to, czy w istocie zastanie Alistaira MacDuffa w miejscu docelowym. W dwóch różnych biurach numerów uzyskał potwierdzenie, że obiekt nadal jest zameldowany przy Collier Street. Ale mógł wyjechać albo wyprowadzić się bez zgłaszania tego w ewidencji. Najbardziej prawdopodobne było jednak, że Alistair MacDuff wciąż mieszkał pod numerem jedenastym, przy samej rzece.

Za dziesięć minut ta ostatnia wątpliwość zostanie rozwiana.

Przeszedł przez most nad starym kanałem biegnącym przez miasto i kończącym się łagodnie właśnie w tym miejscu. Wąskie kanadyjki stały na wodzie jedna przy drugiej, jak papierosy w papierośnicy. Ze swojego miejsca widział poniżej dostojny ceglany dom z murem pruskim, który rozpoznał z wirtualnego spaceru. Przypominał klasyczny angielski zajazd — może pochodził z czasów, gdy tutejszy kanał był ważną arterią dla transportu wodnego? W Google nie widział za to szyldu nad

głównym wejściem. Szylid głosił: „Wat Phra Singh UK”. Poniżej, na mniejszej tabliczce, przeczytał ku swojemu zaskoczeniu, że miejsce jest buddyjską świątynią.

Tak właśnie jest z przygotowaniami. Trzeba być tak dokładnym, jak to tylko możliwe. A potem, gdy już wyskoczysz z helikoptera albo gdy zwinąłeś spadochron po skoku w środku nocy, pozyskane informacje i plany trzeba poddać próbie w zderzeniu z rzeczywistością.

To stare przemysłowe miasteczko liczyło około siedemdziesięciu tysięcy mieszkańców, z których większość mieszkała na przedmieściach. On z kolei zmierzał właśnie w stronę starej części miasta i im bardziej się do niej zbliżał, tym wyraźniej widać było jego upadek.

Gdy dotarł do biegnącej wzdłuż rzeki Mersey Road, przyśpieszył kroku. Skręcił w lewo i nagle było tak, jakby niebo zniknęło.

Szedł pod wielkim, masywnym mostem, który zaczynał się na zboczu i rozciągał na całą szerokość rzeki Mersey. Był to świat równoległy, królestwo konstrukcji nośnych z żelaza i betonu. Oraz róg obfitości gruzu i wielkogabarytowych śmieci.

Gdy wyszedł po drugiej stronie, przez jakieś pięćdziesiąt metrów poruszał się w słońcu, po czym wszystko się powtórzyło — tyle że w mniejszej skali — kiedy wszedł pod most kolejowy biegnący równoległe z mostem drogowym.

Teraz był już niemal u celu. Przed nim ciągnęła się Collier Street. Szesnaście wąskich, przylegających do siebie fasad. Niektóre z czerwonej cegły, inne brązowe, a jeszcze inne pomalowane na biało albo beżowo. Szesnaścioro drzwi wejściowych, obok każdego wejścia okno salonu i jeszcze jedno na pierwszym piętrze. W niektórych wisiały skromne firanki. Collier Street trudno było nazwać modnym adresem z widokiem na rzekę.

Zwolnił kroku, aż zatrzymał się, by zasznurować but, pod numerem jedenastym. Nad otworem na listy widniała naklejka z nazwiskiem „Alistair MacDuff”. To zmniejszyło niepewność. Właśnie miał wstać, gdy usłyszał jakiś dźwięk z wnętrza domu.

Rozwiązał i ponownie zawiązał sznurówkę w drugim bucie.

Brzmiało to jak przesadnie głośno podkreślony dźwięk w telewizorze. Coś o tym, że minister finansów przewiduje problemy? Wiadomości? Ależ tak, co w tym dziwnego. Alistair MacDuff siedział w domu i oglądał telewizję.

Zatem najbardziej kluczowy warunek dla powodzenia jego planu jest spełniony. Jeśli mu się poszczęści, będzie mógł uderzyć już dziś wieczorem. Wyprostował się i spokojnie poszedł dalej, do końca tego rzędu domów, po czym skręcił w górę, w ulicę biegnącą wzdłuż tych samych domów, lecz od tyłu.

Tak jak wszystkie były do siebie podobne od frontu, tak samo identycznie wyglądały wąskie domki od tyłu. Małe tylne podwórka były rozdzielone wysokimi murkami i zapełnione małymi przybudówkami. Obok każdej furtki stał duży kubeł na kółkach. Za domem MacDuffa kubeł zagradzał wejście na podwórko, które wyglądało jak złomowisko.

Widział już wszystko, co mu było potrzebne. Teraz powinien zająć pozycję.

Okrężną drogą wrócił w okolice mostu drogowego. Ktoś pod jednym z betonowych filarów wyrzucił stertę odpadów kuchennych. Buszował w nich wielki szczur i nawet nie drgnął, kiedy Niels go mijał. Kawalek dalej, na półce w konstrukcji mostu, ktoś urządził sobie nocną nasiadówkę. Wokół wystygłych resztek ogniska wały się puste butelki i puszki.

Podniósł z ziemi karton i wrócił pod most kolejowy. Tam znalazł miejsce, z którego miał idealny widok. Zgniół pudełko na płasko, usiadł i oparł się plecami o jeden z dużych filarów.

Czasami najlepszym kamuflażem jest coś budzącego powszechną pogardę. Tylko na odcinku od dworca do tego miejsca natknął się na dwóch bezdomnych — jednego przy kanale i drugiego na chodniku pod kościołem. Najprawdopodobniej nikt w tej okolicy nie nabierze podejrzeń, jeśli zobaczy kolejnego biedaka na kawałku tektury.

A punkt obserwacyjny był naprawdę doskonały. On sam był

częściowo ukryty za gołymi gałęziami drzew, ale miał za to po skosie otwarty widok na Collier Street. Kosz na śmieci ustawiony przed samą furtką i gąszcz gratów na tylnym podwórku wskazywały, że Alistair MacDuff korzysta wyłącznie z drzwi frontowych. A gdyby nawet się pomylił, i tak była spora szansa, że dostrzeże MacDuffa, bo ten najprawdopodobniej wybierze pierwszą wiodącą w górę ulicę — również widoczną z jego miejsca pod mostem.

Przez pierwszych sto trzydzieści minut prawie się nie ruszył ze swojego kartonu. W szeregu domów przy Collier Street poczynił w tym czasie tylko trzy obserwacje: chodnikiem przeszła kobieta z dzieckiem w wózku spacerowym. Młoda para wsiadła do samochodu i odjechała. Gruby mężczyzna w średnim wieku wyszedł z domu i poszedł dokądś pieszo.

Nagle otworzyły się kolejne drzwi. Starsza pani wytaszczyła z domu wózek na zakupy. Obserwacja numer cztery.

Wstał, żeby rozprostować kości, i wyszedł z cienia przęsła mostu, pod którym siedział. Na sąsiednim moście drogowym ruch się nasilił. Na wielopasmówce pociągniętej na wysokości trzeciego piętra w obu kierunkach mknęły samochody osobowe i ciężarowe.

Wciąż nie spuszczał z oka Collier Street. Pod jeden z domów podjechał zdezelowany fiat. Obserwacja numer pięć. Wysiadł z niego chudy szczyl w czarnej bluzie z kapturem i zniknął za drzwiami mieszkania numer siedemnaście.

Silver Jubilee Bridge był prawdziwym węzłem komunikacyjnym. Rzucił się w oczy pastelową zielenią i łagodną, zaokrągloną konstrukcją nośną przypominającą kolejkę górską.

Był odpływ. Wody pod mostem było niewiele. Za to całkiem inaczej było w kanale, który był głębszy i biegł równolegle do rzeki, oddzielony od niej jedynie grubym murem. Manchester Ship Canal był jak sznurek w kolorze błękitnego nieba.

Rzeka Mersey wyglądała przy nim jak cienkie meandry wody w szerokim korycie błota.

Powędrował wzrokiem w górę rzeki. Wielka góra osadu żyznej gleby Lancashire i Cheshire leżała niczym lśniący w słońcu jezior rozwalona niemal na całą szerokość koryta. W oddali widział pracowników budujących kolejny most, a jeszcze dalej, na horyzoncie, wyrastały przysadziste kominy elektrowni.

Wrócił na swoje siedzisko. Podciągnął kolana pod brodę, daszek czapki nasunął głęboko na czoło i wprowadził się z powrotem w tryb wyczekiwania.

Minęła godzina, a on nie poczuł ani odrobiny zniecierpliwienia. Obserwacją numer sześć była ta sama staruszka, która wróciła z torbą wypchaną zakupami. Numerem siedem był chłopak w bluzie z kapturem, który wyszedł z budynku, wsiadł do samochodu i odjechał. Ósemką było małżeństwo w średnim wieku, które podjechało pod swój dom samochodem.

Minął niemal kwadrans bez żadnego ruchu. A potem otworzyły się drzwi z numerem jedenaście. Mężczyzna, który wyszedł na chodnik, był wysoki, dobrze zbudowany i miał krótko ostrzyżone włosy. Ubrany był w luźne spodnie w kolorze khaki i niebieską bluzę z kapturem. Na nogach miał białe sportowe buty, a przez ramię przewieszoną czerwoną sportową torbę. Obserwował go, jak zamykał na klucz drzwi frontowe.

Oto Alistair MacDuff. Obiekt pieszo oddalał się z miejsca zamieszkania.

Zamarł w bezruchu. MacDuff minął go, idąc drugą stroną ulicy i nie widząc niczego poza swoim telefonem.

Podniósł się i kucając, czekał na odpowiedni moment, by pójść za swoim celem.

Rozdział 19.

Alistair MacDuff szedł rozkołysanym krokiem, który musiał chyba pasować do muzyki w słuchawkach wetkniętych w uszy. Odbił w górę, w wąską Waterloo Road. Przystanął, wyszarpnął słuchawki z uszu i pozostawiwszy je wiszące na szyi, wdał się w rozmowę z mężczyzną w średnim wieku.

Utrzymywał od obiektu bezpieczną odległość i dbał, aby w każdej chwili móc się ukryć. Teraz stał za samochodem dostawczym i czekał, aż obiekt ruszy dalej.

Po pięciu minutach mężczyźni się pożegnali i MacDuff poszedł dalej Church Street, główną ulicą starej części miasta, skąd odbił w boczną uliczkę wiodącą do małego ryneczku. Tam wszedł do The Co-Operative Food wyglądającego na duży supermarket.

Niels poszedł dalej w stronę parkingu, gdzie w najdalszym rogu znalazł minibusa i schował się za nim. Już po chwili MacDuff wyszedł ze sklepu z siatką w ręce, przeszedł parking po skosie i zniknął w wąskim przejściu między dwoma dużymi budynkami mieszkalnymi po drugiej stronie drogi. I z pola widzenia...

W tej grze, kiedy obiekt zniknął, następował moment krytyczny — tu w dodatku obiekt zniknął na nieznanym terenie. Niels musiał ruszyć za nim. W przeciwnym razie mógłby go zgubić.

Kiedy wkrótce potem wyszedł na teren przypominający park, zrozumiał, że wahał się za długo. Nigdzie nie było mężczyzny z czerwoną torbą. Nad kanałem biegła kładka dla pieszych. Kiedy nią szedł, nagle dostrzegł MacDuffa na ławce w krzakach. Szkot trzymał na kolanach karton mleka. Jedną ręką wystukiwał na udzie rytm melodii grającej mu w uszach, a w drugiej trzymał banana, którego pochłoniął w kilku zaledwie kęsach. Skórkę wrzucił do kanału.

Obok sportowej torby leżała kiść bananów i coś czerwonego, co

wyglądało jak pudełko rodzynek. Domyślił się już, dokąd zmierza jego rosły wojak. Gdy taki typ opycha się bananami i rodzynekami i zapija to wszystko mlekiem, może to oznaczać tylko jedno: Alistair MacDuff idzie przerzucać żelazo.

Chwilę potem obiekt wstał, schował do torby swoje dobra, dopił mleko i zostawiwszy karton na ławce, ruszył w stronę kładki. Za kanałem poszedł w górę stromego zbocza.

On sam rzucił się biegiem i kilkoma długimi susami znalazł się na szczycie tego samego zbocza. W samą porę, by dostrzec MacDuffa, jak przechodzi przez ruchliwą, wielopasmową drogę i znika po drugiej stronie między stacją benzynową a Starbucksem.

Przy pierwszej okazji on też przeszedł na drugą stronę i wkrótce znalazł się na parkingu przed dużym centrum meblarsko-ogrodowym. Nad wejściem do budynku obok wisiał szyld z napisem „Pure Gym”. Alistair MacDuff właśnie wchodził do środka szklanymi drzwiami.

Tym samym obserwacja została czasowo wstrzymana. Mógł jedynie znaleźć sobie jakieś dobre miejsce do przeczekania.

Gdyby było ciemno, bez wahania wróciłby na Collier Street i zajął swoją ostatnią pozycję, ale włamywanie się do domu MacDuffa w biały dzień było zbyt ryzykowne. Musiał poczekać na odpowiednie warunki. A jeśli się nie doczeka, to trudno — jutro też jest dzień.

Wszedł do centrum ogrodowego rozejrzeć się za czymś, co mogłoby mu się przydać — znalazł rolkę taśmy izolacyjnej i rękawiczki.

Sok, kanapka i filiżanka kawy. Tyle zmógł, siedząc w punkcie obserwacyjnym w Starbucksie. Szare chmury przegoniły piękną wiosenną aurę i właśnie zaczęło kropić.

Minęły sto trzydzieści cztery minuty, nim Alistair MacDuff wyszedł z siłowni, a on mógł na nowo podjąć trop.

Nie zatrzymawszy się ani razu, Szkot wrócił na główną ulicę, ale zamiast skręcić w lewo, w stronę domu, odbił w prawo i wszedł do lokalu o nazwie The Ferry Boat.

Dyskretnie zerknął przez okno, kiedy sam dziesięć minut później tamtędy przechodził. Obiekt siedział przy jednym z pierwszych stolików przy drzwiach. Przeglądał gazetę, przed nim stał kufel ciemnego piwa. Lokal był dużą otwartą przestrzenią. Na pierwszy rzut oka przypominał skrzyżowanie pubu z kawiarnią. Długi bar z nalewakami piwa i mnóstwo stolików. W środku sporo ludzi. Wielu przyszło coś zjeść.

Kiedy piętnaście minut później znów mijał szerokie okno, Alistair MacDuff również w skupieniu jadł z wielkiego talerza.

Dalej padało, tyle że mocniej. Zaczęło też się ściemniać. Zapalono już latarnie, ale wciąż nie było wystarczająco ciemno. Będzie musiał znaleźć sobie nowy punkt obserwacyjny i zaczekać.

Jeśli MacDuff po kolacji pójdzie prosto do domu, będzie to dla niego oznaczało koniec na dziś. Wróci pociągiem do Liverpoolu i swojego pokoju hotelowego i przyjedzie tu jutro zaczekać na nową, lepszą okazję. Albo pojutrze. Albo popojutrze, albo... Alistair MacDuff był zbyt ważnym elementem jego planu, aby cokolwiek robić na siłę.

Przeszedł na drugą stronę, gdzie były przystanki autobusowe, i tam schronił się przed deszczem. Ze swojego miejsca po skosie widział ulicę. Oddzielała go od niej ściana wody. Deszcz połyskiwał w blasku wysokich, starodawnych latarni i świateł samochodów. Ludzie pierzchali we wszystkich kierunkach. Wybiegali z autobusów i samochodów. Nagle w krajobrazie miasta wystrzeliły parasole.

Niedługo, może piętnaście minut, trwało, nim Alistair MacDuff wyszedł z The Ferry Boat. Szedł spokojnym krokiem z torbą przewieszoną przez ramię i zdawał się nic sobie nie robić z ulewy.

Niżej, na końcu Bridgewater Street, MacDuff przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł do pubu na rogu, The Clarendon, jak głośiły złote litery na szczycie fasady.

On sam ukrył się w oparach smażonego oleju pod markizą chińskiej budki i tam odczekał dłuższą chwilę, nim ruszył w kierunku pubu. Trzymał się blisko muru. Nasunął czapkę na czoło, kiedy dostrzegł szansę zerknięcia w jedno z okien.

Przestrzeń w środku całkowicie zdominował ogromny ekran wiszący na ścianie. W tej chwili całkiem zielony — jak murawa boiska do piłki nożnej. Przy stolikach przed ekranem półkole męskich karków. MacDuff swoją czerwoną torbę rzucił na wolne krzesło obok. Siedział jako drugi od lewej. Do stolików co chwila przynoszono kolejne kufle. Potem pokazało się zbliżenie na sędziego, który gwizdkiem rozpoczął mecz.

To wystarczyło, by rozpalić jego nadzieję. W zasadzie już się pogodził, że dziś się nie uda, ale teraz wyglądało na to, że szczęście jednak mu dopisało.

W kilka minut dotarł pod dwa mosty i dalej ulicą przeszedł na tyły domów przy Collier Street. Tam podciągnął się na rękach, przerzucił nogi nad murkiem i zeskoczył na podwórko MacDuffa.

Jego obiekt tych kilka metrów kwadratowych podwórka wykorzystał w stu procentach — zapełnił je zepsutymi rowerami, suszarkami na pranie, zardzewiałą pralką i karoserią motocykla. Sprytnemu Szkotowi udało się tu nawet wcisnąć mały plastikowy stolik ogrodowy.

Włożył rękawiczki ogrodowe. Tylne drzwi były zamknięte na klucz. Już miał obkleić taśmą którąś z szyb, by możliwie najciszej ją wybić, kiedy zauważył uchylone okno nad swoją głową, na pierwszym piętrze.

Mocno chwycił się rynny, stanął na parapecie i zaczął się podciągać. Po kilku ruchach mógł zarzucić kolano na pokryty smołą dach przybudówki. Stając na jego krawędzi, mógł postawić drugą nogę na parapecie górnego okna, odhaczyć skobel i wejść do środka.

Znalazł się w mikroskopijnej sypialni. Na łóżku kołdra i poduszka, wymięte i rozrzucone. Najpierw chciał się rozeznaczyć. Potem wszystko dokładnie przemyśli. Po drugiej stronie schodów MacDuff miał pokój telewizyjny i biurko z komputerem.

Kiedy zszedł na dół, okazało się, że na tylne podwórko wychodzi okno kuchenne. W zlewie piętrzyły się brudne talerze. Szybko przejrzał zawartość szafek i szuflad. Wszędzie to samo i jeden wniosek — Alistair MacDuff nie przepadał za gotowaniem. Jego zapas piwa i chipsów zdecydowanie przewyższał zapas produktów żywnościowych.

Poza kuchnią na parterze znajdowały się toaleta i pokój dzienny z oknem wychodzącym na ulicę. Pokój był wręcz zagracony meblami. Wepchnięto tu zarówno sofę, jak i stół jadalny, a wszystko pokrywała znaczna warstwa kurzu.

Wrócił na górę i zbadał sypialnię. W rogu znalazł jeszcze jedną sportową torbę — tym razem żółtą, a w niej mnóstwo sprzętów do ćwiczeń siłowych.

Wystarczyło mu już tamto pierwsze spojrzenie z progu do pokoju telewizyjnego, by wiedzieć, że to tam toczyło się życie lokatora tego mieszkania. Teraz wszedł, by rozejrzeć się dokładnie.

Na ścianie wisiał duży czerwony szalik z hasłem: „You’ll never walk alone”. I choć niespecjalnie interesował się futbolem, tyle mu wystarczyło, by się domyślić, że Alistair MacDuff był zagorzałym kibicem FC Liverpool.

Na małym stoliku obok skórzanej sofy stał brudny talerz, obok były nóż i widelec. Oraz puszka po piwie. Na ścianie wisiał duży płaski ekran.

Małe biurko ze stacjonarnym komputerem stało pod przeciwległą ścianą, gdzie również stał regał. Włączył komputer, ale system był chroniony hasłem, więc wyłączył sprzęt. Po obu stronach biurka były szuflady. Szybko przejrzał je wszystkie. W najniższej szufladzie po lewej znalazł pistolet. Browning Hi-Power 9mm, należący do ulubionej broni brytyjskich oddziałów specjalnych SAS. Pusty magazynek leżał obok, podobnie jak pudełko z amunicją.

Chwilę się wahał. Ostatecznie napełnił magazynek. Nie chciał oczywiście ryzykować przewożenia broni pociągami ani nie mógł jej załatwić ot tak. MacDuffa zamierzał spacyfikować dwiema

opaskami zaciskowymi. Browning dobrze leżał w dłoni, choć stylistycznie niezbyt pasował do kolorowej rękawiczki. Włożył magazynek i schował pistolet do kieszeni.

Teraz był znacznie spokojniejszy co do bezpośredniej konfrontacji, która go czekała.

Przestudiował zawartość regału. Zainteresowania literackie MacDuffa ograniczały się do zajmujących kilka metrów przestrzeni półkowej kolekcji kolorowych magazynów posegregowanych tematycznie: piłka, samochody, świerszczyki. Do tego kilka półek zastawionych encyklopediami piłkarskimi, kasetami VHS z najlepszymi golami i pornosami. Pobieźnie przejrzał pudełka.

Tym samym sprawdził całe mieszkanie i poza pistoletem nie znalazł nic. Po prawdzie nie wiedział, czego szukał poza bronią właśnie. Chciał jedynie rozeznać się w terenie i zabezpieczyć na wypadek nieprzewidzianych okoliczności.

Tego go nauczono — poruszania się na wrogim terenie.

Była dwudziesta trzecia trzydzieści. Od półtorej godziny siedział na półpiętrze. Wielokrotnie już przyszło mu do głowy, że być może Alistair MacDuff po wizycie w pubie wcale nie pójdzie prosto do domu.

Godziny otwarcia pubów były ściśle regulowane i nie przekraczały dwudziestej trzeciej. Może poszedł gdzieś z kolegami — albo miał kobietę, z którą się spotykał po paru piwach i meczu? Postanowił, że poczeka góra do pierwszej. I wtedy usłyszał ciężkie kroki przed drzwiami.

Poderwał się, odciągnął kurek browninga, wszedł do sypialni i ostrożnie wyjrzał na korytarz.

Słyszał klucz wsuwany do zamka drzwi wejściowych. Oraz ich otwieranie...

Rozdział 20.

Tylko fikcyjni bohaterowie albo kompletni amatorzy i frajerzy przyciskają ludziom broń do karku. W świecie, w którym on przywykł się obracać, liczyło się przetrwanie i broni należało okazywać szacunek. Dlatego zawsze trzymało się dystans. Swój margines, własne pole manewru. *Dystans* był istotny pod każdym względem i zawsze powinien być uwzględniany w łącznej ocenie sytuacji — bez względu na kontekst.

W obecnym kontekście dystans wynikał z prostej konstatacji, że byłoby dużą lekkomyślnością zajść od tyłu przeciwnika, który mógł być wyjątkowo szybkim i doskonale przeszkolonym żołnierzem elitarnej jednostki, i przyciskając mu broń do pleców, wypowiedzieć kultową kwestię „ręce do góry”. Byłoby to naruszenie własnego bezpiecznego dystansu.

Jego oryginalny zamysł był taki, by na początek po prostu powalić MacDuffa na ziemię, rzuciwszy się na niego od tyłu. Lecz skoro teraz wszedł w posiadanie broni, sytuacja przedstawiała się inaczej. Wszystko wskazywało na to, że ten człowiek żyje w pokoju telewizyjnym. Dlatego postanowił poczekać na górze i pozwolić, by zwierzyna sama mu się wystawiła. Z półpiętra ostrożnie spojrzął w dół. Alistair MacDuff nucił pod nosem, otwierając drzwi. Wszedł do małego przedpokoju, zdjął bluzę i rzucił na wieszak.

Potem słyszał, że mężczyzna otworzył drzwi do ubikacji i odlał się z siłą wodospadu. Może do tego był pijany? Czy to możliwe, by miał aż takie szczęście?

Splukiwanie wody i kolejne kroki do kuchni, gdzie otwarto lodówkę i od razu zamknięto. Potem dostrzegł jeszcze głowę i plecy, nim całkiem schował się w sypialni, bo skrzypienie na schodach wskazywało, że pan domu zmierza do swojej jaskini. Po chwili mieszkanie wypełniło dudnienie telewizora i zawtórowało

mu charakterystyczne głośne syknięcie otwieranej puszkę. Za moment ekran wypełniła postać komentatora sportowego.

Schemat, który w skondensowanej formie objawił mu się w ciągu tych ostatnich kilku minut, dość dobrze pasował do wyobrażenia, jakie zdołał sobie wyrobić na temat życia Alistaira MacDuffa: ot, codzienność typowego macho, w której stałe miejsce zajmowały piwo i piłka nożna.

Ostrożnie zakradł się bliżej. Zatrzymał się na półpiętrze, zrobił jeszcze jeden krok i stanął w drzwiach pokoju.

— MacDuff! Wstań, bardzo wolno, podejdź na środek podłogi i połóż się na brzuchu!

Pistolet trzymał w sztywno wyprostowanych rękach i mierzył do mężczyzny wyciągniętego na kanapie z puszką piwa spoczywającą na brzuchu.

Żołnierz się wzdrygnął i na wpół usiadł na kanapie, zrzuciwszy puszkę na podłogę.

— No już! Wstawaj! Na podłogę. Twarzą do dołu. Głuchy jesteś?
— powtórzył rozkaz. Alistair MacDuff wykonał go ruchami wolnymi i czytelnymi, nie odezwał się ani słowem.

— Rozsuń ręce. I nogi!

MacDuff posłusznie zrobił, co mu kazał. Dopiero wtedy pochylił się nad nim i go przeszukał. Gdy stwierdził, że ten nic przy sobie nie ma, sięgnął po pilota na stoliku przy kanapie i wyłączył telewizor.

— Dobra. Możesz wstać. Tylko powoli. I siadaj na kanapie.

MacDuff posłuchał. Dopiero gdy usiadł na kanapie i spojrział na intruza, po raz pierwszy rzucił w jego stronę przez zęby:

— Coś ty za jeden? I o co ci, kurwa, chodzi?

Mężczyzna nie był może mocno pijany, ale z całą pewnością nie był trzeźwy. Za bardzo szklily mu się oczy.

— Po pierwsze: jeśli twoja broń jest w pełni sprawna, to powstrzymaj się od gwałtownych ruchów. Po drugie: dobrze mi

się przyjrzyj, a może coś ci zaświta.

Alistair MacDuff pokręcił głową.

— Nie, nic nie kumam... fajne rękawiczki. W sam raz dla cioty.

— Kupiłem w B&G, tego obok Pure Gym, twojej koksowni.

— Kurwa, śledziłeś mnie, gnoju?

Przytaknął.

— Zrobiłem *recon*... Byłeś w zeszłym roku w Danii na robocie, pamiętasz?

MacDuff się zamyślił. Nagle jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

— Chyba, kurwa, żartujesz... jak niby? Przecież nie żyjesz! Tak powiedział, kurwa. Oxen, ja pierdolę! Ty jesteś Oxen! Ale jak, kurwa, żeś to zrobił?

— Ustalmy po prostu, że nie umarłem. Jestem tu, bo chcę się dowiedzieć, który z was zabił staruszka w gospodarstwie rybnym — moim nożem. Muszę znaleźć tego gościa, bo to jest rachunek, który to on musi wyrównać z duńskim systemem sprawiedliwości. Nie ja. Dlatego pytam: kto to zrobił?

Alistair MacDuff kręcił tylko głową z niedowierzaniem i zaczął rechotać.

— Ja pierdolę, Oxen. Skąd niby mam wiedzieć? Nie masz, widzę, bladego pojęcia, jak to działa, co nie? Ja nic nie widziałem. Nie było mnie przy tym. A nie myślisz chyba, że ktoś się zgłosił i powiedział: „Ej, chłopaki, żeby była jasność, to ja załatwiłem starego...”.

— Zapytam raz jeszcze: kto to zrobił?

— Nie kumasz, co do ciebie mówię? Tępy jesteś, czy jak?

— Wiem, że stanowicie stały zespół ośmiu, góra dziewięciu osób. Część z was była świadkami zabójstwa staruszka. Wiem też, że ludzie między sobą gadają. Dlatego okazuję ci teraz moją cierpliwość i pytam ponownie: kto to zrobił? Może ty?

— Nie, kurwa!

— Wiem, kim jesteś. Mogę ściągnąć tu policję, a ona odstawi cię do Danii. Nawet jeśli to nie byłeś ty, i tak przemielą cię przez system. Warto? Na twoim miejscu zdecydowałbym się na rozwiązanie najprostsze i najszybsze — i zaczął mówić... I nawet mnie nie pytaj, skąd mam swoje informacje.

Alistair MacDuff milczał i co jakiś czas w zamyśleniu mlaskał językiem, jednocześnie czyszcząc sobie paznokieć drugim paznokciem. W końcu bezradnie rozłożył ręce na znak, że się poddaje.

— No dobra, *what the fuck*, tak, masz rację, gadamy między sobą. Tylko nie wiem, czy cokolwiek z tego może ci się na coś przydać.

— Przekonajmy się.

— To był jeden z twoich, Duńczyk...

— Jesteś pewny?

— Tak. Większość chłopaków to widziała. Ja byłem wtedy w lesie. Potem mówili, że starego dźgnął jeden z dwóch Duńczyków, którzy byli w naszej grupie. Zabijanie starych ludzi to prawdziwe draństwo... tak się nie robi, nie sądzisz?

— Przynajmniej zbliżamy się do prawdy. Czyli mówisz, że wynajęto dwóch Duńczyków?

— Tak. Myślę, że ze względu na język.

— I żadnych nazwisk, żadnych szczegółów, nic zupełnie, co mogłoby zawęzić pole poszukiwań?

— Z tego, co pamiętam z briefingu przed akcją, nigdy nie pracowałeś w naszej branży, mimo że jesteś komandosem. To prawda?

Potwierdził skinieniem. Bardzo dobrze, że Alistair MacDuff zaczyna się rozkręcać. Największa przeszkoda wciąż jednak była przed nim. Miał tylko nadzieję, że nie pomylił się w ocenie sytuacji.

— Nawpychali ci w dupę tyle orderów i wstęp, że na brudną robotę zrobiłeś się za dobry, co?

Nie odpowiedział. Najwyraźniej MacDuff był mimo wszystko dość pijany, by mieć ochotę na zaczepki. Był cholernie chamskim, wulgarnym idiotą, w żadnym razie nie był gwiazdą w swoim fachu. Jemu zaś zależało tylko na znalezieniu w nim czułego punktu. Bo większość ludzi taki miała.

— Ponawiam pytanie: czy pamiętasz jakiegokolwiek szczegóły, które mogą mi pomóc?

MacDuff pokręcił tylko głową.

— Nie. Jeden z nich był cholernie wysokim oprychem, koło dwóch metrów. Drugi całkiem zwyczajny. To on to zrobił. Ten zwyczajny.

Tak jak się obawiał, tym sposobem nic nie zyska. Wkrótce przejdzie do kroku numer dwa, zdecydowanie bardziej problematycznego.

— Oxen, chcesz piwa? Mam parę na dole w lodówce.

— Nie, dzięki. Zatem ani słowa o przeszłości tych dwóch, przeskoleniu, doświadczeniu, pracy — nic zupełnie?

— Człowiek trzyma gębę na kłódkę, dla własnego bezpieczeństwa. Zwłaszcza kiedy się spotyka nowe twarze. Tak już jest. Wszyscy tak robią. Nikt nie ma nazwiska. A jeśli ktoś ma, to możesz być pewien, że to ściema.

Wciąż nie ruszył z miejsca ani o krok. Było niestety całkiem możliwe, że Alistair MacDuff nie znał tożsamości Duńczyków. Co oznaczało, że pora na krok numer dwa. Stojący przy biurku fotel wysunął na środek podłogi, usiadł na nim, a ubraną w ogrodową rękawicę dłoń z bronią oparł na udzie. Może to stworzy atmosferę bardziej stymulującą pamięć?

— Jesteś kibicem Liverpoolu? — Głową wskazał czerwony szalik na ścianie.

— Bystrzak z ciebie, co? Za chwilę się okaże, że też idziesz za Liverpoolem i jesteśmy najlepszymi kumplami. Dobrze!

Bezczelny gnojek w ogóle nie czuł zagrożenia. Chwilę później rozmowa zmieniła ton. Podjął najbardziej niebezpieczny wątek.

— Lider waszej misji? Ten, który odpowiada za skład drużyny. Kto nim był?

MacDuff pokręcił głową i się uśmiechnął.

— Może od razu każ mi połknąć jebany granat, Oxen.

— Wciąż masz opcję wycieczki pod eskortą do Danii.

— Pracodawca jest święty. I jego pracodawca również. Istnieją pewne niepisane zasady, jeśli chcesz wiedzieć.

— Więc nie powiesz mi, kto cię wynajął — i tamtych Duńczyków też?

— Powinni ci dać jeszcze jeden medal — za wybitny zmysł analityczny. O ile masz jeszcze w dupie wolne miejsce.

Przełożył broń do drugiej ręki, zębami zdjął rękawiczkę i z kieszeni kurtki wyjął swój telefon. Klikając jedną ręką, znalazł to, czego szukał. Następnie wstał i podał telefon MacDuffowi.

— Niedługo masz urodziny, tak? To kliknij start i popatrz sobie.

MacDuff patrzył z obojętną miną na telefon leżący na jego otwartej dłoni, ale wcisnął ikonkę na ekranie.

„Cześć, tato! Mam nadzieję, że masz superurodziny. I dostałeś pełno prezentów. Tęsknię za tobą. Strasznie. Kiedy po mnie przyjedziesz, żebyśmy mogli coś razem porobić? Kocham cię”.

Alistair MacDuff siedział jak skamieniały. W końcu podniósł wzrok, płonący z wściekłości.

— Co to ma, kurwa, być? Spróbuj ją tylko tknąć. Tylko, kurwa, spróbuj, a już jesteś trupem. Kumas? Tylko ją tknij, a już po tobie, gnoju!

Niels w odpowiedzi wyciągnął tylko rękę.

— Poproszę mój telefon.

MacDuff pchnął go po blacie stolika, aż aparat spadł na podłogę. Podniósł go i z powrotem włożył sobie do kieszeni.

— Twoja Emily jest bardzo grzeczna. I ufna...

— Obleśna świnió!

MacDuff poderwał się z kanapy. On też wstał z fotela. Uniósł pistolet i wycelował w głowę komandosa.

— Siadaj!

— Mam tylko nadzieję, że dla własnego dobra zrozumiałeś, co powiedziałem. Bo inaczej jesteś martwy, skurwysynu — mruknął MacDuff, ale posłuchał.

On sam też wrócił na fotel, pistolet znów oparł o udo.

— Spróbuj pomyśleć perspektywicznie... Emily ma przed sobą całe życie. Ty za to co najmniej połowę swojego spapranego życia masz już za sobą. Może więc zacznijmy naszą rozmowę od początku, co, MacDuff?

Szkot długo się zastanawiał. A gdy się w końcu odezwał, zastrzegł:

— Nie mogę ci dać tego, czego oczekujesz. Ale może zdołam cię choć trochę naprowadzić.

— Zamieniam się w słuch.

— Szefem operacji był gość, który się przedstawia jako John Smith. Na przestrzeni lat pracowałem z nim mnóstwo razy. Kurwa, Oxen, to, czego teraz ode mnie żadasz, to największy syf! W mojej branży dyskrecja to kwestia honoru. Jeśli go znajdziesz... kurwa, jak on się dowie, to mi wypruje flaki!

— Niczego się nie dowie. Jest mi kompletnie obojętny. Chcę dorwać Duńczyka.

— Ale kto wie? Może to Smith dał rozkaz, żeby zabić starego?

— Tego dowiemy się z czasem. Zależy mi tylko na udowodnieniu mojej niewinności. Więc mówisz, że to John Smith. I gdzie go znajdę?

— No więc właśnie... tu jest problem. Bo go nie znajdziesz. On znajdzie ciebie.

W oczach Alistaira MacDuffa dostrzegł coś, co przypominało strach. Mężczyzna mówił dalej:

— Oczywiście wcale nie nazywa się John Smith, ale zawsze tak go nazywamy, kiedy jesteśmy na misji. I mimo że dużo dla niego pracowałem, to tak naprawdę niewiele o nim wiem.

— Jak wygląda procedura komunikacji?

— Żadnych telefonów, maili ani esemesów. Któregoś dnia staje w twoich drzwiach i pyta, czy jesteś gotów do akcji. Ma przy sobie kontrakt i całą resztę. Zawsze odpowiadałem „tak”. Wszystkie informacje dostajesz ustnie. Podobnie jak miejsce operacji — na ogół dopiero na lotnisku przed odlotem.

Więc kolejna ślepa uliczka. Było dokładnie tak, jak się obawiał od samego początku. Poziom wymiany informacji był niski, bo kodeks branżowy nakazywał ograniczenie jej do minimum. Podjął próbę wywarcia dodatkowej presji na MacDuffie, pokazując mu filmik z Emily. I tamten faktycznie coś z siebie wydusił — ale o wiele za mało.

— Słuchaj, MacDuff. Nie uśmiecha mi się gnić w więzieniu za coś, czego nie zrobiłem. Mam sporo kontaktów w jednostkach specjalnych, również z zagranicy. To moi dawni koledzy, komandosi tacy jak ty. Znam też parę grubych ryb w służbach wywiadowczych. Z twoją pomocą albo bez — za to na pewno przy ich wsparciu — doprowadzę tę sprawę do samego, tragicznego końca. I możesz być pewien, że zrobi się naprawdę gorąco, bo nie zamierzam chodzić na palcach. Aż któregoś dnia, gdy będziesz się tego najmniej spodziewał, ten granat i tak wybuchnie ci w łapach. I któregoś dnia również Emily może się przytrafić coś niedobrego. Dlatego musisz się bardziej postarać. O wiele bardziej.

To była jego ostatnia szansa. Bardziej dramatycznie się nie dało. Tym razem MacDuffowi udało się nad sobą zapanować. Powoli wstał z kanapy i wskazał ręką na regał.

— Podaj mi tę czerwoną kasetę z najwyższej półki — pierwszą od prawej. *Liverpool FC Goalshow tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt - tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt pięć.*

MacDuff otworzył pudełko, wyjął starą kasetę VHS, otworzył klapkę chroniącą taśmę i palcami wyjął coś z obudowy.

— To wszystko, co mam — powiedział, trzymając w dwóch palcach miniaturowy dysk USB. — Ale musisz mi pozwolić usiąść przy komputerze.

— W porządku. Siadaj, tylko spokojnie.

Wstał, przysunął fotel z powrotem do biurka i pistolet wycelował w MacDuffa.

Szkot usiadł, włączył komputer i wsunął dysk USB w przedni panel.

— Chwilę to potrwa — wyjaśnił. — To, co ci pokażę, to rodzaj mojego ubezpieczenia na życie.

Przypomniał sobie o własnym ubezpieczeniu, które nagle straciło ważność — o filmie z ministrem Rosborgiem mordującym dziewczynę.

— Patrz...

Alistair MacDuff uruchomił odtwarzanie fragmentu filmu. Mężczyzna w jasnobrązowym stroju polowym, który z bliskiej odległości kosi karabinem maszynowym grupę czarnoskórych.

— Tego akurat nie chciałem, żeby mi przykleili — wyjaśnił MacDuff. — Dlatego nagrałem wszystko telefonem.

— To jest John Smith?

— Nie... Ale ja też nie.

— Ja nie chcę, żeby mi przyklejali zabójstwo staruszka. To to samo, nie sądzisz?

MacDuff tylko mruknął poirytowany. Kiedy nagranie się skończyło, czarni leżeli w powykrzywianych pozach, a krew wsiąkała w zakurzoną ziemię.

— Byłeś kiedyś, kurwa, w Afryce, Oxen?

— Nie.

— To gdzie byłeś?

— W różnych miejscach. Między innymi w Iraku i Afganistanie.

— Hardcore?

Wzruszył tylko ramionami.

— Nie chcesz o tym gadać, co? Bo uważasz się za lepszego ode mnie, co? Z duńskiej jednostki specjalnej, Korpus Łowców... Że niby co — polujecie na zwierzynę? Na lisy? Albo strzelacie do kaczek? Łowcy, kurwa... myślałby kto...

MacDuff zachnął się urażony. Przez chwilę myślał, że są na dobrej drodze, by odbyć rozsądną rozmowę. A chwilę potem tamten znów się zamknął i tylko widać, jak wszystko się w nim kotłuje. Może dlatego, że tak już ma. Albo dlatego, że jest pijany.

MacDuff włączył następny film.

— Ten jest z Iraku — powiedział tonem nieco bardziej opanowanym. — Pracowałem też dla prywatnych firm ochroniarskich. A, no i jako ochroniarz w ONZ. Pewna robota, nędzna kasa... patrz!

Nagi mężczyzna przywiązany do krzesła. Gołe ściany. Mężczyzna jest okładany przez białego mężczyznę w czarnym mundurze.

— To było w czasie, kiedy robiłem w ochronie. Musieliśmy wyciągnąć parę informacji z tego tutaj gościa. Mussa mu było. Ale umarł w trakcie. Informacje, które posiadał, mogły ocalić życie innych. Dlatego nie przeszkadzało mi, że dostaje wpierdol. Ale to nie ja zrobiłem.

— Co to wszystko ma wspólnego z Johnem Smithem?

— Czekaj, spokojnie. Chcę ci tylko pokazać parę rzeczy, okej? To jak zdjęcia z wakacji.

MacDuff przejrzał listę plików i otworzył jeden z folderów.

— Mam i filmy, i zdjęcia. Jest też trochę materiałów o niektórych pracodawcach. Cenna mała kolekcja, która będzie moją kartą przetargową w negocjacjach, gdyby któregoś dnia coś miało się sypanąć... Czekaj... jest. Tutaj!

MacDuff wskazał palcem zdjęcie na ekranie. Barczysty, krępy mężczyzna w moro. Stoi przed lepianką i pali papierosa — z karabinem przewieszonym przez ramię.

MacDuff kliknął i mężczyzna ponownie pojawił się na ekranie. Tym razem w zbliżeniu. Tu wyglądał na starszego. I był w cywilu.

— John Smith... Niger, jakieś dziewięć lat temu. I Bukareszt dwa lata temu — kontrakt cywilny, jak to nazywamy. Tak samo jak operacja w Danii. Dostaniesz oba zdjęcia. I jesteśmy kwita. A jeśli kiedykolwiek pojawisz się choćby w pobliżu Emily, to...

Alistair MacDuff odwrócił się i spojrzał mu prosto w oczy, jednocześnie przeciągając dłońią po szyi. Wyjął z szuflady inny dysk USB i skopiował na niego oba zdjęcia z pulpitu. Potem wykonał kilka pośpiesznych czynności myszą.

— Co robisz?

— Skoro już je tu mam, to zapisuję oba zdjęcia w Dropboksie — w chmurze. Ostrożności nigdy za wiele. Wiesz, Duńczyku, co to chmura?

— Coś jak twardy dysk o nieograniczonej pojemności — w cyberprzestrzeni.

— I tu się mylisz. Chmura to niebo. Miejsce, do którego idą po śmierci wszyscy kibice Liverpoolu. Mają tam bar, co się ciągnie po horyzont i gdzie piwo nigdy się nie kończy. I całodobową obsługę topless. Pamiętaj: YNWA.

— Że co?

— *You'll never walk alone.*

— Aha.

— Masz. Dwa zdjęcia. I spierdalaj, łowco — wycedził MacDuff przez zęby i podał mu dysk.

Schował go do kieszeni i pistoletem wskazał na kanapę.

— Zaraz spadam. A ty wracaj na kanapę.

Mężczyzna zrobił, co mu kazano. On sam powoli wycofał się tyłem z pokoju. Na półpiętrze, skąd wciąż jeszcze mogli widzieć

się nawzajem, zwolnił magazynek, opróżnił go, szybkim ruchem odciągnął zamek i złapał nabój, który wyskoczył z komory. Całą amunicję schował do kieszeni.

— Jego ci zostawiam — powiedział i upuścił pistolet na wykładzinę.

Odwrócił się w stronę schodów i właśnie zamierzał zrobić pierwszy krok w dół, kiedy kątem oka dostrzegł, jak Szkot podrywa się z kanapy, przeskakuje nad stolikiem i rzuca się na niego głośnym rykiem. W prawej ręce błysnęło ostrze. Ramię uniesione do ataku.

Zrobił szybki krok w przód i chwycił MacDuffa za prawy nadgarstek, nim ten zdołał zaatakować. Jednocześnie mocno złapał go za koszulkę, kiedy się zderzyli. Upadając w tył, pociągnął za sobą MacDuffa. Gdy tylko uderzył plecami w podłogę na półpiętrze, obiema stopami zaparł się o brzuch przeciwnika i przerzucił sobie Szkota po łuku nad własną głową na schody.

Rozległ się głuchy łomot. A potem cisza. Absolutna.

Kiedy się przewrócił na bok i spojrzał w dół, Alistair MacDuff leżał nienaturalnie powyginany na dole schodów, z głową przekrzywioną pod niemożliwym kątem. Nie ruszał się.

Wstał i chwilę później mógł stwierdzić, że jego przeciwnik złamał kark w potężnym upadku. Zmarł na miejscu.

Było to zdarzenie niezamierzone. Wielka szkoda ze względu na małą, która już i tak zbyt rzadko widywała tatę. Reszta świata nie będzie ronić łez za gościem, który pewnie nie wypadnie najlepiej, gdy Świętemu Piotrowi przyjdzie go rozliczać z uczynków.

Za to jemu wypadek MacDuffa był bardzo na rękę. Dzięki temu nie musiał się niepokoić, czy tamten mimo wszystko nie zacznie śpiewać i nie wygada się, że Duńczyk Niels Oxen żyje.

Przystanął na chwilę, by ocenić sytuację. Zasadniczo MacDuff mógł się potknąć po pijanemu i samemu spaść ze schodów. Było to najzupełniej prawdopodobne.

W duchu pogratulował sobie szczęścia, że nie musiał wybijać szyby, aby wejść do mieszkania. Zaburzyłoby to logikę zdarzeń, kiedy zjawi się policja i podejmie własną próbę interpretacji tego, co tu zaszło.

Na wycieracze leżał nóż. Podniósł go. W zasadzie był to mały sztylet, który mógł być częścią uzbrojenia komandosa. Ostrze stosunkowo szerokie i dość nietypowe — obosieczne. Rękojeść była z tego samego kawałka stali, ale owinięta linką spadochronową. Nie miał pojęcia, skąd MacDuff go wyjął. Czy mógł go przeoczyć przy rewizji?

Schował nóż do kieszeni i schodami wrócił na górę. Stolik przesunął na miejsce, ale puszkę na podłodze zostawił. Pistolet, amunicję i magazynek z powrotem włożył do szuflady, z której je wyjął. Na koniec usunął zdjęcia z pulpitu komputera, opróżnił kosz, wylogował się z systemu i wyłączył komputer.

Dysk USB, który był schowany w kasecie VHS, również zabrał ze sobą. Później, gdy wróci do siebie, przeanalizuje pozostałe pliki. Alistair MacDuff był w tej chwili ostatnim człowiekiem na ziemi, który potrzebował ubezpieczenia na życie.

Znów zszedł na dół, otworzył drzwi i ustawił zamek, by zatrzasnął się za nim po tym, jak opuści dom Szkota. Rozglądając się ostrożnie, wyszedł na Collier Street.

Na zewnątrz było pusto. Znów padało. Drobny deszcz, przerywany na krótką chwilę, kiedy przechodził pod dwoma mostami. Taśmę i rękawice ogrodowe wrzucił do pierwszego kosza, który minął po drodze, i po schodach zszedł do rzeki.

Silver Jubilee Bridge wyłonił się z ciemności jak piękna, majestatyczna rzeźba. Oświetlające go reflektory migotały w wezbranych wodach Mersey, która teraz prezentowała się zgoła inaczej niż wiele godzin temu, gdy przyjechał do Runcorn.

Z całej siły cisnął nóż MacDuffa ponad murem kanału żeglugowego do rzeki.

Wracając spokojnym krokiem w stronę dworca kolejowego, musiał stwierdzić, że mimo wszystko jego misja w Anglii była

fiaskiem. W środowisku, w którym obracał się John Smith, w którym ludzie i zdarzenia objęte były ścisłą klauzulą tajności, niewiele zdziała, mając do dyspozycji dwa zdjęcia i fałszywe nazwisko. I raczej nie miał co liczyć, że trafi na kogoś, kto zechce mu pomóc.

Zrobił w labiryncie zaledwie kilka kroków, a już ślad, który go zaprowadził na brzeg rzeki Mersey, zrobił się mętny — a może zniknął zupełnie.

Rozdział 21.

O ósmej trzydzieści pięć, gdy poranne słońce otulało miękkim światłem jego ukochaną Kopenhagę, rozpoczął jak co dzień swój krótki spacer do pracy.

Dobrze się poruszać po całej nocy spania. Dobrze dotlenić mózg, nim zacznie się długi dzień za biurkiem. I dobrze porządnie się przywitać ze swoim miastem.

Przez wszystkie lata, które spędził na swoim stanowisku, zawsze przychodził do pracy jako pierwszy — i często wychodził jako ostatni. Tego wymagała pozycja lidera i wzoru do naśladowania dla nowego pokolenia, wchodzącego do jego drużyny. Poza tym uwielbiał te pierwsze, spokojne godziny. Wtedy najlepiej mu się pracowało.

Często zmieniał trasę, by urozmaicać sobie przechadzkę, a gdy akurat musiał przemyśleć jakiś konkretny problem albo po prostu potrzebował solidnie porozciągać kości, lubił ją sobie odrobinę wydłużać.

Najczęściej szedł trasą przez Stormbroen, ale dziś postanowił zostać po tej samej stronie kanału Frederiksholms i pójść w górę przez Nybrogade i Gammel Strand.

W ostatnim czasie rozmyślał częściej niż zwykle. To wpływało na jego drogę do pracy, ale też drogę do domu. Dumał o sprawach dotyczących jego świata ukrytego. To, co całkiem niedawno zaszło podczas zgromadzenia, nie dawało mu spokoju.

Jego rozmyślania biegły dwutorowo. Z jednej strony niepokoił go oczywiście frontalny atak z zaskoczenia połączonych sił Północy i Południa. A z drugiej wciąż roztrząsał w głowie, kogo wyznaczyć na swojego następcę. Możliwe, że ten drugi problem stał się bardziej naglący przez pojawienie się problemu pierwszego.

Był jeszcze trzeci dylemat, nierozzerwalnie związany z dwoma

powyższymi, któremu w tej chwili poświęcał mnóstwo czasu i energii: rachunek sumienia... Czy dobrze się spisał? Czy wykazał się w swoich rozstrzygnięciach odpowiednią rozważą?

Podczas ostatniego zebrania cały wieczór dyskutowali nad strukturą organizacji i wynikającymi z niej wyzwaniem. Skończyli dopiero o północy. Potem wszyscy poszli spać. Rano w przyjaznej atmosferze wspólnie zjedli śniadanie, po czym już koło siódmej rano przeprowadził ich z powrotem na ląd, by mogli wrócić do swoich innych spraw.

Miał obowiązek ich wysłuchać — i się zastanowić. Pozostała dwójka była konstruktywna w swojej krytyce, a on robił wszystko, by potraktować ich uwagi z należytą powagą. Musiał jednocześnie patrzeć wstecz i w przyszłość. Zrobić wszystko, co konieczne, by chronić ich wspólnotę. Strzec dumnej tradycji. Ale kto wie — może również ją przełamać, jeśli to lepiej przysłuży się ich celom? Miał jednak jasne przekonanie, że jego towarzyszom chodzi o prawdziwą rewolucję, a nie drobną zmianę kierunku.

Jego rolą było teraz podsumowanie ich dyskusji, wyciągnięcie wniosków i wdrożenie proponowanych zmian — jeśli się na nie zdecyduje. Rola bardzo podobna do tej, którą sprawuje oficjalnie od bardzo wielu już lat i w którą każdego dnia wchodzi na końcu swojej porannej przechadzki.

Jego pozycję jako lidera Danehofu Øst określała kilkusetletnia tradycja. Wszyscy troje dysponowali tak samo ważnym głosem, ale to na nim spoczywała największa odpowiedzialność.

Swojego następcę musiał nie tylko znaleźć, ale i odpowiednio przygotować, podobnie jak ogrodnik starannie wybiera rośliny i przeszczepia te, które roją najlepiej. Północ i Południe mogą zaproponować, komu dalej przekazać pałeczkę — ale to Wschód owe propozycje sankcjonuje. W ten sposób ich wewnętrzny podział władzy odzwierciedlał podział istniejący w czasach, gdy ich instytucja się zrodziła: czasach, gdy posiadacze przywilejów ograniczali kompetencje króla, lecz uznawali jego pozycję.

Był władcą absolutnym — wśród równych sobie. Koncepcja mądra, lecz nastęrczająca trudności.

Przystanął na brukowanym Højbro Plads i wciągnął w płuca poranne powietrze. Oparł się o balustradę przy kanale i spojrzał na Slotsholmen i Christiansborg. Czuł się tu jak w domu. Za godzinę albo dwie również na kanale zapanuje większy ruch i ożywienie.

Odwrócił się i jak zwykle rzucił okiem na posąg Absalona na stojącym dęba koniu i z siekierą gotową do zadania śmiertelnego ciosu. Piękne dzieło sztuki, do tego idealnie umiejscowione.

Sam też sprawował dużą władzę, lecz egzekwował ją w sposób bardziej dyskretny niż pokryty patyną wojowniczy biskup.

Władzę przekazywaną kolejnym pokoleniom, ale zawsze utrzymywaną w tych samych kręgach. Niekoniecznie szlacheckich, jak w początkowym okresie istnienia parlamentu. Dziś chodziło raczej o strefy wpływów. O nakładające się na siebie warstwy potęgi i władzy. Gdyby jednak odrzucić wszystkie współczesne terminy, tak jak się obiera ziemniaka ze skórki, definicja ich gremium była wciąż tak samo prosta jak wtedy: byli najzwyczajniej solą tej ziemi. Najlepszymi mężami w królestwie.

Uśmiechnął się na myśl, która nagle go uderzyła. Że obecnie była wśród nich *kobieta*. Podobało mu się to. Było znakiem, że on również idzie z postępem.

Pozwolił, by Kajsa Corfitzen odziedziczyła miejsce po swoim ojcu, podobnie jak pozwolił, by Villum Grund-Löwenberg zastąpił swojego. W żadnym razie nie była to jednak decyzja automatyczna — w obu przypadkach czynnikiem decydującym były ich kwalifikacje.

Sam miał dwoje dzieci — córkę i syna. Oboje niewątpliwie w równym stopniu inteligentni jak pracowici i z mocnym kręgosłupem moralnym. Doskonale radzili sobie w życiu. Ale... żadne z nich nie dysponowało *odpowiednim potencjałem*. Żadne nie przejmie jego obowiązków. Wiodą całkiem zwyczajne życie. On sam był zresztą dowodem, że najwyższa władza niekoniecznie musi być dziedziczona.

Tradycja nakazywała utrzymywać w tajemnicy tożsamość przyszłego lidera Danehofu. Nawet gdy w odpowiednim czasie

powiadomi Północ i Południe o swoim ustąpieniu ze stanowiska, nie uchyli rąbka tajemnicy. „Temu, o którym nikt nic nie wie, nikt nie zdoła wyrzucić krzywdy”. Stara prawda przypominająca o czasach, w których wewnątrz organizacji walczono o władzę na śmierć i życie.

Nowy lider zostanie zaprezentowany dopiero podczas przekazania mu miejsca. Wtedy też pozna dwójkę swoich kolegów.

Będzie to jedyny moment, w którym przy okrągłym stole zasiądą cztery osoby.

Wieczorem ma się spotkać ze swoim protegowanym. Będzie to kolejne z wielu spotkań, które miały zapewnić odpowiednie przygotowanie przyszłemu liderowi Danehofu Øst. Zawsze się cieszył na te ich rozmowy. Wzbogacały go i uduchowiały. Dziś będą mówić o *duńskich wartościach*. Biskup Absalon idealnie je reprezentował.

Ruszył dalej. Wkrótce będzie w biurze.

Rozdział 22.

Było za piętnaście dziesiąta. Na szczęście nie padało, choć nad Kopenhagą po radośnie słonecznym poranku zamknęły się złowieszcze chmury.

Niezbyt pewnie czuła się na starym rowerze kupionym za sto koron na pchlim targu. To, że w ogóle mogła jeździć rowerem — w dodatku znakomicie — zawdzięczała wysoko zaawansowanej bionicznej protezie udowej, która kosztowała pół miliona. Zapłacone przez państwo, i to z szerokim uśmiechem.

Kolanem sterował mikroprocesor skalibrowany specjalnie dla niej po szczegółowych testach. Jego praca była determinowana tak zwaną fazą odchylenia oraz żyroskopami, akcelerometrami i czujnikami, które łącznie pozwoliły robić rzeczy, jakie jeszcze kilka lat temu wydawały jej się niemożliwe.

To, że mimo wszystko czuła się niepewnie, wynikało głównie z jej problemów z równowagą — jeszcze bardziej zardzewiała niż ten rower. Skręciła i bramą wyjechała na ulicę.

— Cześć, Margrethe! Ty na rowerze? Co ci się stało?

Nastoletnia dziewczyna pomachała do niej z chodnika i zdekoncentrowała ją, nim Margrethe zdołała nabrać prędkości i utrzymać ciało w jako takiej równowadze.

Przejeżdżając obok, rozpoznała sympatyczną córkę sąsiadki z dołu, która odprowadzała ją zdumionym wzrokiem. Margrethe odmachała jej tylko zza pleców, nie odrywając wzroku od jezdni.

Postanowiła, że będzie uruchamiać suzuki tylko w razie najwyższej konieczności. A raczej postanowiła dać sobie odrobinę czasu na oswojenie się z myślą, że musi się pozbyć zakichanego japońca, bo wkrótce nie będzie wart złamanego øre, a ona, będąc na półmetku życia, zostanie bez samochodu — i na rowerze...

Mini cooper wydawał się odległym marzeniem, w którym

prędkość i przyjemne buczenie silnika wprawiały ją w stan ekstatycznego szczęścia.

— Patrz, jak jedziesz, do diabła! — Młody mężczyzna na rowerze górskim trącił ją barkiem w bark, śmigając obok niej i rzucając przekleństwem. Najwyraźniej nie ma już czegoś takiego jak etykieta braci rowerowej.

Dziś był ważny dzień, dlatego wyszła z domu wcześniej. Kolejny pierwszy dzień w nowej pracy. Tych pierwszych dni zebrało się już całkiem dużo. O wiele za dużo.

Zerknęła na zegarek. Wciąż miała sporo czasu. Piękny Breitling Colt na lewym nadgarstku był jedyną rzeczą, której nie wolno jej było poświęcić, nawet jeśli w jej obecnej sytuacji zasadniczo wszystko nadawało się do spieniężenia. Zegarek był prezentem od rodziców ofiarowanym tuż po amputacji nogi. *Per aspera ad astra*. Tak brzmiała inskrypcja na jego odwrocie. Łacińska sentencja: przez trudy do gwiazd.

Jechała do Netto. Nie po to, żeby zrobić zakupy. Żeby odbić kartę pracownika.

Pierwszy dzień nowego rozdziału w jej życiu. Rozdziału, w którym zostaje kasjerką. Nikt jej nie zarzuci, że boi się wyzwania.

Rowerzyści wyprzedzali ją całymi kawalkadami. Z obu stron. Osobiście kasjerki darzyła najwyższym szacunkiem. To na nie ludzie wylewają swoje frustracje w postaci najgorszych pomysłów.

O dziesiątej mieli ją oprowadzić po sklepie. W ciągu pierwszych dwóch godzin od otwarcia nikt nie miał czasu się nią zajmować. Miała się zapoznać z procedurami i różnymi zadaniami, które wchodziły w zakres jej obowiązków, a na koniec posiedzieć trochę na kasie pod okiem któregoś z przełożonych.

Już sobie wyobrażała to przewracanie oczu i komentarze poirytowanych klientów. Kasjerki muszą wysłuchiwać najbardziej niedorzecznych obelg. Nawet ludzie, którzy uważają się za kulturalnych, nie mają oporów przed lżeniem kogoś, kto z racji stanowiska nie może odpłacić im tym samym.

Może to i dobrze, że nie miała już pod lewą pachą Hecklera &

Kocha z trzynastoma nabojami w magazynku. Byłoby zabawnie. I szeregi klientów Netto nieco by się przerzedziły.

Mogła się uzbroić jedynie w cierpliwość. Zmobilizować wszystkie jej pokłady, jakie tylko będzie w stanie w sobie odgrzebać. Podobnie zresztą wieczorem, gdy będzie musiała się stawić na kolejną szychtę jako galernik w piekle brudnych garów pod hotelem Copenhagen Blackbird.

Wyprzedziła niemożliwie otyłego mężczyznę poruszającego się na czterokołowym koreańskim wynalazku, bo trudno sobie wyobrazić, by jego nogi dały radę go unieść. Pierwszy wyprzedzony pojazd tego ranka — choć ciężko to nazwać sukcesem.

Widok mężczyzny przypomniawszy jej jednak innego olbrzyma, Axela Mossmana. Czy przypadkiem zeszłej nocy podczas spłukiwania podłogi nie zgodziła się sama ze sobą, że pora spróbować się z nim skontaktować? Wybadać, czy może — albo zechce — otworzyć jej drzwi, którymi mogłaby wrócić do świata służb wywiadowczych? W jakimkolwiek państwie i pod jakimkolwiek szyldem?

To prawda, tak postanowiła, ale nic nie zrobiła w tym kierunku. Może zresztą tak jest lepiej. Mossman niepodzielnie rządził Policyjną Służbą Wywiadowczą. Ona była tylko jego prawą ręką. W dodatku w ostatnim czasie została od tej roli odsunięta i łączyła ich całkiem zwyczajna relacja szef - pracownik. Nie było powodu wmawiać sobie, że jest inaczej. Nie ufała mu. On nie ufał jej. I nie odezwał się do niej. Nie miała od niego żadnych wieści, odkąd go wykopali. Big Mossman był teraz zwykłym emerytem. Nikim więcej.

Skręciła w prawo i już widziała żółty szyld z czarnymi literami i siedzącym psiakiem.

Ostatni odcinek przejechała bez pedałowania, zatrzymała się przy pierwszym oknie sklepu. Oparła rower o ścianę i zapięła blokadę. Po czym wzięła głęboki wdech.

Per aspera ad astra.

Debiut na kasie w Netto w wieku trzydziestu dziewięciu lat.
Trudów w jej życiu nie brakowało.

Za to cholernie ciężko było dostrzec gwiazdy...

Rozdział 23.

Była dziewiąta pięćdziesiąt jeden. Patrzył na świecące na czerwono cyfry starego radia z budzikiem stojącego na stoliku nocnym czterdzieści centymetrów od jego nosa.

Został tak, jak leżał, i znów zamknął oczy. Gdzieś niedaleko gruchał gołąb. Poza tym panowała absolutna cisza. Odwrócił się na drugi bok i raz jeszcze otworzył oczy. Ukośna ściana z oknem, w nim jasnożółta zasłona.

Opadł na plecy.

Ukośne krawędzie i okno — oczywiście. Znajdował się przecież w pokoju szczytowym na plebanii u Pastora. Dotarł tu dopiero późną nocą. Wciąż czuł w ciele długą podróż pociągiem z Anglii, najpierw przez tunel pod kanałem, a potem przez pół Europy do Danii. Uczucie kołysania i nieistniejące szyny kolejowe uciekające pomiędzy nogami szerokiego łóżka, które stało nieruchomo w domu wśród pól przy Ullerup.

Rzeczywistość, w której się obudził, była tak różna do tej utrwalonej na dysku USB z mieszkania MacDuffa, jak to tylko możliwe. Były żołnierz przechowywał zdjęcia i nagrania wideo zarówno z zadań rutynowych, jak i ewidentnych działań bojowych. Część udokumentowanych sytuacji wyglądała na działania przestępcze i prawdopodobnie była utajniona. W wielu materiałach pojawiała się osoba przypominająca Johna Smitha. Ale nigdzie nie było jej zbliżenia. Jeśli sądzić z otoczenia, wszystkie materiały pochodziły z Afryki albo Bliskiego Wschodu. Na nic nie mogły mu się przydać.

Z całej długiej wyprawy do Anglii przywiózł tylko te dwa dyski USB. Jeden z nich nic mu nie dawał. Drugi, zawierający dwa zdjęcia, dawał jedynie bardzo nikłą nadzieję. Czuł się zmęczony. Potrzebował snu — głębokiego i niezmaconego. Tymczasem znów się zaczęło, i to ze wzmożoną siłą. Zeszłej nocy nawiedził go łąza.

Chyba. Nie widział go wyraźnie, ale dostrzegł łzę wytatuowaną przy oku Serba.

Musiał wyznaczyć sobie nowe kierunki. Akurat zdecydował się wstać, gdy po krótkim, energicznym waleniu pięścią drzwi jego pokoju otwały się na oścież.

— Dzień dobry. Byłem ciekaw, czy już wstałeś. Późno wróciłeś?
— spytał Pastor i oparł się o framugę.

— Koło trzeciej w nocy. Znalazłem klucz tam, gdzie mówiłeś, i w samych skarpetkach poszedłem do siebie.

— Wyjazd się udał?

— W miarę...

— Kawa w kantynie za piętnaście minut.

— Dzięki, już się zbieram.

W kuchni pachniało kawą i chlebem. Żony Pastora nie było. Pewnie poszła do pracy. Była nauczycielką. Tęgi ksiądz postawił przed nim kubek i od razu go napełnił, na stole wylądował też talerz z tostami. Obok stała już taca z masłem, dżemem, serem i wędliną.

— Coś do kawy?

Pokręcił głową.

— Trzymaj. Częstuj się. Pomyślałem, że pewnie jesteś głodny.

Pastor podsunął mu talerz. Niels przytaknął i posmarował sobie od razu dwie kromki. Od wielu godzin nic nie jadł.

Pastor usiadł naprzeciwko niego i nalał sobie kawy. Jakiś czas siedzieli w milczeniu. Niels szybko zjadł obie kromki i sięgnął po trzecią.

— Powiedz mi... czy ty się dobrze czujesz? — Pastor przyglądał mu się z wyrazem troski w oczach.

— Tak, czemu pytasz?

— Bo... gdzieś tak koło czwartej... obudził mnie jakiś hałas. Krzyki. Pokoje na górze mają cienkie ściany. Wstałem. Dźwięki dochodziły z twojego pokoju. Jeszcze parę krzyków, a potem coś jakby jęki na przemian z rozkazami. Wszystko niewyraźne, dało się zrozumieć tylko pojedyncze słowa. Postąpiłem trochę pod twoimi drzwiami. Nie byłem pewien... wszystko trwało może minutę, góra dwie. Dlatego pytam...

Więc to prawda, to przeczucie, z jakim się obudził. Że znów trafił do czyścica. Że widział, jak dociskają kobietę do stołu, widział jej przerażoną, udręczoną twarz. Że oddał cztery strzały w brzuch Łzy — tak jak to zrobił niezliczenie wiele razy.

— Nic mi nie jest. Czasem tylko miewam koszmary.

— I nic więcej?

— Nie.

Znów zamilkli, a on posmarował kolejną kromkę. Po chwili zapytał:

— Tu jest cudownie. Spokojnie. To tutaj chcesz zostać?

Pastor wzruszył ramionami.

— Nigdy nie należy mówić nigdy, ale czuję, że znalazłem się we właściwym miejscu. Lubię swoją parafię, lubię kościół i uwielbiam to miejsce. Człowiek czuje się tu odpowiednio mały. Ta plebania ma zresztą własną historię. I to taką, jakbym niemal był jej przedłużeniem. Historię misji oraz wojny i pokoju.

— To znaczy?

— W lutym tysiąc osiemset sześćdziesiątego czwartego plebanie zajęły pruskie oddziały. Głównodowodzącym był generał August von Goeben. Znany wojownik, który walczył również w innych krajach. Księdzem zaś był Nikolaj Laurentius Feilberg. On i generał stali się śmiertelnymi wrogami. Albo wiesz co, czekaj. Weź swój kubek i chodź ze mną...

Pastor wstał i pomachał mu, żeby z nim poszedł. Na korytarzu otworzył drzwi po lewej. Pomieszczenie było duże, ze sztukaterią na suficie. Weszli do środka.

— To się nazywa Salon Generalski. To tu Goeben planował desant na Als. I zobacz to... Pastor wskazał gwóźdź w futrynie. — Tutaj wieszal szablę. Świadomość, że mieszkam w takim miejscu, że oddycham tym powietrzem, sprawia, że czuję pokorę. Wobec historii. I wobec własnych dokonań. To daje perspektywę. Nawet taki mały gwóźdź. Rozumiesz, co mam na myśli?

Pokiwał głową. Rozumiał po części. Nie wszystko.

— Ale to nie koniec — mówił dalej Pastor. — Ostatecznie ksiądz i generał się zaprzyjaźnili. Mówi się, że prawdziwa, głęboka przyjaźń opiera się na wzajemnym szacunku. Bez względu na faktyczne okoliczności. Dwaj synowie pastora byli zresztą w piątym pułku duńskiej armii, która szykowała się na odparcie pruskiego ataku. W dniu, w którym miało do niego dojść, o czwartej rano dwudziestego dziewiątego czerwca generał siedział na swoim koniu tu, na moim podwórku, i pił herbatę. Feilberg pożegnał go wówczas słowami: „Oby wasza misja się nie powiodła, generale. Lecz niech Bóg was strzeże”. Pokonanie Duńczyków zajęło Prusom zaledwie kilka godzin. Goeben zrobił wszystko, by dowiedzieć się czegoś o synach Feilberga. Powiedziano mu, że jeden z nich poległ. Później się okazało, że niemiecka kula odbiła się rykoszetem od fajki, którą chłopak miał pod kurtką. Taka właśnie jest historia, Niels.

Wrócili do kuchni i znów usiedli przy stole. Pastor dolał im kawy.

— Myślę, że coś takiego mogło się zdarzyć, bo obaj byli ludźmi mądrymi i silnymi duchem. Bo ich przyjaźń zrodziła się tu, w Domu Bożym, gdzie wszystkie różnice stają się nieważne. Gdzie w imię czegoś większego da się oddzielić człowieka od sprawy. Budowanie mostów naprawdę jest *możliwe*... Chcesz jeszcze chleba?

Pokręcił głową.

— Niektórych mostów zbudować się nie da. Przypomnij sobie Bałkany. Tam mordowali się sąsiedzi.

— Trzeba wierzyć, że dobro ostatecznie zwycięży. Że słowo i dialog są silniejsze od miecza.

— Nie wierzę w szlachetność wrogów. Wojna nie ma duchowej nadbudowy. Wierzę w krew i w bolesną śmierć.

— Zatem wciąż Go nie spotkałeś.

— Nie. Nikogo nie spotkałem.

— Ale spotkasz. Któregoś dnia. Wiem o tym. Kiedy po raz pierwszy się tu zjawiłeś... Przeleżałem potem całą noc i rozmyślałem, jak w istocie historia lubi się powtarzać. Że znów zjawia się w tych progach jeden z największych wojowników. Ponad sto pięćdziesiąt lat później... Powiedz, jak było w Anglii. I co teraz zamierzasz?

Pastor spojrzał na niego tym samym co wcześniej zatroskanym wzrokiem.

— Zrobiłem to, po co tam pojechałem. I zderzyłem się ze ścianą. Muszę zmienić kierunek, jeśli mam ruszyć z miejsca.

— Zmienić trop? Tu, w kraju? — Pastor starał się unikać konkretów.

— Tak. Mam nadzieję, że tu uda mi się dowiedzieć czegoś nowego. Będę musiał pojechać do Kopenhagi.

— Jak chcesz, możesz wziąć mój samochód. Mnie nie jest potrzebny. A jak jest, to zawsze mogę pożyczyć od żony.

— Nie mogę się na to zgodzić.

— Musisz. To żaden problem.

— Może mógłbym go od ciebie wynająć?

— Nie.

— Słuchaj. Może na to nie wyglądam, ale mam pieniądze — mruknął i uśmiechnął się do swojego misiwatego, życzliwego przyjaciela.

— Zajrzysz do Fritsena? Niesamowicie się ucieszył, jak mu powiedziałem, że żyjesz. Bardziej, niż potrafię opisać. Dosłownie się popłakał...

— Nigdy się nie otrząsnął po tym, co się stało wtedy nad Uną...

— Nie tylko to. Jemu również na tobie zależy. Odwiedzisz go?

— Chciałbym, ale to nie takie proste.

Po twarzy Pastora widział, że to nie wszystko. Chwilę później dowiedział się, co nie daje spokoju przyjacielowi.

— I o co chodzi z tą Margrethe Franck? Fritsen powiedział, że bardzo przeżyła twoją „śmierć”. Jakby ją dotknęła ogromna strata...

Pastor był człowiekiem bardzo delikatnym. Na pewno nie zapyta wprost.

— Z nią sprawa wygląda tak samo jak z Fritsenem. Przynoszę ludziom pecha. Ale obiecuję ci — jeśli wszystko się ułoży, pierwsze, co zrobię, to ich odwiedzę.

Uznał w duchu, że nie może powiedzieć Pastorowi nic więcej. Bo tak naprawdę wiedział już, że rychłe spotkanie z Margrethe Franck stało się bolesną koniecznością.

Miał nadzieję jeszcze dziś wieczorem ostrożnie się do niej zbliżyć.

Rozdział 24.

Jedna rzecz go zastanawiała — na górze, w mieszkaniu Margrethe Franck, paliło się światło, ale na podwórku nie widział jej czarno-białego mini coopera.

Dotarł na miejsce ponad godzinę temu i zdążył się już rozejrzeć na tyłach budynku. Nie było tam miniaka. Ani żadnej podejrzanej furgonetki. Czy osoby.

Od ponad godziny siedział w samochodzie Pastora. Zaparkował spory kawałek dalej, ale widział zarówno bramę kamienicy, jak i drzwi do klatki, w której mieszkała Margrethe.

Bardzo dokładnie przeskanował teren wokoło. Nic nie wskazywało, by Margrethe była pod obserwacją w znaczeniu czysto fizycznym. Gdyby tak było, to punktem obserwacyjnym musiałoby być mieszkanie po drugiej stronie ulicy, a on musiałby mieć niewiarygodnego pecha, by przez cały ten czas nie dostrzec żadnej z uczestniczących w obserwacji osób. Wykluczone. Istniały jednak inne formy obserwacji. Można było rozmieścić w mieszkaniu obiektu małe kamery albo podsłuch.

W żadnym razie nie wolno mu było podejść do drzwi, wcisnąć przycisk domofonu i pozwolić, by go wpuściła na górę. Musiał pilnie pchnąć do przodu własną misję i dlatego tak dokładnie rozważał następne posunięcie. Czy lepiej będzie koło północy zakraść się od tyłu, wybić szybę i przecisnąć przez lufcik albo wyłamać drzwi do piwnicy i wejść do środka tylnymi drzwiami?

To, że świeciło się światło, ale samochodu nie było, po prostu mu się nie zgadzało. Może...

Z rozmyślań wyrwała go postać, która nagle wyłoniła się z bramy. Kobieta, jak poznał po posturze i ruchach. Prowadziła rower. Teraz się zatrzymała, pochyliła na moment. Pewnie, by zamontować tylną lampkę, która właśnie się zapaliła.

Cholera, ciężko się rozeznać z takiej odległości i po ciemku. Ale było coś w jej wyprostowanej sylwetce i ruchach... z drugiej strony kobieta miała brązowe włosy. Margrethe Franck swoje włosy tleniła.

Nie zauważył też nic nietypowego, gdy kobieta wsiadła na siodełko i zaczęła pedałować. Chociaż — może jednak coś było nie tak z jedną nogą? Czy nie wciskała lewego pedała mocniej i pewniej? Bo proteza prawej nogi nie dawała takiej samej swobody ruchów? Zawahał się. Nie... kobieta pedałowiała równomiernie obiema nogami. Jakiś głos w jego głowie mówił mu jednak, że to może być ona. A inny przekonywał, że kompletnie go pogięło.

Uruchomił silnik, wjechał na jezdnię i spokojnym tempem ruszył za kobietą. Odległość między nimi szybko się skurczyła. Gdy zobaczył, że światło przed nimi zmieniło się na czerwone, zjechał na bok, by przeczekać. Nie chciał, żeby stanęli tuż obok siebie na światłach.

Gdy kobieta minęła skrzyżowanie, znów za nią ruszył. Zmniejszył dystans do trzydziestu kilku metrów, zaraz ją wyminie. Przygotował się, zsunął nieco niżej w fotelu, by lepiej jej się przyjrzeć.

Pierwsze wrażenie: białe adidas, sprane džinsy i granatowa kurtka. Drugie wrażenie: włosy jasnobrązowe, całkiem zwyczajne, półdługie. Bardzo różne od buntowniczych fryzur, w jakich lubowała się Margrethe. Prędkość i wiatr odsunęły je z jej twarzy. Trzecie wrażenie: twarz... Zrównał się z nią. Błede policzki i...

Szybko odwrócił wzrok.

To ona. To była Margrethe. Albo w każdym razie ktoś bardzo do niej podobny. Skreślił w pierwszą ulicę po prawej i stanął. Odwrócił się na siedzeniu i w tylnym lusterku obserwował ścieżkę rowerową. Znów ją zobaczył.

To ona. Teraz był pewien. Delikatne rysy, prosty nos i zacięte usta, które wydawały się równie pozbawione koloru jak skóra. W każdym razie nie były wściekle czerwone jak dawniej.

Zawrócił i znów wjechał na główną drogę, by jechać za kobietą w odpowiedniej odległości.

To *była* Margrethe Franck z Policyjnej Służby Wywiadowczej. Tyle że wersji szokująco zwyczajnej. Jakby ją wyprano, wypłukano i odwirowano za pomocą krajowego programu normalizującego, by przypominała którąkolwiek przeciętną Dunkę. Buntownicza przywdziała pospolite barwy i zamieniła mini coopera na skrzypiący złom.

Musiało się stać coś naprawdę dramatycznego...

Wciąż trzymał się kawałek za nią, co jakiś czas zjeżdżał na bok, przepuścił kilka samochodów. Pilnował, by nie stanęli obok siebie na światłach.

Na rowerze — i o tej godzinie? Dokąd mogła jechać? Nie mógł oczywiście krzyknąć do niej przez okno: „Cześć, jednak nie umarłem”. Mógł jedynie za nią jechać i sprawdzić, czy nie nadarzy się okazja, by dyskretnie nawiązać kontakt.

Nie do końca wiedział, jak dugo za nią jechał, ale nagle chodniki się zapełniły, a ulice zrobiły się węższe przez zaparkowane po obu stronach samochody. I choć nie patrzył już na nazwy ulic, było jasne, że wjechali do centrum.

Była jakieś pięćdziesiąt metrów przed nim, gdy zatrzymała się przy krawężniku i zsiadła z roweru. Wokół nic szczególnego nie rzucało się w oczy. Musiało jej chodzić o duży neon trzy bloki dalej. Eleganckie, okrągłe litery układały się w napis „Hotel Copenhagen Blackbird”. Budynek przypominał kremowy pałac ze zdobieniami i z gzymsami na całej długości fasady. Przy wejściu na chodniku leżał dywan i stał mężczyzna w białym uniformie.

Margrethe, prowadząc rower, zniknęła w najbliższej bramie. On sam wysiadł z samochodu i poszedł za nią.

Czuł się, jakby wszedł do innego świata, jakby z zatłoczonej ulicy nagle wszedł w wielką, otwartą przestrzeń. Były tu miejsca parkingowe oraz kwadraty zieleni z drzewami i placami zabaw po prawej, gdzie wznosił się ogromny sześcian obrysowany światłami w niezliczonych oknach.

Zdażył dostrzec tylne światło roweru znikające w kolejnej bramie biegnącej dalej, wzdłuż tylnej ściany budynku. Tam znów tabliczka z nazwą, tyle że mniejsza, powieszona na ścianie i oświetlona pojedynczym reflektorem: „Hotel Copenhagen Blackbird — Personel — Dostawy”. Wszedł do bramy i ukrył się za najbliższym rogiem, dokąd nie docierało światło.

Tylne podwórko składało się z parkingu i pustego terenu do ściany następnego domu, pod którą w szeregu stały kosze na śmieci. Przy ścianie po lewej od rampy stała wiata, pod nią jeden przy drugim parkowały rowery i motocykle. To tu przed chwilą zostawiła swój rower. Teraz przystanęła przed oświetlonym wejściem i musiała chyba wstukać kod albo użyć klucza, bo chwilę potem pchnęła ciężkie drzwi i zniknęła w środku.

Margrethe Franck i hotel. W pierwszej chwili nie był w stanie ułożyć sobie tego w głowie. Ale skoro mogła wejść wejściem dla personelu, to chyba oznaczało, że do niego należy? Postanowił wrócić na ulicę i bliżej przyjrzeć się temu miejscu, zanim wejdzie do środka i rozejrzy się trochę po holu. Kto wie, może nawet uda mu się ją wypatrzeć.

Godzinę później wrócił na tyły hotelu, wciąż nie wiedząc, o co tu chodzi. Dyskretnie, lecz drobiazgowo przeszukał hol główny. Pokręcił się przy recepcji, zajrzał do restauracji i baru — bez powodzenia.

Nigdzie ani śladu Margrethe Franck. W końcu zdecydował się nawet zapytać o nią w recepcji, ale najwyraźniej nikt jej tu nie znał.

Musiał coś przeoczyć. Sam widział, jak tu wchodziła. Czyli trzeba wrócić do punktu wyjścia.

W wielu oknach na tyłach budynku paliło się światło. Zaczął od lewej. Pierwsze trzy okna były dość wysoko. Przeprowadził pod jedno z nich rower i stanął na bagażniku. Był to magazyn z pościelą. Niekończące się półki prześcieradeł i poszew. Czwarte okno, kawałek dalej, też było wysoko. Tam trzymano środki czystości. Potem okno na normalnej wysokości z mlecznego szkła.

Może toaleta? Skierował uwagę na szereg okien w piwnicy.

Były osadzone głęboko, a w świetlikach piwnicznych zamontowano kraty. Pierwsza ani drgnęła, za to następną mógł podciągnąć i nieznacznie odsunąć na bok. Uklęknął i wsunął głowę.

W jaskrawo oświetlonym pomieszczeniu zarówno ściany, jak i podłoga były wyłożone kafelkami. Krzątało się w nim mnóstwo ludzi. Hotelowa pomywalnia. Podłoga lśniła od wody. Przyjrzał się uważniej. Różne kolory skóry, różne rysy twarzy, w większości azjatyckie, ale wśród nich parę afrykańskich i... zatrzymał wzrok na białej postaci w najdalszym końcu pomieszczenia. Kobieta. W sumie przypominała... Kark, proste plecy, jasna karnacja. Stała tyłem do niego przy metalowej ladzie i splukiwała zastawę. Teraz trochę się odwróciła. Ależ tak!

To była Margrethe Franck. Wąska kreska ust. Ruchy szybkie, niemal nerwowe. Ostre światło pozwoliło mu potwierdzić obserwację, jaką poczynił z samochodu. Włosy miała zupełnie inne — i kolor, i uczesanie.

Franck — rowerem — jedzie do pracy na zmywaku. Co tu się dzieje?

Wstał i przesunął kratę na miejsce. Margrethe nie jest już w PET. I nie były to domysły, lecz fakty. Inaczej nie stałaby tu i nie szorowałyby garów. Chyba że... Może rozpracowuje jakąś sprawę i jest tu incognito?

Był tylko jeden sposób, by otrzymać odpowiedź na wszystkie pytania — i załatwić to, co ma do załatwienia. Musi tu zostać. Ciemne podwórko to chyba dobre miejsce na powstanie z martwych.

Przeszedł po skosie do kontenerów na śmieci i niemal od razu znalazł dwa kartony, które zgniótł na płasko i kilkukrotnie pozginał. Jak pod mostem nad Mersey. Z jednego zrobił oparcie, a z drugiego siedzisko. W ten sposób nie zmarznie.

Usadowił się w miejscu, w którym skrywał go pierwszy z kontenerów, ale mimo wszystko miał wolny widok na wejście

dla personelu i większą część wiaty na rowery. Podciągnął nogi pod brodę i objął je rękoma. Potem oparł czoło o kolana i zamknął oczy. Nie spał. Wciąż rejestrował i klasyfikował wszystkie dźwięki. Zapadł w stan czuwania.

Cztery godziny... cyfry zegarka zaświeciły na krótką chwilę, gdy wcisnął guzik. Tyle czasu siedział tu, czekając, aż wydarzy się coś niezwykłego. Teraz na podwórko weszły dwie ciemne sylwetki.

Minęły światła pomywalni. To byli mężczyźni. Obaj podobnego wzrostu i podobnej, krępej budowy. Gdy szli, ich ramiona w charakterystyczny sposób, nienaturalnie odstawały od sztywnych korpusów. Dwaj pakerzy, i to z tych najbardziej zagorzałych.

Wstał ostrożnie, schował swoje kartony i wsunął się całkowicie za kontener. Mężczyźni zajęli pozycję w najbardziej zacienionym miejscu pod wiatą, obok rowerów. Słyszał, że o czymś rozmawiają, ale nie rozróżniał słów. Chwilę później w ciemności pojawiły się dwa ogniki papierosów. A po nich płomień zapalniczki i kolejne dwa ogniki. Najwyraźniej czekali — ale na co — na kogo?

Minęło piętnaście minut, kiedy z drzwi zaczęli się wylewać ludzie. Niektórzy wyglądali podobnie jak pomywacze, których widział wcześniej — niscy, szczupli mężczyźni. Jeden z nich poszedł po rower, pozostali pieszo zniknęli w bramie.

Chwilę potem drzwi znów się otwały. To była ona. Margrethe Franck. Światło ze środka oświetlało jej bladą jak ściana twarz. Towarzyszył jej niski gość, Azjata. Oboje szli w stronę wiaty. Nagle z ciemności wyskoczyli tamci dwaj i ją złapali.

— *Fuck off, monkey!*

Echo zadudniło w zamkniętym podwórku, Azjata rzucił się biegiem do bramy.

Franck próbowała się wyrwać. I wołała o pomoc.

— Zamknij ryj, szmato!

Jej krzyk ucichł w połowie. Dostrzegł, że dostała cios w brzuch. Skuliła się, ale mężczyźni szarpnęli ją ku górze i zawlekli gdzieś w róg podwórka, za ostatni kontener. Zakradł się tam, idąc wzdłuż kontenerów od tyłu.

Jeden z mężczyzn stał za Franck i żelaznym ściskiem trzymał jej ramiona za plecami. Drugi stał przed nią, jakby miał do wyrównania jakieś osobiste porachunki.

— Cholerna dziwka, teraz mi zapłacisz.

— Obleśna świnia! — syknęła Franck. Z trudem łapała powietrze.

— Okradłaś mnie, szmato! Nikt, kurwa, nie będzie mnie okradał. Nikt! Teraz wszystko oddasz. Z odsetkami.

Mężczyzna szybko zrobił krok i stał teraz całkiem blisko Franck, przedramieniem osłaniając się przed jej kopniakami. Mocno złapał ją za piersi i zmacał przez kurtkę. Po chwili odsunął się, trzymając triumfalnie w dwóch palcach czerwony portfel.

— Opróżnię go sobie. Ale najpierw opróżnię coś jeszcze, wredna szmato. A po mnie to samo zrobi mój kolega. Dostaniesz tyle, że nigdy nas nie zapomnisz. Nawet kiedy będziesz spała...

Mężczyzna stęknął i rozpiął rozporek.

Rozdział 25.

Prokurator generalny czuł niepokój. W jego starannie wytrenowanym ciele uczucie to pojawiało się wyjątkowo rzadko i może dlatego było tak silne. Miał wrażenie, jakby cała armia wielkich leśnych mrówek znalazła tajemne przejście do jego układu krwionośnego, i mrowienie czuł w każdej najmniejszej arterii, aż po czubki palców u rąk i nóg.

Dla Pera Eilertsena, człowieka odpowiadającego w prokuraturze generalnej za zwalczanie przestępczości gospodarczej i międzynarodowej była to sytuacja nietypowa.

Godzinę udało mu się przespać, nim obudziło go właśnie to mrowienie. Przewracał się z boku na bok w nadziei, że w końcu się uspokoi. Na próżno. W środku nocy poddał się i wstał.

Wypił szklanekę mleka i krążył boso po pogrążonym we śnie domu. Uchylił drzwi pokoju dziecinnego i zajrzał do dziewczynek, a na koniec ruszył do dużego gabinetu, który dzielił z żoną.

Usiadł w skórzanym fotelu z wysokim oparciem, otworzył szufladę biurka, górną po prawej, i spojrzął na to, co z całą pewnością przynajmniej po części odpowiadało za dręczący go niepokój: przez samobójstwo Krestena Hildmanda niezliczona liczba roboczogodzin poszła na marne.

W szufladzie na samym wierzchu leżał raport z sekcji zwłok. Pod nim teczka zawierająca komplet materiałów dowodowych zebranych przez policję. Raz jeszcze przejrzał raport medyka sądowego, szukając niedopatrzeń albo czegokolwiek, najslabszych choć konturów czegoś, co mogłoby wzbudzić podejrzenia.

W głębi duszy wiedział, że to na nic. Nic nie znajdzie. Sytuacja przedstawiała się bardzo wyraźnie. Kresten Hildmand uciekł tylnymi drzwiami. Pojechał do lasu, tam upił się dla kurazu

i zakończył swój pod wieloma względami podły żywot aroganckiego snoba.

W ciele mężczyzny znajdowały się ogromne ilości alkoholu i równie dużo tlenu węgla. Mieszanka sama w sobie mocno niezdrowa.

Policjanci byli dokładni, w ich śledztwie nie było żadnych luk. Miejsce znalezienia zwłok zostało skrupulatnie przeczesane. Na tyle, na ile było to możliwe, zważywszy, że Hildmanda znalazła grupa biegaczy, którzy zdeptali teren dość porządnie. Mimo to niczego nie znaleziono. Nawet w dalszym promieniu.

W teczce były wydruki przesłuchań całej masy członków rodziny i bliskich współpracowników. Wyłaniał się z nich obraz spójny z pierwszą narzucającą się interpretacją: zbliżający się proces o stworzenie kartelu mocno wstrząsnął Krestenem Hildmandem. Potwierdziła to również żona zmarłego, która z kolei nie wydawała się przesadnie wstrząśnięta odejściem małżonka.

„Jak pies z kotem” — tak opisał relacje między małżonkami ich najstarszy syn. Dodał, że pozostawali w związku małżeńskim głównie ze względów praktycznych. Oboje wychodzili z założenia, że w ich wieku nie ma sensu rezygnować z wygodnego życia, jakie im zapewniało pozostawanie w formalnym związku.

Nic nowego — nawet teraz, gdy przeglądał materiały w środku nocy. Per Eilertsen odchylił się w fotelu i zamyślony klasnął językiem.

Prawdą było, że nie są już w stanie wydobyć na światło dzienne wielkiego przekrętu z wszystkimi odgałęzieniami i wątkami pobocznymi. Gdy tylko rozniosła się wiadomość o śmierci Hildmanda, wszyscy, którzy mieli cokolwiek do powiedzenia w sprawie, nabrali wody w usta. Bardzo wyraźnie dano do zrozumienia prokuraturze, że jeśli zamierza dalej drążyć, to nie ma co liczyć na jakąkolwiek pomoc. Jako potencjalny świadek koronny Hildmand był jak miecz Damoklesowy wiszący nad głowami wszystkich zamieszanych w sprawę. Teraz ów miecz zniknął.

Swoich ludzi starał się uspokajać, tłumacząc im, że czeka ich po

prostu więcej dodatkowej pracy, przekierowanie uwagi, zmiana punktu ciężkości i tak dalej. Że wspólnym wysiłkiem uda im się raz jeszcze zebrać niezbędne dowody — nawet bez Hildmanda. Miał jednak świadomość, że to nieprawda. Że jako ich szef stara się jedynie podtrzymać w nich ducha walki. Jeśli zbyt szybko złożą broń, zniweczą publicznie ogromny wysiłek, jaki cały wydział włożył w przygotowanie sprawy. Opinia publiczna mogłaby uznać, że nie byli wystarczająco dokładni, skoro w tak wielkim stopniu oparli oskarżenie na jednej tylko osobie.

Być może dobrym taktycznie zagranem będzie zrobić coś niesztampowego: zwrócić się wprost do Helene Kiss Hassing, jako formalnie najwyższej przełożonej, i poprosić ją o spotkanie w cztery oczy.

Sama przedstawiała zbliżający się wielki proces jako dowód, że obecny rząd nie unika moralnej odpowiedzialności i w każdej chwili jest gotów walczyć z nieetycznymi zachowaniami, nepotyzmem, zwykłą deprawacją czy działalnością jawnie przestępczą we wszystkich warstwach społecznych.

Jeśli sam wykona pierwszy krok w jej kierunku, być może złagodzi nieco krytykę, która niewątpliwie spadnie na prokuraturę ze strony pani minister.

Wiele osób, zarówno w ministerstwie, jak i wśród pozostałych polityków i dziennikarzy, rzuciło się na Hassing jak stado wygłodniałych hien, gdy objęła stanowisko po poprzedniku, który utonął podczas wędkowania.

Nazywali ją Kiss, albo Kiss-Kiss, przesadnie przeciągając „s”, by pokazać, jak bardzo jej nie szanują. Przydomek „Boobs” był kolejnym, jeszcze bardziej idiotycznym sposobem okazania lekceważenia.

Ale on nie dał się zwieść. Poza tym takie zabawy były poniżej jego poziomu. Prawdą było, że Helene Kiss Hassing była kobietą niezwykle inteligentną, a przy tym atrakcyjną. Miała dyplom magistra politologii. Sam fakt, że w przeciwieństwie do wielu swoich kolegów z Christiansborga w istocie dokończyła studia, zapisywał jej się na plus.

Na szczęście otoczenie powoli zaczynało doceniać wewnętrzne zalety Hassing. „Ekstra Bladet” niedawno poświęcił jej pierwszą stronę po tym, jak wykopała swojego szefa departamentu za nielojalność.

„Pocałunek śmierci” — napisali wielkimi literami nad zdjęciem zwolnionego szefa departamentu, a graficy zabawili się, przyklejając odcisk czerwonej szminki do jego wysokiego czoła.

Kiss Hassing wychodziła z własnego, kształtnego cienia i dawała się poznać jako skuteczny polityk, który nie da sobie w kaszę dmuchać.

Im dłużej rozmyślał o bezpośrednim spotkaniu z nią, tym bardziej był przekonany, że to mądre posunięcie. Mógłby przy okazji, będąc z nią sam na sam, lepiej ocenić jej potencjał intelektualny.

Wstał z fotela i poszedł do kuchni nalać sobie jeszcze jedną szklankę mleka. Z samego rana podejmie kroki, by spotkać się z minister sprawiedliwości.

Teraz najwyższa pora wracać do łóżka.vc

Rozdział 26.

Wyglądało na to, że mężczyzna stojący przed Margrethe Franck zamierza ją unieszkodliwić jeszcze jednym sierpowym w brzuch, nim przejdzie do gwałtu. Przeniósł ciężar ciała na lewą stopę i odchylił w tył prawą pięść. Za moment padnie silny cios.

— Halo. Co tu się dzieje?

Wyszedł ze swojej kryjówki. Stał spokojnie, z rękoma wzdłuż ciała. Mówił tonem ostrym, lecz opanowanym.

Obaj mężczyźni jednocześnie odwrócili głowy. Z trudem rozróżniał ich rysy twarzy. Zaskoczył ich, ale byli zbyt pewni siebie, by doznać szoku.

Mężczyzna za plecami Franck wciąż trzymał ją w żelaznym uścisku. Ten stojący przed nią zawahał się na moment, ale w końcu całkiem się odwrócił do postaci, która im przerwała.

— Spierdalaj, cieciu. Ale już!

Mężczyzna pogroził mu pięścią i zrobił krok w jego kierunku.

— Spierdalaj, mówię!

— Niels! Niels? To ty?

W krzyku Margrethe słysząc było niedowierzanie — i być może cień nadziei. Nie umiał rozstrzygnąć.

— Tylko spokojnie — powiedział, szykując ciałem.

Instynktownie ugiął kolana, zacisnął uda, by chronić krocze, i skrzył korpus, żeby zminimalizować obszar, jaki mógł zaatakować mięśniak. Lewe ramię uniósł, gotowe do sparowania ciosu, a prawą dłoń mocno zacisnął w pięść na wysokości biodra z odchylnym kciukiem, by nie narażać go na niepotrzebny uraz, gdy przejdzie do kontrataku.

Na przestrzeni lat przerobił wiele różnych technik walki. W tej

chwili przybrał pozycję wyczekującą z karate *shōtōkan*. Ruchy i schematy tego stylu, wyćwiczone tysiącami powtórzeń, wpisały się w jego ciało niczym druga natura.

Ponownie zinterpretował ruchy ciała przeciwnika. Najmniejsza prowokacja z jego strony wywołał atak. Powiedział więc:

— Idźcie już lepiej do domu, dziewczynki. Bo to się dla was źle skończy.

Mężczyzna jednym susem przyskoczył do niego i zamachnął się prawą pięścią prosto w jego twarz. Sparował cios lewym przedramieniem i w tym samym ułamku sekundy skręcił biodro, a prawą pięść z ogromną siłą wbił dokładnie w splot słoneczny napastnika.

Gdy ten stał jeszcze i z otwartymi ustami bezskutecznie próbował łapać powietrze, kopniakiem z półobrotu, *mawashi geri*, wymierzonym prosto w żuchwę, powalił go na ziemię.

Odwrócił się do drugiego z mężczyzn, który w tej samej sekundzie odepchnął Margrethe, aż potoczyła się po asfalcie.

— No dobra, pokaż, co potrafisz — warknął.

Błysnęło, gdy tamten szybkim ruchem wyjął z kieszeni kurtki duży i cienki nóż sprężynowy i jednocześnie wysunął ostrze. Nie był to bagnet, ale ponoć ostry jak brzytwa.

Mężczyzna zrobił dwa kroki w przód. Był ciężki i poruszał się nieporadnie. Nóż w jego ręce był jedynym zagrożeniem.

— Schowaj się za mnie!

Kątem oka dostrzegł, że Margrethe podniosła się z ziemi po ciężkim lądowaniu i ruszyła w stronę ściany za jego plecami, tak jak jej kazał.

— Czekaj, dziwko, tobą zajmę się zaraz po nim...

Jego przeciwnik znów zrobił dwa ostrożne kroki w jego stronę, zaczepnie machnął przed nim kilka razy nożem, zmuszając do dalszego wycofania się.

Można to było zrobić na wiele sposobów. Masa mięśniowa tego

człowieka była mocno napompowana, przez co ruchy miał stosunkowo powolne i łatwe do przewidzenia. Gdy odległość między nimi odrobinę się zmniejszy, to będzie jego szansa.

Mężczyzna, jeszcze szerszy od swojego leżącego na asfalcie i zgiętego wpół kolegi, zrobił kolejny krok w przód. Teraz odległość między nimi była optymalna.

Następny zamach nożem był na wysokości głowy, jakieś trzydzieści centymetrów od szyi Oxena. A potem backhand. Gdy ostrze po raz drugi śmignęło mu przed twarzą, błyskawicznie przyskoczył, stanął całkiem blisko przeciwnika i chwycił nadgarstek dłoni, w której ten trzymał nóż — najpierw lewą ręką, a po chwili również prawą.

Blokując mocno oburącz nadgarstek uzbrojonej w nóż dłoni przeciwnika, niemal go unieszkodliwił. Wystarczyło teraz, że podniósł ramię mężczyzny i jednocześnie zrobił krok, by się pod nim znaleźć. Potem szarpnął je mocno w dół.

Mięśniak wrzasnął, gdy pękły więzadła i bark z głośnym trzaskiem wypadł ze stawu, zanim mężczyzna uległ sile szarpnięcia, przekoziółkował i uderzył plecami o asfalt.

Oxen dokończył dzieła, wbijając mocno piętę w podbrzusze przeciwnika. Obaj napastnicy leżeli teraz skuleni na ziemi kilka metrów od siebie. Żaden z nich na razie nie będzie stanowił zagrożenia.

— Nic ci nie jest? — spytał Margrethe.

Wysoka, szczupła postać wydawała się zupełnie rozluźniona i spokojna. Światło z okien lekko oświetlało jeden bok jego twarzy. To *był* on. Niels Oxen. Ale czy na pewno?

Raz jeszcze przesunęła wzrokiem po całej sylwetce. Tak. Nie było najmniejszych wątpliwości. To naprawdę *był* on. Wrócił z martwych. To w ogóle możliwe? W dodatku akurat tutaj. Z wszystkich miejsc na ziemi...

Potwierdziła skinieniem, po czym pokręciła głową

z niedowierzaniem. Co tu się dzieje?

— Tak, wszystko w porządku... ale... Niels... do diabła... ja... nic z tego nie kumam...

Z trudem dobywała z siebie słowa. Głos miała niski i chrapliwy. Rozłożyła bezradnie ręce i spróbowała raz jeszcze:

— Myślałam, że... Wszyscy myśleli, że ty...

— Nie. Jeszcze nie. Co to za debile?

— Skąd się tu wzięłeś? I jak...

— Jechałem za tobą od samego domu. Potem siedziałem tu i czekałem. Kim są ci dwaj?

Niels Oxen powtórzył pytanie i wskazał na mężczyzn, którzy wciąż leżeli na parkingu i jęczeli. Nie wiedziała, od czego zacząć — ani na czym skończyć. Spotkanie z dwoma oprychami było zresztą niczym wobec niemożliwego spotkania ze zmarłym, wysoko udekorowanym weteranem wojennym.

Wzruszyła więc tylko ramionami.

— Tamten był moim szefem, gdy na parę dni zostałam sprzątaczką. Próbował mnie zgwałcić, kiedy jednej nocy mieliśmy razem pracować. Całkiem niedawno. Walnęłam go z czoła, zabrałam mu z portfela swoją wypłatę i się zmyłam. Więc pewnie nieźle się wkurwił, podły gnój... tego drugiego nie znam. Pewnie jego ziom.

Zwierz, który zaatakował Oxena nożem, zaczął się czołgać w stronę bramy. Jęczał i ciągnął za sobą bezwładne ramię.

— Zostaw go. Teraz chyba dadzą ci spokój.

Przytaknęła i podeszła bliżej zjawy, z którą rozmawiała. Najpierw zbliżyła się o krok. Potem następny. Teraz stała całkiem blisko.

To wszystko wydawało się tak bardzo nierzeczywiste. Mało tego — Oxen zmaterializował się akurat w momencie, w którym najbardziej go potrzebowała. Nie miała wątpliwości, że tamci dwaj zrobiliby to, co zapowiedzieli — ostro i brutalnie. Na myśl

o tym, co mogło się stać, przeszył ją lodowaty dreszcz.

Zrobiła ostatni, mały krok i objęła go. Uścisnęła. Przycisnęła mocno do siebie. I poczuła, że najpierw na krótką chwilę zeszywniał, ale potem objął ją ramieniem i poklepał lekko po plecach.

— Cześć — powiedziała i w końcu go wypuściła.

— Cześć.

— I dzięki...

Niels Oxen uśmiechnął się krzywo.

— Nie ma za co.

— Owszem, jest. I to dużo. Na dodatek w ostatniej sekundzie. Gdyby nie ty, źle by się to dla mnie skończyło. Bardzo źle. Dziękuję.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała go kilka razy po ramieniu. Może chciała się przekonać, czy nie jest duchem i czy od tego szorowania garów całkiem nie pomieszało jej się w głowie.

— Mówisz, że czekałeś. Na mnie. Ale czemu tutaj? I czemu na mnie, co, Niels?

— Nie wiedziałem, czy cię nie obserwują. Dlatego za tobą pojechałem i dlatego postanowiłem poczekać tutaj. Potrzebuję twojej pomocy.

Bydlak i król sprzątaczy podniósł się i parskając, klęczał teraz na pustym parkingu. Wzięła rozbieg i z całej siły kopnęła go w brzuch, aż znów padł na asfalt. Margrethe schyliła się i złapała go za brzeg bluzy.

— A teraz posłuchaj uważnie, z boku! Jeśli kiedykolwiek spróbujesz się choć zbliżyć do mnie, to nie popuszczę ci tak łatwo, zrozumiałeś?

Nasterydowany mięśniak tylko jęknął.

— Pytam, czy zrozumiałeś, co do ciebie mówię?

— Tak, zrozumiałem...

— Więc zabieraj stąd swoją obleśną dupę.

Znów stanął na nogi i zgięty wpół środkiem podwórka poczłapał do bramy.

Teraz odwróciła się do Oxena.

— Powiedziałeś, że potrzebujesz pomocy... mojej pomocy? Cóż. Oczywiście o niczym nie wiesz — bo skąd miałbyś wiedzieć? Otóż sporo się u mnie zmieniło. *Wszystko* się zmieniło. Nie jestem już w PET. W ogóle nigdzie nie jestem. Z trudem próbuję nie pójść na samo dno, ratuję się różnymi drobnymi fuchami. Właśnie zaczęłam robotę na kasie w Netto. Do tego od jakiegoś czasu pracuję na zmywaku w tym hotelu. Zatem pomoc? Jaka pomoc? I w czym, Oxen, co?

Rozdział 27.

Margrethe Franck milczała niemal przez całą jego opowieść o tym, jak stał się jednocześnie martwy i żywy. Siedziała na suszarce z podkulonymi nogami.

Znajdowali się w pralni jej kamienicy w Østerbro. To była jej odpowiedź na pytanie, czy zna bezpieczne miejsce, w którym mogliby porozmawiać. Pralnia była duża, z podłogą z surowego betonu. Trzy jarzeniówki w suficie wypełniały całe pomieszczenie zimnym światłem. Pod jedną ścianą stały w szeregu pralki, a pod drugą — suszarki.

On sam usiadł na stole, na którym ludzie składali pranie. Mówił ściszym głosem, choć był środek nocy i cały budynek zdawał się spać głęboko.

— Więc naprawdę *masz* dziewięć żyć...

— Jeśli tak, to teraz najwyraźniej zużyłem już wszystkie. A ty? Sprzątanie, Netto i zmywak? I rower...?

Franck uśmiechnęła się i ciężko westchnęła.

— Miniak przepadł. Na parkingu za domem mam stare zdezelowane suzuki. Rower to świeży nabytek, prosto z targu. To dobre podsumowanie mojego aktualnego statusu.

— Danehof?

Przytaknęła.

— Tamtej nocy na zamku, kiedy Villum Grund-Löwenberg wypuścił mnie i Sonnego, zapowiedział, że w ramach rewanżu zniszczy nas oboje. I to właśnie zrobił.

— A co z Sonnem?

Wzruszyła ramionami. Skromny glina z komendy w Aarhus został wciągnięty w wir i utonął razem z nimi tylko dlatego, że

w ramach dodatkowej fuchy zgodził się pomóc swojemu wujkowi Axelowi Mossmanowi.

— Mossman nie był w stanie mi pomóc. Sonnego zwolnili z komendy okręgowej. Tylko raz do niego zadzwoniłam. Mnie z kolei wywalili z PET...

— I jak to uzasadnili? — Oxen patrzył na nią z uniesionymi ze zdumienia brwiami.

— Że zataiłam informacje i współpracowałam z podejrzanym o zabójstwo i poszukiwanym — czyli z tobą. Tak naprawdę bardzo szybko zaproponowano mi nową pracę — całkiem ciekawą i za jeszcze ciekawszą pensję w duńskim oddziale międzynarodowej spółki konsultingowej. Ochrona, sprawdzanie danych, zakładnicy, analizy ryzyka, tego typu sprawy. Trzy miesiące wzajemnej próby. Zwolnili mnie po miesiącu. „Niefortunna zmiana koniunktury i konieczna redukcja zatrudnienia”. Gówno prawda. Ktoś pociągnął za odpowiednie sznurki.

— Więc od tamtej pory trzymają cię na muszce?

— Nigdy nie udało mi się ich przyłapać, nigdy niczego nie zauważyłam.

— A podsłuch?

— Wielokrotnie przeczesalam mieszkanie detektorem. Nigdy nic nie znalazłam.

— Raczej mało prawdopodobne, by cię monitorowali przez całą dobę. To trudne i kosztowne, nawet dla nich.

— Myślę, że sprawdzają mnie w regularnych odstępach czasu, bo podobnie było, gdy po jakimś czasie dostałam pracę przy biurku w duńskiej firmie ochroniarskiej. Tam nazwali to po prostu „problematyczną współpracą”. Trzy tygodnie i po zabawie. Schemat powtórzył się jeszcze raz, kiedy dostałam pracę jako koordynator w małej agencji ochrony mienia. Tam utrzymałam się tylko dwa tygodnie... Jedyne prace, które najwyraźniej wolno mi zatrzymać, to te dla personelu niewykwalifikowanego. Nie wolno mi mierzyć za wysoko. Ale moja noga nawet tu narzuca pewne ograniczenia... Mieszkanie kupiłam w samym środku bumu,

miniak też nie był tani. W PET miałam najlepszą pracę na świecie. Nigdy, przenigdy bym nie pomyślała, że może się stać coś takiego... — Margrethe rozłożyła ręce i pokręciła głową.

Przez chwilę milczeli. Zerkali tylko na siebie, próbując dociec, co kryje się głębiej w historiach, które właśnie sobie opowiedzieli. Margrethe była sama w sobie ilustracją własnego upadku.

Ostra laska w zbuntowanej, punkowej fryzurze, czerwonej szmince, wyglądająca tak bardzo cool w czarnej skórzanej kurtce istniała dziś tylko jako fatamorgana pod jego powiekami.

Trudno było dostrzec kobietę ze srebrnym wężem w uchu w siedzącej na suszarce dziewczynie o półdługich, przylizanych włosach w mysim kolorze, wiatrówce i najzwyklejszych dżinsach, skąpanej w bezlitosnym świetle jarzeniówki. Chyba że się na własne oczy widziało, kim ta dziewczyna jest naprawdę.

Wąż zmienił skórę, i to radykalnie. Białe światło podkreślało cienie i worki pod oczami.

— Franck. To ja cię w to wszystko wciągnąłem. Bardzo tego żałuję. Mam nadzieję, że kiedyś w końcu odpuszczą i zostawią cię w spokoju.

Franck potarła oczy i zaśmiała się gorzko.

— Masz rację. Po cholere żes polazł do Rold Skov?

— Myśl o przyszłości. Co właściwie cię czeka — wiesz o tym?

— Przyszłość? Ja nie mam żadnej cholernej przyszłości. Moje życie, wszystkie możliwości, jakie miałam... Czasem myślę sobie, wiesz, że my wszyscy mamy w sobie coś w rodzaju płomienia. Ten płomień to życie, właśnie. I kiedy on zgaśnie, to bach — i cię nie ma. Umierasz, po prostu. Tak jest i tak być powinno. Ale mój płomień został nie tylko zgaszony — on został zamrożony. Jestem żywym trupem. Tak się czuję. Zastanawiam się czasem, jak by to było wyjechać. Wyemigrować. Zacząć od nowa. Wiesz, o co mi chodzi?

Pokiwał wolno głową. Właściwie chyba powinien zamilknąć. Źle ocenił sytuację i cenę, jaką zapłaciła za to, że wraz z nim rzuciła

wyzwanie ludziom władzy. Albo inaczej — nie zamierzał jej wciągać w swoją prywatną misję, a jedynie posłużyć się nią jako pośrednikiem. Tyle że Franck, która przed nim siedziała, nie była już prawą ręką szefa wywiadu. Ona była jedynie...

— A tak w ogóle to jaką pomoc miałeś na myśli, zanim mnie znalazłeś?

Nie widział powodu, by to przed nią ukrywać. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął i podał jej dwa zdjęcia, które wywołał w punkcie fotograficznym w Sønderborgu. Przyglądała im się przez chwilę.

— Kto to jest?

— To jest gość, za którego sprawą zmarł minister, gość, który stoi za obławą na mnie i próbą zabicia mnie na morzu, ten sam, któremu udało się zrzucić na mnie winę za zabójstwo Rybaka i który stał za pojmaniem ciebie i Sonnego tamtej nocy. Najemnik, dawniej żołnierz w siłach SAS. W tego typu zleceniach występuje jako John Smith. Nic więcej o nim nie wiem, ale muszę go znaleźć. Bez niego nie będę mógł oczyścić swojego imienia.

— Marne szanse, że uda ci się do niego dotrzeć za plecami Danehofu. Zresztą jeśli chcesz się oczyścić, to i tak będziesz musiał się ujawnić. A gdy tylko to zrobisz, będzie po tobie...

— Będę musiał mieć się na baczności. Innej drogi nie ma. Ten facet to moja jedyna szansa, by przedostać się do wnętrza labiryntu.

Margrethe oparła podbródek na kolanie. Jej czoło porały głębokie zmarszczki.

— Nie wyjdiesz z tego żywy, Oxen. Odpuść.

— Sama doskonale to podsumowałaś. Mój płomień został zamrożony. Żyję — ale nie ma we mnie życia. Nie mogę się zbliżyć do Magnusa. Wiem, że gdy tylko wyjdę z ukrycia, rozpocznie się pościg. Ale nie mam wyboru.

— Nie mogę ci pomóc. Sam widzisz. To nie do uwierzenia, ale pracuję na cholernym zmywaku w Copenhagen Blackbird.

Przez chwilę milczeli, po czym Margrethe zapytała:

— Jak właściwie udało ci się zejść aż tak daleko. To znaczy, no wiesz... te zdjęcia?

— Tamtej nocy w Gram zabrałem jednemu z ludzi Smitha komórkę. Potem przesłałem wszystko, co w niej znalazłem, siostrze Fritsen, a ona przekazała je jemu.

— A właściciel telefonu? Może on doprowadzi cię dalej?

— On nie żyje.

Franck zdziwiona uniosła brwi.

— Nie, to nie była moja wina. Zaatakował mnie, gdy wychodziłem z jego mieszkania. Źle wymierzył cios i spadł ze schodów głową w dół. I złamał kark.

— Hm. A Fritsen wie, że żyjesz?

— Tak, teraz już wie. Wysłałem do niego znajomego, by przyniósł mi te wszystkie informacje. Sam nie mogę się do niego zbliżyć. Nie wiem, czy go nie obserwują.

— Byłam u niego w warsztacie. Bardzo przeżył to wszystko, co się z tobą stało...

Niels tylko pokiwał głową.

— Więc pewnie wiesz również, że twoja mama umarła?

— Tak.

— Bardzo ci współczuję.

— Sama wiesz, jak między nami było... Nigdy nie byliśmy sobie bliscy.

— A twoje medale? Wciąż są u Fritseny?

— Tak.

— To dziwne, gdy o tym pomyśleć. Jeszcze nie tak dawno siedzieliśmy u niego w kantorku i rozmawialiśmy o tym, kiedy i jak przekazać je Magnusowi. Wciąż mam twój plecak z pieniędzmi. I małe zdjęcie Magnusa.

— Zatrzymaj te pieniądze. Należą ci się. Jako rodzaj rekompensaty.

— W życiu! Nie chcę żadnej rekompensaty.

— Przepraszam, nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Ale naprawdę mam dość pieniędzy. Te nie są mi potrzebne, dlatego...

— Dzięki, ale nie.

— Za to zdjęcie chętnie bym odzyskał.

— Jasne. Słuchaj, jeśli chodzi o tożsamość tego gościa... O to, o co chciałeś mnie prosić... W tym nie mogę ci już pomóc. Mając tylko zdjęcie... Takie rzeczy wymagają dobrych kontaktów — i to naprawdę dobrych kontaktów z Anglikami. Ja z kolei jestem w Søborgu persona non grata. Jeśli ktoś marzy o karierze w PET, to lepiej, by go nie widziano w moim towarzystwie.

— Tak, teraz też to widzę. Nie wiedziałem, że tak fatalnie się to wszystko potoczyło.

Zamilkł. W myślach testował rozmaite scenariusze. Tak naprawdę były tylko dwa mosty, którymi można było przekroczyć tę rzekę. Jeden właśnie runął. Margrethe Franck była upadłym aniołem strąconym w czystcową otchłań. Zastanawiał się teraz, jak daleko wolno mu się posunąć.

Zdecydował się spróbować, więc podjął niepewnym głosem:

— A co, gdybym... Pomyślałem właśnie... Mogłabyś w moim imieniu skontaktować się z Mossmanem? Zapłatą mogłyby być pieniądze z plecaka.

— Z Mossmanem? No tak, zapomniałam o nim. Otóż Axel Mossman jest równie non grata jak ja. I wbij to sobie w końcu do głowy: nie chcę twoich pieniędzy.

— W jakim sensie non grata?

— Nie słyszałeś? Nie jest już szefem. Wyrzucili go — tego samego dnia co mnie. Oficjalnie sam się zwolnił z powodu problemów zdrowotnych. Minister sprawiedliwości wyraziła nawet ubolewanie z powodu jego decyzji.

— Co ty mówisz?! I nie widziałaś się z nim od tamtej pory? Nie rozmawiałaś?

— Nie. Mossman to nie jest gość, do którego wpada się ot tak. Ale myślę o nim, nawet często.

— Cóż, oczywiście trudno powiedzieć, byśmy byli przyjaciółmi — on i ja, ale w tej chwili Mossman to moja jedyna szansa. Jak myślisz?

— Kto wie? Wielki Mossman jest chyba jedynym człowiekiem, który posiada na tyle bliskie i osobiste kontakty na wysokim szczeblu, że może pomachać zdjęciem, komu trzeba. Ale czy zechce? Tego nie wiem.

Franck wzruszyła ramionami. Wyglądała, jakby się głęboko zastanawiała. W końcu powiedziała, z wahaniem w głosie:

— Tak naprawdę sama się zastanawiałam, czy go nie poprosić o pomoc w znalezieniu pracy za granicą. Mogłabym wybrać się do niego razem z tobą. Wówczas na wspólnej audiencji będziemy mogli mu przedłożyć nasze petycje. Hm. Niełatwo się oswoić z myślą, że stał się zwykłym emerytem.

— Dobra. Tak zrobimy.

— Ale resztę będziesz musiał ogarnąć sam. Jak dla mnie — nigdy więcej Danehofu...

Upadły anioł znów oparł podbródek na kolanie.

Rozdział 28.

Ani ci, którzy przyszli tu nacieszyć się wiosennym ciepłem, ani ci, dla których ogród botaniczny był jedynie skrótem na trasie do centrum, nie zwracali najmniejszej uwagi na siedzącą na ławce parę.

Tylko nieliczni rozpoznaliby kobietę ukrywającą się za dużymi ciemnymi okularami, która dla niepoznaki wyjątkowo rozpuściła długie jasne włosy, trzymane w ryzach jedynie kapeluszem Burberry w charakterystyczną kratkę.

Tą kobietą była duńska minister sprawiedliwości, Helene Kiss Hassing, która poświęciła siedzącemu obok mężczyźnie całe pół godziny ze swojego niezwykle napiętego grafiku tego popołudnia, zarezerwowanego dla kilku naglących spraw prywatnych.

Mężczyzna za to nie miał potrzeby się ukrywać. Choć Per Eilertsen jako prokurator generalny zajmował mocną pozycję w najwyższych sferach prawniczych, to starannie ogolona, spokojna twarz czyniła go całkowicie anonimowym.

Korzystając z pierwszych promieni słońca, zdjął zamszową kurtkę i siedział tylko w błękitnej koszuli i poluzowanym krawacie. Jego odprężona postawa mogłaby wskazywać, że bardzo nieformalne spotkanie tych dwojga zbliżało się ku końcowi. Wcześniej bowiem przez pewien czas prokurator siedział na skraju ławki i silnie gestykulował, podkreślając powagę swoich racji i złożoność problemu.

Potem chyba rzucił jakiś dowcipny komentarz, który okraślił gorzkim uśmiechem i wzruszeniem ramion. Minister sprawiedliwości uśmiechnęła się szeroko i nawet krótko zaśmiała, nieznacznie kręcąc głową. Oboje posiedzieli jeszcze kilka minut i najwyraźniej ucinali sobie przyjacielską pogawędkę. W końcu minister zerknęła na zegarek i wstała. Podali sobie ręce i kobieta pośpiesznie się oddaliła, a szef prokuratury odchylił się na ławce,

zamknął oczy i wystawił twarz do słońca.

Udane spotkanie, nawet bardzo udane. W końcu osobiście poznał kobietę, o której każdy miał coś do powiedzenia, i musiał przyznać, że zrobiła na nim jak najlepsze wrażenie.

Mrużąc oczy, obejrzał się za nią i zdążył jeszcze zobaczyć jej plecy pospiesznie oddalające się zwirową ścieżką, nim zniknęły za dużym krzewem zimozielonym.

Jego prośba o spotkanie na neutralnym gruncie była równie nietypowa, jak nietypowa była błyskawiczna zgoda ze strony minister. Helene Kiss Hassing była osobą bezpośrednią i niemal od razu po powitaniu zapytała o powód spotkania.

Zwięźle przedstawił jej sytuację, że natrafili na poważne trudności w rozpracowywanej przez nich sprawie kartelu, i wyjaśnił dlaczego. Minister zaskoczyła go drobiazgową znajomością ich śledztwa i bez skrępowania wyraziła swoje niezadowolenie. Najważniejsze było jednak to, że uważnie go słuchała i co jakiś czas ciętym jak brzytwa językiem podsumowywała kolejne przedstawiane przez niego fakty.

Gdy na koniec wymienił pozostałe obiecujące sprawy, które miał obecnie na swoim biurku, widział, że udało mu się nieco obłaskawić swoją formalnie najwyższą przełożoną. Spotkanie zakończyli kilkuminutową rozmową na tematy bardziej osobiste, wspomnieli między innymi o swoich dzieciach. Czuł, że nadają na tych samych falach, mimo że miał oczywiście bardzo nikłe podstawy, by tak sądzić.

Tylko nielicznym udaje się zająć dokądkolwiek bez dobrych kontaktów. Ale kontakty to jedno, bliskie relacje osobiste zaś to całkiem inna sprawa. Te były wprost na wagę złota.

Miał wrażenie, że Helene Kiss Hassing mogła być w burzliwym świecie polityki, w którym oboje funkcjonowali, sojuszniczką wyjątkowo pewną i silną — jeśli tylko uda mu się wystarczająco do niej zbliżyć.

Teraz należało patrzeć w przyszłość. Podjąć ostatni, ogromny

wysiłek, by na przekór trudnościom postawić zarzuty twórcom kartelu, i zająć się wreszcie pozostałymi obiecującymi sprawami, które czekały w kolejce.

Później, gdy nadarzy się odpowiedni moment, spróbuje powtórzyć swój sukces i raz jeszcze zwróci się bezpośrednio do minister.

Rozdział 29.

Pies wybiegł z ciemności na długo, zanim wyłonił się z niej jego pan. Wysoko na ścieżce w świetle latarni zwierzę przeobraziło się z dużego, nieokreślonego kształtu w golden retrievera zapamiętale obwąchującego otoczenie.

Był na długiej smyczy. Tak długiej, że jej koniec znikał w cieniu krzaków, gdzie musiał się kryć jego pan.

Spojrzał na zegarek. Dwudziesta druga trzydzieści pięć. Czekali prawie pół godziny.

Zdaniem jego żony to miało być dobre miejsce, by na niego zaczekać. Przy ścieżce biegnącej wzdłuż lasu i pola golfowego, kawałek wyżej za zamkiem Kokkedal, którego bryła bielsza od bieli, ze światłami w niemal wszystkich oknach wyglądała, jakby ktoś przeniósł ją wprost z baśni i starannie umieścił na fairwayu.

Cały teren był podzielony systemem ścieżek i alejek, jak się również dowiedzieli od żony, gdy zapukali do dużego domu stojącego przy ulicy odchodzącej od Lange-Müllers Allé. Teren był ogrodzony, ale można było na niego wejść przez dziurę w żywopłocie na końcu ślepej uliczki. Ścieżki były oznaczone kolorami: żółta, niebieska, czerwona, zielona i czarna — prawie jak alpejskie trasy narciarskie. Zdaniem kobiety jej mąż wybierał czerwoną. Sønderskoven, z daleka obchodzącą Nørreskoven, potem wiodącą w stronę Ravnedalen i wokół klubu jeździeckiego w starej stadninie. Tonem nieco sceptycznym wyjaśniła: „Twierdzi, że lubi zapach koni”. I z powrotem do domu, najpierw główną ulicą, a potem w dół wzdłuż ogródków.

Nie pomyliła się. Na szczęście. Pies w każdym razie się zgadzał. Za chwilę powinni zobaczyć człowieka.

— Niels, teraz...

Uświadomił to sobie w tej samej sekundzie, w której poczuł

kuksańca Margrethe Franck: coś było nie tak. Albo raczej coś było niekompletne.

Mężczyzna ze smyczą stopniowo wyłaniał się z ciemności. Poruszał się szybciej, niż powinien. Stopy zdawał się stawiać pośpieszniej i bardziej energicznie. W jakiś sposób wydawał się mniejszy, niż powinien.

Mężczyzna wszedł w obręb światła latarni. Miał w sobie coś innego — coś bardzo odmiennego od tego, co spodziewali się zobaczyć. Jego krok nie wydawał się jak dawniej pokraczny i kołyszący niczym u marynarza na morzu. Sylwetka stała się zaskakująco sprężysta. Ale... To był on.

Mężczyzną, teraz w pełni oświetlonym przez latarnię, był Axel Mossman, przez kilkadziesiąt lat sprawujący najwyższą władzę w Policyjnej Służbie Wywiadowczej. Wielki Mossman — choć nie tak *wielki*, jak się spodziewali.

Oboje wyszli z lasu na ścieżkę. Mossman zatrzymał się w pół kroku. Pies węszył wokół ich nóg.

— Co u licha... — zagrzemiał Mossman, a jego głos zadudnił z siłą, do której przywykli. Więcej nie zdążył powiedzieć, bo zamarł w bezruchu i patrzył na nich z niedowierzaniem.

— Ale... czy to nie...? — zniżył głos do niemal szeptu.

— Tak, to my — odparła Franck. — Dobry wieczór, Mossman.

— Margrethe... i... ale Oxen, *oh my God*... ty nie możesz... znaczy... przecież nie żyjesz!

Rzadko się zdarzało, by Axel Mossman wypowiedział tak wiele niedokończonych zdań. Rzadko wyglądał na tak zaskoczonego. Zdolność do zachowania zimnej krwi wobec podstępku i nieoczekiwanych zwrotów akcji była jego narzędziem pracy przez ponad pół życia.

— Yyy... no nie wiem... — Niels podszedł bliżej i wyciągnął do Mossmana rękę, myśląc jednocześnie, że dopuszcza się zdrady wobec Mr. White'a takim gestem przyjaźni skierowanym do jego oprawcy. Franck poszła za jego przykładem.

— *Well...* Niezupełnie tego się spodziewaliśmy, wychodząc na spacer, co, Bonnie? — Mossman z szerokim uśmiechem kolejno uścisnął im dłonie. — Czemu zawdzięczam ten zaszczyt pod osłoną nocy? I — jeśli mi wolno zapytać — jak to możliwe, że znalazłeś się w szeregach żyjących, stary wiarusie?

Bacznie przyglądał się twarzy Wielkiego Mossmana. Choć wyraźnie się zmniejszyła, wciąż była duża i przypominała basseta. Teraz może nawet bardziej, gdy mocno schudł i na twarzy miał jeszcze więcej fałd. Była to jednak twarz basseta, który najwyraźniej bardzo się ucieszył na ich widok.

W największym skrócie streścił dawnemu szefowi PET swoją ucieczkę przez morze i swoje ocalenie. Opowiedział mu również o tym, że porzucił myśl o Haparandzie i wiecznym ukryciu.

— Zdumiewająca historia, Oxen. Choć doskonale pasująca do zdumiewającego człowieka.

Czy to nie był ten moment, w którym zgodnie z umową Margrethe miała przejąć pałeczkę? Z jakiegoś powodu wciąż milczała. Już miał sam przedstawić swoją sprawę, gdy jednak się odezwała.

Oxen się wahał. Zarówno gdy wyciągał do Mossmana rękę, jak i teraz, gdy miał przejść do rzeczy.

Na tyle zdążyła go już poznać. Wiedziała, że walczy ze sobą. Z powodu krzywdy, jaką Mossman wyrządził jego psu, ale również dlatego, że Oxen był nieufny wobec każdego posunięcia i każdego słowa, które padało z ust Mossmana.

Ich spotkanie w ułamek sekundy mogło się przerodzić w konfrontację. A tego nie chcieli — ani nie potrzebowali. Potrzebowali dyplomacji. Pora na nią.

— Przychodzimy prosić cię o pomoc. Nie wiedzieliśmy, czy cię nie obserwują, stąd taka pora i to miejsce. Twoja żona mnie rozpoznała, powiedziała, że poszedłeś na swoją ulubioną wieczorną rundkę, i wyjaśniła, gdzie cię znajdziemy. Samochód zostawiliśmy przy zamku.

— Nie jestem obserwowany. Wielokrotnie to sprawdzałem. Kogo zresztą mieliby obserwować? Emeryta...? Mówisz, że potrzebujecie pomocy. *Well*, pozostaje otwartym pytanie, czy w ogóle jestem w stanie pomóc komukolwiek w czymkolwiek.

Zaraz, zaraz. Co to było? Pogłos melancholii? Albo rozgoryczenia? I ten smutny błysk w oku? Czy to tylko nadinterpretacja?

Mossman schudł niewiarygodnie. Nigdy go nie widziała w takim stanie. Ubranie na nim wisiało. Skóra na nim wisiała. Musiało go ubyć o jakieś trzydzieści, czterdzieści kilo. Choroba. Otóż to — tu należy szukać wyjaśnienia. Wielki Mossman był chory.

Teraz, gdy najróżniejsze myśli kłębiły jej się w głowie, dla odmiany wtrącił się Oxen. Nie do końca wiedziała, dlaczego na pierwszy plan wysuwało się słowo „rak”. Pewnie dlatego, że chyba wtedy ludzie chudną.

— Chodzi o to, że muszę zidentyfikować mężczyznę, który mieszka w Anglii. Mam tylko dwa jego zdjęcia. Żadnego nazwiska. To jego Danehof wynajął, żeby mnie dorwać. To żołnierz, były komandos z SAS-u.

— A gdy już go znajdziesz, to co zrobisz?

Odniosła wrażenie, że spojrzenie Mossmana nieco się zmieniło. Ale możliwe, że w tej chwili wszystko tylko jej się wydawało. Boże, rak — czego?

Oxen odparł:

— Zmuszę go, by mi powiedział, kto zabił staruszka w gospodarstwie rybnym. Wiem od świadka — nieżyjącego obecnie uczestnika tamtej misji — że zrobił to Duńczyk. Chcę rehabilitacji. O nic więcej mi nie chodzi.

Mossman podrapał psa za uchem i długo się namyślał. W pozycji, w której stał, połowę jego twarzy oświetlała latarnia, drugą spowijał głęboki cień. I nagle zaczął przypominać samego siebie. Diabła pogrążonego w mrocznych knowaniach. To musiał być rak. Albo coś z żołądkiem i jelitami.

— Po pierwsze: nie będzie go łatwo znaleźć. W tej branży działa sporo Brytyjczyków. Po drugie: nie będzie łatwo go zmusić do gadania. Oni nie gadają — tego się po prostu nie robi. Po trzecie: gdy tylko usiądziesz mu na ogonie, ujawnisz się. I obława zacznie się na nowo.

Axel Mossman zrobił krótką dramatyczną przerwę, jakby chciał podkreślić wagę swoich słów. Potem ciągnął:

— *Well*, sprawa wygląda na *loser's game*... Ale ze swoim doświadczeniem, Oxen, sam wiesz oczywiście, że ta droga jest nieprzejezdna.

Dawny komandos wzruszył tylko ramionami.

— Niestety, innej nie ma.

Margrethe patrzyła to na jednego, to na drugiego.

— Ale Axel... — odezwała się wreszcie. Zwrócenie się do niego po imieniu było z jej strony cynicznym padnięciem mu do stóp. — Może mógłbyś spróbować? Nikt nie ma tam takich kontaktów jak ty... Mógłbyś pokazać zdjęcia odpowiednim ludziom. I zaznaczyć, że sprawa jest ściśle poufna.

Mossman spojrzał na nią. Teraz, gdy latarnia w pełni oświetlała mu twarz, wyglądał bardziej smutno niż diabolicznie.

— Prosisz mnie, abym pomógł w zabiciu twojego przyjaciela — westchnął.

— Mam świadomość zagrożenia — wtrącił się Oxen. — Znam wszystkie możliwe scenariusze i akceptuję każdy z nich.

Axel Mossman pokręcił lekko głową i westchnął ciężko.

— Zatem niech będzie. Jestem ci to winien, Oxen. Ale pod jednym warunkiem.

Oboje z Margrethe popatrzyli na niego wyczekująco.

— Jeśli nabiorę najmniejszych chociażby podejrzeń, że sprawa zmierza w złym kierunku, że zaczynają dochodzić do głosu niejasne dla mnie cele i ukryte porachunki, to wolno mi będzie przerwać rekonesans i uciąć sprawie łeb. Bez jakichkolwiek

wyjaśnię. To gdzie masz te zdjęcia?

Oxen wyjął je z wewnętrznej kieszeni kurtki i podał Mossmanowi.

— Umowa stoi. Dziękuję. To ten gość. A tu masz dysk USB z różnymi innymi materiałami. Wydaje mi się, że on się pojawia na niektórych z nich, ale trudno ocenić z całą pewnością. Nie wiem, czy przydadzą się do czegokolwiek.

Margrethe pomyślała, że głos Oxena jest wręcz klinicznie oczyszczony z emocji. Jeśli ucieszył się z ręki wyciągniętej na zgodę, doskonale to ukrywał.

Rzucił okiem na zdjęcia, które wręczył mu Oxen, i schował je do kieszeni płaszcza. Twarz mężczyzny oczywiście nic mu nie mówiła. A w chwili gdy zapuka do drzwi swoich dawnych kolegów i przyjaciół w Londynie, rozpocznie się bardzo niebezpieczna zabawa.

— Uwierz mi, żołnierzu. Naprawdę *nie masz* mi za co dziękować — odparł i spojrzał Oxenowi w oczy.

Ten wytrzymał jego wzrok. Wydawał się spokojny i zdecydowany. Może Niels Oxen właśnie w chwili takiej jak ta, stojąc w skupieniu w obliczu nowej misji, był najbardziej opanowany, a jego umysł znajdował się w stanie absolutnej równowagi? Tu, na tej ścieżce, bardzo trudno było sobie wyobrazić, że ten człowiek rzuca się we śnie i zlany potem krzyczy męczony koszmarami i krwawymi migawkami z przeszłości.

Odwrócił się teraz do swojej dawnej pracownicy i niegdyś prawej ręki. Był bardzo konkretny powód — a raczej powody — dlaczego w pierwszej chwili jej nie poznał. Fryzura. Twarz. Ubranie. Postawa. Ta pod każdym względem nadzwyczajna kobieta stała się... ze wszech miar *zwyczajna*.

— A ty, Margrethe? Radzisz sobie jakoś? Wiem od siostrzeńca, że tak jak on zostałaś zwolniona.

— To prawda. Ale wszystko gra. Daję sobie radę. A co u ciebie? Wszystko w porządku? Dużo schudłeś...

Zastanawiał się, jak to rozegrać. Czy powinien dla świętego spokoju skłamać?

— *Well*, to fakt. Znacznie spadłem z wagi, dokładnie czterdzieści trzy kilo. Mniej jem, codziennie chodzę na trzy długie spacery z Bonnie. To sporo kilometrów. Ale nie jest to mój wybór. Po prostu mnie nosi... nienawidzę być emerytem, jeśli mam być szczerzy.

— Więc tak zabijasz czas? Chodzisz i chodzisz...

Był pewien, że w jej głosie wyczuł ton niedowierzania.

— Dokładnie tak, Margrethe. Skończy się tak, że zajadę tego nieszczęsnego psa na śmierć. Żyję w próżni. Rano całuję żonę na do widzenia, a wieczorem całuję ją na powitanie. A między jednym a drugim nie dzieje się nic. Nie dzwoni telefon. Nikt nie puka do drzwi. Nikomu nie jestem potrzebny. Nikt nie wie, że istnieję. A przecież nie minął rok, odkąd byłem najwyższym szefem wywiadu królestwa. Wtedy ludzie zabijali się, by zamienić ze mną słowo. Telefon dzwonił bez przerwy. Żona uważa, że mam depresję. Przepisała mi tabletki. Mówi, że to całkiem naturalna reakcja i powinienem pozwolić lekarzom sobie pomóc. Nie zamierzam brać tych przeklętych tabletek. Tyle że ona o tym nie wie.

— Więc nie jesteś chory?

W pytaniu Franck nie było słychać ulgi. Od czasu sprawy z wieszanymi psami wielokrotnie się ze sobą ścinali. Nieufność była jak wilgoć, która wnikała w mury i po zimie zostawiała pęknięcia.

Lubił z nią pracować. Uważał, że dobrze się uzupełniali. Mimo że to on był w ich duecie szefem, nie bała się z nim konfrontować. Czasem zbliżała się do granicy, a czasem ją przekraczała. Coś takiego doskonale robi każdemu szefowi.

Teraz stała przed nim blada, z brązowymi, przylizanymi włosami i w wyświechtanej puchówce i najbardziej przypominała małe,

niechciane piskłę, które wypadło z gniazda. Ten widok łamał mu serce.

Celowo zmarszczył twarz, jakby się zastanawiał. Chciał bliżej jej się przyjrzeć. Zyskać na czasie.

Po prawdzie z wszystkich swoich pracowników tylko o niej zdarzało mu się myśleć w czasie, który minął, odkąd opróżnił swoje biurko. Od siostrzeńca wiedział, że to oni wywołali lawinę, która doprowadziła do jej upokorzenia. Mroczne postacie władzy pociągnęły za niewidzialne sznurki. Czy w głębi duszy nie tego właśnie się obawiał? Skutków...

To on stworzył Margrethe Franck. Była dowodem, że ma oko do wyjątkowych talentów. Że jest mistrzem w swoim fachu. I nigdy nie miał co do niej wątpliwości. Nawet wtedy, gdy po raz pierwszy stanęła w jego gabinecie z nową protezą i pewnością siebie, która wydawała się równie sztuczna jak ta niby-noga. Dzięki niemu podniosła się i rozwinęła skrzydła.

Patrząc wstecz, zaliczał Franck do swoich największych sukcesów. Odbudował jej pozycję i charakter. I mocno przyczynił się do jej zniszczenia. Zostawił za sobą zgliszcza.

— Chory? Proszę cię. Ostatni raz byłem chory w dwa tysiące szóstym, na zapalenie płuc. Po prostu rozmyślam. Krążę po moim własnym, obecnie bardzo małym świecie — i rozmyślam. To nie choroba. Musiałbym być złym człowiekiem, aby w obecnej sytuacji nie pogrążyć się w zadumie i pewnej nostalgii. Rachunek sumienia to konieczny element tego procesu. Czy w którymkolwiek momencie mogłem postąpić inaczej? Czy mogłem temu zapobiec?

Rozłożył ręce i pokręcił głową. I ciągnął dalej:

— Różnych wyborów dokonywałem na przestrzeni lat. I Bóg mi świadkiem, że nie ze wszystkich mogę być dumny. Były też inne porażki przed tą ostatnią. Ale to... sam jeden, osobiście, zabiłem dwóch moich ludzi i Maltego Bulbjerga. A potem jego żonę. To również moja wina. Żadna zbiorowa odpowiedzialność. Nikt, tylko ja sam to zrobiłem.

Oboje słuchali w skupieniu. Oboje na niego patrzyli. Niels Oxen nic nie powiedział, przeniósł tylko ciężar ciała na drugą nogę. Franck za to zmarszczyła nos — czy tylko mu się wydawało? Widzieć ją w takim stanie było jak ujrzeć w lustrze własne sumienie.

Antydepresanty? Może żona Mossmana miała rację. Jest lekarzem, więc chyba wie najlepiej?

Miała wrażenie, jakby jej niegdyś tak władczy szef był odrobinę nieobecny duchem, kiedy zerkał na nią ukradkiem. Chciała zapytać, czy jego zdaniem istnieje jakakolwiek szansa, by mogła się ubiegać o pracę u któregoś z jego zagranicznych znajomych. Czy mógłby ją jakoś pokierować? Ale Mossman, którego widziała, nie był tym, którego spodziewała się zobaczyć.

Tu i teraz pomysł, by go poprosić o wybadanie dla niej możliwości pracy dla którejś z zagranicznych agencji wywiadu, wydawał się szalony.

Zapadła między nimi niezręczna cisza. Retriever zaczął się niecierpliwie szarpać na smyczy. Mossman zrezygnowany wzruszył tylko ramionami.

Może to właśnie jest nowy porządek świata? Ten dawniej tak potężny, władczy mistrz intrygi zamknął się w ciasnej bańce poczucia winy. Obok niego zaś stał Niels Oxen, najwyżej odznaczony żołnierz w historii kraju, uwięziony w limbo — martwy, choć żywy. I wreszcie ona sama... nieodwracalnie przyparta do muru.

— Hm... — Axel Mossman zaczął się uginać pod presją szarpiącej go za rękę smyczy. Uśmiechnął się i pokiwał głową. — W każdym razie dobrze było was oboje zobaczyć. To krzepiące wiedzieć, że wciąż jesteś wśród nas, Oxen. Bardzo krzepiące.

Wyciągnął rękę. Oxen uścisnął ją bez słowa.

— A jeśli chodzi o twojego gościa... — Mossman poklepał się po kieszeni, w której trzymał zdjęcia. — Możesz być spokojny, solidnie się przyłożę, żeby go dla ciebie namierzyć. Do tego czasu

lepiej się nie wychylać i zachowaj czujność, żołnierzu.

Mossman skinął im na pożegnanie i ruszył w swoją stronę. Jego pies niemal zniknął w pasie ciemności dzielącej ich od następnej latarni.

Wyglądało to, jakby Mossman już po kilku metrach mimo wszystko zwolnił kroku. Szarpnął smycz, by przywołać psa z powrotem. W końcu zatrzymał się na krawędzi mroku i odwrócił się do nich.

Cisza na dwudziestu dzielących ich metrach iskrzyła. Wreszcie dawny szef wywiadu zawołał:

— Jest jeszcze inna możliwość...

Urwał w pół zdania. Oni milczeli.

W ciemności znów zadudnił jego głos:

— Możemy to zrobić razem. Pójść ramię w ramię *to the gates of hell...*

Rozdział 30.

Na jednej ścianie wisiała mapa kraju, a na niej zdjęcia, karteczki post-it, wydrukowane spisy i odręczne notatki.

To było jak wejście w potajemny świat, ale kto, jeśli nie szef wywiadu, miał prawo takowy posiadać?

Znajdowali się w dużym pomieszczeniu w piwnicy jednorodzinnego domu Mossmana w Kokkedal od zaledwie kilku minut. Oxen rozglądał się wokół w milczeniu. Mossman szukał czegoś w szafce na dokumenty. Przed chwilą włączył ekspres do kawy stojący na małym stoliku w rogu.

Nie mogła nie zauważyć totalnej przemiany, którą w tym krótkim czasie przeszedł jej były szef. Smutek, który widziała w oczach człowieka z parkowej alejki, zastąpiła żelazna determinacja.

Może i to prawda, że Mossman całymi dniami spacerował ze swoim psem — ale ewidentnie nie tylko to wypełniało mu czas.

Gdy stojąc na skraju mroku, rzucił w ich stronę dramatyczną propozycję, by wspólnie ruszyli do wrót piekieł, nie byli w stanie się oprzeć. I zgodzili się obejrzeć jego piwnicę.

Podobnie jak wcześniej tego wieczoru, gdy przyszli do jego domu i porozmawiali z jego żoną, samochód zostawili kawałek od domu i w odstępie dziesięciu minut jedno po drugim zakradli się do ogrodu Mossmana, gdzie ten czekał na nich w drzwiach na taras. Było późno, żona już się położyła.

Gdy oboje znaleźli się w domu, zaprowadził ich na dół, do piwnicy, otworzył drzwi przeciwpożarowe i pokazał im swój warsztat.

— Jest tu po trochu z wszystkiego, co się nazbierało przez całe długie życie w wywiadzie. Część z tego to ściśle tajne dane, które skopiowałem i zabrałem do domu. Zawsze uważałem, że

rozsądnie jest prowadzić własne małe archiwum. Moja żona nigdy tu nie zagląda. I nigdy nie zaglądała. To nasza milcząca umowa, której nie złamaliśmy na przestrzeni lat.

Tymi słowami wyjaśnił istnienie tego miejsca i przeprosił, że ściany ciągle były obite płótnem jutowym, jak wtedy, gdy kupili dom, ale dzięki temu ściana cholernie dobrze się sprawdzała jako tablica.

Margrethe wciąż czekała, aż swoim szefowskim zwyczajem wstąpi na mównicę i wprowadzi ich w wyjątkowy świat prywatnego śledztwa, który się przed nimi rozpościerał. W tej samej sekundzie to właśnie zrobił.

— Po co to wszystko? — Mossman zaczął od pytania. Starannie dobierając słowa, sam sobie odpowiedział: — Chyba z pragnienia zemsty. Pragnienia, które w postaci podstawowej stanowi pierwotną siłę każdego z nas, czyż nie? Chęć, aby wziąć odwet. Wyrównać rachunki. Pragnienie zemsty posiada dwa wymiary. Negatywny i pozytywny. Może zaślepić i zahamować racjonalne myślenie. Ale może również stać się najsilniejszą motywacją.

Mossman spojrzał po nich, zanim rozłożył ramiona, i odwróciwszy się ku swojej ścianie, ciągnął dalej:

— Co zatem tutaj mamy? To są efekty moich prac przygotowawczych — segregowania i zawężania pola poszukiwań przywódcy Danehofu. Wychodzę z założenia, że bazą szefa Danehofu Øst jest jakiś majątek, posiadłość albo zamek, miejsce, które jest dla niego tym, czym dla Kajsy Corfitzen z Północy jest zamek Nørlund, a dla Villuma Grund-Löwenberga, Południa — zamek Gram. Danehof historycznie wywodzi się od średniowiecznej warstwy rządzącej, czyli szlachty. Stąd mój wniosek. Okręg wschodni interpretuję jako Fionię i Zelandię wraz z wyspami. Na mapie zaznaczyłem majątki, dworki i zamki. Sam się zdziwiłem, że w tak małym kraju jest ich tak wiele. Sześćdziesiąt pięć na Fionii i wyspach, osiemdziesiąt pięć na Zelandii i trzydzieści pięć na Lolland i Falster, i na Møn. Całkiem spore przedsięwzięcie, któremu poświęcam swój czas — gdy akurat nie spaceruję z Bonnie.

Mossman się uśmiechnął. Oczy przesłoniły mu dwie ciężkie fałdy skóry. Skóra zwisała mu też z podbródka. Wciąż był postawnym mężczyzną, ale teraz jeszcze wyraźniej niż w półmroku parkowej alejki widać było, jak bardzo schudł.

— Według jakich kryteriów dokonujesz eliminacji? — spytał Oxen, nie odwracając wzroku od ściany.

— W pierwszej kolejności własność. Niektóre nieruchomości należą do gminy albo władz powiatu, innymi zarządzają fundacje i tym podobne. Na przykład Corselitze na Falster albo Fuglsang czy Priorskov na Lolland. Wszystkie należą do Det Classenske Fideicomis — liczącej niemal dwieście lat fundacji pełniącej funkcję organizacji użytku publicznego i prowadzącej działalność charytatywną. Takie nieruchomości eliminuję od razu. One mnie nie interesują. Ja szukam silnej osoby z klasycznym prawem własności.

Spojrzała na Oxena, który wciąż patrząc na mapy, próbował uściślić wyjaśnienia Mossmana:

— Zacząłeś od stu osiemdziesięciu pięciu obiektów — jeśli dobrze liczę... zatem własność nie jest chyba kryterium wystarczająco ścisłym?

— Masz całkowitą rację, żołnierzu. W drugiej kolejności brałem pod lupę status operacyjny obiektu. Odrzuciłem te, których główna działalność to usługi i turystyka. Zatem wszelkie centra konferencyjne, ośrodki szkoleniowe, hotele, restauracje, muzea, parki rozrywki i inna działalność skierowana na przyciąganie ludzi. Nie pasuje do profilu Danehofu Øst, który opracowałem. Moim zdaniem...

— Dlaczego nie pasuje? — przerwała mu Margrethe.

Mossman pokiwał głową w uznaniu zasadności jej sprzeciwu.

— *Well*, bo na tego typu działalność właściciele decydują się, kiedy zmusza ich do tego sytuacja ekonomiczna. Lider Danehofu Øst natomiast posiada niewyobrażalne wpływy i ogromną siłę ekonomiczną. Ten człowiek dysponuje budżetem wystarczającym na finansowanie szeroko zakrojonych działań swojej organizacji,

nawet jeśli nie są to jego prywatne środki. Więc *nie* — szef Danehofu nie jest recepcjonistą, który zmienia się w księcia ciemności, gdy goście w jego hotelu smacznie śpią. Właśnie dlatego, Margrethe.

— Ale od stu osiemdziesięciu do liczby bardziej przystępnej to nadal daleka droga, prawda? — Oxen spojrzał na Mossmana sceptycznie.

— Aktualnie jestem na etapie eliminacji według trzeciego kryterium: profilu osobowego. Rodzina, dorastanie, wykształcenie i kontakty. Oraz miejsce zamieszkania. W znacznej części posiadłości właściciel nie jest zarejestrowany jako stały mieszkaniec. Tymczasem spodziewam się, że lider Danehofu przynajmniej regularnie odwiedza swoją posiadłość, podobnie jak Grund-Löwenberg bywa na zamku Gram. Choć do profilu najwyższego szefa Danehofu bardziej pasuje stały adres zameldowania w siedzibie organizacji i ciągłość, jakiej musi wymagać zarządzanie Danehofem. Wiele adresów odpada w tej rundzie, ale tak, Oxen, masz rację — to wciąż daleka droga.

— A teraz gdzie jesteś? — zapytała Margrethe.

— Na razie wyeliminowałem nieco ponad połowę. Ale dopiero zacząłem trzecią rundę.

— Nawet jeśli zostanie ci, powiedzmy, czterdzieści albo pięćdziesiąt, to wciąż o wiele za dużo, by znaleźć tego jednego — stwierdził Oxen.

— Liczę, że będę mógł zrobić jeszcze jedną, czwartą eliminację... ale do tego na razie się nie zabrałem. Chcę porównać moją ostateczną listę z informacjami z think tanku Danehofu, Consilium. Myślałem o sprawdzeniu list gości na organizowanych przez Consilium konferencjach z udziałem gwiazd albo uczestników dyskusji panelowych czy grup roboczych. Danehof Øst musi być w takiej czy innej roli obecny podczas imprez, które oni sami organizują.

Tu znów wtrąciła się ona:

— Ale prócz lidera Wschodu będzie tam też pewnie sporo

pozostałych nazwisk z twojej końcowej puli — możni tego świata obracają się w tych samych kręgach, prawda?

Mossman szybko przytaknął:

— Jasne. Ale ostateczna lista zostanie zredukowana na tyle, że z całą pewnością da się ją już przeskanować i zbadać. Tak w ogóle nie mam pojęcia, jak dostanę się do Consilium. W dawnych czasach miałem ludzi od takich zadań.

Zerknęła na Oxena. Na czole miał głębokie zmarszczki. Każde z nich poddawało ocenie próbę podjętą przez szefa wywiadu. On sam z kolei cierpliwie czekał na werdykt. W końcu przerwał ciszę i zaczął:

— Na wstępie powiedziałem, że moją motywacją jest pragnienie zemsty... To niezupełnie prawda. Gwoli uczciwości powinienem dodać dumę. Widzicie tamte pudełka?

Mossman wskazał głową dwa duże kartony. Były wypełnione segregatorami — jeden czarnymi, drugi białymi. Po czym mówił dalej:

— Sprawę Ryttingera znacie doskonale. Ale czy pamiętacie też, jak wam mówiłem o żonie socjaldemokraty Gunnara Gregersena?

Oboje przytaknęli. Obie sprawy pozostały niewyjaśnione. Zabójstwo Ryttingera było jedną z pierwszych spraw Mossmana w nieistniejącym już wydziale zabójstw kopenhaskiej dochodzeniówki.

Ryttinger był dziadkiem od strony matki inspektora muzeum Maltego Bulbjerga. Starzejący się przedsiębiorca zdążył napisać na podłodze słowo „Danehof” własną krwią, zanim zmarł od strzału z bliskiej odległości, przed dwudziestu siedmiu laty. Tamta zbrodnia stała się zaczątkiem walki o prawdę, w której na przestrzeni dekad wyeliminowana została niemal cała rodzina. Jako ostatni rok temu zabici zostali Malte Bulbjerg i jego żona. Jedyнным ocalałym członkiem rodziny Ryttingera jest jego mieszkająca w Odder córka Benedicte Bjørk, z którą Margrethe spotkała się osobiście podczas własnego śledztwa, jakie podjęli z Oxenem w zeszłym roku. Jeśli realnie spojrzeć, to, że siedzieli

teraz w piwnicy Mossmana, również było konsekwencją brutalnej zbrodni na Ryttingerze. Wszystko było ze sobą powiązane. I nic do siebie nie pasowało.

Gregersen był gwiazdą ówczesnej sceny politycznej — i cierpiał na zaburzenia maniakalno depresyjne. Popełnił samobójstwo. Żona podobno zrobiła to samo.

— Gregersen... Tam była jakaś koperta, prawda? — spojrzała pytająco na Mossmana. Szczegółów nie pamiętała.

— Tak. Wieczorem zadzwoniła do mnie jego żona. Załamana i bardzo pijana. To było trzynaście lat temu... Jak wiecie, byłem wtedy szefem wywiadu. Znalazła kopertę, którą zostawił jej mąż. Było na niej moje nazwisko. Otworzyła ją i zajrzała. Przeczytała o czymś, co się nazywało Danehof Øst. Jak szalony pogałem do Valby. Ale gdy dotarłem na miejsce, żona leżała na chodniku. Mieszkali na piątym piętrze. W mieszkaniu nie było żadnej koperty...

Mossman znów wskazał głową na kartony.

— Białe dotyczą Gregersena i jego żony. Czarne to Ryttinger. To mi nie daje spokoju. Wszczepili mi GPS-a pod skórę, żebym nieświadomie naprowadził ich na trop i zdradził własnych ludzi. Upokorzyli mnie i wpędzili w poczucie winy na resztę życia. *Dammit...* Zanim się przeprowadzę na drugi brzeg Styksu, muszę dopilnować, by Danehof spłonął do gołej ziemi.

Mossman zacisnął pięści, aż kłykcie mu pobielwały. Utrata wagi ją zmyliła. Sprawiała, że jej były szef wyglądał, jakby był w kiepskiej formie. Ale Wielki Mossman w zaciszu swojej samotni planował wielki kontratak.

Poczuła delikatne łaskotanie w brzuchu. Nadal się go bała. Nadal była małą dziewczynką, która siedzi po drugiej stronie szachownicy i ukradkiem, bojaźliwie przygląda się wielkiemu mistrzowi.

Raz jeszcze tam i z powrotem przesunął wzrokiem po mapach upstrzonych czerwonymi krzyżykami. Potem spojrzał na

Mossmana, a następnie na Margrethe, która wyglądała na pogrążoną we własnych myślach.

Dał się oszukać tam, w parku, pod latarnią. Wydawało mu się, że rozmawiają z człowiekiem, który pogodził się ze swoją klęską i próbuje odnaleźć spokój.

Tymczasem było dokładnie na odwrót.

Siedzące tuż obok na starym fotelu potężne centrum dowodzenia, którego wyostrzony do granic zmysł strategiczny zawsze wpędzał go w bolesny kompleks niższości, nadal jak zwykle po mistrzowsku prowadziło grę pozorów.

Dla całego świata był depresyjnym emerytem przemierzającym długie kilometry ze swoim psem i grzecznie łykającym tabletki na poprawę humoru podsuwane mu przez żonę.

W ukryciu zaś zagłębiał się we własne śledztwa i próbował odnaleźć w nich wąską ścieżkę do bram piekieł.

Nadszarpnięto mu ego. Wycofanie się z życia publicznego było kolejnym upokorzeniem — oświadczenie o problemach zdrowotnych i wyjście cichaczem tylnymi drzwiami zamiast honorów, które dla siebie zaplanował.

Ukryte siły działające w ramach tej samej demokracji, którą Mossman przez lata chronił przed każdym złem, zniszczyły jego reputację. Oczyma wyobraźni widział, jak stawiają mu pomniki, a ci go usadzili na stercie gruzu. I właśnie teraz, upokorzony i osamotniony, Axel Mossman był najgroźniejszy.

— I co zrobisz, gdy już zidentyfikujesz szefa Wschodu? — Spojrzał w oczy byłemu szefowi PET i mówił dalej: — Wiemy, kim są Północ i Południe. I wiemy, że są nie do ruszenia. Dlaczego ze Wschodem miałyby być inaczej? Z gościem na samym czubku ich hierarchii?

— Nie mogę wam w tej chwili przedstawić szczegółów mojego planu. Będę mógł je dopracować dopiero, gdy poznam przeciwnika. Ale jedno, Oxen, mogę ci powiedzieć już teraz. To nie tylko pusty frazes, że węża trzeba atakować od głowy. My zaczęliśmy od ogona. I widzisz, dokąd nas to zaprowadziło.

Margrethe Franck wciąż siedziała jak w letargu. To do niej niepodobne — patrzeć nieobecny wzrokiem w chwili tak ważnej jak ta.

— A teraz jesteśmy tutaj. I wysłuchaliśmy relacji o twoim śledztwie i eliminacji. Proponujesz zatem, żebyśmy zrobili to wspólnie — podsumował.

— Dokładnie tak. Razem jesteśmy najmocniejsi. Możemy sobie pomóc w śledztwie i dalszej eliminacji. A przede wszystkim możemy omawiać postępy, przerzucać się pomysłami, konfrontować swoje wnioski i nieustannie wynajdować nowe punkty widzenia. Pracę wywiadowczą zawsze należy mierzyć różnymi miarami. I w tym jesteśmy dobrzy — ja i Franck. A ty, Oxen, jesteś naszą jednoosobową grupą operacyjną. *The black knight in shining armour*, powstałym z martwych.

Mimo egzaltowanego tonu twarz Mossmana pozostała całkowicie poważna. Zdążył już się oswoić ze szczególnym sposobem wysławiania się tego olbrzyma i jego anglofilskimi wtrętami. Wiedział, że nie ma w tym krztyny ironii.

— Urodziłeś się w Glumsø, prawda, Oxen?

Potwierdził skinieniem. Bo to była prawda, choć nie miał pojęcia, skąd Mossman o tym wiedział.

— Najwyraźniej moi rodzice przelotnie mieszkali również tam.

— To bez znaczenia. Ważne, że to umiejscawia cię w obrębie Danehofu Øst. Bulbjerg twierdził, że zarządzanie zasobami ludzkimi jest podzielone według miejsca urodzenia. W dniu, w którym staniemy w archiwum Danehofu Øst... Tego dnia może się okazać, że znajdziesz tam parę ciekawych rzeczy o sobie samym, żołnierzu.

Nie odpowiedział. W duszy musiał przyznać mu rację. Mógłby tam znaleźć odpowiedź na wiele ze swoich pytań. Mógłby się dowiedzieć, kim naprawdę był najemny żołnierz John Smith i jak Danehof do niego dotarł. Muszą gdzieś przechowywać dokumenty opisujące ich strukturę dowodzenia i procedury.

— Archiwa Północy, Południa i Wschodu to tak naprawdę mój

cel nadrzędny — ciągnął dalej Mossman. — Lecz by je odnaleźć, musimy najpierw znaleźć człowieka stojącego w samym centrum organizacji. Te trzy archiwa zawierają wszystko, co czyni ten nieprawdopodobny spisek możliwym. Jest w nich wszystko, co musimy pokazać w sądzie. Czy dość dobrze przedstawiłem moją sprawę? Co wy na to? Przyłączycie się do mnie w tej przeprawie?

Po tych słowach w piwnicy zapanowała ogłuszająca cisza. Axel Mossman patrzył to na niego, to na nią, splótł ogromne dłonie na kolanie — i zwyczajnie czekał.

Możliwości były dwie. Spróbował na spokojnie zastanowić się nad każdą z nich i ocenić, która daje szansę, by jego własna misja nabrała rozpędu. Wersja pierwsza: zostaje sam. Wówczas będzie musiał liczyć na pozytywną odpowiedź w sprawie zdjęć Johna Smitha. Wersja druga: przyłącza się do Mossmana. I zwiększa swoje szanse, poszerzając zakres działania.

Sam. Albo w zespole. Jeśli zdecyduje się działać w pojedynkę, łatwiej mu będzie przewidywać kolejne kroki. Przyłączyć się do Mossmana było jak zawrzeć pakt z diabłem. Ale czy czasem sytuacja nie wymagała właśnie tego? Może potrzeba diabła, żeby dorwać diabła?

Jego odpowiedź brzmiała:

— Przyłączam się.

Mossman spojrzał mu głęboko w oczy i z zadowoleniem pokiwał głową.

— Ale pod jednym warunkiem — zastrzegł.

Mossman uniósł brwi.

— Słucham.

— Że pokażesz właściwym ludziom zdjęcia Johna Smitha, tak jak się umawialiśmy.

— Oczywiście... choć nadal twierdzę, że to ryzykowne. Tak czy inaczej, możesz być spokojny — polecę do Londynu najszybciej, jak to możliwe.

Mossman raz jeszcze podziękował mu skinieniem i skierował

uwagę na swoją dawną asystentkę. On też spojrział na Margrethe. Nadal zdawała się być myślami zupełnie gdzie indziej. Gdy rozmawiali w pralni jej domu, zarzekała się, że „nigdy więcej Danehofu”. Teraz zdjęła zegarek i przesuwiała go między palcami. Potem odwróciła go i wpatrywała się w napis na odwrocie koperty zegarka.

— Margrethe?

Mossman delikatnie próbował sprowadzić ją na ziemię. Po chwili spróbował raz jeszcze.

— Margrethe?

Wciąż siedziała, trzymając na otwartej dłoni swoje najdroższe mienie odwrócone dekiem do góry. I wciąż się w nie wpatrywała, gdy wreszcie wyszeptała:

— Przyłączam się... oczywiście, że tak...

Twarz Mossmana pojaśniała.

— Rozumiem doskonale twoje wahanie, wiem, jak wysoką cenę już zapłaciłaś. Ale to dobra decyzja, Margrethe. Ktoś taki jak ty nie może się po prostu odwrócić plecami i przyjmować to, co go spotyka. Obiecuję ci — zniszczymy ich.

Franck siedziała z zegarkiem na dłoni, czoło miała zorane głębokimi zmarszczkami.

— Tylko jak? — spytała. — Możliwe, że jesteśmy obserwowani. Nie mamy pojęcia, co się dzieje za naszymi plecami. Nie mamy żadnej swobody działania. Jak mamy prowadzić porządne śledztwo, skoro nie możemy się ruszyć ani na krok?

— Niestety, sytuacja przedstawia się tak, a nie inaczej. To będzie test wytrzymałości. Miesiące może nam zająć sprawdzenie wszystkich informacji i zawężenie obszaru poszukiwań na tyle, byśmy mogli skupić się na działaniu. Ale takie są warunki i musimy się do nich dopasować.

Franck westchnęła.

— Jest jeszcze jedno... W dzień pracuję w Netto, a wieczorem zmywam talerze w hotelu. Nie mam za dużo kasy. Tak z kolei

przedstawia się moja sytuacja. W zasadzie nie mam też wolnej chwili, którą bym mogła poświęcić na śledztwo. Muszę spłacać hipotekę. Albo sprzedać mieszkanie, najprawdopodobniej ze stratą. I wyprowadzić się. Tylko dokąd?

Po oczach Mossmana zorientowała się, że nie zdawał sobie sprawy, w jak bardzo ciężkim jest położeniu.

— Za każdym razem, gdy dostawałam w miarę dobrą pracę, niemal błyskawicznie mnie zwalniali — dodała tonem wyjaśnienia.

Mossman, podszczypując się w podgardle, zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

— Ja mam pieniądze — powiedział w końcu. — Mam oszczędności. Mogę cię wesprzeć na czas naszej operacji.

— Nie mogę tego przyjąć.

— Jeśli będziesz przemęczona, nie będziesz miała sił aktywnie uczestniczyć w śledztwie. Musisz odpocząć. Zgódź się.

Franck wyglądała, jakby rozważała argumenty za i przeciw. Wcześniej sam proponował jej pomoc, ale ją odrzuciła.

— Masz rację. Zgoda. Przyjmuję twoją ofertę — i rzucam zmywak. Spłatę zacznę, gdy już posprzątamy. Ale jeśli zginę w akcji, sam będziesz musiał wyrównać sobie stratę.

— *Well*, zatem umowa stoi. A ty, Oxen, dysponujesz środkami, by wziąć w tym udział?

Pokiwał głową.

— I masz gdzie mieszkać?

Pomyślał, że nie może dłużej nadużywać gościnności Pastora.

— Mam lokum na jakiś tydzień albo dwa, ale potem muszę się wynieść.

— Rozejrzę się za czymś do tego czasu — powiedział Mossman. — Pozwólcie zatem, że na zakończenie przedstawię wytyczne.

Były szef wywiadu właśnie wrócił na scenę. Już miał zaczynać delegowanie zadań, gdy Franck zapytała:

— A co z Sonnem?

Mossman pokręcił nosem.

— Wydaje mi się, że mój drogi siostrzeniec ma dość na głowie... Oczywiście mógłby nam się przydać i naturalnie możemy spróbować go zapytać, ale chyba znam odpowiedź. Jemu nie jest łatwo. *Również* jemu — poprawił się Mossman i skinął przepraszająco w stronę Franck.

— Oto, co zrobimy. — Mossman podjął przerwany wątek. — Zanim się rozejdziemy, podzielmy się zadaniami. Wszystkie materiały są zdigitalizowane. *Również* akta starych spraw. Wszystko zeskanowałem. Zasady dotyczące komunikacji: możliwie najrzadziej. I tylko z telefonów na kartę, pamiętajcie o tym. Margrethe, zostań na zmywaku jeszcze przez kilka dni i dopiero odejź. Poza tym rób wszystko tak jak dotąd.

— Chciałabym spróbować przekonać Sonnego — nie dawała za wygraną.

Mossman pokiwał głową.

— Dobrze, spróbuj. Muszę się tylko upewnić co do jednego — czy masz jeszcze to nagranie, które zrobiłaś telefonem dachu? To z Kajsą Corfitzen i Villumem Grund-Löwenbergiem... w sytuacji intymnej?

— Oczywiście. W wielu kopiach ukrytych w różnych miejscach.

— Niewykluczone, że tego typu treści o charakterze erotycznym mogą gwałtownie zwiększyć swoją wartość rynkową. Rosjanie w swoim czasie osiągnęli mistrzostwo w rozgrywaniu tego typu danymi. Włącznie z ich preparowaniem. Choć ostatnim razem nas zniszczyli, tych dwoje nie powinno spać spokojnie. Potrzebuję tylko trochę czasu, by sprawdzić, jak najlepiej ich podejść. Chciałbym, żebyś dała mi jedną kopię.

Mossman zmrużył oczy i wyglądał, jakby już rozwijał w głowie rozmaite scenariusze, w których nagranie mogłoby się przydać. Nagle najwyraźniej przyszło mu do głowy, że znów wyznacza rolę.

— A ciebie... — Były szef PET położył mu rękę na ramieniu. —

Ciebie niech nadal *nie* będzie wśród nas... Ja zaś dalej będę zamęczał mojego psa. Za czternaście dni spotykamy się tu, w piwnicy, na odprawę. O dwudziestej drugiej. Dzięki. Wielkie dzięki.

Rozdział 31.

Z taksówki przed budynkiem Królewskiego Jachtklubu w Tuborg Havn wysiadła elegancka kobieta w czarnym kostiumie i beżowej bluzce. Ciemne włosy miała spięte na karku dużą srebrną klamrą.

Zapłaciła gotówką i zostawiła kierowcy pięćdziesiąt koron napiwku za to, że nie próbował z nią rozmawiać oraz bezpiecznie i sprawnie przeprowadził się przez miasto.

Stała obok swojej walizki na kółkach i czekała, aż taksówka nawróci i wyjedzie z modnej nadmorskiej okolicy.

Dochodziła północ. Znajdująca się na terenie przystani kawiarnia w stylowym budynku, który był jakby współczesną wersją Langelinie Pavillon, gdzie dawniej mieściła się siedziba klubu, była zamknięta na cztery spusty.

Wylądowała w Kopenhadze o dwudziestej trzeciej dwadzieścia pięć, ostatnim lotem z Heathrow. Przez lewe przedramię miała przewieszony jasny trencz. Odwróciła się i przez chwilę patrzyła w okna mieszkania na najwyższym piętrze w ostatnim z budynków. Duże okna od podłogi do sufitu były oświetlone niczym mostek statku sunącego przez mrok.

W końcu ruszyła w stronę wejścia do budynku. Stąpała pewnie pomimo bruku na alejkach i wysokich obcasów.

Drzemka w samolocie doskonale jej zrobiła. Mimo ciężkiego dnia w Londynie, szczerlnie wypełnionego spotkaniami, czuła się wypoczęta.

Na samej górze podświetlanego panelu domofonu widniało nazwisko „V. Grund-Löwenberg”. Czuła, że wewnątrz płonie. Tak jak w samolocie, gdy myślała o nim tuż przed zaśnięciem.

Wcisnęła guzik.

— To ja — odpowiedziała, gdy głos zapytał „kto tam?”.

Chwilę trwało, nim pchnęła drzwi i wezwała windę. Tylko sekundy, a ciągnęły się jak wieczność.

Zostawił jej uchylone drzwi do mieszkania. Weszła jak do siebie. Zostawiła w przedpokoju walizkę i odwiesiła płaszcz. Wtedy w drzwiach stanął Villum.

— Kajsa, skarbie — powiedział z szerokim uśmiechem.

Przyciągnął ją do siebie, a ona pierwsza go pocałowała. Od razu głęboko i żarliwie. Potem zaczęła go lekko popychać w stronę białej skórzanej kanapy. Zawsze na białej kanapie. Na początek. Na samą myśl...

— Proszę...

Zdjęła je w toalecie w samolocie. Teraz wyjęła z kieszeni czerwone majtki i głaskała go nimi po policzku, drugą ręką odpięła guzik jego spodni i rozporek.

Jeszcze kilka kroków i byli na miejscu. Teraz on rozpiął jej spodnie i pozwolił im zsunąć się na podłogę, wokół obcasów jej szpilek. Mocno złapała go za koszulę i pchnęła w tył, na kanapę.

Zdążyła jeszcze odnotować, że na szklanym stoliku obok przygotował dla nich drinki. Jak zawsze. Możliwości były dwie: szampan albo dzin z tonikiem i solidną porcją limonki. Tym razem czekał na nich GT.

Usiadła na nim okrakiem.

Na talerzach, które przygotował wcześniej i wstawił do lodówki, leżały rosyjski kawior, krewetki, cytryna i kawałki gruboziarnistego chleba.

Kończył właśnie dojadać krewetki, siedząc na końcu białej kanapy. Ona siedziała na drugim końcu. On narzucił jedwabny szlafrok. Ona siedziała nago. W ręce trzymała nóżkę kieliszka białego wina, a talerz spoczywał miękko na jej udach.

Uwielbiał ten czas, gdy życie na krótką chwilę stawało

w miejscu i mógł być tylko z nią. Miał również świadomość, że coś się zmieniło. Sama myśl o niej w ciągu dnia nadal potrafiła dać mu ogromnego energetycznego kopa, a jednocześnie kompletnie obezwładnić, lecz ich relacja przeszła już od czystej, żarliwej namiętności do głębszego porozumienia dusz. I choć zmierzali w podobnym kierunku i wpojono im podobne wartości, wcale nie było oczywiste to, że się odnaleźli.

Kajsa Corfitzen była pierwszą kobietą, przy której czuł, że nie wszystko ma pod kontrolą.

Sposób, w jaki trzymała kieliszek z winem, sprawiał, że jej sutek był powiększony i przybierał kuszący kształt w wygiętym szkle. Chciał mieć ją raz jeszcze, zanim jutro przed południem rozstaną się na lotnisku. On musiał wracać do Zurychu. Ona jechała do siebie na Jutlandię, do zamku Nørlund. A potem znów do Londynu.

Zawsze rozjeżdżali się w tych samych kierunkach, podobnie jak ona zawsze chciała go brać albo chciała, by on ją brał, na skórzanej kanapie. I potem zawsze usadawiała się w tym samym końcu sofy, gotowa rozmawiać, dyskutować i rozprawiać o świecie.

Palce ich stóp stykały się na środku. Po pożegnaniu na lotnisku znów przez jakiś czas nie będą się widzieli. Wtedy myśl o następnym spotkaniu zacznie go rozpalać na nowo.

— Zbliżyłam się dziś do Janet Yellen o co najmniej dziesięć kroków — powiedziała i wypełniła usta kawiozem.

Wyrwała go z zamyślenia.

— Hm? — mruknął z uniesionymi brwiami.

— Urządziliśmy *global economic lunch-update* na mieście. Przyszli ludzie z Bank of England i przyprowadzili paru swoich amerykańskich gości i kolegów. Delegacji przewodził jeden z najbliższych współpracowników Yellen. Skorzystałam z okazji i przygotowałam grunt.

— To będzie hit, Kajsa. Megahit.

— Media na całym świecie będą wymieniać Consilium jako gospodarza. Szefowa Rezerwy Federalnej Janet Yellen przyjeżdża do hotelu D'Angleterre w Kopenhadze na zaproszenie duńskiego think tanku Consilium. Będziemy w CNN, BBC — *the shit, you know*.

Oficjalna, intelektualna nadbudowa ich kilkusetletniej instytucji, liberalny think tank Consilium zyska niebywały rozgłos.

Consilium, które Kajsza niemal dosłownie odziedziczyła po jego założycielu, a swoim ojcu, emerytowanym ambasadorze, już wcześniej prezentowało duńskim elitom władzy i biznesu rozmaite sławy w hotelu D'Angleterre. Część z dotychczasowych gości jednak nie była już aktywna zawodowo albo była pozbawiona faktycznych wpływów. Za to Janet Yellen, szefowa Systemu Rezerwy Federalnej, amerykańskiego banku centralnego, była u szczytu władzy. Każde słowo, które padało z jej ust — albo raczej słowa, które pozostawały niewypowiedziane — wywoływało poruszenie na giełdach całego świata.

— Więc jak blisko teraz jesteś?

Skrzywiła się.

— Blisko, ale wciąż nie wystarczająco. Odczekam jeszcze dwa tygodnie i ponowię zaproszenie.

Pokiwał głową. Przez chwilę milczeli. Odstawił na podłogę swój pusty talerz. Ona odchyliła się na poduszkach i z zamkniętymi oczami wsłuchiwała się w *Rondeau brillant* Schuberta na fortepian i skrzypce.

— Nie mogę się doczekać trzeciego zebrania — powiedziała, nie otwierając oczu. — Kontaktował się z tobą?

Pokręcił głową.

— Nie. Ale po co by miał? Nie zanoszą się na żadne nadzwyczajne zebrania. Ten debil Hildmand był, miejmy nadzieję, ostatnim słabym ogniwiem. Niels Oxen i jego ekipa są od dawna odpowiednio w grobie i na zsyłce. Wierzę, że nadchodzą spokojne czasy — powiedział.

— Szkoda go... — Teraz otwarała oczy.

— Kogo?

— Oxena... On był... był niezwykłym człowiekiem. Jak to się mówi? Ulepiony z wyjątkowej gliny, tak?

— Nigdy wcześniej o nim nie wspominałaś. Gdyby żył, to chyba bym się zaniepokoił.

Zaśmiała się dźwięcznie i uśmiechnęła. To, co poczuł, było nieracjonalne, ale znów z dziecinną siłą uderzyło go tamto wrażenie. Że Niels Oxen był jak zbyt bogato ustrojona choinka wystawiana na pokaz z okazji różnych uroczystości. Do tego był zbyt nieobliczalny, aby dało się go w jakikolwiek sposób wykorzystać.

— Ty, kochany Villumie, należysz do zupełnie innej ligi. Choć być może macie — albo mieliście — pewne cechy wspólne.

— Tak naprawdę w ogóle go nie znałaś. Kajsa, błagam cię... ten człowiek był psychicznie chory i — o ile dobrze rozumiem — wykazywał również sporo cech psychopaty.

— To trochę za dużo powiedziane, ale zostawmy temat. Myślisz, że na następnym zebraniu pójdzie na ustępstwa?

— Jest inteligentnym człowiekiem, choć oboje wiemy, że uparcie tkwi w świecie, którego już nie ma. Myślę, że rozważył naszą krytykę i być może się ugnie. Jesteśmy nierozzerwalnie powiązani. On o tym wie. Północ, Południe i Wschód. Bez jedności nie ma mandatu. Jeszcze wina?

Wyciągnęła ku niemu kieliszek, by go napełnić. Schubert dyskretnie wypełniał duży otwarty salon, a jedyną zasłoną przed światem była ciemność za oknami.

— My też jesteśmy ze sobą powiązani. Twoje zdrowie, kochanie — wzniosła toast.

— Duchem i ciałem — czy jak?

— Na wiele sposobów. Między innymi tak, że oboje sprawujemy pieczę nad schedą. Ty dostałeś zamek Gram. Ja — Nørlund. Czy na to zasłużyliśmy? Tak naprawdę jeszcze nie. To dopiero mamy

zrobić — zasłużyć na nasz spadek i wizję, która za nim idzie. Mamy obowiązek w imieniu całego Danehofu przeciwstawić się Wschodowi. Poprowadzić organizację w nowe czasy. Najprościej byłoby nie robić nic. Ale jeśli nie ruszymy palcem, to na nic nie zasłużymy. Dlatego bez względu na to, co się stanie na następnym spotkaniu, nie wolno nam odpuścić.

— Oczywiście, że musimy obstawać przy swoim. Pensje dla emerytowanych członków zbyt mocno obciążają budżet i ciągną nas w dół.

— Po zmianach strukturalnych będziemy musieli podjąć dyskusję o wartościach. Nasze podstawy ideowe są przestarzałe.

Zgadzał się z nią. W większości spraw. O wartościach też już nieraz rozmawiali. Powoli i niepostrzeżenie wdawali się w dyskusję. Testowali swoje granice, w cieniu pierwszego tej nocy namiętnego zespolenia, którego wspomnienie z wolna się oddalało.

— Weźmy tę sprawę z prokuratorem. Rok przygotowań. Zwykła *analiza zysków i strat* pokazałaby, że były to czas i pieniądze wyrzucone w błoto. Dziś szef prokuratury w tym kraju to tytuł wydmuszka. Marionetka, którą bieżący rząd porusza według swojej woli. Ale on jest tak niesamowicie dumny, że udało się pozyskać takie stanowisko, że nie widzi, jakim kosztem.

Prokurator był kolejnym tematem, który mocno ją nakręcał. Ale nie zdecydowała się wyrazić swojego zdania na zebraniu. Z tego prostego powodu — jak mu później wyjaśniła — że do okrągłego stołu zasiedli, kiedy było już pozamiatane. Dlatego podnoszenie tej kwestii było bezcelowe, a przy tym szkodliwe dla ich dalszej współpracy.

— W organizacji potrzebne są radykalne cięcia. Pierwszy krok już wykonaliśmy. Zobaczmy, co się teraz stanie... Jak długo zostajesz w Nørlund?

Wzruszyła ramionami.

— W zasadzie mam wolny cały tydzień. Myślę, że jakieś pięć, sześć dni. Muszę się zająć sprawami bieżącymi i dopilnować paru

prac konserwacyjnych. Przydałby mi się ktoś zaufany i solidny, kto zająłby się zarządzaniem majątkiem na co dzień. Masz kogoś takiego?

— Hm. Niech pomyślę — zamek i samotna kobieta po czterdziestce... nie, zbyt niebezpieczne.

Uśmiechnęła się, ale po chwili znów przybrała poważną minę.

— Mówiąc szczerze, zaczęłam się ostatnio zastanawiać, czy nie zamienić Londynu na Rold Skov — *for good*. Mogłabym się wówczas w pełni skupić na zamku, Consilium, Danehofie i...

— Na mnie?

Próbował spleść swoje palce stóp z jej palcami.

— Ciebie przecież i tak nigdy nie ma w domu. Jak długo zostaniesz w Zurychu?

— Pięć dni. Pojutrze mamy ważne spotkanie strategiczne, a następnego dnia zebranie zarządu.

Pokręcił nieznacznie głową i z wahaniem w głosie mówił dalej:

— Czasem nie mogę przestać myśleć, że...

Spojrzała na niego pytająco.

— ...że gdybym kierował moją firmą w sposób, w jaki kieruje się Danehofem, to dawno bym ją stracił. I wtedy zaczynam się zastanawiać, co by było, gdyby jego nie było. Zostalibyśmy tylko my — Północ i Południe — i to my musielibyśmy poprowadzić organizację dalej, przygotować w niej miejsce dla trzeciego lidera.

Opuściła swój kieliszek.

— W jakim sensie: nie było?

— Bo ja wiem? Mógłby zginąć w wypadku. Dobija siedemdziesiątki — mógłby dostać zawału. Jego łódka mogłaby się przechylić. Wiele rzeczy może się człowiekowi przydarzyć, prawda?

Rozdział 32.

Kolejka do kasy wcale nie była szczególnie długa, ale dość długa, by klienci zaczęli się zachowywać niczym trzoda w ubojni o krok od paniki. Za chwilę gruchnie. Tyle zdążyła się już nauczyć w swojej krótkiej karierze.

— I jeszcze cashback. Dwieście koron. Jedną setkę i dwie pięćdziesiątki poproszę.

Mężczyzna w średnim wieku i brudnym kaszkiecie najwyraźniej był przekonany, że prócz kasy prowadzi również wymianę gotówki.

Wręczyła mu pieniądze, lecz „dziękuję” nie usłyszała. Kątem oka widziała już, że następna klientka wyłożyła zakupy na taśmę, tworząc z nich niebezpiecznie wysoką wieżę. Margrethe wyobraziła sobie, jak za moment mechanizm ruszy i zrzuci wszystko niczym obłąkana taśma bagażowa. Miała ochotę od razu paść na stos towarów, zanim ją przywali i strąci z krzesła. Potem pójdzie już gładko: najpierw udziec walnie ją w czoło i na poły pozbawi przytomności, potem duża butelka oliwy extra vergine dopełni dzieła i Margrethe stoczy się w otchłań nieświadomości wraz z puszką ikry dorsza, tubą remolady, rodzinnym bochnem ciemnego chleba i sześciopakiem mleka pół procent. A taśma będzie sunąć i sunąć, aż całkiem ją pogrzebie we wszystkich cholernych kodach kreskowych świata i znajdą jej szczątki dopiero za trzysta lat, w czasie wykopalisk archeologicznych.

— Halo! Pobudka! Można otworzyć jeszcze jedną kasę?

Prawie nie spała zeszłej nocy. Wciąż przeżywała wizytę w piwnicy Mossmana. Ich spotkanie obudziło uśpiony w jej głowie wulkan, którego teraz nawet na moment nie była w stanie wyciszyć. Pierwotny strach, tłący się lęk, ostry jak brzytwa instynkt przetrwania i najszczerza rozkosz wymieszane w wybuchowy koktajl, który groził gwałtowną eksplozją.

Gotowało się w niej, odkąd tylko wróciła od Mossmana, i pierwsze, co zrobiła, to wsunęła do komputera dysk USB, który jej wręczył. Chciała tylko podejrzeć na szybko, co jest w tych starych materiałach. Niewybaczalna głupota z jej strony, bo wiedziała przecież, co to z nią zrobi. I że aby usiąść za kasą w Netto, będzie musiała poświęcić swój sen.

— Kurde, aż tyle? Nic, cholera. Muszę coś zostawić. To, to i to, okej?

Chuda nastolatka przed nią zaczęła wciskać jej w objęcia produkty i, zaaferowana, próbowała odejmować ceny w głowie.

— A teraz? Ile wychodzi?

— Sto osiemdziesiąt pięć pięćdziesiąt.

Mossman rzeczywiście zeskanował akta starych spraw, w dodatku posegregował je w porządku chronologicznym i umieścił w starannie opisanych folderach. Jej były szef chciał, żeby rzuciła świeżym okiem na sprawy, które nie dawały mu spokoju.

Sprawy, które mogły ujawnić małe szczeliny, drzwi lub inne ukryte przejścia do podziemnego świata Danehofu. Sprawy, które od lat były Mossmanowi solą w oku, bo choć wyraźnie widział w nich zarys tajnego układu, to nie mógł go dosięgnąć i pokazać światu. Tych dwóch spraw nigdy nie udało mu się rozwikłać.

— Te są w promocji, trzy w cenie dwóch — powiedziała kobieta, podsuwając jej pod nos trzy puszki chili con carne.

— Promocje naliczają się automatycznie — odparła Margrethe i zauważyła, że kobieta wbiła wzrok w wyświetlacz kasy. — Razem trzysta czterdzieści siedem pięćdziesiąt.

Czuła szatańską rozkosz na myśl, że w końcu stawi opór. Że się zbuntuje. Że złamie reguły, które jej narzucili. Że będzie uczestniczyć w śledztwie. Robić to, w czym jest najlepsza. Czuła, że dawne sprawy Mossmana wołają do niej z jej domu.

— Proszę, oto bon dla pani. Życzę miłego dnia.

Per aspera ad astra. Rozsadzi lodową skorupę. Uwolni swój

plomień. Odzyska swoje życie.

Dopiero po południu wróciła do domu. Piętą zatrzasnęła za sobą drzwi mieszkania. Odrobiła swoje pierwsze pół etatu pańszczyzny na dziś. Wieczorem czeka ją jeszcze czterogodzinna harówka na zmywaku. Do tego czasu ma parę ważnych rzeczy do zrobienia.

Zakupy zostawiła na środku pokoju. Mnóstwo przekładek do segregatorów w dwóch kolorach: żółte do sprawy Ryttingera i szare do sprawy Gregersena. Do tego taśma klejąca, notatnik, pudełko pinezek, dwa czarne markery, jeden czerwony i jeden zielony.

Poszła do kuchni zaparzyć kawę, którą potem przelała do termosu i postawiła na stoliku w salonie, obok kubka. Na koniec zrobiła sobie dwie kanapki, które zjadła na stojąco. W łazience pośpiesznie zdjęła protezę i zostawiła ją na podłodze. Obok rzuciła ubranie.

Musiała wziąć szybki prysznic. Obudzić ciało, przygotować umysł do pracy. Zaczęła od ciepłej wody, a po kilku minutach zmieniła strumień na lodowaty. Z łazienki w podskokach przeszła prosto do sypialni.

Który to już raz, widząc siebie w dużym lustrze na drzwiach szafy, zastanawiała się, kim u licha jest patrząca z niego osoba.

Mokre włosy obklejały jej twarz jak zbyt duży czepek kąpielowy. Miała wrażenie, że jej korpus się zapadał. Wyraźne kiedyś mięśnie barków i tricepsy z wolna zanikały, właściwie od pierwszego dnia, w którym musiała anulować członkostwo w siłowni. I czy jej się wydaje, czy brzuch też trochę się zaokrąglił?

Dawniej depilacja bikini należała do podstawowych zabiegów pielęgnacyjnych, którym poddawała się bez większej refleksji. Teraz między udami wyrastał jej nieposkromiony ciemny gąszcz, zresztą cała tamta okolica była równie niezbadana jak środkowa Papua Nowa Gwinea.

Któregoś dnia, kiedy przebrnie już przez tę gehennę, zamieszka w jakimś niesamowicie drogim spa i nie wyjdzie stamtąd, dopóki

lustro nie pokaże jej prawdziwej.

Włożyła koszulkę, w pasie owinęła się ręcznikiem. Tak przeszła do pokoju, rozsiadła się i nalała kawy do kubka.

Była gotowa.

Zamierzała najpierw z grubsza przeczytać akta obu spraw i zrobić wstępne notatki. Potem zacznie się właściwa praca — na początek grzebanie w sprawie Ryttingera. Jego sprawa była starsza i bardziej obszerna. Akta zawierały mnóstwo raportów z przesłuchań i badań laboratoryjnych.

Położyła sobie laptopa na kolanach, wsunęła dysk USB i otworzyła sporządzone przez Mossmana streszczenie sprawy. Dokument był nowy i na bieżąco aktualizowany, zawierał bowiem również wnioski z fatalnej porażki, jaką poniósł Mossman, nie będąc w stanie ochronić inspektora muzeum Maltego Bulbjerga.

Karl-Erik Ryttinger miał osiemdziesiąt dziewięć lat i początki demencji, kiedy późnym październikowym wieczorem został zamordowany strzałem w okolice serca podczas rzekomego włamania do jego rezydencji przy Strandvejen w Kopenhadze.

Wcześniej udało mu się stworzyć i rozbudować potężny koncern hutniczy i przez wiele lat był ważnym graczem na duńskiej scenie ekonomicznej.

Tamtej nocy oddano tylko jeden strzał i z jego ciała wydobyto dziewięćmilimetrowy pocisk.

Ukradziono kilka cennych przedmiotów — na przykład trzy kandelabry. Za to innych ewidentnie bardzo cennych przedmiotów, w tym biżuterii małżonki ofiary, sprawca nie znalazł albo postanowił nie zabierać. Dom wyglądał na przeszukany, choć nie dość dokładnie.

Od tamtej sprawy minęło dwadzieścia siedem lat. Ryttinger środkowym palcem prawej ręki własną krwią napisał na parkiecie słowo „Danehof” i tym samym nieodwracalnie zapisał się w pamięci młodego Axela Mossmana, kierującego śledztwem.

Ryttinger miał dwie córki: Sigrid i Benedicte. Sigrid na

poważnie zainteresowała się śmiercią ojca po tym, jak podczas remontu rodzinnego domu letniskowego w Skagen znaleziono liczne dokumenty i pojedyncze kartki z dziennika ukryte przez starego Ryttingera. W dokumentach, używając różnych sformułowań, opisywał swoje powiązania z pewnym kręgiem ludzi. Widać było, że ludzie ci cieszą się ogromnymi wpływami. Opisywał również wątpliwości, jakie go dręczą w związku z jego zaangażowaniem w działania owego kręgu. Nigdzie jednak nie użył słowa „Danehof”.

Kiedy Sigrid, z wykształcenia historyczka, przeszła na nauczycielską emeryturę i wraz z mężem zamieszkała w Hiszpanii, ze wzmożoną energią zajęła się badaniem własnej teorii, że to Danehof zabił jej ojca i zrobił to dlatego, że ten podawał w wątpliwość słuszność działalności organizacji i z powodu demencji stawał się zagrożeniem.

Wzięła łyk kawy i przez chwilę czytała dalej, ale przewinęła kawałek. Większość z tego, co napisał Mossman, już wiedziała, choć dobrze było odświeżyć sobie główne wątki, zanim weźmie sprawę na warsztat.

Sigrid i jej mąż zginęli w wypadku na oblodzonej jezdni na autostradzie w Jutlandii Południowej, gdy przyjechali do Danii na święta. Było to jedenaście lat temu.

Podejrzliwość i gwałtowna śmierć wydawały się w tej rodzinie dziedziczne.

Razem z Oxenem odkryli, że inspektor muzeum zamku w Nyborgu i specjalista od Danehofu Malte Bulbjerg miał drugie nazwisko, którego w pewnym momencie przestał używać. To nazwisko to Ryttinger. Malte był synem Sigrid. I podobnie jak ona, miał obsesję na punkcie wykrycia zabójców dziadka i ujawnienia stojących za zbrodnią elit władzy. Gdyby udało mu się przeniknąć do struktur Danehofu, zamierzał znaleźć również winnych śmierci matki. Był bowiem przekonany, że wypadek jego rodziców też został sprowokowany.

To podejrzenie kosztowało go życie. Nawiązał współpracę z Mossmanem, człowiekiem, któremu przed laty nie udało się

złapać zabójców dziadka. Lecz Danehof przejrzał ich zamiary.

Poczuła zimny pot na plecach, kiedy sobie przypomniała, co zastali z Oxenem w leśnej chacie w Tåsinge: Malte Bulbjerg poddany egzekucji na miejscu. Do tego zwłoki dwóch ludzi Mossmana. I sam Mossman — ranny. Wszędzie krew. Jej zapach zawieszony w ciężkiej jak ołów ciszy.

Później znaleziono również ciało żony muzealnika — ją zlikwidowano w ich domu w Nyborgu.

Odwróciła wzrok od ekranu i spojrzała na ścianę nad fotelem. Doskonale się nada na tablicę, podobną jak ta w piwnicy Mossmana. Musi zobaczyć to wszystko w skali panoramicznej, skupić się na punktach stycznych, połączyć osoby, nakreślić kręgi, nanieść wektory. Mieć wszystko stale przed oczami, bez przerwy starać się dostrzec to, co niewidzialne.

Powędrowała wzrokiem dalej ku niebu w dużym oknie salonu. Zachmurzyło się.

Członkowie tej rodziny padali jeden po drugim. Została tylko Benedicte. Przypomniała sobie swoją wizytę u eleganckiej starszej kobiety w jej domu w willowej dzielnicy w Odder. Benedicte Bjørk była wtedy pogrążona w żałobie po ogromnej stracie, jaką była dla niej śmierć siostrzeńca. Po śmierci Sigrid byli dla siebie niemal jak matka i syn.

To ona opowiedziała jej o dokumentach w letnim domu, o podejrzeniach Sigrid i Maltego, o własnych wątpliwościach i strachu. Teraz, u schyłku życia, została sama z całą rodziną. Małżeństwo Bjørków było bezdzietne.

Benedicte Ryttinger, teraz Bjørk, zamieszkała w Odder (przesłuchana w związku ze śmiercią ojca. Patrz: teczka z zeznaniami świadków). Według obecnej wiedzy nigdy aktywnie nie uczestniczyła w prywatnych śledztwach ani w sprawie śmierci ojca ani siostry. / A.M.

Ostatnie dwie litery wskazywały, że streszczenie kończyła sucha notka Mossmana.

Możliwe, że jej własna analiza całego obszernego materiału

zebranego w sprawie Ryttingera doprowadzi ją jedynie do wniosku, że wszystkie drzwi są zamknięte. Że niczego nie pominięto. Możliwe, że tak będzie. Ale jednego była pewna już teraz: musi ponownie odwiedzić Benedicte Bjørk w Odder.

To na niej kończy się tragiczna historia rodziny. Od ich spotkania minął rok. Wiele mogło się zdarzyć. Mogła poczynić wiele trudnych rozważań, wiele spraw przemyśleć na nowo... Margrethe z doświadczenia wiedziała, że w śledztwie czas jest czynnikiem, którego absolutnie nie wolno nie doceniać.

Kawa już dawno wystygła, ale i tak ją dopiła i otworzyła streszczenie sprawy Gregersena. Jego sprawa była mniej złożona, bez tylu wątków pobocznych i rozgałęzień. Jednocześnie o tej sprawie wiedziała zdecydowanie mniej. Dotyczyła zbrodni sprzed trzynastu lat, z okresu, gdy Mossman zasiadał już na tronie PET.

Gunnar Gregersen był posłem z ramienia socjaldemokratów. Miał w chwili zabójstwa czterdzieści trzy lata i przed sobą świetlaną przyszłość w duńskiej polityce. Był piekielnie inteligentny, harował jak wół po dwadzieścia cztery godziny na dobę i do tego świetnie wypadał przed kamerami, co miało niemałe znaczenie.

Pamiętała go. Gregersen mówił językiem, który ludzie rozumieli, i budził zaufanie, kiedy wygłaszał swoje opinie. A przy tym wszystkim był obdarzony zdrowym poczuciem humoru.

To, czego nie wiedziała — i o czym w ogóle mało kto wiedział — to, że Gunnar Gregersen cierpiał na zaburzenie dwubiegunowe i leczył się przez cały czas trwania swojej kariery politycznej.

Mossman załączył szereg informacji medycznych, a w treści streszczenia w nawiasach umieścił odsyłające do nich przypisy. Choroba Gregersena była zatem udokumentowana i potwierdzona.

Żoną Gregersena była Yvonn. Czterdziestojednoletnia dyrektorka szkoły. Mieszkali w Valby, w dużym mieszkaniu na piątym piętrze. Adres dość skromny jak na polityka tego kalibru, ale w pełni harmonizujący z postawą, jaką sobą reprezentował. Małżeństwo było bezdzietne.

Choć oboje byli do cna kopenhazanami, dom letniskowy kupili na Fanø. Gunnar Gregersen od czasu do czasu zaszywał się tam, gdy miał do rozpracowania poważniejsze kwestie polityczne i potrzebował głębszego skupienia.

Grupa niemieckich turystów w kwietniu wczesnym rankiem znalazła go po zachodniej stronie wyspy. Siedział martwy za kierownicą swojego samochodu. Samochód stał na plaży z kołami do połowy w wodzie. Z rury wydechowej poprowadzono wąż do jego wnętrza. Na podłodze leżała pusta butelka po koniaku. Klasyczny sposób na rozstanie się z życiem.

Nagle przypomniała sobie obrazek, jaki widziała całkiem niedawno. W jakiejś gazecie albo w sieci. Chodziło o znanego dewelopera, którego nazwisko wyleciało jej z pamięci, a który zdecydował się ewakuować tą samą drogą. W lesie. To niemal zawsze był las — z oczywistych powodów.

Gregersen w chwili, gdy się poddał, widział przed sobą wyłącznie ciemność. Pisano, że był w owym czasie skrajnie przemęczony.

Poziom alkoholu w jego krwi był niebotyczny — trzy coma trzydzieści pięć promila. Przy tej informacji Mossman postawił nawias z kilkoma wykrzyknikami, bo Gregersen nie pijał mocnych alkoholi. Raport z obdukcji stwierdzał również, że przyjął swoje leki zgodnie z zaleceniami.

Ale kryminaliści nie natknęli się na nic podejrzanego, a jeśli na plaży były ślady kogoś poza Gregersenem, to zmył je przyływ.

Żonę Gregersena niezwłocznie wysłano na urlop zdrowotny. Samobójcza śmierć męża kompletnie ją załamała, kobieta nie zdołała już dojść do siebie.

Kilka miesięcy po pogrzebie, późnym wieczorem zadzwoniła do Mossmana, który przebywał w tym czasie w głównej siedzibie PET.

Yvonn Gregersen powiedziała mi przez telefon (cytuję): „Na kopercie jest napisane, żeby oddać ją tobie. Ale zajrzałam do niej. Tak, wiem, przepraszam. Są w niej jakieś

papiery o czymś, co się nazywa Danehof... albo raczej Danehof Øst. Nie mam pojęcia, co to może oznaczać. Chciałabym, żebyś przyjechał i od razu zabrał te dokumenty. Dasz radę?” / A.M.

Gdy Mossman dotarł pod jej adres w Valby, ratownicy właśnie zbierali Yvonn Gregersen z chodnika. Sekcja wykazała, że miała we krwi jeden i osiemdziesiąt trzy promila alkoholu. Upadek z piątego piętra zmiażdżył jej czaszkę.

Mossman nie znalazł żadnej koperty ani żadnej innej wzmianki o Danehofie.

Gunnar Gregersen (G.G.) uznał więc, że sytuacja dojrzała do tego, by rzeczony dokumenty przekazać niżej podpisanemu. Zaznaczam, że w owym czasie z G.G. łączyły mnie jedynie powierzchowne kontakty. Spotkałem go parę razy, ponieważ zasiadał w komisji zajmującej się służbami wywiadowczymi (Parlamentarnej Komisji Nadzorującej). / A.M.

Na tym streszczenie się kończyło. Zrobiła kilka notatek. Potrzebowała drzemki, nim na poważnie przysiądzie do sprawy Ryttingera.

Odchyliła się na kanapie i zamknęła oczy. Czuła, jak powietrze gęstniało pomiędzy wersami zapisanymi przez Mossmana o Gregersenie. Znów tak blisko Danehofu. A jednak tak daleko.

Rozdział 33.

Stacja Euston była kipiącym ludzkim kotłem. Nie mogło być inaczej — to jeden z najbardziej ruchliwych węzłów komunikacyjnych Londynu. W holu głównym mijali się ci, którzy wsiadali i wysiadali z „the Tube”, z pasażerami kolei naziemnej podróżującymi w świetle dnia. Teraz, w popołudniowym szczycie, ruch był jeszcze większy niż zwykle.

Ci, którzy z tego miejsca wyruszali w dalszą podróż do West Midlands, North West England, Walii, Szkocji albo Irlandii, stali zbici w grupę w wielkiej hali i w napięciu, w regularnych odstępach unosili głowy, by śledzić informacje przesuwające się na tablicy zawieszanej wysoko na ścianie. Zbliżanie się ich pociągu do lewej krawędzi tablicy oznaczało zbliżanie się godziny odjazdu. Numer peronu pojawiał się dopiero na dwadzieścia minut przed odjazdem, stąd ogromne skupienie wśród trzymanyh w niepewności podróżnych.

Potęźnie zbudowany mężczyzna z czarną skórzaną kurtką przewieszoną przez ramię nie zwrócił niczyjej uwagi. Zresztą potężnie zbudowanych mężczyzn po czterdziestce było tu całkiem sporo. Kilku nawet łudzaco podobnych do niego: mocne karki i bicepsy rozsadzające rękawy koszulek.

Z bliska jednak było widać, że coś wyróżnia tego człowieka spośród pozostałych znajdujących się w tym czasie w hali dworca. Jego spokojny wzrok wydawał się maksymalnie skupiony. Wszedł w grupę przestępujących z nogi na nogę ludzi i sprawnie nawigując, wydostał się z niej — nie zerknąwszy nawet na tablicę z czerwonymi literami i cyframi.

Tylko raz spojrział w górę — na tablicę z przyjazdami. Gdy był już blisko wyjścia, wszedł do znajdującego się po lewej sklepu z gazetami i książkami, gdzie znajdowało się również małe stoisko z kawą i pieczywem.

Omiótł wzrokiem tablicę z wypisanymi rodzajami kawy i złożył zamówienie u ubranego na czarno młodego baristy. Średnia czarna i croissant.

Na wyłożonym płytkami placu przed Euston Station — albo, jak wolą niektórzy, London Euston — trwała spontaniczna celebrowanie wiosny. Ludzie, zdecydowanie bardziej wyluzowani niż tamci pod tablicą odjazdów, stali w grupkach i pili kawę, colę albo piwo, ciesząc się z pogody i podwiniętych wreszcie rękawów koszul.

Nieprzypadkowo usiadł przy stoliku, z którego miał widok na zatłoczony plac. Zawsze tak robił — zawsze starał się osłaniać swoje tyły.

Z Kings Cross przyszedł pieszo. Nie lubił gniesć się jak sardynka w dusznym wagonie metra.

Wziął kęs croissanta i skosztował kawy. Tak się porobiło, że teraz nawet zamówienie głupiej kawy to proces. Trzeba wybrać kraj, z którego ma pochodzić, zdecydować, jaka ma być mocna i jaki mieć smak, czy chcesz do niej to, czy tamto i ile mililitrów. Jezu, niedługo każą człowiekowi wybierać jeszcze tego, kto zebrał te cholerne ziarna, które mają ci zemleć. Czy chcesz ziarna od Marii, Maria, a może od Joségo? A jemu akurat było wszystko jedno... chciał tylko, żeby była czarna — czarna jak najczarniejszy czarnuch w najczarniejszej afrykańskiej dupie w środku najczarniejszej nocy.

Spojrzał na zegarek. Już niedługo. Nie był to pierwszy raz, kiedy na miejsce spotkania wybrał stację Euston. Dla ludzi przyjeżdżających z północy tak było najwygodniej. Do tego w tłumie łatwiej było o dyskrecję.

Chciałby, żeby to spotkanie zakończyło się kolejnym zleceniem. Nie żeby potrzebował pieniędzy, ale czuł, że zaczyna go nosić. Od tamtego dużego zlecenia w Danii w zeszłym roku trafiła mu się tylko jedna, krótka robota. Na ogół to on zajmował się rekrutacją i zatrudniał ludzi, ale tym razem to jego chciano wynająć.

To o tym chciał pogadać ze Stanleyem Mullenderem. Stan miał

już za chwilę przyjechać pociągiem z Manchesteru. Potem jego dawny kolega z jednostki specjalnej SAS ruszał w miasto na kolejne rozmowy.

Wziął kolejny łyk kawy. Że niby była z Gwatemali, z prowincji Huehuetenango, i miała być *strictly hard bean*, co w języku kawoszy oznaczało, że ziarna zebrano na wysokości dwóch tysięcy metrów. Wziął jeszcze łyk. Smakował... jak kawa.

Wysoki, umięśniony mężczyzna w ciemnym garniturze wyszedł na słońce z głębi dworca. Przystanął, odstawił obok aktówkę i włożył ciemne okulary. Potem spokojnie się rozejrzał i wtedy go zauważył. Chwycił z powrotem teczkę i skierował się w stronę jego stolika. Stanley Mullender wyglądał jak biznesmen, co zresztą nie do końca miało się z prawdą.

— Cześć, Stan.

— Witaj, Eric.

Uścisnęli sobie dłonie. Jeszcze się nie oswoił z myślą, że występuje tu w nietypowej dla siebie roli tego, który czeka na propozycję. Dotąd był Johnem Smithem — facetem, który wynajmuje ludzi, uderzając gotowym kontraktem o blat stołu. W tym wypadku jednak nie przeszkadzało mu odwrócenie ról. Znali się ze Stanem od lat, pseudonimy były zbędne.

— Napijesz się kawy? Bo widzisz, napój, który właśnie spożywam, został bardzo starannie wybrany. Pochodzi z Gwatemali. Z prowincji Hugo-Bugo czy jakoś tak. Zebrał toto jeden wieśniak, co się nazywa Gonzales, na wysokości dwóch kilometrów. *Who gives a fuck?*

Stan się zaśmiał.

— Bariści to inna rasa. Ale nie, dzięki. Piję tylko herbatę i właśnie wypilem filiżankę w pociągu. Jak tam, brachu, wszystko w porządku?

— Tak, nie narzekam. A u ciebie?

— Też okej. Od ponad pół roku siedzę w domu, więc miałem czas ogarnąć trochę ten cały bajzel, dzieciaki i tak dalej...

Najwyższa pora, jestem dwa lata po rozwodzie. A ty — masz żonę?

— Żonę? Musiałoby mi się rzucić na mózg.

— Co racja, to racja. Rozwód to prawdziwe szambo. Niby oboje chcieliśmy się rozstać, ale dzieci... Mówię, ci, łatwo nie jest. Ale dobra, dość o tym. Z tego, co zrozumiałem, jesteś dyspozycyjny?

Przytaknął. Dyspozycyjny to dobre określenie, ale jego dyspozycyjność była jego własnym wyborem. Po robocie w Danii w jego karierze nastąpił okres wyjątkowej ciszy. Odrzucił parę głównianych zleceń — mógł sobie na to pozwolić. Na jego koncie leżał niemal milion funtów. A w zasadzie nie na koncie, tylko w ogóle, bo pieniądze miał rozlokowane w najróżniejszych inwestycjach, a na koncie trzymał tylko niewielką ich część.

— Jestem dyspozycyjny, jeśli robota mi spasyje. Zatem, Stan, zamieniam się w słuch.

— Okej. No więc robota jest w Afryce. Nie sądzę, żeby... Ej, czekaj. Znasz może Alistaira MacDuffa?

— Wiem, kim jest. Miałem go w zespole kilka razy. A co?

— Wiesz, że nie żyje?

Popatrzył ze zdziwieniem na dawnego kolegę, który odsunął okulary na czoło.

— Nie żyje? Neee. Nie słyszałem. Jak umarł?

— Dowiedziałem się o wszystkim od starego kumpla z Liverpoolu, który chodził na mecze na Anfield razem z MacDuffem. Znalezione go w jego mieszkaniu w Runcorn. Spadł ze schodów, napruty jak stodoła. Złamał kark, kiedy głową walnął w ścianę na końcu schodów.

— Jasna cholera... Przejebane kofnąć w taki sposób, jak się pomyśli, w ilu niebezpiecznych miejscach gościu służył i skąd zawsze wracał cały. Wiadomo coś więcej?

— Tylko tyle, że tamtego dnia łoił w jednej z knajp koło domu. Dobra, to było na marginesie. Robota, którą mam do zaoferowania, jest w Sierra Leone. I jest w pełni legalna.

Stanley Mullender zrobił pauzę, jakby już spodziewał się jakiejś reakcji — być może na miejsce zlecenia.

— Hm. Sierra Leone. Dobra, mów dalej.

— Wciąż mamy tam paru ludzi, choć spora część została wycofana do domu. Przez to ci, co zostali, mają pełne ręce roboty. Pomagali na przykład podczas wybuchu wielkiej epidemii eboli. Działają w ramach misji o nazwie Team IMT SL, International Military Advisory and Training, a ich siedziba mieści się na południowych krańcach Freetown. Praca polega na wsparciu i wyszkoleniu miejscowej armii, żeby zrobić z niej nowoczesne i skuteczne wojsko, na którym będzie mogła polegać rodząca się demokracja.

— Już to gdzieś słyszałem.

To była prawda. W jego uszach brzmiało to jak zdarta płyta. Człowiek z rozmaitych powodów czuł się przymuszony wkroczyć do akcji, a potem rzeczywistość ujawniała bagno w całej rozciągłości i operacja przeradzała się w szeroko zakrojone manewry, by możliwie jak najszybciej stamtąd spierdolić. Alistair MacDuff nie żyje? Bo spadł ze schodów? Życie jest w istocie snem pijaka...

Stanley Mullender odparł:

— Jasne. Ale robota jest prosta, żadnych niespodzianek. Można to nazwać outsourcingiem. Dwunastomiesięczny kontrakt dla legalnie wybranego rządu z naciskiem na zadania specjalne. Głównie ochrona, ale również szkolenie wyselekcjonowanych kandydatów z ich własnych szeregów.

— Freetown to zadupie świata. W każdym razie jedno z nich.

— *Sure is...* Ale znam sporo gorszych miejsc.

Pokiwał głową z namysłem. Robota przedstawiała się dość niewinnie. Za to kasa niestety pewnie też taka będzie.

— I co nam za to dadzą?

— Ponieważ kontrakt przechodzi przez naszych, kwota nie oszałamia. Ale niewykluczone, że uda się wynegocjować całą

masę dodatków i premii. Jestem w trakcie rozmów z przedstawicielem rządu. Myślę, że ostatecznie wyjdzie z tego całkiem interesująca opcja. Fucha legalna — i prawie bezpieczna.

Znów pokiwał głową. Szczerze się zastanawiał. Może to nie taki głupi pomysł na spędzenie roku?

— Do kiedy potrzebujesz odpowiedzi?

— Nie pali się. Za jakieś trzy, cztery tygodnie.

— I ilu nas będzie?

— Szesnastu.

— Kto dowodzi?

— Ja — odparł, szchwany. — W drugiej kolejności ty, jeśli się zgodzisz, i jako trzeci wielki MacKendrick z Glasgow.

— Okej. Wstępnie jestem nastawiony pozytywnie. Ale wstrzymam się jeszcze z ostateczną odpowiedzią. Kurde, ta historia z MacDuffem... cholera, brzmi jak chujowy żart.

— Najwięcej niebezpieczeństw czyha na ciebie w domu. Czy nie tak się mówi? Chociażby dlatego, że tam jest twoja żona.

— Jezu, ale spaść ze schodów. Ja pierdolę, co za koszmar...

Rozdział 34.

Wiatr wznosił na przełęczach wiry czerwonego pyłu. Nadciągał ze szczytów i lodowatymi podmuchami omiatał wszystko wokół. Półka skalna nie dawała ochrony, ale była dobrym punktem obserwacyjnym.

Pył zgrzytał między zębami. Zasnuł mgłą gogle ochronne. Drobny jak mąka, wciskał się w każdą fałdę skóry i zmieniał w plamy zakrzepłej krwi. Pokryje warstwą ich odchody, gdy będą musieli się wypróżnić, i pokryje warstwą plastikowy worek, do którego je schowają, gdy będą się stąd zwijać.

Przystawił do oczu dużą lornetkę. W dole, na dnie przełęczy, żadnego ruchu. Mieszkańcy niewielkiego skupiska domów otoczonego kamiennym murkiem już dawno się okopali. Drzwi ostatniego domu zamknęły się pół godziny temu.

Od osiemdziesięciu trzech godzin nie było ani śladu talibów. Czwarta doba. Zostały jeszcze dwie do zakończenia próby zweryfikowania, czy w niewielkiej osadzie zbiegały się szlaki wroga wiodące przez przełęcz. Przesunął lornetkę w górę i w dół. Zero. Żadnych ruchomych konturów w chmurach pyłu. Ale burza pyłowa nie oznaczała przerwy w działaniach. Przeciwnie — mogła stanowić doskonałą zasłonę dla przemarszu.

► „Foxtrot 17, tu Foxtrot 60. Podaj raport, odbiór”.

„Foxtrot 17. Status bez zmian. Nadal żadnych obserwacji z Tango-Bravo. Żadnych ruchów w obrębie S3M8. Wszystko zamknięte przed burzą. Wiatr się nasila. Podaj prognozę”.

„Foxtrot 60. Burza nadciąga od północnego wschodu. Szacowana kulminacja: czternasta trzydzieści Juliet. Bez odbioru”.◀

Drobny deszcz kładł się na przedniej szybie cienką warstwą. Gdy warstwa wody stawała się odpowiednio gruba, pojedyncze

krople odrywały się i spływały na maskę, zostawiając przejrzyste smugi. Po lewej, na drodze wiodącej do stojącego na rogu kościoła w Skovshoved, dostrzegł czerwony parasol. A przed chwilą minął go żółty autobus miejski.

Lepszy deszcz niż pył. Lekcje skończyły się trzy godziny temu, a on cały ten czas czekał w samochodzie zaparkowanym przy krawężniku. Na próżno. Między palcami obracał zalaminowane zdjęcie. Przed oczami przesuwali mu się wojna i lata, które minęły. Jego własne życie, bezlitośnie wyświetlane na wewnętrznej stronie przedniej szyby hyundaia, z ulicą Teglgårds niczym znak wodny wybitą na każdym obrazie.

Przeszedł się chodnikiem tam i z powrotem. Skrzynka na listy wciąż należała do Birgitte i Larsa Engströmów, a powyżej wciąż widniał napis „Magnus” — bez nazwiska. Wszystko było tak jak ostatnio, gdy siedział na ławce pod kościołem i wypatrywał.

Tyle że tym razem nie dostał nic. Nie było roweru na podjeździe. Ani chłopca w piłkarskiej koszulce. Ani psa na smyczy. Nic. Żadnych obserwacji. Tylko małe zdjęcie zatopione w ochronnej warstwie plastiku. Patrząc na nie, czuł w środku ciepło. A przy tym tęsknotę, która jak młot uderzała prosto w brzuch i rozrywała go na strzępy.

Nie będzie mógł spojrzeć na niego z ukrycia. Nie dziś. Jutro też nie. Może nigdy. Przekręcił kluczyk i uruchomił silnik. Żółtym tempem przejechał obok domu z podwójnym garażem.

Czy kiedykolwiek zdobędzie się na to, by stanąć w progu, zadzwonić do drzwi i zapytać — pod ostrzałem zimnego spojrzenia Birgitte — czy Magnus chce go poznać? A może zginie, zanim ta chwila nastąpi?

Wrzucił kierunkowskaz i skręcił w lewo, w Krøyersvej. Musi pojechać w górę, do Klampenborgvej, i stamtąd zjechać na autostradę. Czekala go długa droga powrotna na plebanie i delikatna rozmowa z Pastorem. Chciał go poprosić, by wolno mu było zostać u niego jeszcze trochę, żeby w spokoju mógł popracować nad materiałami Mossmana.

Wczoraj wieczorem podzielili się zadaniami i jemu przypadło

asystowanie Mossmanowi. Mieli zawęzić dokumentację na temat właścicieli i stosunku własności wszystkich zamków, dworów i majątków.

Już dawno powiedział Mossmanowi, że posiada nagrania ujawniające nazwiska mianowanych członków trzech kręgów Danehofu Nord. Teraz zamierzał porównać ten materiał z tym, co udało się odkryć Mossmanowi, i sprawdzić, czy nie pojawią się interesujące wątki łączące któreś z tych osób — albo lokalizacji.

Axel Mossman był zainteresowany przejrzeniem jego materiałów, ale stwierdził, że nie mogą ich wykorzystać w sposób bezpośredni.

„Jeśli zapukamy do drzwi jednego, to jakbyśmy zapukali do wszystkich”, jak się wyraził. I oczywiście miał rację. Dobrze było znać te nazwiska, ale nie była to wiedza, która pozwalała z marszu wejść do środka organizacji.

Przez całą noc myśli jak szalone kłębiły się w jego głowie. Przenocował w Danhostelu w Lyngby. W środku nocy z mgły wyszedł Krowiarz. Szatańskim uśmiechem i przegniłymi zębami serbska zjawia wpędziła go w strach, choć znał ją już przecież tak dobrze.

Przed południem pojechał do Kastellet. Zwykle robił to czwartego sierpnia, w rocznicę śmierci Bossego. Ale kto wie, może nie będzie już żadnego sierpnia?

Uznał, że ulewa i kaptur na głowie wystarczą za środki ostrożności. W bastionie Princessens przystanął pod pomnikiem poległych i gdy wzrokiem odnalazł napis „Bo Hansen”, przed oczami ponownie stanęła mu pogodna twarz przyjaciela, 1995 — to bardzo dawno temu.

Normalnie kolejnym postojem w jego corocznej pielgrzymce był cmentarz przy kościele w Finderup niedaleko Høng. To tam ostatnim razem zaczęła się na niego Margrethe Franck. Mossman z kolei zaczął się na nią. A na końcu łańcucha okazały się stać ponure postacie, które po mistrzowsku zaczęły się na Mossmana.

Zjechał w dół na autostradę i dodał gazu.

Wtedy, gdy podczas burzy w jego domu u Rybaka pojawił się szef PET, poczucie, że ma przed sobą zapowiedź własnego rychłego upadku, była jak gęsta maź, którą niemal czuł między palcami.

Dziś nie pojedzie do Høng. Musi wracać. Musi wytrwale pracować i analizować, licząc jednocześnie, że wyprawa Mossmana do Londynu przyniesie pożądany skutek.

Kiedy ruch na autostradzie napierał z wszystkich stron, pomyślał o Tessie i wąskim przesmyku kanału Albrektsunds pomiędzy skałami. Przeżył własną śmierć. Może jakimś sposobem zdoła też ponownie obudzić się do życia?

Małe zalaminowane zdjęcie wetknął w szparę otworu wentylacyjnego nad radiem. Magnus na niego patrzył.

Rozdział 35.

Delikatny deszcz na twarzy dawał orzeźwienie po długim dniu w biurze. Gdy rano wychodził z domu, nie spodziewał się, że może padać. Cienki płaszcz przemókł niemal od razu, ale mimo to nie było mu zimno. Tylko w głowę. Miał wrażenie, że mu zamarzała. Pewnie przez wiatr chłoszczący kopenhaskie ulice.

Cały dzień wypełniły mu rutynowe zadania. Cały dzień za biurkiem. Żadnych spotkań, ale za to wczesnym przedpołudniem pyszna kawa i ciasto. Miał też czas pomyśleć o fundacji i kolejnych inwestycjach, które przybliżą jej portfolio do obecnych trendów rynkowych.

Przeszedł przez Stormbroen. W górę kanału płynęła łódź z turystami tulącymi się do siebie w pelerynach przeciwdeszczowych.

Zaraz będzie w domu. Zrobi sobie herbaty i przygotuje się trochę do wieczornego spotkania ze swoim protegowanym. Podczas ostatniego spotkania rozmawiali o wartościach. Tym razem chciał poruszyć temat duńskiej polityki wobec uchodźców. To jego spadkobierca wybrał temat — niezwykle aktualny, prawdopodobnie pozostanie taki przez najbliższe lata.

Danehof bardziej niż jakiegokolwiek inne organy czy instytucje powinien przyjąć zdecydowaną postawę wobec ludzkiej lawiny, która napiera na granice kraju i Europy. Na najbliższym zebraniu zamierzał poruszyć temat z Danehofem Nord — być może już pora, by Consilium włączyło się do toczonej od dłuższego czasu debaty publicznej.

Staął przed drzwiami swojego domu i z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął klucz. Jak zwykle zerknął na prawy dolny róg futryny. Niemal przy samym progu widoczna była mała biała kreska. Pozioma i długa na góra półtora centymetra. Schylił się i starł ją palcem.

Nielsen dostarczył korespondencję.

Włożył klucz i otworzył drzwi. Lecz zamiast pójść do siebie i zdjąć przemoczony płaszcz, od razu ruszył do piwnicy. W eleganckim domu mieszkało zaledwie kilka rodzin i każda dysponowała własną, dużą piwnicą. Otworzył metalowe drzwi, zapalił górne światło i podszedł do starego regału na końcu pomieszczenia, stojącego tam tylko dla kamuflażu. Odsunął klapkę, wstukał sześciocyfrowy kod w skrytkę wmurowaną w ścianę i na górnej półce jak zawsze znalazł dużą kopertę.

Przewodził organizacji o korzeniach sięgających średniowiecza i respektował jej zaprzieszły kodeks. Dlatego trójka liderów nie utrzymywała ze sobą żadnego elektronicznego kontaktu poza jednym numerem telefonu używanym tylko w razie najwyższej konieczności. Ich komunikacja nie pozostawiała żadnego śladu w cyberprzestrzeni ani nie istniało żadne archiwum ukryte na jakimś dalekim serwerze.

Byli odporni na wirusy i wymyślne programy szpiegowskie. Używali papieru — mnóstwo papieru. Papier można sprasować i spalić. Tak było od zawsze i tak pozostanie.

Co czternaście dni Nielsen dostarczał mu raport o stanie państwa. Jego wierny giermek i szef operacyjny zawsze zostawiał mu kreskę na futrynie na znak swojej wizyty. Tak wyglądała ich komunikacja na czas spokoju, dopóki sytuacja nie wymusi zmiany procedur.

Zdjął mokry płaszcz i rzucił na komodę. Potem usiadł wygodnie w wyświechtanym fotelu — zawsze w nim siadał, chyba że zabierał dokumenty na górę do mieszkania, by tam je przeczytać. Wyjął okulary, otworzył kopertę i pośpiesznie przejrzał zawartość.

Nie było tego dużo.

Pierwsze dwie strony to status operacji bieżących. Wspólnie z dwójką pozostałych liderów postanowili drastycznie obniżyć ich priorytet.

Pierwsza strona dotyczyła dawnej pracowniczki Policyjnej Służby Wywiadowczej Margrethe Franck. Ostatnią kontrolę

przeprowadzono przed czterema dniami.

„Status M.F.: żadnych istotnych obserwacji. M.F. pracuje w niepełnym wymiarze godzin w Netto i w niepełnym wymiarze jako pomoc kuchenna w hotelu Copenhagen Blackbird.

M.F. wciąż posiada stały adres w Østerbro. Sytuacja finansowa M.F. pozostaje skrajnie trudna”.

Na stronie drugiej znajdował się raport z obserwacji Christiana Sonnego, dawniej sierżanta w komendzie Okręgu Jutlandii Wschodniej w Aarhus i siostrzeńca byłego szefa PET Axela Mossmana.

„Status C.S.: żadnych istotnych obserwacji. Status zatrudnienia bez zmian od ostatniego statusu: pół etatu jako magazynier w Bauhausie i pracownik obsługi na stacji benzynowej. Dom C.S. został przekazany do sprzedaży w drodze egzekucji, licytację wyznaczono na najbliższą środę”.

Nielsen prosił o potwierdzenie zmiany priorytetu obu operacji. I je dostanie. Monitoring był prowadzony przez wynajętych ludzi i kosztował niemało.

Od tamtej nocy przed rokiem, gdy Villum Grund-Löwenberg u siebie w Gram zdecydował się podjąć kroki przeciwko tej dwójce, raz w miesiącu przeprowadzali kontrolę polegającą na monitoringu przez pełne dwie doby z rzędu.

Teraz żadna z tych osób nie może być już postrzegana jako zagrożenie. Obie zostały złamane. Wielokrotnie interweniowali, by wyrzuceno je z nowo objętych posad i by doprowadzić do obecnego stanu.

Zamierzał poprosić Nielsena o przeprowadzanie kontroli w odstępach kwartalnych i tylko przez jedną dobę.

Na kolejnych stronach znajdowały się krótkie sprawozdania z postępów w pozostałych prowadzonych przez organizację działaniach.

Innych bieżących operacji nie było, ale byli w trakcie rozpracowywania aż sześciu osób. Chodziło o gruntowne

prześwietlenie postaci, które z różnych powodów organizacja uważała za potencjalnie interesujące.

Było wśród nich trzech polityków młodszej generacji — wszyscy byli członkami parlamentu, wszyscy obdarzeni dużym talentem i z widokami na ministerialne teki, wszyscy stojący na czele korporacji, które przynoszą ogromne zyski.

Życie tych sześciu osób było obecnie roztrząsane od dzieciństwa do dnia dzisiejszego. Cała ta ogromna praca miała im pomóc zdecydować, czy warto w którąś z tych osób zainwestować dalsze środki.

Odłożył dokumenty z powrotem do skrytki, zatrzasnął drzwiczki i z powrotem zasunął klapkę w regale. Teraz w końcu pójdzie na górę, zrobi sobie herbaty i zorientuje się trochę w temacie wieczornego spotkania.

Jak zawsze cieszył się na rozmowę ze swoim protegowanym. Od początku nie wątpił w inteligencję, zmysł analityczny ani kompetencje tego człowieka, ale niezmiennie cieszyło go, że miał również cięty dowcip.

Jeszcze nie postanowił, kiedy przedstawi go dwójce swoich partnerów przy okrągłym stole. Chciał co prawda porozmawiać z nim jeszcze parę razy, ale właściwie był już całkiem pewien: *znalazł* swojego następcę.

Rozdział 36.

Autobus linii czternaście w nieco ponad dziesięć minut przywiózł ją z dworca w Aarhus i jednocześnie siedem lat wstecz. Przez chwilę stała na chodniku, rozglądając się wokół. Tyle czasu minęło, odkąd ostatni raz stanęła na Viby Torv. Rzadko bywała w tym drugim co do wielkości duńskim mieście.

Ostatnim razem była tu na dwudniowej konferencji krajów nordyckich na temat radykalizacji młodego pokolenia. Było to na długo, zanim znajdujący się w mieście meczet Grimhøj zawładnął pierwszymi stronami gazet przez poparcie dla działań ISIS i zanim się okazało, że właśnie tam regularnie uczęszczała ogromna większość młodych mieszkańców miasta, którzy wyjechali do Syrii, by przyłączyć się do dżihadystów.

Niedawno upubliczniono wykonane z ukrycia nagrania, w których imamowie uczą między innymi, że biczowanie, kamienowanie i kary cielesne dla kobiet i dzieci to słuszne i zdrowe elementy życia społecznego ludzi prawdziwie wierzących.

Po tym burmistrz wycofał swoje poparcie dla planów budowy nowego, wielkiego meczetu, więc na razie epoka kamienia łupanego pozostaje tam, gdzie była.

Grimhøj zaś nadal stanowi wyzwanie dla jej byłych kolegów z PET, którzy poświęcili mnóstwo środków na monitorowanie osób z otoczenia meczetu.

Ówczesna konferencja odbywała się w tym samym wielkim, białym budynku, który teraz wyrastał na wprost niej — w hotelu Mercury. Przesunęła wzrok na szyld nad wejściem. Przybytek, przez kilkadziesiąt lat utożsamiany z Viby Torv, teraz nosił nazwę Zleep Hotel Aarhus.

Jej jednak nie obchodziły nagła popularność „z” ani chore

rojenja imamów. W tej chwili była w stanie skupić się tylko na jednym — na tym, co ją przywiodło aż tutaj.

Przyjechała pociągiem i autobusem. Również dlatego, że suzuki było kapryśną bestią, ale przede wszystkim dlatego, że gdy korzystała z transportu publicznego, łatwiej mogła się zorientować, czy ktoś ją śledzi. Nie śledził.

Ruszyła przed siebie chodnikiem. Było niedzielne popołudnie i prawie żadnego ruchu. Za to jutro rano samochody będą się snuły zderzak w zderzak aż do Viby Ringvej. A ona będzie o tej porze w drodze do Netto.

Zatrzymała się przy przejściu dla pieszych dwieście metrów dalej, przy obwodnicy. Na rogu po drugiej stronie, tam gdzie Ormslevvej dochodziła do obwodnicy, była stacja benzynowa Q8. Przechodząc na zielonym, uśmiechała się do siebie na myśl, że po raz pierwszy i ostatni przejechała dwieście kilometrów, żeby pójść na stację benzynową.

Zatrzymała się przed dużym kioskiem, który w rzeczywistości był bardziej jak minimarket. Tu, przy obwodnicy, sklep przy Q8 był otwarty całą dobę. Za ladą stała młoda dziewczyna.

Może to z nią rozmawiała, kiedy dzwoniła tu wcześniej. Młody głos w słuchawce po sprawdzeniu w grafiku z wahaniem udzielił jej informacji, o którą prosiła: Christian Sonne pracuje głównie wieczorami i w nocy, ale również w niedzielne popołudnia, na przykład dzisiaj.

Po chwili zobaczyła, jak zza regału wychyla się jakaś głowa, a potem jej czubek zniknął w drzwiach na zaplecze. Więc nie przyjechała na darmo. Siostrzeniec Mossmana *był* w pracy.

Weszła do sklepu i dyskretnie zerknęła na drzwi za plecami ekspedientki. Po kilku minutach dała za wygraną. Trochę może potrwać, nim znów pokaże się w sklepie.

— Cześć. Muszę pomówić z Christianem. Jest może dzisiaj?

Dziewczyna uśmiechnęła się i skinęła głową.

— Jest na zapleczu. Chyba czyści toalety. Mam go zawołać?

— Nie trzeba, znajdę go — powiedziała i ruszyła w stronę toalet. Pchnęła drzwi i weszła do małego korytarza. Na jego końcu były jedne drzwi, a po lewej drugie — otwarte.

Dochodził z nich odgłos szorowania. Podeszła bliżej. Mężczyzna pochylał się nad muszlą klozetową. Zapukała w futrynę.

Mężczyzna gwałtownie się odwrócił. Miał na sobie kombinezon ochronny z cienkiej białej folii i jednorazowe rękawiczki. W uniesionej prawej ręce trzymał szczotkę klozetową, jakby była kluczem francuskim.

— Cześć, Sonne.

Po jego oczach widziała, że jej nie rozpoznaje. Jakby w niespełna rok stała się kimś zupełnie innym. Dopiero po chwili twarz mu wyjaśniała.

— To ty! Jezu, przepraszam. W pierwszej chwili... ta fryzura... i... no tak... rany, Margrethe, co ty tu robisz?

— Chcę z tobą pomówić, ale nie miałam odwagi wcześniej do ciebie dzwonić. Śledzą cię?

— Co? Nieee. Już nie. W każdym razie nie wydaje mi się.

— Masz chwilę?

— Jasne. Daj mi tylko dokończyć tutaj. Możesz usiąść na zapleczu i zrobić sobie kawy. Za trzy minuty jestem z tobą.

Ruszyła do drzwi na końcu korytarza i weszła do małego pomieszczenia ze stołem i z czterema krzesłami. Nalała sobie kawy z termosu i usiadła.

Na podłodze stało mnóstwo kartonów z towarami i piętrzyły się sterty kolorowych magazynów i gazet do zwrotu. Christian Sonne wszedł z wiadrem, mopem i środkami czystości i bez słowa zniknął w drugich drzwiach. Po chwili wrócił, już bez rękawiczek i kombinezonu ochronnego.

— Już jestem — powiedział i umył ręce, zanim uścisnął jej dłoń, po czym, ciężko westchnąwszy, usiadł przy stole na wprost niej.

— Kopeć lat — powiedział i uśmiechnął się.

— Tak, sporo czasu minęło. Jak leci, Sonne?

— Powoli. Jak widzisz, zajmuję się między innymi czyszczeniem kibli. Z czegoś trzeba żyć. A ty?

— Podobnie. Też sprzątałam i czyściłam kible. A teraz siedzę na kasie w Netto i stoję na zmywaku w hotelu. Na początku parę razy udało mi się dostać całkiem niezłą robotę. Ale za każdym razem bardzo szybko ją traciłam. Kiedy tylko się dowiadywali, że dobrze sobie radzę, pociągali za odpowiednie sznurki...

— U mnie tak samo — powiedział Sonne. — Byłem pośrednikiem w firmie ochroniarskiej. Robota była całkiem do rzeczy. Po miesiącu mnie zwolnili. Potem zostałem nocnym stróżem — tam udało mi się zostać tylko trzy tygodnie. Konwojentem byłem też trzy tygodnie... Znów stróż — mniej niż trzy tygodnie. Aż dałem sobie spokój... Te najgorzej płatne, dorywcze prace jakoś pozwalają mi zachować. W środę dom idzie pod młotek. W banku nie rozumieją, dlaczego nie poszukam sobie normalnej pracy, i wypowiedzieli mi kredyt. I co niby mam zrobić? Opowiedzieć mojemu doradcy o Danehofie? Wtedy wyślą mnie prosto do czubków, co nie?

Christian Sonne uśmiechnął się gorzko i podrapał po głowie, która zdaje się od ładnych kilku dni nie miała styczności z szamponem.

— Więc teraz jestem tutaj — ciągnął. — W Q8, głównie wieczory i nocki, bo wtedy wolą, żeby za ladą był ktoś dorosły, i do tego mam pół etatu w magazynie w Bauhausie, też tutaj, w Viby. Więc o czym chciałaś porozmawiać?

— Chciałam cię zapytać, czy chcesz się znowu do nas przyłączyć.

— Do was? Przeciwno nim?

Skinęła głową.

— Chyba do reszty zwariowałaś.

— Możliwe. Ale to jedyne, czego teraz chcę: wziąć odwet. Mam tak wegetować do końca życia?

— Wiem, ale... przynajmniej żyjemy, Margrethe.

— Zgoda. Jeśli dla kogoś tak wygląda życie.

— Jasne, że nie jest kolorowo. Ale zważywszy na okoliczności, nie jest najgorzej. Jaki macie plan? I jak zamierzacie dać sobie z tym radę tylko we dwoje?

— Troje.

— Ty, wujek i kto jeszcze?

— Niels Oxen.

Sonne zastygł i bezwiednie otworzył usta.

— Oxen?

— Wcale nie umarł. Pojawił się kilka dni temu. Nagle. Jedna starsza lekarka ze Szwecji znalazła go na skale. Zabrała go do domu i wykurowała.

— I co... jest cały i zdrowy?

— Na to wygląda. W każdym razie fizycznie.

— A reszta?

— O tym nie mówiliśmy. Zakładam, że bez zmian. Traумы nie znikają same z siebie.

— Ale historia. Cholernie się cieszę, że tak się to potoczyło. Kiedy umarł, miałem wrażenie, jakby ciemność się nade mną zamknęła. Bo kto jak kto, ale gdyby *on* umarł, to jak dalibyśmy sobie radę?

Sonne wydawał się ożywiony. Może on i Oxen zbliżyli się do siebie bardziej, niż jej się wydawało?

— Zamierzamy działać bardzo ostrożnie — odparła. — Tym razem interesuje nas Wschód i nikt poza nim. Przeczesujemy stare sprawy twojego wujka. Tę z Ryttingerem i tę z Gregersenem i jego żoną, która wypadła z balkonu. Pamiętasz je?

— Tylko z grubsza.

— To teraz nieważne. Szukamy czegokolwiek — jakichkolwiek

najmniejszych wskazówek, które wtedy mogły umknąć jego uwadze. Twój wujek już od dawna sprawdza wszystkie gospodarstwa i zamki poza tymi na Jutlandii.

— Po co?

— Bo taki jest schemat. Władza przechodzi z pokolenia na pokolenie. Według teorii twojego wujka lider Wschodu jest powiązany z jakimś dworkiem, majątkiem albo zamkiem gdzieś na wschodzie Danii.

— A jeśli już znajdziecie tego człowieka, to co? Oni was zabiją bez mrugnięcia okiem.

— Taktykę będziemy musieli dopasować do osoby. Na razie wszyscy zachowujemy się normalnie. Twój wujek spaceruje z psem, a ja zaharowuję się na śmierć.

— A Oxen?

— On się ukrywa.

— Ale do czego ja miałbym wam się przydać? Nie jestem supermenem, wprost przeciwnie. Tamtej nocy na zamku Gram srałem ze strachu. I jeśli miałbym być szczerzy, to bardzo bym chciał móc cofnąć czas.

— Nie chodzi o to, żeby się nie bać. Chodzi o to, by wytrwać pomimo strachu. A ty przydałbyś nam się jako siła robocza. Po prostu.

Przez chwilę siedzieli, trzymając oburącz kubki z kawą. Spojrzała na niego. Przygryzał wargę i patrzył pustym wzrokiem w blat stołu.

Zdjęła zegarek i podała mu go. Podniósł na nią pytający wzrok.

— Odwróć go — powiedziała.

— *Per aspera ad astra*. I co to ma oznaczać?

— To po łacinie. I w wolnym przekładzie oznacza, że trzeba przejść wiele ciężkich prób, aby osiągnąć gwiazd.

— Jak dla mnie to puste gadanie. Każdy pospolity oprych może sobie coś takiego wydziarać na łapie. Albo chociażby piłkarz.

Przypomina wzór na tapecie.

— Możliwe. Ale dla mnie to jest starożytna mądrość ujęta w jednym zdaniu. Niby nic, ale zawiera w sobie coś wielkiego. I jeśli o mnie chodzi, piłkarze mogą to sobie dziarać choćby na dupie. Te słowa nie tracą przez to na ważności.

— I czemu masz je na zegarku?

Sonne zwrócił jej cenny drobiazg.

— Ten zegarek dostałam od rodziców w szpitalu, gdy obudziłam się z narkozy po amputacji. To Breitling. Dla moich rodziców kosztował majątek. W pierwszej chwili myślałam tak jak ty: pierdolenie. To tylko słowa. Noga mi od nich nie odrośnie. Jestem skończona. Moje życie jest skończone. Nie wrócę już do policji. Ale powoli zaczęłam dostrzegać wielkość w tym, co niepozorne. Teraz też byłam przekonana, że już się im nie postawię. Że są zbyt potężni. Zbyt silni. Zbyt niewidzialni. Byłam zagubiona, ale się odnalazłam. *Per asera ad astra* to krew, ropa, flegma i płacz. To najczystsza walka o przetrwanie...

Sonne pokręcił nieznacznie głową.

— Nie wiem... Nawet gdybym chciał, to nie mogę. Mam dwie córki. One kochają swojego tatę. Chciałbym umrzeć ze starości. Sorry.

Rozdział 37.

Pokoik na plebanii wyglądał jak po przejściu tornada. Papiery zakrywały każdy wolny centymetr kwadratowy podłogi. Wydruki ustawione w niewielkie stosy albo pogrupowane odręczne notatki rozłożone jedna obok drugiej.

W domu była cisza. Jak to przy niedzieli. Kilka godzin temu zjedli śniadanie z Pastorem i jego żoną, po czym dla jego przyjaciela rozpoczął się wyjątkowo zabiegany dzień

Po odprawieniu własnej mszy pojechał na zastępstwo do sąsiedniej parafii, bo jego kolega zachorował.

Słyszając dzwony kościelne, wyobrażał sobie Pastora na kazalnicy, jak przesuwa wzrokiem po, jak sądził, niezbyt licznie przybyłych wiernych, zanim odezwie się swoim niskim, łagodnym głosem, z pewnością doskonale brzmiącym w dużej, akustycznej sali.

Siedział na łóżku z poduszką za plecami i laptopem na udach. Wzrok wbił w ścianę. Była pokryta grubym, brązowym papierem, jakiego zwykle używa się podczas prac malarskich. Pastor znalazł go w swoim warsztacie w stodole. Przyniósł mu całą rolkę tego samego wieczora, gdy wrócił z Kopenhagi,

Podobnie jak Mossman, musiał zaangażować ścianę — i podłogę — aby spróbować nadać swojej pracy strukturę i mieć jej pełny obraz.

Pracował tak od kilku dni, z przerwami jedynie na posiłki i niespokojny sen. Wrócił do praktykowania jogi, jak na wyspie Klöverön, ale ćwiczenia nie pomagały. Zeszłej nocy nie słyszał kościelnych dzwonów, tylko granaty wybuchające jeden po drugim.

Na ścianie rozproszone były nazwiska i notatki grubym czarnym tuszem oraz karteczki samoprzylepne — żółte, zielone i pomarańczowe.

Jego zadanie było trudne w swojej prostocie. Z Mossmanem podzielili się po równo. Po czterdzieści dwa majątki, dworki i zamki, wszystkie położone w obrębie tego, co Mossman określił jako wschodnia Dania. Byli na etapie trzeciej eliminacji według kryterium cech osobowych właścicieli. Kryterium bardzo obszerne, obejmujące dorastanie, wykształcenie, relacje rodzinne, przyjaciół oraz kontakty zawodowe i prywatne.

Tymczasem udało mu się odrzucić siedem obiektów — wszystkie na podstawie historii powiązanych z nimi osób.

Mossman udostępnił mu szereg narzędzi. Szeroki dostęp do dokumentów Urzędu do spraw Działalności Gospodarczej, w tym do Centralnej Ewidencji Działalności Gospodarczej. Tam znajdowały się wszystkie udostępniane przez firmy rozliczenia i informacje o firmach, strukturze własności i zarządzie oraz wpisy do ewidencji różnego typu spółek.

W następnej kolejności należało zbadać inny obszar, który także mógł zawierać cenne dla nich wskazówki, mianowicie przegląd właścicieli poszczególnych budynków i lokali mieszkalnych. Te informacje znajdowały się w Publicznym Serwisie Informacyjnym, OIS, i należało je porównać z atestami własności przechowywanymi w Rejestrze Nieruchomości.

Ktoś zapukał do drzwi. Powiedział „proszę”. Drzwi się otwały i stanął w nich Pastor z zatroskaną miną.

— Tak, wiem. Ale to nie jest tysiąc osiemset sześćdziesiąty czwarty, operacja desantu na Als. Próbuję tylko dotrzeć do sedna — wyjaśnił, wskazując głową ścianę. — Ja i jeszcze dwie osoby. Nie jest to łatwe. Dlatego musimy pracować systematycznie.

Pastor w milczeniu pokiwał głową.

— Pastorze, tak jak ci już mówiłem... nie chodzi o to, że nie chcę ci niczego zdradzać. Po prostu lepiej będzie, jeśli ty i Helle nie będziecie o niczym wiedzieli. Jak twoje nabożeństwa, dobrze poszło?

— Chyba tak. Chociaż, jak wiadomo, w kościele nie ma braw. Czymkolwiek się zajmujesz, proszę cię, uważaj na siebie, dobra?

Poza tym mamuśka kazała ci przekazać, że kolacja będzie o wpół do siódmej.

— Dzięki.

Ponownie położył sobie laptop na udach i otworzył go. Był w trakcie sprawdzania właściciela wielkiego majątku Borreby niedaleko Skælskør. Posiadłość należała do tej samej rodziny od 1727 roku. Było to potężne i duże gospodarstwo rolne o stabilnej sytuacji finansowej, ale czekało go jeszcze wiele godzin pracy, nim będzie mógł ocenić, czy jego właściciel powinien trafić na listę kandydatów.

Rozdział 38.

Wokół panował ten szczególny spokój, jaki zdarza się tylko w niedzielę. Żadnych kosiarek ryczących w ogródkach, tylko ciche odgłosy domowego zacisza, brzęk porcelany przy podwieczorku na tarasie i ludzie wyprowadzający psy w odświeżonych ubraniach. Jakby wciąż kultywowano tu archaiczny zwyczaj robienia sobie dnia przerwy.

Idąc chodnikiem, podziwiała okolicę. Wszystko tu było takie zadbane. Jedyne, co się zmieniło od jej ostatniej wizyty, to ogrody, które teraz były w pełni rozkwitu, i to, że było sporo chłodniej.

Zbliżała się do dużej willi na Møllebakken w Odder. Wysiadła z taksówki kilka numerów wcześniej. Chciała zbliżyć się do tego domu powoli. Pieszko. Chłonać atmosferę wokół niego i dobrze mu się przyjrzeć.

Jadąc autobusem szesnaście kilometrów z Højbjerg do Odder, niemal cały czas rozmyślała o Christianie Sonnem i smutku, jaki malował się na jego twarzy. Sonne uczepił się swojej pracy na stacji Q8. Może nie mógł inaczej. Może nie miał odwagi. Nie jej oceniać. Ona nie ma dzieci.

„Benedicte & Kurt Bjørk”, głosił napis na stojącej na chodniku skrzynce na listy. Jak na razie wszystko w porządku. Ruszyła w górę podjazdem, na którym żwir wciąż był starannie wyrównany. Pod wiatą stał samochód. Gdyby nikogo nie zastała, byłaby to ogromna strata w jej napiętym do granic grafiku, ale musiała zaryzykować. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za moment ponownie spotka się z Benedicte Bjørk.

Tym razem jednak podejdzie ją inaczej. Właśnie dlatego przychodziła bez zapowiedzi i zamierzała zaburzyć niedzielną sielankę. Benedicte była osobą niezwykle opanowaną, przez wiele lat pracowała jako sekretarka zarządu i lubiła się przygotować przed spotkaniem. Margerethe miała nadzieję zaskoczyć starszą

panią i zmusić do spontanicznej konfrontacji.

Wszystko wokół domu było schludne i zadbane. Czerwona cegła, ciemnozielona okładzina drewniana na szczycie domu i wiata w tym samym kolorze.

Wcisnęła dzwonek i po chwili usłyszała kroki. Choć raz szczęście jej dopisało. Drzwi otworzył pan domu — w błękitnej koszuli, rozpinanym swetrze i pantoflach. Spojrzał na nią pytająco.

— Dzień dobry. Nazywam się Margrethe Franck. Czy zastałam panią Benedicte?

— Chwileczkę...

Mężczyzna zniknął w głębi domu. Usłyszała, jak mówi Benedicte, że ma gościa. Chwilę potem pokazała się jego żona. Podeszła aż do drzwi i popatrzyła na nią ze zdumieniem na twarzy.

Margrethe wyciągnęła rękę.

— Dzień dobry. Jestem Margrethe Franck. Być może mnie pani pamięta?

Benedicte Bjørk nadal stała tylko z uniesionymi brwiami. Wciąż była bardzo elegancka. Lecz kiedy pochyliła się lekko, by uścisnąć jej rękę, światło padło wprost na jej twarz i ukazało całą prawdę.

Wszystko — Møllebakken, czerwona cegła, drewniane zdobienia, wszystko to było ułudą. Benedicte wyglądała, jakby postarzała się w jedną noc. Ani ubiór, ani fryzura, ani makijaż nie zdołały tego ukryć. Posiwiała, zbladła i zapadła się w sobie jak ktoś, kto o północy na zamku zobaczył pobrzękującą łańcuchami zjawę. Wszystko to stało się w niespełna rok.

— Jestem z Policyjnej Służby Wywiadowczej. A właściwie byłam. Wtedy, kiedy byłam u pani w zeszłym roku...

— Ależ tak, oczywiście — zawołała kobieta. — Teraz panią pamiętam. W pierwszej chwili po prostu nie poznałam. Nie sądziłam po prostu, że to pani...

Drugi raz w mniej niż dwie godziny. Może prawdziwa Margrethe Franck zmyła się razem z farbą z włosów, a dzieła unicestwienia

dopełniła nieokreślona fryzura, która w rzeczywistości w ogóle nie była fryzurą, tylko włosami, które rosły i układały się tak, jak potrafiły?

Albo może było odwrotnie — może to dawna Franck była fałszywa? I teraz na jaw wyszła ta prawdziwa. Ta, której nikt nie znał. Od góry do dołu kompletnie nijaka.

— Co mogę... Czemu zawdzięczam...

Benedicte Bjørk zachowywała się, jakby wciąż nie do końca wierzyła własnym oczom. Margrethe uświadomiła sobie, że starsza pani zmieniała się nie tylko fizycznie. Wydawała się również zdecydowanie bardziej niepokorna i zdystansowana. I o to właśnie chodziło. Przyłapać ją zniemacka.

— Proszę mi wybaczyć, że przychodzę bez zapowiedzi, ale akurat byłam w Aarhus i pomyślałam, że zajrzę.

— Pieszko? Pamiętam, że miała pani czarne mini.

Tak oto pani Bjørk nieświadomie oddała pierwszy cios poniżej pasa.

— Już go nie mam — odparła Margrethe i zmusiła się do uśmiechu. — Przyjechałam autobusem — i taksówką. Mogę wejść? Chciałabym chwilę porozmawiać.

— Wciąż o tym samym? — Siwowłosa kobieta westchnęła głęboko.

— Tak... obawiam się, że wciąż o tym samym.

Kobieta zaprosiła ją do środka i wskazała drogę do zamkniętego patia, gdzie również ostatnio ją ugościła. Po czym zniknęła, by przynieść filiżanki. Margrethe rozejrzała się po pokoju. Te same stylowe meble z ciemnego twardego drewna, te same egzotyczne rośliny i lśniący szklany blat stolika. A jednak coś się zmieniło. Chwilę trwało, nim uświadomiła sobie co. Powietrze. W pokoju panował zaduch. Unosił się tu zapach starych ludzi.

Benedicte przyniosła dwa kubki i termos.

— Kawa została zaparzona jeszcze po obiedzie — powiedziała przeproszającym tonem, po czym postawiła przed nieproszonym

gościem kubek i napełniła go kawą.

Jeśli dobrze pamiętała, ciotka Bulbjerga miała sześćdziesiąt albo sześćdziesiąt jeden lat. Teraz wyglądała bardziej na siedemdziesiątkę. Do tego częstowała ją letnią resztką kawy z termosu, którą rok temu wylałaby do zlewu.

Postanowiła bardzo ostrożnie zapytać o to, czego już się domyślała.

— Jeśli dobrze pamiętam, jest pani sekretarką zarządu, prawda?

Kobieta pokręciła głową.

— Dobrze pani pamięta, ale już nie pracuję. Zrezygnowałam po nowym roku. Teraz jestem na emeryturze.

Ta odpowiedź ją zaskoczyła. To musiało mieć związek z duchami, które ją nawiedzały.

— Ale nie jest pani jeszcze w wieku emerytalnym?

— Skończyłam dopiero sześćdziesiąt jeden lat. Ale... po prostu dłużej nie mogłam. Po tej historii z Maltem i jego żoną jakoś nie mogłam się pozbierać. To był mój... ukochany chłopiec. Był nim od śmierci jego matki. Boże drogi... Moja siostra, moja śliczna siostrzyczka... Nagle po tym wszystkim nie potrafiłam skupić się na pracy. Stale byłam nieobecna duchem. Przestałam być tą pogodną, energiczną osobą, którą byłam całe życie. Pod koniec przychodzenie co rano do pracy było ponad moje siły. Więc złożyłam wypowiedzenie. Było mi wstyd pobierać wynagrodzenie, skoro nie potrafiłam sumiennie wykonywać swoich obowiązków.

— Przykro mi to słyszeć.

— Bardzo trudno mi się z tego podźwignąć. Mąż wysłał mnie do psychologa. To wszystko jest takie beznadziejne. O co chciała mnie pani zapytać? Mówi pani, że już nie pracuje w PET?

Benedicte wyglądała jak cień samej siebie. Dojrzała, pewna siebie kobieta, która przez lata była prawą ręką zarządu dużej spółki z siedzibą w Aarhus, została przygnieciona do ziemi i rozdeptana na miazgę.

— Zostałam zwolniona z powodu czegoś, co miało miejsce

podczas śledztwa w sprawie śmierci Maltego.

— Pamiętam, że w gazecie czytałam o Axelu Mossmanie. Pisali, że z powodu choroby musiał zrezygnować ze stanowiska.

— Tak brzmiało oficjalne uzasadnienie. Prawdziwe jest takie, że postawiono go przed wyborem — albo się zwolni, albo zostanie zwolniony.

— I to również z powodu Maltego i Danehofu?

Przytaknęła.

— W śledztwo zamieszana była jeszcze jedna osoba, siostrzeniec Mossmana. On też stracił pracę — dodała dla ścisłości.

Benedicte zamoczyła usta w kawie. Ręce lekko jej się trzęsły. Wzrok miała rozproszony.

— Ale skoro nie pracuje już pani w PET, to czym się pani zajmuje?

Odchyliła się w fotelu i wzruszyła tylko ramionami. Pani Bjørk ponownie trafiła w czuły punkt — nie wiedząc o tym.

— Zajmuję się... niczym. To znaczy przyłączyłam się do Mossmana. Wspólnie chcemy doprowadzić do ukarania winnych. To dlatego do pani przyszłam. Chciałabym, aby pani spróbowała coś sobie przypomnieć.

— Ale ja już wszystko pani opowiedziałam. Naprawdę nic więcej nie wiem.

Sytuacja wyglądała inaczej, niż to sobie wyobrażała. Innego rodzaju oporu się spodziewała.

— Te dokumenty, które znaleźliście w letnim domu w Skagen. Może od mojej ostatniej wizyty przypomniła pani sobie, co się z nimi mogło stać...

— Nie. Wciąż nie mam pojęcia.

— Może dostały się w ręce Maltego?

— Nie. Jestem pewna, że miała je moja siostra.

— I nie ma pani żadnego pomysłu, gdzie mogła je ukryć?

Pani Bjørk pokręciła głową.

— Może spróbujemy cofnąć się w czasie? Ostatnia rozmowa, jaką pani odbyła z siostrą wtedy, w święta, na krótko przed ich wypadkiem... O czym rozmawiałyście? Czy siostra była czymś szczególnie poruszona? Niech się pani nie śpieszy.

— Proszę zrozumieć... to było ponad jedenaście lat temu. Naprawdę nie pamiętam takich rzeczy.

— Niech pani spróbuje. Proszę sobie wyobrazić tamtą rozmowę, usłyszeć jej głos. Może rozmawiałyście o świętach, o waszym ojcu, o Maltem, o Hiszpanii albo duńskich potrawach świątecznych? A może wspominała o Danehofie? Proszę, mamy czas.

Kobieta jednak tylko rozpaczliwie kręciła głową.

— Naprawdę, tłumaczę pani: już *próbowałam*. Cały czas próbuję. Nie potrafię. Nie potrafię się skupić. Nie potrafię normalnie myśleć. Sigrid zawsze mówiła o Danehofie i zabójstwie taty. Nie mogłam tego słuchać. Chciałam świętego spokoju, chciałam, żebyśmy zostawili przeszłość za sobą. I proszę, oto do czego nas to doprowadziło. Malte zrobił to samo co jego matka. I spotkał go taki sam los. Nie jestem po prostu w stanie rozróżnić, co ona mogła powiedzieć, a co mnie się wydaje, że powiedziała tamtego dnia.

— To był drugi dzień świąt, prawda?

— Tak. Przed południem przyjechali do Jutlandii Południowej. Tu spędzili Wigilię. Podobnie jak Malte i Anna-Clara, wówczas jego dziewczyna. Następnego dnia mieli jechać na świąteczny obiad z jej rodziną w Haderslev. A kolejnego dnia Sigrid z mężem mieli lot z powrotem do Hiszpanii.

— I co robiliście wtedy w Wigilię i pierwszy dzień świąt?

— To, co zawsze. Poszliśmy na mszę w naszym kościele w Odder, jedliśmy i rozmawialiśmy. Pierwszego dnia świąt na obiad wpadli znajomi.

— I ani razu, choćby na chwilę, siostra nie odciągnęła pani na

bok, aby coś pani powiedzieć? Z czegoś się zwierzyć?

Frustracja i rozpacz na moment rozświetliły przygaszoną postać Benedicte Bjørk.

— Nie! Niczego takiego nie pamiętam.

Przez chwilę milczały, pijąc kawę. Zamierzała teraz uderzyć mocno i bezlitośnie — nie zważając na to, jak krucha wydawała się jej rozmówczyni. Nieznacznie wyprostowała plecy, odstawiła kubek i wzięła rozbieg.

— Jedna rzecz mnie zastanawia... — zaczęła. — Mianowicie to, że ani o krok nie zbliżyła się pani do poznania prawdy. Pani ojciec został zamordowany. Możemy tylko założyć, że przez Danehof. Pani siostra i jej mąż zostali zamordowani — również możemy jedynie zakładać, że przez Danehof. I wreszcie ukochany siostrzeniec i Anna-Clara. Przez Danehof — tu wątpliwości nie ma. A mimo to wciąż nie ma pani o niczym najmniejszego pojęcia. Zupełnie tak jak ostatnio, liczy pani po prostu, że przeszłość da się zostawić za sobą. Ale ci wszyscy ludzie nie żyją, pani Bjørk! Wszyscy pani bliscy! Oni zostali zamordowani! Więc co ma pani do stracenia? Czy nie chciałaby pani, by winni ponieśli karę? Nie jest pani już młoda. Nie ma pani dzieci. Co oni mogą pani zrobić, czego jeszcze nie zrobili? *Wszystko* już pani zabrali...

Nagle w kilku susach w pokoju zjawił się pan Bjørk. Musiał się przysłuchiwać ich rozmowie. Jego głos drżał ze wzburzenia:

— Proszę stąd wyjść! Moja żona nie może słuchać takich rzeczy. Już nie. Raz jeszcze proszę, aby pani wyszła.

Margrethe wstała i z żalem rozłożyła ręce, choć niczego nie żałowała.

— Przepraszam. Poniosło mnie. Przykro mi... Ale musicie państwo spróbować mnie zrozumieć. Postawiliśmy na szali wszystko, ale wciąż nieskończenie trudno jest zrobić wyrwę w murze wokół Danehofu. To dlatego straciłam nad sobą panowanie.

Pani Bjørk odsunęła dłoń męża, którą ten w geście ochrony położył jej na ramieniu.

— Nie musi pani przeproszać. Ale ja niestety w niczym nie mogę pani pomóc. Nie jestem do końca zdrowa.

— Gdyby pani albo państwo coś sobie jednak przypomnieli, proszę zadzwonić pod ten numer. — Na odwrocie paragonu z Netto zapisała numer. I dodała:

— Nawet jeśli to będzie jakiś drobny, pozornie nieistotny szczegół. Do widzenia.

Sama trafiła do wyjścia i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi. Jeśli w domu małżeństwa Bjørków na Møllebakken panowała jakiegoś rodzaju niedzielna harmonia, to teraz została zburzona. Ale innego wyjścia nie było.

Rozdział 39.

Nierozzerwalna miłość? Czy wszyscy z Liverpoolu i okolic byli kompletnymi debilami? Chyba tak, jeśli wnosić z liczby kłódek zawieszonych na barierkach wzdłuż rzeki Mersey.

Usiadł na jednej z wielu ławek przy kei. Było przedpołudnie, dzień roboczy i w Albert Dock ludzi było niewiele. Kiedy był tu ostatnim razem, dwa lata temu, była słoneczna pogoda, niedziela i było czarno od ludzi.

Wolno przesunął wzrokiem po wodzie. Tu, niedaleko ujścia, Mersey płynęła szeroko, a po jej powierzchni sunęło sporo barek i małych motorówek. Na drugim brzegu leżała dzielnica Birkenhead. Nigdy tam nie był. I pewnie nigdy nie będzie.

Podciągnął rękaw i spojrzął na zegarek. Za kilka sekund będzie jedenasta. Gość z policji powinien się tu zaraz zjawić...

Znów spojrzął na barierkę. Poprzeczne drążki były niemal całkiem zasłonięte przez tysiące kłódek zawieszonych wzdłuż całej długości kei. Miasto powinno przysłać tu sztab ludzi z kątownikami i usunąć ten złom. I tak niemal połowa z tych par już dawno się rozwiodła albo wkrótce się rozwiedzie.

Przypomniał mu się Tintin. Zdolny belgijski żołnierz, którego wielokrotnie wynajmował do swoich zleceń. Tintin był po czterech rozwodach. I o ile dobrze pamiętał, odsetek rozwodów w Belgii wynosi koło siedemdziesięciu. Jeśli Belgowie też wieszają kłódki, to są jeszcze bardziej naiwni niż Brytyjczycy.

Znów spojrzął na zegarek. Minęła jedenasta. Nie znosił niedokładności. Każda misja miała własny harmonogram. I należało się go trzymać.

Sam nigdy się nie ożenił. Dziewczyny, owszem, miewał — w młodości. Ale żadnych kłódek. I nie miał zamiaru się żenić. Nie przy takim zawodzie, jaki wykonywał. Kobieta byłaby przeszkodą.

Życie najlepiej jest przeżyć, będąc wolnym. Miał w Londynie ze dwie albo trzy przyjaciółki, u których niemal zawsze mógł liczyć na niezobowiązujący seks. A jeśli akurat żadna nie była dostępna, to takie rzeczy zawsze można sobie kupić. Hm. À propos — czy nie pora wkrótce...

— John Smith?

Błyskawicznie odwrócił się na ławce. Mężczyzna koło czterdziestki stał za nim i wyciągał do niego rękę.

Cholerne policyjne podeszwy z bezdźwięcznej gumy. Tak się zamyślił nad tymi wszystkimi kłódkami, że w ogóle go nie słyszał. Również podał mu rękę i się uklonił.

— Tak, to ja.

— Riley — powiedział mężczyzna i usiadł obok.

Nazwisko mu wystarczyło. Mieli wspólnego znajomego, który umówił ich ze sobą. To prawdopodobnie ich pierwsze i ostatnie spotkanie.

— Z tego, co zrozumiałem, urzędujesz tam? — Głową wskazał kierunek.

„Tam” oznaczało główny budynek Merseyside Police stojący niemal w prostej linii za ich plecami. Tu, gdzie siedzieli, był Albert Dock, a dalej, bliżej brzegu — Salthouse Dock, który ciągnął się aż do szerokiej ulicy biegnącej wzdłuż portu, Strand Street. I właśnie tam, przy samej ulicy, wznosił się ogromny, ponury sześcian z ciemnobrązowej cegły, w którym pracowała większość liverpoolskich glin.

— Taa. Przestępczość zorganizowana... Chciałeś się dowiedzieć czegoś o sprawie z Runcorn?

Riley najwyraźniej lubił mówić wprost. Podobało mu się to.

— Zgadza się. Chodzi mi o niejakiego Alistaira MacDuffa.

— To posłuchaj — sprawa nie podlega nam, tylko Cheshire Police. Znam gościa, który pracuje na posterunku w Runcorn. Twierdzi, że dokładnie zbadali sprawę i zamknęli ją bez angażowania centralnego wydziału kryminalnego w Winsford.

W skrócie oznacza to, że nie stwierdzono żadnych nieprawidłowości. Prosta sprawa niebudząca podejrzeń. W przeciwnym razie Winsford by ją przejął.

— Był pijany?

— Jeden koma dziewięć promila. Tamtego wieczora był mecz Liverpoolu. Oglądał go w The Clarendon, pubie kilkaset metrów od swojego domu. Personel został oczywiście przesłuchany.

— Jeden koma dziewięć? To był wielki, silny facet.

— Co nie znaczy, że nie mógł spaść ze schodów po dwóch piwach — albo nawet dwóch oranżadach. Jak upadniesz tak niefortunnie jak on, to już po tobie. Trup na miejscu.

— A ślady włamania? Albo cokolwiek innego? Pytam, bo...

Riley uniósł obie dłonie w geście obrony.

— Nic nie chcę wiedzieć. I jest mi to obojętne. Okej?

Zgodził się skinieniem. Riley mówił dalej:

— Nie. Niczego nie zaobserwowano. Wszystkie drzwi były zamknięte, wszystkie okna też.

— Zakładam, że miał komputer.

— Tego nie wiem.

— Ale jeśli miał, to zapewne by go przeszukano?

— Tylko gdyby to była sprawa dla Winsfordu — a nie była.

— Jakikolwiek inne interesujące fakty?

— To w zasadzie wszystko, co wiem. Sprawdzono miejsca, w których był tego dnia. Najwyraźniej był to całkiem zwyczajny dzień dla gościa w jego typie. Późnym popołudniem był na siłowni, potem zjadł kolację w knajpie, obejrzał mecz — zawiął się do domu i złamał kark. Mój kumpel twierdzi, że to był śliski typ — był im dobrze znany.

— Jak to — myślałem, że był czysty?

— Czysty — a jednak po uszy w gównie. Swego rodzaju

najemnik...

— Hm. Dobra. To tyle chciałem wiedzieć. Trzymaj.

Z kieszeni wyjął zwitek sześciu pięćdziesięciofuntowych banknotów i położył Rileyowi na dłoni. Tamten bez przeliczania schował je do kieszeni kurtki.

— Dzięki. Jeśli mimo wszystko będziesz chciał w tym pogrzebać, mogę pogadać z tym gościem w Runcorn. Jest solidny i staranny, bez fuszerki. Ale kontakt tylko przeze mnie. Trzymaj... — Riley wręczył mu wizytówkę. Na imię miał Eddy. Schował ją do wewnętrznej kieszeni marynarki. Podali sobie ręce i policjant błyskawicznie oddalił się na swoich miękkich podszwach.

On sam został na ławce i patrzył na szare wody Mersey.

Jeśli o niego chodziło, Alistaira MacDuffa mogliby równie dobrze znaleźć z sondą kosmiczną w dupie. Zwiślało mu to. Ale musiał niestety sprawdzać tego rodzaju nieprzewidziane zajścia, kiedy spotykały ludzi powiązanych z nim i jego pracą. W jego branży nie istniała *nadmierna ostrożność*.

Każdy może się potknąć. Tylko ciężko mu było uwierzyć, że MacDuff, doskonały rzemieślnik i facet, który w obcych krajach uszedł cało z niezliczonych śmiertelnie groźnych sytuacji, potknął się we własnym domu i od tego umarł.

Nie. Wróc. Riley wyraził się jasno. Nie ma się do czego przyczepić. Być może powinien wreszcie dać sobie spokój ze swoją wieczną podejrzliwością i potraktować historię z Alistairem MacDuffem właśnie jak historię, która po prostu głupio się skończyła.

Rozdział 40.

Na cmentarzu w Hellerup nadal rządzą umarli. Jeden po drugim z ziemi wyrastały okazałe nagrobki, które dostrzegała tylko kątem oka, przemierzając długie alejki na tyle szybko, na ile nogi jej pozwalały.

Alto rozkraczyło się na środku skrzyżowania — mimo że nie padało i od czasu do czasu nawet wychodziło słońce. Straciła mnóstwo czasu, a akurat na to spotkanie nie chciała się spóźnić.

Wczoraj wieczorem dostała esemesa — późno, koło dziesiątej: „Spotkajmy się jutro o czternastej przy grobie rodzinnym w bukowym zagajniku na cmentarzu w Hellerup. Z poważaniem, Benedicte Bjørk”.

Całe szczęście, że zdążyła już rzucić pracę na zmywaku, bo wiadomość rozpałała jej wyobraźnię i nie pozwalała zmrużyć oka.

Spojrzała na zegarek. Miała jeszcze kilka minut. Dotarła już do terenu porośniętego bukami i gdy za kilkoma dużymi krzewami skręciła, zobaczyła ich oboje na ławce kawałek dalej. Pan i pani Bjørk z Odder.

Przywitała się i podała im rękę.

— Witaj ponownie... Margrethe. — Benedicte postanowiła zwracać się do niej po imieniu.

Wyglądała znacznie lepiej niż kilka dni temu, gdy otworzyła jej drzwi swojego domu na Møllebakken. Uśmiechała się. Jej twarz wydawała się jaśniejsza i zniknęło tamto napięcie.

— Proszę, usiądź — powiedziała kobieta, klepiąc miejsce obok siebie.

Margrethe usiadła i milczała wyczekująco. Po kazaniu, jakie im wygłosiła na pożegnanie ostatnim razem, ważne było, aby teraz cierpliwie dać im czas i okazać szacunek.

Ławka stała na wprost dużego grobowca ogrodzonego pomalowaną na zielono niską balustradą z kutego żelaza z wieżyczkami i małymi kopułami. Sam pomnik, zajmujący w grobowcu centralne miejsce, był z czarnego i szarego marmuru i wznosił się na ponad dwa metry. Już z daleka widać było nazwisko Ryttinger wypisane na nim dużymi złotymi literami.

W obrębie ogrodzenia stały jeszcze dwa mniej okazałe nagrobki, po obu stronach monumentu. Pod wszystkimi trzema były świeże kwiaty.

— Widzisz... Po twojej wizycie na spokojnie wszystko przedyskutowaliśmy — zaczął Kurt Bjørk ścisłym głosem — a ponieważ i tak była pora ich odwiedzić... — Głową wskazał na grobowiec.

— To była *moja* decyzja. — Benedicte przerwała mu i odwróciła się, by spojrzeć jej w oczy. — Moja własna decyzja. I dobrze się z nią czuję.

Siedząca obok niej starsza kobieta zamilkła i zawiesiła wzrok na mogiłach swojej rodziny. W końcu powiedziała:

— Powinam była to zrobić już dawno temu, ale nie miałam odwagi. Teraz pewnie myślisz: „Co to w ogóle ma być? Czego oni ode mnie chcą?”. Daj mi wyjaśnić. Otóż... nigdy nie miałam takiej odwagi i silnej woli jak moja siostra. Już w dzieciństwie bardzo to było widać. Ja byłam zachowawcza i ostrożna, a Sigrid szła jak burza. Może dlatego po śmierci taty bez wahania podjęła własne śledztwo. To, co się stało, zawsze nas nękało. Dziś to się wydaje trochę... pretensjonalne... stawiać taki wielki pomnik, prawda? — Benedicte skinęła na grobowiec.

Margrethe wzruszyła tylko ramionami i cicho odparła:

— Może niezupełnie przystaje do dzisiejszych czasów, ale wtedy pewnie nie budził takiego zdziwienia.

— Masz rację. To pewnie kwestia czasów. Tu, w Hellerup, jest takich sporo. Pomników i dużych grobowców. Ojciec sam to wszystko obmyślił. Mama umarła dwadzieścia cztery lata przed nim. Kamień obrobiono według jego projektu. Pamiętam, że

kosztowało to majątek. Mówił, że chce mieć wokół siebie rodzinę. Żebyśmy mogli iść razem, dokądkolwiek będziemy się wybierać. Po lewej leży Sigrid i jej mąż. A po prawej — Malte i jego żona. Kiedy ich chowaliśmy w zeszłym roku, wszystko się we mnie rozpadło... resztę już pani zna.

Przytaknęła w milczeniu. Lody zostały przełamane. Teraz dowie się więcej.

— Kiedy zjawiłaś się u nas tak nagle i powiedziałaś „Margrethe Franck”, byłam zupełnie oszołomiona. W pierwszej chwili w ogóle cię nie poznałam. Ale potem serce mi przyspieszyło. Bo nagle wszystko do mnie wróciło. Miałaś rację, że na mnie nakrzyczałaś. Zasłużyłam sobie.

Pani Bjørk odwróciła się i podniosła dużą siatkę na zakupy.

Dopiero teraz ją zauważyła. Cały czas leżała na ławce pomiędzy małżonkami.

— Proszę. Powinnaś to dostać.

Położyła siatkę na jej kolanach. Były w niej dwa małe pudełka, jak po butach.

— Są w nich wszystkie listy, które napisała do mnie Sigrid, ułożone w porządku chronologicznym. Mieszkała w Hiszpanii trochę ponad rok. W tym czasie co dwa tygodnie przysyłała mi odręcznie napisany list. Razem trzydzieści dziewięć. Przed świętami nie dostałam listu, bo mieliśmy święta spędzać razem.

— Naprawdę, aż tyle listów? A maile?

Benedicte pokręciła głową.

— Pod tym względem była jeszcze bardziej konserwatywna ode mnie. Sigrid pisała listy — odręczne i bardzo długie. I nic poza tym. Nie było przecież Facebooka ani tego typu rzeczy. Pytałaś mnie ostatnio, czy Sigrid nigdy niczego nie sugerowała. Prawidłowa odpowiedź brzmi: owszem. Raz, kiedy sama poleciałam ją odwiedzić, powiedziała, żebym pilnowała jej listów. Żebym dobrze ich pilnowała.

Benedicte Bjørk przerwała na moment i ze smutkiem spojrzała

na pudełka, zanim ponownie się odezwała:

— Powiedziała coś w stylu: „Benedicte, jeśli któregoś dnia zdarzy się coś niewyjaśnionego, to odpowiedź znajdziesz w moich listach. Te listy to moje życie”. Wtedy specjalnie się nad tym nie zastanawiałam. Sigrid uwielbiała pisać i była w tym bardzo dobra. Sama zobaczysz, że momentami używa niezwykle malowniczego języka, niemal poetyckiego. Dopiero po jej śmierci uderzyła mnie ta myśl: czy któryś albo któreś z jej listów kryją w sobie jakąś tajemnicę? Wiadomość, którą powinnam odczytać? Malte pytał mnie o to samo — i to nieraz. Czy jego matka nie prosiła mnie o przechowanie czegokolwiek. Czy nie powierzyła mi jakiegoś sekretu. Musisz mnie jednak zrozumieć... byłam przerażona myślą, że jego też mogę stracić. Miał obsesję na punkcie Danehofu — dokładnie tak jak jego matka. Dlatego nigdy mu nie powiedziałam o listach. Bałam się. Chciałam go chronić. Zatrzymać przy sobie. Ale i tak mi go odebrali. Masz rację, Margrethe. Oni wszyscy nie żyją. Nie ma już nic do stracenia. A ja nie mogę dalej być tchórzem.

— To prawda. Benedicte obwiniała się za to, co się stało. Bardzo — wtrącił się jej mąż. — Próbowałam jej tłumaczyć, że to nie jej wina. Że nie miała żadnego wpływu na to, co się stało.

Margrethe odłożyła siatkę na ławkę i położyła dłoń na ramieniu kobiety.

— To nie tchórzostwo starać się ochronić kogoś, kogo się kocha.

— Hm. Dziękuję... Jeśli chodzi o dokumenty z domku letniskowego... Nawet jeśli ojciec wprost nie używał nazwy organizacji, to pewne rzeczy mogą wskazywać, że należał do Danehofu. W moich oczach był dobrym, kochającym człowiekiem, ale był również osobą wpływową i miał reputację twardego przeciwnika w interesach. Może nawet okrutnego. Ja pamiętam go zupełnie inaczej. To byłoby dla mnie cios, gdyby się okazało, że tato naprawdę był kiedyś jednym z nich... że uczestniczył w tej podłości...

— Musimy sprawdzić, czy listy Sigrid pozwolą nam ruszyć z miejsca.

— Tak czy inaczej, dziękuję ci, że chcesz — albo raczej że oboje z Mossmanem chcecie spróbować. Ryzykując własnym życiem. Ja wiem o tym najlepiej. Miałam ogromne wyrzuty sumienia. I czułam obrzydzenie do siebie samej. Chcę po prostu...

— Nie — przerwała jej i położyła dłoń na ramieniu Benedicte. — Nie zdręczaj się. Wszystko wygląda inaczej z perspektywy czasu. Czy coś w tych listach cię zaniepokoiło? Coś, na co powinnam zwrócić szczególną uwagę?

— Najwięcej czasu poświęciłam listom z ostatnich paru miesięcy. Czytałam je w kółko. I rzeczywiście... Możliwe, że są tam pewne rzeczy, które mogą wyglądać na trop albo wskazówkę. Ale możliwe również, że ponosi mnie wyobraźnia... Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zaczniesz od początku i sama je przeczytasz. Nie sugerując się moimi domysłami.

— Tak zrobię.

— Chciałabym też je odzyskać, kiedy już nie będą ci potrzebne.

— Oczywiście.

Siedzieli teraz na ławce w milczeniu, wszyscy troje. Najchętniej wróciłyby już do domu i od razu rzuciła się do lektury. Ale było jeszcze parę rzeczy, które mogły się okazać istotne.

— Możesz mi opowiedzieć trochę o tym, z kim twoja siostra i jej mąż się przyjaźnili w Hiszpanii? Mieszkali na południowym wybrzeżu, prawda?

— Tak. W Fuengirolí, na południe od Malagi. Mieszka tam mnóstwo Duńczyków i w ogóle sporo obcokrajowców. Kupili willę na wzgórzach. Mąż Sigrid sprzedał firmę, więc pieniędzy im nie brakowało. Zostali członkami duńskiego stowarzyszenia, Club Danés, z siedzibą w domu duńskim, La Casa Danesa, który poza miejscem spotkań jest też restauracją. Dwa razy byłam u nich sama i dwa razy z Kurtem. I zawsze zachodziliśmy do Casa Danesa. Spodziewałam się, że o to zapytasz, dlatego razem z mężem zrobiliśmy krótką listę. Proszę.

Z kieszeni wyjęła małą kopertę i jej wręczyła. W środku była kartka zapisana starannym pismem. Był to spis najbliższych

hiszpańskich znajomych Bulbjergów. Przesunęła po niej wzrokiem. Byli na niej sąsiedzi i znajomi ze stowarzyszenia. Była też jedna szwedzka i jedna brytyjska para. Spora część była opatrzona adnotacją „golf”. Listę kończyły nazwiska ich sprzątaczk i ogrodnika.

— Świetnie. Bardzo dziękuję. Zatem często grali w golfa?

— Bez przerwy — mruknął Kurt.

— Sigrid w ogóle nie grała, zanim się wyprowadzili. Jej mąż grał sporadycznie. Wydaje mi się, że zaczęli grywać regularnie po to, by mieć jakieś wspólne zajęcie, i dlatego, że to pozwalało nawiązać sporo kontaktów. I oboje połknęli bakcyła. Nawet gdy byłam u nich z wizytą, nie mogli sobie odmówić partyjki. Co zresztą w ogóle mi nie przeszkadzało — ja w tym czasie leżałam sobie z książką na słońcu.

Złożyła kartkę i z powrotem schowała do koperty.

— A poza ludźmi, których wymieniliście, mieli jakichś znajomych?

— Znali mnóstwo osób — głównie za pośrednictwem stowarzyszenia i golfa. Próbowaliśmy jedynie wymienić najważniejsze osoby. O niektórych Sigrid wspomina w swoich listach, ale o tym sama się przekonasz, kiedy zaczniesz je czytać. I jeśli będziesz chciała o cokolwiek zapytać, to po prostu zadzwoń.

— Bardzo ci dziękuję. Naprawdę doceniam, że pozwalasz mi przeczytać jej listy.

— Od dawna do nich nie zaglądałam. Nie mam już na to siły, odkąd zachorowałam. Za każdym razem, gdy je czytam, w głowie słyszę głos Sigrid. I robi mi się tak nieskończenie smutno. Miała cudowny głos. Łagodny i ciepły. Żywię głęboką nadzieję, że coś w nich znajdziesz.

— Postaram się najlepiej jak mogę. Muszę już wracać. Chcę od razu zabrać się do pracy.

— My jeszcze chwilę posiedzimy. Nieczęsto tu zaglądamy. —

Benedicte Bjørk uśmiechnęła się blado.

Margrethe podała obojgu ręce, pożegnała się, chwyciła dużą siatkę i ruszyła w stronę parkingu.

Do domu. Jak najszybciej. Do domu, by zacząć czytać. Już tylko kilka dni zostało do spotkania w piwnicy Mossmana, gdzie miała zdać raport. Zadzwoń do Netto i powie, że jest chora, nakupi sobie gotowych dań do mikrofal i zabarykaduje się w mieszkaniu na kilka dni, żeby w spokoju poczytać listy Sigrid z Hiszpanii, linijka po linijce, słowo po słowie, by sprawdzić, czy coś się w nich kryje. W nich — albo między nimi.

Rozdział 41.

Ormskirk? Poważnie? Jak u licha można było nazwać miasto Ormskirk? Ale dobra. Najwyraźniej można było, pewnie po jakiejś awanturze z wikingami. Stał przed numerem dwudziestym czwartym przy Clader Ave. Był to dwupiętrowy bliźniak, jak większość na tej ulicy. Dom, w którym mieszkała Kate MacDuff z córką, sprawiał wrażenie odrobinę zaniedbanego, choć nie można powiedzieć, by był zapuszczony.

Wszystkie domy miały ogródki od strony nasypu kolejowego i była MacDuffa jako samotna matka radziła sobie chyba nie najgorzej, skoro miała w miarę sporo miejsca i własny ogródek.

To jego wieczna nieufność kazała mu przyjechać ten kawałek dalej na północ od Liverpoolu, do miejscowości, w której najbardziej przyciągała uwagę nazwa. Bo poza tym Ormskirk wyglądał jak każde tego typu miasteczko.

Ruszył wyłożoną płytkami alejką do drzwi i wcisnął dzwonek. Nad otworem na listy wisiała tabliczka z napisem: „Kate i Emily MacDuff”. To dopiero musi być jędra. Nie pofatygowwała się nawet, żeby zmienić nazwisko. Z tego, co się orientował, wynikało, że od rozwodu minęło jakieś pięć czy sześć lat.

Liczył, że mimo wszystko utrzymywali ze sobą jakikolwiek kontakt. Mieli przecież dzieciaka, którym musieli się dzielić. O ile tak to się odbywało. Pamiętał, że Alistair nosił przy sobie zdjęcie małej.

W końcu usłyszał wewnątrz kroki i drzwi się otworzyły. Stała w nich kobieta po czterdziestce i spojrzała na niego pytająco. Była zrobiona — miała duże loki, tlenione włosy i wielkie kolczyki.

— Dzień dobry. Nazywam się John Smith. Pracowałem z pani byłym mężem, Alistairem. Pomyślałem, że może mógłbym zająć pani chwilę.

— On umarł. Czego pan chce?

— Właśnie o tym chciałbym z panią porozmawiać — to znaczy o tym, że umarł... Jeśli wolno, chciałbym pani zadać parę pytań.

Kate MacDuff wahała się i mierzyła go wzrokiem — zupełnie się z tym nie kryjąc. Ostatecznie zarzuciła włosami i odsunęła się, by zrobić mu przejście, a gdy stanął w przedpokoju, zatrzasnęła drzwi.

— Chodźmy do kuchni. Emily ogląda film w salonie.

Odsunęła dwa krzesła od niewielkiego stolika.

— Nie mam za dużo czasu, więc jakby mógł się pan streszczać...

Przytaknął skinieniem. Pod bujną fryzurą, zaczesaną do tyłu i przytrzymaną czarną wstążką zdawał się kryć umysł bystry i bezpośredni.

— Alistair właściwie nigdy nie mówił... Czym się pani zajmuje?

— Jestem fryzjerką. Do rzeczy — proszę.

— Tak. Moim zdaniem to dziwne, że facet taki jak Alistair wypił sobie parę piw i wciąż mając siłę utrzymać je w ręce, nagle potknął się na schodach we własnym domu i złamał kark. Dlatego pomyślałem, że spotkam się z panią i zapytam, czy nie zauważyła pani ostatnio czegoś nietypowego. Może o czymś wspominał? Albo zachowywał się inaczej niż zwykle?

Kate MacDuff zachnęła się.

— Panu się wydaje, że byliśmy szczęśliwie rozwiedzeni i regularnie się spotykaliśmy? Jeśli tak, to w ogóle go pan nie znał. To była podła świnia. Niby twierdził, że kocha Emily i że strasznie się interesuje jej życiem, ale właściwie nigdy jej nie odwiedzał. Nie zliczę, ile razy złamał jej serce. Jak dla mnie to świetnie, że kopnął w kalendarz. Przynajmniej mała nie będzie już sobie robiła nadziei.

Tak fryzjerka zgasła w nim ostatnią iskierkę nadziei. W sumie nie był zaskoczony. Zawsze miał wrażenie, że Alistair bardziej lubi opowiadać o sobie jako kochającym ojcu, niż wcielać się w jego rolę. Podła świnia... cóż, Kate MacDuff miała pewnie swoje

powody.

— Wobec tego przepraszam. Myślałem, że mieliście większy kontakt. — Wstał i rozłożył ręce przepraszająco.

— Nie mieliśmy prawie żadnego. W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy ze cztery, może pięć razy przyjechał po Emily. Nawpychał w nią lodów, słodczy i śmieciowego żarcia i odstawiał z powrotem w niedzielę już w południe, jeśli akurat był mecz.

Uklonił się i ruszył do wyjścia. Była MacDuffa wydawała się zadowolona, że nie zawracał jej więcej głowy. Ale gdy już naciskał kłamekę, nagle zawołała:

— Zaraz! Właściwie to jest jedna sprawa.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

— Emily opowiedziała mi o tym dzień po tym, jak jej powiedziałam, że jej ojciec nie żyje... Powiedziała, że niedawno jakiś mężczyzna zaczepił ją na deptaku przy wieży zegarowej i zapytał, czy nie chciałaby nagrać z nim filmiku z życzeniami urodzinowymi dla Alistaira. Gość nagrał komórką, jak Emily składa życzenia, i na koniec oboje mu pomachali. To wydaje mi się dziwne. Ale oczywiście nie musi mieć żadnego związku z jego śmiercią. Poza tym, jak powiedziałam: kompletnie mnie nie obchodzi, jak umarł. Skoro pan zapytał, to powiedziałam. Nie mam w zwyczaju niczego ukrywać.

Zamyślił się na moment. Kate MacDuuff trzymała się pod boki i wyraźnie czekała, aż sobie pójdzie.

— Policja o tym wie?

— Nie. Czemu mieliby wiedzieć? Zadzwonili tylko i powiedzieli, że mój były mąż nie żyje.

— A czy mogę zapytać... Czy on się przedstawił? Ten mężczyzna, który nagrał filmik?

— Bryan. Powiedział jej, że ma na imię Bryan. I że mieszka w naszym mieście. Że jest kumplem Alistaira i że będzie na jego urodzinach. To dlatego chciał nagrać życzenia z Emily. Jako coś

w rodzaju niespodzianki.

— Hm. Jak wyglądał?

— Emily mówi, że całkiem zwyczajnie. Wysoki, czapka z daszkiem, wydawał się miły. Dał jej drobne na lody. Powiedziała jeszcze, że nie mówił, jakby był stąd.

— Z jakim akcentem?

— Niech pan posłucha. Nic więcej nie wiem. Może mnie pan wypytywać do usranej śmierci, ale to naprawdę wszystko. Emily opowiedziała mi o zdarzeniu. I na tym koniec. Ona musi zostawić przeszłość za sobą. I pan też powinien. Proszę tu więcej nie przychodzić. Znam takich jak wy... Byłam z panem szczerą. Zawsze taka jestem, bez względu na okoliczności. Naprawdę nie ma pan po co pytać o więcej.

— W porządku, rozumiem... i dziękuję.

Skinęła krótko, a on wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Łatwo można się było pomylić co do Kate MacDuff. W rzeczywistości całkiem niezła z niej lufa, a do tego ostra jak brzytwa. Gdyby ktoś chciał ją wodzić za nos, mógł się boleśnie skaleczyć. Może przerastała poczciwego Alistaira? W innym miejscu i czasie mógłby nawet spróbować do niej wystartować. Ale w tej sytuacji musiał się pogodzić z tym, że go przegoniła.

Ruszył chodnikiem przed siebie. Coś mu się nie zgadzało. Mężczyzna nagabuje córkę Alistaira, żeby nagrać z nią życzenia? Mężczyzna, który mówi inaczej niż inni?

Kurwa! Odwrócił się na pięcie i pognął z powrotem.

Tym razem otworzyła od razu. I patrzyła na niego, jakby był upośledzony umysłowo.

— Przepraszam! Jeszcze jedno, ostatnie pytanie: był czarny czy biały?

— Biały.

— Dziękuję.

Przepraszająco uniósł obie dłonie. Tym razem nie skinęła mu na

pożegnanie. Po prostu zatrzasnęła przed nim drzwi.

Gdy po raz drugi stanął na chodniku, był już pewien, że musi w tej sprawie pogrzebać. Co wcale mu się nie podobało, bo wolałby na co innego spożytkować swój czas.

Rozdział 42.

Dopiero co wstała. Dochodziło południe. Siedziała w piżamie. Jedna nogawka była obcięta poniżej kikutą, więc spodnie były półszortami. Proteza leżała w przejściu do przedpokoju, gdzie ją rzuciła prawie trzy doby temu.

Musiała zasnąć na dywanie wczesnym rankiem. Obok leżała poduszka, do tego była dość przewidująca, by zabrać z kanapy koc i się nim nakryć.

Czuła się bardzo dobrze i od razu była w pełni przytomna. Była gotowa. Zdążyła. Spotkanie w piwnicy Mossmana jest dziś wieczorem.

Podłoga była usłana listami pogrupowanymi według różnych kategorii. Trzydzieści dziewięć listów od siostry do siostry — od Sigrid z Hiszpanii do Benedicte w Odder. Trzydzieści osiem leżało na dywanie. A jeden na stoliku.

Była to męcząca praca i wymagała pełnego skupienia. Przeczytała wszystkie listy dwukrotnie, w kolejności chronologicznej.

Pierwszy raz po to, by wyrobić sobie ogólny obraz i usłyszeć głos Sigrid oraz aby zrozumieć relacje łączące obie siostry. Drugi raz czytała, w pełni koncentrując się na robieniu notatek i wypatrywaniu tego, co niewidoczne.

Do dzieła przystąpiła systematycznie. W najdalszym szeregu były listy najwcześniejsze, wszystkie napisane w ciągu pierwszych tygodni po tym, jak z mężem Frederikiem Bulbjergiem przeprowadzili się do Fuengirolí. Mąż sprzedał rodzinną firmę, Bulbjerg Transmissions, produkującą skrzynie biegów do turbin wiatrowych za „kwotę trzycyfrową milionową”, jak zwierzyła się Sigrid siostrze.

Dlatego, kochana Bene, o pieniądze do końca życia możemy

być spokojni, lecz innych zmartwień nie unikniemy. Nie czuję się teraz szczęśliwsza, jedynie bardziej wolna...

Potrafiła te słowa cytować z pamięci. Sigrid swoją starszą siostrę nazywała czasem Bene. Zwłaszcza w chwilach bardziej intymnych, o ile takie istnieją w korespondencji. Może zaczerpnęła owo „bene” z łaciny, jeśli dobrze pamiętała, oznaczało to coś w stylu „dobry” albo „dobrze”.

Może więc Bene była dobrą siostrą? Po lekturze wszystkich trzydziestu dziewięciu listów Margrethe nie miała w każdym razie wątpliwości, że Sigrid uważała Benedicte za tę, która jest z nich dwóch bardziej ostrożna i więcej się martwi. Pasowało to do wrażenia samej Benedicte.

Nie do końca było jasne, kiedy Sigrid na poważnie zaczęła studiować dokumenty, które ich ojciec ukrył w letniej posiadłości w Skagen. Wyraźnie było natomiast widać, że małe pudełko Karla-Erika Ryttingera zawierające sprawozdania z zebrań, wspomnienia, kartki z kalendarza i z pamiętnika było przedmiotem zaciętych dyskusji pomiędzy obiema siostrami i że Sigrid poruszała temat z najwyższą ostrożnością.

Dopiero w dziewiątym liście napisała wprost:

Zaczęłam właściwie swoje własne małe śledztwo, Bene. Muszę się dowiedzieć, o co w tym chodzi. Wiem, że tego nie pochwalasz, chcę tylko, żebyś o tym wiedziała.

Było też sporo listów, w których ten temat w ogóle nie był poruszany. Sigrid opowiadała w nich o swoich codziennych sprawach, z kim się spotkali, co robili, wyrażała swoje zdanie o wszystkim i o niczym — o religii i fanatyzmie, o problemach z wybiciem i pechowym siódmym dołku. Potrafiła płynnie przeskakiwać z tematu na temat, z rozmyślań o duńskości na obczyźnie do zachwytów nad ozdobą swojego ogrodu, nowym krzewem jaśminu.

Benedicte nie kłamała — jej siostra momentami pisała pięknym, barwnym językiem. I często tuż pod jego powierzchnią unosiła się pamięć o rodzinnej tragedii.

Poczucie bezpieczeństwa, droga siostró, to bardzo cenna rzecz. Ty znajdujesz je w swoim spokojnym życiu i utrwalonych ramach. Ja również go doświadczam. Ale czasem czuję, jakby budził się we mnie wulkan. Potem przez jakiś czas odczuwam drgania, aż wyrzuci w niebo kłęby pyłu i tryska z niego lawa. Czy to potrzeba buntu? Żadna z nas nigdy nie poznała, jak smakuje tradycyjny młodzieńczy bunt, prawda? Tato był człowiekiem zbyt wielkim i potężnym — i zbyt mądrym i kochanym, by się przeciw niemu buntować. Czy to dlatego zdarza mi się czuć w środku ten ogień? Bo tato był tak niesłychanie ważny? I tak brutalnie został nam odebrany? Czy to płonie mój gniew? A może ten ból bierze się stąd, że to beztroskie życie tu, na południu — czy je nazwać szczęściem, czy wolnością — tak naprawdę uwiera jak kaftan bezpieczeństwa? Sama nie wiem. Wiem tylko, że w tych okresach Frederik mnie unika. Że być może jego zdaniem nie doceniam tego, co mamy. Ale to nieprawda. Ja tylko jestem wulkanem, który choć uspijony, czasem jednak budzi się do życia.

Więcej było listów w podobnym tonie. Większość z nich zapamiętała, choć może nie słowo w słowo. Nazwała je listami „wulkanicznymi”. Pierwszym w tej serii był list numer czternaście. Znajdował się w grupie drugiej — tej, w której Sigrid po raz pierwszy wprost mówiła o swoim śledztwie. W pewnym momencie napomknęła, że skontaktowała się z osobą związaną z naszym ojcem.

W grupie drugiej takich niewyraźnych śladów było więcej.

W końcu tato ich słuchał, darzył ich szacunkiem.

Albo:

Zastanawiałam się nad tym, próbowałam sobie wszystko przypomnieć. Tato miał przecież także wrogów.

Grupę trzecią stanowiły listy nowsze. Poza datą łączyło je również to, że Sigrid Bulbjerg z rzadka zdarzało się posunąć o krok dalej. Margrethe pogrzebała w swoich notatkach. Było w nich na przykład takie zdanie:

Dziś mnie spławiono, choć spodziewałam się, że u nich akurat spotkam się ze zrozumieniem.

Z listu nie wynika, gdzie została spławiona ani przez kogo. Wygląda to, jakby Sigrid w głębi duszy wiedziała, że jej siostra nie ma ochoty czytać o tej sprawie.

Grupa trzecia zawierała również list, który od razu nazwała „księżycowym”. Podczołgała się kawałek po podłodze i sięgnęła po białą kopertę z żółtą karteczką, którą na niej nakleiła. List księżycowy był listem numer trzydzieści jeden.

Czasem, Bene, siedzę sama w środku nocy i rozmyślam w nieskończoność. Próbuję spojrzeć na to z innej strony, znaleźć inną perspektywę. Nocą panuje tu taki spokój. Frederik zawsze kładzie się o jedenastej. Dlatego nie wie, co robię do późnej nocy. Martwi się o mnie. Trochę tak jak ty... Czasem otwieram drzwi do ogrodu i siadam na ławce. Księżyc jest moim powiernikiem. Biały księżyc wiszący tak bardzo, bardzo daleko jest mi przyjacielem, słucha mnie. Zadaje mi pytania. Rozumie mój język. Docenia moją pracę. Wie, że nie mogę inaczej. Pomyśleć, że dopiero tu, na południu, poznałam księżyc — tak naprawdę. Różni nas tak wiele. I to czyni naszą przyjaźń tym bardziej wyjątkową. Zapytaj księżyc o cokolwiek — odpowie ci lepiej niż ktokolwiek inny.

W innym liście w grupie trzeciej Sigrid powiedziała być może coś, co przez cały czas pozostawało niewypowiedziane. Sięgnęła po niego. Był to tylko jeden krótki akapit, ale bardzo ważny:

Zabójstwo taty przez te wszystkie lata było w naszej rodzinie tematem zakazanym. I źródłem wielkiego cierpienia dla mojego Maltego. Tamta okrutna zbrodnia czasem potrafiła poróżnić ciebie i mnie. Musimy jednak znaleźć w sobie odwagę, by stawić czoła faktom — nasz ukochany tato mógł w rzeczywistości uczestniczyć w czymś potwornym. Nie chcemy o tym wiedzieć, bo to by zburzyło jego obraz, który nosimy w pamięci i w sercach. Ale czasem droga ku prawdzie jest jedyną drogą.

W następnym akapicie Sigrid wracała do opisu napięcia, z jaką lokalna społeczność czeka na przyjazd nowych sąsiadów. Wciąż przeskakiwała od ujmowania w słowa tego, co niewypowiedziane, do błahostek codziennego życia.

W grupie czwartej znajdowały się tylko cztery ostatnie listy. Stworzyła dla nich oddzielną kategorię, ponieważ były najświeższe. Czy dało się z nich wyczytać jakikolwiek trop?

W tej grupie był między innymi list „gwiazdny”. Sigrid poetycko opisywała w nim gwiazdy na nieboskłonie. Nie były jej powierniczkami, jak księżyc, ale mrugały do niej czarną nocą i sprawiały, że czuła się mała i nic nieznająca. I to właśnie pobudzało ją do działania, do zrobienia czegoś ważnego.

Aby naprawić przeszłość, Benedicte.

Grupa piąta leżała pod oknem. Były w niej listy zupełnie nieciekawe i pozbawione jakichkolwiek tropów czy istotnych treści. Takie listy Sigrid również pisała.

Margrethe rozejrzała się za telefonem. Odsunęła na bok stos pomiętych notatek, próbując go znaleźć. W końcu poczołgała się do punktu wyjścia, tam gdzie się obudziła i tam go znalazła, leżał pod kocem. Podpierając się rękoma, przysunęła się do stolika i wzięła notes, w którym miała zapisany numer. Wybrała go, wzięła do ręki list, który odłożyła na stół, i czekała.

— Benedicte Bjørk — usłyszała w słuchawce niepewny głos.

— Tu Margrethe Franck. Chyba znalazłam...

Rozdział 43.

Droga od stacji Kokkedal do domu Axela Mossmana przy ulicy odchodzącej od Lange-Müllers Allé była nieoświetlona, dlatego przechadzka pustym niemal chodnikiem była przyjemnością. Mógłby tak iść godzinami, ale nic z tego. Nawet gdyby nadłożył drogi, by uniknąć najgęstszych labiryntu willowych uliczek, mógł liczyć na góra pięć kilometrów.

Powrót do Kopenhagi był złem koniecznym. Nie podobały mu się tłumy na ulicach, a poczucie, że stale ktoś za nim idzie, wywoływało w nim nerwowość.

Minęło tyle czasu... I przez tyle miesięcy żył w ciszy i spokoju u Tessy, w białym domu na wyspie Klöverön. Może jego głowa wyparła ze świadomości tamten czas błogości? Albo jego ciało? Faktem było, że czujność nie budziła się w nim powoli, niczym uśpiony na wiele miesięcy demon. Pojawiła się błyskawicznie, jakby ktoś przestawił w nim jakąś dźwignię.

Przejście z peronu do ruchomych schodów i dalej, przez kłębowisko w hali dworca głównego, błyskawicznie postawiło w stan gotowości centralny układ nerwowy. Tak niewiele było potrzeba. Już to przeżył. I to nie raz, a wiele razy. Ciężko obciążona kamizelka i człowiek gotów złożyć siebie w ofierze.

A potem już tylko oderwane kończyny i krew. I krzyki, które na wiele dni przyklejały się do skroni.

To miejsce, Kokkedal późnym wieczorem, było tego cudownym przeciwieństwem. Poczul się tak wolny, że przez moment pomyślał, jak cudownie byłoby zapomnieć o spotkaniu w piwnicy i po prostu iść dalej przed siebie. W ruchu oczyścić ciało z napięcia i pozwolić, by asfalt zaprowadził go daleko stąd.

Ale była to tylko przelotna fantazja. Odbył już tę dyskusję ze sobą. Nie było na świecie drogi, którą mógłby się od tego oddalić.

Dlatego wkrótce precyzyjnie się przez dziurę w żywopłocie i wejdzie do ogródka Mossmana, gdzie lis czeka w swojej norze, aż gęsi same do niego przyjdą.

Szedł długą Bolbrovej w górę, przez most kolejowy, i dalej, wzdłuż żywopłotów i willi.

Pastorowi, słudze Bożemu o wielkim sercu, na moment zaszklily się oczy, gdy żegnali się na peronie. Ale nie mogło być inaczej. I tak znacznie nadużył gościnności plebana z Ullerup. Żona Pastora również wydawała się poruszona, kiedy przy kuchennym stole oświadczył, że musi ruszać dalej.

Oboje kazali mu solennie przyrzec, że da im znak życia, gdy skończy się jego tułaczka. Ustalili, że jeśli nie otrzymają od niego sygnału w ciągu trzech, góra czterech miesięcy, to będzie oznaczało, że żadnego życia już w nim nie ma.

Zameldował się w hotelu Cabinn, blisko komendy. Miało to tę zaletę, że z dworca miał do przejścia z plecakiem zaledwie kilkaset metrów. Poza tym był to tani hotel bez wielkiej recepcji, baru, restauracji i innych zbędnych głupot. Nie było więc również tłoku ani ciekawskich spojrzeń znudzonych gości z miękkich kanap. Fakt, że najbliższym sąsiadem była komenda, zupełnie go nie martwił. Zmarli są niewidzialni.

Minął małe centrum handlowe, które niespodziewanie wyrosło po jego lewej stronie. Nazywało się Bolbrolunden. W pizzerii paliło się światło, choć w środku nikogo nie było. Raz jeszcze obejrzał się za siebie. Za nim też nikogo. Żadnego podejrzanego ruchu — ani pieszego, ani rowerowego czy samochodowego. To ciągłe oglądanie się było po prostu silniejsze od niego.

Od tylu dni siedział zamknięty w pokoiku na plebanii i przeczesywał majątki i dworki z listy Mossmana, że nabawił się lekkiej klaustrofobii. Żmudna praca pozwoliła jednak wyeliminować całkiem sporą część osób z listy. Nadal jednak zostało wielu, którzy mogli kierować Wschodem. Zbyt wielu.

Mossman miał doświadczenie w tego typu mrówczej robocie, a skoro Axel wierzył w jej sens, to on sam też nie będzie go podważał, choć była to ciężka próba dla jego cierpliwości.

Za moment będzie na miejscu. Wspiął się ostatni kawałek w Sophienbergvej, skręcił w prawo w dół Lange-Müllers Allé i zaraz potem znów kawałek pod górę ślepa willową uliczką.

Obejrzał się za siebie ostatni raz i zrobił kilka szybkich kroków w bok, by precyzyjnie się między żywopłotem a ścianą garażu. Przeszedł po skosie przez trawnik i stanął na zadaszanej werandzie.

— Dobry wieczór, żołnierzu.

Czarna postać już na niego czekała.

Mossman wstał z ogrodowego krzesła i podał mu rękę.

— Wejdz, Franck właśnie przyszła.

Mossman ogrodowymi drzwiami wprowadził go do środka i dalej, w głąb domu, do zejścia do piwnicy.

— Twoja żona wie?

Dawny szef PET pokręcił głową.

— Dla niej lepiej jest myśleć, że walczę z depresją... Dziś ma nocny dyżur. Chodźmy.

Mossman puścił go przodem. Margrethe siedziała w tym samym fotelu co ostatnio i trzymała kubek oburącz. Uśmiechnęła się na jego widok.

— Niels, jak miło znów cię widzieć.

Uścisnęła go tylko na moment, ale to wystarczyło, by poczuł lekki zapach perfum. Ostatnim razem nie zwrócił uwagi na zapach. Poza tym jednak wyglądała jak ona — jak nowa ona.

Na krótką chwilę przywołał w pamięci tamtą Franck, którą poznał przed paru laty na komendzie w Aalborgu. Spod długiego kosmyka niedbale przesłaniającego jej czoło taksowała go wzrokiem zimnym jak srebrny wąż, który pełzał wzdłuż małżowiny ucha.

Było to tuż po tym, jak zaskoczyli go w lesie, obezwładnili i doprowadzili siłą na „rozmowę”. Żadne z nich nie mogło powiedzieć, by od tamtej pory im się wiodło. Margrethe stała się

zwykłą śmiertelniczką — a on śmierć miał już za sobą.

— Wszystko w porządku? — zapytał, siadając.

Franck tylko skinęła głową. Może jednak coś się zmieniło od ostatniego razu. Lekki rumieniec na bladych policzkach?

— Witam was oboje — zaczął Mossman i podał mu kubek kawy.
— W zasadzie możemy nie tracić czasu i od razu przejść do rzeczy. Margrethe prosiła, żeby zacząć od niej.

Czy to stąd ten rumieniec? Franck była doskonałą resercharką, potrafiła wykopać złoto tam, gdzie inni znajdowali pył i kamienie. Wielokrotnie już się o tym przekonał. Teraz jednak sprawa była pilniejsza od wszystkich innych.

— A Londyn?

Rzucił tylko to jedno hasło i spojrzał pytająco na Mossmana.

— Wybacz, Oxen... Oczywiście, na początek Londyn.

Stary basset pokiwał głową, aż rozkołysały się fałdy skóry pod jego podbródkiem. Starannie dobierając słowa, powiedział:

— *Well*, nie chcę ci dawać złudnych nadziei. Byłem tam dwa dni, wróciłem przedwczoraj. Mogę powiedzieć tylko tyle, że *proces* został uruchomiony. Odwiedziłem ludzi po obu stronach rzeki i chciałbym...

Margrethe najwyraźniej dostrzegła uniesione brwi Oxena, więc wyjaśniła:

— Po obu stronach rzeki oznacza zarówno MI5, jak i MI6. Wywiad wewnętrzny i zewnętrzny.

Mossman skinął potakująco i ciągnął dalej:

— W armii nie mam żadnych kontaktów, dlatego w pierwszej kolejności najbardziej logiczne wydało mi się zorientować w szóstce. Do piątki zaszedłem wyłącznie dlatego, że lubię zarzucać sieci możliwie najszerzej. Kontakty, przysługi i przysługi zwrotne... wiadomo, takie rzeczy dotyczą całej rodziny. Pokazałem zdjęcia odpowiednim ludziom, wykonano kilka kopii, przy moim zastrzeżeniu o zachowaniu najwyższej dyskrecji. Tam zwykle

rozumieją, co to oznacza. Po tylu latach dorobiłem się nad Tamizą solidnych kontaktów. Zobaczymy, czy uda się coś znaleźć.

— Ale póki co nikt nic nie wie?

— Niestety, Oxen. Gęba twojego gościa nikomu nic nie mówi. Dam ci znać, gdy tylko czegoś się dowiem. Czy to cię satysfakcjonuje?

Pokiwał głową. Więcej zrobić się nie dało. Wyglądało na to, że Mossman rzeczywiście zarzucił sieci możliwie najszerzej. Jemu zaś brakowało rozeznania, by móc ocenić szanse, że przynęta chwyci.

— Może teraz przejdziemy dalej i wysłuchamy Margrethe? — zaproponował Mossman.

Spojrzał na nią. Tak, jej policzki niewątpliwie nabrały koloru. Franck coś znalazła.

Czuła, że Oxen przygląda jej się ukradkiem, kiedy z torby wyjmowała notatki i przygotowywała się do ich zaprezentowania. Chciała zabrać głos jako pierwsza, bo czuła, że to ona i powierzona jej część zadania doprowadziły ich trio do pierwszych odkryć. Kiedy skończy, obaj będą musieli niezwłocznie ustosunkować się do jej propozycji.

Zaczęła więc:

— Na początek mogę ostatecznie potwierdzić, że będziemy musieli poradzić sobie bez twojego siostrzeńca, Mossman. Spotkałam się z Christianem w Aarhus. Kazał mi was serdecznie pozdrowić, ale jego odpowiedź była prosta i stanowcza: nie chce brać w tym udziału.

— Podał jakiś konkretny powód? — chciał wiedzieć Mossman.

— Ze względu na dzieci...

Mossman pokiwał głową.

— Z Aarhus pojechałam do Odder i odwiedziłam ciotkę Maltego Bulbjerga, Benedicte Bjørk, u której byłam również w zeszłym

roku w związku ze śledztwem, jakie prowadziliśmy wtedy z Oxenem.

Szczegółowo opisała im stan, w jakim zastała panią Bjørk, bo w ostatecznym rachunku okazał się istotny dla tego, do czego zmierzała. Poza tym ważne było również opisanie relacji, jakie łączyły ją z siostrą. W ogromnej mierze były bowiem obciążone dramatyczną śmiercią ich ojca.

Na koniec opowiedziała o esemesie, który dostała niedawno i spotkaniu z państwem Bjørk na ławce przy rodzinnym grobie na cmentarzu w Hellerup. I o tym, że ze spotkania wróciła z dwoma pudełkami po butach zawierającymi stare listy. Dokładnie trzydzieści dziewięć listów.

— Od kilku dni jestem na chorobowym, żeby zdążyć je wszystkie przeczytać co najmniej dwa razy. I żeby móc dokładnie pogrzebać — wyjaśniła.

Spojrzała najpierw na Mossmana, a potem na Oxena. Słuchali jej w skupieniu.

— I w końcu coś znalazłam — oświadczyła. — Coś, co do czego nie mam najmniejszych wątpliwości.

Pogrzebała w swoich papierach, znalazła list i wyjęła go z koperty.

— Skupiłam się przede wszystkim na ostatnich listach Sigrid. Jeśli czuła, że ziemia zaczyna palić jej się pod nogami i może być w niebezpieczeństwie, bo udało jej się do czegoś dokopać, to oczywiście powiedziałyby o tym siostrze. Chciałyby w jakiś sposób zadbać, by wyniki jej pracy zostały przekazane dalej. Nawet jeśli wiedziała, że Benedicte wolała żyć w spokoju. Sigrid napisała ten list mniej więcej półtora miesiąca przed tym, jak razem z mężem zginęli na autostradzie. Posłuchajcie.

Mój nowy jaśmin, o którym ci wspominałam, wygląda teraz przepięknie. Przyjął się na dobre i zaczął rosnąć. Zajmuje cały róg ogrodu i widać go z tarasu. Kilka dni temu... Tak, trudno uwierzyć, że to możliwe tu, na południu, ale widziałam najpiękniejszą tęczę w życiu. Taką wyraźną i o

niesamowicie ostrych kolorach. Wyrastała z morza i zaginała się łukiem nad nami, wśród zboczy La Sierrezueli. Jechaliśmy akurat do klubu i Frederik aż zatrzymał się na poboczu, żebyśmy mogli dobrze jej się przyjrzeć. Przysięgam ci, Bene, że kończyła się dokładnie u stóp mojego jaśminu. Jakby jedno ulotne piękno pragnęło się spotkać z innym, zanim bezpowrotnie zniknie z nieba. Pamiętasz, jak tato tak barwnie opowiadał o skarbie, zawsze gdy widzieliśmy tęczę? Och, Bene, wciąż słyszę w głowie jego głos...

Przerwała i złożyła kartkę.

Jej prezentacja zrobiła na nich wrażenie. Zarówno Oxen, jak i Mossman wyglądali na zamyślonych. Oxen odezwał się pierwszy:

— I co spodziewasz się znaleźć pod jaśminem? Dowody?

— Może niekoniecznie twarde dowody, ale coś w rodzaju raportu z jej śledztwa, sprawozdania z tego, co udało jej się znaleźć. Albo przynajmniej papiery starego Ryttingera z domku w Skagen. Nikt ich nigdy nie znalazł. Nawet Malte. Ciotka ukryła przed nim listy, bo próbowała go chronić. Danehof zabrał jej ojca i siostrę. Nie chciała ryzykować, że ukochany siostrzeniec również wpadnie w ich sidła.

Gdy tylko wspomniała o Maltem, twarz Mossmana pociemniała. I choć siedział na krawędzi fotela i widać było, że chciał o coś zapytać, to zrezygnował.

— Część listów to lanie wody — piękne, ale pozbawione treści. Do tego trochę banalnych, życiowych mądrości i garść zwykłej paplaniny. Ten akapit to bodaj najbardziej konkretna wskazówka. Nie mam wątpliwości, że Sigrid zakopała coś pod tym krzakiem. Nawet jeśli jest to coś całkiem niegroźnego. To oczywiste, że nie chciała, by jej praca poszła na marne, i zależało jej, by Benedicte wiedziała, gdzie znajdują się jej efekty. Może niezbyt subtelnie, ale nie mogła przecież skonstruować rebusu, którego jej siostra w życiu by nie rozwiązała.

— A co mówi ona sama? Rozmawiałaś z nią o tym? — spytał Mossman.

— Jej zdaniem mam rację. Sama już dawno odnalazła ten trop. Tak w każdym razie sądzi. Lecz po prostu nie chciała za nim podążyć. Świadomie postanowiła go przeoczyć, jeśli można tak powiedzieć. Jak powiedziałam — ze względu na Maltego.

Mossman nie tracił czasu:

— Kiedy możesz lecieć?

— Jutro.

Skierowała pytający wzrok na Oxena. Przez chwilę siedział z zamyśloną miną, ale w końcu pokręcił głową.

— Chciałbym — odpowiedział na niezadane pytanie — ale nie mogę ryzykować. Owszem, mam fałszywy paszport, ale...

— Wykluczone — przerwał mu Mossman tonem, jakby zapomniał, że jest zwykłym emerytem. — Absolutnie nie wolno ci narażać się na ryzyko kontroli i być może demaskacji. Ty nie żyjesz. Nawet bardzo nie żyjesz i dla naszej sprawy najlepiej będzie utrzymywać świat w tym przekonaniu.

Mossman mówił zwrócony do Oxena, a gdy skończył, ten nic nie powiedział, lecz spokojnie pokiwał głową. Na koniec ponownie zwrócił się do niej:

— A co do ciebie, gdybyś potrzebowała wsparcia, to bez problemu da się załatwić.

— Świetnie — odparła.

— Mam znajomego w Centro Nacional de Inteligencia. Jutro rano do niego zadzwonię i zobaczymy, jak może pomóc. Może wystarczy, jeśli wyznaczy ci któregoś z miejscowych policjantów. Nie możesz przecież stanąć w czyimś ogródku z łopata i zapytać, czy możesz sobie pokopać.

Mossman parsknął. Dyskretnie mu się przyjrzała. Ponury wyraz twarzy zniknął bez śladu. Wyglądał na zadowolonego i rwącego się do akcji. Głównie to ostatnie. Był dokładnie taki, jakim go znała, gdy był jej wszechwładnym szefem.

— I jeszcze jedno, Margrethe... To była cholernie dobra robota.

Były szef wywiadu z uznaniem pokiwał głową. Oxen zrobił to samo.

— Z samego rana zorientuję się, jak najszybciej się tam dostać. Muszę też zadzwonić do Netto i przedłużyć zwolnienie.

Gdy ich spotkanie dobiegało końca, spojrzął na zegarek. Siedzieli w tej piwnicy od niemal trzech godzin. Bardzo już pragnął wyjść na świeże powietrze, zanurzyć się w ciemności. Przez chwilę próbował sobie wyobrazić, co też Pastor i jego żona mogą teraz robić w swoim domu na plebanii. Może siedzą w kuchni i zastanawiają się, jak się potoczą losy ich gościa, który nie dał się namówić na dłuższy pobyt?

Margrethe Franck zadała szereg pytań odnośnie do dwóch starych spraw Mossmana — sprawy Gregersena i Ryttingera. Uprzedziła, że nie zdążyła dokładniej się im przyjrzeć, bo nagle pojawiło się trzydzieści dziewięć listów. Mimo to w swoim notesie zapisała całą listę pytań. Wszystkie miały charakter wyjaśniający.

Dotyczyły między innymi członków parlamentarnego klubu socjaldemokratów i różnych komisji działających w chwili samobójstwa Gunnara Gregersena. Ale chciała uzyskać informacje również na temat rozmaitych postaci świata biznesu oraz członków zarządu koncernu Ryttinger Jernindustri w chwili zabójstwa Karla-Erika Ryttingera. A także o tym, kto z nich został przesłuchany i dlaczego.

Jej pytania były precyzyjne. Bo tak właśnie pracowała Margrethe Franck. Skupiona i drobiazgowa.

Przez cały czas uważnie jej słuchał. Zastanawiał się, co ewentualnie może znaleźć na końcu hiszpańskiej tęczy. I czy znalezisko rzeczywiście okaże się realnym tropem, za którym będą mogli podążać. Myślał też o wizerunku Johna Smitha pokazywanym dyskretnie w rozmaitych londyńskich klubach i pubach, gdzie ludzie wywiadu spotykali się na drinka.

Obaj z Mossmanem adres po adresie przedstawili pokrótce efekty swojej pracy. Kto został wykreślony z listy i dlaczego? Czy

pojawił się ktoś szczególnie interesujący?

Każdy z nich miał do sprawdzenia czterdzieści dwie posiadłości. Mossman pracował intensywnie — i oczywiście z większą wprawą niż on. Były szef wywiadu wykreślił ze swojej listy aż osiemnaście pozycji. Jemu udało się wyeliminować tylko czternaście. To oznaczało, że pozostały im pięćdziesiąt dwie.

Mossman wydawał się jednak zadowolony z pierwszych efektów ich wspólnej pracy.

— Jeśli to wszystko, to chciałabym już wracać do domu — powiedziała Franck i wstała z miejsca. — Jutro rano muszę sporo pozałatwiać. Mossman, dasz mi znać, kiedy porozmawiasz ze swoim znajomym na miejscu?

— Nie. Wyślij mi tylko esemesa z godziną przylotu do Malagi. To wszystko, czego potrzebuję. Ktoś odbierze cię z lotniska. Na koniec dwie rzeczy: Oxen, znalazłeś już nowe lokum?

Pokręcił głową.

— Ostatnio obiecałem, że się rozejrzę. Tu masz adres starszej pani, którą widuję niemal co drugi dzień, jak wychodzę z psem. Spacerujemy tymi samymi alejkami. To wdowa i ma wolny pokój w piwnicy. Jeśli chcesz, możesz się wprowadzić od jutra.

Axel Mossman wręczył mu kartkę z odręcznie napisanym nazwiskiem i adresem.

— I jeszcze to — już na sam koniec.

Mossman sięgnął po leżące na stole czarne pudełko i mu je wręczył. Było rozmiarów pojemnika na kanapki.

— Mały prezent od mojego dobrego znajomego z Five. Pełny zestaw podsłuchów. Maleńkich uszu gotowych do rozmieszczenia. Otwórz — zachęcił Mossman.

Pudełko było cięższe, niż sugerowałyby rozmiar. Wcisnął mały guzik, by otworzyć wieczko. Wnętrze było wyłożone styropianem. Leżały w nim cztery maleńkie urządzenia, każde w osobnym zagłębieniu, i do tego jeden większy, podłużny przedmiot z czarnego, twardego plastiku. Wyłuskał jedno z miniaturowych

urządzeń i położył sobie na dłoni. Było okrągłe i wielkości połowy paznokcia małego palca.

— Jest do tego jakaś instrukcja? — spytał.

— Na dnie pudełka. Pod styropianem. Słodkie, prawda? Ciekawe jest to, że te cztery małe ustrojstwa są przeznaczone do montowania na szkle. I to od zewnątrz. Są pomocne w sytuacjach, gdy nie możesz albo nie chcesz przedostać się do środka. Zamontowane w nich mikrofony są *outstanding*. Wyłapią beknięcie mrówki... A to czarne to jednocześnie odbiornik i twardy dysk. Ma pojemność jednego terabajta. Zestaw jest napędzany wysokowydajnymi bateriami. Mocy starczy standardowo na cztery tygodnie dla mikrofonów i mniej więcej tyle samo dla odbiornika. Na marginesie dodam, że nie jest to tania zabawka...

Odłożył mikrofon na miejsce i zamknął pudełko. Mossman mówił dalej:

— Twoim zadaniem będzie zamontować te nadajniki w oknach mieszkania Villuma w Tuborg Havn. Oraz dobrze ukryć odbiornik. Dasz radę się tym zająć którejs ciemnej nocy, żołnierzu?

Rozdział 44.

Wieki trwało, nim światło zmieniło się na zielone. Na odcinku drogi objętym ruchem wahadłowym przejechały w tym czasie cztery puste ciężarówki w kierunku przeciwnym. Po co w ogóle postawili światła na małej, nieważnej uliczce?

Odpowiedź poznał, gdy chwilę później przejechał przez most nad Kanałem Manchesterskim. Most był bowiem tak wąski, że dwa pojazdy nie mogłyby by się wyminąć.

Po drugiej stronie mostu trzy ciężarówki stały na czerwonym. Przejechał wolno jakieś sto metrów i odbił w lewo, gdzie na poboczu, przy zielonym skwerku z ławkami i tablicą informacyjną, wypatrzył wolne miejsce. To tu się umówili.

Wysiadł z samochodu. Teraz w pełni docenił sens tymczasowej sygnalizacji i powód natężenia ciężkiego ruchu. Wyżej w górę rzeki kładziono fundamenty pod filary nowego, ogromnego mostu na wysokości Runcorn. Przypomniawszy sobie, że słyszał o tym projekcie.

Usiadł na ławce. Tu akurat Mersey płynęła naprawdę szeroko. Choć teraz, gdzie tylko spojrzął, wszędzie było błoto. Zdecydowanie więcej błota niż wody. Za jego plecami dwie ciężarówki w chmurze spalin przyśpieszyły w kierunku przeprawy mostowej. Cholernie dobre miejsce na spotkanie.

Spojrzał na zegarek. Koleś powinien już tu być. Czemu ludzie nie dotrzymują umów?

Zrobił tak, jak miał zrobić. Rozkazy szły przez Eddy'ego Rileya, z którym się spotkał w przystani w Liverpoolu. Riley skontaktował go z gościem, na którego właśnie czekał. Niejakim Jimmym Marshem, pracującym na posterunku w Runcorn. Prowincjonalny glina o nosowym głosie. Rozmawiał z nim przez telefon, streścił, o co chodzi, i umówił się na spotkanie.

Na szczęście mógł sobie pozwolić, by pójść za głosem intuicji i pogrzebać jeszcze w sprawie MacDuffa. Z ostateczną odpowiedzią w sprawie zlecenia w Sierra Leone nie musiał się śpieszyć.

Sierra Leone. Kurwa. Jakby wpuścić ze dwa hipki, na brzegu postawić niemrawe zebry, żeby poskubały trawę, i stado flamingów po kolana w wodzie, to ten kanał też mógłby robić za cholerną Afrykę, którą niestety zdołał poznać aż za dobrze.

Brakowałyby tylko głębokich śladów ciężkich krokodylich łap w połyskującym w słońcu błocie. Chociaż czy na pewno by brakowało? Tego właśnie musiał się dowiedzieć, by móc spokojnie zasnąć. Czy to nie jakiś krokodyl zabójca zaczął się na Alistaira MacDuffa?

Za jego plecami trzasnęły drzwi samochodu, więc się obejrzał. Jego człowiek przyjechał. Policjant z Runcorn był bardziej nieśmiały niż jego kolega z komendy w Liverpoolu. Niemal się do niego zakradał.

— John Smith. A ty musisz być Jimmy?

Policjant, który mógł być tuż po trzydziestce, przytaknął, podał mu rękę i usiadł.

— Masz ten komputer?

Jimmy pokręcił głową i nerwowo pocierał dłońmi o uda.

— Nie. Zmieniłem zdanie. Nie mogę tego zrobić. Nie jestem złodziejem. Chcę...

— Kurwa, przecież się umówiliśmy! Myślisz, że po co tu siedzę?

— Czekał... — Jimmy Marsh włożył rękę do kieszeni spodni. — Trzymaj. To do tylnych drzwi.

Wepchnął mu do ręki klucz.

— I co niby mam z tym zrobić?

Mężczyzna odchrząknął przez nos i wyjaśnił:

— Zaczekaj, aż się ściemni. Wtedy wejdź do środka, rozejrzyj się. Rób, co chcesz — weź komputer, weź, co tylko zechcesz.

Tylko zabierz też ekran. Gdyby ktoś od nas miał tam wejść się rozejrzeć, głupio to będzie wyglądało, jak będzie stał sam ekran.

Siedział i patrzył w milczeniu na klucz w swojej dłoni. Gość z Runcorn poruszył się niecierpliwie.

— Czyli sam mam się tam włamać i zabrać to, czego potrzebuję, tak?

— Dokładnie. Ja nie chcę nic stamtąd wynosić, ale pomogę ci. To samo powiedziałem Eddy'emu. Jeśli nie chcesz tego klucza, to chcę go z powrotem.

Jimmy Marsh wyciągnął rękę i pokazał, że mimo wszystko ma jaja. Wyglądało na to, że nie ma wyjścia.

— Moim zdaniem to dokładnie to samo — czy przywiózłbyś mi po prostu ten cholerny komputer, czy tylko klucz do mieszkania. Ale okej, niech ci będzie... sam po niego pójde.

— Jego tylne podwórko wygląda jak złomowisko. Jak będziesz wychodził, zostaw klucz pod konewką, dobra?

— Dobra. Byłeś w zespole, który badał tę sprawę?

Marsh przytaknął.

— Sprawdzaliśmy ten zgon w kilka osób. Trochę się zmienialiśmy.

— I nic podejrzanego?

— Nic. Ani żadnych śladów, by w mieszkaniu był ktoś poza MacDuffem. A do zbrodni trzeba dwojga, jeśli to ci chodzi po głowie.

Pokiwał tylko głową i postanowił zignorować protekcyjny ton. Zamiast tego zapytał:

— Czyli nie konsultowaliście sprawy z żadnym z waszych biegłych? Doświadczony żołnierz spada ze schodów i łamie kark. Nie wydaje ci się to dziwne?

— Ani trochę. Masz pojęcie, jak często ludzie doznają śmiertelnych urazów we własnych domach? Otóż bardzo często... Byłem raz na oględzinach u starszej pani, która przewróciła się

w kuchni i wbiła sobie w brzuch widelec do mięsa. I się zabiła.

— Więc mówisz, że nie da się załatwić, żeby ktoś jeszcze raz otworzył teczkę z dowodami?

Jimmy Marsh popatrzył na niego jak na debila.

— Czy tobie się wydaje, że Winsford przyjedzie na sygnale, bo komuś cholerna intuicja podpowiada, że coś tu nie gra? Otóż nie. To tak nie działa. Wydział zabójstw w Winsfordzie włącza się tylko, gdy coś naprawdę, konkretnie nie gra. Nie mamy środków, by sprawdzać przeczucia.

Jimmy Marsh brzmiał tak szorstko, jak tylko pozwalał na to jego nosowy głos, ale dłońmi wciąż pocierał nerwowo o materiał spodni.

— Pójdę tam dziś wieczorem i odłożę klucz na miejsce.

— Możesz przejrzeć całe mieszkanie, ale postaraj się nie nabałaganić.

Przytaknął i wyjął zwitek banknotów. Tysiąc funtów na raz to sporo — a jednocześnie całkiem w porządku. To była szczególna przysługa. Kupował sobie dostęp do obszaru zakazanego. A hierarchia dowodzenia oznaczała zapewne, że Marsh musiał odpalić prowizję Rileyowi.

Wręczył zwitek młodemu policjantowi.

— Proszę. Tak jak się umawialiśmy.

Rozdział 45.

To był jeden z tych dni, kiedy z radością włożyłaby szorty, gdyby nie to, że brakowało jej nogi.

Choć nie było jeszcze południa, powietrze było już całkiem nagrzane. Na Costa del Sol, gdzie nawet wiosną zdarzały się upały, zapowiadał się gorący dzień.

Wiele barier już przełamała, odkąd straciła nogę. Wewnętrzną podróż i walkę ze stresem pourazowym miała już dawno za sobą, a ciężki bagaż tamtych doświadczeń schowała na dno szafy. Zdarzały się jeszcze pojedyncze migawki, ale z nimi nauczyła się żyć.

W tym czasie zmieniło się niemal wszystko. Odzyskała siły — i nabrała większej ostrości widzenia. Lecz mimo wszystko pozostała kaleką — bez względu na to, jak bardzo zaawansowaną miała protezę i jak bardzo raz po raz udawadniała sobie samej, że wcale tak nie jest. I pozostała jedna bariera, której nie udało jej się pokonać: od chwili, w której się obudziła w szpitalu i odsunęła kołdrę, nie włożyła szortów.

Siedziała oparta plecami o fasadę, a kelner właśnie postawił kawę na okrągłym stoliku na tarasie przy głównym wejściu hotelu. Casa Consistorial to piękny hotel w klasycznym hiszpańskim stylu, z białymi gzymsami, balkonami i narożnymi wieżyczkami. Stała przy niewielkim placu wyłożonym płytkami i otoczonym niskimi drzewami. Urocza oaza wciśnięta była w historyczną zabudowę Fuengirolí, sennego niegdyś miasteczka, w którym życie w ostatnich latach wyraźnie nabierało tempa.

Wzięła głęboki wdech. Netto było daleko stąd, a jeszcze dalej były stosy brudnych talerzy w hotelowych katakumbach. Skosztowała kawy. Była doskonała.

W tej konkretnej chwili niemal fizycznie czuła, że żyje. Że znów

ma kontrolę nad swoim życiem. I że ono jest warte zachodu. Tylko od niej zależy, czy to poczucie utrzyma się dłużej niż kilka zerwanych kartek z hiszpańskiego kalendarza. Odpowiedź czeka na końcu tęczy. A jeśli zawali — na końcu taśmy przy kasie.

Czekała na Jesúsa Molinę, któremu polecono usuwać każdą najmniejszą przeszkodę na jej drodze. Starszy pracownik służby wywiadowczej o ogorzałej twarzy zgodnie z zapowiedzią czekał na nią wczoraj na lotnisku.

W czasie jazdy rozmawiał z nią głównie krótkimi, pojedynczymi zdaniem, choć od chwili, gdy uścisnęli sobie dłonie, jej hiszpański sprawdzał się całkiem nieźle, nawet jeśli odrobinę zardzewiał.

Gdy zamierzała opowiedzieć mu szczegóły swojego zadania, uśmiechnął się tylko wyrozumiale i uniósłszy ręce nad kierownicę, powiedział: „Nie ma sprawy, wszystko już wiem”.

Jesús wysadził ją przed hotelem i poinformował, że przyjedzie po nią następnego dnia o dziesiątej rano.

Pomimo jego wczorajszych zapewnień, że zna jej grafik, i tak zaczynała się rozkręcać w złośliwych spekulacjach, ile dodatkowych godzin przyjdzie jej czekać i jak bardzo jej towarzysz wszystko spieprzy przez typowe dla południowców bez troskie podejście do zegarka, kiedy swoim zdezelowanym seatem podjechał pod główne wejście.

Spojrzała na zegarek. Było przed dziesiątą... Jesús Molina był nadpunktualny.

— *Buenos dias, señora Franck.*

Hiszpan wysiadł, podał jej rękę i grzecznie się uśmiechnął. Miał na sobie tę samą poplamioną skórzaną kurtkę co wczoraj, ale zmienił koszulę. Machnął do niej, by poszła za nim, i otworzył bagażnik. Wewnątrz były dwie łopaty, dwie pary kaloszy, termos i dwie duże butelki wody.

— Proszę się nie martwić, señora Franck. Powiadomiłem właścicieli domu o naszej wizycie — zapewnił.

— Świetnie. Proszę mi mówić Margrethe.

Gdy tylko to powiedziała, poczuła zażenowanie i obiecała sobie na przyszłość powstrzymać się przed narzucaniem mu swojej duńskiej nonszalancji. Gdzieś bowiem słyszała, że Hiszpanie — inaczej niż Duńczycy — potrafią skutecznie zarządzać służbą zdrowia, kierować ruchem kolejowym, utrzymywać drogi w należyłym stanie i wychowywać młodzież tak, by nie zalewała się w trupa w każdy piątek i sobotę i obsikiwała wszystkie kąty w centrum miasta.

Miała właśnie załagodzić swojej przyzwoitce ze służb wywiadowczych to *faux pas* jakąś szczególnie uprzejmą uwagą, kiedy sobie uświadomiła, że on w ogóle się nie zorientował, że palnęła gafę.

— Ruszajmy zatem — mruknął tylko i wyprowadził ich rozmowę z zakazanego terytorium. — Kalosze pożyczyłem od żony. Mam nadzieję, że będą pasować.

Molina sprawnie lawirował w labiryncie wąskich uliczek, które stopniowo, im bardziej oddalali się od wybrzeża, zmieniały się w normalne drogi.

— Ludzie cię tu znają?

— *Si, si...* Urodziłem się tu i wychowałem. W starej części miasta. Dziś mieszkam z rodziną w Maladze. Tam mieści się nasz wydział.

— Ale przyjeżdżasz tu czasem? Twoi rodzice tu mieszkają? — Była mu winna jakieś zainteresowanie.

— Tato umarł wiele lat temu. Mama mieszka z nami, ale dalej mam tu trochę rodziny.

Pokiwała głową i się uśmiechnęła.

Wciąż jechali pod górę. Teraz wzgórza robiły się naprawdę strome. Już wcześniej zorientowała się w terenie, żeby znaleźć właściwy adres. Okolica nazywała się Mijas Costa, choć tak naprawdę rozrastała się wraz z Fuengirolą. Wszystko tu najwyraźniej było ze sobą mniej więcej zrośnięte.

— To już niedaleko — powiedział Molina, po czym zamilkł

i głową wskazał na prawo.

Z boku drogi stał rodzaj ozdobnego znaku oznaczającego wjazd do miasta. Był to w zasadzie mały pomnik z drobnych kamieni zwieńczony dachówką. Widniał na nim herb z kolorowych kafelków, a poniżej dużymi literami napis „La Sierrezuela”. Jeszcze niżej wymieniono nazwy czterech dzielnic: Las Mercedes, Sierrezuela Park, Los Reyes i Hill Club.

Jesús Molina najwyraźniej wpisał adres w swoim telefonie, bo natychmiast odezwał się mechaniczny kobiecy głos z dalszymi wskazówkami.

— To modna okolica. Może nie jest tu luksusowo, ale za to bardzo przyjemnie. Część zabudowy to domy jednorodzinne, trochę bliźniaków, ale głównie wille. Im wyżej, tym droższe. W każdym razie te od strony morza — wyjaśnił i dodał gazu.

Pięli się krętymi drogami w górę zbocza. Wysokie mury odcinały liczne wąskie uliczki i całkiem zasłaniały widok na miasto.

W dwóch miejscach, gdzie drogi się krzyżowały, Molina posłuchał wskazówek GPS-u i po kilku minutach skręcił w prawo. Głową wskazał numer na murze i pojechał dalej wyłożonym flizami podjazdem.

— Państwo Stewart. Z Anglii... Wiedziałaś?

Pokręciła głową.

— Nie miałam czasu dokładnie się zorientować. Mam tylko adres — odparła.

— Po Duńczykach dom należał do jeszcze innej pary — relacjonował spokojnym głosem Molina. — Norwegów. Mieli go tylko przez trzy lata, zanim go sprzedali Stewartom.

Molina nie przestawał jej zaskakiwać. Spodziewała się, że Mossman przekaże jasne instrukcje osobie, która przyjmie tę dodatkową fuchę, ale nie liczyła na tak solidnie przygotowaną asystę.

Jej opiekun zaparkował na placyku przed głównym wejściem. Wyszli i rozejrzeli się wokół. W dole połyskiwało Morze

Śródziemne i wyglądało jak wąski, niebieski bieżnik spowity lekką mgiełką. Ogród był ogromny i otoczony murem w kolorze ochry, ledwo widocznym zza krzewów, niskich palm i innych egzotycznych roślin.

Trawnik przypominał pole golfowe, a jego krawędzie były równe jak od linijki. Odwróciła się, by spojrzeć na dom. Elewacja była w tym samym kolorze co ogrodzenie ogrodu. Dom był duży, dwupiętrowy. Na pierwszym piętrze miał balkon z piękną, białą balustradą. Okna również były białe i obramowane klasycznymi, ciemnozielonymi okiennicami.

Ponownie spojrzała na rośliny i rabaty ciągnące się wzdłuż murku. Przejrzała w internecie niezliczone zdjęcia satelitarne ogrodu. Po tej stronie domu nie było żadnych jaśminów. Bała się nawet o tym myśleć. Jeśli Norwegowie albo Anglicy przekopali ogród, nic nie dziają.

Drzwi się otwarły i na spotkanie wyszła im para, na oko koło siedemdziesiątki. Oboje opaleni. I oboje ubrani w białe szorty i koszulki polo. Przywitali się i podali im ręce. Molina się przedstawił.

— Powiedziano nam tylko tyle, że chodzi o jakieś śledztwo w naszym ogródku — powiedział mężczyzna, który miał na imię Paul. — Nic więcej nie wiemy.

Margrethe wyjaśniła, że reprezentuje krewną duńskiej rodziny, do której dawniej należał ich dom. I że ma uzasadnione podejrzenie, że owa Dunka, która mieszkała tu z mężem jakieś dziesięć lat temu, zanim oboje zginęli w wypadku samochodowym, zakopała coś w ogrodzie, i że chcą spróbować to coś znaleźć.

— Ogród jest bardzo duży... — zauważyła Alice Stewart.

— Wiemy, że kobieta zakopała to pod krzewem jaśminu.

— Jaśminu? Ależ tak, mamy jaśmin! Duży i piękny, rozsiewa najcudowniejszą woń. Chodźcie, zaprowadzę was! To po drugiej stronie. — Gospodyni wyraźnie ucieszyła się, że jednak może pomóc.

Molina wyjął z bagażnika sprzęt i ruszyli za małżeństwem na tyły domu, gdzie znajdowała się druga, mniejsza część ogrodu. Wychodził na nią wielki taras z podwójnymi drzwiami. Wokół małego stolika z ciemnego drewna stały krzesła ogrodowe. Obok tarasu, przy ścianie domu stała szeroka, biała ławka.

— Tam jest. — Pani Steward z dumą pokazała im krzew.

Jaśmin rósł przy samym murze. Był duży i bujny. Wszystko nagle nabrało większego sensu. Może to na tej białej ławce Sigrid Ryttinger Bulbjerg przesiadywała do późnej nocy, pisała listy do siostry i czuła się niepozorna pod gwieździstym niebem?

Stanęli wszyscy pod jaśminem.

— Niestety, musimy tu trochę rozkopać — powiedziała przepraszająco Margrethe. — Oczywiście zrekompensuję państwu szkody. I będziemy uważać na korzenie.

Paul Stewart machnął tylko ręką.

— Dajcie spokój, nic mu nie będzie. Ważne, żebyście nie rozkopywali trawnika... A można zapytać, co takiego spodziewacie się znaleźć?

— Coś, co być może da się powiązać ze śmiercią tamtej duńskiej pary — wyjaśnił Molina, ścisząc poufnie głos.

— Więc to dlatego przysłali pana z wywiadu? — Alice Stewart była wyraźnie przejęta.

Molina tylko pokiwał tajemniczo głową. Jej praktycznie myślący pomocnik bez dalszych wyjaśnień zakończył rozmowę. Po czym schował do bagażnika swoją znoszoną kurtkę i podał łopatę Margrethe, puszczając jej dyskretnie oko.

Molina z całą pewnością nie był w swojej organizacji człowiekiem od roboty fizycznej i rozwiązań siłowych, ale podszedł do sprawy ze spokojem i z powagą. I dobrze się przygotował.

Pierwszy wbił łopatę w ziemię przed jaśminem. A potem wbił ją raz jeszcze i kolejny. Ona zaczęła z drugiej strony. Alice i Paul najwyraźniej nie zamierzali zostawić ich samych.

W końcu Molina oparł się na łopacie i spojrzął na nich.

— Myślę, że to znacznie ułatwi sprawę, jeśli państwo będziecie tak mili... — Głową wskazał na taras. — Nikt z nas nie wie, co możemy znaleźć. Tak będzie najlepiej.

— Ależ tak, oczywiście — zreflektowała się Alice i szarpnęła męża za spodenki.

— Zdecydowanie lepiej się pracuje bez ciekawskich spojrzeń — skomentowała Margrethe i uśmiechnęła się do Moliny, kiedy sobie poszli.

— Dokładnie, señora Franck. Samo kopanie to wystarczająco ciężka robota. Gdyby do tego mieli nam stać...

— Margrethe... — przypomniała mu mimowolnie.

Jesús Molina pokiwał głową, uśmiechnął się i ponownie chwycił łopatę.

Pracowali półtorej godziny. Wykopali półkolisty pas szeroki na ponad metr i głęboki na niecałe pół metra od muru po jednej stronie krzewu aż do muru po drugiej stronie.

W tym czasie wiele razy zdążyła mu opowiedzieć, co dokładnie Sigrid napisała w liście do swojej siostry w Danii. Że skarb leży na końcu tęczy. A tęcza kończy się dokładnie tu, w ogrodzie, u stóp jej jaśminu.

— Cholera jasna!

Z wściekłością rzuciła łopatę i usiadła na trawie. Pot lał się z niej strumieniami. Molina już dawno zdjął koszulę. Poszedł za jej przykładem i też usiadł.

Stewartowie zerkali na nich z tarasu, na który co jakiś czas wychodzili podglądać poszukiwaczy skarbu wśród rosnących kopców ziemi.

Nic — absolutnie nic — nie zostało zakopane na końcu cholernej, pieprzonej tęczy w pobliżu zasranego jaśminu...

Zbłądziła się. Popelniła błąd.

Cała zwycięska wyprawa zmieniła się w jedno wielkie fiasko. Wszystkie jej nadzieje powoli oddalały się na taśmie przy kasie. Ich wielka wygrana okazała się pudłem.

— Przekopaliśmy wszystko dookoła. Nic tu nie znajdziemy, Margrethe — powiedział ostrożnie Jesús.

Rozłożyła ręce bezradnie i pokręciła głową.

— Przepraszam... *Pomyliłam się...* A byłam taka pewna...

— Co teraz? — westchnął jej towarzysz.

— Mówiąc szczerze, byłam taka pewna, że nie mam żadnego planu awaryjnego. Mam listę najbliższych przyjaciół Bulbjergów. Chciałabym z nimi porozmawiać. Co mi szkodzi, skoro już tu jestem?

Paul Stewart przyniósł im dwie butelki schłodzonej wody.

— Proszę. I co, poddaliście się? Żadnego ukrytego skarbu?

Pokręciła głową, jednocześnie wlewając w siebie wodę długim łykiem.

— Żadnego. Kończymy.

— Przyślę oczywiście kogoś, żeby po nas posprzątał — powiedział Molina. — Może mój wujek będzie mógł to dla nas zrobić. Mieszka dziesięć minut stąd wzdłuż wybrzeża.

— Bo wiecie, tak się z żoną zastanawialiśmy nad jedną sprawą... — zagaił Anglik.

Oboje spojrzeli na niego.

— No więc sporadycznie kontaktujemy się z tą norweską parą, od której kupiliśmy dom. Żal im było go sprzedawać, ale zatęsknili za ojczyzną. Raz w roku do siebie piszemy, w okolicach Bożego Narodzenia. My piszemy, że dom wciąż ma się dobrze, a oni nam, że tęsknią za tutejszą pogodą. I tak co roku... Więc mamy ich adres. Bo w sumie *nie wiemy*, czy zmieniali coś w ogrodzie. Czy robili coś przy tym krzewie albo czy go nie przenieśli. Jeśli wywiad jest zainteresowany sprawą, to mogę zadzwonić do Norwegii i zapytać.

Molina spojrział na Margrethe, a ta natychmiast pokiwała głową.

— Tak, wywiad chciałby, żeby pan zadzwonił — odparł Molina.

— On ma rację. Ale szczerze mówiąc, nie sędzę, aby to coś dało — powiedziała, gdy pan Stewart się oddalił.

— Więc chcesz zacząć przerabiać listę?

Przytaknęła i dopiła wodę do końca.

— Pomogę ci znaleźć tych ludzi — zaoferował się jej pomocnik.

— Niektórzy mieszkają w tej dzielnicy. Dwoje to sąsiedzi. Umówmy się z nimi, a potem wracajmy do hotelu. Muszę się wykapać i włożyć suche ubranie.

— Dobra myśl. Ja się przebiorę u wujka.

Siedzieli i w milczeniu przyglądali się kopczykom czerwonobrazowej ziemi. Pomyślała, że przynajmniej nie musi zasypywać tej dziury. Nogawka jej się podniosła i pokazał się kawałek piekielnie drogiego ultralekkiego metalu na wysokości łydki. Zauważyła, że Molina to dostrzegł, ale nic nie powiedział.

Musiła też zmienić sobie skarpetę kikutową, która była do wykręcenia. Lej protezy bardzo ją uwierał przez ciężką pracę w upale.

Długa kąpiel — w lodowatej wodzie na początek — może na nowo pobudzi jej zwoje mózgowe. Dobrze, że zabrała ze sobą korespondencję Sigrid. Wieczorem jeszcze raz przejrzy listy.

Paul Stewart ponownie zjawił się na tarasie. Próbowała wyczytać coś z jego twarzy — czy jest nadzieja? Anglik zszedł do nich i usiadł na trawniku.

— Niestety... Rozmawiałem z Gunnarem, a on dla pewności spytał jeszcze żonę. W czasie gdy dom był ich własnością, nic w ogrodzie nie zmieniali. Oboje pamiętają jaśmin... uwielbiali go.

Rozdział 46.

Modne bloki stały w równych rzędach jak flota białych okrętów zakotwiczona w Tuborg Havn. Większe, fregaty, stały po prawej stronie małej alejki. W sumie pięć. Trzy środkowe stały w jednej linii, czwarty przełamывał symetrię i stał niemal po skosie. Piąty był gotów do zwodowania, dziobem zwrócony ku wodzie.

Przy wejściu do ostatniej klatki najbardziej wysuniętego budynku, na trawniku kręcił się ogrodnik, wyrывał chwasty. Był wysoki, szczupły i ubrany w zielone robocze spodnie, zieloną kurtkę i zielony kaszkiet. Pracował we własnym, spokojnym tempie.

Pewnie nieliczni zwróciliby uwagę, że na plecach kurtki nie widnieje nazwa żadnej firmy, choć cały strój był w kolorze, w jakim zwykli pracować ogrodnicy.

Mężczyzna miał ze sobą sekator, miotłę i taczki. Miał też mały chlebak z drugim śniadaniem i termos z kawą. Torba i termos wisały na rączkach taczek.

W tej enklawie luksusu zjawił się jakąś godzinę temu. Przyjechał samochodem dostawczym, również bez nazwy firmy. Zostawił go w zatoczce obok pierwszego z budynków, po czym chodnikiem ruszył z tawką w stronę wody.

Dochodziło południe. Między blokami kręcili się tylko nieliczni mieszkańcy.

Zamek był elektroniczny i technologicznie zaawansowany. Wykluczone, by dało się go złamać. Przypomnił sobie, że Margrethe dostała się do środka, bo uśmiechnęła się czarująco do jakiegoś faceta i zjawiła się pod drzwiami w tej samej sekundzie co on. To było wieki temu. Tamtego wieczora, leżąc na dachu, zawieszoną na taśmie klejącej komórką sfilmowała to, co się

działo w mieszkaniu na ostatnim piętrze.

Jako mężczyzna nie miał szans na powtórzenie jej triku. A na pewno nie teraz. Wiele godzin poświęcił na rozpoznanie terenu. W ostatnich miesiącach wielokrotnie włamywano się do piwnic w białych blokach w porcie Tuborg. Niektórych złodziei uchwyciły kamery, jak pośpiesznie wymykali się przez elektryczną bramę przy wjeździe do podziemnych parkingów, kiedy mieszkańcy otwierali ją, by dostać się do środka.

Wspólnoty mieszkaniowe apelowały o czujność i informowanie ochrony w razie zaobserwowania w okolicy podejrzanych osób. Ubrany na zielono ogrodnik nie był podejrzany. Tak przynajmniej rozumował.

Podszedł również pod drzwi i z bliska obejrzał zamek. Wniosek: kiedy przyjdzie zamontować mikrofony w oknach penthousu Grund-Löwenberga, do budynku będzie musiał się dostać inną drogą.

Dzisiejsza misja z użyciem sekatora i taczek miała na celu dokładne rozpoznanie możliwych dróg wejścia do pierwszego z budynków. Jak się dostać na dach? I jak maksymalnie ograniczyć ryzyko?

Dokończył pielenie i przeniósł się ze swoim sprzętem do ściany szczytowej, by sprawdzić, czy dałoby się wspiąć na szóste piętro po balkonach i z uprzężą. Zamierzał też sprawdzić możliwość wejścia przez piwnicę, ale dopiero później. Tymczasem wydawało się, że będzie to trudne.

Jutro przejdzie do dzieła. Jeśli mały dinks przyklejony do dużego okna może mu pomóc odzyskać życie, to na co czekać?

Rozdział 47.

Trzecie małżeństwo na liście Benedicte Bjørk miało być ostatnim, które dziś odwiedzą na zboczach La Sierrezueli. Więcej nie zdążą. I tak było już późno, gdy zadzwoniła do drzwi białej willi.

Małżeństwo pochodziło ze Szwecji. Lilly i Mats Johanssonowie. Mieszkali kawałek niżej przy tej samej ulicy. Spotkanie umówiła, zanim pojechała się wykąpać i przebrać.

W ciele nadal czuła ciężką pracę w ogrodzie i doskwierał jej ból, gdy obciążała nogę z protezą. Molina stał spokojnie z tyłu. Przebrał się u swojego wujka i miał na sobie jasnoniebieską koszulę o dwa rozmiary za dużą. Śpieszył się do domu na urodziny swojego starszego syna.

Drzwi otworzyła pani domu. Poprowadziła ich przez cały dom na zadaszony taras.

— Uwielbiamy tutejszy klimat, ale wolimy siedzieć w cieniu — zaśmiał się Mats, który okazał się być korpulentnym mężczyzną koło siedemdziesiątki.

Kiedy umawiała się z nimi na to spotkanie, wyjaśniła, że chce porozmawiać o duńskim małżeństwie, które zginęło w wypadku wiele lat temu.

Dwie pierwsze popołudniowe rozmowy były zbyt długie i na nic się nie zdały. Trudno jest pytać o coś, o czym samemu wie się niewiele. Wiedziała natomiast, że nie interesowały jej relacje między Bulbjergami, ich losy ani hiszpańskie anegdoty.

Interesowała ją wyłącznie Sigrid. Ona, jej przemyślenia i życie wewnętrzne.

Nie powiedziała o tym pierwszym dwóm parom — duńskiej i norweskiej. Po Johanssonach miała na liście jeszcze cztery małżeństwa — wszystkie z Danii, a na koniec ogrodnika i pomoc domową. Ich będzie trzeba zostawić na następny dzień.

Usiedli na tarasie przy stole ogrodowym, pani Johansson nalała wszystkim kawy. Margrethe postanowiła, że tym razem od razu przejdzie do sedna.

— Jak wspominałam, nazywam się Margrethe Franck, a to jest Jesús Molina z hiszpańskiej służby wywiadowczej, Centro Nacional de Inteligencia. Reprezentuję rodzinę Bulbjergów, a raczej Ryttingerów, bo to siostra Sigrid mnie tu przysłała.

W ostatnim zdaniu nieco mijała się z prawdą, ale liczyła, że wzbudzi tym większe zrozumienie.

— Tak, posługiwali się nazwiskiem Bulbjerg, ale pamiętam również to drugie nazwisko — powiedział Johansson, a jego żona pokiwała głową twierdząco.

— Jestem tu dlatego, że istnieje uzasadnione podejrzenie, że wypadek, w którym zginęli państwa znajomi, został zaaranżowany. Niewykluczone, że ich zmuszono, by zjechali z autostrady.

— *Wielkie nieba!* Ale dlaczego? — Lilly Johansson wyglądała na wstrząśniętą.

— Tego właśnie chcę się dowiedzieć. Czy wiedzieli państwo, że ojciec Sigrid przed wieloma laty został zamordowany przez włamywacza? Był bardzo majątnym człowiekiem.

Szwedzi pokręcili głowami.

— Nie, nigdy o tym nie wspominała. Taką historię na pewno bym zapamiętała. Dziwne, wydawało mi się, że blisko się przyjaźniłyśmy... — Pani Johansson wydawała się nieco rozczarowana tą wiadomością.

— Możliwe — i podkreślam, że to tylko domysły — że Sigrid w tajemnicy prowadziła własne śledztwo w sprawie śmierci ojca. Możliwe, że na coś trafiła. Że znalazła coś, czego nie powinna była ruszać. Rozumieją państwo?

Johanssonowie energicznie potaknęli.

— I tu właśnie chciałabym państwa prosić, byście spróbowali poszukać w swoich wspomnieniach. Czy Sigrid kiedykolwiek

powiedziała coś, co mogłoby na to wskazywać? Coś, co was zastanowiło? Czy kiedykolwiek pokazała, że się czegoś boi? Że skrywa jakąś tajemnicę?

Szwedzi popatrzyli po sobie szeroko otwartymi oczami, brwi mieli uniesione ze zdziwienia. Ich twarze były doskonałą ilustracją do wyzwania, przed jakim stała. Jedenaście lat to szmat czasu. Kto po tylu latach pamięta delikatne albo i całkiem bezpośrednio sugestie? Nikt...

— Ja pas — powiedział pulchny Szwed, rozkładając ręce.

Jego żona nie była tak stanowcza.

— Cóż, gdy się zwierzała, to opowiadała głównie o swoim synu, który wtedy studiował. Mówiła, że to jedyny minus przeprowadzki — tęsknota. Co do reszty, tego wszystkiego, o czym pani mówi, to niczego takiego nie pamiętam. Może spróbujemy z mężem bardziej się nad tym zastanowić wieczorem i do pani zadzwonimy? Do kiedy pani zostaje?

— Planuję zostać jeszcze jeden dzień — powiedziała i zrozumiała, że równie dobrze mogą się pożegnać.

Molina będzie mógł wrócić do domu na przyjęcie urodzinowe, a ona — usiąść do ponownej lektury listów Sigrid. Podsunęła im po stole listę nazwisk.

— Chcę jeszcze spotkać się z osobami z tej listy. Znają państwo któreś z nich? Dwa ostatnie nazwiska to ogrodnik i sprzątaczką.

Szwedzi spojrzeli na listę i pokiwali twierdząco głowami.

— Z pierwszymi dwoma małżeństwami czasem się spotykamy. Gramy razem w golfa. I z pozostałymi dwoma również widujemy się regularnie. Oni też grają... Wie pani, tu wszyscy obracamy się mniej więcej w tych samych kręgach. Nawet Zlatan stał się z czasem trochę duński i trochę norweski. To turniej tenisa i petanki organizowany jutro w klubie duńskim, Club Danés. Tam na pewno zastanie pani wszystkie cztery małżeństwa jednocześnie — powiedział Johansson.

— Ale Mats, przecież znamy też... albo znaleźmy... również

ogrodnika. Zobacz. — Lilly wskazała palcem kartkę.

— Ach, *zapomniałem*. Tyłu jest tutaj Luisów. Ale tak, oczywiście. Przejęliśmy go po Bulbjergach, ale pracował też w innych domach w Sierrezueli. Nazwiska nie pamiętam. Już nie żyje. Od jakichś pięciu albo sześciu lat.

Pani Johansson pokiwała głową.

— To był taki przyjemny człowiek. Życzliwy, dobrze się z nim rozmawiało. I bardzo kulturalny. Do tego świetnie znał angielski. Był emerytowanym inżynierem. Twierdził, że pielęgnuje ogrody, żeby utrzymać się w formie. Takiego jak on już nie znajdziemy...

— Ile miał lat? I jak umarł? Wiedzą państwo?

— Myślę, że mógł mieć koło siedemdziesiątki, kiedy umarł. Czeka, Lilly, to ty przeważnie z nim rozmawiałaś. Na co on umarł?

— Na serce... tak mi się zdaje. Teraz, jak o nim mówimy, znów poczułam, jak bardzo go brakuje. To jemu go zawdzięczamy, prawda, Mats? — Lilly Johansson głową wskazała na ogród.

— Co takiego? Ach, jaśmin!

— Luis nam go przyniósł. Nie wiem, gdzie go znalazł. Był całkiem mały — a teraz sami widzicie. Wyrósł wielki i cudowny. Luis miał szczególny talent do jaśminu...

Coś w niej drgnęło. I to tak wyraźnie, że nawet Jesús Molina, który przez cały czas milczał, posłał jej pytające spojrzenie.

— Gdzie mieszkał Luis? Był żonaty? Czy żyje jeszcze ktoś z jego rodziny? Wiedzą państwo coś o tym?

Mats Johansson pokręcił tylko głową.

— Wiem, że miał żonę i że mieli dużo dzieci. Wszystkie świetnie wykształcone. Ale przede wszystkim był znany jako „ogrodnik Duńczyków”. W Clubie Danés na pewno będą wiedzieli — odparła Lilly.

Margrethe pokiwała głową i wstała. Jesús zrobił to samo.

— Bardzo dziękuję za rozmowę. I pomoc — powiedziała i podała

im rękę na do widzenia.

Zerknęła na zegarek. Do jutra zostało mnóstwo czasu.

Rozdział 48.

Słońce wstało już dawno i świeciło z błękitnego nieba na białe apartamentowce w Tuborg Havn.

Tuż przy wejściu do pierwszego bloku stał kremowy dostawczak. Po obu stronach czarnymi literami było napisane: „A.K. Dreyer — instalacje elektryczne”.

Dwaj mężczyźni w pomarańczowych kombinezonach roboczych powoli szykowali się do pracy. Wyjęli z samochodu skrzynki z narzędziami, drabinę i kable. Jeden z kieszeni na piersi wyjął komórkę i sprawdził godzinę. Dochodziło wpół do dziewiątej.

Mieli właśnie przenieść sprzęt w pobliże wejścia, kiedy z budynku pośpiesznie wyszedł pierwszy z mieszkańców. W każdym razie pierwszy, odkąd stanęli tu swoim wozem jakieś dziesięć minut temu. Rankiem z luksusowych apartamentowców raczej nie wylewały się tłumy.

Nic dziwnego. Cena za możliwość oddychania powietrzem w portowej enklawie była zaporowa dla zwykłego ludu pracującego odbijającego kartę wczesnym rankiem. Mężczyzna w jasnym trenczu śmignął obok nich i gdy zdalnie wyłączył alarm w zaparkowanej pod domem tesli, samochód nie tylko zamigał światłami, ale i dał głos.

Drzwi do budynku już dawno się za nim zamknęły.

Dwaj elektrycy ustawili się przy wejściu z drabiną, bo trzeba było na czymś stanąć, żeby dosięgnąć lampy nad wejściem. Jeden cierpliwie czekał, trzymając w ramionach ciężki kabel.

Stali tak przez kilka minut. W końcu ten, który stał na drabinie, dyskretnie dał koledze sygnał. Ten z kablem w kilku szybkich krokach przyskoczył do drzwi w tym samym momencie, gdy mężczyzna wyglądający na Hindusa je otworzył.

— *Oh, sorry* — przeprosił Hindus i przytrzymał drzwi

mężczyźnie, który oburącz trzymał zwinięty na rolce kabel.

— Dziękuję — odpowiedział mężczyzna w pomarańczowym kombinezonie i zniknął w budynku.

Gdy lokator się oddalił, mężczyzna wrócił do drzwi, by wpuścić swojego kolegę, który w tym czasie przyniósł jeszcze czarną torbę z bagażnika wozu dostawczego. Postawił ją przy drzwiach wewnątrz budynku, zabrał kabel i zaniósł go z powrotem do samochodu.

Spędził na drabinie kilka minut, po czym szybko spakował narzędzia, wrzucił je na pakę dostawczaka, uruchomił wóz i spokojnie odjechał.

Dwaj mężczyźni podjechali pod budynek wozem dostawczym, ale tylko jeden odjechał. W Tuborg Havn mało kto mógł to zauważyć.

Rozdział 49.

Zmarły ogrodnik nie był żadnym przełomem. Wieczorem, gdy na nowo przeglądała przywiezione listy, jej entuzjazm znacznie opadł.

Sigrid co prawda raz w jednym z listów wspomniała o Luisie, pisząc, że jest mądry i kulturalny, i tłumacząc, że jako inżynier pracował w wielu miejscach na całym świecie. Napisała też, że podziela jej zachwyty nad jaśminem. Lecz nic poza tym.

Był to może jakiś trop, lecz niezbyt wyraźny. I prowadził do zmarłego.

Jesús Molina, który odebrał ją spod hotelu podobnie jak dzień wcześniej, odbił seatem z głównej drogi w górę, przejechał przez Mijas Costa i skręcił w prawo. Dzielnica nazywała się Urbanisation Haza del Algarrobo i wyglądała na elegancką, lecz nie przesadnie luksusową. Ogródki były zadbane, a tam, gdzie nie zasłaniały ich pastelowo żółte lub białe mury, widać było cieniste zagajniki palmowe i równo skoszone zielone trawniki wyposażone w systemy nawadniania. Po obu stronach drogi były chodniki wyłożone czerwonymi płytkami.

— Duńczycy mają tu wprowadzić swój klub, ale w okolicy mieszkają w większości Francuzi i Anglicy. Twój krajanie chcą widzieć wodę. Tak twierdzi siostra mojej żony. Jest pośredniczką w handlu nieruchomościami. Zastanawiam się czemu. Czyżbyście w Danii nie mieli morza? — Molina posłał jej krzywy uśmiech. Jego humor był równie suchy, jak potłuszczona była jego kurtka.

— Mnóstwo... ponad siedem tysięcy kilometrów linii brzegowej. Tylko klimat jest do bani.

Jej towarzysz za kierownicą zrobił wielkie oczy.

— Więc przyjeżdżacie tu tylko po to, żeby nie marznąć?

— I nie moknąć.

Jesús Molina potrząsnął głową i uśmiechnął się szeroko. Chwilę potem skręcili w dół, w wąską uliczkę, i zatrzymali się przed dużym białym budynkiem, przy którym stało już mnóstwo samochodów.

Na masztach przed podwójnym wejściem łopotały flagi duńska i hiszpańska. „Club Danés. Współpraca duńsko-hiszpańska”, głosił napis na jednych drzwiach. Na drugim napisane było „Casa Danesa”. Nie było więc wątpliwości, że to tu osiadły ptaki wędrowne, które odfrunęły do ciepłych krajów.

Wysiedli. Margrethe przez chwilę sondowała otoczenie. Mały plan, który sobie obmyśliła, wymagał asysty.

Otworzyła drzwi po prawej. Prowadziły wprost do baru. Był to jednak również prawdziwy krąg obfitości duńskich specjałów. Czekolada na chleb Toms, marmolada z Den Gamle Fabrik, słone lukrecje, a w chłodziarce cała gama gotowych sałatek i sosów Graasten. Wszystko, co Duńczycy mają wpisane w DNA. Choć ona osobiście nigdy jeszcze nie była za granicą wystarczająco długo, by odczuć symptomy odstawienia remolady.

Za pleców dobiegł ją znajomy dzingiel. Odwróciła się. W rogu pod sufitem wisiał telewizor, w którym uśmiechnięty prezenter z TV2 News przeszedł właśnie do prognozy pogody. Można się więc było uraczyć również duńskim pakietem telewizyjnym. Gdyby kogoś czasem naszły melancholia i filozoficzne dywagacje nad głębszą przyczyną emigracji, środkiem zaradczym mogło być oglądanie ojczyściej prognozy pogody przez kilka dni z rzędu.

Za ladą wyrosła nagle starsza kobieta.

— Cześć. Szukam kogoś, kto kieruje klubem na co dzień.

— To Ole — odparła kobieta. — Jest na tarasie. Wysoki, w granatowych szortach i błękitnym polo. Z brodą. Nie można go pomylić z nikim innym. Tymi drzwiami wyjdziecie prosto na taras.

Podziękowała i poprowadziła Jesúsa Molinę do drzwi. Weszli wprost w ożywione towarzystwo na zadaszonym tarasie, z którego rozciągał się widok na pięć kortów tenisowych i kuszący basen. Wokół same opalone i uśmiechnięte twarze.

Rzeczywiście od razu znalazła Olego. Pomijając wątki poboczne, przedstawiła mu swoją sprawę w wersji skróconej: że wspólnie z hiszpańskim wywiadem wyjaśniają okoliczności śmierci duńskiego małżeństwa. Molina na jej prośbę wyjął legitymację.

Jej plan był taki, by porozmawiać z wszystkimi Duńczykami z listy jednocześnie. To oszczędzi im czasu, a dawni znajomi Bulbjergów być może będą mogli wzajemnie pomóc sobie w odświeżeniu pamięci.

— Szukam czterech małżeństw: Holmów, Kristiansenów, Højbjergów i Nissumów. Podobno wszyscy mają tu dziś być.

— To prawda. Widziałem się z nimi wszystkimi. Mamy dziś turniej tenisa, więc przyszło wyjątkowo dużo osób.

— Chciałabym porozmawiać z wszystkimi czterema parami jednocześnie. W zamkniętym pomieszczeniu, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał. Można to jakoś zorganizować?

Kierownik duńskiego stowarzyszenia chwilę pomyślał, drapiąc się po brodzie.

— Mają oczywiście do zagrania szereg meczy, ale zaczekajcie, niech sprawdzę grafik.

Z kieszeni wyjął kartkę.

— Wiecie, ile czasu wam zajmie to spotkanie?

— Pół godziny, góra czterdzieści pięć minut.

— W porządku. Da się zrobić. Muszę tylko trochę przestawić kolejność. Możecie się zainstalować w naszej sali bankietowej. Za jakieś trzydzieści, czterdzieści minut cała ósemka powinna być do waszej dyspozycji. Grają deble. To znacznie ułatwia sprawę.

— Świetnie. Bardzo dziękuję. Kiedy będzie ich pan informował o spotkaniu, proszę powiedzieć, że chodzi o śmierć Sigrid Bulbjerg sprzed jedenastu lat.

Siedmioro Duńczyków zajęło miejsca przy dwóch stolikach w pomieszczeniu będącym przedłużeniem baru. Dwoje z nich

wycierało rękami spocone twarze.

Wszyscy, kolejno wchodząc tu z tarasu, przedstawiali się i podawali im ręce. W powietrzu wyczuwała lekkie rozedrganie. Jeden z mężczyzn zamierzał nawet głośno wyrazić swoje zdumienie całym zamieszaniem, ale żona go uciszyła.

To naturalne, że nie rozumieli, dlaczego nagle przyjeżdża ktoś z Danii i chce grzebać w starej sprawie zwykłego, choć śmiertelnego wypadku samochodowego. Brakowało jednej osoby, pana Holma.

Zjawił się po chwili — zdyszany, bez butów, w samych skarpetkach i z butelką wody w ręce. Przeprosił za spóźnienie i usiadł obok swojej żony.

— To jesteśmy w komplecie. Na początek przepraszam, że zajmuję państwu czas w środku turnieju. Nazywam się Margrethe Franck i wraz z Jesúsem Moliną z hiszpańskiej służby wywiadowczej wyjaśniamy okoliczności śmierci Sigrid Ryttinger Bulbjerg. Chciałabym...

— W porządku... ale Sigrid i jej mąż zginęli w wypadku. W kraju. Na autostradzie — przerwała jej zniecierpliwionym głosem kobieta siedząca z samego brzegu stołu. Po tym zamilkła, speszona, ale powiedziała i tak to, co wszyscy myśleli.

— Nie mogę się wdawać w szczegóły, ale sprawa wygląda tak...

Streściła im wszystko, od początku. Zabójstwo starego Ryttingera, wieloletnie podejrzenia Sigrid i pragnienie jej siostry, Benedicte, która teraz chce wszystko wyjaśnić.

Duńczycy siedzieli w absolutnej ciszy i tylko rzucali sobie nawzajem ukradkowe spojrzenia.

Na zakończenie poprosiła ich, aby dobrze się zastanowili, odświeżyli pamięć i poszukali w niej czegokolwiek, co mogłoby im pomóc. Czy Sigrid kiedykolwiek zwierzała się któremuś z nich? Czy któreś z nich dostrzegło w niej jakąś mroczną stronę? Czy coś ich w niej zaskoczyło? Jakaś sugestia tajemnicy albo bezpośrednie lub pośrednie instrukcje, które mogły na przykład paść w rozmowie o śmierci albo strachu? Czy Sigrid mówiła o swojej

śmierci? Albo o śmierci swojego ojca? Czy mówiła o losie?

Wszystko wciąż było dla niej tak samo trudne. Wciąż tak samo nieuchwytnie. Lecz największą barierą był czas — lata, które minęły.

Pan Holm, który siedział z ręcznikiem zarzuconym na szyję, odezwał się jako pierwszy i z miejsca pogrzebał jej nadzieje.

— Tego rodzaju mętne sugestie czy ponure nastroje, których się pani doszukuje... Możliwe, że moglibyśmy w czymś pomóc, gdyby się pani zgłosiła zaraz po wypadku. Może nawet rok później. Ale teraz? Nie pamiętam nawet, co robiłem przedwczoraj. Minęło jedenaście lat. Czas nie stoi w miejscu. My też nie. Ani życie. To, co się stało, było tragedią. Ale wszystkie wypadki tym właśnie są. Gdy usłyszeliśmy, co się stało, nikt z nas tutaj nie analizował *post factum* tego, co się stało. Dlaczego mielibyśmy to robić? Wszyscy, cały nasz krąg przyjaciół, byliśmy wstrząśnięci, ale nie mieliśmy pojęcia, że w ich śmierci było cokolwiek podejrzanego. Rozumie pani?

Pokiwała głową. Rozumiała doskonale.

— Nie ma jednak wątpliwości, że z nich dwojga to Sigrid była osobą bardziej refleksyjną i z większą skłonnością do filozofowania — odezwała się jedna z kobiet, pani Kristiansen. — Z drugiej strony pracowała na uczelni, więc może to nic dziwnego. Rozmawialiśmy raz o śmierci. O tym, kiedy i jak się do niej przygotować. O testamencie, własnym pogrzebie i tych sprawach. O ile pamiętam, była niezbyt sentymentalna. Chociaż to chyba w niczym pani nie pomoże, prawda? — Uśmiechnęła się zawstydzona i pokręciła głową.

— Ależ nie, proszę się nie zrażać. Zastanówcie się spokojnie. Czy odbyliście kiedyś z Sigrid rozmowę, która dotyczyła tematów, które próbowałam wam nakreślić? Nie ma pośpiechu. Postarajcie się cofnąć pamięcią...

Zapanowała cisza, której towarzyszyło bezradne kręcenie głowami. Spróbowała raz jeszcze:

— Czy wiedzieliście, że jej ojciec został zastrzelony?

Wiedzieliście, kim był?

— Teraz, kiedy powiedziała pani „Ryttinger”, pamiętam, że miała drugie nazwisko. Ale nigdy go nie używała. Tu nazywała się po prostu Bulbjerg — odparła jedna z kobiet.

Pan Nissum odchrząknął:

— Wiem, kim był jej ojciec. W dawnych czasach to była gruba ryba duńskiej gospodarki. Kiedyś też wspomniałem o nim w rozmowie z Sigrid. Wyraźnie nie lubiła o tym rozmawiać. To prawda — dla nas nazywała się Bulbjerg.

Postanowiła więcej się nie odzywać i pozwolić, by starzy znajomi Bulbjergów sami się zastanowili — i coś sobie przypomnieli.

— Była uparta jak osioł, Sigrid. Kiedy coś sobie wbiła do głowy, nie spoczęła, dopóki nie dopięła swego — stwierdziła pani Højbjerg i westchnęła.

— A gdy grała w golfa — dorzuciła pani Holm — to wiecznie narzekała na swój handicap.

— I wybicie — mruknął jej mąż.

— Potrafiła tak stać i w nieskończoność serwować po tym, jak my już dawno przeszliśmy do środka. — Pan Kristiansen uśmiechnął się krzywo. — Prawdziwa wojowniczką...

Pozwoliła im dalej grzebać we wspomnieniach, ale wynajdywali same drobiazgi i pojedyncze cechy charakteru. Było tak, jak się obawiała — beznadziejnie. Pora zmienić kierunek.

— Ogrodnik Bulbjergów... Luis — czy ktoś z państwa go znał?

Większość osób pokiwała energicznie głowami. Jako pierwszy ponownie odezwał się pan Nissum:

— Oczywiście. Luis był pierwszym ogrodnikiem Duńczyków. Dla nas też pracował. Ale już nie żyje. Zmarł sześć lat temu.

— Ktoś pamięta, jak miał na nazwisko?

Przez chwilę panowała cisza, aż pani Højbjerg sobie przypomniała:

— Tak jak miasto... Valencia. Luis Valencia. To znaczy tutaj wszyscy mają dwa nazwiska — pierwsze po ojcu, a drugie po matce. On używał Valencia. U nas też był. Lubił pracować.

— Gdzie mieszkał? Czy jego żona jeszcze żyje?

— O żonie nic nie wiem. Wiem, że mieszkał w mieście, w mieszkaniu. Wiem na pewno, że to było w którymś z tych dużych bloków przy autostradzie, przy Avenida Finlandia.

Zanotowała nazwisko i lokalizację. Po nazwisku powinno się udać odnaleźć jego rodzinę.

— Chce pani odnaleźć jego żonę? — W głosie pani Højbjerg brzmiał sceptycyzm.

— Tak. Chciałabym z nią porozmawiać.

— Nie ma pewności, czy przyjęła nazwisko męża. Czasem kobiety zostają przy własnym. Tutaj to jest trochę poplątane. Ciężko się połapać. Mogę pani dać numer naszego obecnego ogrodnika. Ma na imię Jaime. Wiem, że on się znał z Luisem. Może będzie mógł pani pomóc.

Pani Højbjerg wyjęła ze sportowej torby telefon i podała jej numer. Powoli, ale ruszali się z miejsca. Zwróciła się ponownie do pozostałych:

— Jak opisalibyście Luisa Valencię?

— Uroczy człowiek. Miły, kulturalny. Bardzo życzliwy i zdecydowanie budzący zaufanie, ale bez przekraczania pewnych granic. Z wykształcenia był inżynierem. I uwielbiał jaśmin — powiedziała pani Nisum.

Wszyscy zgodnie pokiwali głowami.

Znów jaśmin... rzuciła okiem na swoje papiery. Pozostało jedno nietknięte nazwisko.

— A sprzątaczką Bulbjergów? Wiem tylko, że miała na imię Blanca. Czy komuś mówi coś to imię?

Pani Holm podniosła palec.

— Tak, mnie! U nas też pracowała. W tym samym czasie co u

Bulbjergów. To oni nam ją polecili. Może trochę cicha, ale bardzo miła i porządna kobieta. Z Chile. Zwolniła się w zeszłym roku. Przeszła na emeryturę.

— Macie nazwisko i adres?

— Chwileczkę...

Pani Holm podniosła z podłogi swoją torbę i wygrzebała z niej staroświecki skorowidz z adresami. Szybko znalazła właściwą stronę.

— Jest... Blanca Rodriguez, Calle de la Iglesia. To też na dole w mieście, w Los Boliches. Zaraz za główną ulicą, tak mi się wydaje.

Dostała też numer telefonu i tym samym mogła skreślić ostatnie nazwisko z listy Benedicte. Na koniec podziękowała tej skromnej reprezentacji Duńczyków na obczyźnie.

Paru mężczyzn podeszło do niej i próbowało wyciągnąć dodatkowe informacje, ale grzecznie odmówiła dalszych komentarzy. Podobnie postąpił Molina, kiedy jedna z kobiet próbowała szczęścia płynnym hiszpańskim.

Trudno się dziwić. Wypadek, o którym wszyscy dawno już przestali myśleć albo o którym wręcz zapomnieli, nagle powraca jako temat dnia. W dodatku owiany aurą tajemniczości. Margrethe nie miała wątpliwości, że dziś w duńskim klubie nie będzie się mówić o niczym innym.

Wcisnęła dzwonek. Na drzwiach widniała tabliczka z napisem „Maria Pílar Gutierrez Diaz”. Ponad dwie godziny zajęło im odnalezienie wdowy po Luisie, która rzeczywiście nazywała się całkiem inaczej niż jej zmarły mąż.

Kiedy zadzwonili do obecnego ogrodnika Højbjergów, ten nie odebrał, ale Molina nagrał mu wiadomość, a Jaime półtorej godziny później oddzwonił i naprowadził ich na właściwy trop.

Wdowa mieszkała w dużym bloku przy Avenida Finlandia. Blok rzucał się w oczy — był różowy i stał przy autostradzie biegnącej

wzdłuż wybrzeża na północ, przez Torremuelle, do Benalmádeny.

Drzwi otworzyła drobna, żylasta kobieta. Włosy miała gładko zaczesane do tyłu. Lśniące i czarne, bez jednej srebrnej nitki.

Zrobiła krok w tył i tak jak się umówili, pozwoliła mówić Molinie. Choć znała język, prościej było, aby to on pokierował rozmową. Może również wzbudzi większe zaufanie niż cudzoziemka?

Spokojnie przedstawił sytuację wdowie po ogrodniku.

W samochodzie wszystko dokładnie omówili. Molina miał się skupić na duńskich pracodawcach Luisa, na małżeństwie Bulbjergów, i zapytać, czy on kiedykolwiek o nich opowiadał.

— Mąż bardzo lubił tę kobietę, Sigrid. Jej męża trochę mniej. Podobno trzymał się na dystans. I w ogóle nie interesował się ogrodem — odparła wdowa.

Molina kontynuował rozmowę z tą wciąż piękną kobietą, która miała bystre spojrzenie i mówiła niesamowicie szybko.

Zatem owszem, Luis opowiadał jej o długich rozmowach, które prowadził z tamtą Dunką. I tak, opowiadał, że czasem pili kawę na tarasie. Rozmawiał z nią również o sprawach bardziej osobistych — o rodzinie, przeszłości, przyszłości. Luis zdecydowanie uważał ją za najsympatyczniejszą z wszystkich osób, dla których pracował. Ale nic ponad to...

— Mąż szczególnie lubił jaśmin, prawda?

Margrethe pozwoliła sobie na wtrącenie, choć to nadal Jesús miał prowadzić rozmowę. Maria Pílar Gutierrez Diaz uśmiechnęła się szeroko.

— Zatem słyszeliście o tym. Tak, to prawda. Luis uwielbiał jaśmin. Mieliśmy kiedyś spory dom niedaleko Malagi. W ogrodzie rosło mnóstwo jaśminu.

— Tamta kobieta również miała jaśmin.

— Na pewno. Wiele osób go ma. A tych, którzy nie mieli, Luis ostatecznie i tak potrafił na niego namówić — roześmiała się wdowa.

Molina zerknął na Margrethe z pytająco uniesioną brwią, nim przeszedł do sedna.

— Czy mąż zostawił po sobie jakąś skrzynkę, kopertę albo torbę, a może klucz? Coś, co powierzyła mu pani Bulbjerg?

— Ależ skąd! Dlaczego?

— Szukamy pewnych dokumentów, które do niej należały i być może zostały przez kogoś ukryte. Dlatego...

— Rozumiem. Ale Luis nigdy o niczym takim nie wspominał.

— Nie będziemy pani zatem dłużej niepokoić — powiedziała Margrethe i dała Jesúsowi sygnał.

Została tylko sprzątaczką. Nos jej podpowiadał, że to nie tutaj kończyła się tęcza.

Rozdział 50.

Ciężkie krople dudniły o dach prowizorycznego namiotu. Siedział na płaskim dachu apartamentowca w Tuborg Havn plecami oparty o wylot klimatyzacji i z kolanami podciągniętymi pod brodę.

Był to kolejny z silnych opadów, jakie nawiedziły stolicę w ciągu popołudnia. On na szczęście był dokładnie osłonięty. Kawałek brezentu zabrany z placu budowy na razie się sprawdzał. Wciąż był suchy. I siedział na podkładce ze styropianu.

To ważne, żeby nie zmoknąć. Utrzymanie właściwej temperatury ciała było konieczne dla prawidłowego funkcjonowania. A wilgoć powodowała wychłodzenie. Nie miał na sobie żadnych technicznych ubrań, jakie współcześnie miały na wyposażeniu jednostki specjalne. Z oddychających, nieprzepuszczających wody i zatrzymujących ciepło tkanin, które pomagały także regulować temperaturę. Miał tylko swoje zwykłe ciuchy, w których chodził cały czas, dodatkowo załatwił sobie jedynie sprzęt, który będzie mu potrzebny po zmroku.

Były to lina, uprząż, karabińczyki i inne gadżety do wspinaczki. Wszystko to, wraz z pomarańczowym kombinezonem roboczym, leżało w sportowej torbie pod jego nogami. Miał tam jeszcze coś do jedzenia i dwie butelki wody. Najważniejsze zaś było w małym plecaku: pudełko od Mossmana ze sprzętem do podsłuchu.

Wiele godzin minęło, odkąd przyjechał tu rano ze swoim kolegą elektrykiem. Tym kolegą był jego wierny kompan i niezawodny przyjaciel L.T. Fritsen, który zostawił na parę godzin swój warsztat samochodowy na Amager, żeby mu pomóc. Tak samo jak wtedy, gdy zrobili mały napad na przechowalnię bagażu kopenhaskiego Dworca Głównego, żeby wykraść z niej nagrania zbrodni dokonanej przez ministra sprawiedliwości.

Ulewa się przeciągała, choć krople wydawały się mniejsze.

Spojrzał na zegarek. Lało od ponad piętnastu minut.

Pewne elementy zawsze się powtarzały — bez względu na rozmiar i zasięg operacji. Elementy, które stale krążyły i chwytaly własny ogon jak skory do zabawy psiak.

Na przykład Fritsen, który nigdy nie odmawiał. Nawet gdy pojawiał się u niego o dziwnych porach i prosił o więcej, niż przyjaźń mogłaby usprawiedliwić.

Albo jego własne fizyczne przemieszczanie się. Z piwnicy, z miasta w głąb lasu, pod brezent, do Rold, gdzie nigdy nie przestawało padać. I teraz... z powrotem do Kopenhagi. Pod inny brezent. W innym deszczu.

Jego życie przebiegało w dziwnym cyklu, którego motywem wcale nie był rozwój. Jedynie przetrwanie.

Po północy przystąpił do dzieła.

Rozdział 51.

Zatłoczona Calle de la Iglesia była jak inny świat. Nigdzie ani skrawka zieleni. Żadnych sklepikarzy zaczepiających turystów, przewijających się tabunami po dzielnicy.

Ulica biegła równolegle do głównej arterii Fuengirolí, Avenida Nuestro Padre Jesús Cautivo, i dochodziła do stałego punktu na turystycznym szlaku, Calle Maestra Concepción Guidet, którą barwny tłum cudzoziemców docierał do nadmorskiej promenady.

Być może przez swoją niepozorność i to, że była drogą jednokierunkową, ulica sprawiała wrażenie odizolowanej i wyjątkowej. Margrethe siedziała obok Jesúsa Moliny, bacznie śledząc zmieniające się numery domów, a on powoli prowadził swojego seata.

— Tu.

Molina podjechał do krawężnika. Na wystawionym na chodnik krześle siedziała starsza kobieta w czerni. Patrzyła na nich, gdy wysiadali.

Po jednej stronie ulicy pięły się ku niebu ściśnięte wielopiętrowe kamienice. Po drugiej, gdzie siedziała kobieta, królowała niska zabudowa, złożona z jednego długiego budynku podzielonego na mniejsze fragmenty. Wszystkie wejścia od strony ulicy były w zasadzie furtkami z kutego żelaza, a w oknach były kraty.

Dolna część fasady małych szeregowych domków była wyłożona kafelkami układającymi się w różnorakie wzory. Dachy pełniły najwyraźniej funkcje otwartych tarasów, bo pstrokate girlandy prania zwisały z nich na ulicę.

To tu mieszkała dawna sprzątaczką, Blanca Rodriguez z mężem. Zadzwonili wcześniej i uprzedzili ją o swojej wizycie. Czekala już w pomalowanych na niebiesko metalowych drzwiach.

Jesús Molina przedstawił ich oboje. Tym razem nie umawiali się,

że tylko Jesús będzie mówił. Uznali, że zobaczą, jak potoczy się rozmowa.

— Mówię też trochę po duńsku — powiedziała kobieta i uśmiechnęła się. — Ale bardzo słabo. Tylko kilka słów, na przykład hyggeligt. Pracowałam dla wielu Duńczyków.

Zaprowadziła ich w miejsce, które przypominało otwarty schowek zastawiony glinianymi dzbanami i roślinami. Stąd za panią Rodriguez weszli po wąskich schodach na taras należący do nadbudówki pełniącej rolę niewielkiego piętra.

W rogu tarasu, na małym stoliku czekała taca, a na niej dwa małe srebrne imbryki. Tu także wszędzie stały donice i dzbanki. Chilijka była niska i pulchna, siwe włosy nosiła związane na karku niebieską wstążką. Wydawała się lekko onieśmielona ich wizytą.

— *Por favor*, po lewej kawa, po prawej herbata.

Margrethe nalala sobie kawy i rutynowo już streściła ich gospodyni sytuację. Że na zlecenie rodziny bada okoliczności śmierci Sigrid Ryttinger Bulbjerg.

Blanca Rodriguez pokiwała z powagą głową.

— Jak opisałaby pani swoje relacje z panią Bulbjerg? — Margrethe zadała pierwsze pytanie.

Blanca Rodriguez z poważną miną, wolno i z namysłem odparła:

— To było tak dawno temu... Śmierć pani Bulbjerg była wielkim ciosem. Była jedną z najsympatyczniejszych osób, dla których pracowałam. Do dziś, gdy o niej myślę, robi mi się ciężko na sercu.

— Ale jak wyglądały wasze relacje? Zdarzało wam się na przykład pić razem kawę, tak jak, z tego, co wiem, zdarzało jej się to robić z ogrodnikiem, Luisem Valencią?

Pani Rodriguez pokręciła tylko głową.

— Tak to nie... nigdy nie siadałyśmy i nie rozmawiałyśmy tak normalnie. Ale bywało, że pani Bulbjerg robiła mi kawę albo podsuwała szklanekę zimnej lemoniady.

Molina odchrząknął i zapytał:

— A jaśmin? Lubi pani jaśmin?

Kobieta zdziwiona uniosła brwi.

— Neee. Niespecjalnie. Ale nie rozumiem, czemu pan pyta...

Jej hiszpański pomocnik być może trochę się zagalopował. Spróbowała umieścić jego pytanie w nieco szerszym kontekście.

— Chodzi o to, czy miały panie wspólne zainteresowania? Hodowlę jaśminu albo ziół? Rozmawiałyście czasem o takich rzeczach? A może o rodzinie? O życiu? Albo śmierci? Czy pani Bulbjerg darzyła panią szczególnym zaufaniem?

Ich gospodyni wzruszyła ramionami.

— Szczególne zaufanie? Raczej nie, nic takiego nie wyczuwałam. Nie prowadziłyśmy długich rozmów o sprawach, o których pani mówi... Czasem pani Bulbjerg pytała, co słyhać u mojego męża i dzieci. Mam trójkę dorosłych dzieci... Ale ja nigdy nie pytałam jej o takie rzeczy. Nie wypada, żeby pomoc domowa interesowała się prywatnym życiem pracodawców — wyjaśniła Blanca Rodriguez.

Jej spokój i spojrzenie ciemnych oczu wyraźnie sygnalizowały, że to cała odpowiedź. Kobieta miała duńską pracodawczynię, która była osobą życzliwą z natury. Nic poza tym.

Choć wydało się to próżną nadzieją, Molina powtórzył pytanie, jakie zadał wdowie po ogrodniku: czy pani Bulbjerg dała jej na przechowanie jakąś skrzynkę, kopertę albo klucz?

Blanca Rodriguez zrobiła wielkie oczy i pokręciła głową.

Niczego tu nie znajdą. Wstali i uprzejmie podziękowali za czas i poczęstunek. Pani Rodriguez z powrotem zaprowadziła ich do drzwi przez pełen naczyń dziedziniec.

Po jednej stronie korytarza minęli dwoje drzwi. Były otwarte. Za jednymi był mały pokój z łóżkiem. Za drugimi znajdowało się pomieszczenie wielkości schowka na szczotki. W nim stał komputer, a do ścian klamerkami przypięto różne papiery i jedną pocztówkę.

Blanca Rodriguez najwyraźniej po latach służby u rozmaitych zagranicznych rodzin w końcu znalazła swoją cichą, choć skromną oazę w środku miasta.

— Co robimy teraz, *señora* Franck? — spytał Molina i rozłożył ręce, kiedy stali na chodniku przy jego samochodzie.

Wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

— Nie mam pojęcia... Wyczerpałam wszystkie tropy. Może byłam naiwna, sądząc, że wystarczy, jak tu przylecę i popytam.

— A nie pomyślałaś, że jeśli ktoś chciał zabić panią Bulbjerg dlatego, że za bardzo się zbliżyła do niewygodnej prawdy, to ta sama osoba mogła po wypadku na autostradzie zwyczajnie włamać się do domu w La Sierrezueli, przetrząsnąć posiadłość i zabrać to, czego szukasz?

— Oczywiście istnieje taka możliwość. Jej siostra wprawdzie była tu po wypadku, ale żadnych śladów włamania nie zastała, choć takie rzeczy można też zrobić elegancko. Minęło jedenaście lat... Sama nie wiem, Jesús. Nie znam odpowiedzi. Jutro muszę wracać do Danii. Gdybyś był jeszcze tak miły i odwiózł mnie do hotelu, to mogę już zwolnić cię z twojej misji.

Poklepała go po ramieniu, zanim wsiedli do seata.

Włączył silnik i ruszyli powoli wąską Calle de la Iglesia do końca, gdzie stał kościół, od którego ulica brała swoją nazwę. Nagle Molina odbił ostro i ponownie znaleźli się w świetle tętniącym życiem.

— Byłaś na promenadzie? — spytał.

Pokręciła głową.

— W takim razie pojedziemy tamtędy. Tam jest bardzo ładnie — wyjaśnił.

Osobiście było jej wszystko jedno. A szczerze — to wolałaby być teraz sama. W głowie miała pustkę. Żadne pytania nie przebijały się do świadomości, nic, co by ją nękało. Czuła jedynie ogromne zniechęcenie, które rosło coraz bardziej i wypełniało ją tak, jak woda wypełnia naczynie — wdzierając się w każdy zakamarek.

Zawiodła Mossmana i Oxena. Nie wykonała zadania. Wraca do domu z niczym.

Molina opowiadał coś o czterech białych kolumnach, które stały na promenadzie jako pamiątka z przeszłości. Nie słuchała go. Po prawej były hotele, wepchnięte między luksusowe apartamentowce z osłoniętymi markizami tarasami z widokiem na szeroki chodnik, plażę i morze, które zdawało się bezkresne.

Po obu stronach drogi rosły palmy — niskie i przysadziste albo wysokie i smukłe — oraz inne egzotyczne drzewa i krzewy. Molina powiedział, że bardzo lubi ten fragment drogi. Dla niej nie różnił się niczym od reszty nadmorskiej promenady.

Zniechęcenie już się z niej wylewało.

Ludzie spacerowali, biegali albo jeździli rowerami, jakby nie pojmowali, że właśnie poniosła klęskę. Molina w końcu zamilkł. Wjechał w kolejny odcinek drogi. Teraz krajobraz zdominowały kamieniste mola i parasole ze słomy wyglądające jak porastające plażę grzyby.

Kawałek przed nimi zaczynała się tutejsza przystań. Były tam kawiarnie, restauracje i pirsy — a przy nich mnóstwo łódek wyglądających, jakby były raczej z górnej półki cenowej.

Sama nie wiedziała, co się właściwie z nią dzieje. Nagle zaczęła czuć coś innego. Już nie zniechęcenie czy apatię. Przeciwnie — coś wyraźnie ją gryzło. Wątpliwości? Lęk, którego nie potrafiła określić? A może złość? Skierowana przeciw niej samej?

To wrażenie nasilało się. Nachodziły ją obrazy — uzupełniane słowami, gestami i mimiką. Dwa dni skompresowane do chaotycznej migawki na tle palm ślizgających się po szklach jej okularów.

Cholera, co to mogło być? Spojrzenia, jakie z tarasu rzucali im Stewartowie, gdy przekopywali ziemię pod ich jaśminem? Lilly i Mats Johanssonowie i ich życzliwe kręcenie głowami? Albo brązowe twarze Holmów, Kristiansenów, Højbjergów i Nissumów połączone z pustką w ich pamięci? Płochliwa wdowa María Pilar Gutierrez Diaz i jej czujne spojrzenie albo Chilijka Blanca

Rodriguez z jej poważną miną?

Nazwiska i twarze.

W którym momencie niewystarczająco się skupiła? Coś przeoczyła? Czegoś nie dosłyszała?

Daleko przed nimi wznosił się potężny falochron otaczający kręgiem łódki w przystani. Od zewnątrz rozbijały się fale, a wewnątrz tafla wody była całkiem spokojna.

— Stań! Proszę, możemy się zatrzymać? Muszę wyjść na powietrze — prawie krzyknęła do Moliny, który aż podskoczył za kierownicą. Potrzebowała teraz absolutnej ciszy. Musiała uspokoić wszystkie, najmniejsze fale w swojej głowie. Wyłączyć wszystko inne, ochronić delikatne, niejasne przeczucie i pozwolić mu wzrosnąć, by przybrało konkretną formę.

— *Claro, señora Franck, claro.*

Molina wcisnął hamulec i wjechał w boczną drogę.

— Albo nie! Czeka! Zawróć! Ona kłamie! Blanca kłamie!

Rozdział 52.

Mały warsztat w piwnicy nosił mało kreatywną nazwę Peter's PC World. W oknach były kraty, choć wystawiono w nich zdecydowanie więcej sprzętów używanych niż nowych. Przez to najbliżej schodów widać było stojak z podręcznikami i instrukcjami. Wystawione na słońce okładki niemal zupełnie wyblakły.

Świat był mały. Nawet w środku Londynu. Peter Norman był kolegą ze szkolnej ławy. Nie mieli ze sobą kontaktu, odkąd rzucili szkolne mundurki w Gravesend przy ujściu Tamizy. Po raz pierwszy spotkali się dopiero dwadzieścia pięć lat później, na jubileuszu szkoły, i okazało się, że podobnie jak wielu innych, wynieśli się do dużego miasta, by czerpać z możliwości, jakie oferuje.

Od tamtego czasu do skromnego sklepiku w piwnicy przy Portobello Road w Notting Hill zajrzał zaledwie kilka razy. Nie jako John Smith. Jako on sam. I nie dlatego, że liczył, że w dusznym pokoiku znajdzie coś, czego nie mógłby znaleźć gdzie indziej, ale głównie dlatego, że Peter Norman był z Gravesend.

Otworzył bagażnik i wyjął dużą obudowę. Niech mu to ktoś wytłumaczy, bo on sam nie miał pojęcia, dlaczego komputer stacjonarny musiał być wielki jak stodoła, gdy laptopy potrafiły się mieścić w aktówce.

Wziął obudowę pod pachę, zamknął bagażnik i zszedł po schodach, by załatwić swoją sprawę: otworzyć ten złom.

Komputer należał do Alistaira MacDuffa. Osobiście ukradł go pod osłoną nocy, a klucz zostawił pod konewką, tak jak mu kazał pazerny kmiot z posterunku w Runcorn.

Kiedy wrócił do domu, okazało się to, z czym liczył się od początku. Komputer był strzeżony hasłem. Świadom swojego

nieistniejącego talentu technicznego nawet nie próbował dostać się do systemu bez logowania. Miał jednak nadzieję, że Peter Norman z Gravesend będzie mógł i zechce spróbować.

Postawił komputer na ladzie i po chwili jego stary kumpel wyłonił się z zaplecza. Chwilę powspominali dawne czasy i pośmiali się z tych samych żartów co zawsze. Gdyby miał więcej czasu, chętnie by jeszcze pogadał z Normanem. Ale śpieszyło mu się. Więc się niecierpliwił.

— Słuchaj, Peter. Chodzi o tę maszynę. Muszę się do niej dostać.

— Zapomniałeś hasła?

— Nie. Nie będę ci ściemniał. To nie mój komputer, tylko kolegi z pracy, który nie żyje. Zginął w okolicznościach, które są moim zdaniem podejrzane. Chcę sprawdzić, co w nim jest, ale poległem już przy loginie.

— Normalnie robię takie rzeczy tylko na prośbę właściciela.

— Sam podaj cenę.

— To nie o to chodzi... nie chodzi o cenę. Ach, no dobra. Ale robię to tylko dla ciebie. Chodź na zaplecze.

Obszedł ladę i poszedł za Normanem na tyły sklepu. Mały pokoik wyglądał jak serce statku kosmicznego, cały zapchany komputerami, częściami, przewodami i różnymi dinksami.

Norman postawił komputer na stole roboczym, przyłączył do niego monitor i klawiaturę. Wsunął do komputera pendrive.

— To potrwa chwilę. Ten program usuwa hasła i uruchamia system. Zaraz będziemy mogli go odpalić, tyle że bez hasła. Wtedy będziesz mógł usiąść i spokojnie się rozejrzeć.

— Dobrze, jakbyś mógł wydrukować mi taką listę — log aktywności to się chyba nazywa, nie? Chodzi o ostatnie czynności, jakie wykonano na tym komputerze. To by wiele ułatwiło.

Norman pokręcił głową.

— Nie da rady. Większość ludzi myśli, że komputer przechowuje takie dane i wypluje ci cały rejestr, kiedy o to poprosisz. Ale nic

z tego... żaden komputer ci tego nie zrobi. Musiałby mieć zainstalowany program specjalnie w tym celu, ale po co ktoś miałby to robić? Myślisz, że twój kolega znał się na komputerach bardziej niż przeciętny użytkownik?

— Nie wydaje mi się. A rzeczy, które ostatnio skasowano? Można je zobaczyć? Albo odzyskać?

— Na to jest tylko jeden sposób: pełny skan całego twardego dysku. Wtedy dostaniesz wszystko, co zostało wykasowane. Ale niekoniecznie w porządku chronologicznym. Wiesz chociaż, czego szukasz?

— Nie...

— Tekstu czy zdjęć?

— Nie mam pojęcia...

— W takim razie będziesz musiał przeglądać wszystko. Gdy coś znajdziesz, datę możemy sprawdzić we właściwościach.

— O cholera. Tyle roboty...

Na ekranie pojawił się pulpit Alistaira MacDuffa.

— Nie ma się co przedwcześnie załamywać. To tylko w najgorszym razie, jeśli będziesz musiał szukać w usuniętych. Póki co tak wygląda pulpit. Dość chaotycznie, trzeba przyznać... gość był bałaganiarzem. Nic ci się nie rzuca w oczy?

Przesuwał wzrokiem po dziesiątkach ikon i folderów. W końcu pokręcił głową. Nic mu to nie mówiło.

Norman westchnął ciężko.

— Mam tam z tyłu mały aneks. Właśnie zaparzyłem kawy. Nalej sobie i rozejrzyj się po sklepie. Ja pogrzebię trochę w tym bagnie.

Pokiwał głową z wdzięcznością, wstał i pozwolił dawnemu koledze pracować w spokoju.

Po kilku minutach Norman zawołał:

— Kosz jest opróżniony. Dziwne, zważywszy na to, jak wygląda reszta!

To zła zapowiedź. Coś zostało celowo usunięte. Czyli będzie musiał z lupą przejrzeć całość i uzbroić się w cierpliwość, której nie miał.

Z kubkiem kawy przeszedł do sklepu. Chodził tam i z powrotem po wyświechtanej wykładzinie. Powiódł po półkach niewidzącym wzrokiem i zatrzymał się przy koszu na śmieci za ladą, z którego wyjął wczorajszą gazetę.

Z zaplecza, gdzie Norman siedział z nosem w komputerze, nie dochodziły żadne dźwięki. Klienci nie zakłócali spokoju w Komputerowym Świecie Petera. W ogóle tu nie zaglądali.

Przekartkował do sekcji ze sportem, gdy Norman zawołał:

— Eric! Pozwól tylko.

Wrócił na zaplecze i usiadł obok Normana.

— Co jest?

— Wiesz, co to jest Dropbox?

— Rodzaj archiwum internetowego w chmurze czy w niebie, czy jak tam to się nazywa, co nie?

— Dokładnie. Twój kolega go używał. Kiedy otwarłem program, znalazłem to.

Norman poklikał parę razy i na ekranie pojawiło się zdjęcie.

— To ty, prawda? Jest jeszcze jedno. Też ty. Przyda ci się to do czegoś?

Już nie słuchał. Wzrokiem przesuwiał po obu zdjęciach. Na jednym stał w moro przed glinianą chatą — z fajką w gębie. Na drugim był w cywilu. W mieście. Na jakimś placu. I wyglądał na trochę starszego.

— To najnowsze pliki dodane do Dropboxa. Tu masz datę — Norman pokazał palcem na ekranie.

Zdjęcia przesłano do archiwum tego samego dnia, w którym Alistair MacDuff spadł ze schodów.

— Może tego szukałeś?

Nie odpowiedział. Miał wrażenie, że głowa za chwilę mu eksploduje. Niger i Bukareszt... Co u licha robiły te zdjęcia w komputerze MacDuffa? Po co w ogóle ktoś je zrobił? I kto? MacDuff? Tego się nie robi. To kwestia zasad. Musiał mieć w tym jakiś cel...

— Eric, wszystko w porządku? — Norman położył mu rękę na ramieniu.

— Taa... nie spodziewałem się po prostu, że zobaczę własną głowę. Jak to się normalnie odbywa? W sensie jak pliki trafiają do Dropboxu?

— Mógł pobrać zdjęcia. Zapisać je na pulpicie, żeby je obejrzeć. I jeśli chciał się zabezpieczyć przed ich utratą, mógł je dla pewności zapisać na koncie w Dropboksie. I jeśli ktoś lubi porządek, to następnie posprzątałby je z pulpitu i usunął. Wierz mi... to jak z regałem na książki w czyimś domu. Patrząc komuś w komputer, jesteś w stanie dowiedzieć się o nim niemal wszystkiego. Niektórzy są dokładni, inni przeciętni, a jeszcze inni mają wszystko w dupie.

— Więc mówisz, że kosz kłuje w oczy? Że nie powinien być pusty?

— Nie. Ten komputer to jeden wielki śmietnik.

— Dobrze, jakbyś dla pewności zrobił dla mnie ten kompletny skan.

— Jasne. Jak chcesz, możesz już teraz sprawdzić, co jeszcze tu jest.

Kiedy dwie godziny i trzy kubki kawy później wstał od komputera, nie znalazł w komputerze Alistaira MacDuffa więcej nic ciekawego.

Nie miał wielu zdjęć. Trochę córki, trochę swojej byłej, jakieś zdjęcia z wakacji i garść innych, również wyglądających jak typowe pamiątki rodzinne. Było też sporo zdjęć związanych z piłką nożną. Sceny z pubów, zdjęcia z Anfield i autokarów na

mecze wyjazdowe Liverpoolu. Sporo folderów zawierało zdjęcia z operacji, w których MacDuff uczestniczył na całym świecie. Co ciekawe — same niewinne zdjęcia z różnych baz, basenów, imprez przy grillu i oceanach piwa. I wreszcie miszmasz zdjęć rozbudzających wyobraźnię typowego macho: ściągnięte z sieci cipki i cycki plus galeria samochodów typu ferrari, lamborghini i tym podobnych. I trochę broni, każdego rodzaju.

Również wśród dokumentów tekstowych ani w korespondencji MacDuffa nie znalazł nic ciekawego.

Wszedł do sklepu, gdzie Norman obsługiwał właśnie starszego mężczyznę, który szukał jakiegoś kabla. Kiedy mężczyzna wyszedł, poklepał kolegę po ramieniu.

— Skończyłem. Dzięki za pomoc, Peter.

— Dalej chcesz skan dysku?

— Tak, jeśli możesz.

— Zaraz go uruchomię. Wyniki i sprzęt możesz odebrać jutro przed południem.

— Świetnie. Ile ci jestem winien?

Norman wzruszył ramionami...

— Powiedzmy, że stówkę...

Z kieszeni płaszcza wyjął portfel, odliczył pięćset funtów i położył banknoty na ladzie. Jego kolega z klasy spojrzał na nie i podniósł na niego pytający wzrok.

— Napiwek... naprawdę bardzo mi pomogłeś.

Pożegnali się, a chwilę potem usiadł za kierownicą, odchylił się w fotelu i zamknął oczy. Zacisnął powieki najmocniej jak potrafił i próbował się skupić na możliwych scenariuszach i je ze sobą porównać. Tropy były dwa.

Trop optymistyczny prowadził do konkluzji, że Alistair MacDuff spadł ze schodów we własnym domu, bo napruł się jak świnia. Owszem, przed śmiercią gapił się na zdjęcia. I faktycznie tajemnicą pozostaje, dlaczego i skąd je miał... lecz warto

podkreślić, że są to słabej jakości zdjęcia człowieka, którego Alistair znał wyłącznie jako Johna Smitha. Wszystko to jest zastanawiające, ale nie stanowi powodu do paniki.

Drugi trop to trop *pesymistyczny*.

Ktoś niewidzialny zabił MacDuffa. Ten ktoś teoretycznie mógł mieć związek ze zdjęciami w komputerze MacDuffa.

Przy czym, bez względu na to, który trop jest właściwy, żaden nie zawiera nic, co byłoby dla niego kompromitujące. Nic, czym można by go przyprzeć do muru. A jednak... to wszystko jest cholernie niepokojące.

W tej sytuacji mógł zrobić tylko jedno. Wyjął telefon, odszukał numer i go wybrał.

— *Hallo, Marsh?* Tu John Smith. Byłeś uprzejmy udostępnić mi mieszkanie Alistaira MacDuffa. Chcę ci zaproponować nowe, znacznie większe zadanie: chcę, żebyś przetrząsnął dla mnie raz jeszcze sprawę jego śmierci. Rozbił ją na atomy i uważnie obejrzał każdy jeden z nich. Obiecuję ci w zamian... naprawdę dobre wynagrodzenie.

Rozdział 53.

Blanca Rodriguez wyglądała jak wielki znak zapytania, kiedy otworzyła im metalowe drzwi — ponownie. I czy jej się wydawało, czy też przy ustach pojawił się cień niepokoju?

— *Perdón*, wiem, że znów się pani naprzykrzamy, pani Rodriguez — zaczęła Margrethe — ale bardzo bym chciała móc raz jeszcze z panią porozmawiać. Możemy wejść?

— Oczywiście.

Kobieta wpuściła ich i poprowadziła do schodów.

— Nie, pani Rodriguez. Proszę chwilę poczekać — powiedziała nagle i dotknęła ramienia Moliny, by i on się zatrzymał.

Blanca Rodriguez zrobiła jeszcze większe oczy.

— Proszę spojrzeć tutaj, do pani małego biura, pani Rodriguez...
— Głową wskazała drzwi do pokoju, wciąż otwarte. Blanca podeszła i stanęła tuż obok niej.

— Kiedy mijaliśmy go w drodze do wyjścia, dostrzegłam tę kopertę. Tylko przelotnie. Może nawet moje oczy tak naprawdę niczego nie odnotowały. Może zarejestrowały te słowa tylko jako przelotny obraz.

Molina patrzył na nią pytająco, a Blanca Rodriguez weszła do pokoju i zdjęła list ze ściany.

— To z urzędu skarbowego... — powiedziała i podała jej kopertę.

— To nie treść mnie interesuje, lecz imię. Pani pełne imię... Blanca *Luna* Rodriguez Sanchéz.

Od tej chwili kobieta słuchała z zaciśniętymi zębami.

— Proszę posłuchać, pani Rodriguez... Pani imiona oznaczają biały księżyc, a w jednym z listów do swojej siostry pani Bulbjerg nazywa biały księżyc swoim przyjacielem. Czytałam ten list wiele

razy. Nie zacytuję go oczywiście słowo w słowo, ale idzie to mniej więcej tak:

Księżyc jest moim powiernikiem. Biały księżyc wiszący tak bardzo, bardzo daleko jest mi przyjacielem, słucha mnie. Zadaje mi pytania. Rozumie mój język. Docenia moją pracę. Wie, że nie mogę inaczej. Pomyśleć, że dopiero tu, na południu, poznałam księżyc — tak naprawdę. Różni nas tak wiele. I to czyni naszą przyjaźń tym bardziej wyjątkową. Zapytaj księżycyca o cokolwiek — odpowie ci lepiej niż ktokolwiek inny.

Blanca Rodriguez przygryzła dolną wargę, ale wysłuchiwała do końca. Po czym odparła:

— To przypadek, *señora* Franck. W mojej ojczyźnie, Chile, wszyscy mają dwa imiona i dwa nazwiska. Używam tylko jednego. To normalne. Nie wydaje mi się nawet, żeby pani Bulbjerg знаła moje drugie imię, Luna.

— To nieprawda. Sigrid pisze o pani wprost w liście do swojej siostry. To pani jest Blancą Luną, „białym księżycem”, o którym pisze z taką czułością. Proszę, aby mi pani zaufała. Jestem tu dlatego, że jej siostra powierzyła mi to, co ma najcenniejszego — wszystkie listy od Sigrid... Zrobiła to, bo chce mieć spokojną duszę. Bo chce, aby ci, którzy są winni śmierci jej siostry, zostali pociągnięci do odpowiedzialności. Dlatego, pani Rodriguez, przyleciałam taki szmat drogi z Danii. Proszę mi wierzyć. Mówię prawdę. Nigdy bym pani nie okłamała.

Starsza kobieta wciąż przygryzała wargę i gładziła siwe włosy. Jej wzrok, tak spokojny podczas ich pierwszego spotkania, teraz wciąż uciekał.

— Proszę mi wybaczyć, zaraz wrócę — powiedziała wreszcie pani domu i przeszła przez podwórko w głąb domu.

— *Señora* Franck, no, no. Więc jednak znalazła pani skarb. Nie pod jaśminem, ale przy księżycu. Widać to po niej. To dobry trop — powiedział Molina z uśmiechem.

Pani Rodriguez wróciła po chwili. W ręce trzymała kopertę.

Wyjęła z niej kartkę i włożyła okulary. Spojrzała na Molineę, a potem z powrotem na Margrethe.

— Mam do pani jedno pytanie, *señora* Franck — zaczęła.

— Nareszcie.

Chilijka przeczytała z kartki:

— Jak się wabiły dwa pudle, które siostry Benedicte i Sigrid Ryttinger miały w dzieciństwie?

— Ach, na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć. Oczywiście. Ale mogę się dowiedzieć. *Momentito!*

Wyjęła komórkę, wyszukała telefon i wybrała. Dopiero po dłuższej chwili odebrano.

— Mówi Benedicte.

— Tu Margrethe Franck. Dzwonię z Fuengirolí. Mamy tu trochę niezręczną sytuację... Jesteśmy u gosposi twojej siostry, Blanki. Zadała mi właśnie pewne pytanie — to rodzaj hasła. Chciałabym, żebyś mi na nie odpowiedziała. Jak wabiły się wasze pudle, które miałyście z siostrą w dzieciństwie?

Po krótkim milczeniu padła odpowiedź:

— To nie były pudle, lecz owczarki. Nazywały się Rollo i Riff.

— Świetnie. Słuchaj, powiedz mi jeszcze, czy ty mówisz po hiszpańsku?

— Trochę wyszłam z wprawy, ale tak, mówię. Mam talent do języków. Prowadziłam korespondencję handlową w kilku językach, to mój zawód.

— W takim razie przełączam cię na głośnomówiący i proszę, żebyś powtórzyła swoje wyjaśnienie. To zabrmi chyba najbardziej przekonująco.

Wcisnęła guzik i poprosiła Benedicte Bjørk, by podała odpowiedź. Pani Rodriguez wyglądała na nieco zaskoczoną, ale kiwała głową przytakująco. Potem obie kobiety porozmawiały chwilę, wymieniając uprzejmości i pozdrowienia.

Po kilku chwilach pani Rodriguez dała Margrethe znak, że chce coś jeszcze powiedzieć.

— *Señora Franck*, spotkałam siostrę pani Bulbjerg parę razy. Odpowiedź jest prawidłowa, ale chciałabym ją zobaczyć, kiedy będę z nią rozmawiać. To warunek. Często rozmawiam z rodziną w Chile przez komputer. Możemy tak zrobić?

— Benedicte, posłuchaj. Masz może Skype'a albo inny komunikator? Coś z kamerą, żeby pani Rodriguez mogła cię zobaczyć?

— Nie. Nie mam nic takiego.

— A może iPhone, iPad albo jakiś tablet?

— Nic z tych rzeczy. Mam tylko laptop. Bez kamery.

— Okej, to podobno warunek, że musi być kamera. Spróbuję coś wymyślić. Oddzwonię do ciebie.

Zakłęła w myślach i rozmyślała jak szalona. Byli trzyosobową podziemną armią. Żaden z nich nie był w pobliżu Odder. Żadnego działu technicznego, by poprosić o wsparcie. Chyba że... musi zadzwonić do Mossmana.

Girlandy prania lekko falowały na wietrze. Jego porywy docierały tu od strony oddalonego o kilkaset metrów morza. Na szczęście teraz nieco przybrał na sile, ale i tak, siedząc bez ruchu w słońcu, czuła się jak na patelni.

Niecierpliwie pukała palcami w udo. Minęły prawie dwie godziny. Siedzieli z Moliną na tarasie na dachu. Wypili kolejną kawę, a pani Rodriguez właśnie podała świeże owoce.

Kobieta była życzliwa i serdeczna. I uśmiechała się zdecydowanie więcej niż podczas ich pierwszej wizyty. Może czuła ulgę, że wkrótce, po tylu latach, będzie mogła zrzucić ciężar tajemnicy?

Nawet jeśli, to Molinie nie udało się wyciągnąć od niej ani jednego skrawka informacji. „Poczekajmy, aż porozmawiam z siostrą pani Bulbjerg” — tymi słowami Blanca Luna uprzejmie

go zbyła.

Margrethe wróciła do hotelu po iPada. To im oszczędzi trudności technicznych. Zarówno w Møllebakken, jak i w Calle de la Iglesia był internet bezprzewodowy.

Czekała tylko na wsparcie dla ich tajnej armii, a to było w drodze: Christian Sonne z Aarhus. Mossman zdołał go namówić, aby pomógł w sytuacji podbramkowej. Kiedy tylko skończy swoją zmianę w Bauhausie, Sonne pojedzie do Odder ze swoim iPadem. Odbędą zwykłą rozmowę wideo za pośrednictwem FaceTime.

Sonne skończył już prawie godzinę temu. W każdej chwili powinien się zjawić w Odder.

Blanca Rodriguez wróciła i przyniosła więcej kawy. Ledwie usiadła obok Moliny, kiedy zadzwoniła komórka.

Sonne dotarł wreszcie do Møllebakken i siedział obok Benedicte Bjørk. Byli w salonie ich domu. Podała mu swój e-mail i się rozłączyli. Chwilę potem, gdy nawiązali połączenie wideo, widzieli się oboje w doskonałej jakości.

— Okej, Sonne, mamy to. Pozwólmy im teraz porozmawiać. Wielkie dzięki za pomoc!

Podała iPada pani Rodriguez i w skupieniu obserwowała rozwój wydarzeń. Kobiety przywitały się ponownie, tym razem twarzą w twarz.

— Dzień dobry raz jeszcze, pani Bjørk. Nic się pani nie zmieniła. Dopiero teraz, po tylu latach, widzę, jak bardzo jest pani podobna do siostry...

— Dzień dobry, pani Rodriguez. Czas płynie, a my z nim, prawda? Mam nadzieję, że pani i pani rodzina dobrze się miewacie. I chcę pani bardzo podziękować, że zechciała nam pani pomóc.

— Owszem, od początku chciałam, ale musiałam panią zobaczyć. Przekonać się... czy wszystko jest tak, jak powinno. Że to naprawdę pani życzy sobie, abym opowiedziała, co wiem. Moja

rodzina uciekła przed Augustem Pinochetem. Jestem podejrzliwa z natury. Dlatego poprosiłam o rozmowę twarzą w twarz.

— Nic nie szkodzi. Doskonale panią rozumiem. A może mogłybyśmy przejść na ty?

— Oczywiście, kochana. Ja też wolę zwracać się do ciebie po imieniu. Skończyłam studia. Historię, tak jak twoja siostra. Musieliśmy się jakoś zaczepić w nowym kraju. Dlatego zaczęłam sprzątać u ludzi. I dobrze mi się żyło tu, w Hiszpanii. Nigdy niczego nam nie brakowało. Cała trójka dzieci pokończyła studia. Zawsze byłam zadowolona. Najprzyjemniejsze chwile zaś spędziłam z twoją siostrą, Sigrid. To była wspaniała osoba...

Odchyliła się trochę, żeby lepiej widzieć. Twarz na iPadzie była w zbliżeniu. Siedząca w Odder Benedicte otarła łzę.

Blanca Luna mówiła dalej:

— Ach, Boże... Tyle godzin przegadałyśmy na tarasie. To prawda, że sprzątałam u Sigrid. Ona była moją pracodawczynią. Ale tak naprawdę stałyśmy się przede wszystkim bliskimi przyjaciółkami. Ogromnie ją ciekawiła historia mojej rodziny i warunki, jakie panowały w Chile. Sama też opowiedziała mi o swojej rodzinie. O waszym tacie, o wszystkim... Mnóstwo razy zachodziła też do mnie do domu. Swojemu mężowi chyba nigdy o tym nie mówiła. Wydaje mi się, że lubiła spotykać się ze mną tu, u mnie. Większość Duńczyków woli zadawać się ze swoimi — Duńczykami albo innymi Skandynawami. Świat, w którym znalazła się Sigrid po przeprowadzce, był dla niej za mały. Nie mogę w to uwierzyć... Ileż to razy myślałam o niej przez te wszystkie lata. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek zapukasz do moich drzwi i zapytasz...

Benedicte odchrząknęła i przez zaciśnięte gardło wydusiła:

— Tak, zbyt długo nie chciałam tego wiedzieć... Zbyt długo zbierałam się na odwagę. Teraz mojej rodziny już nie ma. Rozumiesz, Blanco? Zostałam tylko ja. Syn Sigrid został zamordowany w zeszłym roku. Przez te same mroczne siły.

Teraz po twarzy Dunki łzy płynęły nieprzerwanie, nie nadążała

ich wycierać.

— Bardzo mi przykro to słyszeć. Poznałam jej syna. Spotkałam go u niej ze dwa razy. Kochany chłopak. Dobry, młody mężczyzna. Wydał mi się bardzo podobny do swojej matki.

Na krótką chwilę obie zamilkły. W końcu Benedicte zebrała się w sobie.

— Ale teraz najwyższy czas postawić winnych przed sądem. To ostatnie, czego pragnę przed śmiercią... By sprawiedliwości stało się zadość. Jestem to winna mojej siostrze. I jej synowi. Dlatego wysłałam Margrethe Franck. Możesz jej ufać.

Blanca Luna Rodriguez Sanchéz pokiwała głową, spojrzała na Margrethe, raz jeszcze skinęła głową i się uśmiechnęła.

— Jest tu ze mną. Wierzę jej. Spełnię prośbę Sigrid i przekażę jej to, co mi powierzyła. Mam tylko na koniec dwie prośby... Jeśli kiedykolwiek tu przylecisz, obiecaj, że mnie odwiedzisz, dobrze?

Benedicte pokiwała głową.

— I chciałabym cię prosić o jeszcze jedno — zabierz ze sobą gałązkę jaśminu i połóż na jej grobie. Jako ostatnie pożegnanie ode mnie.

Benedicte znów pokiwała głową. Twarz miała mokrą od łez. Kobiety pomachały do siebie i czule się pożegnały. Blanca wstała. Oczy jej się szklily. Wyszeptała tylko:

— Jaki świat potrafi być okrutny...

W milczeniu pokręciła głową. W końcu wzięła się w garść i powiedziała głośno i zdecydowanie:

— *Señora* Franck, proszę, aby pani poszła ze mną do piwnicy.

Rozdział 54.

Lina była napięta. Szarpnął mocno ostatni raz, sprawdził klamrę i opuścił się poza krawędź lśniącego od deszczu dachu.

Uczucie, które przenikało teraz całe jego ciało, znał doskonale. Życie zawieszona na linie. Wtapiał się w noc.

Od lat nie miał na sobie uprząży, od lat nie czuł charakterystycznego drgania włókien nerwowych. Nie było to jednak zdenerwowanie, lecz skupienie. Wytarł twarz w rękaw i obejrzał się przez prawe ramię.

W blokach wokół tylko w nielicznych oknach paliło się światło. Było wpół do pierwszej. Wciąż padał deszcz — już od ponad dwóch godzin z tylko nielicznymi przerwami. Wolałby, żeby było inaczej, ale nie mógł dłużej czekać.

Zaczął się opuszczać tych kilka metrów nad taras ciemnego mieszkania. Nawet gdyby ktoś z sąsiedniego budynku stał teraz w oknie i przez posępne strugi deszczu spoglądał na najwyższe piętro pierwszego budynku z brzegu, i tak nic by nie dostrzegł. W czarnym ubraniu zlewał się z tłem w ulewnym deszczu i wyjątkowo ciemną, młodą nocą otuloną gęstą warstwą chmur.

Po kilku sekundach poczuł pod stopami twarde podłoże mocnych drewnianych paneli. Wypiął się z liny, zrzucił plecak i wyjął z niego foliową torebkę. Było w niej pudełko od Mossmana z małymi *mikrofonami* od MI5. Cztery sztuki wodoszczelnych, mikroskopijnych mikrofonów gotowych do zamontowania.

Drewniana podłoga biegła wzdłuż całej fasady mieszkania niczym pomost na statku, a przy ścianie szczytowej zakręcała, by zmienić się w normalny, pełnowymiarowy taras ze stołem, z krzesłami i ze skrzynkami z kwiatami. Villum Grund-Löwenberg nie zaciągnął rolet w swoim penthousie, ale też na tę wysokość żadne ciekawskie spojrzenia nie docierały. Może nie było go

w domu już od wielu dni? Według ich najnowszych informacji to nie tutaj przebywał najczęściej.

Najpierw zrobił rundkę dookoła, by sprawdzić swoje opcje i wybrać odpowiednie miejsca. Jeden mikrofon trzeba zainstalować w oknie sypialni, jeden w otwartej kuchni, jeden w salonie i jeden w mniejszym pokoju, który wyglądało na biuro.

Od góry okna były suche, osłaniane przez głęboki okap. Tam je umieści. W rogu na samej górze. Od wewnątrz będą je zasłaniać rolki żaluzji.

Otworzył pudełko, wyjął pierwszy mikrofon i włączył go, wpychając czubek długopisu w maleńki otwór. Potem z tyłu sprzętu oderwał maleńki kawałek taśmy klejącej i dokładnie przykleił mikrofon do szyby. Trzy mikrofony przykleił migiem.

Spojrzał na zegarek — wszystko zajęło trzynaście minut. Zaraz skończy. Wtedy wciągnie się z powrotem na dach, włączy odbiornik, który tam zostanie, i szybko klatką schodową zejdzie na dół, na chodnik, by zniknąć stąd na zawsze.

Znalazłam skarb — spotkajmy się jutro. W głowie wciąż dźwięczały mu słowa esemesa, który Margrethe Franck wysłała późnym popołudniem. Ta wiadomość zupełnie odmieniła jego dzień i dała nadzieję.

Kiedy siedział w deszczu pod brezentem, z niecierpliwością myślał o nadzwyczajnym spotkaniu i próbował sobie wyobrazić, co też mogła znaleźć. Możliwości było bez liku, ale znał ją dość dobrze, by wiedzieć, że taka wiadomość oznacza coś naprawdę ważnego. Czy jednak będzie to realny przełom w ich śledztwie, okaże się dopiero w piwnicy Mossmana. Cierpliwość była jedną z cech, które w sobie wyszkolił.

Zdjął taśmę z ostatniego, czwartego mikrofonu i umieścił go na jednym z dużych okien salonu. Docisnął urządzenie kciukiem, by się upewnić, że trzyma się mocno. Kątem oka dostrzegł nagle, że w mieszkaniu otwierają się drzwi — i w tej samej chwili stanął w morzu światła.

Rozdział 55.

Na posadzce hotelowego pokoju stała szara aktówka. Tania, wzmocniona cienką blachą i zamykana na prosty zamek, który dałoby się wyłamać śrubokrętem z gąbki.

Aktówka podobna do tych, jakie wielu zwykłym ludziom, w tym jej własnemu ojcu, towarzyszą przez całe ich zwykłe życie. Przeważnie są w nich równie zwykłe przedmioty typu paszport, świadectwo chrztu, dyplomy, szkolne zdjęcia, akty notarialne i może jakiś list miłosny z minionej epoki, albo kilka listów.

Sigrid Ryttinger Bulbjerg w swojej aktówce trzymała dynamit.

Materiał, choć stał jedenaście lat na dnie szafy w piwnicy Blanki Luny Rodriguez, wciąż był wybuchowy. W teczce znajdowały się trzy zestawy dokumentów.

Po pierwsze: skoroszyt ze starymi papierami znalezionymi w domu letnim Ryttingerów w Skagen. Po drugie: dwa dzienniki, które Sigrid na przestrzeni lat poświęciła jednemu tylko zagadnieniu, zabójstwu swojego ojca. Po trzecie: trzy grube tekturowe teczki zawierające luźne kartki.

Łącznie był to kompletny wynik prywatnego śledztwa, które Sigrid przeprowadziła w czasie swojego pobytu w Hiszpanii.

Margrethe dołała sobie kawy z termosu przyniesionego jej do pokoju przez tego samego młodego człowieka, który wcześniej przyniósł jej kolację.

Odkąd wróciła do hotelu, późnym popołudniem, bez chwili wytchnienia badała zawartość aktówki. Nie pośpiesznie, lecz spokojnie, w porządku chronologicznym. Wiedziała, że na pewno zdąży obejrzeć wszystko.

Dla Blanki przekazanie jej teczki było ważnym przeżyciem. Może również przynosiło pewną ulgą, że mogła się z kimś podzielić ciężarem odpowiedzialności. Ciężarem nie było zresztą samo

posiadanie aktówki Sigrid Bulbjerg. Nie można też powiedzieć, by przez ostatnich jedenaście lat fakt ten odgrywał szczególnie ważną rolę w jej życiu. Ale ta teczka tam była, schowana w ciemnej piwnicy, i od czasu do czasu przypominała jej o stracie i tęsknocie, a jednocześnie była puszką Pandory. Czy kiedykolwiek przyjdzie ktoś, kto zechce ją otworzyć? A jeśli to zrobi, to co się stanie?

Blanca opowiedziała, że po jakichś pięciu latach przestała wierzyć, że ktokolwiek — głównie myślała tu o siostrze — zapuka do jej drzwi i poprosi o teczkę. Dlatego stopniowo odsuwała jej istnienie coraz głębiej w najmroczniejszy kąt pamięci, a przy okazji porządkowania piwnicy dwukrotnie ją przestawiała, by jeszcze bardziej ją schować.

Nigdy jednak jej nie otwierała ani nawet tego nie rozważała. Zadbła, by w razie jej nagłej śmierci najstarsza córka przejęła po niej odpowiedzialność i pieczę nad aktówką zmarłej Dunki.

Na koniec ta drobna kobieta ujęła twarz Margrethe w dłonie i ze łzami w oczach poprosiła, aby wymierzyła sprawiedliwość w imieniu Sigrid — nawet przemocą, jeśli będzie trzeba.

Kiedy tylko przed hotelem pożegnała się z Jesúsem Moliną i serdecznie mu podziękowała za pomoc, chwyciła aktówkę i poszła prosto do swojego pokoju. Otworzyła zamek małym, dziecinnie prostym kluczykiem przyklejonym taśmą do dna teczki i zaczęła czytać.

Teraz była dwunasta czterdzieści siedem.

Jej ciało było po brzegi wypełnione kofeiną, a zastawki serca — obklejone fusami. Nie czuła śladu zmęczenia. Była w swoim żywiole. Wciąż nie skończyła przeglądać całości. I nadal nie natrafiła na żaden konkretny dowód. Ale weszła w ten świat. Krążyła po alejkach labiryntu potężnych, mrocznych postaci.

Były tu wyraźne tropy. Były tu nazwiska. Były powiązania, kierunki. Jeśli do tej pory miała wrażenie, że porusza się po omacku wśród czarnej jak smoła nocy, to teraz Sigrid Ryttinger Bulbjerg zapaliła światło tym, którzy za nią pójda.

Wszystko, co było w teczce, rozłożyła na podłodze i pogrupowała, tak jak to zrobiła w swoim mieszkaniu z listami Sigrid, by je zobaczyć w szerszym kontekście.

Wzięła łyk kawy, przerwała lekturę i poprawiła sobie poduszkę pod plecami. Wieczór był gorący. Zdawało się, że grube mury budynku oddawały teraz ciepło, które zakumulowały przez cały dzień. Siedziała na łóżku w koszulce i majtkach. Proteza leżała w nogach łóżka. Na krześle leżały ubrania, które po kilku godzinach z siebie zrzuciła.

Zastygła ze wzrokiem wbitym w niepozorną teczkę skrywającą tajemnice Sigrid, w pamięci przywoływała treść dokumentów, które Karl-Erik Ryttinger ukrył w swoim letnim domu. Notatek ze spotkań i kartek z dzienników z ubranymi w słowa przemyśleniami. Wszystko to było niewystarczające i zbyt chaotyczne, by pozwalało sobie wyrobić właściwy obraz Ryttingera u schyłku życia. Wystarczało jednak, aby zajrzeć do jego świata i przynajmniej jedną osobę umieścić na właściwym miejscu: świętej pamięci Vitusa Sandera, który zmarł w hospicjum w zeszłym roku.

Wpis pochodził sprzed niemal czterdziestu lat:

Dziś był ważny dzień dla mnie, jako mentora, ponieważ w końcu mogłem zaprosić Vitusa Sandera do wspólnego, wielkiego stołu. Sander jest jednym najbardziej błyskotliwych przedsiębiorców młodszego pokolenia. Sądzę, że w najbliższych latach zajmie wyjątkową pozycję.

Inny, równie stary brzmiał:

Z wielką satysfakcją dowiedziałem się, że Sander Tech SA odnotowała najwyższy dochód w historii. Jestem dumny, że zasiadam w jej zarządzie, dumny z Vitusa, dumny w imieniu całej Danii.

Trzeci, ostatni wpis dotyczący Vitusa Sandera był datowany na dwa lata przed śmiercią Ryttingera:

Z Vitusem Sanderem przyjaźnię się od lat. Czy rzeczywiście sprowadziłem go na złą drogę? Wciąż sobie zadaję to

pytanie... bo czegoś takiego nie robi się przyjacielowi. Jestem w rozterce. Robię się słaby — fizycznie i mentalnie. Wiek coraz bardziej daje mi się we znaki. A z nim przychodzi zwątpienie — w sprawach wielkich i małych, w moją wartość jako człowieka i w moje czyny, w wybory, jakich dokonywałem w swoim ziemskim życiu.

Karl-Erik Ryttinger rzeczywiście ani razu nie użył słowa „Danehof”. Pisał o „naszym kręgu” albo „naszym towarzystwie”, albo „naszym środowisku”. Nigdy jednak nie użył słowa, które było jego ostatnim. I które napisał własną krwią.

Być może w tym momencie Ryttinger czuł już postępującą demencję? Widać wyraźnie, że zaczął się wahać. Że mógł stanowić zagrożenie dla mrocznych ludzi władzy.

I protegowany wątpiącego, Vitus Sander, również na starość stał się wątpiącym. Aż zapragnął odkupić winy. Co prawda dopiero pod koniec życia, gdy patrzył już wprost w oczy śmierci, ale jednak...

Wiedział, że Danehof przed wieloma laty zabił jego przyjaciela i mentora. Gdy wnuk Ryttingera, inspektor muzeum Malte Bulbjerg, odnalazł go w hospicjum Hvide Sande, umierającego na raka, i zmusił do zmierzenia się z własną przeszłością, Vitus Sander ulżył sumieniu i klocki układanki w końcu wskoczyły na swoje miejsca.

Malte Bulbjerg uzyskał potwierdzenie swoich wieloletnich spekulacji na temat śmierci dziadka. I — co było nieuniknione — umocnił się w swoim przekonaniu, że te same siły odpowiadały za wypadek na autostradzie jego rodziców.

Nie zdążył jednak przekuć tej wiedzy w czyny. Plan, który obmyślili wraz z Mossmanem, się nie powiódł i wkrótce muzealnik sam zapłacił życiem. Jego pogoń za prawdą brutalnie przerwał śmiertelny i jakby od początku jemu pisany strzał, który padł w domku w środku lasu na Tåsinge. Nigdy nie udało mu się zrealizować misji pomszczenia zła, jakie wyrządzono jego rodzinie. Teraz Mossman, emeryt, próbował przejąć pałeczkę i dopełnić jego dzieła.

Wątpiący, pokutujący i mściciele.

Wszystko powoli układało się w spójną całość właśnie tu, na jej łóżku w hotelu na Costa del Sol. Wciąż jeszcze w łańcuchu dowodów istniało mnóstwo luźnych ogniw, które należało odpowiednio ze sobą połączyć. Nieskończenie wiele kroków dzieliło ją od środka labiryntu, gdzie na tronie zasiadał lider Danehofu Øst.

Lecz teraz znała kierunek.

Dopiła kawę, oparła się na poduszkach i zamknęła oczy. To, co znalazła w szarej aktówce, obudziło w niej nadzieję. A nadzieja była jej potrzebna, dokładnie tak jak była potrzebna Mossmanowi. Ale tym, który jej potrzebował najbardziej, był Oxen. Liczyła, że obudzi ją w nim swoją krótką wiadomością. Że pomoże mu pokonać zwątpienie. Nie mogła się doczekać, aż pokaże mu to wszystko.

Ciekawe, co Oxen robi teraz, w tej konkretnej sekundzie? Czy poczuł dobrą energię, którą mu przesłała?

Rozdział 56.

Najpierw zapaliło się światło w kuchni, a sekundę później w salonie. Został przyłapany. Za roletą. Nie był w stanie się poruszyć. Przyciśnięty do szyby dużego panoramicznego okna jak glonojad do ściany oświetlonego akwarium.

Lider Danehofu Syd, Villum Grund-Löwenberg, wrócił niespodziewanie w samym środku nocy. Gdy przyklejał mikrofony, nie słyszał z ulicy odgłosu zamykanych drzwi samochodu. Ani silnika. Może wjechał po cichu prosto na podziemny parking?

Ostrożnie wyjrzał z kryjówki.

Młody gwiazdor biznesu na początek zdjął płaszcz i sweter i rzucił je na oparcie krzesła. Potem otworzył lodówkę. Stał w białej koszuli i szarych spodniach oświetlony światłem z lodówki i długo oglądał jej zawartość.

Oxen stał tuż za jasną roletą wiszącą od sufitu do podłogi i zasłaniającą go na szerokość góra pięćdziesięciu centymetrów. O ile Grund-Löwenberg nie podejście zbyt blisko i o ile nie dostrzeże ciemnej sylwetki za cienką tkaniną.

Lider Danehofu w końcu wyjął z lodówki małą zieloną butelkę, odkręcił nakrętkę, z szafki wyjął kieliszek i go napełnił. Mogło to być białe wino. Potem przeszedł przez pokój, odsunął jedną partię okien i wyszedł na balkon — z boku.

Jeśli teraz zapragnie przespacerować się za róg i pójść kawałek dalej drewnianą podłogą, za chwilę staną twarzą w twarz. Wtedy będzie zmuszony zabić Grund-Löwenberga. To z kolei zniweczy ich całą skromną operację.

Jeśli któryś z trzech liderów zostanie zamordowany, Danehof stanie w pełnej gotowości i zmobilizuje wszystkie środki.

Obejrzał się. Lina zwisała z dachu kawałek dalej, na wysokości

biura. Nie miał żadnej drogi ucieczki. Nawet gdyby przeszedł przez biegnącą wokół mieszkania balustradę i zawisł na rekach, Grund-Löwenberg i tak może go zauważyć. I jeśli okaże się wystarczająco przebiegły, to jednym cięciem wyśle go na śmierć sześć pięter w dół. Musi zostać tu, gdzie jest.

Villum Grund-Löwenberg stał na skraju okapu w miejscu, gdzie jeszcze był osłonięty, lecz pojedyncze krople deszczu być może mogły go dosięgnąć. Zapalił papierosa, skosztował wina i dalej stał, patrząc na czarną wodę.

Kiedy skończył papierosa, pstryknięciem wyrzucił niedopałek za balkon, wszedł do środka i z kieszeni płaszcza wyjął telefon. Nalał sobie jeszcze wina i znów wyszedł. Chwilę potem Oxen wyraźnie usłyszał głos lidera Południa:

— Cześć, skarbie, to ja. Tak myślałem, że jeszcze nie śpisz. Wróciłem do domu dzień wcześniej. Ostatnim samolotem. Wieczorem udało nam się dopiąć kontrakt w Zurychu. Myślę, że kiedy rano otworzy się giełda, powinniśmy podskoczyć z pięć, sześć procent. A jak twoje przygotowania?

Osobą, z którą rozmawiał, mogła być Kajsa Corfitzen.

— Nasz drugi kwartał zapowiada się znakomicie. Kiedy wyślemy sprawozdanie półroczne, parę osób na pewno się ucieszy. Ale... to jeszcze sporo czasu. Kiedy możesz przyjechać? Jutro biorę helikopter do Gram. Mama znów jest chora, a ojciec poprosił mnie o spotkanie. Twierdzi, że trzeba zrobić przegląd zamku. Szczerze mówiąc, nie rozumiem po co. No, tak czy inaczej, polecę do nich i zostanę parę dni. Jak to współgra z twoimi planami? Zamierzasz stąd pojechać do Nørlund czy jak?

Więc to *była* Karin Kajsa Corfitzen. Sojusz Północy z Południem kwitł zatem w najlepsze. Najwyraźniej nic się nie zmieniło, odkąd Franck z tego samego dachu opuściła swój telefon i nagrała cielesne pojednanie dwojga liderów. Duża biała skórzana sofa, na której gorąco i namiętnie przypieczętowali swoją wzajemną sympatię, stała jakieś sześć metrów od niego. Wciąż miał przed oczami, jak...

Ich rozmowa w zasadzie była o niczym. Postanowili, że się

spotkają za kilka dni. Kiedy dokładnie — nie zostało powiedziane. Chwilę potem Grund-Löwenberg się pożegnał i schował telefon do kieszeni. Zapalił kolejnego papierosa i przez ścianę deszczu patrzył w ciemność.

Poruszył się dopiero, gdy wypalił. Znów wyrzucił niedopałek przez balkon, obrócił się na pięcie, wrócił do kuchni i zasunął szklane drzwi. Zdjął koszulę, wyłączył światło w salonie i z nagim tarsem zniknął w głębi mieszkania.

Chwilę potem Oxen opuścił swoją kryjówkę i wziął dwa głębokie wdechy. Villum Grund-Löwenberg najprawdopodobniej poszedł do łazienki zwróconej na drugą stronę. Najwyższa pora opuścić to miejsce, które z braku możliwości ucieczki o mały włos nie zacisnęło się na nim jak potrzask na lisie.

Chwilę później był już na górze. Prawą nogę zarzucił na krawędź dachu, kawałek się podciągnął i potoczył po dachu.

Pozbierał swój sprzęt i ostatni raz sprawdził mały odbiornik. Był szczelnie zapakowany w foliową torebkę i przymocowany do kanału wentylacyjnego. Z tego miejsca urządzenie miało rejestrować i zapisywać na twardy dysk każde słowo, które padnie w mieszkaniu.

Prawdopodobnie jednak nic ważnego się nie wydarzy do następnego spotkania Północy z Południem. Za to gdy już się spotkają, to może być arcyciekawie.

Zamknął za sobą drzwi na dach i ostrożnie zakradł się po schodach. Z budynku wyszedł głównymi drzwiami — tymi samymi, którymi wszedł do niego jako elektryk siedemnaście godzin wcześniej.

Kiedy uszedł kawałek, nie wytrzymał. Wyjął komórkę i napisał wiadomość do Margrethe Franck. Był przekonany, że wciąż pracuje. Napisał tylko: „Skarb?”.

Uszedł ledwie kilka metrów, gdy komórka zabrzęczała mu w kieszeni. Wyjął telefon i na wyświetlaczu pojawiła się odpowiedź z Fuengirolí. Tylko jedno słowo:

„Kopparstierna”.

Rozdział 57.

Zzerał go niepokój. Tak bardzo, że nie pozwolił mu się wyspać. Jemu, który zawsze spał jak kamień, bez względu na to, gdzie się znajdował.

Tej nocy miał koszmar — a w każdym razie coś, co wyglądało na chory sen. Jasnowidz albo wróżbita spojrzały pewnie w swoją głupią kulę, przewrócił gałami i nazwał to złym znakiem. A szurnięta wiedźma voodoo z zasranego Haiti na bank powiedziałyby, że trzeba się zemścić, i zaproponowałyby, że za gruby hajs może powbijać szpilki w kukiełkę.

Przesądny nie był. Ale słuchał swojego ciała. I ufał swoim instynktom. I zawsze działał zgodnie z nimi.

Choć wiedział, że niecierpliwi się jak dziecko, wybrał numer. Było późne popołudnie. Gość miał dobę na to, by wyjąć palec ze zwieracza.

— Mówi John Smith. Masz coś?

Nosowy głos w słuchawce, należący do policjanta z posterunku w Runcorn, Jimmy'ego Marsha, odchrząknął.

— Daj mi pięć minut — powiedział i się rozłączył.

Siedział, stukając niecierpliwie palcami w uda, i odliczał pięć minut. Marsh pewnie był o tej porze w biurze, ale w takim razie powinien ruszyć dupę i znaleźć miejsce, gdzie będą mogli pogadać. Czy to ma mu zająć pięć minut?

Minęło niemal osiem minut, nim telefon ponownie zadzwonił. Zirytowały go te trzy dodatkowe minuty.

— Marsh ponownie. Czego chcesz?

— Tak jak powiedziałem — dowiedzieć się, czy coś masz.

— Posłuchaj. Miałem jeden dzień. To musi potrwać. Nie jestem

magikiem. Musiałeś coś znaleźć w tym komputerze, nie? Skoro tak ci się śpieszy. Więc wierzysz, że było zabójstwo?

— Ja w nic nie wierzę. Wiara to coś, co się uprawia w kościele. Ja zostałem przeszkolony przyjmować do wiadomości tylko jedną jebaną rzecz: fakty. Zatem nic nie masz?

— Nie... a raczej... wolałbym poczekać dzień albo dwa. Ale ty płacisz, więc wymagasz i niech ci będzie. Tylko na tym etapie to, co ci powiem, to nic *pewnego*, okej?

— Okej. Gadaj.

— No więc obgadałem cały przebieg śledztwa z kolegami, którzy pracowali nad sprawą. Wszystkimi — tymi, co byli w pełni zaangażowani, i tymi, co tylko pomagali. I jedna z nich, Suzy, wyciągnęła coś od lokalnego pijaka. Starszy czarny kolo, mówimy na niego James Brown. Bo jest nawet trochę podobny do niego, wiesz, do tego piosenkarza, co umarł parę lat temu. Tego od *I Feel Good*...

— Jezu, pierdolić, do kogo jest podobny!

— No więc Suzy przyskrzyniła Jamesa Browna za zakłócanie porządku i strzaskaną witrynę w sklepie. Gość urżnięty jak świnia... i nagle próbuje się wywinąć, mówiąc, że widział nad rzeką kogoś podejrzanego. Wysokiego gościa w czarnej czapce z daszkiem. Facet wychodził z domu Alistaira MacDuffa tego samego wieczora czy nocy, kiedy tamten umarł. James Brown siedział akurat w cieniu pod Jubilee Bridge i pił. MacDuffa znał doskonale.

— Wysoki gość w czarnej czapce z daszkiem?

— Taa.

— I twoja koleżanka postanowiła nikomu o tym nie mówić?

— Yyy... szczerze mówiąc, też bym tak zrobił. James Brown jest strasznie upierdliwy. Wieczne utrapienie dla nas wszystkich. I w ściemnianiu jest równie mocny jak zwycięzca Royal Ascot w ujeżdżaniu. Więc dlatego.

— Gdyby jednak to miała być prawda... po świecie chodzi pełno

gości w ciemnych czapkach. I co teraz...

— Poszedłem za tym tropem. Tego samego wieczora o godzinie zero siedemnaście wysoki facet w czarnej czapce z daszkiem wszedł do naszego skromnego holu stacji, gdzie są kasy i poczekalnia. Jak pewnie sam wiesz, w tym kraju monitorujemy wszystko. O zero dwadzieścia pięć wsiadł do ostatniego pociągu z Runcorn do Liverpoolu, odchodzącego z peronu drugiego.

— O kurwa! Jest twarz?

— *Nope...* Daszek nasunięty na oczy. Kamery są umiejscowione pod takim kątem, że nie ma szans, żeby chwyciły twarz.

— Cholera.

— Przejrzałem nagrania z tego dnia i ten sam facet przyjechał do Runcorn o piętnastej osiem — z daszkiem nasuniętym całkiem na oczy. Jeśli chcesz, to mogę ci mimo wszystko podesłać zdjęcia w mailu.

— Tak. Przyślij je od razu. Chcę go sobie zobaczyć, bez względu na wszystko. A ty sprawdź, do cholery, gdzie wysiadł. Czy cały czas miał tę czapkę, czy nie ma lepszego zdjęcia?

— Jezu, no właśnie dlatego chciałem poczekać jeszcze dzień albo dwa. Najbardziej prawdopodobne, że wysiadł w Liverpoolu, co nie? A na Liverpool Lime Street, jeśli się podrapie po dupie, to będziemy widzieli, którym palcem. Ale to trzeba załatwić na spokojnie. Mam kumpla w komendzie głównej, który ma się zorientować i porozmawiać z kilkoma osobami, żebyśmy dostali nagrania.

— Dobra, byle szybko.

— Właśnie nad tym siedzę. W czapce czy nie, możliwych scenariuszy jest sporo. Wcale nie ma pewności, że...

— Daj mi twarz. Wtedy się przekonamy. A tak w ogóle... dobra robota, Marsh. Naprawdę dobra robota. Dzwoń, kiedy tylko go wypatrzysz. Hm... Powiedzmy, że płacę pięć stów ekstra, jeśli uda ci się to zrobić do końca dnia.

Odłożył telefon, włączył laptop i poszedł do kuchni zrobić sobie

kawy rozpuszczalnej. Cudownie łatwa i smaczna — i nie musi słuchać durnych pytań wymuskanego cymbała w fartuchu.

Kiedy wrócił do komputera, przyszedł mail od Marsha. W załączniku cztery zdjęcia. Otworzył je. Były niemal identyczne. Różniły się tylko godziną.

Przedstawiały wysokiego, szczupłego mężczyznę w zwyczajnym, codziennym ubraniu w ciemnym kolorze. Czarną czapkę z daszkiem miał nasuniętą na oczy. Widać było jedno ucho, fragment policzka i podbródka. Na zdjęciu numer dwa podobnie, tyle że mężczyzna był bliżej kamery. Zdjęcie trzecie i czwarte były od tyłu. Krótko obcięty, szczupła szyja, ramiona szerokie, ale bez przesady.

Pił kawę, nie odrywając wzroku od zdjęć, które miał teraz otwarte na ekranie jedno obok drugiego. Przesunął wzrokiem szybko z lewej do prawej. Skoncentrował się na tych samych szczegółach na każdym ze zdjęć. Nie był to mięśniak z telewizorem pod pachami. To było widać. Mógł nawet w ogóle nie trenować.

Wziął kolejny łyk kawy i wyjrzał przez okno. Tak naprawdę mógł to być całkiem zwykły gość w czarnej czapce z daszkiem, z bardzo dobrym powodem, aby znaleźć się tego dnia w Runcorn. Tę ewentualność również powinien mieć na względzie.

Siedział dalej i od nowa skupił się na zdjęciach. Mężczyzna był biały, czapka czarna. To niezaprzeczalne fakty, prawda? I tak samo wdowa po MacDuffie opisała mężczyznę, który zaczął ich córkę w Ormskirk.

Biały mężczyzna. Czarna czapka z daszkiem.

To *był* on. To *musiał* być on. Gliny z Liverpoolu muszą się wziąć do roboty. Potrzebuje jego gęby. I to teraz. Natychmiast.

Rozdział 58.

Kopparstierna to szwedzka pisownia Kobberstjerne. Odkąd dostał wiadomość od Margrethe, łamał sobie głowę, szukając rozwinięcia jej skrótu myślowego.

Bez powodzenia. Musiał uzbroić się w cierpliwość i czekać aż do teraz. Podobnie jak Axel Mossman, który siedział obok w fotelu i słuchał uważnie.

Wszyscy troje znów znaleźli się w piwnicy byłego szefa PET. Był późny wieczór.

Margrethe Franck właśnie opowiadała o swoich przygodach w Fuengirolí. Widać było, że w raportowaniu ma ogromną wprawę. Przedstawiała fakty w porządku chronologicznym, nie tracąc czasu na nieistotne szczegóły. Wkrótce dotrze do Kopparstierny. Nazwisko kojarzyło mu się tylko z jednym i nie był sobie w stanie wyobrazić, jaki mogło mieć związek ze sprawą.

Franck opowiedziała o fiasku poszukiwań na końcu tęczy pod jaśminem, o zmarłym ogrodniku, wdowie po nim i o chilijskiej sprzątacze po studiach. Wszystko zaprezentowała zwięźle, ale cała prezentacja w pełni nabrała sensu, kiedy Blanca stała się *Blancą Luną* — białym księżycem Sigrid.

Skarb przechowywano w taniej, szarej aktówce, której zawartość Margrethe Franck godzinami rozkładała na czynniki pierwsze i analizowała.

Według Franck dzienniki samej Sigrid Ryttinger Bulbjerg nie są specjalnie interesujące. Kobieta zapisywała w nich swoje uczucia. Refleksje nad tajemnicą, tęsknotą i rozgoryczeniem, które w niej wywoływała utrata ojca w takich okolicznościach. Wewnętrzne dywagacje o pragnieniu oddania mu sprawiedliwości i poczuciu, że ma obowiązek pociągnąć kogoś do odpowiedzialności. Dzienniki odzwierciedlały jej nastroje.

Z kolei chaotyczny zbiór papierów z domu letniego Ryttingerów jednoznacznie określał rolę, jaką w całej sprawie odegrał Vitus Sander. Ale to właściwie jedyny konkret, jaki dało się wyciągnąć z dokumentów, które zresztą Ryttinger być może zamierzał kiedyś zabrać ze sobą do Kopenhagi.

— Jest jednak w tych papierach jedna informacja ważniejsza od wszystkich innych — zapowiedziała Margrethe i zrobiła dramatyczną pauzę.

Obaj patrzyli na nią w napięciu. Nie śpieszyła się. Wzięła łyk kawy i dopiero dokończyła:

— Informacja ta znajduje się w notatce z dziennika. Jest to kartka z najstarszą datą. Pochodzi z okresu, w którym Ryttinger znajdował się u szczytu swojej kariery w przemyśle ciężkim. Miał pięćdziesiąt osiem lat, kiedy pisał:

Co za triumf dla człowieka tak zahartowanego w boju jak ja... pozyskać do zarządu postać tego kalibru! W dniu dzisiejszym otrzymałem pozytywną odpowiedź od Knuda Klinta Kopparstierny. Od nowego roku wejdzie w skład zarządu Ryttinger Jernindustri. Mimo że działa w zupełnie innej branży, niezrównanym sukcesem jest mieć go u siebie. Nie spotkałem jeszcze osoby tak inteligentnej i dalekowzroczej. To prawdziwy wizjoner i już teraz dostrzegam w jego działalności zarys czegoś wielkiego. Któregoś dnia niewątpliwie obejmie u nas rządy. W naszych kręgach od dłuższego czasu prowadzono wzmożone starania, by włączyć do nich K.K.K. I chodzi tu o miejsce na samym tronie, nie u jego boku. W związku z tym, że teraz tak bardzo się do niego zbliżyłem, powierzono mi szczególną rolę przekonania K.K.K.

— Więcej o Knudzie Klincie Kopparstiernie w papierach Ryttingera nie ma nic. Ani słowa... Za to Sigrid wspomina o nim w dokumentacji własnego śledztwa. Za chwilę do tego przejdę. Zakładam, że nie muszę wam mówić, kim był Kopparstierna.

Pokręcił głową. Mossman zrobił to samo. Knud Klint Kopparstierna był gwiazdą i filarem duńskiej gospodarki. Na równi z Mærskiem Mc-Kinneyem Møllerem. Obaj już dawno nie

żyli. Jak dotąd nie pojawił się nikt, kto zdawał się dysponować podobnym talentem. Nawet Villum Grund-Löwenberg.

Obecnie Kobberstjerne Pharma International to potężny koncern wart fortunę. Produkują głównie insulinę i leki antydepresyjne. Dwa flagowe produkty przynoszące miliardowe zyski. Tyle wiedział, ale...

— Pisząc te słowa, Ryttinger mimo wszystko nie spodziewał się chyba, jak wysoko w istocie zajdzie Kopperstierna. Dziś Kobberstjerne Pharma samodzielnie jest w stanie nadawać kierunek akcjom wiodących duńskich spółek. Kiedy im rośnie indeks, rośnie cały C dwadzieścia — wyjaśniła Franck.

Oxen uniósł palec, by zasygnalizować, że czegoś nie rozumie.

— Nazwisko jest szwedzkie, ale nazwa spółki — duńska. Czemu?

— Dokończę tylko i przejdę dalej. Knud Klint był Duńczykiem z krwi i kości, ale wzenił się w stary szwedzki ród Kopperstiernów. Jego żona ma na imię Barbro. Była od niego trochę młodsza. Żyje i ma się dobrze. On za to zmarł na zawał w wieku zaledwie pięćdziesięciu dwóch lat. Firma nosi duńską nazwę, bo tu została założona i tu ma swoją główną siedzibę. Ale nazywa się tak jak rodzina żony przez szacunek dla faktu, że to ich szwedzkie korony stanowiły kapitał założycielski. Knud Klint sam w jednym z wywiadów to tłumaczył. Spółka jest zresztą własnością fundacji — Kopperstierna Fonden. Fundacja ma więc nazwę szwedzką... mimo że jest zarejestrowana w Danii i ma siedzibę w Kopenhadze. Axel, ty, zdaje się, rozmawiałeś kiedyś z Kopperstierną, przed wieloma laty?

Franck spojrzała na byłego szefa, który siedział z zamyśloną miną i wyglądał, jakby myślami był bardzo daleko. Wolno odparł:

— Kopperstierna... chcesz przez to powiedzieć, że...

Pokręciła głową...

— Nie, nie. Nic nie chcę powiedzieć — jeszcze nie. Nie doszłam na razie do mojej konkluzji. Chcę tylko, żebyś opowiedział o tym Nielsowi. On przecież nic nie wie. A to ważny element układanki.

— Tak, oczywiście... To prawda. Kiedyś zdarzyło mi się przesłuchiwać Knuda Klinta Kopparstiernę. W aktach sprawy Ryttingera, które dostała Margrethe, są jego zeznania. Przesłuchaliśmy wtedy wszystkich członków zarządu, albo raczej... odbyłem z nimi rozmowę. Chciałem ustalić, czy mamy do czynienia z wrogiem z zewnątrz, czy z wewnątrz Ryttinger Jernindustri. Knud Klint był typem człowieka, którego się nie zapomina. Był wtedy jeszcze całkiem zielony, a już miał w sobie wyjątkowy, naturalny autorytet. Nie będąc przy tym aroganckim. Wręcz przeciwnie. Był uprzejmy i z rozwagą dobierał słowa. Klasa sama w sobie... Jak wiecie, te wszystkie rozmowy nic mi nie dały. Ryttinger wielokrotnie prosił Kopparstiernę, by wszedł w skład zarządu. I tamten w końcu się zgodził. Wiele osób potwierdziło, że tak właśnie się to odbyło.

— Dokładnie — ponownie zabrała głos Franck. — Pozwólcie, że przejdę dalej. Najcenniejsze materiały w tej teczce to efekty śledztwa Sigrid. Rozmawiała z członkami zarządu w firmie ojca. To znaczy z tymi, którzy nadal żyli. Wszyscy już wtedy byli w podeszłym wieku i żadnego nie ma już wśród nas. W ramach swojego śledztwa spotkała się również z wieloma ważnymi postaciami świata polityki i biznesu. Przed jedenastu laty — dokładnie dwudziestego listopada — Sigrid napisała do Kopparstierna Fonden i poprosiła o rozmowę. Kilka dni później odpowiedziała jej wdowa, Barbro. Zgodziła się na spotkanie. Umówiły się na ósmego grudnia. Była to ostatnia czynność, którą Sigrid udało się wykonać w jej prywatnym śledztwie. Dwudziestego szóstego grudnia zginęła na autostradzie.

Margrethe Franck znów zamilkła. W piwnicy zapadła absolutna cisza. On sam popatrzył na Mossmana, który wbił wzrok we wnętrze swoich dłoni.

— Hm. Zatem Sigrid odwiedza Kopparstiernę. A osiemnaście dni później nie żyje.

Mossman wymruczał te słowa do swoich dłoni. A potem szybko spojrzął na Franck i spytał:

— O czym chciała rozmawiać z Barbro Kopparstierną? Jest

o tym jakaś wzmianka? I czy spotkały się bardziej... prywatnie?

— Spotkały się w siedzibie fundacji przy Havnegade. Jako powód spotkania Sigrid podała... chwileczkę...

Franck przewertowała swoje notatki i znalazła kartkę, z której przeczytała:

...ponieważ teraz, w jesieni życia próbuję pozbierać elementy, których brakuje do pełnego obrazu zabójstwa mojego ojca. (Jak pani być może pamięta, mąż pani zasiadał w zarządzie koncernu taty). Robię to dla spokoju ducha własnego i mojej siostry oraz przez wzgląd na przyszłe pokolenia. Dlatego proszę o rozmowę każdego, kto był bliski mojemu ojcu. Pani mąż, mam wrażenie, był mu zaś bliski w sposób szczególny.

Franck odłożyła kartkę i mówiła dalej:

— Potem jest oczywiście dalsze wyjaśnienie, ale tak właśnie brzmi powód. Sigrid w tajemnicy nagrała rozmowę. Jej stenogram zajmuje mnóstwo kartek, ale moim zdaniem nie ma w nich nic ciekawego. To przede wszystkim uprzejma konwersacja, z której wynika, że Barbro Kopparstierna nie miała pojęcia, jakie zdanie miał jej mąż o Ryttingerze. Moim zdaniem Barbro brzmi szczerze. W spotkaniu uczestniczył również jej brat, Sixten Kopparstierna.

— Dlaczego? I kim on jest? — Oxen strzelał pytaniami jak z procy. O wdowie słyszał, choć wycofała się z życia publicznego. Ale o bracie nie wiedział nic.

— Sixten, *well*...— Axel Mossman pokiwał tylko głową. On najwyraźniej wiedział o istnieniu tego człowieka.

Franck ponownie podjęła wątek. Była jak dobrze naoliwiona maszyna. By tak się przygotować, musiała pracować bez przerwy. Pewnie jeszcze w samolocie. Ale w ogóle nie było tego po niej widać.

Wylądowała dziś po południu. Przeczytanie zawartości teczki musiało zająć sporo czasu, ale jej najwyraźniej udało się jeszcze całkiem sporo posprawdzać.

— Sixten Kopperstierna jest poważanym prawnikiem — zaczęła.
— Ma sześćdziesiąt sześć lat, a Barbro, tak na marginesie, ma siedemdziesiątkę. Sixten miał własną, doskonale prosperującą firmę konsultingową z oddziałami we wszystkich skandynawskich stolicach. Sprzedał ją za ogromne pieniądze. Dziś jest głównie doradcą swojej siostry. Według wszelkich dostępnych źródeł to on podejmuje wszystkie ważniejsze decyzje w fundacji. Cieszy się bezgranicznym zaufaniem swojej siostry i żyje tak samo dyskretnie jak ona. Barbro unika kontaktów z mediami i on — podobnie. Znalazłam tylko dwa stare wywiady z nim z czasów, gdy miał jeszcze firmę. I teraz pozwolę sobie w wielkim skrócie opisać wam ostatni etap i mój własny wniosek — mówiła Franck, czując, jak każda kolejna informacja uruchamia w nich nową falę spekulacji i wprawia w drżenie powietrze w piwnicznym centrum dowodzenia.

Obaj pokiwali głowami, a Franck dolała sobie kawy.

— W ciągu ostatniej doby wypiałam chyba z hektolitr kawy — wyjaśniła z poważną miną. Wstała i odeszła dwa kroki na bok. Z podłogi podniosła nowy stos dokumentów.

— W jednym ze swoich dzienników Sigrid rozumuje bardzo rozsądnie. Posłuchajcie. — Franck zaczęła czytać:

Dopiero wiele lat po śmierci taty, kiedy w Skagen znaleźliśmy te papiery, zrozumiałam, że podczas włamania i zabójstwa skradziono coś więcej niż tych kilka drobiazgów. Jeśli się chowa luźne kartki z dziennika albo raporty ze spotkań, to znaczy, że gdzieś istnieją reszta dziennika i inne raporty. Wtedy o tym nie pomyśleliśmy, ale to logiczne — tato musiał prowadzić dziennik. Zawsze wszystko zapisywał. Tyle że w domu niczego takiego nie znaleźliśmy. Dlaczego? Ponieważ morderca ojca znalazł to przed nami i zabrał.

Franck przerwała i oparła się o ścianę. Sigrid miała rację, ale Mossmana, który prowadził tamto śledztwo, nie można było obwiniać o niedopełnienie obowiązków. Nie mógł szukać papierów, o których istnieniu nie wiedział. Franck mówiła dalej:

— Mamy więc Ryttingera, który ma wątpliwości wobec metod

działania Danehofu. I mamy Danehof, który postanawia Ryttingera zlikwidować. Mamy też znacznie starszą notatkę, w której Ryttinger pisze, jakoby Knud Klint Kopperstierna najwyraźniej został wytypowany do „ich kręgu” na pozycję „na tronie, nie u jego boku”. Tak też się stało. Oczywiście, że coś takiego Ryttinger musiał przelać na papier. Opisał, jaką rolę on sam odegrał w pozyskaniu człowieka wytypowanego na najwyższego przywódcę, na lidera Danehofu Øst: Knuda Klinta Kopperstierny. Człowieka, który wydawał się niepokonany w swoich sukcesach, a przedwczesna śmierć i tak nie pozwoliła mu w pełni rozwinąć jego potencjału. Za to jego dzieło, jego koncern rozwijał się dalej i wciąż się rozwija.

Franck wzięła szybki łyk kawy, jakby się bała, że któryś z nich jej przerwie.

— To nie jest moja logiczna konkluzja, lecz konkluzja Sigrid. W którymś momencie pisze:

Jeśli to nie największa potęga w kraju, Kobberstjerne Pharma International A/S, zasiada na najwyższym miejscu, to kto?

— W swoim śledztwie odbyła niezliczoną liczbę rozmów, zanim zdecydowała się skonfrontować z ową potęgą: z Barbro Kopperstierną. Ale Sigrid, z wykształcenia historyczka, nie poprzestała na tym. Dostrzegła powiązania i dalsze perspektywy. Bo kto mógłby zostać liderem Danehofu po nagłej śmierci założyciela międzynarodowego koncernu? Kto mógłby zająć miejsce Knuda Klinta Kopperstierny? Kobieta? Jego żona, Barbro...? Nie, to Sigrid trudno było sobie wyobrazić. Spróbowała ją scharakteryzować: *To nie jest tego typu osoba. Nie jest człowiekiem władzy*, napisała w którymś momencie. Zamiast niej Sigrid wzięła pod lupę jej brata Sixtena, który był wtedy doradcą fundacji. Zbadła też historię rodziny. Szlachecki ród Kopperstiernów miał dwie gałęzie — duńską i szwedzką. Duńska gałąź, ród Kobberstjerne albo raczej Kobberstierne, bo po prawdzie, według staroduńskiej pisowni powinno się pisać z „i”, a nie „j”, w pewnym momencie był jednym z najpotężniejszych w królestwie.

Margrethe Franck przekartkowała swoje notatki i znalazła to, czego szukała.

— Również tu całą robotę odwaliała Sigrid. Ja wynotowałam tylko najważniejsze punkty. W latach czterdziestych czternastego wieku Peder Nielsen Kobberstierne jako marszałek Waldemara Czwartego Atterdaga wprowadził swoją rodzinę w szeregi najbardziej wpływowych rodów. Od tamtej pory ród przez stulecia utrzymywał mocną pozycję. Całe pokolenia Kobberstiernów piastowały urzędy w radzie królewskiej, a zdarzali się też marszałkowie i hofmistrzowie. Jeden był hufmistrzem na szwedzkim dworze Karola Ósmego Knutssona. Inny Kobberstierne był namiestnikiem w Norwegii, a jeszcze inny — biskupem. Ród jest przedstawiany jako najpotężniejszy i najbogatszy w królestwie. W tysiąc siedemset dwudziestym dziewiątym duńska gałąź rodu wymarła, ale jak wspomnieliśmy, gałąź szwedzka żyje i ma się dobrze. Ojciec Barbro i Sixtena, Claes Kopparstierna, swoją fortunę budował, eksploatując rudy żelaza w północnej Szwecji. Niektórzy współcześni członkowie rodu to postacie publiczne, inni pozostają anonimowi. Dla Sigrid wymiar historyczny oznaczał, że istnieje czerwona nitka krwi wiodąca od Kopparstiernów wstecz, aż do Nyborga i średniowiecznego parlamentu Danehofu. Nawet jeśli sama przyznaje, że nie jest to żaden konkretny dowód.

Franck przerwała i podeszła do obitej płótnem ściany służącej Mossmanowi za wielką tablicę. Czerwone pineski na mapie kraju oznaczały dworki, majątki i zamki. Wyjęła jedną z nich i wbiła poza mapą, w miejscu, w którym byłaby zachodnia Szwecja, mniej więcej na wysokości Kopenhagi.

— Tu — powiedziała i spojrzała po nich. — Mniej więcej tutaj, w Skanii, piętnaście kilometrów na wschód od Malmö, stoi rodowy zamek Kopparstiernów. Nazywa się Torup i należy do rodziny od pokoleń. W połowie dziewiętnastego wieku został sprzedany z powodu trudności finansowych, ale ojciec Barbro i Sixtena odkupił go za pieniądze z żelaza w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym i obecnie właścicielem zamku jest Sixten. Połowę czasu spędza w dużym, starym mieszkaniu przy

Stormgade w Kopenhadze, a drugą połowę na swoim zamku, doglądając jego spraw bieżących. Dla Sigrid ten szczegół nie miał większego znaczenia. Nie wiedziała tego, co my wiemy: mianowicie, że liderzy Danehofu są przypisani do konkretnych nieruchomości — zamku Nørlund w Jutlandii Północnej i Gram w Jutlandii Południowej. Być może ma to jakieś większe znaczenie symboliczne, że najbardziej zaszczytne miejsce przy stole zajmuje w Danehofie Kopparstierna... Wiemy przecież, że Skania od czasów wikingów do tysiąc sześćset pięćdziesiątego ósmego należała do Danii.

Margrethe Franck wzięła dwa głębokie wdechy i westchnęła na zakończenie.

— To tyle... teraz czuję, że nie spałam od ponad doby. Jest jeszcze kawa?

Rozdział 59.

Cały wieczór ani słowa. Za pół godziny będzie północ. Dzień się kończył. Leżał na kanapie, w telewizji leciało rugby. Aussie kontra Kiwi, Wallabies przeciwko All Blacks, wszystko po drugiej stronie globu.

Normalnie z uwagą śledziłby ekran, ale teraz to było niemożliwe. Powód gapił się na niego z monitora laptopa: cztery zdjęcia mężczyzny w czarnej czapce.

Większość dnia krążył po domu jak lew w klatce. Nie zrobił nic z tego, co miał do zrobienia. Wyjął odkurzacz, ale zostawił go w przedpokoju. A stos prania dalej tkwił na podłodze w sypialni.

Nagle leżący na stoliku telefon dyskretnie zasygnalizował nową wiadomość. W esemesie napisano: „Nowe zdjęcia — z twarzą. Mailem w ciągu kwadransa. Dzień się nie skończył. Pięć stów ekstra jako bonus. Zgoda? Marsh”.

Odpisał szybko: „Zgoda”.

Więc ten kretyn i jego kumpel jednak dali radę. Może oferta dodatkowej kasy pomogła im się sprężyć. Piętnaście minut? Marsh miał rację. Było przed północą, tuż przed deadline'em. Pięćset funtów to w tej sytuacji darmocho.

Wstał z kanapy i poszedł zrobić kawę. Jeśli przeczucie go nie myli, i tak dziś nie zaśnie. Ktoś mu zagraża. A jego twarz uruchomi ciąg domysłów.

Usiadł z kawą przed komputerem. Nie śpieszyli się. Minuty wlokły się w nieskończoność. Kwadrans to piętnaście minut. I ani sekundy dłużej, do cholery.

Wpatrywał się jak zahipnotyzowany w wiadomości przychodzące. W końcu zaczął się niecierpliwić i co pół minuty odświeżał skrzynkę. Nic. Klikał i klikał.

Po trzynastu minutach w skrzynce pojawiła się wiadomość od Marsha. Otwarł ją błyskawicznie.

Treść była krótka: „Więcej zdjęć z Liverpool Lime Street Station — wszystkie bez twarzy. Znaleźliśmy go na zewnątrz stacji. Cztery zdjęcia ze skrzyżowania Lime Street/Ranelagh Street. Z twarzą. Najlepsze, jakie mamy. Marsh”.

Żołądek mu się zacisnął, gdy otworzył najpierw pierwsze, potem drugie, trzecie i czwarte zdjęcie. Wszystkie zostawił otwarte.

Zdjęcie numer trzy... twarz...

To nie mógł być... nie! Kurwa, przecież to niemożliwe. Miał przed sobą zjawę. Jebanego ducha. Nie. To po prostu nie może być on.

Potarł twarz dłońmi i skupił się raz jeszcze. Zdjęcie numer trzy było najlepsze. Wyraźnie widać podbródek, szczękę, kości policzkowe, nos, czoło... Duński bohater wojenny, którego osobiście wysłał prosto do piekła, strzelając do niego z działa u wybrzeży Szwecji. Niels Oxen. Z wszystkich ludzi na ziemi. Ale jak, kurwa?

Przesunął wzrok z powrotem do pierwszego zdjęcia. Mężczyzna stał na chodniku i patrzył nieco w górę, przez co spod daszka można było zobaczyć nieco więcej niż na wcześniejszych zdjęciach. Na drugim zdjęciu ręką odsunął daszek i odsłonił fragment twarzy. A na trzecim był w ogóle bez czapki. Tylko fragment przedramienia zasłaniał kawałek twarzy. Wyglądał, jakby ocierał czoło rękawem. Na czwartym zdjęciu ponownie miał włożoną czapkę.

Powiększył je. Powiększył jeszcze bardziej. I znów zmniejszył. Był na osiemdziesiąt — nie, na dziewięćdziesiąt procent pewny. Mężczyzna na chodniku to wysoko odznaczony duński weteran Niels Oxen.

Jego myśli pędziły teraz we wszystkich kierunkach. Najwyraźniej na niego polował. Jak na zwierzynę. Osaczył go. Zaczął od Alistaira MacDuffa i podchodził bliżej. Dzięki zdjęciom z Nigeru i Bukaresztu próbował złapać trop. Krok po kroku. To

doskonale wyszkolony żołnierz. Świetny komandos. Dobry w swoim fachu. Gdzieś tam się czai — wytrwały i cierpliwy. Duńczyk go potrzebuje, bo on może mu pomóc się ocalić. Dlatego potrzebuje go żywego.

Wziął łyk kawy i mocno zacisnął oczy, ale pod powiekami i tak migały mu zdjęcia mężczyzny.

Popełnił niewybaczalny błąd. To bez dwóch zdań największa porażka w jego życiu. Nie może przecież teraz skontaktować się z klientem. Jeśli to zrobi, sprawa się rozniesie. A on będzie skończony. Zresztą nawet gdyby chciał wziąć odpowiedzialność i przyznać się do pomyłki, to i tak nie może. Nie wie, gdzie miałby go szukać. Nie ma żadnego numeru telefonu, żadnego maila, żadnej procedury awaryjnej. Zawsze komunikowali się w jedną stronę. Zawsze poprzez szarego Nielsena w złotych oprawkach, który był jego bezpośrednim mocodawcą.

Poderwał się z kanapy i zaczął nerwowo chodzić po pokoju, tam i z powrotem, od okna w pokoju do okna w kuchni i znów, wszędzie pozaciągał zasłony. Na zewnątrz było ciemno. Jakies oczy mogły przyglądać mu się z mroku.

Istniało tylko jedno rozwiązanie tego naglącego problemu. Natychmiast zaczął rozważać w głowie swoje możliwości.

Musi przypuścić kontratak. Musi zlikwidować Nielsa Oxena. Raz na zawsze zadbać, aby ten nadczłowiek więcej się nie pojawił, żeby go nękać.

Rozdział 60.

Na czole Axela Mossmana rysowały się zmarszczki głębsze niż kiedykolwiek. Przez to, że tyle schudł, fałdy na jego twarzy niemal nakładały się na siebie jak żaluzje. Z czoła na powieki, pod oczami, wokół ust i pod brodą. Twarz zamyślonego basseta, która teraz wyglądała jak skamieniała.

Przesunął wzrok z Mossmana na Margrethe. Opierała się o ścianę. Milczała. Gdy tylko skończyła swój raport, jej twarz zaszła cieniem. Miała worki pod oczami, a te wyglądały jak granatowe dziury. W ciągu kilku sekund straciły cały blask. Wyglądała, jakby w każdej chwili mogła zemdleć.

Podniosła wzrok i ich spojrzenia się spotkały. Uśmiechnęła się lekko i pokiwała głową. Czy to miał być wyraz nadziei? Pocieszające skinienie od kogoś, kogo cenił i komu ufał — rodzaj zapewnienia, że wszystko będzie dobrze?

Knud Klint Kopperstierna, Kobberstjerne Pharma International, Barbro i Sixten Kopperstierna... walka z kolosami. Walka, która wciąż była przed nimi i która ani trochę nie napawała optymizmem.

— Cóż, potrzeba czasu, by przetworzyć sobie tę myśl i zobaczyć pełny obraz, prawda, Niels?

Znów spróbowała posłać mu blady uśmiech. Pokiwał tylko powoli głową.

Axel Mossman wciąż tkwił pogrążony we własnym świecie. W końcu poruszył się, jakby zamierzał wstać. Kilkoma etapami przesunął swoje wciąż rozległe ciało na skraj fotela. Gdy wstał, odchrząknął i podszedł do ściany. Stał teraz niemal na wprost Margrethe. On sam znalazł się zakleszczony pomiędzy nimi.

— Przede wszystkim — zaczął Mossman — chciałbym odnieść się do pytania, które nie padło, lecz które od dłuższej chwili sobie

zadajecie. Czemu u licha ten stary dziad nie pomyślał o takim wariancie? Otóż będę z wami szczery — ani przez moment nie przemknęło mi przez myśl, że świętej pamięci Knud Klint Kopperstierna mógł być kryminalistą. Że mógł należeć do Danehofu, a nawet być jego liderem. Biję się w piersi... Teraz wydaje mi się oczywiste, że największa i najbardziej wpływowa potęga finansowa kraju może stanowić centrum struktury Danehofu. Ale... dotąd nie myślałem o tym w ten sposób. Jakimś wytłumaczeniem może być to, że koncern Kobberstjerne Pharma rozrósł się gwałtownie dopiero po śmierci Ryttingera. Dlatego w owym czasie rola tego akurat rodu wcale nie wydawała się tak oczywista, moi drodzy.

Mossman miał rację. On też się zastanawiał, dlaczego fakt, że Knud Klint Kopperstierna zasiadał w zarządzie koncernu Ryttingera, nie wzbudził większych podejrzeń. Jego kandydatura na tak wysokie stanowisko w branży, z którą zupełnie nie był związany, była dość zaskakująca. I rzucała się w oczy.

— Pomyślałam o tym już, czytając twoje raporty z przesłuchań. A teraz jego nazwisko wręcz rzuca się w oczy. Ale fakt, z perspektywy czasu rozumiem twoje przeoczenie. Dlaczego niby Knud Klint miałby się wydawać bardziej prawdopodobnym kandydatem na lidera Danehofu niż inne tuzy biznesu z tamtych czasów? — Margrethe wzruszyła ramionami.

Wiele rzeczy mu się nie zgadzało. Wstał, żeby nie być jedynym, który siedzi i patrzy na pozostałych z dołu. W dodatku tamci byli dawnymi pracownikami PET. Stał pod ścianą z mapą kraju. Byli teraz rozstawieni każdy pod inną ścianą. Spojrzał na Margrethe i powiedział:

— Czegoś jednak w tej historii nie rozumiem... Czy Sigrid, wkładając głowę w paszczę lwa, nie podpisała na siebie wyroku śmierci? Równie dobrze mogła wprost poprosić Sixtena, aby się jej pozbył. Dlaczego to zrobiła? I z kim spotkała się wcześniej? Powiedziałaś, że w trakcie swojego śledztwa odwiedziła wielu ważnych ludzi. Kim byli?

Franck słuchała go, kiwając głową, po czym odpowiedziała:

— Musimy pamiętać, że powiązania Kobberstjerne Pharma z Danehofem i Sixten jako najwyższy przywódca organizacji to jedynie teoria Sigrid. Ona sama nie zdołała tego udowodnić. Najmocniejszym dowodem pozostaje jej własna śmierć — krótko po jej rozmowie z Sixtenem i Barbro. Mnie osobiście przekonuje wewnętrzna logika jej teorii: najwyższe miejsce dla największej władzy. Król dzierży berło. A królem, mówiąc obrazowo, jest Kobberstjerne Pharma. Nikogo ponad i nikogo obok.

— Każde porządne śledztwo wymaga wyzbycia się wszelkich uprzedzeń i założeń — przypomniał Mossman z przeciwnej ściany.

— W pełni się zgadzam. Oceniam jedynie materiał zebrany przez Sigrid po tym, jak przebrnęłam przez niego w całości.

— Ponawiam pytanie: z kim spotkała się Sigrid?

— Jasne, przepraszam cię. — Franck pogrzebała w swoich notatkach. — W kolejności chronologicznej: ówczesny szef departamentu w ministerstwie sprawiedliwości Lars Poulsen, ówczesny minister sprawiedliwości Søren Høj, ówczesny szef policji Franz Østergård, prezes Sądu Najwyższego Johan Wolf-Witte, prokurator generalny Henry Poppel i wreszcie ówczesny prokurator z policji podatkowej Sigurd Månsson, którego dziś nazwalibyśmy prokuratorem generalnym do spraw zwalczania przestępczości gospodarczej i międzynarodowej.

Mossman zagwizdał ze szczerym podziwem.

Bo też lista była imponująca. Sigrid, skromna emerytowana nauczycielka, poważyła się na konfrontację z kilkoma z największych szyc w państwie duńskim.

— Z tymi sześcioma osobami Sigrid odbyła krótsze lub dłuższe rozmowy. Wszystkie w ciągu roku poprzedzającego jej śmierć.

— Ludzie o ogromnych wpływach — skomentował. — Kontaktując się akurat z nimi, narażała się na duże niebezpieczeństwo. Kto wie, czy któraś, albo któreś, z nich nie należy do Danehofu?

— Dokładnie, Niels. I Sigrid miała tego pełną świadomość.

Nazwała to „kalkulowanym ryzykiem”. Jej taktyka polegała na zwróceniu się do przedstawicieli trójpodziału władzy: do osób związanych z władzą ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą oraz policją. Sama zresztą określiła to jako „misję niemożliwą”. Podjęła się próby stworzenia koalicji, która ośmieli się przeciwstawić dominacji Kobberstjerne Pharma International i przeprowadzić dochodzenie w obrębie samej fundacji zarządzającej koncernem. Coś takiego musiało wymagać ogromnego i mocnego wsparcia. I tego właśnie szukała, kontaktując się z tymi ludźmi. Szukała na próżno, co sama stwierdza w jednym z dzienników.

— Jak mogła sądzić, że jej się uda? — mruknął Mossman. — Nikt, absolutnie nikt nie zdecydowałby się włączyć do tej walki. Kobberstjerne Pharma jest po prostu nie do ruszenia i każdy to wie...

— A ty nie spróbowałeś, kiedy miałeś możliwość. — Spojrzał pytająco na Mossmana.

— Zależy jak na to patrzeć... Odwagi na pewno mi nie brakowało. Ale mi nie pozwolono. Minister natychmiast stanął okoniem i jednoznacznie dał znać, że nic z tego.

Franck podeszła do stołu, na którym zostawiła większość materiałów. Pogrzebała w jednym ze stosów, wyjęła kilka kartek i wróciła na swoje miejsce pod ścianą.

— Wam jej myśl może się wydawać naiwna, bo nie czytaliście całości. Doskonale to rozumiem. Ale Sigrid w żadnym razie nie można uznać za naiwną. Zrobiła wszystko, co było w jej mocy. Obliczyła na przykład, ile pieniędzy Kopperstierna Fonden przekazała na rozmaite cele dobroczynne na przestrzeni pięciu lat. Sumy są kosmiczne. Pisze tak:

I tak oto Kopperstierna Fonden rok w rok oddaje duńskiemu społeczeństwu ogromną fortunę. Grube miliony są rokrocznie przekazywane w ramach darowizn na cele dobroczynne, a w wielu przypadkach na cele, których finansowanie zasadniczo jest obowiązkiem państwa. Czy można to nazwać jałmużną dla państwa dobrobytu? Moim zdaniem tak. I oto ja,

zwykły człowiek, stoję przed tymi potężnymi ludźmi i proszę ich, by pomogli mi zabić tę kurę, co im znosi złote jajka... Ale jestem to winna mojemu ojcu. I wykorzystuję w tej walce wszystko, czego się dowiedziałam. Wiem, że on by to docenił — a jeśli zamiast ujawnić prawdę, przyjdzie mi oddać życie, to widać tak miało być...

Margrethe Franck powiodła po nich wzrokiem.

— Mimo wszystko trzeba przyznać, że Sigrid imponowała odwagą, prawda?

Pokiwał głową. Mossman również. Walka, którą podjęła ta kobieta, przypominała jego własną. Próbę przeciwstawienia się najwyższej władzy.

— I co ta dzielna kobieta pisze o swoich sześciu spotkaniach? — zapytał Mossman. — Dobrze byłoby się tego dowiedzieć, przynajmniej pokrótce. Mogłabyś nam to streścić? — poprosił swoją niegdysiejszą podwładną.

— Sigrid narzuciła sobie dwumiesięczną karencję po każdej rozmowie. W tym czasie sprawdzała, czy spotkanie wywołało jakąkolwiek reakcję. Czy na przykład nagle zaczęto ją obserwować, śledzić albo czy zaczęła się czuć zagrożona. W ten sposób mogłaby namierzyć ewentualnego wroga. Mądra strategia. Tyle że nigdy nic takiego się nie wydarzyło. A co do owych sześciu rozmów — pozwólcie, że znów zajrzę do notatek.

Ponownie pogrzebała w papierach, westchnąwszy głęboko. Wyglądała jak ktoś, kto nie spał od doby.

— Szef departamentu był wyraźnie poirytowany. Kiedy Sigrid wymieniła nazwę Kobberstjerne Pharma i fundacji, przewrócił oczami, ale obiecał wstawić się za nią u ministra. Minister w poczuciu obowiązku poświęcił jej cały kwadrans. Zdaniem Sigrid zrobił to wyłącznie dlatego, że jej ojciec był znanym przemysłowcem. Gdy wymieniła nazwę Kopperstierna Fonden, protekcyjnie pogroził jej tylko palcem. Szef policji był aroganckim dupkiem, choć postawił jej kawę. Zapytał, czy odjęło jej rozum. Prezes Sądu Najwyższego Johan Wolf-Witte za to spędził z Sigrid aż czterdzieści pięć minut. Ten kulturalny

człowiek w sposób nad wyraz uprzejmy wyjaśnił jej, że duńskie sądy w żadnym wypadku nie mogą wykazywać samodzielnej inicjatywy śledczej. Nie omieszkał również przypomnieć Sigrid o, jak to ujął, *wielkim kalibrze przeciwnika*. Prokurator generalny uprzejmie ją zbył, a szef policji podatkowej słuchał jej uważnie przez niemal godzinę. Nie był obojętny, lecz wskazywał na duże braki w jej prywatnym śledztwie: *Można rzucić wyzwanie Kobberstjerne Pharma i Kopparstierna Fonden, ale tylko będąc pewnym zwycięstwa. W przeciwnym razie można stracić głowę*. Tak, według niej, miał zareagować. Zachęcił ją, by zgłosiła się do niego ponownie, jeśli znajdzie coś konkretnego.

— Czyli żadne z tych spotkań nic jej nie dało — podsumował Oxen.

— Co było do przewidzenia — odparła Margrethe.

— Logiczne — dodał Mossman i spojrział na zegarek. — Mogę was na chwilę przeprosić? Spodziewam się gościa.

Dawny szef PET wyszedł, zostawiwszy ich w piwnicy samych.

Gościa? Oxen spojrział pytająco na Franck.

— Mnie nie pytaj. O niczym nie wiem, ale do głowy przychodzi mi tylko jedna osoba: Sonne.

— Przecież odmówił.

— Ale pomógł zorganizować wideorozmowę z Fuengirolą. Więc kto wie?

Minęło kilka pełnych milczącego napięcia minut, zanim ponownie usłyszeli kroki na schodach. I ściszone głosy. Do pokoju wszedł siostrzeniec Mossmana Christian Sonne.

— Oxen... Margrethe... — Sonne uklonił się obojgu i uśmiechnął krzywo. — Zmieniłem zdanie. Po tym, jak głębiej się nad tym zastanowiłem, i po tym, co mi powiedziałaś, Margrethe. Jeśli tak ma wyglądać reszta mojego życia, to w zasadzie niewiele mam do stracenia. Przepraszam. Nie mogłem przyjść wcześniej. Jestem prosto po pracy — wyjaśnił.

— Lepiej późno niż wcale. Siadaj, kolego — zaprosił go

Mossman i podsunął krzesło. — Kontynuujmy, potem sam wprowadzę Christiana. Kawy?

Niegdysiejszy sierżant policji pokiwał głową i jego wujek wetknął mu w rękę parujący kubek.

— Skończyliśmy na rozmowach Sigrid z sześcioma wpływowymi osobami. — Mossman podjął wątek. — Co wy na to? Żołnierzu?

Niels tylko wzruszył ramionami. Sam nie wiedział, co powiedzieć. Nawet jeśli Sixten Kopparstierna rzeczywiście kierował Wschodem, w niczym nie zmieniało to jego własnej sytuacji. Nadal był martwy i musiał się ukrywać.

— Słuchajcie. Ja miałam więcej czasu od was, żeby się nad tym wszystkim zastanowić — powiedziała Margrethe. — Powinniśmy się skupić na pojedynczych, prostych krokach. Najważniejsze w tej chwili to znaleźć potwierdzenie albo zaprzeczenie teorii Sigrid. Jak to zrobić? Oxen nie będzie mógł nam pomóc, bo musi pozostać martwy. Ja też nie, bo muszę dalej chodzić do pracy. Podobnie jak Sonne. A ty jesteś emerytem, który chodzi na długie spacery z psem. Najprostszym i najbezpieczniejszym sposobem będzie podsłuch otoczenia, tak jak u Grund-Löwenberga.

— Idealnie byłoby połączyć to z podsłuchem telefonicznym, ale na własną rękę nie damy rady tego zorganizować. Jesteśmy zmuszeni działać w skali *mikro*, a aby zmusić spółki telekomunikacyjne do współpracy, potrzebowalibyśmy postanowienia sądu. Jako że jestem obecnie w PET persona non grata, możemy o tym tylko pomarzyć. Nie mamy żadnych sojuszników — stwierdził Mossman.

— Podsłuch otoczenia będzie musiał wystarczyć. I oczywiście musimy przeświecić dokładnie ich oboje — i Sixtena, i Barbro — powiedziała Margrethe.

Przez chwilę się zastanawiała, przygryzając wargę, po czym ciągnęła dalej:

— Myślę, że mogłabym dostać się do ich komputerów — i prywatnych, i tych należących do fundacji. Znam człowieka, który wcześniej pomógł mi w podobnej sytuacji. Nieoficjalnie.

Kogoś zaufanego. Zabawimy się w hakerów? I czy mamy na to środki?

Mossman spojrział na nią zaskoczony.

— Chcesz powiedzieć, że to ktoś, z kim pracowałaś w czasie służby?

— Tak.

— Korespondencja elektroniczna jest równie ważna jak podsłuch. O ile nie ważniejsza. Ile kosztuje twój gość?

Franck wzruszyła ramionami.

— Myślę, że jakieś trzydzieści, czterdzieści tysięcy koron, w zależności od tego, jak szeroki okaże się zakres pracy.

— W takim razie umów się z nim — powiedział Mossman i zdecydowanie pokiwał głową. — Ale chciałbym jeszcze coś zaproponować. — Spojrzał na nich pytająco. Nigdy wcześniej tak nie robił. Zawsze po prostu decydował. Pokiwali głowami, by kontynuował.

— To może się wam wydać nieco ekscentryczne. Sam nie do końca jeszcze to sobie przemyślałem, moja propozycja to czysty impuls. Albo odwrócona logika... W każdym razie chciałbym się spotkać z Sixtenem Kopparstierną *face to face*.

Popatrzyli na niego zaskoczeni. Mossman uniósł obie dłonie w obronnym geście.

— Jeśli Sixten uważa, że podejrzewam go o przywództwo nad Wschodem, to logiczne, że w takiej sytuacji *nigdy* bym się nie odważył spotkać z nim i jego siostrą Barbro. Wcisnę im kit, że wynajęła mnie ostatnia żyjąca członkini rodu Ryttingerów, żebym zbadał okoliczności śmierci jej siostry. A ponieważ w pamiętniku zmarłej wyczytałem, że przed laty spotkała się z przedstawicielami Kopparstierna Fonden, zapytam ich wprost, jaki był cel tamtej wizyty. To najpewniejszy sposób, by przekonać Sixtena, że nie mam najmniejszych podejrzeń wobec niego. Nie sądzicie? W moim fachu czasem najwięcej można osiągnąć, jeśli odwróci się swój motyw o sto osiemdziesiąt stopni. Zaburzy

logikę przeciwnika, zrobi coś wbrew logice.

— I co chcesz tym osiągnąć? — spytał Niels.

— Muszę się *dowiedzieć*, jakimi torami myśli Sixten Kopperstierna. W przeciwnym razie nie będę mógł opracować skutecznej strategii. Nie będę mógł przewidzieć, jak zareaguje w danej sytuacji. Poza tym, na poziomie najbardziej podstawowym, zawsze dobrze jest spojrzeć wrogowi w oczy. Zajrzeć w jego duszę. Pewnie to znasz, żołnierzu? Pokazać mu, że jeszcze nie wypadłem z gry. Jeśli Sixten Kopperstierna stoi na czele Danehofu, to on mnie upokorzył i rzucił na kolana. Chcę, aby wiedział, że się podniosłem.

Margrethe Franck skwitowała ten pomysł głębokim westchnieniem:

— I myślisz, że cię nie usunie jednym pstryknięciem palcami?

— Czemu miałyby to zrobić? Już raz pozwolił mi żyć. A teraz jestem dla niego zwykłym emerytem, który z nudy rozgrzebuje dawną sprawę.

— Uważam podobnie jak Niels — po co ci to?

— Jak powiedziałem: jego sposób myślenia i nasza strategia są ze sobą powiązane. Poza tym nie mniej istotne jest, że przy okazji być może uda mi się nieco zmącić spokojne wody i uruchomić komunikację wewnątrz organizacji. Wówczas nasze małe robale dostaną jakąś pożywkę. A propos, Christian, jesteś w stanie załatwić nam podsłuchy?

Mossman spojrział pytająco na siostrzeńca.

— Już nie.

Margrethe ponownie zabrała głos. Najwyraźniej chciała, aby w końcu podjęli decyzję, żeby mogła wrócić do domu i się wyspać.

— Słuchajcie — zaczęła. — Moim zdaniem potrzebujemy trzech dni, żeby przeświecić Sixtena, Barbro i fundację. W tym czasie musimy zamontować podsłuch w mieszkaniu Sixtena tu, w Kopenhadze. Musimy też zdobyć sprzęt, który przewieziemy do Szwecji, i tam również rozmieścić nadajniki. Przy obu okazjach

musimy dokładnie przetrzepać oba adresy — bardzo ostrożnie... Do tego zamontujemy GPS w samochodzie Sixtena, żebyśmy mieli go na smyczy. Nie wiem, czy to dobry pomysł, żebyś spotykał się z Sixtenem i Barbro. Ale jestem na tak, bo chyba sam wiesz najlepiej. A wy jak uważacie?

Oxen tylko pokiwał głową. Sonne zrobił to samo.

— Dobrze. Dziękuję — odparł Mossman. — Mogę zadzwonić do Londynu i skołować kilka dodatkowych zestawów. Prawdopodobnie już jutro rano. Będę musiał osobiście tam polecieć i je odebrać. I wrócić tego samego dnia. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, pojutrze rano będą do odebrania. Zostawię je za garażem.

— I dalej nie wiesz nic o zdjęciach Johna Smitha?

— Nie, Oxen. Wciąż ani słowa. Ale jutro będę mógł popytać raz jeszcze. Będę naciskał. A poza tym co u ciebie? Dzwoniłeś do tej babki od pokoju?

— Tak. Mieszkam w jej piwnicy. Mam tam mały pokój z własną łazienką...

— No proszę. To prawie jesteśmy sąsiadami. Już niedługo koniec z twoim ukrywaniem się po piwnicach, żołnierzu... Do tego to wszystko zmierza — by skończyć z piwnicami. Spotykamy się za cztery dni. Tutaj, o dwudziestej drugiej. Dziękuję wam za dziś. I tobie, Margrethe, za świetną robotę.

Rozdział 61.

Brązowa walizka powoli podpływała ku niemu na taśmie bagażowej. Wyłowił ją i natychmiast skierował się w stronę dużego szyldu z napisem „Pasażerowie z krajów UE”.

Duńczycy również uczestniczyli w walce przeciw mrocznym postaciom religijnego fanatyzmu. I Duńczycy również byli ich celem. Jeśli wcześniej mogli mieć co do tego wątpliwości, to po Paryżu czy Brukseli chyba wszyscy już mają jasność. Czytał zresztą gdzieś, że w związku z wizytą szwedzkiego rysownika doszło w Danii do ataku jakiegoś szaleńca. Tym bardziej więc go dziwiło, że przeszedł przez cło i szedł do hali przylotów, nie widząc po drodze choćby cienia broni maszynowej.

Ale to jest lotnisko Kastrup, panie i panowie. Tu jest Kopenhaga, królestwo cholernego Hansa Christiana Andersena. Spoko, ale mimo wszystko chyba zbyt bajkowe. Nie było tu również wrzeszczącej, przepychającej się i spoczonej ludzkiej masy wymachującej nad głowami tabliczkami, jaka wielokrotnie witała go, gdy lądował w Afryce. O nie — niewielka grupka ludzi ustawiła się po skandynawsku w równym rzędku i w milczeniu czekała na swoich gości.

Od razu zauważył mężczyznę w zamszowej kurtce i ciemnych okularach odsuniętych na czoło. I najważniejsze — w czerwonym szaliku na szyi. Podeszedł do niego.

— John Smith — przedstawił się.

— Świetnie — odparł mężczyzna. — Proszę za mną. Morten czeka w samochodzie.

Trzy dni minęły, odkąd tuż przed północą dostał ostatnie cztery zdjęcia mężczyzny w czarnej czapce z daszkiem. Cały ten czas poświęcił na planowanie i lekturę własnego małego archiwum wcześniejszych zleceń. A teraz stanął na duńskiej ziemi. Trzeba

posprzątać. I to szybko. Szybkie wejście, szybki odwrót. To rozsądne życiowe credo.

Morten to Morten Lundbye. Jeden z Duńczyków, których zwerbował w zeszłym roku, kiedy miał do wykonania duży kontrakt dla Nielsena. Pracowali wtedy razem po raz pierwszy. Gość był dawnym żołnierzem działającym w branży ochroniarskiej jako wolny strzelec. Teraz miał z nim pracować po raz drugi i ostatni.

Mógł wybrać kogoś innego, ale do tego zadania Lundbye był jedynym słusznym wyborem. To on wbił nóż w tamtego starucha od ryb. Sam kazał mu to zrobić, ale, kurwa, żałosny dupek nie musiał przecież go słuchać i popełniać zbrodni we własnym kraju. Każdy dokonuje własnych wyborów w każdej jednej sytuacji.

Gdyby Lundbye wtedy go nie posłuchał, sam musiałby to zrobić. Zabicie starego było konieczne dla całego misternie ukutego scenariusza i sprawiło, że każdy metr kwadratowy tego małego, naiwnego kraju przeczesano w poszukiwaniu Nielsa Oxena.

Decydując się na Mortena Lundbyeego, wybrał sobie współpracownika maksymalnie zmotywowanego i gotowego dać z siebie wszystko, bo w przeciwnym razie ryzykował, że resztę życia spędzi za kratkami.

Poszedł za gościem w czerwonym szaliku. W milczeniu szli chodnikiem i przechodzili kolejne uliczki lotniskowego labiryntu, aż stanęli przed czarnym audi. Lundbye siedział na tylnej kanapie, ciemne okulary zasłaniały mu pół twarzy. Zgodnie z instrukcjami nie wysiadł. Samochód został wypożyczony na inne nazwisko, a gość w szaliku również był objęty procedurą bezpieczeństwa, którą dokładnie Duńczykowi opisał.

Żaden monitoring nie mógł uchwycić go w pobliżu Mortena Lundbyeego. Mężczyzna w szaliku wziął walizkę i włożył ją do bagażnika. On sam usiadł z tyłu, obok Duńczyka. Podali sobie ręce i przywitali się po angielsku — w uniwersalnym języku w ich branży. Gość w szaliku bez słowa uruchomił silnik i wyjechał z terenu lotniska.

O całej akcji poinformował Lundbyeego tylko pobieżnie.

— Jesteś gotów na briefing? — zapytał, gdy samochód wjechał na większą drogę.

Lundbye przytaknął:

— Wal.

— Pamiętasz naszą wspólną robotę z zeszłego roku? Akcję w gospodarstwie rybnym?

Lundbye wyglądał na zaskoczonego, ale znów przytaknął skinieniem.

— Musimy dokończyć coś, czego nie udało nam się dokończyć wtedy — wyjaśnił. — Obiekt pozostaje ten sam: Niels Oxen...

— Oxen? Kurwa, przecież on nie żyje!

— Gdyby tak było, to nie mówiłbym, że obiektem pozostaje Niels Oxen.

— Dobra, jasne... Myślałem tylko, że...

— Posłuchaj mnie teraz uważnie. Nie wiem, gdzie on jest. Prawdopodobnie niewiele osób wie, że on w ogóle żyje. Musimy go znaleźć. I wyeliminować. Na miejscu. I nie odpuścimy, dopóki nie zobaczymy, jak skurwiel kona. Jasne?

— Jasne.

— Trzymaj. To zdjęcie zrobiono w Liverpoolu. Jestem na dziewięćdziesiąt procent pewien, że to on. Musimy sprawdzić pozostałe dziesięć procent. A potem się go pozbyć. Prosto i sprawnie — ale mimo wszystko ryzyko jest cholernie duże. Pamiętasz info z poprzedniego razu?

— Znam Oxena, jego przeszłość i jego zdolności. Wiem, że to twardy zawodnik, jeśli do tego pijesz.

— To dobrze. Cieszę się, że mamy co do tego jasność. A ją pamiętasz?

Pokazał Lundbyemu zdjęcie Margrethe Franck.

— Pewnie. Przynajmniej z wyglądu. Resztę musisz mi przypomnieć.

— Margrethe Franck, pracuje w Policyjnej Służbie Wywiadowczej. Tleniony punk mutant. Jest niepełnosprawna. Nie ma prawej nogi. Jakiś debil przejechał ją samochodem w czasie ucieczki. Mówię „debil”, bo absolutnie nie powinien był tego robić. Posłała mu kulkę — prosto między oczy. Dlatego jej też nie wolno ci lekceważyć. To żadna kaleka, tylko śmiertelnie groźna sucz.

Morten Lundbye pokiwał głową z poważną miną i oddał mu zdjęcie.

— Jak powiedziałem, nie mam pojęcia, gdzie jest Oxen. Gliny, gdy rozpracowują gangi, struktury mafijne i inne tego typu gówna mówią, zwykle, że trzeba iść tropem kasy. My powinniśmy iść tropem tej dziwki.

— On ją posuwa?

— Tego nie wiemy i nie musimy wiedzieć. Ale według moich wcześniejszych informacji łączy ich rodzaj wzajemnego „uwielbienia”. I pamiętaj: Oxen w tej chwili wszędzie jest na wrogim terenie i ma tego pełną świadomość. Kiedy zniknął na morzu, był poszukiwany za zabójstwo. Tamta sytuacja ze starym przy stawach hodowlanych... pamiętasz? — Lundbye na moment zamarł. Potem jednak w milczeniu pokiwał głową. — No więc w świecie pełnym wrogów człowiek jest zmuszony zwrócić się do tych nielicznych przyjaciół, jacy mu pozostali. Ta laska jest przyjaciółką Oxena. Więc to ona musi być dla nas najpewniejszym punktem wyjścia.

— Masz jej adres? — spytał Duńczyk.

— Tak. Przy pierwszej nadarzącej się okazji rozejrzemy się dokładnie w jej mieszkaniu. Poza tym wyślemy ludzi, żeby ją śledzili. To plan A. Planu B nie ma.

Rozdział 62.

Szampan, dzin z tonikiem czy kawa? Zwykle na pewno nie zdecydowałyby się na to ostatnie. Po długim, wyczerpującym dniu w pracy i żarliwym seksie jej ciało potrzebowało czegoś na wyciszenie przed snem. Ale ten późny wieczór był inny niż zwykle.

— Jaką chcesz kawę?

— Zwykłą, z odrobiną mleka, jeśli masz.

Chwilę potem wrócił z tacą, którą postawił na stole przed białą skórzaną sofą. Wciąż siedziała na niej naga z poduszką pod plecami i nakryta kocem.

Pot namiętności osechł już na jej skórze, dlatego naciągnęła koc wysoko aż pod pachy. Wiedziała, co będą teraz robić. Uzgodnili to podczas ostatniego spotkania, zanim pojechała na północ Jutlandii, a Villum wrócił do Zurychu. Następne zgromadzenie miało się odbyć przed letnimi wakacjami. Czas potrafi biec jak szalony. Nie mogli dłużej zwlekać.

— Zaczynamy. Mamy całą noc. Zrobiłem sobie miejsce w grafiku, więc możemy jutro spać, ile będziemy chcieli. — Villum Grund-Löwenberg usiadł w przeciwległym rogu kanapy. Włożył bokserki i koszulkę. Pokiwała tylko głową z powagą na twarzy. Inicjatywa należała do niego. A ona była gotowa. — Znasz moje stanowisko i w tej kwestii jesteśmy chyba mniej więcej zgodni. On chciałby tkwić w przeszłości. Widzi w sobie apostoła wielowiekowej tradycji — minionych lat, rytuałów i procedur, które się w tym czasie zrodziły. Lada chwila może nam przedstawić swojego następcę. I ktokolwiek to będzie, możemy być pewni, że będzie to ktoś myślący tak jak on. Jeśli mamy to zrobić, musimy to zrobić teraz, bo gdy nowy lider zasiądzie z nami przy stole, będzie za późno. Triumwirat odpowiada wyłącznie przed triumwiratem, możemy więc...

— Triumwirat? Czyżbyś nazywał *mnie* mężczyzną? — Zsunęła koc i obnażyła piersi. Uśmiechnął się i mruknął z zadowoleniem.

— Mówmy zatem o tercecie. Jeśli mamy nadzieję na całkowite przekształcenie naszej organizacji, to musimy wziąć się do dzieła już teraz. Pomniejsze zmiany być może dałoby się przedyskutować później, ale szansa, by stworzyć nową, spójną strukturę, już się nie powtórzy. Pomysł zlikwidowania Północy, Południa i Wschodu i zastąpienia okręgów jednolitą strukturą zawsze spotka się ze sprzeciwem. Uznają nas za heretyków i zdrajców dziedzictwa przodków. Tak w najwyższym uproszczeniu przedstawia się kontekst, w jakim musimy podjąć ewentualną decyzję.

— A co potem? Kto będzie rządzić? I w jakim gronie?

— Rządzić będziemy my dwoje. Odcinamy się od korzeni. Pieprzyć średniowiecze. Przeprowadzimy totalną reformę Danehofu. Przed kim mielibyśmy odpowiadać? Przed nikim. Nikogo nad nami nie ma. Jednym posunięciem możemy zlikwidować wszystkie obciążające pozycje w budżecie organizacji. Możemy ze skutkiem natychmiastowym wstrzymać wypłaty emerytom i rodzinom zmarłych członków.

— Ale Villum, na taką decyzję podniesie się larum. I ryzyko odwetu w postaci ujawnienia działań naszej organizacji.

— Ujawnienia — kogo? Wszyscy wiedzą, że istniejemy, ale pozostajemy niewidzialni. My dwoje jesteśmy nowi, nikt nie wie, kim jesteśmy. A jego już nie będzie. Więc w kogo konkretnie miałby być wymierzony ten odwet? To, że dziadek z demencją zacznie bredzić o jakimś Danehofie, który nagle przestał mu zasilać konto emerytalne, nie jest dla nas żadnym zagrożeniem. I tak nikomu nie będzie się chciało tego słuchać. Poza tym każdy wie, na co się narazi, jeśli będzie mieć zbyt długi język.

— Co proponujesz w zamian, gdy wszystko zlikwidujemy?

— Pozostaniemy siatką kontaktów. Sprawną i nieustannie gotową do przeobrażeń. Struktura hierarchiczna z trzema okręgami i podokręgami musi zniknąć. Nie spełnia swojej roli. Być może spełniała w dawnych czasach, kiedy się zbierano na

obrad i to zbieranie się miało również silny wymiar społeczny. Gdy drogę do Nyborga trzeba było pokonywać konno, takie zgromadzenie mogło oznaczać nawet kilkudniową wyprawę. Dziś nie potrzebujemy tych spotkań. Osią naszej działalności powinien się stać think tank. Naszym jedynym narzędziem powinno być Consilium.

— A wszystkie nasze cele? Wraz z powstaniem nowej struktury trzeba będzie chyba je zrewidować? Brakuje nam nowoczesnej podstawy do działania. I moim zdaniem tym powinniśmy się zająć w pierwszej kolejności.

Rozdział 63.

Siedział, wstrzymując oddech, jakby westchnięcie albo najmniejszy świst mogły go zdemaskować. Nowe technologie są fenomenalne — i nie znają ograniczeń.

Siedział przed obitą płótnem ścianą w swojej piwnicy z komórką przy uchu, opierając się łokciem o blat stołu. Słuchał w skupieniu, co odpowiedział Villum Grund-Löwenberg:

— To oczywiste, że potrzebujemy nowego, współczesnego manifestu. Naszą rolą nie jest już powstrzymywanie autorytarnych zapędów króla i wzajemne poklepywanie się po plecach. Bierzemy rozbrat z korupcją, nepotyzmem, szantażem i innymi działaniami przestępczymi. Koniec z legitymizowaniem zbrodni jako środka utrzymania kontroli. Nowy Danehof ma funkcjonować na warunkach współczesnej demokracji. Pod każdym względem.

Głośno i wyraźnie usłyszał też odpowiedź Karin Kajsy Corfitzen:

— Jeśli zrezygnujemy ze znanych i wypróbowanych narzędzi, to w jaki sposób zdołamy wpływać na sytuację w kraju? Nie wiem jak ty, ale ja nie weszłam w to, aby uczestniczyć w demokracji. Weszłam w to, aby mieć wpływ na to, co się dzieje...

Patrzył na swoje bose stopy, które pośpiesznie wsunął w przydeptane kapcie. Siedział tak, jak się poderwał z łóżka jakąś godzinę temu — w szlafroku i piżamie.

Skupił się teraz na reakcji Villuma:

— W taki sam, w jaki wszyscy inni próbują osiągać swoje cele — wpływając na decydentów.

— *Crap*, Villum... w ten sposób daleko nie zajdziemy.

— Daj mi dokończyć.

Już zasypiał, gdy telefon dyskretnie zasygnalizował esemesa.

Żona mruknęła tylko „Axel?“, pewnie przez sen. Było to automatyczne powiadomienie z systemu podsłuchu skonfigurowanego tak, by esemesem informować go, gdy nadajnik wyłapie jakiegokolwiek głosu w penthousie Grund-Löwenberga.

Villum kontynuował swoją obronę:

— Pytasz, jakim sposobem będziemy mogli osiągać swoje cele. Zachowamy oczywiście swobodę poruszania się w świecie polityki i będziemy robić to, co pozostali: lobbować. Tak we współczesnym świecie wygląda przekupywanie władzy. Jest to sposób powszechnie akceptowany. Ogromna szara strefa, w której możemy działać, jak tylko zechcemy. Możemy się wkupywać. Możemy rekrutować w nasze szeregi wybranych polityków, którzy będą mogli i zechcą działać w naszej sprawie.

Natychmiast narzucił szlafrok i włożył kapcie, po czym wymknął się z sypialni na dół do swojej piwnicy, którą tylko mapa kraju na płócienną ścianie z kolorowymi pinezkami odróżniała od pozostałych męskich jaskiń w Kokkedal.

Najpierw z telefonem przy uchu słuchał odgłosów kopulacji, jakby dwa wyposzczone psy szczepiły się w ciemnym podwórzu. Dwoje przedstawicieli duńskich elit w ekskluzywnym apartamencie w drogiej dzielnicy miasta jęczało i stękało i wypowiadało słowa, których nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek padły między nim a jego żoną. Ale też trzeba powiedzieć, że seks był jedną z tych rzeczy, które od ponad dziesięciu lat mieli za sobą.

Kajsa westchnęła:

— Więc chcesz dokonać zbrodni, by powstrzymać kolejne zbrodnie...

— Inaczej się nie da, Kajso. To będzie ostatnia, konieczna ofiara. Raz i na zawsze. Masz pojęcie, ile osób uśmierciliśmy w ciągu ostatnich dwóch lat z hakiem?

— Nie mam. I żeby była jasność — w żadnym razie nie popieram takich rozwiązań.

— Piekło rozpętało się po tym, jak na twoim zamku zabito tamtą Litwinkę z agencji towarzyskiej.

— To nie my zrobiliśmy, tylko minister sprawiedliwości.

— Ale on był jednym z nas, więc w pewnym sensie...

Porządnie się wynudził, słuchając ścieżki dźwiękowej seksualnych ekscesów tej dwójki. Przypomniały mu się słynne słowa ministra kultury wypowiedziane podczas jakiegoś meczu: „Z piłką jest jak z seksem — więcej frajdy daje uczestnictwo niż oglądanie...”. Ale gdy już miał dać sobie spokój i pozwolić uchu odpocząć, akcja gwałtownie się urwała w dwóch donośnych okrzykach. I po krótkiej przerwie, gdy już ochłonęli, dwoje szefów Danehofu rozpoczęło tę właśnie arcyciekawą rozmowę.

Villum Grund-Löwenberg mówił dalej:

— Musieliśmy przez to usunąć dwie pozostałe dziewczyny już na miejscu, na Litwie. Potem pojawiła się siostra tamtej pierwszej, którą również zlikwidowaliśmy, i jej pomocnik, dawny rosyjski żołnierz, którego zdjęliśmy w jego kajucie, kiedy wracał do domu. Do tego minister Rosborg plus staruszek w gospodarstwie rybnym. Oraz inspektor muzeum Bulbjerg i jego żona, i dwóch ludzi Mossmana w leśniczówce. I nie zapominajmy o Oxenie. Na koniec Kresten Hildmand. Kajsa, to trzynaście osób.

— Czternaście.

— Czternaście?

— Zapomniałeś o ogrodniku mojego ojca. Jego sama zastrzeliłam, gdy siedział na kosiarce. Nazywał się Arvidsen.

Mossman uniósł brwi i dopiero teraz zorientował się, że w skupieniu z całej siły przyciskał telefon do ucha. Nie zdarzyło mu się jeszcze słuchać przyznania się do winy w szlafroku. I przez telefon.

— Więc sama widzisz. Zbrodnia pociąga za sobą zbrodnię. Mogę...

— Villum. Z Arvidsenem to była konieczność...

— Wiem. A gdybyś przy okazji zdjęła Oxena, oszczędziłabyś nam

tego cyrku w zeszłym roku.

— Próbowałam. Do dziś nie daje mi spokoju, że musieliśmy go zlikwidować. Oxen miał ogromny potencjał. Zbyt wielki, żeby po prostu go zabić. Powinniśmy byli spróbować go zrekrutować. Byłby dla nas znakomitym nabytkiem.

— Trudno, zostawmy to. Zatem czternaście osób — tyle uśmierciła nasza organizacja w niedługim przecież czasie! To wypaczona, chora etyka, którą on reprezentuje i którą przekaże dalej. Postarajmy się wspólnie zapisać w historii jako ci, którzy zerwali z odwieczną tradycją przemocy i nadużyć.

— Villum, jesteś idealistą. Oboje wiemy, że to, co stanowi sedno naszego układu, nigdy nie będzie mogło zostać upublicznione. Ale owszem, masz moje poparcie. Chcę zmienić Danehof na lepsze. Wierzę, że mój ojciec również by tego chciał... Zastanawiałeś się już, jak to zrobić i kiedy?

Oxenowi, Margrethe i swojemu siostrzeńcowi nie powiedział o specjalnej funkcji twardego dysku, która mu pozwalała podsłuchiwać rozmowy w czasie rzeczywistym. Lata działalności w tej branży nauczyły go, że niesłuchanie ważne jest być pierwszym pozyskującym określoną wiedzę. Wówczas można było na spokojnie oszacować perspektywę. I zyskać przewagę.

Villum odpowiedział po namyśle:

— Wszystko musi się rozstrzygnąć w ciągu najbliższych dwóch miesięcy. Powinno to wyglądać na wypadek. Może na łódce pomiędzy lądem a wyspą? O szczegółach możemy porozmawiać później. Musimy jedynie pamiętać, że nasz czas się kurczy. Nie wiemy, jak daleko zaszedł w swoich planach przekazania władzy.

— Jasne, ale odłóżmy dalsze planowanie do naszego następnego spotkania. Poczulałam właśnie, jak bardzo jestem zmęczona. Muszę się wyspać. W tej chwili chodzi mi po głowie szampan, gorąca kąpiel i łóżko. Co ty na to?

Villum zamruczał jak kot.

— Jestem na tak. Obie rzeczy *już* się szykują.

Połączenie zostało przerwane, gdy w salonie apartamentu w Tuborg Havn zapadła cisza.

Wyspa? Jaka wyspa? Wiele by dał, żeby się tego dowiedzieć. Jeśli dobrze pamiętał, w Danii wysp jest ponad czterysta. Większość wprawdzie niezamieszкана, ale wyspa to wyspa...

Schował telefon do kieszeni. Wszystko zapisało się na twardym dysku. Teraz trzeba było tylko zdjąć go z dachu. To robota dla Oxena.

Tymczasem miał dla ciężko doświadczonego weterana wieści z Londynu. Złe wieści. Dlatego milczał. Oxenowi ta wiedza w niczym w tej chwili nie pomoże. Wprost przeciwnie.

Ponownie spotkał się z ludźmi po obu stronach Tamizy. Zarówno ci z MI5 w Thames House, jak i z MI6 przy Vauxhall Cross zidentyfikowali mężczyznę na zdjęciach. I w obu miejscach powiedzieli, że niestety nie mogą mu pomóc. Co oznaczało, że jego brytyjscy koledzy *de facto* pomóc *nie chcą*. Zupełnie zrozumiałe, jeśli zważyć na to, kim w rzeczywistości był John Smith...

Zawiązał mocniej szlafrok i pomyślał o ciepłej kołdrze, która czekała na niego na górze. Zamierzał oczywiście wrócić do sypialni i położyć się obok żony, ale wiedział, że długo potrwa, nim uda mu się zasnąć.

Właśnie zyskał nadzwyczajną przewagę.

Rozdział 64.

Ulica, którą jechali, nazywała się Marielundvej. Bacznie śledził drogę na swojej komórce, w którą wstukał adres.

Okolica wyglądała na dzielnicę przemysłową, pełną różnej wielkości zakładów. Mileparken — tak się to nazywało. Administracyjnie zaś znajdowali się w Herlev. Dla niego była to wciąż Kopenhaga, podobnie jak okolice Londynu traktował jak część miasta.

Jechali renault Mortena Lundbyego. Audi zostało wynajęte przez Duńczyka tylko po to, by odebrać go z lotniska, i już dawno wróciło do wypożyczalni.

— Następna w prawo — powiedział.

Lundbye pokiwał głową.

— I numer czternaście.

Chwilę potem jego duński współpracownik zatrzymał się przed rozległym niskim budynkiem, w którym najwyraźniej siedzibę miało mnóstwo małych firm.

Nad drzwiami do garażu wisiał tani biały szyld z napisem „Sprzątanie B+B”. Na nazwę firmy trafili podczas porannego przeszukania w mieszkaniu Margrethe Franck.

Najpierw wieki przesiedzieli w samochodzie. A na koniec omal wszystkiego nie schrzanili. Dopiero w ostatniej chwili uświadomił sobie, że kobietą, która wyprowadzała rower z budynku, była Margrethe Franck.

Ich akcję uratowała jej blada twarz. Reszta kompletnie jej nie przypominała. Włosy miała zwyczajne, brązowe, półdługie. Podobnie ubranie — kalosze, dzinsy i wiatrówka. Ani śladu punkowego pazura. Kobieta z rowerem była równie pospolita i szara jak chodnik, którym się oddalała. Ale to była ona. To była

Margrethe Franck.

Jechali za nią dość krótko. Zniknęła w supermarkecie, do którego weszła tylnym wejściem. Lundbye wszedł do sklepu kwadrans później. Ta niegdyś ostra jak brzytwa petarda wywiadu została cholerną sklepową. Wrócili pod jej adres, wytrychem otwarli zamek i rozejrzeli się po mieszkaniu.

Na podłodze w salonie leżało mnóstwo papierów i listów. Jakieś stare dzieje, kompletnie dla nich nieciekawe. I ani śladu Oxena. Ani jego, ani w ogóle jakiegokolwiek mężczyzny. Żadnej, najmniejszej chociażby wskazówki.

Na korkowej tablicy w kuchni Lundbye znalazł za to pasek z wypłaty. Firma nazywała się Sprzątanie B+B i Franck musiała dla niej pracować. By dowiedzieć się reszty, wystarczyło zadzwonić.

— B+B... to jakiś pensjonat czy jaki czort?

Wysiadł z samochodu i rozejrzał się po okolicy. Duńczyk zaśmiał się z jego komentarza. Podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. Było otwarte. Weszli do niewielkiej hali, w której stały cztery samochody dostawcze. Na nich również widniała nazwa firmy. Ale nigdzie ani śladu człowieka.

— Tam jest biuro. — Lundbye wskazał głową pierwsze napotkane drzwi.

Zapukał głośno i zdecydowanie i wszedł, nie czekając na odpowiedź. Mężczyzna, którego uznał za właściciela firmy Bo Bremera, siedział przy komputerze w spodniach moro i białej koszulce tak opiętej, że wyglądała jak namalowana na ciele.

Lundbye zadzwonił wcześniej i zapowiedział ich przyjazd. Powiedział, że chcą porozmawiać twarzą w twarz. Bo o takich sprawach nie rozmawia się przez telefon.

— W porządku, John. Pan Bremer mówi po angielsku. Mówi, żebyśmy usiedli. Odtąd ty masz głos — powiedział Lundbye.

Właściciel firmy sprzątającej kliknął parę razy myszką i zamknął zielony ekran pasjansa. Następnie okręcił się w fotelu, by siedzieć

przodem do nich.

— Niech to szlag — powiedział i uśmiechnął się, oślepiając ich bielą uzębienia.

Był opalony na brązowo. Włosy za to miał tak jasne, że musiały być tlenione. Zęby też pewnie wybielał. Na jego koszulce złotymi literami było napisane „Miami Vice”. Ramiona miał jak słupy z mocno zarysowanymi bicepsami.

Miał przed sobą napompowanego sterydami troglodytę. Zaczął więc od trzech tysięcy koron duńskich w trzech banknotach, które położył przed nim na biurku.

— W podziękę za pomoc — wyjaśnił. — Jak wspomnieliśmy, chodzi o jakąś Margrethe Franck, która do niedawna dla ciebie pracowała.

— Hm. Zgadza się... Chociaż chciałbym wiedzieć, dlaczego jest aż tak interesująca — powiedział Bremer i wskazał głową na banknoty.

— Tym nie musisz sobie zaprzętać głowy. Masz tylko odpowiedzieć na moje pytania — wyjaśnił Smith.

Duńczyk pokiwał głową i wzruszył potężnymi ramionami.

— Co chcesz wiedzieć?

— Jak długo tu pracowała?

— Niecałe dwa tygodnie.

— Jak dostała tę pracę?

— Odpowiedziała na ogłoszenie.

— Co o niej wiesz?

— Gówno wiem... tyle że nie ma nogi. Powiedziała jeszcze, że bierze każdą pracę, jaka jej się trafi.

— Dobrze pracowała?

— Nie było się do czego przyczepić.

— Więc czemu już nie pracuje?

Przypakowany szef sprzątaczy ponownie wzruszył ramionami.

— Taa. Mieliśmy drobną różnicę zdań.

— A konkretniej?

— Nie wykonywała poleceń.

— Czyli jednak było się do czego przyczepić?

— Można tak powiedzieć...

— Słuchaj. Nie płacę ci trzech tysiów, żebym musiał wszystko wydzierać ci z gardła. Chcesz tę kasę czy nie?

Bo Bremer pokiwał głową i rozłożył ręce przepaszająco.

— Okej. Prawda jest taka, że miałem ochotę poruchać, a ona nie. Więc się poróżniliśmy. A właściwie... walnęła mnie w łeb lampą, zabrała mi kasę i uciekła. Dlatego już nie pracuje...

— I co było dalej? Po prostu dałeś jej się okraść?

— Razem z kumplem dowiedzieliśmy się, że pracuje w hotelu. Na zmywaku. Brała nocki, więc raz zaczekaliśmy na nią na podwórku od tyłu. Uważałem, że nie należała jej się kasa, którą mi zabrała, i chciałem ją odzyskać.

— I odzyskałeś?

— To znaczy... Ustaliliśmy, że najpierw trochę się z nią zabawimy. Wiesz, poobracamy ją trochę, żeby dać jej nauczkę... Właśnie się zabieraliśmy do dzieła, kiedy pojawił się jakiś gościu. Kompletny psychol... Wszystko poszło błyskawicznie. To znaczy... w pięć sekund rozwalił nas obu. Gdybym tylko zdążył do niego przyskoczyć, to oczywiście dostałby solidnie w dupę. Ale nie zdążyłem. Koleś miał ruchy jak cholerny ninja. Kumasza?

— Jak wyglądał?

— Było ciemno. Porządnie ubrany, nie jakoś szczególnie szeroki w barach, bardziej taki... jak to się mówi? Wysportowany...

— I co dalej?

— Nic. Pozwolił nam się zmyć. Sam pewnie poszedł gdzieś z tą dupą. Od tamtej pory jej nie widziałem.

— Hm. Mieliście z kumplem szczęście. Ogromne szczęście...

— To znaczy? Wiesz, kim on jest?

— Po prostu uwierz mi na słowo. Pieniądze są twoje. Dostałem to, po co przyszedłem, dzięki.

Wstał. Nie widział sensu tracić więcej czasu w towarzystwie przygłupiego króla sprzątaczy.

Gość widział Nielsa Oxena. Nie miał co do tego wątpliwości. Ich największym sukcesem w tym momencie było potwierdzenie kontaktu pomiędzy Franck a Oxenem.

A w tym pokładał swoje nadzieje.

Rozdział 65.

W dawnych czasach ludzi wleczono na szafot. Od mniej więcej kilometra zastanawiał się, czy w rzeczywistości nie zmierza właśnie na własną egzekucję.

Bał się. Taka była prawda i nie było powodu, by ją ukrywać.

Fundacja Kopperstierna miała siedzibę przy Havnegade. Z Kokkedal można się tam było dostać na kilka sposobów. On wybrał ten najdłuższy.

Pociągiem podmiejskim dojechał na dworzec główny i stamtąd ruszył pieszo. Czy podświadomie chciał jak najbardziej wydłużyć swój marsz ku zatraceniu?

Brakowało mu psa przy nodze. Zdał sobie z tego sprawę, kiedy szedł w dół szeroką H.C. Andersens Boulevard. O tym, że wybrał właśnie tę drogę, zdecydowała prosta logika. Potrzebował czasu, by pozbyć się napięcia nagromadzonego w ciele. I żeby pomyśleć. I przygotować się jeszcze jeden, ostatni raz.

W swojej karierze odbył niezliczoną liczbę spotkań, których naprawdę miał powody się obawiać. Rosjanie byli kompletnie nieprzewidywalni. Federalnaja Służba Bezopasnosti potrafiła emanować chłodną obojętnością, lecz pod każdą parą na wpół przymkniętych powiek mógł się czaić sam diabeł. Z kolei Francuzów z Direction de la Surveillance du Territoire trzeba było głaskać z włosiem i umacniać w przekonaniu, że ich kraj pozostaje potęgą i kulturalną stolicą wszechświata. Zasadniczy Niemcy z Bundesamt für Verfassungsschutz oczekiwali szacunku i nie znosili jakichkolwiek odstępstw od ustalonego porządku.

Najtrudniej chyba rozmawiało mu się z izraelskim Mosadem. Bo jak obkleić miodem gniazdo os i nie dać się użądlić?

Tyle już razy był w podobnej sytuacji. Startował ze straconej pozycji, z niejasną groźbą wiszącą w powietrzu i podwyższoną

czujnością, która pojawiała się w nim samoczynnie — a mimo to zawsze pewien swojej intuicji.

Władca absolutny. Książę ciemności. Big Mossman. Docierały do niego przezwiska, którymi go określano, ale udawał, że ich nie słyszy. Może zresztą kryła się w nich jakaś prawda, a jeśli tak, to oznaczała jedynie, że posiadał cechy odpowiednie dla swojej branży.

Za to teraz był emerytem.

Teraz potrzebował długiego rozpędu.

Oraz brakowało mu kojącej bliskości psa.

I tak naprawdę chyba zawsze najbardziej w kość dawało mu Säpo. Służba wywiadowcza z drugiej strony Sundu.

Przeszedł przez most Prinsens i skręcił w dół po kanciastym bruku wzdłuż kanału Frederiksholms. Na wodzie cumowało mnóstwo małych motorówek, jedna obok drugiej. Środkiem kanału przesunęła się długa i wąska łódź z turystami. Za moment przecięnie się pod niskim mostem Marmor, a potem Storm.

W jego branży wątpliwości były zdrowym objawem. Jego koledzy z bratniego kraju okazywali je zbyt rzadko — i zbyt często dawali wyraz niekompetencji.

Osobiście trudno mu było się pogodzić z faktem, że nie dorwali zabójcy Palmego. Z drugiej strony czuł respekt wobec osiągnięć Szwedów na wszystkich innych polach — w gospodarce, sporcie albo kulturze odnosili sukcesy na rzadko spotykaną skalę. I gdyby Björn, Benny, Agnetha i Anni-Frid byli narodowości innej niż szwedzka, już dawno zgodziliby się na powtórkę z przeszłości i *światowe tournée* — i rozbiliby bank.

Może to właśnie był prawdziwy powód, dla którego nie znosił zasiadać do stołu z ludźmi z Säpo? Może zwyczajnie *zazdrościł* im szwedzkości?

Te rozmyślenia podziały na niego tym bardziej demotywująco, że już za kilka minut miał spotkać godnego siebie przeciwnika. Który był cholernym Szwedem.

Sixten Kopparstierna będzie uczestniczył w spotkaniu wraz ze swoją siostrą, Barbro.

Choć nie miał jednoznacznych dowodów, że to Sixten stał na czele Danehofu Øst, znaleźli mocne potwierdzenie swojej teorii. Wczoraj wieczorem po raz kolejny spotkali się w piwnicy i omówili wyniki prześwietlenia rodzeństwa Kopparstiernów. Według informacji, do których dotarła Margrethe, Sixten był właścicielem wyspy wraz z położonym na niej dworkiem na ogromnym jeziorze Bolmen w zachodniej Smalandii. Wyspa...

Czyli to ma się stać na Bolmen — w drodze na wyspę albo na ląd, według Villuma i Kajsy ich przywódca powinien przytrafić się wypadek.

Za chwilę spróbuje wyczytać coś z oczu Sixtena. I spróbuje tego samego z jego siostrą, wdową po sławnym Knudzie Klincie Kopparstiernie. Jeśli jej mąż był kiedyś liderem Danehofu i jeśli po jego śmierci pałeczkę przejął jej brat, to logika podpowiadała, że Barbro musiała o tym wiedzieć. Królowe zwykle mają takie informacje.

Przeszedł przez Christians Brygge i wszedł w zacieniony kanion biblioteki uniwersyteckiej. Szedł między szklanymi bryłami Czarnego Diamentu, których kolejne łączniki przecinały niebo nad jego głową, aż ponownie wyszedł na słońce.

Wczorajsze spotkanie było znacznie krótsze od poprzednich. Wymienili się tylko informacjami o wynikach swoich prac z ostatnich kilku dni.

To Margrethe nazwała Barbro królową. Bez dworu. Bo wdowa i dziedziczka fortuny swojego męża nigdy nie wykazywała chęci ponownego zamążpójścia i żyła jak arystokratka, lecz najwyraźniej w izolacji od reszty świata. Zaproszeń nie brakowało, nie brakowało też celebrytów, którzy chętnie by użyczyli ramienia do wspólnego zdjęcia z panią Kobberstjerne Pharma. Lecz Barbro nie dawała się skusić.

Nie miała dzieci i tym samym wnuków, którymi mogłaby się zajmować. Miała natomiast pracę w fundacji. Wyglądało na to, że właśnie jej poświęcała większość czasu. Po pracy zaś najczęściej

zaszywała się w swoim ogrodzie przy Gl. Strandvej w Espergærde z widokiem na Sund oraz — jak sama wyznała w udzielonym przed wieloma laty wywiadzie — uwielbiała czytać.

Gdy od wielkiego dzwonu widywano ją publicznie, to albo w Operze przy Holmen, albo w Królewskiej Operze w Sztokholmie.

Na osobisty majątek Barbro składały się liczne i bardzo różne aktywa. Posiadała na przykład ogromny pakiet akcji koncernu, a jej finansów doglądała zaufana spółka zarządzająca.

Szedł dalej, pod Knippelsbro i w górę, przez most Christiana IV. To jedno z najpiękniejszych miejsc w jego mieście. Po obu stronach woda. Widok na płaskie, pokryte patyną dachy budynków Ministerstwa Środowiska i Giełdy. A dalej ostra wieża Christiansborga, niestrudzenie pracującego warsztatu demokracji.

Uwielbiał widok z tego mostu. Doskonale ilustrował to, czego przez całe swoje zawodowe życie strzegł i co chronił. Zabawne, gdy pomyśleć, że przez cały ten czas mieszkał w Kokkedal. Gdyby to od niego zależało, już dawno zamieszkaliby w sercu stolicy, ale w tej sprawie ostatnie słowo należało do jego żony: *Axel, zostaniemy w Kokkedal, dopóki nas stąd nie wyniosą.*

Majątek Sixtena Kopparstierny również był spory i zarządzany przez tę samą spółkę, co majątek Barbro. Sixten posiadał duży pakiet akcji w Kobberstjerne Pharma International oraz obszerne portfolio innych, mocnych papierów, bo kontynuował dzieło życia swojego ojca i eksploatował rudy żelaza — a potem w dogodnym momencie je sprzedał.

Ponadto zbudował sobie spory portfel nieruchomości. W większości pod wynajem — w Malmö, Göteborgu i Sztokholmie. W stolicy kupił sobie ekskluzywny apartament przy Östermalm, w którym w zasadzie nigdy nie bywał. Z posiadłości bardziej egzotycznych posiadał między innymi właśnie wyspę Bolmen.

Sixten Kopparstierna miał stały adres w Szwecji, w stojącym na wyspie zamku, ale sporo czasu spędzał w Kopenhadze.

Mieszkanie było z najwyższej i najdroższej półki, położone w

zabytkowym Holsteins Palæ przy Stormgade, dokładnie na wprost Muzeum Narodowego z jego długą kolumnadą.

Nawet jeśli Mossman na wieki miał pozostać mieszkańcem Kokkedal, to znał historię swojego miasta i cenił sobie tę wiedzę. Nazwa ulicy upamiętniała szwedzki najazd na Kopenhagę w 1659 roku (znów ci przekłęci Szwedzi), kiedy wrogie wojska zimą przeszły po zamrożonym morzu. Walki toczyły się na południe od Slotsholmen, w czasach, gdy cieśnina Kalveboderne oddzielająca Amager od Zelandii sięgała aż do miejsca, w którym obecnie biegnęła Stormgade.

A teraz w przepięknym Holsteins Palæ obrzydliwie bogaty Szwed zawładnął skrawkiem objętego nadzorem inspektora zabytków duńskiego dziedzictwa kulturowego. Ciekawe, czemu go to nie dziwiło.

Oxen i Sonne obserwowali Sixtena Kopperstierne, a prócz tego przeczesali internet w poszukiwaniu informacji. Sixten lubił każdego ranka pieszo pokonywać krótką odległość od swojego domu do siedziby fundacji przy Havnegade. Często urozmaicał sobie trasę, a nawet nadkładał drogi, najwyraźniej wyłącznie po to, by jak najdłużej cieszyć oko urodą starego miasta. W pracy zjawiał się dokładnie o dziewiątej. Podobnie jak jego siostra.

Wszyscy wiedzieli, że staruszek dzieli swój czas między fundację a zamek na wyspie. Polował, wędkował i grywał w golfa, choć nie wyglądało na to, by którekolwiek z tych zajęć szczególnie go pasjonowało. Jego prawdziwym konikiem była średniowieczna historia Szwecji, choć Barbro udawało się czasem wyciągnąć go do opery.

Sixten rozwiódł się przed wieloma laty i miał dwóch dorosłych synów. Nigdy ponownie się nie ożenił. Był równie skryty jak jego siostra — o ile nie bardziej.

Oxen i Sonne dostali się do ogromnego, liczącego ponad trzysta metrów mieszkania za pomocą wytrychu i nowoczesnej technologii, która, jak wyjaśnił mu Sonne, pozwalała się włamać na częstotliwość radiową systemu alarmowego i go blokować. Niezupełnie rozumiał, jak to działało, ale też nie musiał rozumieć.

Braki w tężyznie fizycznej czy odwadze jego siostrzeniec doskonale rekompensował byстрыm umysłem.

Dyskretnie przeszukali całe mieszkanie, starając się odnaleźć cokolwiek, co by łączyło Sixtena z Danehofem, albo cokolwiek innego, co mogłoby się wydać podejrzane. Wynik przeszukania był jednak taki, jakiego można się było spodziewać.

Rozmieścili za to w mieszkaniu sześć podsłuchów i zamontowali nadajnik GPS w samochodzie Sixtena — rolls-royse silver shadow II, który stał w przynależącym do pałacu garażu.

Idąc w górę Havnegade, minął coś w rodzaju ogrodzonego boiska. Najwyraźniej można na nim było grać zarówno w kosza, jak i w nogę. Ulicę z obu stron otaczały piękne, młode drzewa, a promenadą przechadzało się sporo ludzi.

Kopenhaga przestała być miastem, a stała się „projektem urbanistycznym”. Żywym organizmem z zielonymi płucami, kąpieliskami morskimi i ciągnącymi się kilometrami deptakami wyłożonymi flizami. Zniknęły pospolite rozrywki typu gra w nogę na ulicy. Teraz ulica była „przestrzenią miejską”, a to, co ludzie na niej robili, było „działaniami w przestrzeni”. W lokalnych sklepikach nie dało się już niczego dostać na krechę. Dużą wartość miał za to *szacun na dzielni*.

Sporo „szacunu” niespodziewanie zasiliło konta określonych osób z Wydziału Urbanistyki. W ostatnich latach tygiel jego miasta został wlany do wielkiego tygla trendów międzynarodowych i tam dokładnie przemieszany.

Nadal uważał za swój obowiązek strzec tego wszystkiego. Nawet jeśli firma, w której spędził niemal całe życie, odwróciła się do niego plecami.

Siedziba fundacji była trzypiętrową, śnieżnobiałą kamienicą narożną z gzymsami i ze stiukami oraz z wykuszem o oknach wielkości człowieka. To z tego miejsca dwadzieścia sześć osób zarządzało kosmicznym majątkiem.

Do środka z Havnegade prowadziły potężne drzwi z ciemnego drewna. Nad nimi widniało logo koncernu farmaceutycznego —

herb rodowy z siedmioramienną miedzianą gwiazdą na granatowym tle. Zaraz obok wisiała kamera z obiektywem skierowanym na schody i chodnik. Na ścianie dyskretna tabliczka z mosiądzu, na której napisano: „Kopparstierna Fonden”.

Wcisnął guzik domofonu i gdy w głośniku odezwał się kobiecy głos, przedstawił się, patrząc wprost w obiektyw kamery domofonu.

Kiedy usłyszał bzyczenie, a po nim kliknięcie i zapraszające „proszę”, pchnął ciężkie drzwi i wszedł do środka.

Stanął przed kolejnymi ciężkimi drzwiami, a te na ulicę samoczynnie się za nim zatrzasnęły. Znajdował się w niewielkim, liczącym może trzy metry korytarzu. Na suficie, w obudowie z hartowanego szkła zamontowana była kamera kopułowa — jedna z tych szerokokątnych kamer do monitoringu. Po jego prawej ze ściany wysunęła się niewielka szuflada.

— Niech pan będzie uprzejmy pokazać mi jakiś dokument ze zdjęciem — powiedział ten sam kobiecy głos.

Wyjął z portfela prawo jazdy i włożył je do szuflady, która z powrotem wsunęła się do ściany. Chwilę trwało, nim znów usłyszał kliknięcie. Tym razem drzwi same się przed nim otwały.

— Witamy, panie Mossman. Oto pańskie prawo jazdy. — Kobieta w średnim wieku w eleganckim czarnym kostiumie z uśmiechem zaprosiła go do środka.

— Śluza? — mruknął i obejrzał się za siebie. Całe swoje zawodowe życie poświęcił na walkę z takim właśnie strachem.

— Tak, niestety. Zdecydowaliśmy się na takie wyjątkowe środki bezpieczeństwa po Paryżu... ale jeszcze przed Brukselą. Wezmę pana płaszcz, jeśli pan pozwoli?

Podał jej swój trencz, który niósł przewieszony przez ramię aż od dworca głównego.

— Proszę za mną.

Kobieta podeszła do windy. Poprosiła go, by wszedł za nią, i razem z nim wjechała na drugie piętro.

— Pójdziemy do gabinetu pani Kopperstierny. Powiadomiłam ją już o pana przyjeździe — wyjaśniła kobieta i poprowadziła go długim korytarzem, w którym drzwi były tylko po jednej stronie. Zapukała do drzwi na końcu korytarza, otworzyła je i zaprosiła go do środka. Sama wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Niebo było delikatnie różowe i wisiały na nim tylko dwa obłoki jak baranki. Przesunął wzrok na sufit, którego gładką powierzchnię zakłócały dwie ogromne białe rozety i zwisające z nich dwa kryształowe żyrandole.

Ściany były oklejone beżową tapetą z dyskretnym wzorem: blad różowymi paskami i delikatnymi kwiatkami. Wszędzie staroświecka boazeria angielska w innym odcieniu beżu. Na podłodze parkiet ułożony w jodełkę, lśniący jak spokojne morze pod błękitnym niebem.

Na ścianach obrazy w złotych ramach, a kilka metrów przed nim duże mahoniowe biurko.

Królowa siedziała pod ścianą po prawej. Stał tam ciemnoróżowy, antyczny komplet wypoczynkowy. Wraz z biurkiem stanowił jedyne umeblowanie. Miała na sobie jasną spódnicę i jasną marynarkę.

Barbro Kopperstierna była znacznie drobniejsza, niż sądził. Nawet na dwuosobowej kanapie nie zajmowała wiele miejsca.

— Dzień dobry, zapraszam.

Głos miała jasny i zdecydowany. Przeszedł przez parkiet. „Gabinet” był sporym niedopowiedzeniem. Pokój rozmiarami przypominał salę do kameralnych koncertów. Czułby się swobodniej w męskim saloniku pełnym ciężkich kolonialnych mebli. Wyciągnął do niej rękę na powitanie, a ona poprosiła go, by usiadł.

Do pokoju weszła młoda kobieta i postawiła dwa czajniki na białym stoliku o giętych, bogato zdobionych nogach.

— Mój brat Sixten przyjdzie za chwilę. Po lewej jest kawa, a po prawej herbata. Niech się pan częstuje, panie Mossman.

Barbro Kopparstierna siwe włosy spięła klamrą na karku. Na białą bluzkę, zapiętą po samą szyję, wyłożyła perłowy naszyjnik.

Ukradkiem poczynił kilka obserwacji. Czuł się dziwnie, siedząc tak blisko tej tajemniczej i rzadko widywanej, a jednak powszechnie znanej postaci.

To z jej biurka *de facto* zarządzano całym koncernem i to stąd rokrocznie odpisywano trzycyfrowe milionowe darowizny na rozmaite cele.

— Więc to tu pracuje pani na co dzień? — Pytanie było w zasadzie stwierdzeniem, które niepostrzeżenie mu się wyrwało.

— Tak. Ale tylko od dziewiątej do piętnastej. Z biegiem lat moje godziny urzędowania znacznie się skróciły — powiedziała królowa i naląła sobie herbaty.

— Wyobrażam sobie, że kierowanie taką organizacją to ogromna praca. Samo zarządzanie kapitałem grupy, bieżące sprawy, rozpatrywanie wniosków o dofinansowanie — muszą państwo dostawać ich zatrzęsienie?

— To prawda, pracy jest sporo. Mnóstwo podmiotów otrzymuje od nas wsparcie finansowe — odparła jasnym głosem. — I z roku na rok ich przybywa. Można by sądzić, że państwo opiekuńcze stało się dziś cieniem samego siebie. Mawiamy z bratem, że niemal oczekuje się od nas, że rozwiążemy problemy, którymi politycy nie mają ochoty się zajmować. Nie chcę, by pan pomyślał, że się nad sobą użalamy... ale po to ludzie wybierają swoich przedstawicieli, by ci ustalali priorytety i dbali o zapewnienie określonych warunków i utrzymanie pewnego przyjętego poziomu. Chcę tylko powiedzieć, że naszym zdaniem ci ludzie nie zawsze dorastają do powierzonej im roli, jeśli pan rozumie, o co mi chodzi.

Pokiwał tylko głową. No, no... Czy przypadkiem nie nakreślono mu obrazu pani Kopparstierny jako kobiety raczej nieśmiałej o mało wyrazistych poglądach, która we wszystkim musi się radzić brata?

— Z drugiej strony rozumiemy, że i na nas spoczywa pewna

odpowiedzialność i mamy określone zobowiązania. Staramy się podejmować właściwe decyzje, by środki trafiały tam, gdzie są najbardziej potrzebne, o ile przy tym cel jest zgodny z wytycznymi, według których działamy — dodała.

Ktoś zapukał do drzwi znajdujących się za ich plecami. Tych samych, którymi przed chwilą weszła kobieta z kawą i herbatą. Tym razem do pokoju wszedł Sixten Kopparstierna. Pochylił się i pocałował siostrę w policzek, a następnie podał rękę Mossmanowi i usiadł w wolnym fotelu. Był siwy, tak jak Barbro, miał zakola i patrzył jasnymi, niebieskimi oczami zza okularów w złotych oprawkach.

Brat królowej miał na sobie granatowy garnitur i jasnożółty krawat — naturalnie. Połączenie kolorów drażniło oczy Mossmana, jakby ktoś sypał sól na jego kompleks szwedzki, który, gdy szedł tutaj, sam na nowo rozdrapał.

Formalny strój rodzeństwa zmusił go do zweryfikowania własnego odzienia. Dobrze, że przynajmniej włożył garnitur — jedyny, jaki posiadał. Ten sam, który był na niego za mały w nie tak znów odległych czasach jego wszechwładzy.

Teraz w udach miał mnóstwo miejsca, a na plecach, w ramionach i na brzuchu materiał wręcz powiewał. Dla Barbro i Sixtena musiał wyglądać jak Don Kichot z La Manchy. Hm, może mógłby tę dysproporcję wykorzystać? Ledwie zdążył o tym pomyśleć, gdy Barbro Kopparstierna powiedziała:

— Skoro jesteśmy w komplecie, może przejdźmy do rzeczy. Napisał pan, panie Mossman, że chodzi o jakieś śledztwo.

— Tak. Prowadzę śledztwo na zlecenie niejakiej Benedicte Bjørk, siostry Sigrid Ryttinger Bulbjerg.

— I śledztwo to w jakiś sposób ma związek z nami, czy tak?

Nie do końca potrafił ocenić, czy mówiąc „my” i „nas”, Barbro po królewsku wypowiada się w imieniu jakiejś bliżej nieokreślonej grupy ludzi, czy też zwyczajnie ma na myśli siebie i brata.

— Jak pisałem... Pani Bulbjerg zginęła w wypadku samochodowym dobre jedenaście lat temu. Możliwe, że istnieją

pewne przesłanki, które podają w wątpliwość, czy tamten wypadek w istocie był wypadkiem. Z pamiętnika, który po sobie pozostawiła, wiem, że przed wypadkiem odwiedziła fundację...

Barbro odparła:

— Poprosiłam jednego ze współpracowników, by sprawdził datę tamtego spotkania. Rzeczywiście, pani Bulbjerg była tu jedenaście lat temu, ósmego grudnia. W spotkaniu uczestniczyliśmy ja i brat.

Sixten Kopparstierna siedział wygodnie oparty w fotelu i dyskretnie mu się przyglądał. Nic nie wskazywało, by zamierzał włączyć się do rozmowy.

— Chciałbym w związku z tym zapytać państwa bardzo ogólnie: w jakim celu spotkała się z państwem pani Bulbjerg? O tym bowiem nie wspomina w swoich notatkach.

— Proszę mi wybaczyć ciekawość, ale czy pan nie stał przypadkiem na czele duńskiego wywiadu? I teraz, będąc na emeryturze, stał się kimś w rodzaju prywatnego detektywa? Muszę przyznać, że to... jakoś kłóci się w moich oczach. — Brat królowej jednak zdecydował się wejść na scenę. I od razu przypuścił błyskawiczny, precyzyjny atak złagodzony uprzejmym mrugnięciem okiem i lekkim uśmiechem.

— To prawda. Byłem szefem Policyjnej Służby Wywiadowczej. Obecnie zdarza mi się przyjmować pojedyncze sprawy, jeśli uznam, że wyglądają interesująco. To takie moje hobby. Inni polują albo grają w golfa.

— Jak *miło*... — Sixten Kopparstierna tym razem odpuścił.

— Od kilku dni próbuję sobie przypomnieć tamto spotkanie. — Barbro wróciła do tematu. — Ale niestety nie jestem w stanie. Nie mam pojęcia, czego chciała wtedy pani Bulbjerg. Nie sporządzamy notatek z tego typu spotkań. Proszę zrozumieć, panie Mossman — co roku odbywamy ich niezliczenie wiele. Teczki zakładamy dopiero, jeśli spotkanie ma ciąg dalszy i przeradza się w projekt.

Jedenaście lat to szmat czasu. Poza tym przecież i tak nie po to

tu przyszedł. Przyszedł wyłącznie w jednym celu: spojrzeć mu w oczy. Zwrócił się teraz ku Sixtenowi:

— A pan? Może pan coś pamięta?

— Nie, nic mi nie *świta*, przykro mi.

— A gdy pan pomyśli o rodowym nazwisku tej kobiety — Ryttinger. Czy wciąż nic to panu nie mówi?

Oboje z siostrą pokręcili lekko głowami.

— Ojciec pani Bulbjerg był znanym przedsiębiorcą. Nazywał się Karl-Erik Ryttinger. Znał pani męża, pani Kopparstierna. Mąż pani zasiadał w zarządzie firmy Ryttingera.

Z wolna zaczęło jej się rozjaśniać w pamięci. Teraz również jej brat pokiwał głową.

— Ależ tak, rzeczywiście... Nie pomyślałam o tym, bo mąż nigdy za wiele nie mówił o Ryttingerze. Poza tym zasiadał w tylu różnych zarządach... Z tego, co sobie teraz przypominam, pani Bulbjerg nie przyszła z jakimś konkretnym pytaniem. Nasze spotkanie pamiętam bardziej jako rozmowę. Wspominałyśmy jej ojca — i mojego męża.

— Tak, teraz też to sobie przypominam — zawtórował jej brat. — Chyba nigdy się nie dowiedzieliśmy, po co właściwie chciała się z nami widzieć.

Mossman odwrócił się w stronę Sixtena Kopparstierny. Wypucowane szkła okularów Szweda odbijały słońce wpadające przez okna. Zza nich patrzyły na niego oczy życzliwe, lecz czujne.

Sixten był człowiekiem interesu. I jednocześnie człowiekiem, który go posłał w szeregi emerytów.

Spojrzał na swoje zbyt obszerne spodnie i w przestrzeń pomiędzy koszulą a marynarką. Będzie musiał im pokazać, że nie chodzi mu o walkę z wiatrakami.

Tymczasem Sixten przypuścił kolejny, łagodny atak:

— Ma pan jakąś teorię odnośnie do tego, kto mógłby się targnąć na życie pani Bulbjerg, panie Mossman? I dlaczego?

— Nic poza tym, że to mogło mieć związek ze sposobem prowadzenia interesów przez Ryttingera. Ponoć był twardym graczem. Cóż, chyba podziękuję państwu za poświęcony czas. Nie trwało to długo. Oczywiście liczyłem na więcej, ale zdaję sobie sprawę, że jedenaście lat to szmat czasu. Pomyślałem jednak, że spróbuję — wyjaśnił i wstał z kanapy.

— Nie ma za co. Przykro mi, że nie mogliśmy pomóc bardziej, panie Mossman — powiedziała Barbro i również wstała. A do swojego brata powiedziała:

— Zostań, Sixten. Mamy jeszcze trochę czasu przed następnym spotkaniem, możemy spokojnie napić się herbaty.

— Ciężki dzień? — zainteresował się uprzejmie Mossman.

— Przyjeżdża delegacja z pewnego muzeum na Jutlandii. Ich dach przecieka i eksponatom zagraża wilgoć i grzyb. A na koniec dnia mamy spotkanie z dwójką przedstawicieli służby zdrowia. Mamy się zastanowić nad wsparciem dla hospicjum dziecięcego.

— Oczywiście za obie instytucje odpowiada państwo, lecz Kopparstierna Fonden ma wielkie serce, panie Mossman. — Sixten wstał i podał mu rękę, lekko się uśmiechając.

Po chwili otworzyły się drzwi i stanęła w nich znana mu już kobieta w czarnym kostiumie, by bezpiecznie odwieźć go na dół i przeprowadzić przez służbę.

To nie było jego ostatnie spotkanie z Barbro i Sixtenem Kopparstierną. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że jeszcze ich zobaczy. W nieco innych okolicznościach.

Rozdział 66.

Cholernie ciężki test na cierpliwość. Tak można określić obecną sytuację. Wiedział, jak cenna jest to cecha, a w jego branży wręcz nieoceniona. Niestety, sam nigdy nie miał jej w nadmiarze.

Od czterdziestu ośmiu godzin właściwie mieszkał w sfatygowanym renault Duńczyka. Uwięzionym w dzielnicy Østerbro. Zmieniali wprowadzili miejsca, ale zawsze musieli mieć pełny widok na wejście do domu tej żmii, która kiedyś była szpiegiem, a teraz została sklepową.

Dlatego jeśli nie tkwili pod jej domem, to siedzieli pod Netto, czekając, aż zamknie kasę i wróci do niego rowerem. Czasem jeden szedł się przejść, gdy drugi trzymał wartę. Zaczepnąc świeżego powietrza. Kupić coś do jedzenia. Znaleźć kibel. Albo szedł do tyłu się kimnąć.

Coś takiego potrafiło solidnie dać w kość i niesamowicie wymęczyć człowieka. Bo choć byli z Mortenem Lundbyem z tej samej branży, to niewiele ich łączyło. Duńczyk był żółtodziobem. Nie znalazł się jeszcze w sytuacji, w której naprawdę można się było sparzyć.

Ten rano był jednak inny niż poprzednie. Margrethe Franck nie wyprowadziła roweru. W ogóle nie wyszła z domu. Albo była chora — albo miała inne plany.

Chyba nieźle dostała w dupę. Wyglądała teraz jak gówno w porównaniu z tym, jak ją zapamiętał z zamku Gram. Nie wspominając już o zdjęciu, które miał w archiwum sprzed tamtej akcji. Wśród materiałów było też o jej mini cooperze. Lundbye wykorzystał swoje kontakty w policji, żeby sprawdzić, czy ma obecnie jakiś samochód zarejestrowany na swoje nazwisko. Miała. Suzuki alto sprzed narodzin Chrystusa. Próchno stało na podwórku za domem. Założyli na nim GPS. Choć wyglądało na to, że wóz jest nieużywany.

Kilka minut później musiał jednak zweryfikować ten ostatni wniosek, bo oto wyjechała z parkingu i skręciła w prawo.

— Wstawaj, kurwa!

Lundbye przysypiał na tylnym siedzeniu. Podał mu odbiornik GPS.

— Jedzie dokądś. Znajdź ją na ekranie.

— Dwie sekundy — powiedział Duńczyk i próbował sprawiać wrażenie w pełni obudzonego.

Pierwsze pół godziny spędzili na nielogicznym kluczeniu po centrum miasta, a potem objeżdżaniu ogrodu zoologicznego w Frederiksbergu. Dwukrotnie czerwona kropka na wyświetlaczu zamierała w bezruchu.

To mogło oznaczać tylko jedno. Z jej przeszłością najpewniej sprawdzała, czy ma ogon, i próbowała się go pozbyć. W końcu pojechała prosto na południe, w stronę Ørestaden, gdzie wjechała na autostradę.

— Ja pierdolę — powiedział Lundbye, który przy pierwszym postoju przesiadł się na miejsce pasażera. — Wygląda na to, że pinda jedzie do Szwecji. Po jaką cholere? Do Szwecji?

Nic nie odpowiedział. To nie było pytanie, tylko zwykłe pierdolenie. Gdyby wiedzieli, po co jedzie, to nie musieliby się gapić w czerwoną kropkę.

Wkrótce rzeczywiście zaczął się most biegnący nad Sundem. Za niedługo będą w Szwecji. Nagle nabrał silnego przeczucia, że gdzieś tam, po drugiej stronie jest Oxen.

— Czeka! Nie wiem, czy po drugiej stronie nie będą sprawdzać paszportów — przypomniał sobie nagle Lundbye. — Masz przy sobie?

Pokiwał głową i zapytał:

— Kontrola paszportowa? Po co?

— Uchodźcy.

— Czy ja wyglądam na uchodźcę? Proszę cię.

Odruchowo sięgnął ręką pod marynarkę, by wymacać kaburę z browningiem, który udostępnił mu Lundbye. Jeśli będzie okazja i sprzyjające okoliczności... nie zawaha się ani chwili, by odstrzelić Oxena jak psa.

Rozdział 67.

Zamek Torup stał skąpany w miękkim słonecznym świetle. W dzień taki jak ten ciepło powoli wnikało w kilkusetletnie i grube na metr mury z czerwonej cegły, by z fug tych urzekających ścian wygonić ostatnie wspomnienie zimy. Dokładnie tak jak wtedy, gdy siadywał w słońcu na skałach szwedzkiego archipelagu i czuł, jak jego mięśnie powoli się rozluźniają.

Zamek, który właściwie należałoby nazwać twierdzą, robił wrażenie. Królował niepodzielnie w dolinie, otoczony z trzech stron bukowym lasem.

Miał cztery skrzydła, które zamykały się, tworząc wewnątrz dziedziniec. Stał na wysokim kamiennym cokole i piął się na trzy piętra w górę, a budowlę wieńczył strych z otworami strzelniczymi.

Szczyty były karbowane, w północno-zachodni róg wbudowano ośmiokątną wieżę. W przeciwległym, południowo-wschodnim rogu stała wieża okrągła, zapewniająca budowli swoistą harmonię.

Dwa duńskie zamki, które miał wątpliwą przyjemność zwiedzić w ostatnich dwóch latach, przy tym wypadały blado. Ani zamek Nørlund w lesie Rold Skov, ani Gram w południowej Jutlandii nie mogły się równać z budowlą wzniesioną pośrodku szwedzkiego lasu.

Siedział na ławce na zboczu powyżej głównego wejścia.

Sixten Kopparstierna wiele lat temu udostępnił dla wszystkich park zamkowy. Oficjalne wejście znajdowało się w budynku nazywanym Mellangården — dworze środkowym, stojącym przy wąskiej asfaltowej drodze prowadzącej pod górę z wioski Bara w głąb ogromnych terenów leśnych należących do zamku.

Przyjechali tu z Sonnem zaraz po śniadaniu złożonym z dwóch bułek z serem i kawy na wynos. Siostrzeniec Mossmana robił w tej chwili rekonesans, szukając miejsca do zaparkowania na obrzeżach lasu. Powinno to być miejsce, w którym będą się mogli całkiem schować.

W ręce trzymał niewielką broszurkę. Na pierwszej stronie Sixten Kopparstierna serdecznie zapraszał do zwiedzania — „nie dlatego, że pragnie zbijać majątek na historii, lecz aby okazać jej należny szacunek i podzielić się skrawkiem dziedzictwa kulturowego z *odbiorcą masowym*”. Tak brzmiało osobiste powitanie zwieńczone zamaszystym podpisem dziedzica.

Za wejście do parku faktycznie nie płacono się ani grosza. Bilety obowiązywały tylko na zwiedzanie zamku.

Spojrzał na zegarek. Margrethe Franck była tu już od dawna. Zgodnie z ich planem powinna teraz zwiedzać z przewodnikiem tę część zamku, którą udostępniono.

Miała się od wewnątrz zorientować, jakie mają możliwości. Czy na przykład nie będzie najprościej dostać się do środka tym sposobem i w trakcie zwiedzania wymknąć się do prywatnych komnat Sixtena Kopparstierny? Czy w środku są alarmy przeciwwłamaniowe i monitoring — i jak rozbudowany?

Franck miała sobie wyrobić pojęcie. Postanowili, że tu, na miejscu, nie będą się ze sobą kontaktować. Kiedy skończy, miała po prostu wrócić do domu.

Oparł się na ławce i wystawił twarz do słońca. Nie tak znowu dawno temu siedział w ten sposób na odległej wyspie Tessy. Teraz znajdował się w zupełnie innym świecie. Siedział i planował bezczelny zamach na ten szacowny budynek, który leżał u jego stóp otoczony pozostałościami fosy i draperią zieleni.

Przystanął w trakcie swojego drugiego obchodu wokół zamku. Szukał dróg wejścia i słabych punktów. W razie konieczności użyją siły. Nie mają wyjścia — muszą się dostać do środka, by zamontować podsłuch u szwedzkiego bogacza.

Tylko pełny sukces tej misji pozwoli mu poczuć, że świat,

w którym żyją inni ludzie, na powrót stał się również jego światem.

Tak to już jest. Ot, życie... Pełna przeszkód i diabelskich ingerencji wędrówka ku temu, co nieuniknione. Nigdy nie bał się śmierci, ale też nigdy nie widział tak wyraźnie jak teraz, że część tej wędrówki jest pokutą. Że nieobecność można naprawić tylko obecnością.

Przeszył go lodowaty prąd i wypędził z ciała całe ciepło. Co, jeśli Magnus nie będzie chciał go znać...? Ta myśl nawiedzała go niezliczenie wiele razy.

Podniósł wzrok z czubków własnych butów i zawiesił go na zamku. Idąc tutaj, przeczytał broszurę Kopparstierny.

Zamek zbudowała w szesnastym wieku kobieta. Nazywała się Görvel Fadersdotter. Była wdową po jednym z królewskich doradców. Görvel była zamożna, silna i energiczna. Aż do dnia, gdy zaraza zabrała jej ukochanego syna.

Syn nosił jej nazwisko.

Wtedy Görvel pękło serce. Nigdy się nie otrząsnęła. Do dziś każdej nocy obchodzi zamek od piwnic aż po strychy i rozpacza po stracie swojego Nielsa.

Jego natomiast nie kochał nikt. Ojciec smażył się w piekle. A jeśli istniało jakieś niebo, to matka nie okazała wystarczającej odwagi, by zasłużyć na bilet.

Czy jeśli Magnus go odtrąci, on również zostanie skazany na wieczną wędrówkę? I co miałby nawiedzać? Leśny gąszcz? Czy przemierzać niekończące się chodniki wielkiego miasta?

W długiej historii zamku Torup były jeszcze inne nieszczęścia. Ale jedno przyćmiło wszystkie inne. W 1775 roku, wiosną, urządzono tu wielkie przyjęcie. Młody kornet kawalerii królewskiej Fredrich Trolle zabrał na przejażdżkę łódką po zamkowym stawie swoje siostry Britę Sophię i Elisabeth Augustę oraz ciotkę Fredericę Harmens. Nie odpłynęli daleko, gdy łódź się przechyliła. Żadne z nich nie potrafiło pływać. Cała czwórka utonęła.

Teraz przy brzegu widział parę młodych ludzi. Siedzieli na czerwonym kocu z małym dzieckiem między sobą. Kawałek dalej na trawniku stał dziecięcy wózek.

Historia zamku była burzliwa, a ród Kopperstiernów był tylko jednym z wielu właścicieli. W 1647 roku zamek kupił Duńczyk, Corfitz Ulfeldt, mąż córki króla Chrystiana IV, Eleonory Krystyny. Ulfeldt został później oskarżony o defraudację, gdy po śmierci teścia przez jakiś czas rządził Danią przed objęciem tronu przez Fryderyka III. Przed oskarżeniami uciekł do Szwecji, przez co krajanie ostatecznie uznali go za zdrajcę.

Potem Duńczyk w niejasnych okolicznościach poróżnił się ze szwedzkim królem, który w efekcie pozbawił go wszystkich ziem i posiadłości i skazał na śmierć. Ulfeldt zdołał uciec do Danii, gdzie od razu trafił do więzienia w Hammershus na Bornholmie. Dopiero gdy przysiągł wieczną lojalność duńskiemu królowi, odzyskał wolność i pozwolono mu z małżonką wyjechać do Brugii.

— Czy ty, Oxen, jesteś w stanie przeprowadzić nas przez to wszystko — i pomóc wyjść z tego cało? Powiedz mi — jesteś? — Christian Sonne bardzo się martwił i słychać to było w głosie, którym zadał to pytanie. Głina ze wschodniej Jutlandii co prawda sam się zaciągnął do służby w ich sprawie, ale był przede wszystkim człowiekiem lęklwym — i ojcem dwóch dziewczynek. Człowiekiem odciętym od własnego życia, który, podobnie jak on sam, marzył, by do niego powrócić.

Sonne zadał pytanie, kiedy stali na poboczu i z odległości oglądali zamek. Nawet teraz wyraźnie je słyszał, wraz z cichym westchnieniem, któremu towarzyszyło ponure spojrzenie.

Jakby mógł komukolwiek zagwarantować coś innego niż śmierć i nieszczęście. Pokiwał jednak głową i poklepał Sonnego po ramieniu.

— Będzie dobrze, Sonne... jestem tego pewien.

Corfitz Ulfeldt został wprawdzie uniewinniony — a potem skazany ponownie.

Ktoś doniósł duńskiemu monarsze, że Ulfeldt próbował

wciągnąć księcia Brandenburgii do spisku przeciw duńskiej koronie. Sąd Najwyższy skazał więc Ulfeldta *in absentia* na śmierć za zdradę stanu. A ponieważ nie można było go doprowadzić przed oblicze kata, zamiast niego stracono jego drewnianą kukłę, natomiast na jednym z kopenhaskich skwerów, w miejscu, gdzie mieszkał, postawiono tak zwaną kolumnę wstydu, by można było ją opluwać i znieważać.

Ulfeldt zmarł podczas wyprawy łódką po Renie w 1664 roku. Czy wszyscy od zawsze ginęli na wodzie?

Ulf Kopperstierna na początku osiemnastego wieku za fortunę zdobytą na rudach żelaza odkupił zamek Torup, który jego rodzina utraciła z powodu problemów finansowych kilka pokoleń wcześniej.

Od tamtej pory historia rodu i posiadłości na pozór nie obfitowała już w dramaty i barwne życiorysy, opinia osoby wybitnie anonimowej i skromnej, jaką cieszy się Sixten Kopperstierna, może się okazać zwodnicza. Jeśli ich teoria się potwierdzi, zamek wciąż jest wylęgarnią misternie knutych spisków wymierzonych w naród duński.

Uznał, że pora wstać z tej ławki. Widział już, co miał widzieć. Miejsce, w którym powinni uderzyć, było oczywiste. Plan w jednej chwili uformował się w jego głowie. Po czasie, jaki dał sobie na jego przemyślenie, wciąż nie zamierzał niczego w nim zmieniać.

Od zewnątrz w ścianę samego zamku wmurowano nietypowe, małe granitowe bloki. Szerokie na kilkanaście centymetrów i wysokie na mniej więcej trzydzieści centymetrów. Odstawały od ściany na metr albo półtora. Były wmurowane parami w odstępach co półtora metra, jakby miały coś podtrzymywać. Być może były to specjalne stanowiska strzelnicze, by celniej strzelać w linii równoległej do muru? Albo służyły do wieszania sznurów z praniem?

Nie miał pojęcia, w jakim celu je tam umieszczono, ale były wprost stworzone do tego, by na nich zawiązać linę i po niej wspiąć się do najwyższych okien.

Wstał z ławki i przepuścił na ścieżce grupę spacerowiczów.

Stanowili ją młoda matka z wózkiem, ojciec niosący na barana małego chłopca i starsza para w sandałach — pewnie dziadkowie, którzy zamykali korowód. Starsza kobieta trzymała za rękę kilkuletnią dziewczynkę.

Szli wolno w stronę drogi prowadzącej od Mellangården aż pod bramę zamku. Zajmowali całą szerokość ścieżki, nie bacząc, że on idzie za nimi.

Pomiędzy ojcem z dzieckiem na barkach a starszym mężczyzną był prześwit, przez który widział ścieżkę przed nimi.

Kawałek wyżej stała kolejna ławka. Dobrze się nadawała, by znów przysiąść na chwilę i obejrzeć zamek z innej strony. Przekonać się, czy ta ściana również była najeżona granitowymi blokami — być może lepiej rozmieszczonymi. Ale nie — na ławce ktoś siedział. Jakiś mężczyzna... a on zdecydowanie wolałby usiąść w spokoju. Poza tym mężczyzna zajmował sporo miejsca. Usiadł na środku, nogę założył na nogę, a jedno ramię wyciągnął na oparcie ławki.

Gdyby mimo wszystko zdecydował się dosiąść, musiałby to zrobić już za chwilę. Od ławki dzieliło go tylko kilka metrów. Mężczyzna najwyraźniej podziwiał jedynie widok na zamek. Albo po prostu wystawiał twarz do słońca, podobnie jak on sam przed chwilą.

Właśnie... ta twarz. Czy kogoś mu nie przypominała? Czy nie było w niej czegoś znajomego? Tak. Na pewno. Nos, szczęka, usta... Boże, czy to możliwe? I jeszcze ta szeroka szyja...

Ależ tak! Chociaż nie. Bo jak? I dlaczego? Jak miałoby dojść do czegoś takiego?

Zrobił kilka szybkich kroków i przecisnął się bokiem obok starszego mężczyzny. Po raz ostatni rzucił okiem na mężczyznę na ławce, po czym minął ją wciśnięty pomiędzy dwójkę dziadków. Kobieta spojrzała na niego z dezaprobatą, ale nie miał wyjścia — musiał wykorzystać tę przypadkową rodzinę do kamuflażu.

Obecność tego człowieka na ławce była czymś zbyt niepojętym i zbyt nieprawdopodobnym, by mogła być dziełem przypadku.

Wykluczone.

Statystycznie niemożliwe.

Dopiero gdy ścieżka odbijała w lewo i znikła za bujnymi rododendronami, obejrzał się szybko przez ramię. Mężczyzna na ławce siedział w tej samej pozycji co przed chwilą, odchyłony i z twarzą zwróconą w stronę zamkowego dziedzińca.

Zwolnił kroku, oddzielił się od rodziny i wszedł za wysoki krzew. Tam przysiadł na trawie i zdjął but, jakby chciał wyrzucić z niego kamyk.

Zauważyła to babcia. Wyraźnie się ucieszyła, że pozbyli się dziwnego intruza. Dopiero gdy wycieczka rodzinna oddaliła się o spory kawałek, wstał i zrobił kilka kroków w głąb krzewów. Stąd z ukrycia mógł sobie spokojnie obejrzeć mężczyznę na ławce.

Tamten w tej samej chwili wolno podniósł wzrok. Wąską bramą zamkową wyszła niewielka grupka ludzi — z przewodniczką na czele. To była grupa Margrethe Franck. Ona wyszła jako jedna z pierwszych.

Przystanęli na otwartym placu przed bramą. Przewodniczka mówiła coś, wskazując kamienną tablicę nad bramą. Mężczyzna na ławce prawą ręką dyskretnie zasygnalizował coś osobie, której nie udało mu się zlokalizować w grupie poniżej.

Nie było się nad czym zastanawiać. Należało natychmiast wszcząć alarm. Wyjął telefon i zadzwonił do Margrethe. Ta odeszła kawałek i odwróciła się plecami do pozostałych z telefonem przy uchu.

— Franck.

— To ja. Nie rozglądaj się, patrz tylko przed siebie. Zachowuj się naturalnie.

— Jasne.

— Za tobą, gdzieś w grupie masz ogon. Nie wiem, kto nim jest.

— Okej.

— A po twojej lewej, wyżej na ścieżce jest ławka. Siedzi na niej mężczyzna. To John Smith... Trzymaj się swojej grupy i czekaj na dalsze instrukcje.

Rozdział 68.

Z ławki w ogrodzie botanicznym przenieśli się do Ministerstwa Sprawiedliwości przy Slotsholmsgade, gdzie bywał teraz częstym gościem. Tego ranka uprzednio zajrzał do innego ministerstwa. Właśnie wracał z Ministerstwa Finansów — to tylko kawałek, przez Knippelsbro.

Kolarzówkę oparł o ścianę budynku. To być może niezwykle, że prokurator generalny w garniturze jeździ rowerem, ale od początku swojej kariery na spotkania w centrum miasta jeździł wyłącznie rowerem. Tak było praktycznie. Poza tym skoro Dania to kraj rowerzystów, przynajmniej jeden z prokuratorów generalnych powinien się zaliczać do tego grona, prawda? Musiał tylko znaleźć porządne klipsy na nogawki i torbę na ramię zapinaną również w pasie, żeby się nie zsuwała.

To małe spontaniczne spotkanie z Helene Kiss Hassing zaaranżował w ostatniej chwili, jeszcze zanim zobaczył się z ludźmi od podatków. Bo i tak wiedział, jak się skończy. Po serii ostrej krytyki ludzie z najwyższego kierownictwa Ministerstwa Finansów i Centralnego Urzędu Skarbowego wili się, skamłąc o litość, upokorzeni i ośmieszeni. W pewnym momencie poczuł się trochę, jakby kopał leżącego.

Ale nie miał wyjścia. Oficjalne zgłoszenie do niego, jako prokuratora specjalnego, miało zostać wniesione w ciągu doby. Wtedy media dostaną amoku. Wtedy posypie się grad oskarżeń. I będzie rozkładanie rąk przed kamerami.

Naród otrzyma pełny wgląd w maszynę systemu podatkowego, w której okazało się, że, można by rzec, po latach zaniedbywania koniecznych prac konserwacyjnych zatarł się silnik. Inni pewnie stwierdzą, że to nie silnik się zatarł, lecz zwoje mózgowe...

Wszedł po schodach na górę, przedstawił się i zaczął w recepcji. Sekretarka w słuchawkach z mikrofonem

poinformowała minister o jego przybyciu, po czym ręką zaprosiła go do środka.

— Witaj, Eilertsen. — Minister wstała i podała mu rękę przez biurko. — Usiądź, proszę.

Usiadł na jednym z foteli przed biurkiem. Odpowiadał mu jej szybki i bezpośredni sposób prowadzenia rozmowy.

— Sekretarka mówiła, że to pilne.

— Tak. Są dwie rzeczy, o których chciałbym cię poinformować. Pierwsza to ta duża sprawa kartelu. Otóż jestem zmuszony umorzyć postępowanie... to moja ostateczna decyzja.

Helene Kiss Hassing pokiwała wolno głową.

— To dla mnie żadne zaskoczenie — powiedziała. — Z naszej rozmowy w ogrodzie botanicznym w jakiś sposób wynikało, że na to się zanoszą. Ale cholera... szkoda. Naprawdę liczyłam na tę sprawę. To mógł być dobry przykład.

— Samobójstwo Hildmanda dosłownie ukręciło jej łeb. Bez niego tej sprawy nie ma.

— Mam świadomość, że to było przed twoją kadencją, ale sam wiesz, że twój wydział ma za sobą długi ciąg porażek. Potrzebujemy jakiegoś zwycięstwa. Prokuratura generalna potrzebuje zwycięstwa.

Pokiwał głową potakująco. Jej diagnoza była prosta i prawdziwa.

— O sprawie kartelu mogłem ci jednak powiedzieć przez telefon. Chciałem się spotkać, bo zanoszą się na coś innego, znacznie większego.

Minister uniosła brwi. On zaś wyjaśnił tylko:

— Właśnie wracam z Ministerstwa Finansów. W ciągu doby na moje biurko trafi zgłoszenie. Skarbowka podejrzewa, że sieć ponad stu zagranicznych spółek oszukała duński skarb państwa na... sześć koma dwa miliardy koron.

Oczy Helene Kiss Hassing zrobiły się ogromne.

— Sześć koma dwa miliardy — żartujesz!

— Niestety nie. Ale masz rację. Kwota jest astronomiczna.

— Ale jak?

— Zagraniczne spółki, o których mowa, sfałszowały dokumentację tak, że wyglądało, jakby posiadały akcje w duńskich przedsiębiorstwach. Dlatego urząd skarbowy pobrał dwadzieścia siedem procent podatku dochodowego od dywidend. Ale jeśli akcjonariusz jest opodatkowany również w swoim kraju, to może wystąpić o zwrot zapłaconego w Danii podatku. Gwarantują mu to międzynarodowe umowy o podwójnym opodatkowaniu. Szwindel jest dziecinnie prosty. Tamte spółki nigdy nie posiadały choćby jednej duńskiej akcji. Nigdy też nie zapłaciły podatku w swojej ojczyźnie — kradną z duńskich środków publicznych, ile im się podoba.

— I chcesz mi powiedzieć, że skarbowka i ministerstwo finansów nie kiwnęły palcem, by to powstrzymać? Że nikomu nie przyszło do głowy sprawdzić, czy te akcje faktycznie są w rękach podmiotów zagranicznych? — Minister kręciła głową z niedowierzaniem.

Sam mógł tylko przytaknąć. I przejść do kolejnego etapu.

— Będzie z tego afera. Kwota jest niebotyczna. Dla mojego departamentu to jednak ogromna szansa, by się wykazać. Szansa dla całego ministerstwa... Musimy oczywiście dokładnie zbadać sprawę, ale na pierwszy rzut oka wszystko wydaje się proste i jasne.

Minister sprawiedliwości siedziała z rękami splecionymi na wysokości uszminkowanych na czerwono ust, które tworzyły na jej twarzy wąską kreskę.

— Tej szansy nie wolno nam zmarnować, Eilertsen. To cholernie dobra okazja. I darmowa reklama. O skandalu tego kalibru będzie głośno wszędzie. Trafiło się wam — nam — jak ślepej kurze ziarno. Możemy wysłać społeczeństwu pozytywny komunikat: że w Ministerstwie Sprawiedliwości nie puścimy płazem czegoś takiego. Sześć koma dwa miliardy koron... ot tak, przeszło koło nosa... i nikt nawet nie mrugnął okiem... to się nie mieści w głowie. Oto mamy skutki tych wszystkich cięć

i niezrozumiałych restrukturyzacji w skarbowce, których świadkami byliśmy w ostatnich latach. Pracownicy się wykruszyli, a ci, którzy zostali, kompletnie sobie nie radzą. Przymknij winnych. I odzyskaj pieniądze.

— Zasięg sprawy jest ogromny, więc proces będzie długi. I nieuchronnie zacznie się polityczne obrzucanie błotem. Jestem przekonany, że gdy tylko zgłoszenie zostanie podane do publicznej wiadomości, opozycja wpadnie w szal — zauważył.

— Niewątpliwie. Kiedy dowiedzą się media?

— Za dobę. O jedenastej. Komunikat wyjdzie od Ministerstwa Finansów.

— Hm. Świetnie. Jedenasta — a potem armagedon przez resztę dnia. Planujesz oświadczenie dla prasy o umorzeniu postępowania w sprawie kartelu?

— Nie mam innego wyjścia. Chyba myślimy o tym samym... Może wystosuję je koło jedenastej? — spytał.

Minister sprawiedliwości roześmiała się i przytaknęła:

— Myślę, że tak powinniśmy zrobić. Cóż, tak to już jest w polityce. Klęska jednego... A premier wie o tym, co ma się wydarzyć? I o tych wszystkich miliardach?

— Podobno w tej chwili słucha sprawozdania.

— Wszyscy moglibyśmy znaleźć doskonałe zastosowanie dla tych pieniędzy u nas w kraju... Dzięki, że się pofatygowałeś, Eilertsen. Bardzo sobie cenię bycie informowaną na bieżąco.

— Nie ma za co.

Zbierał się do wyjścia i już sięgnął po torbę.

— Jest coś jeszcze — powiedziała niespodziewanie minister. — Masz jeszcze chwilę?

— Jasne.

— W sumie to ja też chciałam o czymś z tobą pomówić. Zastanawiam się nad tym od naszej przemiłej rozmowy w ogrodzie botanicznym. Chodzi mi o Axela Mossmana —

pamiętasz go?

— Dawnego szefa PET?

— Tak. Jedną z pierwszych rzeczy, które musiałam zrobić po objęciu stanowiska, było całkowite odsunięcie go od służby publicznej. Słyszałeś, z jakiego powodu?

— Coś tam mówiło się w kuluarach. Nadużycie władzy w takim czy innym zakresie. Prawda?

— Niedopuszczalne nadużycie. Mossman twierdził, że to była obrona konieczna. Mnóstwo z tego, co wtedy mówił, składając wyjaśnienie, wydawało się mocno naciągane. Ale od tamtego czasu dużo o tym myślałam. Gdyby te informacje miały się okazać prawdziwe, to mamy ogromne powody do niepokoju. Mossman twierdzi na przykład, że mój poprzednik, Ulrik Rosborg, nie utonął, lecz został utopiony. I że krajem tak naprawdę rządzi tajna loża, rodzaj elity władzy. Mają w niej zasiadać najbardziej wpływowe osoby w kraju i z ukrycia koordynować i wpływać na procesy decyzyjne. Organizacja nazywa się Danehof. Zdaniem Mossmana to jej członkowie zastawili na niego pułapkę i uczynili go kozłem ofiarnym dla swoich działań. To wszystko musi oczywiście zostać między nami... Ale chciałabym, żebyś trochę się temu przyjrzał. Wiele można powiedzieć o Axelu Mossmanie, ale nie to, że jest idiotą czy fantastą.

Pokiwał głową zamyślony. Minister trafiła w czuły punkt, choć nie miała o tym pojęcia.

— Tak się składa, że słyszałem o Danehofie — powiedział.

Helene Kiss Hassing popatrzyła na niego zaskoczona.

— Mój poprzednik ciężko zachorował i w krótkim czasie umarł. Kiedy porządkowałem jego gabinet, trafiłem na coś, co przejął po swoim poprzedniku. Tamten nazywał się Sigurd Månsson. Była to jakaś osobista notatka. Niech pomyślę... To było jakieś dziesięć, może jedenaście lat temu. Notatkę sporządzono odręcznie na zwykłej kartce. Månsson opisał w niej wizytę pewnej kobiety, córki znanego przemysłowca, Ryttingera. Pamiętasz go?

Minister przytaknęła skinieniem. Mówił więc dalej:

— Ryttinger został zamordowany. Jego córka miała teorię, że za zbrodnią stała organizacja o nazwie Danehof. Ojciec tuż przed śmiercią napisał na podłodze własną krwią „Danehof”. Tamta kobieta uważała, że organizacja ma powiązania z Kobberstjerne Pharma International i Kopperstierna Fonden. Månsson poprosił ją, żeby wróciła do niego, jeśli będzie miała jakieś konkrety. Potem dopisał do swojej notatki jeszcze jedną uwagę — mianowicie, że córka Ryttingera nigdy więcej się z nim nie skontaktowała. Jak się dowiedział — zginęła w wypadku samochodowym. Jego notatka zawieruszyła się na dnie najniższej szuflady biurka. I tam leży do dziś. Muszę przyznać, że potraktowałem ją tylko jako ciekawostkę.

— A widzisz. Wizyta córki to dodatkowy punkt zaczepienia. Spróbuj wy badać teren. Tylko pamiętaj, że z Kopperstiernami trzeba obchodzić się jak z jajkiem — powiedziała minister i wstała, żeby się pożegnać. — Ale... w pierwszej kolejności spróbujmy odzyskać te sześć koma dwa miliardy, jasne? — Helene Kiss Hassing znów się uśmiechnęła. Często się uśmiechała. I miała poczucie humoru. Atrakcyjne opakowanie skrywało bystry umysł, zdolny błyskawicznie dostrzec szerszy kontekst.

Cechy niebagatelne u polityka u szczytu władzy. Uścisnął jej rękę i również się uśmiechnął.

Rozdział 69.

Wyglądało na to, że pinda rozmawia przez telefon. Nie trwało to długo. Teraz widział, jak odsuwa rękę od ucha i chowa telefon w kieszeni kurtki.

Tak w ogóle to co ona tu robiła? Przyjechała sobie na zamek? Akurat tu z wszystkich niedorzecznych miejsc...?

Był przekonany, że prowadzi ich do Oxena, który ukrywa się gdzieś tutaj, na terenie Szwecji. A ta łązi po głupim zamku z cholerną grupą turystów.

Czy to możliwe, że ktoś przemieszcza się z punktu A do punktu B, z Kopenhagi gdzieś w okolice Malmö, tylko po to, żeby się pogapić na zamkowe mury? Nie... Musiał być inny powód tej wyprawy przez łączący dwa kraje most. W tym *musiało* się kryć coś więcej.

Nie mogli sobie pozwolić, by dłużej obserwować ją z taką intensywnością, a jemu coraz trudniej było znosić towarzystwo Lundbyego.

Zostawiła rękę w kieszeni i wciąż trzymała w niej telefon. Brzmiało nieprawdopodobnie. John Smith tu, na zamku Torup? Na ławce na zboczu? I z pomocnikiem, który stał gdzieś za nią?

Krótką informacją od Oxena sprawiła, że się w niej zagotowało.

Była przekonana, że nikt jej nie śledził po drodze do Szwecji. Dla pewności zrobiła jeszcze kilka manewrów. Ale... no tak, minęło trochę czasu, odkąd ostatni raz sprawdziła, czy nie ma w samochodzie niepożądanego elektroniki. Tuż po zamieszczeniu na zamku Gram robiła to często, ale potem — coraz rzadziej. To jakby przestało mieć większe znaczenie. Mogli sobie ją śledzić, jeśli mieli ochotę. I tak nie robiła nic poza tym, na co jej pozwalali, czyli zaharowywaniem się na śmierć. A w ostatnim

czasie w zasadzie jej gruchot w zasadzie stał nieużywany.

To jedyne wytłumaczenie. Zamontowali jej w aucie GPS. Niech to szlag.

Spokojnie się odwróciła i w dwóch krokach na powrót dołączyła do grupy. Kątem oka na ławce kawałek dalej dostrzegła mężczyznę. Siedział spokojnie z nogą założoną na nogę. Więc to był tajemniczy John Smith.

Powód, dla którego ją śledził, mógł być tylko jeden: chciał znaleźć Nielsa Oxena.

Ich grupa liczyła poza nią trzynaście osób. Mniej więcej po równo mężczyzn i kobiet. W pierwszej chwili w żadnej z tych osób nie dostrzegła niczego szczególnego. Teraz jednak zaczęła ukradkiem się im przyglądać. Pomocnik Johna Smitha był najprawdopodobniej mężczyzną, ale którym?

Przewodniczka znów o czymś opowiadała i poprowadziła ich grupę dalej, innymi schodami w górę. Zwiedzanie wkrótce powinno się skończyć. Chodzili tak już niemal godzinę.

Dzieliło ich pięćdziesiąt kilka metrów. Mężczyznę na ławce widział tylko z profilu, ale nie miał wątpliwości, że to on. Dopiero co przeszedł obok niego tak blisko, że gdyby zrobił dwa kroki w bok, mógłby kantem dłoni zmiażdżyć gościowi krtań.

Gęste brwi, głęboko osadzone oczy, szeroki nos, kości policzkowe i żuchwa... to *był* on. Człowiek, z którym walczył wręcz w nocy przy zamku Gram. To *był* tajemniczy John Smith. Starszy niż na zdjęciach, które dostał od Alistaira MacDuffa, ale nie na tyle, by nie widzieć uderzającego podobieństwa.

Stał nieruchomo ukryty za gęstym listowiem. Przez głowę przelatywało mu tornado myśli i pytań. Obecność Johna Smitha umieścił gdzieś pomiędzy faktem „głęboko niepokojącym” a „katastrofą” — wszystko w zależności od tego, jak odpowiadał sobie na owe pytania.

Próbował odsunąć od siebie wszelkie wątpliwości i pochopne

wnioski i wrócić do punktu wyjścia — stwierdzenia prostego faktu jego obecności i odpowiedzi na pytanie: dlaczego?

Odpowiedź brzmiała: John Smith był na zamku Torup, bo ktoś, kogo obserwował, również tu był.

Margrethe Franck tu była. Christian Sonne tu był. On sam tu był. Nie... tę ostatnią odpowiedź należy wykluczyć. Gdyby tak było, to Smith nie siedziałby spokojnie na ławce, grzejąc kości w słońcu. Uwaga Anglika skupiała się na kimś innym. I nie był to również Sonne. Gdyby Smith śledził Sonnego, to oczywiście widzieliby ich obu w samochodzie.

Zatem odpowiedź prawidłowa brzmiała, że John Smith był na zamku Torup, ponieważ była tu Margrethe Franck.

Jechali za nią od jej mieszkania w Kopenhadze aż tutaj. To jedyna możliwa odpowiedź.

Myśl nie napawała optymizmem, bo *dla czego* w ogóle John Smith był w Danii? Raczej nie dlatego, że interesowała go Margrethe. Może coś go zaniepokoiło? A może po prostu dostał nową robotę? Czy mógł być jakikolwiek powód, dla którego Danehofowi nagle zaczęło zależeć, aby pozbyć się Margrethe Franck?

Odcięli ją od wszystkiego, co do tej pory wypełniało jej życie, ale jej nie zabili. Po co więc wynajmują nietaniego zapewne gościa pokroju Johna Smitha, żeby ją śledził — czy wręcz zlikwidował?

Ten trop to ślepa uliczka. To nielogiczne. Życiu Margrethe nic nie zagraża.

Odpowiedzi trzeba szukać gdzie indziej. Może powinien pójść po własnych śladach? Czy śmierć Alistaira MacDuffa mogła aż tak zaniepokoić Johna Smitha? To jedyne, co się w ostatnim czasie wydarzyło i co mogłoby wywołać podobną reakcję.

Czy mógł coś przeoczyć? Czyżby został zdemaskowany podczas swojej wizyty u MacDuffa w Runcorn? Kryminaliści znaleźli coś, co kazało Smithowi ruszyć tyłek?

Nie zostawił odcisków palców. A gdyby nawet zostawił, jego

odciski — podobnie jak DNA — były bezużyteczne, skoro nie było podejrzanego, z którego odciskami można by je porównać. I podejrzanego — o co? Alistair MacDuff zginął w wypadku...

Ale było miejsce, w którym — choć nie bezpośrednio — pozostawił po sobie swego rodzaju ślad: komputer MacDuffa. Tamte dwa zdjęcia Johna Smitha zostały ściągnięte na pulpit. Stamtąd osobiście je usunął i opróżnił kosz. Do tego sam MacDuff zabezpieczył się i zapisał zdjęcia w chmurze. Więc oczywiście, że ślad został. Specjalista zawsze zdoła go znaleźć. Tyle że lokalna policja raczej nie grzebała w komputerze gościa, który po pijaku spadł ze schodów i skręcił kark.

Ten scenariusz więc również nie do końca trzymał się kupy.

Musiał się zadowolić stwierdzeniem, że John Smith znalazł się tu, ponieważ wywęszył coś, co uznał za potencjalne zagrożenie dla siebie. A ludzie jego pokroju zawsze reagują na zagrożenie — pozbywając się go.

W skupieniu obserwował angielskiego najemnika. Wyciągnął nogi przed siebie. Poza tym jego dumna pozycja w pełnym słońcu się nie zmieniła. Siedział wygodnie oparty i wyraźnie na coś czekał. Swojemu wspólnikowi kazał śledzić Franck na wycieczce z przewodnikiem. Kiedy zwiedzanie się skończy, dalej będą ją śledzić, dokądkolwiek się uda.

Gdyby jednak miał znaleźć inne wyjaśnienie dla obecności Johna Smitha niż to, które nakazywała logika, mógłby odwrócić pytanie: kto był dla Smitha zagrożeniem? Odpowiedź brzmiała: tylko on, Niels Oxen. Człowiek, którego Smith według własnej wiedzy wysadził w powietrze u wybrzeża Szwecji.

Albo więc w sposób bezpośredni ujawnił się podczas pobytu w Anglii, albo zostawił ślad budzący wystarczająco silne podejrzenia, by John Smith poczuł się zmuszony zainwestować w bilet do Danii.

Ten scenariusz rodził kolejne, ostatnie, lecz nieskończone złowieszcze pytanie: skoro Smith był na tropie — swojego wroga lub jego cienia — to czy powiadomił o tym Danehof?

Nie — Smith nie chciałby przyznać się do porażki. Może zresztą nie wiedział nawet, kto jest jego pracodawcą. To przecież całkiem możliwe.

Tak — Smith wiedział, że pracodawcy należy się bezwzględna szczerłość i lojalność. Zwłaszcza pracodawcy tak potężnemu jak ten duński.

Bez względu na to, która odpowiedź była prawidłowa, mężczyzna na ławce oznaczał kłopoty.

Musi się stąd wydostać i jak najszybciej odnaleźć Sonnego, zanim ten przypadkiem natknie się na Smitha. Stał jeszcze chwilę, by ostatni raz napatrzeć się na Anglika.

Może jednak to wszystko wcale nie musi zwiastować niczego złego?

Już samo to, że stał tuż obok i przyglądał się nieświadomemu niczego Smithowi, można było, przy całym zamieszaniu, jakie wywołało jego pojawienie się tutaj, wykorzystać na ich korzyść, o ile uda im się odpowiednio pokierować tą nową sytuacją.

Ostatecznie to on ścigał Johna Smitha — i w Runcorn, i za pośrednictwem londyńskich kontaktów Mossmana. A teraz zdobycz sama przyszła do myśliwego.

Sonne szedł właśnie wzdłuż lasu niedaleko zamku, kiedy do niego zadzwonił. Szybko się odnaleźli. Wprowadził Sonnego w sytuację i teraz obaj chowali się za krzakiem niedaleko wysypanego żwirem placu, który pełnił funkcję parkingu.

Pora dać Margrethe ostatnie instrukcje. Zadzwonił do niej.

— To znowu ja. Masz pojęcie, ile to jeszcze potrwa?

— Przewodniczka właśnie kończy.

— To słuchaj uważnie. *Mission aborted...* Po zakończeniu zwiedzania spokojnie idziesz na parking, wsiadasz do samochodu i wracasz do domu. Zostań w mieszkaniu. Razem z Sonnem jesteśmy właśnie na parkingu. Chcemy się dowiedzieć, z kim działa Smith. Dawno temu sprawdzałaś swój wóz?

— Niestety...

— To mieliśmy szczęście. Musimy teraz odpowiednio to rozegrać. Pewnie będą jechali w sporej odległości, ale założę się, że bazę mają gdzieś niedaleko twojego adresu. Pogadam z Mossmanem, co powinniśmy robić. A do ciebie zadzwonię później i podam ci numer rejestracyjny i markę samochodu. Wtedy będziesz mogła sama się zorientować, czy jadą za tobą do domu. Wszystko jasne?

— Tak.

Rozłączył się, by od razu zadzwonić do Mossmana. Sytuacja wymagała konsultacji z samym mistrzem intrygi.

Rozmawiali piętnaście minut. Chwilę po tym, jak skończyli i schował telefon do kieszeni, na parkingu pojawiła się Margrethe. Szła nieśpiesznie do starego suzuki, a gdy usiadła za kierownicą, jeszcze chwilę się mościła, nim uruchomiła silnik. Potem wyjechała z parkingu.

— I co powiedział? — spytał Sonne.

— Że to dar niebios... i że potrzebuje trochę czasu.

— Czasu na co?

— Tego dokładnie nie powiedział. Ale czy przypadkiem wszystko nie sprowadza się do tego, żeby jak najszybciej dorwać Johna Smitha i porządnie go przycisnąć? Patrz...

Trącił Sonnego w ramię. Wąską szutrową drogą do parkingu zbliżali się dwaj mężczyźni. Z ich gestów można się było domyślić, że o czymś dyskutują.

— Ten po prawej to Smith — wyjaśnił Sonnemu.

Drugi mężczyzna był młodszy od Smitha, wyższy i nie tak barczysty. To on otworzył samochód — srebrne renault starszego rocznika — i usiadł za kierownicą.

— Zapisuję numer — szepnął Sonne i wstukał litery i cyfry w swój telefon.

Chwilę potem samochód spokojnym tempem wytoczył się

z parkingu w stronę asfaltowej drogi. Najwyraźniej nie śpieszyło im się. Niels wyobrażał sobie, jak John Smith siedzi teraz przed wyświetlaczem i obserwuje, jak czerwona kropka, którą było suzuki Margrethe, zmierza z powrotem w stronę mostu nad Sundem.

Christian Sonne zadzwonił gdzieś i rozmawiał z kimś przez kilka minut, po czym podziękował i się rozłączył.

— Gość od samochodu to Morten Lundbye. Zostało mi jeszcze paru dobrych znajomych u nas na komendzie... Mieszka przy Skodborgvej w Rødovre. Jako jedyna osoba zameldowana pod tym adresem. Jako zawód ma wpisane: konsultant.

— Konsultant? Pewnie w tej samej branży co Smith.

— Oxen, co robimy? Zamek, Margrethe — i ci dwaj? Musimy mieć plan, i to cholernie dobry plan. Inaczej znów wszystko się posypie...

— Wracamy spokojnie do domu.

Rozdział 70.

Zmrok zapadł niepostrzeżenie na Refshaleøen, kiedy przejeżdżała obok klubu żeglarskiego Lynetten. Las masztów bladł na tle białych kominów elektrowni Amager i spalarni po drugiej stronie portowego basenu.

Kolejny raz spojrzała w lusterko wsteczne. Żadnych świateł mijania. Jadąc od siebie z Østerbro, ani razu nie pomyślała, że ktoś może ją śledzić. Teraz wiedziała jednak, że srebrne renault, które stało pod jej domem po przeciwnej stronie ulicy, musiało za nią jechać.

Skoro potrafili jechać za nią do Szwecji, to mogli też przyjechać za nią aż tutaj, do miejsca, którym stolica wolała się nie chwalić na pocztówkach.

Zgodnie z instrukcjami Mossmana skrzyła w lewo i dziurą w siatce wjechała na opuszczony teren dawnej stoczni. Była to ogromna, rozpadająca się hala fabryczna. Pierwsza ściana szczytowa była otwarta od dołu, jakby dawniej mieściła się tam otwarta rampa rozładunkowa. Przed nią rosły drzewa samosiejki, metrowa trawa i chwasty.

Spojrzała na zegarek. Oxen miał się zjawić za dwanaście minut. Do tego czasu wciąż powinno być wystarczająco jasno, by John Smith i jego duński towarzysz — gdziekolwiek się ukrywali w tej chwili — mogli zobaczyć, że przyjechała ich nagroda główna.

Zaparkowała kawałek niżej, pomiędzy halą a suchym dokiem, który wyglądał, jakby mógł pomieścić ćwierć oceanu. Po przeciwnej stronie były miejsca do przechowywania łodzi z rusztowaniami, a jeszcze dalej, w głębi ogrodzonego terenu, wznosiły się dwie hale konstrukcyjne, jedna obok drugiej.

Kiedyś budowano tu sekcje okrętów. Gdy się patrzyło z Langelinie, dwa betonowe bloki wyglądały, jakby były

wystarczająco potężne i surowe, by przetrwać apokalipsę, która uderzyła w Refshaleøen w połowie lat dziewięćdziesiątych, gdy padła stocznia Burmeister & Wain.

W swoim czasie, będąc jeszcze w policji, sporo razy przyjeżdżała tu na patrol. Zdaniem niektórych to miejsce było kreatywną przestrzenią oferującą nieskończone możliwości rozwoju. Margrethe z kolei panująca tu atmosfera napawała wyłącznie przygnębieniem.

Stocznia, kiedyś jedna z najlepszych na świecie, była największym pracodawcą w kraju. Teraz między opustoszałymi budynkami hulał wiatr.

Pierwszy z dwóch betonowych potworów bez trudu mógłby pożreć Okrągłą Wieżę, a przed kilkoma laty stanowił osobliwe tło krajowych eliminacji do konkursu Eurowizji. Dziś nikt nie posyłał z buziakiem *douze points* w kierunku Refshaleøen.

Ruszyła w stronę pierwszych drzwi do przylegającego do hali budynku pomazanego graffiti, gdzie zgodnie z informacją przy drodze mieścił się skatepark.

Część budynku była podzielona na dwa piętra. Od góry do dołu były okna. Wiele z nich miało wybite szyby, a w ich miejsce wstawione płyty pilśniowe. Nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte, zgodnie z umową. Gdzieś w środku był Mossman, choć nie było go widać w ciemności. Sonne czekał już w gotowości — on też miał uczestniczyć w zasadzce. Najpierw jednak musiała się zjawić przynęta. Znowu spojrzała na zegarek. Oxenowi zostało dziesięć minut.

Siedział za kierownicą w samochodzie Sonnego. Spokojnym tempem minął przystań żagłówkową i jechał dalej, oddalając się od miasta. Zerknął na zegarek. Był zgodnie z planem. Za minutę powinien zaparkować obok suzuki Margrethe i zakraść się do opuszczonego warsztatu w hali obok dawnego suchego doku B&W.

Wkrótce wjechał na teren nieczynnej stoczni przez dziurę

w wysokim płocie. Stare alto Margrethe stało tam, gdzie ustalili.

Wyłączył silnik. W kieszeni wymacał pistolet, a w drugiej — latarkę, po czym spokojnie wysiadł. Przez chwilę stał w miejscu i się rozglądał. Zapadał zmrok. Nie było widać księżyca, co normalnie uznaliby za okoliczność sprzyjającą. Tym razem jednak przydałaby się odrobina światła roboczego.

Chwycił klamkę pierwszych drzwi do budynku przylegającego do hali i zniknął w panującym wewnątrz mroku. Od razu poczuł na ramieniu zaciśniętą dłoń Franck, która poprowadziła go wąskim korytarzem.

— Wszystko w porządku — powiedziała. — Brakuje już tylko naszych gości.

Poszli dalej przez niewielkie pomieszczenie i weszli do kolejnego, przypominającego warsztat. Na suficie paliła się pojedyncza, goła żarówka, oba okna były zasłonięte dyktą.

— Stanę w środku, w świetle, i zostawię lekko uchylone drzwi. Ty i Sonne możecie się schować za tym starym regałem. Zatrzymacie ich przed samymi drzwiami, jasne?

Skinął w stronę Margrethe. Plan był dobry na miarę okoliczności, w jakich powstał. Sonne właśnie zszedł po schodach.

— Mossman jest na górze — wyjaśnił. — Da nam sygnał, kiedy ich zobaczy.

— Dobra. Zajmujemy pozycje i czekamy. I pamiętajcie — ogień otwieramy tylko w ostateczności. Musimy ich mieć obu żywych. Myślę, że mamy co najmniej piętnaście minut...

Franck i Sonne pokiwali głowami. Sonne wyglądał na przerażonego myślą o możliwej strzelaninie.

Zajęli pozycje. On sam spojrzał na zegarek. Zawodowiec, jakim niewątpliwie był John Smith, nie wpadnie z impetem pierwszymi drzwiami tylko dlatego, że są otwarte. Nie będzie się śpieszył — i pewnie sprawdzi tyły hali i pozostałą część budynku, zanim wejdzie do środka. Z drugiej strony nie będzie zwlekał zbyt długo,

bo nie chce, by ptaszek wyfrunął mu z klatki.

Gdy zawibrował telefon Sonnego, rzeczywiście minął prawie kwadrans.

— Jeden z nich przed chwilą zapalił papierosa. Wujek mówi, że najpierw stali przy rusztowaniach, ale teraz idą w naszą stronę. On zostaje na górze.

Oxen pokiwał głową i przekazał informacje Franck.

Czekali, wstrzymując oddech i nasłuchując w ciemności. Po jakimś czasie usłyszeli, że ktoś ostrożnie otwiera drzwi na końcu korytarza. Po kolejnych kilku minutach nieznacznym szmer wskazywał, że Smith i Lundbye bezgłośnie przesuwali się do przodu przez kolejne pomieszczenia. Wreszcie w słabym świetle padającym z uchylonych od strony Franck drzwi dostrzegli dwie sylwetki.

Gdy obaj najemnicy znaleźli się dwa metry od drzwi, Oxen wyskoczył przed nich i rozkazał po angielsku, jednocześnie świecąc im w twarz latarką:

— *Hands up! Hold'em high!* Dwoje ludzi ma was na muszce. Jesteśmy kilka metrów od was, więc nie róbcie nic głupiego. Jeden fałszywy ruch i dostaniecie w plecy. A teraz oddajcie broń, bardzo powoli. Kciukiem i palcem wskazującym lewej ręki łapiecie za lufę i bardzo, bardzo wolno ją opuszczacie. Sonne — odbierz od nich broń.

Franck otworzyła drzwi na oścież i kryła ich od tyłu. Kiedy oba pistolety były bezpieczne pod opieką Sonnego, Oxen kazał im wejść do oświetlonego warsztatu.

Wewnątrz, wśród śmieci walających się po cementowej podłodze, stał stary stół roboczy z dużym imadłem.

— Pochylcie się obaj. Ręce na stół, nogi rozstawione.

Obaj posłuchali. Odłożył broń, żeby dokładnie obu zrewidować. Duńczyk miał w kieszeni mały składany nóż. Rzucił go w kąt. Anglik był czysty.

— Wyprostujcie się! Powoli! Ręce na kark!

Nie zdążył sięgnąć po własną broń, nim to się stało.

Smith, prostując się, w tym samym, błyskawicznym ruchu z półobrotu kopnął Franck w rękę, w której trzymała pistolet.

Zachwiała się i zrobiła dwa kroki w tył. Smith, wciąż płynnie, w dwóch skokach znalazł się pod ścianą, wziął rozbieg i obiema nogami równocześnie kopnął płytę ze sklejki zasłaniającą okno.

Płyta pękła i Smith zniknął po drugiej stronie. W tej samej sekundzie wyskoczył jego duński towarzysz. Lundbye dał nura w ciemność, ręce złożywszy jak do skoku na główkę.

Franck oddała dwa strzały, zanim jeszcze Duńczyk przeskoczył na drugą stronę, ale nie wiadomo było, czy trafiła. Sonne zastygł w przerażeniu.

— Za nimi! Dalej! — Oxen wykopał resztę płyty z okna i przeszedł na drugą stronę. Franck i Sonne pobiegli do drzwi.

Słyszał odgłos butów, ale nigdzie nie widział uciekinierów. Po odgłosie domyślił się, że pobiegli w dwóch różnych kierunkach. Rzucił się w pościg wzdłuż ściany bocznej suchego doku, a Franck i Sonnemu kazał pobiec w drugą stronę.

Kawałek dalej zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Nie słyszał nic. Najcichszego nawet szmeru. Poklepał jedną kieszeń, a potem drugą. Pistolet musiał zostawić w warsztacie, ale miał latarkę. Włączył ją i przesunął słupem światła po najbliższym otoczeniu.

Dotarł do końcowej ściany suchego doku. Otwarte metalowe schody prowadziły w dół, wzdłuż tylnej ściany szczytowej, potem załamywały się pod kątem prostym i wiodły na samo dno doku. W dół był spory kawałek, około dziesięciu metrów. Ktokolwiek wybrał tę drogę ucieczki, nie mógł zdążyć zejść na sam dół.

Na dole stała niewielka motorówka. W pierwszej chwili jej nie zauważył. Wydawała się mikroskopijna w ogromnej przestrzeni.

Innych możliwości nie było. Uciekający musiał się ukryć w rejonie rusztowań. Ruszył dalej w obchód doku. Zanim odszedł, raz jeszcze poświecił na jego dno, gdzie łódka wyglądała jak

miniaturka, gotowa, by złożyć jej maszt i wciągnąć ją do butelki.

Dostrzegł ją, gdy omiótł latarką przeciwległą ścianę... długą linę przymocowaną do metalowego ringu na skraju betonowej podłogi i niemal sięgającą dna doku. Tym sposobem można było w krótkim czasie spuścić się na dno doku. A to mogło stanowić doskonałą kryjówkę właśnie dlatego, że było kryjówką tak bardzo nieprawdopodobną.

Mimo to ruszył wolno pomiędzy dużymi stosami metalowych rur zalegających wśród rusztowań. Nikogo ani śladu. Mimo że stało tu sporo tyczek z zamontowanymi lampkami, cień był tak głęboki, że jego mała latarka nie dawała mu rady. Uciekinier mógł również uciec w górę po zboczu i zniknąć w zaroślach.

Przystanął i wsłuchał się w ciszę. Nie wiedział, co u pozostałych. Czy szukali wzdłuż tylnej ściany hali, czy wzdłuż drogi wyjazdowej? A Mossman? Rzucił się do pomocy? I kogo właściwie ścigał on sam? Smitha czy Lundbyego?

Miał już iść dalej, kiedy wydało mu się, że słyszy cichy dźwięk z dna doku. Jakby uderzenie metalu o metal.

Wrócił na koniec hali wzdłuż przeciwległej ściany bocznej, zatrzymał się przy ringu z liną i poświecił w dół. Nie dostrzegł niczego podejrzanego. Przeszedł do schodów i zaczął schodzić.

Wkrótce poczuł się, jakby ciemność ogromnego czworoboku wchłonęła go w siebie, a motorówka w świetle latarki z liliputa zmieniła się w olbrzyma.

Przy prawej burcie stało rusztowanie. Właśnie malowano dziób łodzi, ale nawet w tak słabym świetle widać było, że jest w niej mnóstwo innych rzeczy do naprawienia. Wszędzie pełno butli z gazem spawalniczym, wysokich jak człowiek, sporo stołów roboczych i skrzyń na kółkach. Paleta z drewnem, w większości zasłoniętym plandeką, i druga, z dużymi puszkami farby. Do tego mnóstwo innych narzędzi i pozwijanych plandek, których sterty wały się w różnych miejscach doku. Za łódką dostrzegł wózek widłowy i dwa małe kontenery.

Jednym słowem, kryjówek nie brakowało — chociażby na samej

łódce. W dwóch skokach można było się znaleźć na górze drabinki, przejść mostkami rusztowania i przez reling.

Na początek sprawdził kontenery, które były otwarte. W obu znajdowały się materiały. Potem zdecydował się na łódkę. Wrócił i wspinał się na rusztowanie. Chwilę później przerzucił nogi na pokład.

Niektóre części łódki były zakryte plandeką. Na przykład całe śródokręcie, coś w rodzaju salonu wyłożonego szlachetnym drewnem. Nie było wstawionych szyb. Poświecił wokół. Pomieszczenie było całkiem puste. Ostrożnie przeszedł na dziób. Był tam pokład słoneczny z klapą pod pokład, ale ta była przykręcona na stałe śrubami.

Łódź wydawała się duża, kiedy się na niej stało. Zdecydowanie za duża, by się zmieścić do butelki. Przeszedł do tyłu, gdzie również kokpit był zasłonięty plandeką. Właśnie obkładano go od zewnątrz drewnem, podobnie jak kajutę. Statek musiał być stary. Wyglądał, jak wycięty z podręcznika do historii.

Do kajut prowadziły w dół wąskie schody. Ostrożnie po nich zszedł. Wewnątrz statku panował chaos. Przeszedł ponad stosem listew i desek i poświecił wokół. Po obu stronach sterczało mnóstwo kabli.

u►„Bravo 07, tu Alfa 03. Wchodzimy na teren T3N8. Brak obserwacji. Teren wydaje się opustoszały”.

„07, cholera, uważajcie... tu wszędzie są jebane miny. Idziemy ścieżką dalej na północ. Bez odbioru”. ◀t

Weszli do największego budynku. Wszystko pogrążone w głębokim cieniu. Ostrożnie posuwali się naprzód. Słońce jak laser wcinało się do środka pozbawionymi szyb otworami okiennymi wyciętymi w surowym murze, a unoszący się w powietrzu pył zastygał i drżał w jego promieniach.

Dalej do drzwi, potem przez mniejsze, puste pomieszczenie i znów wąskim korytarzem. Stali teraz w trzecim pomieszczeniu. Na podłodze klepisko. Promień słońca oświetlał kożę w czarne plamy. Stała w kącie na wiązce słomy. Prawą przednią nogę miała

zakrwawioną. Nie mogła na niej stanąć.

— *Cholerna koza! Nie wierzę! Oxen, patrz na jej nogę. Czeka, odwiążę ją.*

— *Nie!*

Odbezpieczył swój pistolet, podszedł bliżej i przyjrzał się upręży i kozie. I zastrzelił zwierzę.

— *Stary, co ty robisz?!*

— *Liczyli, że trafi im się miłośnik zwierząt... Widzisz tę żyłkę wokół jej tylnej nogi? Ładunek jest w słomie. Połączony szeregowo, daisy chain...*

W angielskim slangu żołnierskim oznaczało to śmiertelnie groźny szereg połączonych ze sobą ładunków wybuchowych. Choć w dosłownym tłumaczeniu był to romantyczny wianek ze stokrotek. Śmierć przychodzi pod różnymi postaciami.

► „Bravo 07, tu Alfa 03. U nas czysto. Idziemy w stronę miejsca zbiórki. Bez odbioru”. ◀

Renowacja kajut dopiero się zaczęła. Z drewna wykonano szkielety i w pojedynczych miejscach ustawiono płyty, które będą ścianami działowymi. Całość wciąż jednak wyglądała jak otwarty warsztat stolarski.

Wydostał się z kadłuba i znów stanął na pokładzie. Nigdzie ani śladu przeciwnika.

Pomylił się. Najprawdopodobniej obaj się ulotnili. Franck nie zdoła nikogo przegonić ze swoją nogą. Mossman też nie. A Sonne, choć był policjantem, nie był skory do niebezpiecznych solowych popisów.

Właśnie zmarnowali swoją wielką szansę. Błyskawiczna reakcja Smitha kompletnie ich zaskoczyła. Jego również. Zabrakło mu wyobraźni, by przewidzieć, że Anglik przeleci przez okno niczym taran.

Zszedł ze statku.

Stocznia Refshaleøen z babilońskim miszmaszem małych

i dużych warsztatów, hal, ruin, magazynów, walących się ruder, budek, statków, kontenerów, złomu i wszystkiego, co tylko można sobie wyobrazić, czyniła pościg niemożliwym. Nawet duży oddział potrzebowałby kilku dni, by przeczesać ten teren. A i tak nie byłoby to w pełni skuteczne.

Po raz ostatni poświecił wokół i ruszył w stronę metalowych schodów. Pozostali pewnie za chwilę się pokażą. Wtedy będą musieli...

Zdażył usłyszeć szelest pod plandeką. Tuż potem poczuł ramiona obejmujące go za plecy — i chwyt, który mocno zacisnął się wokół jego szyi. W ostatniej chwili wsunął kilka palców pomiędzy swoją szyję a linę, zanim silne ręce za jego plecami bezlitośnie ją zacisnęły.

— *You fucking bastard!*

Usłyszał czyjś ryk i jednocześnie z całej siły uderzył łokciem w tył — bezskutecznie.

Próbował kopnąć w tył. Próbował oprzeć o coś stopy. Próbował zaprzeć się stopami i odepchnąć przeciwnika plecami, ale John Smith stał jak w murowany i ani na milimetr nie poluzował ucisku.

Sznur bezwzględnie zaciskał się wokół jego szyi. W uszach i pod powiekami czuł dudnienie własnego tętna. Jego ciało w panice chwyciło powietrze, którego dopływ został mu odcięty.

Musiał spróbować w drugą stronę. Zrobić coś przeciwnego.

Ugiął lekko kolana i całą masą ciała pochylił się w przód, pociągając przeciwnika. Pociemniało mu w oczach i pod powiekami zobaczył czerwone plamy... Z wszystkich sił szarpnął mężczyznę za swoimi plecami.

Ten manewr zaskoczył Smitha, który stracił równowagę i dał się pociągnąć kilka kroków w przód. Akurat na tyle, by Oxen mógł obiema nogami zaprzeć się o metalową ścianę doku i silnie odepchnąć się w tył razem ze Smithem.

Przewrócili się obaj. Runął na Anglika, który odruchowo puścił

sznur. Płuca natychmiast łapczywie wciągały powietrze.

Odepchnął się od Smitha, przetoczył i stanął na nogach równocześnie z przeciwnikiem.

Latarka wylądowała na stosie opakowań i świeciła ukośnie w górę. Jej promień omiótł twarz Anglika.

— Oxen... człowiek, który nie chce umrzeć, co? — Na twarzy Johna Smitha nie było śladu uśmiechu ani wściekłości. Spokojnie i w skupieniu patrzył przed siebie.

Anglik był skupiony i najprawdopodobniej silny jak byk. Oxen wiedział, że musi zachować najwyższą ostrożność. Wyszedł z wprawy. Jego ciało nie miało już tak dokładnie zakodowanej procedury walki wręcz ze świetnie wyszkolonym przeciwnikiem.

Przesuwali się w bok, nie odrywając od siebie wzroku. Pierwszy cios może być śmiertelny, jeśli nie będzie precyzyjny. Pierwsza porażka może rozstrzygnąć o wszystkim.

Obaj przeszli szkolenie w jednostce specjalnej, obaj zostali wytrenowani do walki wręcz — a komandosi SAS-u należeli do najlepszych. W tej chwili nie chodziło o to, by wygrać z honorem — chodziło o to, by wyeliminować przeciwnika.

Uderzył, kiedy Smith potrącił szafkę na narzędzie i na ułamek sekundy się zdekoncentrował. Wymierzył kopniaka z półobrotu dokładnie w twarz Anglika. Kopniak został sparowany, ale Smith nie spodziewał się najwyraźniej, że jego przeciwnik w tym samym momencie wykona prawą nogą obrót w kierunku przeciwnym. Stopa trafiła w szyję Smitha.

Nie miał to być atak rozstrzygający, a jedynie ostrzeżenie dla Smitha, by zachował dystans, oraz pokaz szybkości reakcji.

Oxen swoje szkolenie wojskowe uzupełnił treningami karate *shōtōkan*. Zależało mu, by dać sobie więcej możliwości i nauczyć się innych, zaskakujących dla przeciwnika ruchów. W szczególności jednak chodziło mu o wypracowanie w sobie mentalnej równowagi i pełnego skupienia w sytuacji silnego stresu.

Wrócił do pozycji wyjściowej, na ugiętych kolanach, z prawą ręką zaciśniętą w pięść na wysokości biodra i uniesionym lewym ramieniem. Tak przesuwali się dalej w bok.

Smith również utrzymywał tę samą pozę z lewym ramieniem uniesionym do gardy, ale prawe ramię trzymał blisko ciała, a pięść tuż pod brodą. Klasyczna pozycja zaczerpnięta z boksu, podobnie jak spora część technik walki stosowanych w wojsku.

Za każdym razem, kiedy Brytyjczyk robił krok, stawiając najpierw lewą nogę, prawa wykonywała dokładnie taki sam, równo odmierzony krok. Dostrzegł to od razu. Koordynacja ruchów to klucz do utrzymania równowagi, bez względu na to, czy punktem wyjścia była obrona, czy atak. Smith był dokładny i dobrze wyćwiczony. A najgorsze, że najwyraźniej był również cierpliwy.

On sam był teraz zmuszony przesunąć się w tył. W stronę jakichś rur, które leżały na podłodze doku przed kontenerami. Gdy zerknął w dół, by na nie nie stanąć, Smith dostrzegł dla siebie okazję do ataku. Zdumiewająco szybko przyskoczył i zamachnął się lewą ręką. Ten cios zdążył sparować, ale przed sierpowym, który z gwałtowną siłą padł w tym samym momencie, już nie zdążył się osłonić.

Pięść trafiła na szczęście w najniższe żebro a nie w brzuch, lecz cios był tak mocny, że i tak wycisnął z niego całe powietrze. By uniknąć następnego, przypadkiem stanął na jednej z rur. Ta się potoczyła i Oxen stracił równowagę. Smith z całej siły kopnął go w bok i Oxen upadł, bezradnie chwytając powietrze.

Kątem oka zobaczył, jak Anglik podchodzi do niego, stawiając stopy ostrożnie, by samemu nie stanąć na rurze.

W tym czasie podniósł się do klęku podpartego. Smith się nie spieszył. Oxen prawą ręką sięgnął po jedną z rur i przysunął ją do siebie i jednocześnie kucnął. Posuwistym ruchem zamachnął się rurą i podciął nogi Anglikowi. Tamten zdołał podskoczyć i rura uderzyła go tylko w prawą kostkę. Za to teraz Anglik wylądował na rurach, stracił równowagę i upadł.

To dało Oxenowi dość czasu, by wstać i złapać oddech. Smith

też już stał. Trudno będzie dorównać doskonale wyćwiczonemu najemnikowi, który był znacznie szybszy, niż początkowo sądził.

Smith znów spychał go do tyłu.

Powoli oddalali się od miejsca, w którym stała łódź i gdzie leżała latarka — jedyne źródło światła. Stopa Smitha na coś natrafiła i teraz Anglik powoli się schylał, nie spuszczając Oxena z oczu. Gdy znów się wyprostował, w rękach trzymał łańcuch z jakimś sznurem. Na końcu łańcucha wisiał kawałek metalu. Kotwica... Smith przesunął w górę pierścień zabezpieczający i kotwica parasolowa się rozłożyła. Cztery ostre ramiona.

Anglik szarpnął w górę sznur wraz z łańcuchem i zaczął wymachiwać kotwicą nad swoją głową.

— Tutaj! Są na dole w doku, ale nic nie widać! — Zatrzymała się przy krawędzi podłogi i próbowała zorientować się w sytuacji. Przed chwilą z ziejącej ciemnością jamy dobiegły ją krzyki i szuranie. Znajdująca się na dole latarka oświetlała jednak tylko fragment jakiejś łodzi.

Mossman przybiegł od razu. Żadne z nich nie wiedziało, gdzie się podział Sonne.

— To Smith czy Lundbye? — spytał.

— Nie mam pojęcia. Ale coś trzeba zrobić. Schodzę!

— Zaczekaj. — Mossman podszedł do sprzętów, które piętrzyły się wyżej, przy krawędzi. Chwilę potem usłyszała głośne kliknięcie. Nagle całe dno doku stanęło skąpane w świetle. Mossman znalazł kontakt, do którego włączył całą baterię silnych reflektorów roboczych.

To był Smith. I Oxen.

Anglik wymachiwał nad głową kotwicą i powoli spychał Oxena do ściany. Nadal mieli spory kawałek do przeciwległego końca doku, gdzie znajdowała się śluza, a w niej wyjście. Ale prędzej czy później Oxen zostanie do niej zepchnięty.

Miała wrażenie, że wszystko rozgrywa się dziwnie blisko —

a jednocześnie bardzo daleko. Jakby oglądała dwie miniaturowe postacie w ogromnym pudełku.

Oxen powoli się cofał.

— Mogłabym strzelić, ale nie mam pewności, czy trafię — powiedziała.

— Nie strzelaj. Jest duże ryzyko, że kula gdzieś tam rykoszetuje.

— To schodzę!

— Zaczekaj... — Mossman położył jej rękę na ramieniu. — Widzisz, Margrethe, jest pewien drobny szczegół. Jeśli ktoś otworzy śluzę, na arenę nie wtargną lwy — lecz woda...

— O czym ty gadasz?! On ma ostrą kotwicę, Niels nie ma nic.

— *Well*, ja jestem całkiem spokojny. Różni ich umysł. Najlepszym gladiatorem nie zawsze okazywał się ten najsilniejszy.

— Nie będę stać bezczynnie.

Rzuciła się biegiem przez nadbudówkę. Poniżej, pod markizą baru dla skaterów, widziała na palecie jakieś drewno. Szybko znalazła coś odpowiedniego i pobiegła dalej, wzdłuż krawędzi doku.

— Niels! Łap!

Rzuciła przez krawędź długi, mocny drąg i usłyszała głośny huk, kiedy upadł. Potem pobiegła co sił w nogach w stronę schodów.

Słyszał jej okrzyk, ale nie mógł spojrzeć w górę. Wówczas oślepiłoby go ostre światło. Kątem oka dostrzegł jednak, że coś upadło na dno doku.

Smith bez najmniejszych oznak zmęczenia wciąż obracał nad głową kotwicą i zmuszał go do dalszego wycofywania się. Od dawna już znajdowali się zbyt daleko od łodzi, by mógł spróbować znaleźć jakąś broń w rozrzuconych przy niej narzędziach i sprzęcie. Smith spychał go w głąb doku, gdzie była tylko goła podłoga. Nic więcej.

Trzymał się lewej strony. Zrobił krok w stronę ściany doku i spojrzał przez ramię. Kłoda. Długa i mocna. Franck dobrze to przemyślała. Klęknął, by ją podnieść, i w tym momencie kotwica ze świstem przeleciała mu przed twarzą. Na twarzy Smitha dostrzegł lekką nerwowość.

Długość kłody i zasięg kotwicy były mniej więcej równe, ale Smith mógł popuścić linę kotwicy i sięgnąć nią dalej. Trzeba działać szybko. I trzeba uniknąć walki wręcz. Wówczas będzie tym słabszym.

Kilkukrotnie zamachnął się kłodą w kierunku Anglika. Raz tuż przed jego twarzą i raz niżej, na wysokości goleni. Smith doskonale odmierzył swój skok, ale widać było, że się dekoncentruje.

Na środku doku zapanował impas. Przemyślał swój atak, wyobraził go sobie sekwencja po sekwencji. Gdy wiedział już dokładnie, jaki schemat ruchów powinien wykonać — natarł na przeciwnika.

Rzucił się na Smitha, unosząc kłodę, która zaczepiła się o łańcuch jakiś metr od kotwicy. Kotwica owinęła się wokół drewna. W tym samym ruchu przeciwnym końcem kłody uderzył Anglika w głowę, trafił w lewą skroń. Dalej napierał do przodu, wybił się i precyzyjnie wykonanym *hiza geri* wbił prawe kolano w brzuch Anglika. Cios miał efekt paralizujący.

Angielski najemnik zgiął się wpół i runął na ziemię. Zwijał się z bólu, zamroczony ciosem, z szeroko otwartymi ustami, którymi nie potrafił wciągnąć powietrza do pustych płuc.

Pochylił się, by związać Smitha fragmentem liny, kiedy w ostrym świetle pojawiła się Franck. Pokiwała z uznaniem głową.

— Ta belka spadła mi jak z nieba — powiedział.

— Bo też patrząc na was z góry, poczułam się jak Bóg... — Franck wyciągnęła coś kieszeni. — Trzymaj, lepiej użyj tego. — Podała mu paski zaciskowe.

Rozdział 71.

Przyszli lasem od południa i wyszli wprost na tylną ścianę zamku Torup. Stali teraz na pasie trawy pomiędzy fosą a potężnym murem. Wszyscy troje w ciemnych ubraniach.

Półksiężyc dawał wystarczające do pracy światło. Sonne i Franck zajęli miejsca każde w swoim rogu, skąd mieli trzymać wartę. On sam przygotował swój prosty sprzęt.

Axel Mossman pilnował w tej chwili ich więźnia w warsztacie w Refshaleøen. Sam wiedział jednak, że uspokoi się dopiero, gdy wrócą i będzie mógł przystąpić do własnej rundy przesłuchań.

— Nazywam się John Smith i jestem niezależnym konsultantem do spraw bezpieczeństwa. — Tak na razie odpowiadał Anglik, z twarzą niewyrażającą żadnych emocji. Oxen czuł, że puszczają mu nerwy, i miał ochotę przestrzelić mu kolano. Taki uraz wydawał się łagodną karą w porównaniu z egzekucjami, które miał na koncie tamten, i z oskarżeniem o zabójstwo, które za jego sprawą wisiało mu nad głową, a które niechybnie doprowadziłoby do jego skazania, gdyby tylko wydało się, że nie zginął.

Gdy jednak skierował lufę swojej broni w lewe kolano mężczyzny, Mossman uprzejmie, choć zdecydowanie wziął go pod ramię i odsunął na bok.

Rozumowanie byłego szefa PET było słuszne — najpierw muszą zamontować podsłuch na zamku. Wówczas uzyskają dostęp do obu domów Sixtena Kopparstierny. Potem zmuszą Smitha, by im powiedział, czy jest w Danii z własnej inicjatywy — czy wykonuje zlecenie dla Danehofu. Obstawiali raczej to pierwsze. W przeciwnym razie wynajęłoby więcej ludzi. Potem Smith będzie musiał zadzwonić do Kopparstierny i przekazać mu złe wieści: weteran Oxen najprawdopodobniej nie zginął...

Niewykluczone, że Szwed tylko się obruszy i spławi Smitha,

który przecież w ogóle nie powinien wiedzieć, że to on jest jego pracodawcą. Ale potem rozdzwonią się telefony, a oni dzięki podsłuchom zdobędą ostateczne potwierdzenie, że to Kopparstierna jest liderem Danehofu.

— *Well*, jeżeli to nie zadziała, żołnierzu, to jeśli o mnie idzie, możesz mu odstrzelić kolano albo oba — ale teraz się powstrzymaj, proszę...

Raz jeszcze oszacował wysokość do granitowych występów. Mieli szczęście, że dwa wystawały pod oknem od strony południowej, wychodzącej na las, a nie asfaltową drogę i Mellangården. Były na wysokości mniej więcej siedmiu metrów.

Gdy opowiedział pozostałym o swoim planie włamania się do zamku, Margrethe roześmiała się i opowiedziała im, czego się dowiedziała podczas swojej wycieczki na zamku.

Otóż wielkie granitowe bloki rozmieszczone w różnych miejscach ściany zamku pełniły bardzo ważną funkcję. Podtrzymywały zamkowe toalety. Niewielkie drewniane skrzynki umieszczano na zewnątrz murów niczym szpecące narośle. Idea była prosta: siadało się na płycie z dziurą i można się było do woli wypróżniać i odlewać z wysokości.

Wybuchnął śmiechem, gdy sobie wyobraził blade średniowieczne tyłki pozawieszane na zewnętrznych ścianach pięknego zamku.

Dawno już się nie śmiał... Czasem, podczas wieczorów z Tessą. Ale poza tym miał wrażenie, że w ostatnich latach wszystko było śmiertelnie poważne.

Franck poznała także historię tych nietypowych wychodków. Zamki i grody średniowieczne były przede wszystkim fortecami, stawianymi również na ewentualność długotrwałego oblężenia. Stąd konieczność rozwiązania problemu defekacji. Zwykle w centralnym miejscu budowli znajdowała się ogromna kloaka. Odór, który się z niej roznosił na cały kompleks, próbowano usuwać, paląc aromatyczne drewno.

Jeden incydent sprawił, że zarzucono ten styl budownictwa —

i to gwałtownie. Gdzieś pod koniec dwunastego wieku cesarz Barbarossa urządził wielkie przyjęcie na swoim zamku w Erfurcie w Niemczech. Deski podłogowe w sali balowej były przez lata narażone na korozję z powodu unoszących się z kloaki oparów i w środku uroczystości podłoga się zawaliła. Goście, ośmiu książąt, setka rycerzy i nieznaną liczbą szlachty, wpadli do kloaki i ponieśli wyjątkowo odrażającą śmierć.

Oxen uśmiechnął się, wyobrażając sobie tę ponurą tragedię, zawiązał ostatnią ósemkę na linie wspinaczkowej i przygotował się do wejścia. Na koniec wziął małą foliową torebkę, którą napełnił piaskiem, by zrobić z niej ciężarek. Przyczepił go do dwudziestometrowej grubej żyłki wędkarskiej, którą z kolei przywiązał do końca liny wspinaczkowej.

Ustawił się przy samym murze i rzucił woreczkiem. Za trzecim razem udało mu się przerzucić żyłkę przez jeden z wystających bloków. Mógł teraz przeciągnąć przez niego linę, zawiązać pętlę, znów przeciągnąć linę i zacisnąć na bloku.

— Pst! — Ręką przywołał do siebie Franck i Sonnego. — Jesteśmy gotowi. Sonne, postaw nogę na linie i pilnuj, by była stale napięta, kiedy będę się wspinał. Wyżej założę wielokrążek i linę zabezpieczającą. Franck — ty usiądziesz w tym małym trapezie, który zrobiłem z liny, i Sonne cię podciągnie. Załóż uprząż i dobrze przywiąż linę zabezpieczającą. Ja wejdem na górę i sprawdzę, czy da się otworzyć okno.

— Pamiętaj, żeby sprawdzić, czy nie ma alarmów — przypomniał Sonne.

Pokiwał głową i założył mały plecak. Oczywiście, że sprawdzi, ale osobiście uważał, że jeśli zamek był strzeżony przed nieproszonymi gośćmi, to zabezpieczenia skierowane były w stronę piwnicy i parteru — najprostszych dróg dostępu. A nie na wysokości, gdzie zabezpieczenie takiej liczby okien wydawało się jednocześnie absurdalne i niemożliwe. Równie trudno było mu sobie wyobrazić zabezpieczenie pokoi. Na zamku było ich zbyt wiele, choć ile dokładnie — nie wiedzieli.

Kiedy chwilę później był już na górze i przywiązał linę

zabezpieczającą do własnej upręży, mógł stanąć na wystającym bloku i przywierając do ściany, poświecić w okna.

Były duże i miały starodawne haczyki, które łatwo dało się unieść, lecz były przy tym tak delikatne, że zniszczyłyby drewnianą ramę, gdyby spróbował to zrobić swoim narzędziem. To oznaczało, że będzie musiał użyć taśmy izolacyjnej. I zbić nie jedną małą szybkę, ale dwie, bo okno było tak duże, że haczyki były od siebie sporo oddalone. Ostrożnie wepchnął szyby do środka, uniósł haczyki, otworzył szeroko okno i wszedł do środka.

W plecaku miał kilka szyb różnych rozmiarów i pistolet do fug z masą akrylową. Zanim opuszczą zamek, zamierzał prowizorycznie naprawić okno, żeby nie budziło natychmiastowych podejrzeń.

W pokoju panował zaduch. W świetle latarki zauważył, że na parapecie leży kurz, w którym zostawił ślady. Pod ścianą stało podwójne łóżko. Bez pościeli, ale z kołdrą złożoną w nogach.

Pokój wyglądał na ogromną sypialnię gościnną. Pewnie było tu więcej takich pokoi, mimo że ten akurat gospodarz chyba rzadko przyjmował gości. W spartańskim, anonimowym życiu Sixtena Kopparstierny nie było raczej miejsca na takie ekstrawagancje.

Tymczasem Franck dotarła pod okno. Podał jej rękę i wciągnął ją na górę. Mimo że z protezą było jej trudniej, ruchy miała zdecydowane i pewne i przezornie unikała spoglądania w dół, gdy z jego pomocą przeszła przez okno i wypięła się z liny.

Szybko zdjęli uprężę i zostawili na podłodze, do czasu gdy będą musieli wrócić na dół do trzymającego straż Sonnego. Każde z nich miało mały plecak, a w nim, poza bronią, narzędziami i latarką, pudełko z podsłuchem. W pudełku zaś cztery zestawy mikrofonów. Łącznie osiem pluskiew do bardzo rozważnego rozmieszczenia.

Wyjął pistolet do fugi, szybki i położył wszystko na parapecie. Potem ostrożnie uchylił drzwi i dał jej znak, żeby poszła za nim.

Wyszli na korytarz. Poświecił latarką. Korytarz był długi, mógł się ciągnąć nawet przez całe skrzydło zamku. Według

przewodniczki wycieczki znajdowali się w sercu części prywatnej, która prócz całego południowego skrzydła i części skrzydła wschodniego obejmowała również okrągłą wieżę.

W zachodnim skrzydle miało się znajdować mieszkanie stróża. Pozostały personel i administracja posiadłości byli ulokowani w Mellangården.

— Czujniki ruchu? — spytała szeptem Franck, kiedy ostrożnie ruszyli w prawo. Spokojnie przesunęła światło latarki na jedną stronę sufitu. On zrobił to samo, objął światłem fragment od strony dziedzińca. Czujników nie było.

Tak jak się spodziewali. Zabezpieczenie tak ogromnego budynku byłoby dziełem niemożliwym. Poza tym niewykluczone, że w części prywatnej nie ma przedmiotów szczególnie wartościowych. Może trochę antyków, jakieś obrazy czy rodzinne pamiątki. Najcenniejsze rzeczy umieszczono w otwartej części zamku, chociażby w udostępnionej dla zwiedzających największej sali. Franck zwróciła uwagę, że tamta część zamku była doskonale zabezpieczona — zarówno czujnikami ruchu, jak i alarmami w oknach.

Po drodze otwarli dwoje drzwi i poświecili latarkami w pustych pokojach.

Kawałek dalej trafili na podwójne drzwi. Nimi weszli do dużego, otwartego salonu z nielicznymi meblami, skąd kolejne podwójne drzwi zaprowadziły ich dalej. Pierwsze drzwi od strony parku były otwarte. Był to gabinet liczący chyba ze sto metrów kwadratowych. Stały w nim regały, komplety wypoczynkowe, szafy, a pod jednym z okien — ogromne biurko. Na jednym jego końcu stał stacjonarny komputer z dużym, płaskim monitorem.

Trącił ją w ramię.

— Jego gabinet... Zostawisz tu jeden?

Franck przytaknęła i wyjęła pudełko ze sprzętem.

— Ja idę dalej — powiedział i wskazał przed siebie.

Już wcześniej ustalili pomieszczenia, w których koniecznie

muszą zainstalować podsłuch. Poza biurem były to sypialnia, salon albo pokój telewizyjny — jeśli jest tu taki — biblioteka, kuchnia i łazienka. Pozostałe pluskwy zamierzali rozmieścić tam, gdzie uznają, że przydadzą się najbardziej.

Kawałek dalej jeszcze jedne podwójne drzwi prowadziły do sypialni. Nie była tak duża jak poprzednie, ale za to wyglądała na używaną. W oknach stały kwiatki, a podwójne łóżko było posłane. Jeden nocny stolik był pusty, na drugim obok lampki leżał mały stos książek.

Poświecił latarką. Były to: biografia Napoleona, historyczna rozprawa o królestwie duńsko-szwedzkim i podobna, o historii Skandynawii do dziewiętnastego wieku. W książce wieńczącej stos tkwiła zakładka. Autorem był jakiś Niemiec, a książka dotyczyła prawa międzynarodowego.

Nie miał wątpliwości, że znajduje się w prywatnej sypialni Sixtena Kopperstierny. Chwilę potem dokładnie przymocował mikrofon pod nieużywanym stolikiem nocnym. W drzwiach stanęła Franck.

— To jego sypialnia?

Pokiwał głową.

Kolejne drzwi, w przeciwległej ścianie, okazały się być wejściem do łazienki, co najmniej tak samo dużej jak sypialnia.

— Ja się tym zajmę — powiedziała Franck, a on ostrożnie poszedł dalej. Wkrótce wszystkie mikrofony będą na swoich miejscach. Szło łatwiej, niż sobie wyobrażał, kiedy wcześniej tego dnia chodził po parku i sprawdzał ich możliwości. Cała ta część zamku nie stwarzała również żadnego ryzyka nakrycia, bo na ciągnących się w nieskończoność metrach kwadratowych nie było nikogo.

GPS pokazał im, że samochód Kopperstierny stoi w garażu w Kopenhadze. Tutaj przyjedzie najprawdopodobniej dopiero w weekend. Ale kto wie — może niespodziewany telefon od niejakiego Johna Smitha na tyle namiesza w kręgach, w których obracał się bogaty Szwed, że zdecyduje się zaszyć na swoim

zamku i stąd pokierować akcją ratunkową? A wtedy będą się wszystkiemu przysłuchiwali. Jeśli natomiast zdecyduje się ugasić ten pożar ze swojego mieszkania w Kopenhadze, ich małe uszy także już tam są.

Gdy uzyskają pewność, że to Szwed stoi na szczycie hierarchii Danehofu, łatwiej będzie im opracować dalszy plan działania. Dokładnie tak, jak powiedział Mossman: chodzi o zdobycie materiałów dowodowych. O zlokalizowanie archiwów Północy, Południa i Wschodu. To one są kluczem do zwycięstwa.

Jeszcze jedne podwójne drzwi, które stały otworem, krótkim łącznikiem zaprowadziły go do centrum codziennego życia wszystkich ludzi — pokoju telewizyjnego. Poświecił wokół — podobnie jak sypialnia, pokój był zaskakująco mały i przytulny. To nie mógł być koniec.

Podszedł do następnych drzwi, otworzył je i zrobił kilka kroków w głąb pomieszczenia, jednocześnie omiatając je latarką. Człowiek taki jak Kopperstierna potrzebował oczywiście przestrzeni i musiał mieć możliwość zapraszania swoich współników do swojego zamku.

Tu zaś miejsca było pod dostatkiem. Znajdował się w bibliotece. Dwie z czterech wysokich ścian były zasłonięte regałami, w które nie dałoby się już wcisnąć ani jednej książki więcej. Aż trzy komplety wypoczynkowe — ważące z tonę meble z ciemnego drewna i z tapicerką z brązowej skóry. W oknach wisiały ciężkie zielone zasłony do samej podłogi. Teraz były zaciągnięte, ale nawet w dzień pewnie nie przepuszczały ani jednego promienia słońca.

Przed otwartym kominkiem stały dwa głębokie fotele. Może to tu, w męskim saloniku przy kominku, obmyślano dalekosiężne plany wielkiego dzieła Danehofu? Doskonale umiał to sobie wyobrazić.

Może warto poświęcić na to dwa mikrofony? Jeden przy kominku, a drugi w przeciwległym końcu pokoju? Franck będzie wiedziała najlepiej. On tymczasem najpierw wróci i zostawi jeden w pokoju telewizyjnym. Potem oboje zdecydują, co z biblioteką.

W chwili gdy się odwrócił, w oczy uderzyło go ostre światło. Zdołał odnotować, że było bardziej niebieskie niż latarka Franck, po czym usłyszał donośny rozkaz:

— *Stanna!* Rzuć latarkę na podłogę. Ręce wysoko do góry!

Mówił po szwedzku... głęboki męski głos. Ostre światło nie pozwalało mu zobaczyć postaci trzymającej latarkę. Wyraźnie za to widział trzymającą ją dłoń i szybko rozróżnił kształt przedmiotu, który znajdował się w niej poza latarką — myśliwską dubeltówkę wymierzoną prosto w niego.

Posłuchał polecenia i upuścił latarkę na podłogę. Skąd pojawił się tu nagle ten człowiek? Była tylko jedna możliwość — z mieszkania stróża w przeciwległym skrzydle. Czyżby mimo wszystko uruchomili jakiś niewidoczny alarm? Albo zobaczył ich przy ścianie zamku?

— Cofnij się pod ścianę. Ręce w górę. Powoli! Żadnych głupich zagrań. Celuję do ciebie z dubeltówki.

Nie miał się nad czym zastanawiać. Sytuacja była groźna, ale najprawdopodobniej za kilka minut role się odwrócą. Franck zaraz się zorientuje, że coś się dzieje.

Zaczął wolno iść do tyłu, aż plecami dotknął ściany obok kominka.

— Cholerny złodziej... — W głębokim głosie wyczuwał lekkie drżenie.

W tej samej sekundzie głowę mężczyzny od tyłu rozświetliło ostre światło. Na moment oślepiło Oxena, gdy tamten szybko się obejrzał.

— Nie ruszaj się albo odstrzelę ci łeb!

Margrethe zakradła się bezgłośnie i bez wahania podjęła konfrontację.

— Yyy... mam strzelbę wymierzoną w twojego kompana.

— Jeśli strzelisz, zginiesz równo z nim. Myślisz, że warto? Kopparstierna płaci ci za śmierć? Schył się powoli i położy broń na podłodze. To najmądrzejsze, co możesz zrobić.

Mężczyzna długie sekundy stał nieruchomo. W końcu powiedział:

— Odkładam broń.

Franck zrobiła krok w jego stronę. Latarkę trzymała w lewej ręce i podtrzymywała nią prawą, w której trzymała pistolet wycelowany w mężczyznę. Ten powoli się schylił, żeby odłożyć strzelbę.

Nagle w ciemności błysnęła mu jeszcze jedna latarka, za plecami Franck. Zobaczył zarys postaci i ciemny kształt uniesiony wysoko nad głowę swojej towarzyszki. Potem rozległ się huk. Latarka Franck upadła na podłogę. Światło padało na twarz Margrethe, kiedy i ona osunęła się nieprzytomna.

— Ty zostań pod ścianą — albo strzelę!

Jeszcze jeden męski głos. A potem zapalono światło w pokoju.

Mężczyzna, który stał najbliżej, wyprostował się — w ręce nadal trzymał dubeltówkę. Za nim stał drugi, młodszy. Również uzbrojony w strzelbę myśliwską. Margrethe Franck leżała przed nim na dywanie.

Rozdział 72.

Ciężkie metalowe drzwi były uchylone. Widział, jak John Smith siedzi nieruchomo na rozklekotanym krześle na środku surowej, betonowej podłogi hali roboczej. Ręce miał związane za plecami trytką i przymocowane do oparcia krzesła. Podobnie kostki — obie były przyczepione do nóg krzesła. Był przykuty do tego miejsca.

Wiele złego można by powiedzieć o tym ponurym typie, ale nie to, żeby był miękki. Siedział tak od wielu godzin i nawet nie jęknął. Większość czasu w ogóle milczał jak ostryga i patrzył przed siebie prowokacyjnie obojętnym wzrokiem.

Domknął drzwi. Nie chciał, żeby Smith cokolwiek usłyszał. Miał wrażenie, że od kilku godzin nie robi nic innego, tylko rozmawia przez telefon. Łączył się i rozłączał z oboma brzegami Tamizy, a przy tym niespokojnie kręcił się po warsztacie.

Podjął negocjacje z Wallace'em, jednym z szefów w MI5 w Thames House na Millbank, na brzegu zachodnim. George Wallace był jego starym znajomym i kierował wydziałem ds. zwalczania terroryzmu międzynarodowego, jednym z dziewięciu wydziałów Piątki. Sprawa szybko rozniosła się po całym budynku i dalej, zgodnie z logiką, przeniosła się na drugi brzeg, do MI6 i jej słynnego budynku przy Vauxhall Cross.

Tam Mossman porozmawiał z jeszcze bliższym znajomym, Bruce'em Harperem, którego uważał za jednego ze swoich najlepszych przyjaciół w międzynarodowej wywiadowczej braci. Na przestrzeni lat wielokrotnie sobie pomagali, ale bez względu na łączącą ich przyjaźń Harper był facetem zimnym do szpiku kości i zawsze na wszystko patrzył z perspektywy korzyści i kosztów. Był szefem operacyjnym i działał na tym samym polu co Wallace.

Po odbyciu licznych rozmów wzdłuż i wszerz swoich organizacji

i czasie koniecznym, by poczynić ustalenia na zapleczu oraz z kontaktami w Ministerstwie Obrony, Wallace i Harper doszli do porozumienia, że to pierwszy z nich zbierze wszystkie wątki i albo przyklepie umowę, albo odwróci kciuk do dołu.

Mossman niecierpliwie spoglądał na zegarek. Do umówionej godziny zostało jeszcze kilka minut. Miał nadzieję, że Anglicy dostrzegą, o co toczy się gra. Jeśli nie, będzie musiał zacząć od początku...

Zatrzymał się przy oknie. Rusztowania na placu magazynowym częściowo oświetlał rząd latarni. Pomimo ogromnych rozmiarów ciemność całkowicie spowijała wnętrze doku. A z nim dramat, który się rozegrał na jego dnie przed kilkoma godzinami. Osobiście czuł dziwny spokój, obserwując starcie dwóch żołnierzy z krawędzi podłogi. Ani przez moment nie wątpił, jaki będzie wynik. Oxen był samotnym wilkiem... Teraz natomiast czuł tylko jedno — zniecierpliwienie. Ponownie spojrzął na zegarek.

Wreszcie. Długa wskazówka dotarła do kreski. Precyzja była cnotą. Dlatego nie zadzwonił wcześniej — ani później. Wybrał numer i połączył się.

— Wallace.

— Mówi Mossman. Jesteś gotowy?

— Tak, właśnie postanowiłem.

— Więc jaka jest decyzja, kolego?

— Odpowiedź brzmi: tak. Pod pewnymi warunkami, które musimy ustalić. Rozumiem, że podtrzymujesz swoją propozycję zapłaty?

— Nie mam wyjścia.

— Nie spodziewałem się, że będzie inaczej, więc w porządku. Tylko musisz się wywiązać.

— Oczywiście.

— I jeszcze jedno, Mossman. Wiesz, że jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, to Harper natychmiast skoczy ci do gardła, prawda? — Śmiech George'a Wallace'a dobiegł go aż z Thames House, przez

całe Morze Północne. Sam też się roześmiał.

— Nie zapominaj, że jestem emerytem. Komu by się chciało mnie atakować? Ale dobra, możesz ode mnie poklepać swojego wiernego psiaka. Może przejdziemy do pierwszego punktu? Dostawa A — na kiedy?

— *Od razu*. Im szybciej, tym lepiej.

Niecałą godzinę zajęło im ostateczne dopięcie umowy. Wystarczyło jedynie dopracować kilka szczegółów w oryginalnym zamyśle obu stron.

— To chyba wszystko?

— Tak. Zatem do dzieła, Mossman, mamy zielone światło.

— Świetnie. Pozdrów Harpera.

— Pozdrowię. Wpadnij kiedyś, jak będziesz mógł. Na razie.

— Jasne. Na razie.

Rozłączyli się i Mossman z powrotem schował telefon do wewnętrznej kieszeni kurtki. Wszystko poszło zgodnie z planem. Pozostało wywiązać się ze swojej części umowy — i czekać na zapłatę. Pchnął metalowe drzwi i rozejrzał się za czymś, na czym mógłby usiąść. Pod ścianą stały drewniane skrzynki z kawałkami metalowych rur i ze starymi tulejami. Wysypał złom z jednej z nich i przyciągnął ją naprzeciwko krzesła Smitha.

Zajął pozycję w rozsądnej odległości od Anglika, dzieliły ich więc jakieś dwa metry. Rozmowa, którą miał z nim odbyć, była niezwykle ważna — i na szczęście tym razem nie musiał mówić do słuchawki, lecz do człowieka, któremu mógł przy tym patrzeć w oczy.

— Wiesz, kim jestem, prawda? — zapytał.

John Smith pokiwał głową.

— I wiesz, że jestem w stanie zaaranżować rzeczy, które mogą się wydawać niemożliwe do zaaranżowania?

Smith wzruszył ramionami.

— Okej. Zatem posłuchaj mnie uważnie, Johnie Smith. A może powinienem mówić Erikowi Bancroftowi?

Anglik uniósł brwi, usłyszawszy swoje nazwisko, ale nic nie powiedział.

— Jeśli dobrze to rozegrasz, wkrótce będziesz mógł stąd wyjść.

Z kieszeni kurtki wyjął paszport, portfel i telefon Anglika i położył je na podłodze.

— Proszę. Wszystko jest tutaj. Musisz się tylko dobrze zastanowić. Jeśli zechcesz, jutro rano możesz być w Londynie. Zawarłem umowę z twoimi znajomymi w Thames House i Vauxhall Cross. Musisz spełnić nasze warunki. Jeśli to zrobisz, życie potoczy się jakby nigdy nic. Ale jeśli będziesz oszukiwał, to już po tobie. Nie ma takiego miejsca na ziemi, w którym cię nie znajdą. Teraz uwolnię ci ręce i nogi.

Wstał ze swojej skrzynki, przeszedł za plecami Bancrofta i przeciął scyzorykiem paski na jego nadgarstkach i kostkach. Anglik pozostał na krześle, rozmasowywał zdrętwiałe nadgarstki.

— Zanim będziesz mógł stąd wyjść, musimy porozmawiać. Na początek dwa warunki, które nie podlegają dyskusji. Po pierwsze: twoja noga więcej nie zostanie w Danii. I po drugie: zapomnij o Nielsie Oxenie. Zrozumiałeś?

Bancroft wolno pokiwał głową. Jego czoło znaczyły głębokie zmarszczki.

— Czy nazwisko Sixten Kopparstierna coś ci mówi?

Bancroft pokręcił głową.

— Nic.

— Z kim zawarłeś kontrakt w Danii w zeszłym roku?

— Z człowiekiem, który nazywa się Nielsen. Więcej nie wiem.

— Wiek, rysopis, procedura?

— Na pewno po sześćdziesiątce. Elegancki, siwy, w okularach. Z tych, których po dwóch tygodniach nie poznasz na ulicy. To on kontaktował się ze mną. Komunikacja jednostronna. Spotkaliśmy

się na odprawie w pokoju hotelowym w Kopenhadze. Ja mieszkałem w jednym miejscu, a moi ludzie byli zakwaterowani po różnych hotelach.

— I ten Nielsen nie wie, że jesteś w kraju?

— Nie. Nie słyszałeś, co powiedziałem? Nie mogę się z nim skontaktować — albo z nimi.

— Więc dlaczego tu jesteś?

— Szukam Oxena. Muszę się wywiązać z kontraktu. On stanowi zagrożenie.

— A jak go namierzyłeś?

— Przez kontakty w policji. Zabił jednego z moich ludzi. Zapomniał tylko, że w Anglii nie można się spokojnie wysrać, żeby człowieka nie złapała jakaś kamera przemysłowa.

— Więc nie masz najmniejszego pojęcia, kim był twój pracodawca?

— Żadnego *whatsoever*... Ale każdy debil by się domyślił, że raczej nie są to miękkie pipy, skoro usunęli ministra.

— A twój duński pomocnik, Morten Lundbye. Jaką rolę odgrywa?

— Jest tylko moim kontaktem na miejscu. Akurat był pod ręką...

— Hm. Będziemy musieli z nim poważnie porozmawiać. Mam jeszcze jeden, ostatni warunek.

Bancroft spojrzał na niego pytająco.

— Jutro o czternastej stawisz się w Thames House. Masz powiedzieć, że jesteś umówiony z George'em Wallace'em. Nikomu poza nim ani słowa. Potem wykonasz dokładnie jego instrukcje.

— Czyli?

— Tego dowiesz się jutro. Między innymi będziesz musiał zadzwonić do niejakiego Sixtena Kopparstierny, którego mamy na podsłuchu. Jeśli ja cię o to poproszę.

— Tego, który jest właścicielem zamku w Szwecji?

— Tego samego. Bądź rozsądny, Bancroft. Zrób, co ci każemy. A potem możesz nawet skorzystać z oferty Stanleya Mullendera i pojechać do Sierra Leone. Albo gnić w domu, jeśli będziesz miał ochotę — kompletnie nas nie obchodzi, co zrobisz dalej. Ale... jeśli jutro o czternastej nie będzie cię w biurze Wallace'a, to *już jesteś martwy*.

Bancroft pokiwał głową zamyślony.

— Więc wiesz o Mullenderze i Sierra Leone?

— Oczywiście.

— Skąd?

— Zapominasz, że całe życie poświęciłem na doskonalenie się w zdobywaniu wiedzy... Na koniec przysługa... muszę cię prosić, żebyś rozwalił to krzesło na wióry. A potem żebyś mnie uderzył nogą krzesła w głowę. Tylko ostrożnie, *please*. Żebyś nie trafił w skroń. Ale na tyle mocno, żeby wyglądało przekonująco. A — i żebym nie zapomniał: zarezerwowałem ci bilet. Lecisz SAS-em z Kastrup jutro o siódmej czterdzieści pięć. W Heathrow jesteś o ósmej czterdzieści pięć czasu lokalnego.

Rozdział 73.

Wolno schodzili schodami. Ręce miał splecione na karku i szedł za Margrethe, która swoje trzymała w tej samej pozycji. Na dłoniach miała krew. I na włosach.

Cios kolbą strzelby głęboko rozciął jej skórę z tyłu głowy. Nieprzytomna była tylko przez chwilę, ale nadal wydawała się otumaniona. Starszy z mężczyzn się nią zajął. To on obejrzał ranę i pomógł jej wstać. A teraz prowadził ich pochód w dół przez kolejne kondygnacje zamku. Szedł niemal tyłem, celując do nich ze strzelby, i otwierał kolejne drzwi.

Młodszy szedł za nimi, również trzymając oburącz strzelbę. Strzał ze strzelby myśliwskiej z bliskiej odległości mógł zabić na miejscu, więc wykonywali polecenia dwójki i przystawali albo zwalniali kroku, gdy im kazano.

Znaleźli się na dole schodów i teraz mężczyźni kazali im iść dalej długim korytarzem z wykładziną.

Nie mieli pojęcia, co z Sonnem. Oxen miał nadzieję, że udało mu się uciec i był w drodze do Kopenhagi. Wtedy będzie mógł przynajmniej zaalarmować Mossmana. Zaklął w myślach. Znów im się nie udało. Dokładnie tak jak wtedy w Gram. Można było odnieść wrażenie, że Danehof jest nie do ruszenia. A przecież byli ostrożni. Wszystko zrobili tak, jak należało.

— *Stanna!* — Ten starszy, wyglądający na ponad sześćdziesiąt lat, pomachał strzelbą, podszedł do jednych z drzwi i otworzył je kluczem.

Stojąc nieruchomo z dłońmi na karku, Oxen szepnął:

— Franck, jak się czujesz, wszystko w porządku?

— Już lepiej...

— *Zamknąć japy!* — ryknął mężczyzna stojący za nim. Był

porywczy. A tym samym stanowił większe zagrożenie od tamtego. Jeśli sądzić po reakcji obu, żaden z nich nie był zawodowcem, ale mimo to mieli dość odwagi, by zachować zimną krew podczas dramatycznej sceny, której kulminacją było powalenie Franck na podłogę tuż po tym, jak wkroczyła do biblioteki.

— Wchodźcie. Tam z przodu są schody. Tylko powoli!

Starszy mówił zdecydowanym głosem. Ruszyli w dół. Były to wąskie, kręte schody. Jeśli się nie mylił, znajdowali się na parterze, czyli schodzili do piwnicy.

Wyglądało na to, że ustało krwawienie z rany Margrethe i jej głos też nabrał jasności. To ważne, że oboje będą mogli ocenić sytuację i działać wspólnie, gdy nadarzy się okazja.

Doszli na dół schodów, skąd poprowadzono ich wąskim korytarzem. Zarówno po temperaturze, jak i zapachu w powietrzu czuł, że ma rację. Byli w piwnicy.

Mężczyzna idący z przodu otworzył ciężkie drzwi zbite z grubych desek i gęsiego ruszyli dalej. Ściany nie były już otynkowane, lecz z surowych cegieł. Kawałek dalej mężczyzna zatrzymał się przy bocznych drzwiach z kłódką i otworzył je szeroko.

— Ty pierwsza. — Wskazał na Franck. — Ręce do ściany i rozstaw nogi.

Broń skonfiskowali im jeszcze w bibliotece. Tam również zabrali im plecaki, które młodszy z mężczyzn niósł przewieszane przez ramię. Teraz najwyraźniej chcieli dokładniej ich przeszukać. Franck wykonała polecenie. Mężczyzna ją zrewidował i znalazł telefon.

Potem odszedł na bok i gestem zaprosił ją dalej.

— Podejź bliżej, wejź do środka.

Franck ledwie zdołała przecisnąć się przez drzwi, za którymi zniknęła.

— Twoja kolej — powiedział mężczyzna i wskazując na strzelbę, ostrzegł: — Niczego nie próbuj.

Ustawił się pod ścianą i również jego telefon skonfiskowano.

— Dalej, do środka!

Musiał się schylić, żeby wejść do pomieszczenia. Było niewielkie i oświetlone pojedynczą gołą żarówką zawieszoną w półkolistym sklepieniu. Podłoga była wyłożona czymś, co wyglądało jak cegły, ściany były z kamienia. Nigdzie ani śladu okna, otworu strzelniczego czy chociażby otworu do oddychania.

Drzwi zatrzasnęły się za nimi, usłyszeli tylko ponowne zakładanie kłódki. Franck od razu usiadła. Ostrożnie dotknęła tyłu głowy.

— To wygląda jak cholerny loch — stwierdziła i wytarła krew w spodnie.

— Nie załamuj się, Franck. Zawsze możemy uciec przez okno.

— Faktycznie, hura...

Pod ścianą stały małe drewniane skrzynki. Sprawdził, co w nich jest. We wszystkich były cebulki, które już dawno należało posadzić. Poza tym w pokoju nie było nic.

— Dokładnie tak jak w Gram — westchnęła.

Pokiwał głową.

— Ale wciąż możemy mieć nadzieję, że Sonnemu się uda.

— A co on tu może pomóc?

— Może przynajmniej zaalarmować Mossmana.

— I?

— Musimy poczekać i zobaczyć, co się stanie.

— Niels, tym razem nas nie wypuszczą. Wiesz o tym równie dobrze jak ja...

Wzruszył ramionami. Miała rację, ale on jeszcze się nie poddał. Gdyby tylko ci ludzie mieli po prostu pistolet. Ale z tymi strzelbami sprawa wyglądała zupełnie inaczej... Zaryzykowałby, gdyby nadarzyła się okazja, ale musiałby mieć jakiegokolwiek szanse.

Z korytarza dobiegały głosy i jakiś hałas. Ktoś zdjął kłódkę. Drzwi się otwały i Sonnego wepchnięto z taką siłą, że dosłownie wskoczył na główkę do ich niewielkiego pomieszczenia. Drzwi ponownie zamknięto i znów założono kłódkę.

— Sonne, jesteś cały? — Franck dostrzegła jego wzrok.

Sonne pokiwał głową.

— Przyszedł gość ze strzelbą myśliwską. Zakradł się. Rzuciłem mu w głowę tym, co miałem pod ręką, i próbowałem uciec, ale wbiegłem w ślepy zaułek przy fosie.

Sonne wyglądał jak człowiek w drodze na krzesło elektryczne.

— Więc w sumie jest ich trzech? — zapytał.

— Tak. W piwnicy czekało dwóch. Wszyscy mają strzelby. Co teraz, Oxen? Myślisz, że mamy jakąkolwiek szansę?

— Zawsze jest szansa. Na razie zostajemy tu na przechowanie.

— Ale co, jeśli...

— Ciii!— Wydawało mu się, że słyszy głosy na korytarzu. Przyłożył ucho do drewnianych drzwi. Brzmiało to jak głęboki głos starszego z mężczyzn.

— Przepraszamy, że pana budzimy. Wiem, że jest środek nocy, ale mamy tu pewną niezręczną sytuację...

Nie słyszał całej rozmowy, lecz słyszał wystarczająco, by domyślić się, o co chodzi. Mężczyzna opowiadał swojemu panu i władcy Sixtenowi Kopparstiernie o tym, co się stało.

— Policja? Czy ja wiem... być może... Ale znaleźliśmy również pewien sprzęt. Coś do podsłuchu. Małe mikrofony. Poza tym, jak mówiłem — byli uzbrojeni, dwoje z nich. Co pan o tym wszystkim myśli?

Mężczyzna chwilę słuchał i dwukrotnie odpowiedział coś nieco ciszej, więc nie dało się go usłyszeć.

— Za godzinę? Świetnie, do zobaczenia.

Rozmowa się skończyła. Odwrócił się do Franck i Sonnego,

którzy wbijali w niego pytające spojrzenia.

— Wydaje mi się, że ten starszy zadzwonił do Kopparstierny i wyjaśnił mu, co się stało. Zrozumiałem z tego, że postanowili nie angażować policji. I jeszcze że Kopparstierna już tu jedzie i będzie tu w ciągu godziny. Więc musimy zachować zimną krew. Jeśli mają nas zlikwidować, to nie wydaje mi się, by powierzyli to zadanie tej trójce amatorów za drzwiami. Poza tym Kopparstierna zechce chyba zamienić z nami słowo, zanim pośle po kata? Jeśli się pojawi choć cień szansy... Jeśli dostrzeżemy najmniejszą choćby okazję, zaatakujemy. Ale niczego nie robimy w pojedynkę. Mamy do czynienia z trzema dubeltówkami... pozwólcie zdecydować *mnie*. I reagujcie na *mój* sygnał. Zgoda?

Jeszcze raz ostrożnie zbadała palcami tył swojej głowy. Miała ogromnego guza i rozcięcie pośrodku napiętej skóry podstawy czaszki. Pewnie przydałoby się z siedem szwów.

Za to czuła się już w miarę dobrze. Pomogło jej to, że mogła usiąść. Ukradkiem przyjrzała się Oxenowi. Tak naprawdę — krytycznie. Bo co on może teraz zrobić? W jakim stanie psychicznym był ten dawny komandos? Nie miała pojęcia, jak udało mu się przeżyć dramat na morzu i co robił przez te wszystkie miesiące na szwedzkiej wyspie.

Dlatego próbowała go teraz rozszyfrować. Znajdowali się w tej chwili w możliwie najbardziej stresującym położeniu. Czuła to głęboko we własnym ciele. Myśl o egzekucji...

Niels Oxen, najwyżej odznaczony żołnierz w historii kraju, wyglądał, jakby wcale się nie denerwował i zachowywał pełną równowagę. W jego zachowaniu nie było najmniejszych oznak stresu pourazowego.

To zresztą po części pokrywało się z tym, co odkryła sama: że objawy pojawiają się w interakcjach społecznych. Pocałunek potrafi sprawić, że człowiek kompletnie się rozpada.

Za to w sytuacjach wyćwiczonych, nawet obciążonych wysokim ryzykiem, choroba zwykle się nie ujawniała. Człowiek

zachowywał się wówczas według schematów wpisanych głęboko w umysł i ciało i te schematy dawały mu poczucie bezpieczeństwa, które dla osób z zewnątrz mogło się wydawać absurdalne.

„Pozwólcie decydować *mnie*”. I „reagujcie na *mój* sygnał”. Oxen patrzył na nich ze spokojem. Położenie akcentu na własną osobę przyszedł mu całkiem naturalnie. Wszedł w rolę, do której był świetnie przygotowany.

W rzeczywistości za parę godzin mogli się spodziewać strzału w tył głowy. Sixten Kopperstierna nie powtórzy błędu Villuma Grund-Löwenberga.

Ale Niels Oxen był najwyraźniej spokojny i pewny siebie.

Minęło niemal półtorej godziny — sprawdził to, zanim usłyszeli chrzęst kłódki.

— Wychodźcie kolejno. Z rękoma na karku. — Usłyszeli głos starszego z mężczyzn, który ponownie przejął dowodzenie. Sonne wyszedł pierwszy, po nim Franck, a on na końcu. Stali w szeregu w piwnicy, dopóki nie dostali sygnału. Następnie ruszyli dalej w głąb piwnicy i zostali poprowadzeni przez szeroką bramę z kamienia.

Znajdowali się teraz w dużym, przypominającym składzik pomieszczeniu. Tu sufit również był półkolisty. Wnętrze oświetlały aż trzy lampy. Na końcu zmagazynowano mnóstwo różnych przedmiotów, głównie starych mebli. Na środek podłogi wyciągnięto ławkę, przed nią postawiono stare krzesło.

— Siadajcie!

Posłuchali. Mężczyzna najwyraźniej dowodził tu na co dzień. Trzeci mężczyzna, ten, który złapał Sonnego, mógł mieć trzydzieści kilka lat, podobnie jak ten drugi. Wszyscy trzej trzymali w rękach strzelby i wyglądali na bardzo skupionych.

Chwilę potem usłyszeli kroki. Twarde podeszwy stukały o kamienną podłogę. Szerokim przejściem wszedł starszy

mężczyzna w garniturze. Ukłonił się krótko najstarszemu z mężczyzn i usiadł przed nimi na krześle.

To był Sixten Kopperstierna. Elegancko ubrany, starannie uczesany i patrzący czujnie zza szkieł w złotych oprawkach. Nawet o tej godzinie — został przecież wyciągnięty z łóżka.

— Nazywam się Sixten Kopperstierna. Jestem właścicielem tego zamku. I umieram z ciekawości, by się dowiedzieć, o co tu chodzi. Coś mi mówi, że to nie jest zwykłe włamanie, więc wyjaśnijmy to sobie. Na początek poproszę, byście się państwo przedstawili.

Kopperstierna wskazał głową na Sonnego. Oxen siedział w środku. Sonne szturchnął go łokciem.

— Co mam robić? — spytał szeptem.

— Po prostu odpowiedz.

— Nazywam się Christian Sonne.

— Zawód?

Sonne się zawahał.

— Pracuję na stacji benzynowej.

— A pan w środku?

— Niels Oxen.

— Zawód?

— Bezrobotny.

Zastanawiał się, po co ta szopka. Jako szef Danehofu Øst i najważniejsza postać w organizacji szwedzki magnat musiał przecież wiedzieć, kim byli. Chyba że... ale nie, to musiał być element jego strategii.

— A pani?

— Margrethe Franck. Kasjerka.

Sixten Kopperstierna zamyślił się i splótł dłonie na wysokości ust. Po chwili milczenia ciągnął dalej:

— Zatem mam przed sobą pracownika stacji benzynowej,

bezrobotnego i kasjerkę, którzy we trójkę postanowili włamać się do mojego domu i zamontować podsłuch w bibliotece, sypialni, łazience, gabinecie i pokoju telewizyjnym. Patrick, podasz mi te urządzenia?

Kopparstierna wyciągnął za siebie otwartą dłoń i starszy mężczyzna położył na niej coś, co wyjął sobie z kieszeni. Były to wszystkie pluskwy, które zdążyli rozmieścić.

Sixten Kopparstierna przez chwilę uważnie oglądał sprzęt.

— Podsłuch? Po co?

Nie powinni zdradzić niczego poza nazwiskami. W każdym razie jeszcze nie. Oxen szepnął każdemu z nich:

— Więcej żadnych odpowiedzi.

— Co takiego mówi pan swoim wspólnikom? To pan kieruje tą operacją, panie Oxen?

Oxen spokojnie spojrział w surowe oczy Kopparstierny, ale się nie odezwał.

— Hm. To może zaczniemy od innej strony. Czy ktoś was wynajął do tego zadania? A jeśli tak, to kto? — spytał Szwed.

Wszyscy troje milczeli na tej zaimprovizowanej ławie oskarżonych, która trochę skruszała po latach stania w parku.

Sixten Kopparstierna najwyraźniej zastanawiał się, co dalej. W końcu powiedział:

— Na dłuższą metę trochę męczące jest to wasze milczenie. I w niczym nie pomaga. Patrick, podaj mi, proszę, telefony.

Kilka sekund później Kopparstierna siedział z ich telefonami na kolanach. Dokładnie je sprawdził, jeden po drugim. W tym czasie jego mimika nieco się zmieniła. Z surowej na zdumioną — o ile dobrze odczytywał wyraz twarzy Szweда. Po kilku minutach Kopparstierna uniósł pierwszy z telefonów.

— Interesujące są listy połączeń. Jedno z was nazwało któryś z kontaktów „Mossman”. A gdy patrzę na numery, to pod ten sam numer dzwoniono również z tego telefonu — a także z trzeciego.

— Unosił kolejno telefony. Wciąż mówił tonem opanowanym, lecz ostrym. — Zatem z wszystkich trzech telefonów dzwoniło do tej samej osoby. Osobą, o której mowa, jest, jak się domyślam, Axel Mossman. Człowiek, który — tak się składa — niedawno odwiedził mnie i moją siostrę... Był dawniej szefem duńskiej służby wywiadowczej, choć zakładam, że fakt ten jest państwu doskonale znany. Dostrzegam wyraźny związek pomiędzy waszym sprzętem do podsłuchu a karierą zawodową Mossmana... Czy zatem możemy ruszyć z miejsca naszą rozmowę?

Znów popatrzył kolejno na każde z nich. Nie odezwali się ani słowem. Szwed westchnął głęboko.

— Rozumiem. Brak reakcji. Wobec tego wyjdę teraz i wykonam telefon — do pana Mossmana. Kto wie, może on będzie mógł coś powiedzieć.

Sixten Kopparstierna wstał i wyszedł z pomieszczenia, kiwnąwszy głową swoim ludziom, którzy nie ruszyli się z miejsca.

— Co to znaczy? — szepnął Sonne.

— Coś tu się nie zgadza — mruknęła pod nosem Franck.

— Albo o to chodzi, żebyśmy tak właśnie kombinowali — szepnął w odpowiedzi.

— Ale po co? — Franck przygryzła dolną wargę.

— Nie mam pojęcia.

Siedzieli przez chwilę i zastanawiali się w milczeniu. W końcu usłyszeli, jak dystyngowany głos odbija się od ściany piwnicy po drugiej stronie kamiennego przejścia:

— Halo, czy to pan Axel Mossman? Mówi Sixten Kopparstierna. Przepraszam za nietypową porę, ale widzi pan...

Rozdział 74.

Mknął mostem nad Sundem wprost na wschodzące słońce. A mimo to czuł się, jakby wjeżdżał w strefę mroku.

Niespełna godzinę temu zerwał się z łóżka. Dwie tabletki, połknięte przy umywalce, stłumiły świdrujący ból głowy, który natychmiast poczuł.

Gdy wrócił do domu, żona założyła mu pięć szwów na czarną kreskę na czole. Powiedział, że się potknął i upadając, uderzył w kant stołu. John Smith nie zamierzał się hamować, skoro już dostał szansę na rewanż.

Wjechał przez bramę na teren położonej przy drodze posiadłości. Wóz wtoczył się na szutrową drogę otoczoną z obu stron ostro przyciętym żywopłotem i wiodącą aż do wrót zamku Torup. Gdzieś tam, w środku, czekał na niego książę ciemności.

Rozmowa z Sixtenem Kopparstierną była krótka. Bez słowa sprzeciwu zgodził się spełnić prośbę Szweda o spotkanie twarzą w twarz. Każdą sekundę drogi poświęcił na obmyślanie, co takiego może zaproponować w zaistniałej sytuacji, która pogrzebała ich wszystkie nadzieje.

Punkt wyjścia musi być taki jak w każdych negocjacjach — a tych w swojej karierze przeprowadził wiele. Należało ostrożnie wybadać teren i ustawić się w możliwie najdogodniejszej pozycji. Tak mogłaby wyglądać faza wstępna. Potem powinno się zacząć targowanie. Z każdą minutą, gdy Szwed będzie mówił i coraz bardziej się odsłaniał, on będzie mógł wyrobić sobie pełniejszy obraz sytuacji.

Jeśli nie zdoła rozsądnie tego rozegrać, znacząco wzrośnie prawdopodobieństwo, że w najbliższej przyszłości ulegnie jakiemuś wypadkowi, który będzie go kosztował życie.

Sam siadał do stołu ze szczerozłotym asem w rękawie — i był

gotów go wyłożyć. Chciał jednak z tym poczekać, aż nabierze całkowitej jasności, co dokładnie może otrzymać w zamian.

Przy schodach do głównego wejścia stał starszy mężczyzna w zielonym stroju myśliwskim. Zdawał się na niego czekać. Mossman przekręcił kluczyk i wysiadł z samochodu.

— Pan Mossman, jak miemam? — spytał mężczyzna.

— Zgadza się.

— Niech pan będzie uprzejmy pójść za mną.

Wszedł za mężczyzną przez zamkowe wrota i schodami udali się na pierwsze piętro. Mężczyzna raz tylko obejrzał się przez ramię, jakby chciał się upewnić, czy duński gość wciąż za nim idzie. Poszli w dół długim korytarzem i dotarli do kolejnych schodów. Potem jeszcze kawałek korytarzem. Czuł się jak w labiryncie.

Ubrany na zielono mężczyzna zatrzymał się przed jednymi z drzwi, zapukał i zaczekał. „Proszę”, odezwał się głos ze środka. Mężczyzna otworzył drzwi i nie wchodząc do środka, oznajmił:

— Pan Mossman przyjechał.

— Dziękuję, Patricku. Niech wejdzie.

Obrał kurs na biurko i wyciągnął rękę na powitanie.

— Witam, panie Mossman. Proszę, niech pan siada.

Sixten Kopparstierna również na powrót usiadł. Wydawał się całkiem wypoczęty i był irytująco dobrze ubrany jak na tę porę — miał na sobie szary garnitur i błękitny krawat. Wyglądał nienagannie, identycznie jak na ich ostatnim spotkaniu w siedzibie fundacji przy Havnegade.

Więc to on. Najpotężniejsza postać duńskiej gospodarki. Brat swojej siostry, pod każdym względem. Niekoronowany władca Kobberstjerne Pharma International, trzymający w garści wszystkie miliardy fundacji. Siedział przed nim z wyczekującą miną i surowo zaciśniętymi ustami.

Szwed dyskretnie musnął spojrzeniem przykuwający uwagę opatrunek na jego czole, ale nie zmienił wyrazu twarzy.

— Znow się spotykamy, panie Mossman. Można by dodać: niespodziewanie... Pozwolę sobie od razu przejść do rzeczy, bo wydaje mi się, że obaj mamy inne sprawy na głowie... Po co u licha to wszystko? Po co się włamywać do mojego domu? — Sixten Kopparstierna rzucał piorunami zza szkieł okularów.

— Te trzy osoby, o których wspomniał pan przez telefon. Gdzie one są?

— W piwnicy, pod strażą. Nic im nie jest — poza kobietą. Ma rozciętą głowę, bo jeden z moich pracowników był zmuszony ją ogłuszyć.

— Co wam powiedzieli? Nie chciałbym się powtarzać...

— Powiedzieli, jak się nazywają. I nic więcej! Dlatego proszę docenić, że daję wam uczciwą szansę. Powinienem od razu wezwać policję. A może nawet Säpo. Zatem niech pan będzie uprzejmy odpowiedzieć na moje pytanie!

Säpo. Bodaj jedyne szwedzkie słowo, którego nie lubił. Byłoby ciekawie, gdyby musiał przed nimi zeznawać.

Zdecydował, że od samego początku będzie grał defensywnie. Umiał opracować strategię. I umiał się jej trzymać. Bo w istocie — dlaczego nikt nie wezwał policji, skoro zamek był ostoją niewinności?

— *Well*, może zacznę od początku. Trzy osoby pozostające pod pańską pieczęcią pracują dla mnie. Ja zaś pracuję, jak już mówiłem podczas spotkania z panem i pańską siostrą, dla Benedicte Bjørk, siostry zmarłej Sigrid Ryttinger Bulbjerg. W świetle dotychczasowych wyników mojego śledztwa niedawne wyjaśnienia pana i pańskiej siostry odnośnie do spotkania z Sigrid przed jedenastu laty obudziły we mnie mocno uzasadnione wątpliwości. Gdybym nadal był szefem PET, mógłbym zażądać podsłuchu telefonicznego. W obecnej sytuacji muszę się zadowolić podsłuchem w pomieszczeniach. Tak właśnie się sprawa przedstawia...

— Wątpliwości odnośnie do spotkania z panią Ryttinger Bulbjerg? Jakiego rodzaju wątpliwości? Sądzi pan, że ja i moja

siostra mamy jakiś związek z jej śmiercią? Że być może za nią staliśmy?

— Ja nic nie *sądzę*. Ja *sprawdzam* to, co w moim odczuciu się nie zgadza.

— Odczuciu?

— Chodzi o organizację o nazwie Danehof. Wydaje mi się, że pan może coś o niej wiedzieć. Coś, czego się pan dowiedział od pani Ryttinger Bulbejrg.

— Danehof brzmi jak nazwa duńskiego piwa. I zupełnie nic mi nie mówi. I czym miałyby się zajmować ten Danehof?

— Prowadzeniem działalności przestępczej.

— Oniemiałem. Jak pan może insynuować mi coś takiego? Proszę mi powiedzieć — skoro chcieliście mnie podsłuchiwać tutaj, czy podsłuchujecie mnie również pod moim adresem w Kopenhadze?

Wolałby uniknąć odpowiedzi na to pytanie. Podsłuch w Holsteins Palæ nadal mogli zaliczyć do swoich sukcesów. Z drugiej strony teraz najprawdopodobniej był bezużyteczny, bo Kopparstierna przeczesze swoje mieszkanie i w końcu znajdzie sprzęt.

— Słusznie pan wnosi.

— *Niepojęte...* Cóż za hucpa. — Sixten Kopparstierna z trudem nad sobą panował. Najwyraźniej nawet jego można było wyprowadzić z równowagi. Szwed mówił jednak dalej: — Panie Mossman, pańskie wyjaśnienie jest po prostu za słabe. Coś pan przeczuwa. Musi pan być bardziej konkretny. Albo wezwę Säpo. I oni będą musieli się zająć wyjaśnianiem sprawy.

Sytuacja zrobiła się napięta. Jeśli założyć, że Sixten Kopparstierna był liderem Danehofu Øst i nadrzędnym zwierzchnikiem całej organizacji, to być może ta maskarada i tak nie miała większego sensu.

Powinien teraz błysnąć swoim złotem, mignąć Szwedowi przed oczami tak, by ten nie mógł tego nie dostrzec.

— *Well* — zaczął, zawahał się... i wahał się nadal.

Złotem była informacja o spisku Północy i Południa mającym na celu obalenie lidera Wschodu i przejęcie władzy. Ale w tym momencie zwyczajnie sam nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Nigdy chyba nie czuł się równie zdezorientowany.

Sixten Kopparstierna wydawał się trząść w słusznym oburzeniu. Czy tak by się zachował książę ciemności? I czy diabeł w ludzkiej skórze umiałby wyglądać na tak zdumionego na wzmiankę o Danehofie?

Nie, to jednak nie pora pozbywać się złota. Może uda się je sprzedać po wyższym kursie. Innego dnia, w innym miejscu może się okazać, że prosty zmysł kupiecki zaprowadzi go o wiele dalej. Teraz musiał jednak sklecić coś naprędce.

— Widzi pan, dla pana własnego bezpieczeństwa lepiej, abym nie zdradzał więcej. Jak powiedziałem — mam powody, by kilka spraw podać w wątpliwość.

— Zważywszy na urząd, który sprawował pan przez tyle lat, mogłoby się wydawać, że takie brednie są poniżej pańskich kompetencji i doświadczenia, panie Mossman. Nie powiadomiłem mojej siostry o tej całej aferze. I nie zamierzam tego robić. Barbro nie lubi tego rodzaju... zamieszania. Ceni sobie spokój i równowagę. Umówmy się, że tak pozostanie. W zamian może pan zabrać stąd swoich ludzi. Będę ogromnie wdzięczny, jeśli więcej nie będzie pan nas wciągał w tę swoją... farsę...

Wydawało mu się, że się przesłyszał.

— Czy mam rozumieć, że uwolni pan moich ludzi?

— Zgadza się.

Sixten Kopparstierna wyjął telefon.

— To ja. Patrick, bądź tak miły i wyprowadź te trzy osoby z zamku. Tak, odprowadź je do bramy, dziękuję.

Kopparstierna rozłączył się i wstał.

— Zakończmy już naszą rozmowę. — Szwed wyciągnął do niego rękę. Mossman uścisnął ją mocno, wciąż nie do końca rozumiejąc,

co się dzieje. Powiedział więc tylko:

— Doskonale. Dziękuję. I przepraszam za kłopot, jakiego panu przysporzyliśmy.

Rozdział 75.

Zrobili w jego piwnicy naradę wojenną. Miał wrażenie, że dopiero co piwnica była jego własną, małą jaskinią, w której zaszywał się, by w tajemnicy zgłębiać historię i status rozmaitych zamków i dworów, tak jak inni starzy mężczyźni oddają się pasji filatelistycznej.

Ściana z płótnem wciąż była wypełniona kartkami i notatkami i przypominała mu, że ten trop okazał się ślepy. Gdyby tamtej nocy na ciemnej parkowej alejce nie spotkał Oxena i Franck, wciąż by się z tym mozolił niczym jakiś Syzyf.

Był tak zmęczony, że miał ochotę położyć się spać. Cios, który otrzymał na własne żądanie, okazał się groźniejszy w skutkach, niż to sobie zaplanował. Ból głowy udawało mu się zmniejszać tabletkami, ale braku snu nie potrafił zrekompensować.

W tej sytuacji była tylko jedna okoliczność łagodząca. Przed godziną zadzwonił George Wallace z Thames House. Ich rozmowa była krótka. Wallace chciał tylko domknąć sprawy i poinformować go, że Eric Bancroft alias John Smith dotrzymał swojej części umowy. Co do minuty zjawił się w biurze Wallace'a i zrobił to, co mu kazano.

Chociaż tyle dobrego. O jedno zmartwienie mniej w tym morzu chaosu.

Prosić Bancrofta, żeby zadzwonił do Kopparstierny, teraz nie było sensu. Szwed na własne oczy widział żywego Oxena. I znał ich plany.

Był środek dnia. Wszyscy czworo popadli w apatię. Żadne z nich nie wiedziało, na czym stoją i co dalej. Spojrzał kolejno na trójkę swoich kompanów.

Christian przysunął sobie krzesło do ściany i ziewał po dramatycznej nocy bez snu. Na dokładkę dwie godziny temu

zadzwońnię była żona i zażądała, żeby jutro pojechał do Aarhus, bo młodsza z dziewczynek jest chora, a ona musi pojechać na trzydniowe szkolenie.

Margrethe Franck siedziała przy stole, trzymając oburącz czwarty kubek z kawą. Stwierdzić, że była blada, byłoby niedopowiedzeniem. Jej twarz miała kolor kredy. Pojechali na pogotowie, gdzie zaszyto jej rozcięcie na głowie. Mimo to walczyła dalej, jak ranna lwica. Znał ją na wylot i widział, że jej mózg nie chce się poddać.

To ona przywiozła im przełom z Costa del Sol. I teraz pomimo zmęczenia i roztrzaskanej głowy nadal starała się rozstrzygnąć, czy w istocie szli mylnym tropem.

Niels Oxen jak zawsze siedział spokojnie na krześle z kubkiem w rękach. Były komandos był człowiekiem małomównym, ale nie należało dać się zwieść. Widać było, że w środku walczy zawzięcie, by nad sobą panować.

Kiedy zatrzasnęły się za nimi wrota zamku Torup i opowiedział im o ucieczce Johna Smitha, na krótką chwilę Oxenowi puściły nerwy.

Przyskoczył do niego, chwycił go za koszulę i mocno nim potrząsając, krzyczał mu wściekle prosto w twarz. Przez moment pomyślał, że Oxen przejdzie do rękoczynów i rzuci go na ziemię. Ale ten nagle go puścił, odwrócił się na pięcie i poszedł w swoją stronę.

Po chwili wrócił i przeprosił.

Kubek przyjemnie rozgrzewał dłonie. Siedział oparty w fotelu i choć czuł, że Mossman mu się przygląda, nie podniósł wzroku.

Axel Mossman stał na swoim ulubionym miejscu pod ścianą. Dawny szef wywiadu miał podkrążone oczy i opatrunek z dużym plastrem na czole.

Gdy tylko znaleźli się za bramą zamku, po tym jak pozwolono im go opuścić, Mossman przekazał im szokującą wiadomość,

tłumacząc się z opatrunku:

John Smith uciekł...

Anglik wykiwał Mossmana — rozwalił stare krzesło, a gdy upadł, udało mu się uwolnić nogi. Kiedy nadbiegł Mossman, żołnierz błyskawicznie poderwał się z ziemi. Z rękoma wciąż związanymi na plecach zamachnął się kawałkiem krzesła i zza pleców wymierzył cios tak silny, że Mossman padł jak kłoda.

Smith znalazł w warsztacie coś ostrego i spokojnie przeciął plastikowe paski na nadgarstkach. Gdy Mossman się ocknął, cenny więzień zniknął.

Wściekł się, kiedy Mossman im to powiedział. Złapał go za koszulę i potrząsał nim, bluzgając mu prosto w twarz.

Dawno już nie zdarzyło mu się stracić nad sobą kontroli... Długie miesiące spokojnego życia na wyspie z Tessą nie dawały okazji do gwałtownych reakcji.

Teraz czuł się poruszony tym, że tak się zachował. Tamten wybuch go obnażył, pokazał, że jego bezpieczniki wciąż są przepalone.

Przeprosił Mossmana. I pozostałych. Ale diabeł w jego głowie nie przestawał go nękać. Bo *jak* to się mogło stać? Jak ten stary lis mógł dać się wykiwać?

Margerthe kazała mu odpuścić.

— Niels, jesteś cholernie podejrzliwy. Po tym wszystkim, co przeszedłeś, nie zaufasz Mossmanowi, dopóki nie odwinie kity. I nawet gdy go pochowają, wciąż nie będziesz pewien, czy na pewno umarł.

Tak powiedziała. I może miała rację.

John Smith był zresztą o wiele ważniejszy dla niego niż dla pozostałych. Jeśli nie zdoła oczyścić się z zarzutu zabójstwa starego Rybaka, nigdy nie będzie mógł wrócić do normalnego życia.

A bez normalnego życia nie będzie Magnusa.

Cała długa podróż do Liverpoolu i Runcorn, i Alistaira MacDuffa miała tylko jeden cel: dotrzeć do lidera. I choć John Smith jak we śnie niespodziewanie się zmaterializował, a im podstępem udało się go przyskrzynić, sukinsyn zdołał wymknąć im się między palcami. To nic innego, jak spektakularna klęska.

Z zamku Torup razem z Sonnem i Franck pojechali prosto do Skodborgvej w Rødovre, gdzie był zameldowany duński pracownik Smitha, Morten Lundbye.

Po tym, jak im uciekł na Refshaleøen, gość najwyraźniej wrócił do siebie, błyskawicznie spakował torbę i dał nogę. Szeroko otwarte drzwi szafy, wysunięte szuflady komody i ubrania rozrzucone na łóżku sugerowały, że bardzo mu się śpieszyło.

Mieli ich w garści. A teraz obaj przepadli jak kamfora.

— O czym rozmyślasz, Oxen? Jakież konstruktywne wnioski?

Nie był w stanie ocenić, czy ostatnie zdanie było sarkastyczne, ale Mossman w każdym razie patrzył na niego spod ściany i nie miał na twarzy złośliwego uśmiešku, lecz głęboką powagę.

Nie czuł zmęczenia. Dramat, który się rozegrał na zamku, nie wyczerpał go ani nie był dla niego ciężką próbą. Mimo że wtedy w piwnicy ich sytuacja przedstawiała się w najczarniejszych kolorach, ani razu nie pomyślał o śmierci. Jego myśli przez cały czas krążyły wokół *możliwości*, jakie im w tamtej sytuacji pozostały.

— Myślę o tym gnoju. Odtąd musimy stale mieć się na baczności. John Smith może się pojawić gdziekolwiek i kiedykolwiek. Może wycelować w nas broń, gdy będzie nam się wydawało, że to niemożliwe. I mimo że zależy mu na mnie, to wam też może się dostać. On wie, gdzie mieszkacie. Dlatego zalecam wam czujność. I żebyśmy wszyscy odtąd nie rozstawali się z bronią. Myślę też, że musisz trochę mocniej przycisnąć ludzi w Londynie. I to już! Muszę dostać jego nazwisko. A jeśli nie ma go w Danii, to trzeba im kazać, żeby go poszukali u siebie.

Mossman pokiwał głową, zadumał się i odparł:

— Tak, nacisnę na Anglików tak, jak będzie się dało... A jeśli

chodzi o Smitha i nasze bezpieczeństwo, to mamy przynajmniej jedno miejsce, o którym on nie wie: twój pokój u wdowy. Ty, Sonne, nie możesz teraz prowadzić. Jesteś zbyt zmęczony. Zaczekaj do jutra. Czy Sonne może u ciebie zanoć, Oxen? Tobie, Margrethe, radziłbym to samo. Nie możesz wrócić na Østerbro, dopóki Smith — być może wraz z pomocnikiem — jest poza naszym radarem. W porządku?

Franck w milczeniu skinęła głową.

— Poświęciliśmy godzinę na gadanie o wszystkim i o niczym. Spróbujmy teraz wyciągnąć jakieś wnioski na temat Sixtena Kopparstierny — a potem idźmy spać.

Mossman wyprostował się na swoim miejscu pod ścianą. Wciąż był szefem i wydawanie poleceń przychodziło mu naturalnie.

— Margrethe, podsumuj, proszę.

Jego niegdyś najbliższa pracownica pokiwała głową i potarła dłońmi twarz. Potem powoli wstała. Może bała się, że inaczej uśnie.

— Czy Sixten Kopparstierna jest Danehofem Øst? Czy nie jest?

Margrethe odczekała kilka sekund, by jej pytanie wybrzmiało. Potem podjęła wątek:

— Pewne sprawy przemawiają na tak: wiemy, że Danehof próbował w swoim czasie zwerbować Knuda Klinta Kopparstiernę. Wiemy, że Sixten Kopparstierna jest najbardziej wpływową osobą w Danii. Wiemy, że z historycznego punktu widzenia pasuje do profilu: jest właścicielem zamku leżącego na dawnych wschodnich rubieżach Danii. Wiemy też, że gdy Sigrid odwiedziła Barbro i Sixtena, to osiemnaście dni później zginęła. Jest jeszcze kawa?

Sonne napełnił jej kubek. Margrethe ciągnęła dalej:

— Co przemawia na nie? Przede wszystkim to, że dziś rano puścił nas wolno. Mógł nas wywieźć w głąb swojego lasu, wykopać porządny dół i wypłacić nam po kulce, dokładnie tak, jak o mały włos nie zrobili tego jego ludzie, gdy nas przyłapali wtedy

w lesie Rold — pamiętasz, Niels? A jednak tego nie zrobił. Był szczerze wstrząśnięty, że ktoś chciał go podsłuchiwać. Nie ma o niczym bladego pojęcia. Jak to było, Mossman — że Danehof to duńskie piwo?

Franck przerwała na moment. Potarła oczy i się przeciągnęła. Potem mówiła dalej:

— Tak przedstawia się sytuacja. Moja teoria jest taka, że to jednak *nie* nasz człowiek. Jego organizacja poświęciła mnóstwo środków na pozbycie się Nielsa Oxena. I teraz, kiedy Oxen staje w jego drzwiach, on po prostu puszcza go wolno? To niemożliwe. Sixten Kopparstierna nie jest liderem Danehofu.

— Dziękuję, Margrethe. To z kolei rodzi pytanie: kto wobec tego nim jest? — Mossman, choć poturbowany, wciąż potrafił zdobyć się na uśmiech. Uwielbiał te intelektualne zapasy na macie.

Margrethe pozostała przy głosie:

— Mimo że nie pasują do profilu tak dobrze jak Sixten, to musi być ktoś z pozostałej szóstki. Ktoś, z kim Sigrid spotkała się podczas swojego objazdu. Zobaczmy... w porządku chronologicznym, według daty wizyty Sigrid...

Margrethe Franck zacisnęła powieki, by lepiej się skupić i przypomnieć sobie nazwiska. I sypnęła nimi jak z rękawa:

— Ówczesny szef departamentu w Ministerstwie Sprawiedliwości Lars Poulsen, ówczesny minister sprawiedliwości Søren Høj, ówczesny szef policji Franz Østergård, prezes Sądu Najwyższego Johan Wolf-Witte, prokurator generalny Henry Poppel i wreszcie ówczesny prokurator generalny policji podatkowej Sigurd Månsson. Spotykając się z którymś z nich, Sigrid podpisała na siebie wyrok śmierci.

— Ale nie mamy żadnych dowodów na to, że wypadek na autostradzie był zaaranżowany, prawda? — ostrożnie zauważył Sonne.

— Nie mamy. Ale wszyscy na własnej skórze odczuliśmy, co się dzieje, gdy się nadeptnie tym ludziom na odcisk — odparła Franck.

Ponownie głos zabrał Mossman:

— A ty, Oxen, jak uważasz?

Czekał na to pytanie. I dobrze rozważył swoją odpowiedź.

— Jeśli Sixten Kopparstierna to Danehof Øst, to najzwyczajniej w świecie nie pojmuję jego zachowania tej nocy. Pozostawienie nas przy życiu było nielogiczne. Chyba że zmienił swoją strategię i chce nas wykorzystać do nieznanym nam celów. Chociaż nie sądzę. Zgadzam się z Margrethe. Musimy szukać gdzie indziej.

— Christian? — Mossman spojrzał na swojego siostrzeńca.

— Uważam tak samo: to nielogiczne, by on był przywódcą.

Jego towarzysze patrzyli na niego pytająco. Spojrzenia mieli mętne, a powieki ciężkie od zmęczenia, wszyscy bladzi jak ściana, choć ich młode organizmy pewnie lepiej sobie w tej chwili radziły niż jego udręczone stare ciało. Każde już wyraziło swoje zdanie. Teraz kolej na niego.

Z czysto strategicznego punktu widzenia sytuacja stała się obecnie kompletnie niejasna. Należało zyskać na czasie — i poczekać, aż coś się wyjaśni. Cierpliwie odczekać, aż coś się wydarzy. Bo on wciąż miał w kieszeni ukrytą grudkę złota.

Informację z najczystszej kruszcu. W burzliwych czasach złoto dawało poczucie bezpieczeństwa. Tak było teraz — i tak było zawsze. Cena zależała od momentu i sytuacji. I miał silne przeczucie, że zaskakujący gest Sixtena Kopparstierny oznaczał, że cena może pójść tylko w jedną stronę — do góry.

Szwedzki magnat ma zostać obalony przez Karin Kajsę Corfitzen i Villuma Grund-Löwenberga. Istnieje duża szansa, że stanie się to na wodzie. Gdzieś pomiędzy lądem a prywatną wyspą Kopparstierny na jeziorze Bolmen.

O mały włos ujawniłby wszystko podczas spotkania na zamku, ale na szczęście intuicja go uratowała. Dzięki temu zachował ogromną przewagę.

— *Well*, więc zostałem ja. Hm. Cóż mogę powiedzieć... Jako

jedyny zetknąłem się z Kopperstierną z bliska. Wydaje mi się, że w swojej roli wypadł przekonująco. Uwierzyłem mu, gdy powiedział, że nie wie, czym jest Danehof. I że podsłuchy oraz to nocne najście na zamku autentycznie go wzburzyły. Mój nos mi podpowiada, że to *nie* jest on. Że Sixten Kopperstierna jest „tylko” potężnym człowiekiem, który za wszelką cenę pragnie uniknąć rozgłosu i zdecydowanie nie przepada za towarzystwem dawnego szefa duńskiego wywiadu. Musimy się przyjrzeć sześciu pozostałym ludziom władzy, których odwiedziła Sigrid. Spotkajmy się jutro i obmyślimy nowy plan działania. Ja postaram się poszukać wśród moich dawnych pracowników kogoś, kto będzie mógł przypilnować dla nas domu Lundbyego w Rødovre. Jeśli wróci, powinniśmy się o tym dowiedzieć jako pierwsi. Kończymy na dziś.

Odstawili krzesła z powrotem do stołu i zebrali kubki w jednym miejscu, by Mossmanowi łatwiej było je zabrać na górę. To była dobra decyzja, aby na dziś dać sobie spokój.

Zauważył, że również Oxen wyglądał na zmęczonego. Oraz znów poczuł tępy ból głowy. Bardzo potrzebował długiego snu.

Oxen włożył kurtkę i poinstruował pozostałych:

— Stąd do mnie idzie się dobre pół godziny. Wyruszymy oddzielnie, w kilkuminutowych odstępach. Musimy pamiętać, żeby...

Telefon Margrethe wydał kilka pojedynczych dźwięków. Odruchowo sprawdziła, co to. Oxen urwał w pół zdania.

Zobaczył, jak Margrethe przysiadła na krawędzi stołu. Wyglądała na całkowicie skupioną. Oxen chciał już iść.

— Franck, jesteś gotowa? — spytał.

Nie odpowiedziała. Siedziała nieruchomo ze wzrokiem wbitym w ekran. W końcu powiedziała tylko „o kurwa...”.

Sonne i Oxen odwrócili się do niej, a on sam natychmiast odstawił kubki i termos na stół.

— Co jest? — zapytał.

— Chwila...

Franck czytała coś skupiona. Zaraz potem powiedziała — nie odrywając oczu od małego ekranu:

— Mówiłam wam, że chcę poprosić dawnego znajomego, żeby spróbował się włamać do komputerów Sixtena, Barbro i fundacji... Właśnie w nich siedzi... Przed chwilą wysłał mi maila, który przyszedł na komputer Barbro. Wiadomość od Sixtena, w której dokładnie streszcza jej wydarzenia zeszłej nocy. A na koniec pisze — cytuję:

Axel Mossman przyjechał, żeby mnie przekonać, bym wypuścił jego ludzi. Nie spodobało mu się, gdy napomknęłam, że mógłbym wezwać Säpo. Ale spokojnie, siostrzyczko. Nie powiedziałem ani słowa o Danehofie. Gdy sam o nim wspomniał, udałam, że pierwszy raz słyszę to słowo. Spotkajmy się jak najszybciej, by omówić sytuację. Proponuję jutro wieczorem u ciebie. Może zaprosisz mnie na kolację? Ściskam, Six.

Wszyscy trzej patrzyli na Margrethe. Byli w tej chwili czterema śpiącymi postaciami, z których każda pogrążyła się we własnych głębokich przemyśleniach.

Ostatecznie on sam zdecydował się przerwać milczenie.

— No. Czyli to by było na tyle, jeśli chodzi o mój stary dobry nos. Sixten nie ma pojęcia o żadnym Danehofie... Chyba musimy naradzić się od nowa, co?

Wszyscy pokiwali głowami. I głęboko westchnęli.

Mossman za to poczuł wzmożoną energię. Zmęczenie i ból głowy zniknęły jak ręką odjął.

Złoto szło w górę.

Rozdział 76.

Powietrze cudownie pachniało schnącymi w słońcu wodorostami, a woda mieniła się w jego blasku. Siedzieli na szczycie wyspy od północnego zachodu, tam gdzie wznosiły się niskie klify.

Uwielbiał to miejsce bardziej niż którekolwiek inne.

Po raz pierwszy zaprosił na wyspę swojego protegowanego. Te odwiedziny były jednym z ostatnich etapów tego, co można było chyba nazwać wielkim przekazaniem pałeczki.

Decyzję już podjął. Na pierwszym zgromadzeniu po letnich wakacjach przedstawi pozostałym swojego następcę. I na tym koniec. Zrzuci z siebie ciężar odpowiedzialności. Nie będzie już liderem Danehofu Øst i zwierzchnikiem organizacji.

Będzie mógł spacerować plażą wokół wyspy z głową wolną od ciężkich rozmyślań i bez roztrząsania trudnych decyzji. W taki piękny wiosenny dzień jak ten czuł, jak bardzo się cieszy na tę myśl. Czuł, że to słuszna decyzja.

Od rana siedzieli w gabinecie w głównym budynku i szczegółowo omawiali wszystkie odgałęzienia, które składały się na administracyjną i ekonomiczną strukturę organizacji.

W szczególności skupili się na fundacjach i tym, jak nimi zarządzać, by uzyskać maksymalny zysk i zapewnić sobie swobodę działania.

To ważne, by jego następcą miał pełny obraz organizacji. Mimo że oczywiście zawsze będzie gotów służyć mu radą — tak długo, jak długo będzie w stanie jasno myśleć.

Po obiedzie wybrali się na przechadzkę wokół wyspy. Zarówno po to, by dotlenić mózgi, jak i dlatego, że chciał pokazać gościowi swoją uroczą posiadłość.

Przystanął i wskazał głową na kilka głązów.

— Może usiądziemy tam i napijemy się kawy? Pod skarpą można się schronić przed wiatrem.

Jego młody towarzysz pokiwał głową.

— Tak, czemu nie.

Usadowili się, każdy na swoim kamieniu, jakby epoka lodowcowa zostawiła je tu specjalnie dla nich. Z małego plecaka wyjął termos Stanleya i dwa kubki, napełnił je i podał jeden swojemu towarzyszowi.

Siedzieli w milczeniu, popijając gorącą kawę, i patrzyli na horyzont.

— Duńska linia brzegowa jest poddawana ogromnej presji — stwierdził po cichu. — Choć w taki dzień i w takim miejscu trudno w to uwierzyć.

— Tak, i to pod wieloma względami — zgodził się jego gość.

Znów zamilkli. Wybrzeże pod presją... dosłownie i w przenośni. Nie planował poruszać tego akurat tematu. Tak po prostu wyszło. Całkiem naturalnie, pod wpływem chwili. Ale miał szczerą ochotę zmierzyć się ze swoim następcą. Obie sprawy akurat leżały mu głęboko na sercu.

— W sensie dosłownym — zaczął — na przestrzeni dziejów zawsze mocno się skupialiśmy na życiu gospodarczym, na stosunkach gospodarczych, rynku pracy, ekonomii, systemie prawnym i polityce społecznej. Być może nieco się zapędziliśmy w przekonaniu, że środowisko naturalne i przyroda to rodzaj dobra luksusowego, na które nie możemy tracić czasu. Myślę, że najwyższa pora, abyśmy obmyślili plan działania, dzięki któremu będziemy mogli nieco uważniej pokierować naszymi działaniami. Może nawet powinniśmy kupić albo w jakiś inny sposób zapewnić sobie lojalność ministra środowiska?

Jego młody towarzysz odparł bez wahania:

— Jeśli chodzi o ochronę duńskiej linii brzegowej, kurs restrykcyjny zawsze cieszył się szerokim poparciem politycznym. Powrót do normalnego sposobu postępowania nie powinien chyba

następnie większych problemów?

— Ostatnimi laty można odnieść wrażenie, że na gwałt wyprzedajemy to, co mamy najcenniejszego. W następstwie kryzysu finansowego każdą decyzję usprawiedliwia się wizją przyciągnięcia garstki turystów i stworzenia kilku nowych miejsc pracy. Obawiam się, że taka krótkowzroczność to początek równi pochyłej. Utrwaliło się, że my, Duńczycy, pilnie strzeżemy naszych dziewięciu tysięcy kilometrów linii brzegowej. Bo w rzeczywistości sprawa jest prosta — naszą perłą w koronie jest przyroda. To dla niej Niemcy przyjeżdżają tu na wakacje. Nie dlatego, że zbudujemy kolejne kąpielisko albo dwa i jeszcze bardziej skomercjalizujemy nasze kurorty. Na Boga, przecież to czysty nonsens.

— Brzmisz jak ci po przeciwnej stronie sali obrad. — Jego gość uśmiechnął się z przekąsem.

— Liberalny punkt widzenia nie oznacza, że człowiek musi chować mózg na dnie szuflady, idąc na posiedzenie parlamentu — odparował. Nie tyle w stronę swojego towarzysza, ile w stronę czasów, w jakich przyszło im żyć.

— Ale masz rację. Ja również jestem za określeniem nowych priorytetów.

— Tym będzie musiała się zająć Kajsa Corfitzen i przyśpieszyć działania Consilium. I to już wkrótce. Nie tylko ze względu na wybrzeże. Również ze względu na rzeki i cieki wodne. Nie możemy pozostawić rolnikom gospodarowania przyrodą i pozwolić im pisać własne prawa i rozporządzenia. Co jeszcze? Zmiana koryta rzeki Skjern?

— Czytałem niedawno o człowieku, który na posiadanych przez siebie ziemiach zaorał cztery kurhany. Brak słów.

— Na koniec pewnie zaorają chodniki i skwery. Musimy od nowa przemyśleć kwestię odpowiedzialności za nasze otoczenie.

— Masz coś konkretnego na myśli? — Jego gość odwrócił się na swoim kamieniu i spojrzał na niego.

— Gdy województwa zastąpiliśmy regionami, zarządzanie

i ochrona środowiska przeszły w ręce gmin. Tam zabrakło jednak fachowej wiedzy. Niektórym gminom zwyczajnie brakuje kompetencji, a samo pozostawienie odpowiedzialności w rękach samorządów jest złamaniem zdrowej zasady długiego ramienia.

— No tak, ale mówisz tu o głębokiej, strukturalnej zmianie. Przekazanie jakichkolwiek dalszych kompetencji regionom jest wykluczone. W tej chwili zarządzają wyłącznie szpitalami — a i z tym sobie nie radzą. Moim zdaniem powinno się je zlikwidować. Regiony, oczywiście — nie szpitale.

— Zgoda... pełna zgoda.

Wybrał tego człowieka na podstawie wielu kryteriów. Niektóre z nich dotyczyły umiejętności podejmowania inicjatywy i jasności spojrzenia. Pozostałymi kryteriami były bystry umysł i zdolność formułowania wyważonych opinii.

Lubił towarzystwo swojego następcy. Czasem łapał się na tym, że traktuje go trochę po ojcowsku. Ale tak naprawdę dokładał tylko należytych starań, aby uświadomić mu, jak wielką odpowiedzialność na siebie bierze. Zarówno względem minionych wieków, jak i wobec historii, którą sam będzie współtworzył.

Znów zamilkli z kubkami w dłoniach. Obok przefrunęło stado skrzeczących mew.

— Nie wspominając o presji w znaczeniu przenośnym — powiedział cicho. — Na tym polu mamy aż nadto do zrobienia...

— Widziałeś najnowsze dane dotyczące liczby uchodźców? Podali je dziś rano. Dwadzieścia pięć procent więcej, niż się spodziewano.

— Czekam na zdecydowane działania ze strony Unii Europejskiej. I na to, aż ktoś u nas w końcu ruszy głową.

Jego towarzysz pokiwał głową i spojrzał na migoczącą tafłę wody. Potem spokojnym, rzeczowym tonem powiedział:

— Jedno jest pewne... Nigdy więcej nie powinniśmy oglądać zdjęć kolumny uchodźców idącej duńską autostradą. Moim zdaniem nie powinniśmy również odbierać tym ludziom biżuterii

i zegarków. Powinniśmy postępować honorowo, ale mimo wszystko wysłać jasny komunikat — ci ludzie muszą stąd zniknąć. I to natychmiast. Nie możemy dźwigać całego świata na swoich barkach. I to będzie ogromne wyzwanie.

— Nie przeraża cię to? Rozmiar problemu? Jego złożoność?

— Wielkie zadania, wielka odpowiedzialność... Przyjąłem twoją propozycję, bo chcę coś zmienić.

Spodobało mu się to. Wszystko, co dziś usłyszał, było bliskie jego sercu. Kto wie, może tych kilka minut na plaży było najlepszymi, jakie spędził ze swoim następcą.

— W tym tkwi nasza prawdziwa siła — że możemy i musimy się odciąć od politycznego populizmu. To pozwala mi mieć nadzieję na lepsze rozwiązania. No proszę — w krótkim czasie omówiliśmy całkiem sporo spraw tylko dzięki temu, że pomyślałem o wybrzeżu... Może już pójdziemy?

Rozdział 77.

Minister sprawiedliwości Helene Kiss Hassing uśmiechnęła się szeroko, kiedy wszedł do jej gabinetu. Było dopiero wpół do dziewiątej i budynek ministerstwa wciąż jeszcze sprawiał wrażenie opustoszałego. Za to ona, sprawująca w tym miejscu nadrzędną władzę polityczną, wyglądała na niesłychanie ożywioną.

— Cześć, Per! Jak się dziś miewasz? Wcześniej zaczynamy, prawda? Dobrze cię znowu widzieć.

— Ciebie również. Ty też dziś wcześniej zaczynasz?

— Och, ja jestem tu już od dawna. Tak mi najbardziej odpowiada. Za to w niektóre dni kończę wcześniej, ze względu na dzieci.

Teraz byli na „cześć” i na „ty”. Nie żeby to cokolwiek znaczyło. Ta zmiana miała dla niego wyłącznie wartość symboliczną, była sygnałem, że nadają na tych samych falach. Że budują między sobą relację wzajemnego zaufania. Fundament już był i trzymał się mocno. Kolejne poziomy należało stawiać z rozwagą.

— Masz czas na szybką kawę? Sama chętnie się napiję. — Minister wstała i nie czekając na jego odpowiedź, podeszła do kredensu, na którym leżała taca z termosem i filiżankami. Napełniła dwie i podała mu jedną.

— Nie stójmy tak, chodźmy usiąść.

Usadowili się na niewielkim komplecie wypoczynkowym ustawionym w rogu gabinetu. Dwie twarde, proste kanapy i dwa fotele stały wokół niskiej ławy.

Jego filiżankę postawiła na blacie.

— Dzięki. Dobrze zrobić sobie małą przerwę. Mamy w tej chwili urwanie głowy. Zostałaś poinformowana o tej sprawie

z miliardami? — spytał.

— Tak sądzę. Chłonę każde słowo na ten temat.

— Mam coś nowego. Myślę, że powinnaś się dowiedzieć, zanim to upublicznimy.

Minister uniosła wydepilowane brwi — idealnie symetryczne i chyba trochę przyciemnione.

— Jeszcze więcej?

Pokiwał głową.

— Znacznie więcej... Sprawa wyjdzie jutro. I wygląda na to, że szwindel kosztował o dwa koma dziewięć miliardów koron więcej, niż urząd skarbowy początkowo zakładał.

Minister zrobiła wielkie oczy.

— Dwa koma dziewięć?! Poza sześcioma koma dwa. Dobry Boże. Dziewięć koma jeden miliardów koron przepadło w taki głupi sposób. Bo komuś nie chciało się dopilnować swojej roboty.

— To ogromna kwota. A może się okazać jeszcze większa, w miarę jak będziemy kopać dalej.

Helene Kiss Hassing milczała i tylko kręciła głową z niedowierzaniem.

— Nie zdziwię się, jeśli ludzie pomyślą, że w tym kraju nikt nie ma nad niczym żadnej kontroli — powiedziała w końcu. — I jak wam idzie sprzątanie po tej katastrofie?

— Chyba nieźle. Uruchomiliśmy wszystkie zasoby. To oczywiście dopiero faza wstępna, w której skupiamy się na śledztwie i ustalaniu zakresu szkód. Ale wygląda to obiecująco. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak się spodziewam, w ciągu tygodnia będę mógł wystąpić o zamknięcie kilku kont w Londynie. Potem przyjdzie kolej na następne — a jest ich sporo. Liczby, którymi dysponujemy na tym etapie, mówią, że zagraniczne spółki występowały o zwrot podatku ponad dwa tysiące razy.

— Dla mnie brzmi to, jakby syreny wyły im prosto do ucha, a oni kompletnie nic nie słyszeli — prychnęła minister.

— Tak, to trafna metafora... Czekają nas oczywiście ciężka przeprawa. Już teraz wiemy, że chodzi o spółki zarejestrowane w miejscach tak egzotycznych jak Belgrad, Sofia czy Bukareszt. Ale również Sztokholm, Reykjavik czy Berlin.

— Wygląda na to, że zasięg jest ogromny. Są już jakieś ramy czasowe?

— Na ten temat wolałbym na razie nie spekulować. Próbuje ruszyć z miejsca możliwie jak najszybciej, zanim firmy i ich pieniądze nie rozpląną się w powietrzu.

Minister wzięła łyk kawy i uśmiechnęła się z uznaniem.

— Dobra robota. Fakt, trzeba przyznać, że macie pełne ręce roboty.

Pokiwał głową i również się uśmiechnął.

— Jest jeszcze jedna sprawa... — zaczął. — Widzisz, Helene, nie miałem wprawdzie czasu przyjrzeć się bliżej temu Danehofowi... To tylko taka myśl, coś, co mi przyszło do głowy. Skoro Axel Mossman jest takim znawcą tej legendy — czy spisku... Dlaczego nie włączyć go do naszych prac w charakterze zewnętrznego doradcy? Niech nam o wszystkim opowie. Niech spróbuje uzasadnić swoje tezy. O ile oczywiście wciąż ufamy zdolnościom mentalnym tego człowieka?

Helene wyraźnie zastanawiała się nad jego propozycją i kiwała głową z kubkiem na kolanach. Widać było, że próbuje w myślach sformułować swoje zdanie i szuka odpowiednich słów.

— Hm... Mossman, powiadasz?

— To tylko taka myśl...

— Per, pozwól, że coś ci opowiem. Otóż w dzieciństwie miałam akwarium pełne kolorowych gupików. Któregoś dnia znudziło mi się, że wszystkie rybki w akwarium wyglądają tak samo, więc wzięłam kieszonkowe i poszłam do zoologicznego. Sprzedawał tam młody chłopak. Doradził mi fantastyczną, długą rybkę z taką niebieskawą, perlistą smugą wzdłuż boku. Była przepiękna. Potem dowiedziałam się, że to był miniaturowy szczupak... Minęło

trochę czasu, nim się zorientowałam, że gupików jest mniej. Aż któregoś ranka zobaczyłam, jak z pyska tej pięknej, długiej ryby wystaje czerwony ogon. Byłabym bardzo ostrożna z pomysłem otrzeptania Axela Mossmana z pajęczyn i dopuszczenia go do ciepła ogniska. Ustalmy, że oboje na spokojnie to sobie przemyślimy.

Rozdział 78.

Przez całą drogę z Tuborg Havn do Kokkedal każdy z nich regularnie zerkał w lusterko wsteczne. Jeśli John Smith wciąż gdzieś się tu kręcił — a można się było spodziewać, że tak właśnie jest — powinni zachować najwyższą czujność.

L.T. Fritsen siedział za kierownicą dostawczaka jadącego w górę Lange-Müllers Allé. Wierny druh odnalazł stary szyld „A.K. Dreyer — instalacje elektryczne” i ten ponownie zawisł na bokach samochodu. Za moment podjadą pod adres Mossmana.

Były szef wywiadu od wielu lat mieszkał w dużym, prostym domu jednorodzinnym wraz z żoną, która była lekarką. Jechali do niego, by mu dostarczyć to, co właśnie zdjęli z dachu i co Oxen przez całą drogę trzymał na kolanach, bo pokładał w tym ogromną nadzieję — twardy dysk instalacji podsłuchowej.

Od ich ostatniego wieczornego zebrania minęły trzy dni. Spotkanie zakończyło się e-mailem Sixtena Kopparstierny do siostry, Barbro — ta wiadomość z dyskretnym pikaniem pojawiła się w telefonie Margrethe Franck. „Spokojnie, siostrzyczko. Nie powiedziałem ani słowa o Danehofie”.

— Słuchaj, siedzieliśmy ostatnio z moją i tak sobie rozmawialiśmy... że kiedy będziesz już miał to całe gównno za sobą i nie będziesz musiał stale oglądać się przez ramię, to bardzo byśmy chcieli zaprosić cię do nas na kolację. Na przykład pieczeń z sosem pietruszkowym. Miałbyś ochotę? — Fritsen skrzył i jadąc wolno w górę willową ulicą, spojrzał na niego.

— To jedno z moich ulubionych dań. Fritsen, że też pamiętasz takie rzeczy. Powiedz żonce, że bardzo chętnie.

Całe zamieszanie — aresztowanie, uwolnienie, a na koniec tamten e-mail — wszystkich ich zelektryzowało i po części wprawilo w osłupienie, Mossmana również. To było jak bieg przez

płatki. Przywykli już do przeszkód, ale teraz czuli się, jakby zawisli w powietrzu w połowie skoku. Ruch zamarł. I pozostawali w zawieszeniu. Żadne z nich nie spadło na ziemię. Żadne nie przeskoczyło płatka. Zostali uchwyceni w ruchu i film się zatrzymał.

Nie mieli pojęcia, w którą stronę iść dalej. Działania i motywy wskazywały na sprzeczne kierunki. Tamtego wieczoru od razu usiedli, by omówić e-mail Sixtena, mimo że padali na twarz ze zmęczenia.

Sformułowanie, jakim się posłużył, *nie* dowodziło, że Sixten Kopparstierna był liderem Wschodu. Ale również tego *nie* wykluczało. Dowodziło natomiast bez wątpienia, że Sixten Kopparstierna, potężna postać duńskiej gospodarki, był kłamcą.

Przez ostatnie trzy dni trochę kręcili się w kółko. Ponowne zbliżenie się do Kopparstiernów — czy to do brata, czy do siostry — nie wchodziło w grę. Ich podsłuch przepadł. Nie mogli znaleźć nowego punktu zaczepienia, więc zaczęli szukać gdzie indziej. Udało im się potwierdzić, że ostatnie cztery dni Villum Grund-Löwenberg spędził w kopenhaskiej siedzibie koncernu, a tym samym w swoim mieszkaniu w Tuborg Havn.

Jeśli wywołali poruszenie na wewnętrznych łączach, a Sixten w istocie był liderem Danehofu Øst, to niewykluczone, że dowody na to odnajdą na dysku. Dlatego pojechali po niego z Fritsenem. Cała operacja zajęła kilka minut. Byli elektrykami — a kto by nie wpuścił do budynku elektryka?

Teraz pozostawało mieć nadzieję, że dysk, który trzymał na kolanach, zawierał jakiś przełom.

Fritsen zaczął cofać wzdłuż żywopłotu obok garażu Mossmana. On sam obserwował drogę za nimi. Nic podejrzanego. Nikt nie siedział w żadnym z nielicznych zaparkowanych przy chodniku samochodów. Dziwne — spodziewali się, że angielski najemnik spróbuje ich śledzić. Podobnie jak Mossman umieścił całodobowy monitoring pod domem Lundbyego w Rødovre.

Wybrał numer na komórce. Ustalili, że zarówno osoba dzwoniąca, jak i odbierająca będzie rozpoczynać każdą rozmowę

od hasła na znak, że nie rozmawia pod presją. Hasło było pomysłem Margrethe.

Mossman ograniczył się do zwykłego „halo”.

— Hasło: *frozen flames*.

— Potwierdzam, hasło *frozen flames* — mruknął Mossman od niechcienia.

— Jesteśmy na twoim podjeździe.

— Tak, widzę.

— Mam to. Idę do tylnych drzwi.

Wysiadł z samochodu i chwilę później Mossman otworzył przed nim drzwi na tyłach domu.

— Naprawdę mam nadzieję, że znajdziemy tu coś interesującego. — Podał Mossmanowi małe czarne pudełko z odbiornikiem i twardy dysk.

— Od razu siądę i wszystko przesłucham. Na wieczornym spotkaniu dostaniecie pełny wydruk — powiedział Mossman.

Tymczasem właśnie to było jedynym realnym punktem ich planu działania — wieczorna narada w piwnicy. Margrethe spędziła w jego pokoju tylko jedną noc. Potem musiała wracać do Netto. Resztę czasu miała spędzić na prześwietlaniu sześciu osób, z którymi Sigrid spotkała się przed swoją śmiercią.

— Fritsen wyrzuci mnie niedaleko mojego pokoju. Zostanę tam aż do wieczora. Do zobaczenia.

Wrócił do samochodu i usiadł obok swojego przyjaciela.

— Jedźmy, Fritsen. To koniec naszej przygody z elektryką.

— Pomyśleć, że tak mieszka Axel Mossman — powiedział Fritsen i zamyślił się na moment. — Spodziewałbym się, że jego dom będzie bardziej... luksusowy. Jakiś dworek czy coś w tym stylu.

Wzruszył tylko ramionami. Sam za pierwszym razem odniósł chyba podobne wrażenie. Najwyraźniej Axel Mossman wolał gromadzić dobra niematerialne niż ziemskie.

— Rozmawialiśmy jeszcze o czymś, razem z moją — zaczął Fritsen, kiedy znów wjechali na drogę.

— Tak?

— W sensie... jeśli, a raczej kiedy, odzyskasz już swoje życie i wszystko zacznie ci się lepiej układać, no, wiesz... z Magnusem... to chcielibyśmy trochę częściej cię widywać — albo was, o ile oczywiście będziesz miał ochotę. Chcielibyśmy, żebyś do nas wpadał, Niels. Zjadł czasem z nami kolację. Żebyśmy mogli pograć w piłkę z młodym. Moja żona ma taki rodzinny letni dom w Djursland. Jeździmy tam co roku latem i jesienią albo latem i zimą. Zawsze będziecie tam mile widziani. Możecie też sami tam sobie pojechać. W sensie... no, wiesz, po prostu chcielibyśmy, żebyś wiedział, że możesz na nas liczyć, okej?

Niels uśmiechnął się i poklepał Fritsena po plecach.

— Dzięki, bracie. Ale teraz patrz w lusterko, okej?

Była dwudziesta druga, gdy ponownie zjawiał się pod domem Mossmana. Jak zwykle przyszedł przez ogród, upewniwszy się, czy wokół dużego domu panuje absolutna cisza i spokój.

Teraz siedział w piwnicy z filiżanką kawy. Słyszał, jak Mossman schodzi, prowadząc Margrethe.

Przywitali się, usiedli na swoich stałych miejscach i przygotowali się do narady. Powoli w centrum dowodzenia Mossmana wykuwały się utarte rytuały.

— Jak być może pamiętacie, mojego siostrzeńca nie będzie, musiał zostać z dziewczynkami — zaczął Mossman.

Nie potrafił się skupić na tym, co mówił Mossman. Widział tylko plik kartek spiętych spinaczem, które Mossman trzymał w ręce, kiedy mówił.

— Tu jest zapis podsłuchu z mieszkania Grund-Löwenberga w Tuborg Havn — powiedział Mossman. Wręczył każdemu z nich po egzemplarzu i ciągnął dalej z grobową miną: — Za moment

sami się przekonacie. Mówiąc wprost, moim zdaniem nie ma tam niestety nic wartościowego. Jest sporo... kopulacji z towarzyszącymi jej... odgłosami... trochę rozmów o jego i jej pracy. Omawiają oczywiście Danehof i przyszłość zarówno organizacji, jak i think tanku. Ale Danehof Øst nie jest wymieniany z nazwiska. Wiemy za to na pewno, że to mężczyzna, jeśli dotąd można było mieć wątpliwości. Wielokrotnie bowiem mówią „on”. Zresztą przeczytajcie sami.

Spojrzeni po sobie. Franck miała głębokie zmarszczki na czole. Była blada jak zawsze, ale głębokie cienie pod oczami nie były już granatowe jak ostatnio.

On sam zaklął w duchu. Tracili koncentrację.

Pozwolił im w spokoju doczytać do końca i ukradkiem im się przyglądał. Szybko omiatali tekst wzrokiem i przewijali kartki w mniej więcej równym tempie. Choć Margrethe Franck odrobinę szybciej niż Oxen.

Zapis zajął szesnaście ciasno zapisanych kartek A4. Spora część była autentyczna. Niektóre fragmenty wymyślił, ale starając się, aby brzmiały naturalnie i pasowały do tonu rozmów pomiędzy Villumem a Karin Kajsą Corfitzen.

Nie, nie czuł się jak zdrajca, kiedy siedząc przy swoim biurku, fałszował zapis podsłuchu, by wymazać z niego wszelkie wzmianki o zamachu, który być może zostanie przeprowadzony na jeziorze. Jego rolą było — teraz i zawsze — sortowanie wiedzy.

Nie uzyskał żadnych dalszych informacji o tym, gdzie albo kiedy Corfitzen i Grund-Löwenberg zamierzali zlikwidować swojego lidera. Planowanie przełożyli na inny termin. Wciąż jednak mógł zachować dla siebie swoją cenną wiedzę.

— Cholera, same bzdury! To nic niewarte! — Margrethe zdenerwowała się i odłożyła kartki. Chwilę potem Niels podniósł wzrok znad swojego egzemplarza. Jego spojrzenie było odległe. Wyglądało to, jakby patrzył w jakiś punkt na przeciwległej ścianie. Umysł zaprawionego w walce weterana pracował teraz

zapewne na najwyższych obrotach. Nauczono go, że zastój jest niepożądany, gdy zadanie polegało na przeniknięciu wrogich struktur i przedzieraniu się przez nie. Osobiście wiele by dał, aby w tym momencie dostać zapis myśli Franck i Oxena, gdy oboje próbują...

Zadzwoił jego telefon. Położył go na parapecie, więc musiał wstać i porządnie się wyciągnąć, aby go dosięgnąć. Odwykł już od odbierania telefonów o tak późnej porze. Numer wydał mu się znajomy.

— Mossman.

— Dobry wieczór, panie Mossman. Mówi Sixten Kopparstierna. Przepraszam, że przeszkadzam.

— Yyy... nic nie szkodzi.

— Zastanawiałem się, czy aby już się pan nie położył.

— Nie, nie.

— Tak czy inaczej, proszę mi wybaczyć późną porę, ale widzi pan... razem z siostrą chcielibyśmy poprosić o spotkanie.

— Ach tak... Oczywiście...

— I jeśli uzna pan to za zasadne, może pan zabrać swoich... współpracowników. Jeśli odpowiada panu taki termin, chciałbym zaproponować jutro rano, o dziesiątej, w siedzibie fundacji przy Havnesgade. Barbro i ja chcielibyśmy porozmawiać z panem o Danehofie.

Rozdział 79.

Raz już witał się z królową — dawno temu, wtedy, gdy podczas ceremonii w Kastellet wręczyła mu Krzyż Waleczności. Ale tej królowej nie miał jeszcze okazji uścisnąć dłoni.

— Witam, panie Oxen. Mówiono mi, że jest pan wyjątkową osobą, i nie mogłam się doczekać, aż pana poznam. Proszę za mną. — Barbro Kopperstierna osobiście powitała go pod windą, gdy jako ostatni gość zjawił się na porannym spotkaniu, i zaprowadziła do sali zebrań w siedzibie fundacji.

Miała na sobie prostą czarną sukienkę i czarny żakiet. Do tego perłowy naszyjnik i po jednej perle w każdym uchu. Głową wskazała puste krzesło przy owalnym stole.

— Proszę, niech pan siada.

Usiadł obok Margrethe. Naprzeciwko nich siedział Mossman w garniturze. Barbro Kopperstierna usiadła na końcu stołu z Sixtenem po swojej prawicy.

— Zatem jesteśmy w komplecie. Razem z Sixtenem chcielibyśmy państwu podziękować za przybycie w tak krótkim czasie. Jesteśmy wam oczywiście winni wyjaśnienie. Ma ono bliski związek z wydarzeniami z ostatnich dni, jeśli można to tak ująć.

Młoda pracownica fundacji przyniosła tacę z filiżankami i dwoma termosami i bezdźwięcznie się wycofała.

— Proszę, w białym jest herbata, a w czarnym kawa — zachęciła Barbro. Zaczekała, aż wszyscy napełnią sobie filiżanki, po czym ciągnęła dalej: — Musimy się cofnąć do ostatnich lat życia mojego męża. Jak państwo być może wiedzą, nazywał się Knud Klint Kopperstierna i założył koncern, którym dziś zarządza Kopperstierna Fonden. Mąż zmarł młodo. Miał tylko pięćdziesiąt dwa lata. Umarł na zawał. Był w tamtym czasie wyjątkowo zapracowany. Budował coś wielkiego. Miał niespożyta energię

i rzadko komukolwiek odmawiał. A wszyscy czegoś od niego chcieli. Najkrócej można by chyba opisać mojego męża jako zapaleńca, zdolnego przedsiębiorcę i przede wszystkim wielkiego humanistę. Knud tak naprawdę najbardziej pragnął nieść ludziom ulgę w cierpieniu... chciał, aby preparaty wytwarzane przez jego firmę poprawiały jakość życia ludzi.

Barbro Kopperstierna przytknęła filizankę do ust, spokojnym gestem odstawiła ją z powrotem i ciągnęła dalej łagodnym głosem:

— Mąż obracał się w rozmaitych kręgach, w większości oczywiście związanych z jego działalnością zawodową. Raz opowiedział mi o pewnej szczególnej grupie ludzi tworzących rodzaj siatki kontaktów i działających na rzecz szeroko pojętego dobra Duńczyków i duńskiej racji stanu. Mąż odniósł jasne wrażenie, że ludzie ci nie zawsze sięgali po środki mieszczące się w granicach prawa. Zresztą sama organizacja oficjalnie nie istniała. Działała w podziemiu, a jej członków obowiązywała przysięga milczenia. Może bardziej adekwatnie byłoby nazwać tych ludzi sferą wpływów. Sfera ta nazywała się Danehof. Knudowi to się nie podobało. Tego typu ciemne układy były niezgodne z jego przekonaniami. Wielokrotnie rozmawialiśmy o tej sprawie. Któregoś dnia stwierdził, że powinien się do nich przyłączyć — po to, by zdemaskować tę naruszającą zasady demokracji klikę. Potem jednak codzienność przyniosła nowe wyzwania i nowe problemy i Danehof został odsunięty na dalszy plan, aż w końcu o tym zapomnieliśmy.

Sixten Kopperstierna dał jej dyskretnie znak palcem.

— Słucham, Sixten.

— Chciałem jedynie coś dopowiedzieć... Jeśli zastanawiacie się, jak Knud mógł tak po prostu zapomnieć o Danehofie i skupić się na czymś innym, to odpowiedź jest bardzo prosta: Kopperstjerne Pharma International stanęło w owym czasie wobec wielkiego przełomu, wypuściło na rynek jednocześnie aż dwa preparaty z kategorii najbardziej dochodowych leków świata, które dziś nazywamy *blockbusterami*. Dlatego to nie takie dziwne, że uwaga

mojego szwagra skierowała się w inną stronę.

Barbro znów podjęła wątek:

— Dziękuję... To prawda, jak wspomniałam, to był bardzo pracowity okres. I zaowocował największym sukcesem, jaki udało się osiągnąć mojemu mężowi. Był tak zapracowany, że nie prowadził w tamtym okresie żadnych notatek czy zapisków. Dlatego niczego nie mogę państwu pokazać. Żadnej kartki z dziennika czy chociażby paru słów zapisanych na pomiętej serwetce. Niczego, co mogłoby potwierdzić podejrzenie, które noszę w sobie od wielu lat.

Barbro zamilkła i w pokoju zapanowała grobowa cisza.

Następnie ponownie uniosła filiżankę, ruchem spokojnym i opanowanym. Jednocześnie zdawała się na krótką chwilę zatrzymywać wzrok na każdej z siedzących wokół stołu osób.

Oni z kolei wszyscy troje w skupieniu patrzyli na stateczną, srebrnowłosą kobietę na końcu stołu. Axel Mossman wyglądał, jakby każdy mięsień pod jego luźną skórą był napięty jak sprężyna.

Barbro Kopparstierna odchrząknęła i mówiła dalej:

— W tym roku mija dwadzieścia jeden lat od śmierci mojego męża. Byliśmy w Teatrze Królewskim w Kopenhadze na operze Wagnera *Tannhäuser*. Właśnie wróciliśmy po pierwszym antrakcie, gdy Knud źle się poczuł. Jakieś dwadzieścia minut później został znaleziony martwy w toalecie. W tamtym pierwszym, chaotycznym okresie nie miałam żadnych podejrzeń. Przeprowadzono sekcję zwłok, ponieważ był tym, kim był. A także dlatego, że nigdy wcześniej nie chorował. Nie znaleziono nic, co wymagałoby dalszego wyjaśniania. „Migotanie komór serca i pierwotne zatrzymanie krążenia”, jak stwierdzono w raporcie. Czyli zaburzenie rytmu serca bez żadnej przyczyny. Sporo mężczyzn w sile wieku umiera w ten sposób. Z czasem jednak się pojawiła — po cichu, niepostrzeżenie zakradła się niedająca mi spokoju wątpliwość. Czy ktoś mógł zabić mojego męża? Ponieważ mu się naraził? Bo odniósł zbyt duży sukces? Był przecież silnym, zdrowym mężczyzną.

Franck ostrożnie poruszyła się na swoim krześle. Mossman patrzył spod lekko uniesionych krzaczastych brwi. A on sam poczuł, jak ogarnia go dziwne uczucie ulgi... Wszystko wychodzi na wierzch. Ciemność przechodzi w światło.

W ich śledztwie pojawia się nowy trop i będą mogli ponownie podjąć swoją walkę.

Głos Barbro Kopparstierny docierał wprost do jego serca.

— Szalałam z rozpaczy. Balansowałam na krawędzi. Tak właśnie pamiętam tamten czas. Jednego dnia zwijałam się na podłodze. Następnego działałam z maniacką determinacją. Przetrzałam wszystkie papiery Knuda. Wcześniej mówiłam, że niczego nie zapisywał, ale miał organizer, do którego wpisywał spotkania. Pod datą, kiedy wydawało mi się, że miał umówione zwykłe wieczorne spotkanie łoży, małymi literami widniało „Danehof”. Te siedem liter to jedyne, co kiedykolwiek znalazłam. Lecz od tamtej pory moje podejrzania coraz bardziej się umacniały. Niepokój rósł we mnie, aż mnie pokonał i poważnie się rozchorowałam. Przez dłuższy czas tkwiłam w apatii. Musicie zrozumieć... poza hasłem w kalendarzu cała reszta to były rzeczy, o których kiedyś pobieżnie rozmawialiśmy. Wypowiedziane słowa porywa wiatr. W końcu w którymś momencie codzienność na nowo wciągnęła mnie w swoje tryby. Wszystko uległo zmianie. Nie było Knuda. Trzeba było podjąć ważne decyzje. Był najwyższy czas wrócić do normalnego trybu. Pokonać chorobę. Byłam to winna koncernowi i wszystkim zdolnym ludziom, którzy dla nas pracowali. I po prawdzie od śmierci męża każdy kolejny rok przynosił nowe sukcesy i dalszy rozwój. Dziś... cóż, pewnie państwo znają kondycję koncernu. Sixten, może dalej ty poprowadzisz naszych gości? — Barbro skinęła na swojego brata z ledwie dostrzegalnym uśmiechem i odchyliła się lekko na krześle.

Jej brat przejął pałeczkę. Był równie spokojny. Ręce trzymał na stole, dłonie miał splecione.

— Powinienem chyba wyjaśnić, że łączy mnie z siostrą bardzo bliska relacja. Dlatego z wszystkiego, co ją dręczyło, zwierzała się

mnie. Również w tamtym pierwszym, najcięższym okresie po śmierci mojego szwagra. Chciałbym, aby państwo zrozumieli... nie mogliśmy — *nikt* nie może — ustalić matematycznego wzoru dla podejrzenia. Jak wielkie powinno być, aby zaistniało? Jaka powinna być jego waga? Jestem prawnikiem. Musiałem więc choć spróbować przyłożyć do podejrzeń siostry obiektywną miarę i stwierdzić: niczego nie mamy. Niczego konkretnego. Jedyne cień niedającego spokoju podejrzenia. Życie zaś musiało i powinno toczyć się dalej. Musieliśmy się skupić na firmie. Jak wspomniała moja siostra: sami państwo wiedzą, w jakim miejscu znajduje się obecnie Kobberstjerne Pharma International. Zatem życie rzeczywiście *potoczyło się* dalej... do tamtego dnia, w którym Sigrid Ryttinger Bulbejrg poprosiła nas o rozmowę i zjawiła się w tym budynku. Po jej wizycie oboje z Barbro byliśmy w szoku. Pani Ryttinger opowiedziała nam o tym, jak jej ojciec napisał na podłodze własną krwią „Danehof”, zanim skonał. Opowiedziała nam też, że w dokumentach, które po sobie zostawił, znalazła coś, co mogło sugerować, jakoby otrzymał za zadanie zwerbować Knuda Klinta Kopperstierny do kręgu specjalnie wybranych osób. W dodatku jako jego lidera. W dniu, w którym pani Ryttinger przekroczyła próg fundacji, Danehof wrócił do naszego życia jako echo wybrzmiałego, jak sądziliśmy, krzyku. Poczuliśmy się jak ta postać z obrazu Edvarda Muncha. Resztę historii już państwo znają. Chcielibyśmy z siostrą, abyście potraktowali naszą prośbę o dzisiejsze spotkanie jako wyciągnięcie ręki...

Sixten Kopperstierna spojrział na nich znad oprawek okularów. Wyglądał, jakby ani trochę nie krępowała go cisza, która zapadła przy owalnym stole. Jego siostry również nie.

Mossman za to był bardzo daleki od spokoju. To, co tu się właśnie wydarzyło, stanowiło treść życia Axela Mossmana. Pokarm, który należało przemleć, żeby potem uformować z niego plan działania, jakiego żadne z nich nie potrafi przewidzieć.

Oxen zastanawiał się, czy ktoś jeszcze to widzi. Może przynajmniej Margrethe, która dawniej tak blisko z nim współpracowała, widzi to samo co on — ten ogień w oczach

Mossmana? Strzelające pole elektryczne wokół jego głowy z błyskami wyładowań.

Po raz pierwszy, odkąd opuścił Tessę i Klöverön, poczuł, że może im się udać.

Wczoraj stali naprzeciw Kopparstierny, największej potęgi w kraju. A dziś byli jego przyjaciółmi. Takiego sojusznika Axel Mossman z pewnością będzie umiał wykorzystać do czegoś wielkiego.

Sixten Kopparstierna przerwał milczenie, rozłożył ręce i powiedział zachęcająco:

— Proszę, pytajcie. Domyślam się, że omówienie sytuacji musimy zostawić sobie na później. My jesteśmy do dyspozycji. Słucham, panie Mossman. — Kopparstierna zareagował na sygnał Mossmana, że chce zabrać głos.

— Dlaczego dopiero teraz? Dlaczego nie tamtej nocy na pańskim zamku? To by znacznie ułatwiło sprawę — wszystkim stronom.

— Wtedy nie byliśmy jeszcze z siostrą na to gotowi. Podjęcie tej konfrontacji będzie procesem żmudnym i wyczerpującym. Dla nas będzie oznaczało ponadto konieczność ponownego zmierzenia się z czymś, co z wielkim trudem udało nam się zostawić za sobą. Dlatego musieliśmy to dokładnie przedyskutować.

— A po wizycie Sigrid Ryttinger nic nie zrobiliście? — odezwała się Margrethe.

Sixten pokiwał głową i odparł prosto i szczerze:

— Nie. Nie zrobiliśmy nic. Byliśmy wstrząśnięci. Lecz oboje z siostrą podchodzimy do otaczającego nas świata z najwyższą ostrożnością, nauczeni życiowym doświadczeniem. Czy mieliśmy ślepo zaufać pani Ryttinger? Nie, w pierwszej chwili nie byliśmy w stanie tego zrobić. Poza tym absolutnie nie byliśmy gotowi dzielić się z kimkolwiek faktem, że mój szwagier utrzymywał kontakty z Danehofem. Chociaż z drugiej strony, panno Franck, coś jednak próbowaliśmy zrobić. Po jakimś czasie włożyliśmy wiele starań, by nawiązać kontakt z panią Ryttinger, lecz wówczas dowiedzieliśmy, że nie żyje. Że zginęła wraz z mężem

w wypadku samochodowym. To oznaczało koniec tej rundy. Nie mogliśmy się posunąć ani o krok. Ale pańska wizyta tu, u nas, panie Mossman, i całe zamieszanie z pańskimi pracownikami na zamku — wszystko to stało się dla nas powodem, by podjąć dyskusję na nowo, prawda, Barbro?

— Minęło tyle lat. Nie jestem już młoda. Muszę oddać pełną sprawiedliwość mojemu mężowi. Jestem mu to winna. Chcę, aby jego śmierć została wyjaśniona. I jeśli są jacyś winni, chcę, by zostali ukarani. Jeśli ów Danehof istnieje, to mój mąż chciałby, by organizacja tak jawnie niedemokratyczna została unicestwiona. To moje ostateczne stanowisko. — Barbro Kopperstierna wypowiadała te słowa miękko, ale stanowczo. Chciała uprzętnąć kawałek świata wokół siebie przed własnym odejściem.

Jej brat podjął wątek:

— Podobnie jak państwu, nam również brakuje punktu zaczepienia w tym... projekcie. Musieliśmy też oczywiście dokładnie to wszystko przemyśleć. A przede wszystkim znaleźć odpowiedniego sojusznika. Znamy pańską długą karierę, panie Mossman, i uważamy, że znaleźliśmy odpowiednią osobę. Sprawdziliśmy również Christiana Sonnego, panią, panno Franck, i oczywiście pana, panie Oxen. Oboje jesteśmy pod ogromnym wrażeniem — i mamy dobre przeczucia, mając tak zdolnych partnerów. O ile oczywiście zgodzą się państwo na współpracę.

Szwed spojrział kolejno na każde z nich.

— Sytuacja przybrała nieoczekiwany dla nas obrót... Czy jest tu jakieś miejsce, w którym moglibyśmy zamienić kilka słów tylko we troje, zanim damy panu odpowiedź? — spytał Mossman.

Barbro pokiwała głową.

— Zostańcie tutaj. My z Sixtenem wyjdziemy. Za pierwszą zasłoną jest dzwonek. Wciśnijcie go, gdy będziecie gotowi.

W sali było teraz równie cicho jak wtedy, gdy Barbro Kopperstierna przerywała swoją opowieść. Rodzeństwo przed chwilą zniknęło za drzwiami, pozwalając ich wąskiemu jury

w spokoju zagłosować.

Rozejrzał się. Długie lata w służbie wywiadowczej kazały mu instynktownie szukać podsłuchów. Musiał się pogodzić, że pluskwy mogły być wszędzie. Pod jakąś nakrętką, w klimatyzacji, na żyrandolu... dosłownie wszędzie. A Barbro i Sixten mogli siedzieć gdzieś w tym budynku i słuchać, jak się naradzają.

Oxen o niczym nie wiedział. Franck o niczym nie wiedziała. Z ich trójki tylko on wiedział, że fakt, że Sixten Kopparstierna posiada wyspę, może mieć kluczowe znaczenie. Z naciskiem na *może*. Bo w Danii wysp jest bez liku. W całej Skandynawii jeszcze więcej. A na świecie jest ich nieskończenie wiele. Dlatego nie powinien być zbyt pewny swego. Temu, kto wyklucza jakikolwiek możliwy scenariusz, rzadko udaje się zbudować mocną sprawę...

Wiedział, że ma bryłkę złota, ale w tej chwili nie wiedział, ile jest warta. Ani komu może ją sprzedać.

Franck i Oxen patrzyli na niego. Pewnie dlatego, że kiedyś był szefem. I może też dlatego, że chyba nadal nieoficjalnie kierował ich niewielkim zespołem, bo którejś ciemnej nocy zaprosił ich do bram piekła. Dlatego teraz przerwał milczenie:

— *Well*, musimy znaleźć wspólne stanowisko. Czy ten sojusz to dar niebios, czy samego Belzebuba? Czy tak właśnie należałoby rozumieć e-mail, który wykradliśmy z komputera Sixtena? Że oboje z siostrą odebrali ciężką lekcję od Danehofu i dlatego poprzysięgli milczeć na ten temat? Ikona biznesu, Knud Klint Kopparstierna, ofiarą Danehofu... A może *potencjalną* ofiarą. Przyznam, że nie dostrzegłem żadnej, najmniejszej choćby zapowiedzi, że sprawy mogą się potoczyć tym torem. Lecz jeśli to prawda, mamy najpotężniejszego partnera, jakiego moglibyśmy sobie wymarzyć. A jeśli kłamią, to ich propozycję musimy chyba interpretować jako kontynuację szerszej strategii, której początkiem było uwolnienie was z zamku. W mojej branży powszechnie uznaje się, że niezrównanie łatwiej jest kontrolować wroga, jeśli trzyma się go blisko siebie. Rodzeństwo Kopparstiernów może więc wykorzystać rzekomy sojusz, by zerkać nam przez ramię i sprawdzać, ile udało nam się

dowiedzieć. O ile jednak będziemy mieli na uwadze taką ewentualność, to moim zdaniem nic nie tracimy, przystając na ich propozycję. Nie musimy się z nimi dzielić wszystkim, co mamy. Margrethe, co ty na to?

Wysłuchiwała w skupieniu jego krótkiego podsumowania sytuacji. Tak właśnie było w dawnych czasach, w szczytowym okresie ich współpracy, przed sprawą wieszanych psów.

Wtedy Axel Mossman robił dokładnie to samo — pytał ją o zdanie. Potem sam zburzył panującą między nimi harmonię i zaufanie, kierując się własnymi, ukrytymi motywami i odsuwając ją od siebie.

Teraz oboje stali się *wyrzutkami* i siedzieli po przeciwnych stronach stołu w wytwornych wnętrzach okazałej siedziby Kopperstierna Fonden, i mieli wspólnie zdecydować, czy chcą podjąć współpracę z dwójką spośród najbogatszych ludzi w królestwie. Myśl zupełnie abstrakcyjna. Przecież ona za kilka godzin usiądzie na kasie w Netto.

— Wiem, o czym mówisz, i jestem podobnego zdania. Zawsze robię się podejrzliwa, gdy coś wydaje się zbyt dobre, by było prawdziwe. Jeszcze niedawno siedziałam w lochu Sixtena, czekając, aż odstrzelili mi głowę. Teraz siedzę tutaj... a ten sam człowiek wyciąga do mnie rękę. Nie musiał tego robić. Mógł nas zakopać tam, w lesie. Z materiałów, które Sigrid ukryła w Hiszpanii, wiemy również z całą pewnością, że to właśnie miał zrobić stary Ryttinger — włączyć Knuda Klinta Kopperstierne do zarządu swojej firmy. Przeciągnąć go na ich stronę. Muszę więc odsunąć na bok własne wątpliwości. Jestem na tak... a ty, Niels?

Franck na moment położyła mu dłoń na ramieniu. Dotknęła go również, kiedy starała się mu uświadomić, że jest za bardzo nieufny, wtedy, pod zamkiem, gdy tak wściekle nawrzeszczał na Mossmana. Miała zgrabne dłonie — białe i o długich palcach. Teraz na powrót spoczywały na jej kolanach. Obróciła ku niemu głowę i czekała.

Na wprost siedział Mossman i też na niego patrzył. Elektryczne wyładowania wokół jego głowy zniknęły, ale to pewnie oznaczało jedynie, że stary lis był już w trakcie roztrząsania perspektyw, jakie niesie ten nowy sojusz. Mocne i słabe strony, i luki, w których mógłby zrobić wyrwę.

— Jeśli mówią prawdę, to Sixten i Barbro są w takiej samej sytuacji, w jakiej była Sigrid. A potem również jej syn, prawda? Chcą udowodnić, że Danehof istnieje. I chcą doprowadzić do skazania jego członków. A czego chcą ja? Tego samego. A czego chcemy my? Również tego samego. Chcemy się pozbyć tej kliki, aby odzyskać swoje życie. W promieniu trzystu sześćdziesięciu stopni nie znajdziemy w tej wojnie lepszego sojusznika niż tych dwoje. A co, jeśli kłamią? Cóż, wówczas musimy się dowiedzieć, czego chcą naprawdę. A tego najprędzej się dowiemy, jeśli będziemy trzymać się blisko nich. Więc ja jestem na tak. I chyba mogę już wcisnąć ten dzwonek, prawda?

Franck i Mossman pokiwali głowami, więc wstał i za zasłoną znalazł dzwonek.

Nie minęły dwie minuty, gdy otwarły się drzwi i do pokoju weszło rodzeństwo Kopparstiernów. Ponownie zasiedli przy stole. Oboje lekko się uśmiechali, lecz cierpliwie zaczekali, aż przewodniczący jury zabierze głos.

Mossman odchrząknął.

— Doszliśmy do porozumienia — powiedział — i postanowiliśmy przystać na współpracę. Zadanie nie jest łatwe, ale wspólnie możemy działać więcej.

— Znakomicie, dziękuję — powiedziała Barbro.

— Dziękuję... — Sixten pokiwał głową i spojrzał na nich znad okularów.

— Musimy teraz ustalić nasze dalsze kroki — ciągnął dalej Mossman. — Maja państwo jakieś propozycje?

Sixten i Barbro pokręcili głowami.

— Oboje postanowiliśmy całkowicie zdać się na pana i pański

osąd, panie Mossman — odparł Sixten.

— Lecz jeśli będzie cokolwiek, co pana zdaniem powinniśmy albo możemy zrobić, to oczywiście proszę mówić — dodała Barbro.

— Moim zdaniem powinniśmy się trzymać naszej strategii. Sądziliśmy, że to pan jest liderem Danehofu — powiedziała Franck, wskazując głową na Sixtena. — Teraz wiemy, że to nieprawda, dlatego musimy sprawdzić pozostałe osoby, z którymi Sigrid się spotkała, zanim przysła do was.

— Dokładnie — przytaknął Mossman. — Nasz punkt wyjścia pozostaje ten sam — drzwi w głąb tego układu znajdują się w kręgu ludzi, których w ramach swojego prywatnego śledztwa odwiedziła pani Bulbjerg. Chodzi o sześć osób zajmujących wysokie stanowiska w społeczeństwie. Należy te osoby dokładnie prześwietlić i zastawić pułapkę.

Pułapkę?

Właśnie się pogrążył w spekulacjach o zagrożeniu, które wciąż gdzieś tam się czaiło w postaci Johna Smitha, a Mossman już wykonał pierwszy krok. Pułapkę? Czyli słusznie przeczuwał, że dawny szef, olbrzym z PET coś szykował.

— Jak to — pułapkę? — Sixten spojrzał na Mossmana pytająco.

— Musimy wywabić bestię z kryjówki... Powiem wprost: jeśli ktoś uważa, że walczy dla dobra Danii i ponosi ogromne koszty, jakie muszą się wiązać z prowadzeniem tego rodzaju tajnej siatki w służbie narodu, to z pewnością ma na oku źródło wsparcia i partnera cenniejszego od wszystkich pozostałych razem wziętych.

Mossman zamilkł. Teraz miał ich pełną uwagę. Wciąż po mistrzowsku umiał budować napięcie. Kontynuował, nie unosząc nawet brwi:

— Tym źródłem i tym partnerem jesteście wy... Ród Kopparstiernów, Kopparstierna Fonden i Kobberstjerne Pharma International. Nikogo ponad wami. I nikogo obok was.

Sixten kiwał tylko głową w zamyśleniu.

— Czy mogę o coś zapytać? Kiedy po raz ostatni rozmawiała pani z prasą, pani Kopperstierna? — spytał Mossman.

Starsza pani wydawała się zaskoczona pytaniem byłego szefa wywiadu. Mossman zaś już wykonywał krok drugi. Margrethe siedziała obok niego i potakiwała lekko głową. Najwyraźniej załapała, o co w tym wszystkim chodzi, choć on wciąż nie miał pojęcia.

— Z prasą? Myślę, że to mogło być jakieś dziesięć lat temu. Dziennikarze często proszą mnie o wywiad, ale zawsze odmawiam. Musi pan zrozumieć — strzegę swojego życia i najlepiej czuję się z dala od blasku fleszy. Dlaczego pan pyta?

— Bo ową pułapkę wyobrażam sobie jako sygnał — silny i wiarygodny, wysłany w eter, jak najbardziej publicznie. Przynętę musimy oczywiście dokładnie omówić i doszlifować, zanim się rozejdziemy. Ale chodzi mi po głowie jakiś wywiad, w którym jasno przedstawia pani swoje zdanie na temat czasów, w których żyjemy, i obecnych tendencji. Powinna się pani skupić na duńskich wartościach i wyzwaniach, przed którymi stoi nasz kraj. Innymi słowy, chodzi o to, aby pani przygotowała grunt pod późniejszy kontakt z Danehofem. Wywiad z panią dla każdej redakcji będzie prawdziwą bombą, znacznie cenniejszą od wywiadu z królową.

Mossman był w swoim żywiole. Stał przy kotle i knuł intrygę.

— Rozumiem, do czego pan zmierza. Normalnie nie zdecydowałabym się na taki krok, lecz aby okazać dobrą wolę... i pokazać, że sprawa leży nam obojgu z bratem na sercu... tak, możemy to zrobić. — Barbro Kopperstierna skinęła głową z arystokratyczną godnością.

— Zatem które z mediów pani wybiera?

— Na pewno nie wystąpię w telewizji, to wykluczone. Więc chyba pozostaje „Børsen”.

— Doskonale. By nie tracić więcej czasu, przejdźmy do szczegółów.

Przyglądał się uważnie Mossmanowi, który odchylił się na krześle i cicho mruknął z zadowoleniem. Ktoś, kto go znał, dostrzegłby błysk w jego oczach i niewidoczny uśmiech. Właśnie teraz był najgroźniejszy.

Rozdział 80.

Siwe włosy przyczesał grzebieniem, który zawsze leżał w górnej szufladzie biurka. Okulary przetarł jedną z małych nasączonych spirytusem serwetek, które trzymał w tej samej szufladzie.

Chustką otarł z czoła kroplę, a może dwie krople potu. Nie do końca zdając sobie z tego sprawę, dziś w drodze do pracy nagle znacznie przyspieszył kroku. Pewnie dlatego, że się zorientował, że jest kilka minut spóźniony. Normalnym tempem i tak by zdążył, ale przyzwyczajenie kazało mu wejść do budynku dokładnie o czasie.

Nalał sobie herbaty i usiadł w skórzanym fotelu biurowym z wysokim oparciem. Teraz był gotów na pierwszą rundę dzisiejszej prasówki.

Sekretarka jak zawsze na biurku obok komputera w równym stosie ułożyła mu cztery tytuły. Od którego dziś zacząć?

Jego wzrok mimowolnie przykuły różowe strony „Børsen”. Gazeta leżała na dole stosu, ale widać było pierwszą linijkę pierwszego nagłówka na stronie głównej. Mniejszą czcionką napisane było: „Barbro Kopparstierna przerywa dziesięcioletnie milczenie”.

Miał wrażenie, że serce dwukrotnie mocniej mu zabiło, tak jak wtedy, gdy koń niespodziewanie wierzgnie w tył. Wyszarpnął gazetę spod stosu i obejrzał stronę główną.

Elegancki portret Barbro Kopparstierny, oświetlonej tak, by część jej twarzy pozostawała w cieniu. Srebrne włosy były spięte w niski kok. W każdym uchu miała po jednej perle, a na szyi perłowy naszyjnik, kontrastujący z prostą, czarną sukienką.

Dawno jej nie widział. Wciąż była piękną kobietą. Prezentowała się dostojnie i z prostotą, jak ludzki symbol skandynawskiego wzornictwa i architektury. Brakowało jej tylko korony.

Dopiero teraz skupił się na tekście. Poniżej zapisanego małą czcionką wstępu widniał właściwy nagłówek, wydrukowany znacznie większymi literami: *Musimy strzec nordyckich wartości*. W prawym górnym rogu, po skosie czerwonymi literami napisano: „Ekskluzywny wywiad”. Na zdjęciu również umieszczono krótki tekst.

„Najpotężniejsza kobieta w Danii w rozmowie z »Børsen«: Boli mnie, gdy widzę, że zagrożone są nasze nordyckie wartości. Musimy wytrwać i strzec wszystkiego, o co walczyliśmy na przestrzeni dziejów”.

Szybko przekartkował, by znaleźć cały wywiad. Całe sześć stron poświęcono królowej farmacji, tekst okraszono zdjęciami. Były to zdjęcia z zewnątrz i wewnątrz wspaniałego domu wdowy po Kopperstiernie stojącego na skraju cieśniny Sund.

Na początek skakał po artykule, czytając fragmenty w przypadkowej kolejności. Zawsze tak robił. Wieczorem przeczyta całość od początku do końca.

„Nigdy nie widziałam potrzeby, aby wykorzystywać pozycję moją czy fundacji albo firmy jako platformy, z której miałabym się zwracać do kogokolwiek w jakiegokolwiek sprawie. Tym razem robię wyjątek. Głęboko bowiem leży mi na sercu to wszystko, co tu, w Danii, ale i w całej Skandynawii od zawsze stanowiło rdzeń naszej tożsamości. O co walczyliśmy na przestrzeni dziejów. Demokracja. Swoboda wypowiedzi. I równość. W ostatnich latach dostrzegam zagrożenia płynące z rozmaitych miejsc. Zagrożone są nasze wartości. Podobnie jak zagrożone są nasze granice. Musimy oprzeć się naciskom i strzec tego, co osiągnęliśmy jako naród”.

Powędrował wzrokiem kawałek niżej i w skupieniu czytał:

„Jestem Szwedką, lecz czuję się Dunką. Dania jest moim krajem, lecz krajem moich przodków jest Szwecja. W wielu sprawach łączą nas te same ideały, choć obecnie jestem zmuszona odciąć się od kraju mojego urodzenia. Folkhemmet załamał się pod ciężarem źle pojętej politycznej poprawności. Szwecja inaczej niż Dania nie odważyła się sprzeciwić i w sposób otwarty,

pozbawiony uprzedzeń i osądów dyskutować na temat szerokiego strumienia imigrantów i uchodźców, który napiera na nasze granice, i problemów, jakie ze sobą niesie. Jest mi przykro, gdy widzę, jak szwedzka policja kierowana źle pojętą lojalnością wobec demokracji i ze strachu, by nie dawać pożywki skrajnie prawicowym Szwedzkim Demokratom, potrafiła przemilczeć masowe napaści seksualne, których dopuścili się uchodźcy podczas festiwalu muzycznego w Sztokholmie. Dowiedzieliśmy się o nich dopiero po tym, jak w Kolonii dokonano podobnych napadów, na jeszcze większą skalę. To bardzo niepokojące. Czyżbyśmy doszli do tego, że nakładamy na siebie autocenzurę z obawy przed krytyką?”

Oświadczenie było jasne i bardzo nietypowe. Można by wręcz nazwać je kontrowersyjnym. Barbro Kopparstierna była znana jako kobieta, która trzyma się na uboczu i unika jakichkolwiek wystąpień publicznych — w którymkolwiek z mediów. Musiała naprawdę poczuć przemożną potrzebę, aby w gazecie rozprawić się z rzeczywistością, jaką wokół siebie obserwuje.

„My, którzy całe dekady poświęciliśmy na walkę o równouprawnienie płci i równość wszystkich wobec prawa, mamy teraz pójść na kompromis w kwestii absolutnie fundamentalnej: że kobiety i mężczyźni są sobie równi? Nie! Gościom przybywającym do naszych krajów powinniśmy powiedzieć jasno: szanujcie nasze wartości, szanujcie nasze kobiety — albo opuśćcie nasze granice. Wolę widzieć wasze plecy niż wasze twarze, jeśli zasiejecie w moim kraju — czy moich krajach — ziarno pogardy i nietolerancji, a nas zakujecie w kajdany autocenzury”.

Kilkakrotnie spotkał Barbro Kopparstierne prywatnie. Ostatnim razem w operze, przed kilku laty. Przywitali się wówczas ze sobą i nawet chwilę rozmawiali, choć był przekonany, że go nie zapamiętała.

Czego nie można było powiedzieć o nim. Ta kobieta wydała mu się osobą wyjątkową. Wyniosłą i zdystansowaną wobec ziemskich bolączek. I teraz to... Wyszła na mównicę i wygłosiła płomienną pochwałę Danii i krajów nordyckich.

„Pyta pan o swobodę wypowiedzi. Tak, być może tak bardzo do niej przywykliśmy, że bierzemy ją za pewnik. Tymczasem, podróżując po świecie, spotkałam ludzi, którym nie jest ona dana. I oni cenią ją nad wyraz wysoko. Dla nich jest odległym marzeniem, szczytem ambicji. Mam wrażenie, że dziś to prawo bywa niedoceniane. Nie można na nie patrzeć z pragmatycznego punktu widzenia — to jest coś, co się ma lub czego się nie ma. Nie wolno robić z niego karty przetargowej. Nie wolno go stopniować i odmierzać według tego, ile problemów, wrogów czy korzyści ekonomicznych nam przysporzy”.

Barbro Kopparstierna waliła prosto z mostu. Czy to jest wywiad zdolny wstrząsnąć całym narodem? Zdecydowanie tak.

Przejechał wzrokiem po tekście, przewrócił kartkę i omiatał tekst na kolejnej stronie. Zatrzymał się, gdy dostrzegł potrójne „K”. Dziennikarz przywoływał fragmenty historii koncernu i status firmy jako zarządzanej przez fundację. Od samego zarania, gdy Knud Klint Kopparstierna, znany również jako K.K.K., dzięki środkom uzyskanym od rodziny swojej szwedzkiej żony założył spółkę — aż do jego nagłej śmierci tuż po tym, jak firma osiągnęła pierwszy duży przełom i uzyskała zatwierdzenie swoich dwóch flagowych preparatów.

„Mój mąż zasłużył na to, by widzieć, jak rozkwita dzieło jego życia. Niestety, nie było mu to dane. Zamiast tego mnie przypadło w udziale pokierować jego dziedzictwem. W tym sensie struktura zarządzania, którą przyjęliśmy, z fundacją jako głównym akcjonariuszem, jest dobrą i rozsądną formą własności. Dzięki temu możemy dalej funkcjonować zgodnie z duchem Knuda i działać dla dobra duńskiego społeczeństwa. Mój mąż bowiem był nie tylko zdolnym biznesmenem, ale przede wszystkim wielkim humanistą. Pragnął, aby to, co robi, niesło pomoc ludziom. Ten punkt widzenia stanowi podstawę naszych działań również dziś. Podajemy rękę tym, którzy potrzebują pomocy, i pomagamy im podążać we właściwym kierunku”.

Poczytał jeszcze trochę tu i ówdzie, po czym przeszedł na koniec wywiadu, gdzie znalazł ostatnią gorzką diagnozę bogatej wdowy: „Wielokrotnie zjeździłam świat i poznałam wielu cudownych ludzi

o najróżniejszym odcieniu skóry. Te spotkania ogromnie wzbogaciły moje życie. Nie życzę sobie, by mnie nazywać rasistką tylko dlatego, że chcę bronić moich wartości. Lecz jeśli ktoś zechce tak mnie nazwać, to proszę, by pamiętał, że kiedy wytykamy kogoś palcem, zwykle trzema innymi palcami wytykamy siebie”.

Zamknął gazetę i odsunął ją od siebie. Wywiad dawał do myślenia. I to bardzo. To było *orędzie o stanie państwa*.

Odchylił się w fotelu, zamknął oczy i spróbował wyobrazić sobie potencjalne perspektywy. Malowały się niemal nieskończenie wielkie, jeśli ktoś odważyłby się pomyśleć to, co w tej chwili myślał on sam.

Włączył komputer. Był ciekaw, jakim echem oświadczenie Barbro Kopparstierny odbiło się w pozostałych mediach. Kilka minut surfowania po rozmaitych serwisach informacyjnych wystarczyło, by potwierdzić to, co sam już wiedział. Postać tego kalibru i o takiej pozycji nie mogła przerwać dziesięcioletniego milczenia, nie wywołując przy tym trzęsienia ziemi. Wszędzie wyskakiwało jej zdjęcie. Wszędzie cytowano fragmenty wywiadu z „Børsen”. I wszędzie go komentowano. Komentowali zarówno dziennikarze publicyści, jak i czołowe postacie świata biznesu.

A gdyby ktoś jeszcze miał jakiegokolwiek wątpliwości na temat skali tego wstrząsu, to dobrym miernikiem był fakt, że sam premier kraju odniósł się do diagnozy postawionej przez Barbro Kopparstiernę. I w pełni się z nią zgodził.

Obrócił się trochę na fotelu i włączył wiszący na ścianie telewizor. Dwójka prezenterów TV2 News omawiała odsuniętą właśnie w czasie reformę podatków. Po chwili na ekranie za ich plecami pojawiło się duże zdjęcie Barbro Kopparstierny.

— Wracamy teraz do głównego tematu dnia. Barbro Kopparstierna, niekoronowana królowa Danii, po dziesięciu latach przerwała milczenie, by udzielić narodowi reprimendy i stanąć na straży nordyckich wartości. „Børsen” opublikowała dziś obszerny wywiad z kobietą, która kontroluje Kobberstjerne Pharma International.

— To prawda. I nie są to małe sprawy, które ją niepokoją. Spójrzmy, co mówi.

Wyłączył telewizor. Nie lubił tego nerwowego przerzucania piłeczki w studiu telewizyjnym, a poza tym wkrótce miał zebranie. I tak zresztą widział już wszystko, co potrzebował wiedzieć.

Wszystko to dawało ogromne pole do przemyśleń i chciał to jak najprędzej omówić ze swoim następcą.

Rozdział 81.

Dzień płynnie przeszedł w kolejny. Włączył telewizor i rzucił się na łóżko w małym pokoju w przyziemiu, gdzie spędził dwa tygodnie. W większości — beczynnie. I cholernie niespokojnie.

Minął tydzień, odkąd Barbro Kopparstierna znalazła się na językach całego narodu i od rana do nocy budziła zażarte dyskusje swoim wystąpieniem w „Børsen”.

Osiem dni. W ciągu których nie stało się nic.

Axel Mossman nałożył przynętę i zarzucił ogromny hak w szeroki ocean, ale wciąż żaden rekin się na nią nie połasił.

Przypomniał sobie opowiadanie Hemingwaya o starym rybaku, który wyrusza na połów życia, chwyta wielkiego merlina, ale na pokład wciąga obgryzione resztki. Od lat nie przeczytał żadnej książki. Nie potrafiłby już tak jak dawniej wyciszyć się i zanurzyć w kartki pełne liter. Ale chciałby potrafić.

Może kiedyś, jeśli życie do niego wróci? Chciałby jeszcze raz przeczytać o tamtym starcu. Może mógłby ją przeczytać na głos Magnusowi. Chociaż... czy chłopaka w tym wieku mogą interesować takie rzeczy?

Poskakał po kanałach. Telewizor pożyczyła mu sympatyczna starsza gospodyni. Na Animal Planet leciał program o żarłaczku białym. Miał wrażenie, że kanały tego typu przyjęły zasadę, by ramówkę co najmniej w połowie wypełnić rekinami. Nie przepadał za rekinami. Odkąd tylko pamiętał. Może to przez Hemingwaya?

Wyłączył telewizor.

Sawanna, dżungla albo zbocza gór czy gęste lasy — tam chciałby się przenieść. Uwielbiał programy przyrodnicze. Godzinami mógł je oglądać razem z Mr. White'em w piwnicznej izbie w północno-zachodniej Kopenhadze. Teraz siedział w innej

piwnicy. I minęły dwa lata.

Najwyraźniej wszystko zataczało koło, jak wtedy, kiedy człowiek idzie po łuku i wraca do punktu wyjścia, bo się zgubił.

Christian Sonne miał swoje fuchy w Aarhus. Margrethe Franck miała kasę w Netto. Axel Mossman ponoć spacerował z psem, kiedy nie siedział we własnej piwnicy, by przeprowadzać myślowe eksperymenty z diabłem.

Ich śledztwo wytraciło tempo. Mossman przekonywał, że powinni być cierpliwi i wrócić do swoich codziennych spraw, dopóki coś się nie wydarzy.

Margrethe Franck pewnie zaszła już całkiem daleko w swoim zadaniu domowym. Miała sprawdzić sześć wpływowych osób, które odwiedziła Sigrid Ryttinger Bulbjerg, i kopać najgłębiej, jak się da. W ten sposób będą mieli gotowy materiał, gdy w końcu przynęta chwyci. Albo — *jeśli* chwyci.

Czy ktoś z tej szóstki był rekinem — czy były tam same szczupaki? Nie podzielał pewności Mossmana.

Od czasu ich spotkania w Kopparstierna Fonden spokojnie wrócił do swojego dawnego schematu z piwnicy przy Rentemestervej. Cały dzień leżał beczynn timer i wychodził dopiero po zmroku. Teraz jednak robił tak nie dlatego, że było z nim źle, ale dlatego, że wciąż był martwy.

Nocami chodził tu i tam. Wielokrotnie zachodził pod dom Margrethe w Østerbro, by sprawdzić, czy nie wrócił John Smith. Podobnie pod domem Mossmana: ukryty w mroku, wypatrywał czegokolwiek podejrzanego.

Były to jedyne dwa miejsca, gdzie Anglik mógłby podłożyć ogień, aby wypłoszyć z kryjówki byłego komandosa, którego, jak sądził, już raz zabił. Lecz nie, nigdzie nie było śladu Smitha.

Dwukrotnie pojechał do Skovshoved — tylko po to, by pochodzić chodnikiem tam i z powrotem i w regularnych odstępach minąć dom przy Teglgårdsvej. Za każdym razem w oknach paliło się światło, pomimo późnej pory. W końcu powiedział sobie, że to żalosne. Że nie ma możliwości, aby udało mu się choć przelotnie

zobaczyć Magnusa. Mimo to jechał tam, pchany potężnym niepokojem, który potrafił stłumić, tylko pozostając w ciągłym ruchu.

Pod wieloma względami było jednak dokładnie tak jak dawniej. Był sam w ciemności. Przemykał bez celu pogrążonymi we śnie ulicami, co i rusz mijając zapalone w oknach światła. Za nimi toczyło się rodzinne życie innych ludzi, w świecie równoległym do tego, w którym on się znajdował.

Sprawdził godzinę. Było wczesne popołudnie. Jeszcze mnóstwo czasu, nim będzie mógł otworzyć drzwi i wyjść na powierzchnię ziemi. Może powinien zasunąć zasłony i spróbować trochę się przespać? Nic z tego. Im mniej miał do roboty i im bardziej narastało w nim zniecierpliwienie, tym trudniej było mu zasnąć.

Po dłuższym zastanowieniu wyraźnie dostrzegał powtarzający się schemat. Na Klöverön potrafił przespać nawet cztery, pięć godzin bez przerwy, a czasem również bez koszmarów. Gdy tylko zszedł z promu i stanął na duńskiej ziemi, wszystko zaczęło się psuć. Z początku czuł jedynie narastający niepokój. Teraz to uczucie ogromnie się nasiliło. Długi, nieprzerwany sen zdarzał mu się równie rzadko jak dawniej, a Siódemka często pukała do jego drzwi.

Usłyszał na zewnątrz jakiś szelest. Po chwili ktoś zapukał do jego drzwi. Z nocnego stolika wziął pistolet, odbezpieczył go i zakradł się do drzwi. Powiedział „proszę”. Gdy tylko drzwi wolno się otwały, przesunął się w bok i stanął w nich, celując w twarz postaci na progu.

Był nią Axel Mossman, ubrany w letni płaszcz w rozmiarze namiotu willowego. Zapadnięty w sobie olbrzym uniósł brwi na środek czoła i patrzył prosto w wylot lufy.

— Oxen... do cholery...

— Ty tutaj? Po co ryzykujesz? Musimy teraz uważać — i na nich, i na Johna Smitha. Czego chcesz?

— Spokojnie, żołnierzu. Byłem ostrożny. W takich sprawach nigdy nie ryzykuję. Muszę z tobą porozmawiać. Jak leci?

Wzruszył ramionami. Durne pytanie. Jak lekarz do pacjenta.

— Męczy mnie siedzenie tu i czekanie. Ale poza tym w porządku...

— Właśnie o tym chciałem z tobą pomówić. Możemy usiąść?

Wskazał głową jedyne w pokoju krzesło — twarde i niezbyt solidne. Sam usiadł na brzegu łóżka i odłożył pistolet.

— Po pierwsze — zaczął Mossman — nie musisz się obawiać Johna Smitha. Naprawdę nazywa się Eric Bancroft i był widziany dziś rano w swoim mieszkaniu w Londynie.

— Skąd wiesz? Jesteś pewien?

Mossman pokiwał głową.

— Najzupełniej pewien.

— Więc został rozpoznany?

— Tak.

— Więc muszę tam pojechać i go tu sprowadzić. To jedyne, co mogę zrobić.

— Przemyśl to jeszcze, Oxen. Podejmujesz ogromne ryzyko. I jak chcesz go tu ściągnąć? Jako bagaż podręczny? Nie... Nie trać z oczu prawdziwego celu. Archiwa Danehofu. Tam znajdziesz wybawienie, drogi kolego.

— Nie mam czasu czekać i liczyć na coś, na co nie mam najmniejszego wpływu.

— Dlatego przechodzimy do punktu drugiego. Dziś w południe nastąpiła reakcja na wystąpienie Barbro Kopparstierny.

Mossman zamilkł. Może po to, by odwrócić jego myśli od przejęcia sterów?

— Kto?

— Prezes Sądu Najwyższego Johan Wolf-Witte.

— O cholera. Prezes Sądu Najwyższego... i co powiedział?

— Zapytał tylko, czy może ją odwiedzić i omówić stanowisko

pani Kopperstierny.

— Myślisz, że to on?

— Rozmawiałem z Franck. Właśnie się zabierała do rozpracowania Wolfa-Wittego. Teraz pracuje na pełnych obrotach. Prezes Sądu Najwyższego to urząd wielkiej wagi, centralna osoba w państwie. Ktoś taki *mógłby* być liderem Danehofu.

— Ale nie jest z arystokracji.

Mossman pokręcił głową.

— To, że trzeba mieć szlacheckie korzenie albo posiadać dworek czy zamek... to była tylko teza, która wydawała się mieć sens, bo pasowała do Kajsy Corfitzen i Villuma Grund-Löwenberga.

— I Sixtena Kopperstierny.

— Też.

— I co teraz? Kiedy ma się pojawić?

— Jutro przed południem. Ustaliłem z Sonnem, że przyjedzie tu rano ze sprzętem. Musimy założyć pani Kopperstiernie mikrofon, żeby nagrała rozmowę. Sonne się tym zajmie. A Franck właśnie prześwietla gościa.

— A ja? Co ja mam robić?

— Zachować spokój.

Westchnął. Tak wielu rzeczy nie można było robić, będąc martwym.

— Jutro wieczorem spotkamy się u mnie na odprawie. Wtedy zobaczymy, czy bestia wyściubiła nos przed Barbro Kopperstierną. Ach... byłbym zapomniał. Proszę, oddaję. — Mossman wręczył mu dysk USB ze zdjęciami i z filmami, który zabrał z domu MacDuffa. Niektóre zapewne przedstawiały Johna Smitha. — Dziękuję, że mi go pożyczyłeś.

— Co oni z nim robią, twoi angielscy przyjaciele — z Johnem Smithem czy Erikiem Bancroftem? Może będą mogli użyć tych materiałów przeciw niemu? Myślisz, że zechcą?

Mossman wzruszył ramionami.

— Mówiąc szczerze, do końca nie wiem. Dostaję z Londynu różne informacje. Obiecali mi pilnować go dwadzieścia cztery godziny na dobę. I dadzą mi znać, jeśli gość zrobi cokolwiek. Na tym stanęło.

— Jeśli to z prezesem Sądu Najwyższego okaże się klapą, lecę do Londynu. Chcę tylko, żebyś wiedział.

— Pożyjemy, zobaczymy.

Mossman wstał, skinął głową i rzucił mu na pożegnanie:

— Bądź w pogotowiu, żołnierzu. Mam przeczucie, że wkrótce będziemy potrzebowali twoich... kompetencji.

Rozdział 82.

Głęboki, łagodny głos powiedział:

— Zatem będę się żegnał, pani Kopparstierna. Ogromnie dziękuję za spotkanie i za to, że zgodziła się pani na tę krótką rozmowę.

— Nie ma za co. Uważam, że była to arcyciekawa wymiana myśli.

— Jeśli będzie pani miała ochotę, możemy któregoś dnia ją kontynuować.

— Chętnie, panie Wolf-Witte, bardzo chętnie.

— Do widzenia.

— Do widzenia.

Siedzieli przy małym głośniku stojącym na środku stołu w piwnicy Mossmana. Byli tu wszyscy, również Sonne, który zamontował sprzęt na ubraniu Barbro Kopparstierny, co umożliwiło nagrywanie, choć rozmowa odbywała się przy stoliku w ogrodzie.

Spojrzał na wprost na Margrethe, by sprawdzić, czy potrafi wyczytać cokolwiek z jej pierwszej reakcji na rozmowę. Nie potrafił. Wyglądała na nieobecną.

Mossman wyglądał jak... Mossman. Siedział z twarzą zasmuconego basseta, która kogoś bardziej dobrodusznego mogłaby zwieść i kazać myśleć, że Mossman jest równie łagodny jak te psy.

Sonne westchnął i potarł twarz dłońmi. Miał za sobą długi dzień, rozpoczęty w Aarhus wczesnym rankiem.

On sam za to czuł się wypoczęty i pełen energii. Dobrze było wyjść z piwnicy — nawet jeśli tylko po to, by zasiąść w kolejnej.

Jego własna szybka konkluzja po wysłuchaniu pięćdziesięciosiedmiominutowego nagrania była taka, że rozmowa prezesa Sądu Najwyższego Johana Wolfa-Wittego i Barbro Kopparstierny nie była dynamitem, na który czekali. Ale też naiwnością z ich strony było wierzyć, że będzie inaczej. Ich przeciwnik był zbyt ostrożny, by tak od razu się odsłonić.

Mossman wstał, wyłączył odtwarzacz i głośnik i przeszedł na swoje miejsce pod ścianą.

— *Well*, i co wy na to? Czy mamy do czynienia z człowiekiem podłym, należącym do kręgu równie podłych kreatur? Czy też prawdziwym patriotą, szczerze zatroskanym o przyszłość ojczyzny?

Milczeli przez chwilę, każde przetwarzało własne wrażenia. Franck odezwała się pierwsza.

— Chodzi nie tyle o to, co mówi. O te wszystkie okrągłe zdania i puste frazesy. On ją bada, podejmuje ostrożny taniec z Barbro Kopparstierną. Podejrzane jest samo to, że w ogóle „poprosił” o rozmowę. Nie z jakimś aspirującym politykiem czy biznesmenem średniego szczebla. Nie... on poprosił o spotkanie postać legendę. W dodatku tak bardzo nieprzystępną. Moim zdaniem samo to, że podjął taką inicjatywę, jest z naszego punktu widzenia interesujące.

Mossman wskazał głową na niego.

— A ty, Oxen?

Wzruszył ramionami. Rozmowa, której wysłuchali, była długą wymianą poglądów dwóch osób, które zasadniczo się ze sobą zgadzają. W każdym razie zgadzały się co do poglądów, jakie Barbro Kopparstierna prezentowała zgodnie z rolą, którą postanowili jej przypisać: niepokój wywołany presją w sprawie uchodźców, imigrantów i tych spośród nich, którzy nie akceptują duńskich wartości czy swobody wypowiedzi — wciąż postrzeganej przez pryzmat karykatury Mahometa. I oczywiście cały, tak donośnie wieszczony upadek państwa opiekuńczego, którego chwianie się w posadach zauważyć potrafią chyba tylko Duńczycy... Ogółem nie powiedziano nic zaskakującego. Prezes

sądu z niczym się nie ujawnił.

— Wolę operować faktami niż tezami — zaczęła. — A fakty są takie, że Johan Wolf-Witte jest jedynym z naszej szóstki, który skontaktował się z Barbro Kopparstierną. Dlatego naturalnie musimy pójść tym tropem. A ty sam co myślisz?

Mossman namyślał się chwilę, zanim odpowiedział:

— W swoim czasie interpretowałem i rozkładałem na czynniki pierwsze wiele nagrań. To przebiegało mniej więcej zgodnie z oczekiwaniami. Musimy pamiętać, że to pierwszy kontakt i z inicjatywy gościa. Jeśli sobie wyobrazimy, że mielibyśmy nagranie przykładowo ośmiu czy dziesięciu rozmów, to retoryka bardzo by się zmieniła. Mimo wszystko prezes Sądu Najwyższego wielokrotnie daje wyraz swojemu *zaangażowaniu*. Najsilniej, gdy mówi, jak bardzo czuje się odpowiedzialny za to, abyśmy kolejnemu pokoleniu zostawili Danię będącą nadal krajem, który cenimy i znamy. I że są sprawy, które wymagają uwagi i naprawy. Tu wspomina o opiece nad starszymi i służbie zdrowia. Chwilę potem zaś mówi coś o tym, że cięcia stały się prostym rozwiązaniem. Wspomina o aferze podatkowej i grubych miliardach, które wypłynęły z kraju między palcami urzędników... W tym miejscu akurat operuje konkretami. Może posłuchajmy, co wiadomo o Johanie Wolfie-Wittem? Ile udało ci się wygrzebać, Margrethe?

— Całkiem sporo, chociaż jeszcze nie skończyłam. Oto, co już mam.

Otworzyła komputer, który ustawiła przed sobą na stole, i zaczęła czytać:

— Prezes Sądu Najwyższego Johan Wolf-Witte, sześćdziesiąt osiem lat, syn poprzedniego prezesa Sądu Najwyższego Fritza Wittego — czy ktoś mówił o chowie wsobnym w sądownictwie? — i adwokatki Irene Witte. Stan cywilny: rozwiedziony. Była żona to Åse Wolf, dawniej główna księgowa, dziś na emeryturze. Mają córkę i syna. I teraz zaczynają się schody... Wolf-Witte jest bowiem prezesem zarządu aż pięciu fundacji. Trzech prywatnych i dwóch firmowych. Te trzy pierwsze to wyjątkowo anonimowe

podmioty o nazwach typu Fundacja Czwartego Listopada Tysiąc Dziewięćset Siedemdziesiątego Piątego i inne daty i roczniki. Ich celem statutowym jest działalność charytatywna. Pierwsza z fundacji firmowych nazywa się Fundacja N.H. Jespersena i jest właścicielem oraz zarządcą dużej firmy transportowej Jespersen Spedition. Druga nazywa się Fundacja T. Blichmanna i zarządza dużym portfelem nieruchomości w Kopenhadze, Aarhus, Aalborgu i Odense. Fundacja posiada również wyspę. Poza tym Wolf-Witte jest wyłącznym zarządcą sześciu legatów i...

— Wyspę?

Mossman przerwał jej dziwnie ostrym tonem. Sam wyglądał przy tym na zaskoczonego.

— Tak. Nazywa się Egholm.

— Egholm? To na Limfjordzie, prawda?

— Nie, nie ten Egholm. Ten leży na Wielkim Bełcie niedaleko Skælskør. Można powiedzieć, że Egholm leży na samej górze Agersø, ale jest oddzielną wyspą. Czemu pytasz?

Mossman wzruszył ramionami.

— Nic takiego. Pamiętam, jak sprawdzałaś Kopperstierne. On też ma wyspę. Czy wszyscy bogacze mają wyspy? A co z nami, biedakami? Dobra, przepraszam, że ci przerwałem. To nic wielkiego.

Franck spojrzała na ekran i mówiła dalej:

— Zatem sześć legatów i dwie fundacje: Fundacja Małżeństwa Ingeborg i Karla Friisa i Fundacja Uhrendal. Obie są organizacjami społecznymi i podobnie jak legaty, zajmują się dobroczynnością.

— A tamte prywatne fundusze? — spytał Mossman.

— W statutach jest to sformułowane na różne sposoby, ale zasadniczo wszystkie są organizacjami non profit o charakterze narodowym.

— Narodowym? — znów zapytał Mossman.

— Coś z duńskością, dziedzictwem narodowym i tak dalej. Jedna z nich mówi konkretnie o wspieraniu muzeów. Statuty obu fundacji są bardzo ogólne. Może też chodzić o wspieranie inicjatyw społecznych.

Oxen osobiście nie mógł się nadziwić, że choć gość pracował jako prezes Sądu Najwyższego, miał czas na tyle zajęć dodatkowych.

— Całkiem sporo pracy po godzinach — mruknął.

Franck skwitowała to uśmiechem.

— To stara prawda. Weźmy na przykład Fundację Suhrską, której, jak się przy okazji dowiedziałam, prezesami od jej powstania w tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym byli na zmianę prezesi albo sędziowie Sądu Najwyższego. I to prezes fundacji wskazuje swojego następcę — *proste*. A trybunał i sami sędziowie dają swoim kolegom zielone światło, by mogli przyjmować dodatkowe funkcje. Obgryzają ile wlezie, do golutkich kości — odparła.

— A przepływ gotówki między tymi wszystkimi podmiotami? Wiesz coś o tym?

Franck pokręciła tylko głową.

— To zbyt skomplikowane i czasochłonne. Prywatne fundacje działają na podstawie ustawy o fundacjach i podlegają Departamentowi Spraw Cywilnych w Ministerstwie Sprawiedliwości. Z kolei fundacje firmowe działają na podstawie prawa o fundacjach firmowych — i tu zarządzanie i nadzór stale się zmieniają.

Franck przewinęła tekst na ekranie i mówiła dalej:

— Ale weźmy na przykład Jespersen Spedition. Firma jest ogromna, operuje na wodzie, lądzie i w powietrzu. Zeszły rok zamknęła z zyskiem dziewięćset czteremset milionów koron po podatku. Ładna sumka. Z tego fundacja sporą część oddaje duńskiemu społeczeństwu, dokładnie tak jak to robi Kopperstierna Fonden — choć naturalnie odpowiednio mniej. Z kolei ta fundacja, która posiada nieruchomości, osiągnęła kwotę

dwudziestu sześciu milionów. Chcę wam tylko dać pojęcie, o jakich wielkościach mówimy. Pozostałe fundacje, w których zarządzie zasiada albo którymi zarządza Johan Wolf-Witte, dają zyski mniejszego rzędu, ale to wszystko, co udało mi się znaleźć w tym krótkim czasie.

Franck rozłożyła przepaszająco ręce i odchyliła się na krześle.

— I tak świetna robota — pochwalił Mossman

Gdyby miał pójść za głosem własnego instynktu, już teraz wsiadłby w pociąg na południe, tunelem przejechał pod kanałem i dotarł do Londynu, by dorwać Johna Smitha alias Erica Bancrofta i przystawić mu nóż do gardła, aż wszystko wyśpiewa. A oni mogą sobie w tym czasie iść tropem Wolfa-Wittego. Ale stanowili zespół. Jedność. Nie mógł się na nich wypiąć.

— I co teraz? — poczuł, że nieświadomie bębnił w udo palcami prawej ręki.

— Cierpliwości, cierpliwości — mruknął Mossman. — Czekaliśmy długo. I teraz jesteśmy bliżej niż kiedykolwiek. Dlatego musimy zachować spokój. Stąpać krok po kroku. Zbierać informacje. Potwierdzić naszą teorię. Rozbudowywać. Dobudowywać. I nie tracić z oczu celu nadrzędnego: archiwów.

— Ale myślisz, że Wolf-Witte naprawdę jest liderem Danehofu Øst? Co ci podpowiada intuicja? — spytał Sonne.

— Intuicja, dobre sobie... Jak widzisz, znacznie osłabła, więc na czym się teraz można oprzeć, co? Powiem tak: jeśli on w ogóle należy do Danehofu — a nie jest tylko zaniepokojonym patriotą — to obstawiam, że jest szefem Wschodu i tym samym liderem całej organizacji. Nikomu by się nie śniło powierzać takiej funkcji pierwszemu z brzegu porucznikowi. I tylko osoba z samego szczytu hierarchii mogła się poważić na rozpoczęcie dialogu z rodem Kopparstiernów — odparł Mossman.

To miało sens. Na rozmowę z królową musieli wysłać króla. Spojrzał na Franck, która siedziała z rękoma splecionymi na wysokości ust.

— Więc twoim zdaniem — zaczęła — powinniśmy przeprowadzić

na nim test Sixtena? Obkleić Wolfa-Wittego pluskwami, jeśli się da, wepchnąć mu jedną w tyłek — i czekać? — spytała.

Mossman pokiwał głową.

— I do tego twój kolega hacker powinien wpuścić mu do komputera trojana. Jeśli próba pozyskania Kopperstierny nie będzie od niego wymagała skontaktowania się z Kajsą Corfitzen i Villumem Grund-Löwenbergiem, to jaka będzie? Musimy go zidentyfikować. Gdy to będziemy mieli z głowy, przejdziemy do kolejnej fazy. Dlatego w ciągu następnych kilku dni zamontujmy u niego sprzęt i przyklejmy mu nadajnik do samochodu.

Kiedy Niels Oxen jako ostatni wyszedł z piwnicy i wtopił się w ciemność na tarasie, Mossman szybko podszedł do swojego komputera.

Egholm?

Od razu znalazł wyspę na Google Maps. To prawda. W rzeczywistości stanowiła czubek wyspy Agersø i była z nią połączona czymś, co wyglądało jak bardzo mała grobla. Od razu wyszukał więcej informacji. Wyspa Egholm liczyła sto dwa hektary i była własnością prywatną, z zakazem wstępu osobom nieupoważnionym.

Było też mnóstwo zdjęć wyspy. Wiele z nich przedstawiało okazałą rezydencję właściciela. Ale były również zdjęcia z powietrza. Budynek stał pośród lasu i otwartych pól. Na wyspie stały jeszcze trzy mniejsze zabudowania. Przeprawa odbywała się z Stignæs Havn do portu na Agersø i trwała piętnaście minut. Stamtąd trzeba było jechać jakieś cztery kilometry na północ do płaskich łąk i szutrowej drogi przez groblę.

Egholm? Kto u licha słyszał o Egholmie?

Czyli to tam urzędował najważniejszy człowiek w Danehofie — w każdym razie czasami. Chociaż kto wie, może było to regularne miejsce spotkań władz organizacji, w ukryciu przed światem? Więc to Egholm mieli na myśli Corfitzen i Grund-Löwenberg.

Ich człowiekiem mógł być tylko prezes Sądu Najwyższego, Johan Wolf-Witte. A wyspą mógł być tylko Egholm. Na wyspie musiała być łódź, którą można było się dostać bezpośrednio na ląd, nie przyciągając zbytnej uwagi, i być może dobić do brzegu kawałek wyżej niż w Stignæs.

Sixten Kopperstierna przestał być potencjalnym nabywcą grudki złota, ale na szczęście byli inni możliwi nabywcy. Spojrzał na zegarek. Było późno. Ale nie zbyt późno na rozmowę tego kalibru. Poza tym musiał działać szybko.

Znalazł numer i zadzwonił. Odebrano dopiero po dłuższej chwili.

— Wolf-Witte — powiedział głos donośny i łagodny.

— Dobry wieczór. Nazywam się Axel Mossman. Myślę, że spotkaliśmy się kilkakrotnie przy rozmaitych okazjach.

— Ten Axel Mossman — dawniej szef PET?

— Ten sam. Przepraszam za późną porę.

— Co mogę dla pana zrobić?

— Myślę, że dobrze będzie, jeśli się spotkamy i porozmawiamy.

— Spotkamy? Dlaczego? I o czym mielibyśmy rozmawiać?

Prezes Sądu Najwyższego wydawał się zdumiony.

— O wszystkim, można by rzec...

— Mógłby pan wyrażać się jaśniej?

— O pańskiej pozycji lidera w pewnej organizacji.

Na moment w słuchawce zapadła cisza. Słysząc było tylko stłumiony szum. Milczenie trwało chwilę, ale to wystarczyło, by stało się znaczące.

— Jakiej organizacji? Nie wiem, o czym pan mówi. I wie pan co, właśnie sobie uświadomiłem, jak bardzo jest już późno. Może mógłby pan zadzwonić jutro rano? Albo — być może zadzwonił pan pod zły numer?

A może prezes Sądu Najwyższego sugerował mu, że jest pijany? Albo pomieszało mu się w głowie? I chciał tym sposobem zyskać

na czasie?

— Mówię o Danehofie. I pańskiej pozycji lidera wschodniej części siatki — czyli zwierzchnika całej organizacji.

Johan Wolf-Witte odkaszlnął, a gdy ponownie się odezwał, w jego głosie pojawiły się ostrzejsze tony:

— Jak powiedziałem, jest późno. A to, co pan mówi, to jakieś brednie. Nie mam pojęcia, do czego pan zmierza. Proszę jutro rano zadzwonić do mnie do biura.

— *Well*, panie Johan Wolf-Witte... w takim razie powiedzmy to sobie w sposób bardziej bezpośredni: jestem w posiadaniu informacji, które mogą pana zainteresować. To o tym chciałbym z panem jutro porozmawiać bardziej szczegółowo. Proponuję, abyśmy się spotkali u pana na Egholmie. W cztery oczy. Wolałbym również, aby było to spotkanie poufne... Na zachętę podam panu informację *najmniej* istotną z tych, które posiadam: weteran wojenny Niels Oxen żyje i przebywa w kraju...

Rozdział 83.

Mały prom przybił do kei. Z Stignæs do Agersø przeprawiały się tylko trzy samochody i koparka. Stał na pokładzie i patrzył, jak suną ku przystani promowej z nielicznymi, dobrze utrzymanymi zabudowaniami. Wszystkie były drewniane i pomalowane na czerwień bornholmską z białymi okapami dachów. Cumowało tu kilka łodzi rybackich, a kawałek dalej po lewej, w marinie, stało sporo żaglówek.

Wsiadł do swojego wozu i na znak mężczyzny w kaszkiecie zjechał wolno po rampie. Tętno miał w normie. Starszy człowiek na rowerze przystanął i zaczął rozmawiać z mężczyzną na traktorze, a na ławkach ustawionych przed niewielką poczekalnią siedziała rodzina i jadła lody. Właściwie z niespełna dwustu mieszkańców wyspy poza tą garstką nie widział nikogo. Nikt się nie śpieszył i donikąd nie gonił. Poczł to, o czym często się mówi. Że człowiek, gdy stanie na wyspie, wchodzi w szczególny tryb wyspiarski.

Myśl o tym, po co tu przyjechał, powinna wystarczyć, by jego tętno dudniło jak szalone, a mimo to czuł tylko wszechogarniający spokój. Był chłodny, opanowany i cholernie zadowolony.

Nie pozostało bowiem zbyt wiele pola do domysłów. Z przystani wyjechać można było tylko jedną drogą. I tylko jedna droga wiodła na północ, do Egholmu. Prosta droga do ziemi nieprzyjaciela.

Przejechał spokojnie przez miasto i nawet zatrzymał się, żeby popatrzeć na urokliwy staw. Kiedy ostatni raz widział staw? Może wtedy, gdy latem przez parę dni jeździli z żoną po południowej Fionii — całe wieki temu.

Zdziwił się, gdy zobaczył samochód jadący z naprzeciwka, i posłusznie ruszył dalej. Przy drodze stały rozproszone domy i małe gospodarstwa, rozdzielone pasmami otwartych pól. Po

prawej miał wschodnie wybrzeże wyspy, a odległość od linii wody stopniowo się zmniejszała, w miarę jak zbliżał się do celu.

Po kilku minutach wąska asfaltowa droga zmieniła się w drogę szutrową. Zaparkował kawałek dalej, w miejscu, gdzie ślady kół sugerowały, że był to rodzaj placu do nawracania. Po obu stronach ciągnęła się otwarta łąka porośnięta wysoką trawą. Wczesnopopołudniowe słońce odbijało się od wody i raziło go w oczy z każdej strony.

Wszystko było mniejsze, niż sobie wyobrażał, gdy siedział u siebie w piwnicy nad mapą: odległość do północnego krańca, a przede wszystkim grobla, którą widział teraz przed sobą. Była krótka jak przecinek i była po prostu szutrową drogą łączącą obie wyspy.

Szyld informował, że wstęp na wyspę jest zabroniony, lecz plaża jest ogólnodostępna. Za nim drogę zagraadzał szlaban.

Tam zaczynało się terytorium wroga. Krainy Danehofu nie strzegły zasieki ani betonowe bloki. Straż graniczną pełnił myszołów siedzący nieruchomo na słupku płotu przy akompaniamencie pisków ptaków brzegowych i bzyczenia owadów w upalnym powietrzu.

Zamknął samochód i dalej ruszył pieszo. Po lewej ciągnęły się mokradła, do których woda swobodnie dopływała przez rury w małej grobli. Akurat był odpływ. Myszołów poderwał się dopiero, gdy podszedł do niego całkiem blisko, i poszybował ponad dużymi łąkami w kierunku cieśniny Agersø. Kawałek dalej na spotkanie wyjechała mu furgonetka, wzbijając za sobą tuman kurzu.

Do szlabanu dotarli równocześnie. On był po jednej stronie, a po drugiej z szoferki wysiadł młody mężczyzna.

— To ty jesteś Mossman? — spytał z obojętną miną.

Skinął głową.

— Tak.

— To wskakuj.

Mężczyzna, ubrany w czarny kombinezon roboczy i gumowce, otworzył i zamknął szlaban, nawrócił pick-upa i ruszył z powrotem. Na wprost, za drzewami dostrzegł łupkowy dach i komin. Chwilę później minęli jakieś hangary, po czym mężczyzna skręcił i zatrzymał się pod schodami do głównego budynku z małą wieżą, dużymi oknami i licznymi lukarnami. W drzwiach stał starszy mężczyzna o zastygłym obliczu.

Był nim Johan Wolf-Witte.

Mossman wysiadł z szoferki, spokojnie wszedł po schodach i wyciągnął rękę do człowieka, który darował mu życie, lecz pozbawił je treści. Prezes Sądu Najwyższego ukłonił się sztywno. Nosił okulary w złotych oprawkach, miał cienkie, przyprószone siwizną włosy i był ubrany w zielone spodnie i brązową tweedową marynarkę.

— Dzień dobry, chodźmy na górę — powiedział.

Ruszył za nim schodami, które odchodziły łukiem od wejścia. Potem kawałek korytarzem, aż weszli do dużego pomieszczenia będącego czymś pomiędzy męskim salonikiem a gabinetem. Pod oknem z lukarną stało duże biurko z ciemnego drewna. W najdalszym rogu, wokół niskiej ławy, stały cztery ciężkie fotele.

— Na początek muszę pana prosić, aby się pan rozebrał.

Mossman pokiwał głową i rozebrał się bez słowa sprzeciwu. Wolf-Witte chciał się upewnić. Sam też by tak zrobił. Chwilę później stał w bieliźnie i skarpetkach. Jego ubranie leżało na podłodze.

— Do końca, jeśli pan będzie tak uprzejmy.

Wykonał polecenie i stanął w lekkim rozkroku. To w to nagie ciało Wolf-Witte — osobiście albo dzięki sprytnym doradcom — w swoim geniuszu postanowił wszyć nadajnik GPS. Mossman spojrzał w dół na własną luźną skórę i pomyślał, że teraz jego ciało nie pozwalało już na tak finezyjne podstępny.

Wolf-Witte kucnął i skrupulatnie sprawdził jego ubranie i buty, po czym wstał i z aprobatą pokiwał głową.

— Niech pan będzie uprzejmy ubrać się i usiąść.

Gdy z powrotem wszystko na siebie włożył, usiadł na jednym z foteli. Czuł się nadal równie spokojny jak wtedy, gdy zjeżdżał z promu. Z drugiej strony czy nie jest tak, że człowieka zawsze ogarnia spokój, kiedy patrzy śmierci w oczy, bo od tego momentu można już pójść tylko do przodu?

— *Well*, kat i ofiara... klasyczne zestawienie — powiedział i z uśmiechem założył nogę na nogę.

— Tylko kto jest kim? — odparował Wolf-Witte neutralnym tonem. Sztukę maskowania opanował do perfekcji. Wyglądał na eleganckiego dziadka o łagodnej twarzy i oczach, w których kryła się sama życzliwość. Brakowało mu tylko po jednym rozkosznym wnuczku na każdym kolanie.

— Pozwolił mi pan ujść z życiem. Być może dlatego, że poniżenie mnie w istocie stanowiło znacznie większe wyzwanie niż stosunkowo proste zadanie, jakim jest zabójstwo.

— Nie wiem, o czym pan mówi, panie Mossman. Ale zgodziłem się na to spotkanie, więc zostawmy to. Mówił pan o niejakim Nielsie Oxenie? Dlaczego? Co to miało na celu?

Najwyraźniej nie zamierzał w sposób bezpośredni ujawniać prawdziwego oblicza.

— Już wcześniej wykazywał pan pewne zainteresowanie Nielsem Oxenem, który, jak się wszystkim wydaje, nie żyje. A to nieprawda.

— To brzmi niemal jak stwierdzenie... obie części.

— Niech pan posłucha... — Z kieszeni wyjął telefon, odszukał nagranie i podał przez szerokość stołu. — Proszę wcisnąć „odtwórz”. I proszę zwrócić uwagę na gazetę leżącą na stole. I nagłówek o ministrze transportu, który dostał reprimendę. Artykuł jest sprzed kilku dni.

Jego gospodarz wcisnął odtwarzanie i w skupieniu obejrzał nagranie z Oxenem, które wykonał ukradkiem podczas ich ostatniego zebrania w piwnicy.

Wolf-Witte oddał mu telefon.

— Rzeczywiście, na to wygląda — powiedział tylko.

— Więc jak dotąd idzie nam dobrze.

— Liczy pan na wyrazy uznania, panie Mossman?

Podszczypując w zamyśleniu wiszącą skórę pod brodą, odparł:

— Nie zaszkodziłoby...

— Zwróciłem uwagę, że określił pan to jako swoją najmniej istotną informację.

— Tak. Sądzę, że mam coś większego. Nie byłbym jednak zbyt bystry, gdybym wyłożył na stół wszystko, co mam, przed dobiciem targu.

— Niezbyt bystre z mojej strony byłoby również kupowanie kota w worku.

— Ergo — musimy dostroić nasze sprzeczne interesy — powiedział i wyszukał w swoim telefonie kolejne nagranie. — Proszę... na dowód mojej uczciwości.

Wolf-Witte wziął telefon i zaczął odtwarzanie. Nagranie było bez dźwięku. Pochodziło z telefonu Margrethe wiszącego na taśmie klejącej z dachu budynku Villuma Grund-Löwenberga w Tuborg Havn. Miało już ponad rok.

Była to scena gorącego seksu na białej skórzanej kanapie.

Wpatrywał się w twarz prezesa Sądu Najwyższego. Tym razem mężczyzna nie potrafił ukryć zaskoczenia. Kąciki ust drgały nieznacznie, a brwi odruchowo podjechały w górę. Tylko tyle. Niewiele, ale wystarczająco, by w Mossmanie wezbrała ciepła fala satysfakcji.

Johan Wolf-Witte znów oddał mu telefon.

— To sprzed roku... Cieleśne zjednoczenie. Nie podejrzewał pan, prawda? Pańscy koledzy z Północy i Południa dość szeroko rozumieją pojęcie współpracy.

Mężczyzna po drugiej stronie stołu wyglądał, jakby

niespodziewanie zabrakło mu słów.

Mossman triumfował w sposób niemal namacalny, ale nie dał się ponieść euforii. To była zemsta. Wyrafinowana. Bardzo radosna chwila.

— I czemu ma służyć to nagranie? — Wolf-Witte podniósł wzrok i spojrzał mu w oczy. Choć umysł tego człowieka musiał teraz pracować na pełnych obrotach, w jego twarzy wciąż nie sposób było odczytać jakichkolwiek sygnałów.

— Nagranie było wyrazem mojej dobrej woli. Jest to jednak nadal o stopień poniżej tego, co jestem w stanie zaoferować... Najpierw jednak musimy się potargować. I na wypadek gdyby pan lekceważył mentalne zdolności emeryta — czy zadał pan sobie pytanie, jak pana odnalazłem? Wśród pięciu milionów Duńczyków? Nikomu wcześniej nie udało się pana zidentyfikować. A mnie — tak. Otóż dysponuję materiałem dowodowym, który z całą pewnością zaciekawia moich dawnych przyjaciół w Søborgu. Choć udało się panu wysadzić mnie z siodła, jeśli się do nich zgłoszę, wciąż jeszcze znajdę u nich posłuch. Gdyby więc przyszło panu do głowy uciec się do podstępu, proszę sobie wyobrazić, jak pański urząd i wszystkie pańskie działania zniosą drobiazgowe prześwietlenie. Wszystko, od prezesury najbardziej niepozornej fundacji do tej największej, Fundacji N.H. Jespersena. Tej, przez którą zapewne przepływa część środków na operacje Danehofu. Gdyby zaś przyszło panu do głowy pozbyć się mnie, nim postawię stopę w Stignæs, proszę pamiętać, że naturalnie zabezpieczyłem swoje nagrania, wykonując ich kopie. Są zdeponowane u zaufanych ludzi, którzy będą wiedzieli, jak się zaopiekować i nagraniami, i materiałem dowodowym, w razie gdybym nie wrócił żywy. Mamy więc jasność co do reguł gry, prawda?

Widać było, jak wiele jego gospodarza kosztuje przytaknięcie i odpowiedź:

— Tak, jasne... Cena?

— Ze swojej strony mogę panu przywieźć Nielsa Oxena tu, na wyspę, po ustaleniu szczegółów. Nagranie pańskich kolegów

z kierownictwa Danehofu już pan otrzymał. Istnieje jeszcze trzecie nagranie — audio, wykonane niedawno. Ale najpierw moje żądania. — Odchylił się w fotelu, zmienił pozycję nóg, zakładając lewą nogę na prawą, splótł dłonie pod podbródkiem i przygotował się do kulminacji. — Cena... Nie da się dobrze żyć za marne grosze, więc jestem zmuszony poprosić o wypłatę siedmiu milionów koron w gotówce. Kwota stosunkowo niewielka, co również jest wyrazem moich dobrych zamiarów. Poza tym, panie Wolf-Witte, musi mi pan zwrócić honor... Upokorzył mnie pan i musi pan to naprawić. Jestem realistą i wiem, że nie odzyskam już dawnej posady. Są jednak inne możliwości. Doszły mnie słuchy, że minister sprawiedliwości zamierza wkrótce rozpocząć szeroko zakrojone prace w komisji, której efektem ma być pakiet zaleceń dla państwa na temat dalszych kroków w związku z wewnętrznym zagrożeniem terrorystycznym. Ponadto szykuje się ponoć poważna zmiana kursu dotychczasowej polityki w tym obszarze — kursu, który w swojej skromnej osobie tworzyłem. Chcę, aby mnie wskazano jako przewodniczącego powstającej komisji. Jest to warunek konieczny, niepodlegający dyskusji.

Prezes Sądu Najwyższego zmrużył oczy i milczał przez chwilę. Na koniec odparł:

— Minister sprawiedliwości Helene Kiss Hassing jest poza... jakby to powiedzieć... moim zasięgiem.

— Nikt nie jest poza pańskim zasięgiem. Jest pan w stanie odczynić coś, co się stało. I ma pan tego pełną świadomość. Dysponuje pan nieograniczonymi wpływami i może kontrolować każdy proces decyzyjny w kraju. Proszę mnie uczynić przewodniczącym...

— Więc o to tu chodzi. To kwestia honoru.

— Pan wyciąga własne wnioski. A ja podałem moją cenę.

Na czole Wolfa-Wittego pojawiły się głębokie zmarszczki, a on sam długo siedział pogrążony we własnych myślach i nic sobie nie robił z faktu, że jego gość czeka na odpowiedź. W końcu odparł:

— Dobrze. Dostanie pan przewodnictwo komisji. Pieniądze zaś otrzyma pan, gdy dostanę Oxena. A teraz niech pan będzie łaskaw

wprowadzić mnie na poziom trzeci.

Pokiwał głową i uśmiechnął się do swojego niegdysiejszego oprawcy.

— Widzi pan... zawsze powtarzałem, że w mojej branży nie ma niefortunnych sojuszy — są tylko sojusze. I właśnie takowy zawarliśmy — z obustronną korzyścią. Trzeci poziom to samo nagranie audio. Pochodzi z ukrytego podsłuchu zamontowanego niedawno w mieszkaniu Villuma Grund-Löwenberga. Jest to rozmowa tej samej pary, którą widział pan na filmie przed chwilą. Pańskich kolegów... Tym razem rozmawiają o planowanym wkrótce zamachu. Proszę się dobrze wsłuchać.

Rozdział 84.

Sytuacja zaczynała przypominać kolejne fiasko. Wielki plan Mossmana o odnalezieniu drogi do kopalni króla Salomona, czyli trzech archiwów Danehofu, coraz bardziej się rozmywał.

Minęło pięć dni, odkąd zamontowali podsłuch i uzyskali dostęp do obu komputerów Johana Wolfa-Wittego — jednego w jego mieszkaniu i drugiego w biurze mieszczącym się w Prins Jørgens Gård na zamku Christiansborg. I absolutnie nic im to nie dało.

W rozmowach prowadzonych w zaciszu domu przy Løngangsstræde nic nie wskazywało, aby wiekowy już prezes Sądu Najwyższego mógł być zamieszany w jakąkolwiek działalność podziemną. I mimo że przetrząsnęli każdą wiadomość przesłaną elektronicznie, również w jego e-mailach i tym podobnych, nie sposób było się czegokolwiek doszukać. Facet nikomu nawet nie wspomniał, że był na audyencji u Barbro Kopparstierny.

Być może odpowiedź była bardzo prosta: Johan Wolf-Witte nie był liderem Danehofu Øst? *Nie* był nadrzędnym zwierzchnikiem organizacji. Martwił się po prostu o przyszłość kraju.

Spojrzał na swoich towarzyszy. Margrethe Franck wyglądała, jakby pobiła rekord w obsłudze kasowej. A Mossman oczywiście wyglądał jak basset.

Z Sonnem zmieniali się przy obsłudze podsłuchu. Tym razem musieli słuchać w czasie rzeczywistym, zamiast odsłuchiwać nagrania z dysku. Musieli mieć możliwość natychmiastowej reakcji. Na zmianę siedzieli w dostawczaku od późnego popołudnia do ranka następnego dnia, gdy Wolf-Witte ruszał na swój codzienny spacer do Sądu Najwyższego.

Było to potwornie wyczerpujące. Sonne był w tej chwili w Aarhus, bo musiał się zająć córkami.

Nie było jednak innego wyjścia. Byli tylko niewielką grupką amatorów, którzy musieli codziennie stawiać się w pracy, a po godzinach toczyli wojnę z potężnymi cieniami, które nigdy nie stały się niczym innym jak... cieniami.

— Czy jesteśmy zgodni, aby dać sobie jeszcze pięć dni? — Axel Mossman popatrzył na zmianę na nich oboje.

— Tak. Musimy śledzić ten trop jeszcze pięć dni, by móc stwierdzić, czy faktycznie jest zimny — stwierdziła zdecydowanym głosem Franck.

Owe pięć dni miało być ostatnią szansą, by ich jedyny podejrzany w jakikolwiek sposób się odsłonił. Dlatego przekonali sceptycznie nastawioną Barbro Kopparstiernę, by podjęła jeszcze jedną próbę. Zaprosiła Johana Wolfa-Wittego na spotkanie, aby kontynuować ich poprzednią rozmowę. Mieli się spotkać w jej domu. Za niespełna kilka minut.

Mogli więc znów liczyć, że prezes się ujawni w rozmowie, którą raz jeszcze nagrywali. Albo że w kolejnych dniach nastąpi jakikolwiek przełom, gdy Wolf-Witte dostrzeże cień nadziei na nawiązanie sojuszu z Kopparstiernami.

— A ty, żołnierzu?

Przytaknął skinieniem. Rozumiał, że to rzadkie wydarzenie z udziałem samej Barbro Kopparstierny było dla nich kolejną szansą. Rozumiał to jego umysł. Serce natomiast wyrywało mu się z piersi na myśl o Ericu Bancroftcie, który być może siedział właśnie u siebie w Londynie i planował powrót do Danii i kolejny atak.

— Jeszcze pięć dni... I umawiamy się, że jeśli ten trop jest martwy, dasz mi adres Bancrofta w Londynie.

— Umowa stoi — przystał Mossman. — Ale nadal obstawiam, że to Johan Wilf-Witte jest liderem Danehofu. Musimy tylko dać mu trochę więcej czasu...

Zadzwoił telefon Mossmana. Odebrał.

— Cześć, Christian.

Wyrzucony ze służby policjant z Aarhus wkrótce miał ponownie wypisać się z ich małej grupy operacyjnej. Miał dwie prace i nie był w stanie pogodzić tego z uczestnictwem w ich działaniach. Biedak po prostu nie miał czasu regularnie kursować między Aarhus a Kopenhagą. Może właśnie w tej sprawie dzwonił? Żeby złożyć wypowiedzenie swojemu wujkowi?

Mossman przez chwilę słuchał w skupieniu i nagle przyskoczył do wiszącego na ścianie telewizora, a z półki porwał pilota.

— W wiadomościach, mówisz? W sensie na DR1?

Mossman wciąż trzymał telefon przy uchu. Potem pokiwał głową, rozłączył się bez słowa i wbił wzrok w płaski ekran, na którym pojawił się obraz. Zmienił kanał i pogłodził.

Prezenterka była w połowie zdania:

„...powiedział dziś, że premier odniesie się do sytuacji jutro, podczas cotygodniowej konferencji prasowej. A teraz wracamy do wypadku, o którym mówiłam na początku tego wydania. Łączymy się z Rasmusem Damem, który jest w Korsør. Witaj, Rasmus, czy masz jakieś nowe informacje?”

Młody reporter w swetrze w serek i krawacie wyłonił się z mroku w silnym świetle reflektora.

„Tak. Stoję właśnie w porcie w Korsør i przed chwilą raz jeszcze rozmawiałem z policją. Oficjalnie potwierdzono, że za sterami helikoptera, który na wysokości Korsør runął do Wielkiego Bełtu, siedział Villum Grund-Löwenberg. Straciliśmy jedną z najwybitniejszych postaci świata biznesu. Czterdziestoseściolatek Grund-Löwenberg był współzałożycielem spółki komputerowej Castle and Unicorn Corp. z oddziałem w Kopenhadze i główną siedzibą w Szwajcarii. Według informacji, jakie uzyskałem od policji, Villum Grund-Löwenberg wystartował z lotniska w Roskilde wczesnym wieczorem i zmierzał do swojego rodzinnego domu na zamku Gram w południowej Jutlandii. Był doświadczonym pilotem i miał na koncie wiele przelatanych godzin. Przyczyna katastrofy pozostaje nieznana. W tej chwili liczne jednostki przeszukują wody Wielkiego Bełtu w nadziei na odnalezienie części wraka, lecz akcję naturalnie utrudnia

panujący mrok”.

„Dziękuję. To był Rasmus Dam z portu w Korsør. Przechodzimy do wydarzeń z zagranicy. Cena ropy na giełdzie na Wall Street po raz kolejny...”

Mossman wyłączył telewizor. W piwnicy zapanowała absolutna cisza.

Rozdział 85.

Ceremonia pogrzebowa na cmentarzu w Gram już się zakończyła. Młodego biznesmena żegnały nieprzebrane tłumy. Orszak nienagannie ubranych ludzi, w przeważającej mierze na czarno i do tego w ciemnych okularach, zdawał się nie mieć końca. I wszyscy musieli gęsiego przejść przez niewielką furtkę w cmentarnym murze, by wyjść na parking.

Nie był w kościele. Nie chciał ryzykować, że ktoś go rozpozna, a przede wszystkim nie chciał, by go rozpoznali prezes Sądu Najwyższego Johan Wolf-Witte albo Karin Kajsa Corfitzen — dwaj pozostali przy życiu liderzy Danehofu.

Słońce przyjemnie prażyło z bezchmurnego nieba. Lekką letnią kurtkę przewiesił sobie przez ramię.

Osiem dni minęło, odkąd Grund-Löwenberg runął do morza i zginął. Długo czekano z pogrzebem, ale wynikało to z nadzwyczajnych okoliczności wypadku, choć ciało wydobyto z resztek kokpitu już w dzień po wypadku. Przeprowadzono oczywiście rutynową obdukcję, by sprawdzić, czy wypadek nie był spowodowany działaniem alkoholu lub leków, zatorem czy innym czynnikiem fizycznym lub ludzkim. Potem swoje prace rozpoczęła komisja do badania wypadków lotniczych.

Uczestniczył w ostatniej części pogrzebu, opuszczaniu trumny i rzucaniu ziemi, choć patrzył z pewnej odległości i kilkakrotnie się przemieścił. Najpierw stał na cmentarzu, a teraz obserwował wszystko zza jego murów. Stał w najdalszym rogu parkingu przy szerokich schodach, od których zaczynała się szutrowa ścieżka dochodząca do Ribevej. Ukrył się w miejscu, gdzie kończył się mur.

Długo trwało, nim się pojawili. Najpierw prezes Sądu Najwyższego, który przystanął po drugiej stronie muru i odszedł kawałek w bok, w kierunku małego białego domu stojącego blisko

furtki. Mogło to być mieszkanie grabarza albo może administracja parafii. Tam zaczekał na Kajkę Corfitzen. Przez dziesięć minut stali pod ścianą szczytową i rozmawiali. Potem szybko się uścisnęli i Wolf-Witte ruszył w stronę dużego srebrnego rovera. Usiadł za kierownicą i chwilę później wjechał na wąską boczną drogę dochodzącą do drogi krajowej.

Kajka Corfitzen miała na sobie czarny garnitur i czarną bluzkę. Z torebki wyjęła chusteczkę, wydmuchała nos i z powrotem nasunęła na nos okulary słoneczne, które na czas rozmowy z Wolfem-Wittem odsunęła na głowę. Potem po skosie przeszła przez pokryty granitowymi wiórami parking i stanęła przy ciemnozielonym mercedesie G350, klasycznej terenówce, która, o ile dobrze pamiętał, należała dawniej do jej ojca.

Teraz — za chwilę — powinien zaatakować.

Odczekał, aż usiądzie za kierownicą, zapnie pas i uruchomi silnik. Potem szybkim krokiem podszedł do samochodu, zapukał w boczną szybę od strony pasażera i nie czekając na odpowiedź ani nie prosząc o pozwolenie, otworzył drzwi i usiadł.

— Dzień dobry. Nazywam się Axel Mossman. Przepraszam za najście... ale bardzo chciałbym z panią porozmawiać.

Kajka Corfitzen spokojnie zdjęła okulary i spojrzała na niego.

— Wiem, kim pan jest. Nie mam czasu. Proszę wysiąść z mojego samochodu.

— Proszę posłuchać. Ja...

— Powiedziałam: proszę wysiąść z mojego samochodu.

— Jeśli się pani śpieszy, proszę jechać, a ja będę mówił w trakcie. Lider Danehofu Nord może chyba poświęcić parę minut skromnemu emerytowi?

— Przepraszam, czy pan jest głuchy?

— Widziałem, jak przed chwilą rozmawiała pani z Johanem Wolfem-Wittem.

— Wsiadaj!

— To wyjątkowy człowiek, prezes Sądu Najwyższego, czyż nie?

— Oraz przyjaciel rodziny. Wynocha!

— Możliwe. Ale również pani kolega. I lider Danehofu Øst. Najwyższy szef całej organizacji. Niech pani rusza. Za chwilę wysiądę.

Kajsa Corfitzen wycofała, wrzuciła bieg, wjechała na małą dróżkę i wkrótce skręciła w lewo, na drogę krajową, gdzie gwałtownie przyśpieszyła.

— Dokąd jedziemy? — spytał i odchylił się w fotelu.

— Ja wracam do siebie do Nørlund. Pan ze mną nie jedzie.

— Kajso, wiem, kto zabił pani chłopaka... Bo chyba pani nie wierzy, że helikopter sam spadł do wody?

— Chłopaka? O czym pan bredzi?

— Proszę zjechać na bok, a coś pani pokażę.

Kajsa Corfitzen jechała dalej przez miasto. Wyglądała, jakby w popłochu zastanawiała się, czy powinna go posłuchać. W końcu uległa i podjechała pod zajazd zamkowy, gdzie stanęła przodem do jeziora i małego zamku górującego nad krajobrazem, oddalonego od nich o zaledwie jedną krótką serię pływackich machnięć.

Podał jej swój telefon.

— Niech pani wciśnie „play”.

Nie potrafiła ukryć zaskoczenia, gdy oglądała scenę gorącego seksu na białej skórzanej kanapie.

— Skąd, u licha...

— To było ponad rok temu. Nie był to pierwszy ani ostatni raz. Spotykaliście się. Ostatni raz całkiem niedawno. U Villuma. Kajso, wiem wszystko. *Wszystko...*

— Mówi pan, że to nie był wypadek?

— Nie. I może za tym stać tylko jeden człowiek. Tylko jeden człowiek miał motyw, który dostrzegłby nawet ślepy. Proszę

posłuchać tego.

Odtworzył niedawną rozmowę między nią i Villumem, tę, w której rozważali zamach na ich lidera.

Kajsa Corfitzen mocno przygryzła dolną wargę i zmrużyła oczy.

— Odtworzyłem to nagranie prezesowi Sądu Najwyższego nieco ponad tydzień temu w Egholmie. Oto mamy motyw. — I ciszej dodał: — A następna w kolejności jest pani...

Długo milczeli i patrzyli przed siebie, na zamek i jezioro. Jemu w tej chwili nigdzie się nie śpieszyło. Mógł tak siedzieć tyle, ile będzie trzeba. To oczywiste, że kobieta obok niego potrzebowała czasu, by stawić czoła faktom. I własnej porażce. W końcu zapytała:

— Skąd mogę wiedzieć, że to nie pułapka?

— Nagrałem fragment naszej rozmowy. On niczego nie podejrzewa. Proszę.

Znów podał jej swój telefon. Na ekranie odtworzyła krótki film, w którym Wolf-Witte godzi się zapłacić i załatwić mu posadę przewodniczącego komisji.

Corfitzen zamyśliła się i kiwając głową, oddała mu telefon.

— Proszę przyjąć moje kondolencje — powiedział. — Choć z całą pewnością nie popieram brudnej roboty, jaką wykonujecie w Danehofie. Mimo wszystko nie sądziłem, że moja konfrontacja z waszym liderem może mieć takie konsekwencje.

— Czego więc chce pan teraz? Jaki jest pański motyw?

Kajsa Corfitzen odwróciła się na swoim fotelu i spojrzała mu prosto w oczy. Wytrzymał jej wzrok i spokojnie odparł:

— Mój motyw? Chcę zaoferować pani wyjątkową okazję, by się zemścić. Chcę, aby mi pani przekazała wszystkie trzy archiwa — Północy, Południa i Wschodu. W zamian zapomnimy o wszystkim. Może pani wyjść z tego cało. Żyć dalej w Londynie, jakby nic się nie stało. Zachować Consilium, jeśli pani zechce.

— Zatem chce pan, bym za pana wykonała pańską pracę?

— Dopilnuję, aby PET skierowało na Wolfa-Wittego wszystkie swoje armaty. I jedno jest pewne: Wolf-Witte nie będzie się wahał i pociągnie panią na dno. Jest pani wytrawną finansistką. Niech pani rozważy swoje szanse. I podejmie najmądrzejszą w tej sytuacji decyzję.

Zamilkł i poszukał w telefonie właściwego nagrania.

— A żeby nie przyszły pani do głowy żadne szalone pomysły... Proszę posłuchać jeszcze tego — to fragment tej samej rozmowy z Villumem.

— *Na koniec Kresten Hildmand. Kajsa, to trzynaście osób.*

— *Czternaście.*

— *Czternaście?*

— *Zapomniałaś o ogrodniku mojego ojca. Jego sama zastrzeliłam, gdy siedział na kosiarce. Nazywał się Arvidsen.*

— *Więc sama widzisz. Zbrodnia pociąga za sobą zbrodnię. Mogę...*

— *Villum. Z Arvidsenem to była konieczność...*

— *Wiem. A gdybyś przy okazji zdjęła Oxena, oszczędziłabyś nam tego cyrku w zeszłym roku.*

— *Próbowałam. Do dziś nie daje mi spokoju, że musieliśmy go zlikwidować. Oxen miał ogromny potencjał. Zbyt wielki, żeby po prostu go zabić. Powinniśmy byli spróbować go zrekrutować. Byłby dla nas znakomitym nabytkiem.*

— *Trudno, zostawmy to. Zatem czternaście osób.*

Obie dłonie Kajsy Corfitzen spoczywały na dole kierownicy. Kłykcie były zupełnie białe. Pusty wzrok wbijała w przednią szybę.

— W porządku, Mossman. *Get your point...* Wiem, gdzie są archiwa. Wspomniałaś o zemście. Możesz podać jakieś konkrety?

Rozdział 86.

Jak na niedzielny poranek, który miał oddzielić życie od śmierci, świat prezentował się nadzwyczaj sielsko.

Po lewej w lekkiej bryzie falował Wielki Bełt. Po prawej na gładkiej powierzchni jeziora napełnionego wraz z przypływem odbijało się bezchmurne niebo. Kawałek dalej biegła mała grobla z szutrową drogą do Egholmu, a jeszcze dalej łagodnym łukiem rysowała się zatoka Bøgevig.

Pas, którym szli, nie miał nawet kilometra szerokości, ale stanowił mocną barierę dla napierającej od zachodu wody Bełtu i chronił niewielkie mokradło.

Szli wąską ścieżką, która nieuchronnie miała ich doprowadzić do bramy piekieł.

Oxen szedł obok. Pomimo solidnych butów trekkingowych z trudem dotrzymywał mu kroku, niepewnie stawiając stopy na nierównej warstwie kamieni przetykanej spłachciami luźnego piasku, typowej dla strefy przybrzeżnej. Szli na północ.

Do brzegu przybili pierwszym promem i teraz dochodziła ósma. Słońce wstało od wschodu. Jutro będzie tak samo.

Czuł się spięty. Sytuacja była dla niego nietypowa. Niezwykłe było już to, że miał przy sobie broń. Oxen też miał. W pojemnej kieszeni jego kurtki spoczywał Heckler & Koch.

Szli w milczeniu kamienistym wybrzeżem, które w tym miejscu biegło równoległe do szutrowej drogi prowadzącej do głównego budynku na wyspie.

Zatrzymali się dopiero pod niskim urwiskiem, na którym wznosił się las. Stąd zamierzali ostrożnie przedostać się do domu, częściowo ukrytego za rosnącymi z trzech jego stron drzewami i odsłoniętego tylko od wschodu.

— Wszystko w porządku? — zapytał Oxen. Najwyraźniej słyszał jego posapywanie i widział napięcie na jego twarzy. Dobrze, że przynajmniej zrzucił te wszystkie kilogramy, bo inaczej nie byłoby szans, aby mogli pójść plażą.

— Tak, świetnie. A ty?

— Też.

Oxen przytaknął i uśmiechnął się lekko. Dawny żołnierz elitarniej jednostki komandosów wyglądał, jakby naprawdę tak właśnie się czuł — zupełnie dobrze.

On za to czuł się, jakby lada chwila miał się przewrócić na kamieniach wielkich niczym pięści. Tym bardziej zwrócił uwagę, że Oxen nawet się nie zachwiał i niemal sunął po pagórkowatej powierzchni. Nie otworzył nawet ust, by zaczerpnąć więcej powietrza. I ani razu nie zmylił kroku.

Może ludzie tacy jak on, Oxen, którzy przeszli tak długą i ciężką zaprawę, mają w sobie wewnętrzny guzik. Zwykły włącznik, który czyni tego typu wyzwania prostymi, bo uruchamia zakodowane w ciele myśli i ruchy.

On z kolei rozmyślał nad tym, jak bardzo różniła się jego dzisiejsza wizyta na Egholmie od tej poprzedniej. Od chwili, gdy wjechali na ląd na Agersø, nie opuszczało go poczucie satysfakcji. Tak zresztą czuł się przez cały czas w ostatnich dniach — zadowolony, że może być podporą dla ludzi w swoim otoczeniu — w sensie intelektualnym. Bo fizycznie nie za bardzo... podobnie jak nigdy się nie przyzwyczyił do noszenia broni palnej.

Raz jeszcze powtórzył w myślach szczegóły swojej umowy z Johanem Wolfem-Wittem. Mieli się zatrzymać na tyłach głównego budynku. To tam miało dojść do wymiany. Mnóstwo rzeczy musiało się wydarzyć z dokładnością co do sekundy.

— Idziemy?

Usłyszał pytanie Oxena, ale je zignorował i odwrócił się do morza, czy raczej cieśniny, dość dużej, by mogła uchodzić za morze. A może to tylko on był mały?

Zdjął kaszkiet i otarł rękawem pot z czoła. Stał nieruchomo. Skądś dobiegał go jakiś odgłos. Bardzo ciche, głuche dudnienie dzwonów wieszczących sądny dzień.

Odwrócił odrobinę głowę. A może się przesłyszał? Może to lekkie, radosne uderzenia dzwonków w andante?

Przez ułamek sekundy w uszach słyszał tylko lekki szum bryzy.

— Tak. Chodźmy, żołnierzu.

Na szczycie urwiska Oxen znalazł się w kilku susach, po czym pochylił się i podał mu rękę, żeby go wciągnąć.

Ostrożnie skradali się przed siebie. Las był liściasty i mieszany, choć buków było najwięcej. Na szczęście nie było większych przeszkód w poszyciu, jak chociażby jeżyny czy inne chaszczce.

Już po kilku minutach marszu pomiędzy pniami drzew dostrzegli żółtą ścianę budynku, a po lewej zabudowania pełniące funkcję hangarów. Oxen popukał go palcem po ramieniu.

— Gdy dojdziemy na skraj lasu, zatrzymamy się na obserwację — zarządził.

Przytaknął skinieniem. Chwilę potem, wzorem Oxena, przykłęknął za jednym z pni. Były komandos wyjął lornetkę polową i zaczął skanować otoczenie. Nigdzie żadnych śladów ludzkiej aktywności — ani w terenie, ani w żadnym z okien widocznych z jego pozycji.

Oxen spojrzął na zegarek. Odczekali pięć minut i raz jeszcze zbadał wszystko lornetką, zanim wstał i dał mu sygnał, by ruszać naprzód.

Zatem pora iść dalej, co oznaczało, że musiał się podnieść. Z niejakim trudem wyprostował kolana, skinął do weterana i ostrożnie w ślad za nim wyszedł z lasu na otwartą przestrzeń. Od budynku dzieliło ich teraz zaledwie trzydzieści kilka metrów.

Podchodzili od lewej strony budynku. Oxen bardzo wolno stawiał stopy, a po kilku krokach zatrzymał się, przez chwilę wpatrywał się w budynek, po czym wolno ruszył dalej. Mogli być teraz niecałe dziesięć metrów od tylnego wejścia.

To już. Za kilka kroków.

Rozejrzał się, a dłoń zacisnął na kolbie pistoletu w kieszeni. Stali pod odpowiednim kątem — mieli otwarty fragment terenu od wschodu i kawałek dalej kwadratowy mur iglaków osłaniający przed wiatrem.

Zmrużył oczy pod słońce. Ono również było w odpowiedniej pozycji. Lewą ręką otarł pot z czoła.

Znów usłyszał dzwony wieszczące sądny dzień. Więc teraz...

— Oxen, stój! Celuję do ciebie. Jeden fałszywy krok i strzelam. Podnieś ręce. No, podnieś! I nie ruszaj się!

Były komandos zeszywniał odwrócony do niego plecami. Potem się zawahał — w końcu posłuchał i powoli uniósł ręce nad głowę.

— Mossman! Podła świnió! Nie wierzę...

— Zamknij się! I rób, co ci każę. Wyjmij swój pistolet z kieszeni. Powoli. Trzymając za lufę kciukiem i palcem wskazującym. I nie myśl nawet, żeby czegokolwiek próbować!

Od silnej koncentracji niemal kręciło mu się w głowie. Patrzył, jakby wcale go tu nie było, jak Oxen powoli wyjmując z kieszeni broń i trzymając ją między dwoma palcami, wyciąga daleko od ciała.

— Rzuć go w prawo.

Oxen znów posłuchał.

— Teraz klęknij. Ręce spleć na karku.

Drzwi domu otwarły się wolno równocześnie z tym, jak Oxen ugiął kolana.

Jako pierwszy na schodach stanął sam gospodarz. Za nim pojawił się jeszcze jeden starszy mężczyzna, z pistoletem, oraz drugi, młodszy i barczysty, typ mięśniaka, z kaburą założoną na opięty biały T-shirt i uniesionym, trzymanym oburącz pistoletem.

Johan Wolf-Witte trzymał w ręce dużą aluminiową walizkę.

— Brawo, panie Mossman. Świetnie wykonana robota. Proszę —

zgodnie z umową... — Postawił walizkę na ziemi kilka metrów przed Oxenem.

Skinął głową, bo tak się umówili — pierwsza rata w gotówce. Na miejscu.

— Jeśli pan będzie uprzejmy? — Głową wskazał na walizkę.

— Oczywiście... — Prezes Sądu Najwyższego schylił się, otworzył walizkę i podniósł wieko, ukazując zawartość. Równiutkie stosy tysiąckoronowych banknotów, każdy przewiązany cienką papierową banderolą.

Wszystko się zgadzało. Dopiero teraz zwrócił uwagę na dwóch pozostałych mężczyzn. I również dopiero teraz rozpoznał tego starszego, który stał kawałek z boku za Wolfem-Wittem.

— Co? Nielsen? Ty tutaj?

Nie potrafił ukryć zaskoczenia. Dawny zastępca szefa działu operacyjnego Kaare Nielsen stał w pełnej gotowości z pistoletem w rękach. Nigdy za nim nie przepadał, ale uważał za wyjątkowo kompetentnego. Musiał być już po sześćdziesiątce.

Nielsen przemilczał jego spontaniczne powitanie. Antypatia, jak widać, była odwzajemniona.

— Nielsen od wielu lat jest moim lojalnym pracownikiem — powiedział Wolf-Witte i uśmiechnął się lekko, zdradzając, że cieszy go ten mały triumf, jakim niewątpliwie był fakt, że zatrudniał człowieka zajmującego tak wysoką pozycję w hierarchii w Søborgu.

Wystarczy. Na moment dał się rozproszyć, ale teraz już pełne skupienie... następny krok musi wykonać teraz. Zdjął kaszkiet i dwukrotnie przesunął dłonią po głowie. To był sygnał.

Oxen klęczał przed swoim katem, prezesem Sądu Najwyższego i najwyższym zwierzchnikiem Danehofu Johanem Wolfem-Wittem. Człowiekiem, który zmienił jego i tak już poplątane życie w istne piekło na ziemi. A teraz klęczał przed nim jak nieposłuszny niewolnik, kupiony i doprowadzony z powrotem.

Walizka z judaszowymi srebrnikami stała między nimi jak milczący świadek. Ale za kilka sekund sytuacja się odwróci. Nie widział, co Mossman robił za jego plecami. Zamiast tego wwiercał się wzrokiem w jasną letnią marynarkę Wolfa-Wittego.

I nagle się pojawiła — drgająca mała czerwona kropka, która oznaczała, że Mossman dał sygnał.

Kropka natychmiast znieruchomiała i wolno powędrowała w górę. Z tej odległości raczej nie będzie to *headshot*. I faktycznie, zwiastująca śmierć kropka zatrzymała się w okolicy serca.

Dłonie, które wciąż trzymał splecione na karku, powędrowały do kaptura kurtki, gdzie miał zapasowy pistolet. Poczuł, jak palce automatycznie zaciskają się na kolbie.

W tym samym ułamku sekundy rozległ się strzał. I huk. Kuli, która wbiła się w ciało Wolfa-Wittego i błyskawicznie pozostawiła na jego powierzchni plamę wyciekającej krwi.

Potem za nimi rozległ się następny strzał. Pod innym kątem i z innej odległości. Szyba w lukarnie nad nimi poszła w drobny mak, wyłapał dobiegający stamtąd krzyk bólu. Margrethe wywiązała się z zadania i wyeliminowała z gry czwartego, ukrytego przeciwnika.

Rzucił się na bok, przetoczył kawałek i oddał dwa strzały w stronę ochroniarza. Oba wbiły się w białą koszulkę, która zalała się krwią, zanim jeszcze mężczyzna wypuścił z rąk własną broń i osunął się na ziemię.

Kątem oka dostrzegł, że na kurtce Mossmana pojawiła się jasnoczerwona kropka. Momentalnie podniósł się do przysiadu i rzucił do biegu. Złapał Mossmana za biodra i powalił w chwili, gdy ponownie rozległ się huk, a on usłyszał świst tuż nad ich głowami.

Gdy miał oddać strzał w stronę tego, który nazywał się Nielsen, zobaczył, że mężczyzna stoi z twarzą wykrzywioną przerażeniem i obie dłonie wciska sobie w brzuch. Musiał dostać tą kulą ze strzelby, która była przeznaczona dla Mossmana.

Leżał i wpatrywał się w żywopłot wystarczająco długo, by zobaczyć, jak ciemna postać podnosi się i znika pomiędzy równymi rzędami iglaków. Snajper się ewakuował.

Rozejrzył się wokół. Lider Danehofu pół leżał, pół klęczał, trafiony dobrze odmierzoną strzałą z dużej odległości. Czoło opierał na stosach banknotów w walizce. Miał otwarte usta, a okulary pękły przy upadku i zwisały krzywo z twarzy.

Odruchowo ponownie skontrolował ich najbliższą strefę. Najpierw wzrokowo. Ani śladu aktywności w lukarnie. Mężczyzna w białej koszulce się nie ruszał. Wolf-Witte był martwy jak kłoda. Mossman podszedł do Nielsena i podniósł z ziemi jego pistolet.

Oxen wstał i pognał do drzwi i w górę, na piętro. Strzelec, którego Wolf-Witte umieścił w lukarnie, leżał i jęczał. Franck trafiła go w górną część klatki piersiowej. Jego strzelba leżała na podłodze. Podniósł ją i sprawdził, czy mężczyzna nie ma innej broni. Potem zbiegł schodami na dół i upewnił się, że zarówno strażnik, jak i Wolf-Witte nie oddychają.

— *Clear* — zawołał do Mossmana. — Może wezwiesz helikopter dla tego na górze? Możliwe, że się wylize. Dostał w klatkę piersiową.

Mossman pokiwał głową. Sprawiał wrażenie, jakby czuł się niezręcznie z pistoletem wymierzonym w Nielsena, który za moment upadnie — i umrze od rany w brzuch. Mossman wyłowił z kieszeni telefon i zadzwonił.

Franck wyszła teraz ze swojej kryjówki w ciemnej bramie jednego z hangarów. Miała strzelbę z celownikiem optycznym. Brakowało tylko Sonnego, ale ten — miejmy nadzieję — był w trakcie wykonywania swojej części zadania i nie wolno mu było przeszkadzać. Musieli czekać.

Nielsen upadł na plecy i dyszał ciężko.

— Chyba się udało. Wszyscy cali? To znaczy z wyjątkiem tego tutaj? — Franck uklękła obok ciężko rannego mężczyzny, sprawdziła ranę w jego brzuchu i pokręciła nieznacznie głową, podczas gdy Mossman przekazywał centrali alarmowej niezbędne

informacje.

— Za chwilę będzie po wszystkim. To Nielsen, prawda? Ten, który był drugim głównodowodzącym w dziale operacyjnym?

Mossman rozłączył się i pokiwał głową.

— Tak. To on... wysyłają helikopter.

On sam podniósł swoją pierwszą broń, tę, którą rzucił, kiedy Mossman kazał mu klękać.

— Możemy jakoś pomóc Sonnemu?

— Nie. Dajmy mu jeszcze pięć minut.

— Oszukała cię. Chciała cię zlikwidować pod osłoną całej jatk.

Mossman pokiwał głową z poważną miną i położył mu rękę na ramieniu.

— Dziękuję, żołnierzu, że tak szybko wyczułeś zagrożenie.

— Kajsa Corfitzen jest piekielnie dobrym strzelcem. Trzy razy z rzędu zdobywała mistrzostwo w Cambridge University Rifle Association — wyjaśniła Franck.

— *Well*, pamiętałem o zawodach strzeleckich w Cambridge. To dlatego jej to zaproponowałem. Myliłem się tylko, sądząc, że mam na nią haka, który pomoże jej oprzeć się pokusie — mruknął Mossman i pokręcił głową, wciąż niedowierzając. — No, ale mam nadzieję, że za moment będę go miał...

Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem — poza tym, że Kajsa próbowała zabić Mossmana. On sam dwie doby poświęcił na rozeznanie w terenie. Przeczesał małą wyspę wzdłuż i wszerz. W dzień w kamuflażu, a nocą w czarnym kombinezonie. W tym był ekspertem — w byciu niewidocznym. W obserwacji i ocenie. Na koniec wyznaczył pozycje, które Franck i Sonne mieli zająć, gdy tylko zapadnie noc. Wielokrotnie przeliczał, ilu potrzeba ludzi, by dobrze się przygotować. Na szczęście przewidział również, że szef Danehofu umieści dodatkowego człowieka w którymś z okien na górze z pełnym widokiem na miejsce transakcji.

Franck wstała.

— Nielsen umarł — stwierdziła.

Wzruszył tylko ramionami. O jednego mniej. Obecność tego człowieka na szczycie Danehofu mogła tłumaczyć sporą część z tego, co się wydarzyło w tym zbyt długim koszmarze na żywo, który zaczął się wraz z wieszanymi psami.

— Nie ma wątpliwości, że on...

Przerwało mu silne buczenie, jakby nacierał na nich rój wściekłych os.

Podniósł wzrok. Najpierw leciał nisko nad nimi, potem wzbił się na kilka metrów, by zastygnać nad ich głowami. Dron, który załatwił dla nich Sonne. Cztery duże wirniki siekły powietrze jak opętane. Pod kadłubem zawieszona była kamera w małej szklanej kuli.

A oto i Sonne szedł ku nim przez wysoką trawę wzdłuż żywopłotu. Zbliżał się od strony plaży i wymachiwał rękami. Teraz zaczął biec. Chwilę potem posadził drona na żwirze przed domem i próbował złapać oddech.

— Christian! Masz wszystko? I kamery internetowe, i drona?

Sonne wciąż sapał, opierając się rękami o kolana. Odpowiedział tylko skinieniem. Mossman z uznaniem poklepał siostrzeńca po plecach.

— Dobra robota. Mamy pełny sukces. Pozostaje tylko zadzwonić do Søborga, żeby przysłali kogoś do posprzątania.

Rozdział 87.

Zamek Nørlund na skraju lasu Rold ani pod względem okazałości, ani otoczenia nie mógł konkurować z imponującą twierdzą rodu Kopparstiernów w Torup.

Małe stado kaczek dokazywało donośnie na ciemnej tafli wody. Czuł się dobrze, zmierzając przez fosę do małego placu pomiędzy trzema skrzydłami Nørlund. Wydawało się niemal niedorzeczne, by ten mały zameczek pod lasem mógł być kolebką tylu zbrodniczych spisków i jedną z osi, wokół których obracało się mroczne imperium Danehofu.

Ale to prawda — to tu podłożone zostało zarzewie, kiedy emerytowany ambasador Corfitzen został znaleziony martwy na swoim fotelu. To tu Niels Oxen i jego pies nieświadomie wdepnęli w kryjące się między kwiecistymi rabatami bagno. Pierwszą iskrę rozpałił ówczesny minister sprawiedliwości Rosborg, gdy w chwili szaleństwa zamordował litewską dziewczynę z agencji towarzyskiej. Gdyby tego nie zrobił, nie stałby tu w tej skąpanej w słońcu chwili.

Podniósł kołatkę, zapukał mocno w ciężkie deski, aby nawet zła księżniczka żyjąca za tymi grubymi murami nie mogła nie usłyszeć, że stawiał się na ostateczne starcie.

Sonnemu, Franck i Oxenowi wyjaśnił — wbrew prawdzie — że ostatnia z żyjących liderów Danehofu postawiła warunek, by spotkanie odbyło się w cztery oczy. Nie miał w związku z tym najmniejszych wyrzutów sumienia — nonszalancki stosunek do prawdy zawsze był uzasadniony, jeśli służył wyższemu celom.

Drzwi się otwarły. Stała w nich ona sama. Karin Kajsa Corfitzen. Błada, potargana i z podkrążonymi oczami.

— Wejdz — powiedziała i zamknęła za nim drzwi, po czym poprowadziła go długim korytarzem do małego saloniku

z kominkiem.

Usiadł w fotelu na wprost niej. Nie zasiadali do negocjacji. Zasiadali, by mógł od niej przyjąć całkowitą kapitulację.

Z torby wyjął laptop i postawił go na stoliku między nimi. Słowa były zbędne. Wcisnął klawisz i uruchomił posklejane w jedno nagranie ujęcia.

Kajsa Corfitzen siedziała tylko i zmęczonymi oczami patrzyła na ekran. Widziała na nim siebie, jak ukryta między cienkimi gałęziami żywopłotu oddaje najpierw śmiertelny strzał w stronę najwyższego lidera Danehofu Johana Wolfa-Wittego i zaraz potem kolejny strzał, który był wymierzony w niego, lecz zamiast tego wysłał na drugą stronę Kaarego Nielsena. Nagranie zawierało zarówno zbliżenia, jak i szerokie kadry z dwóch różnych kamer.

Twarz strzelca pozostawała jednak niewidoczna w głębokim cieniu drzew. To się zmieniło, gdy postać rzuciła się biegiem pomiędzy gałęziami i wybiegła na słońce po drugiej stronie zagajnika. Dron nagrał również tę część ucieczki Kajsy Corfitzen. Uchwycił także, jak zrywa siatkę maskującą z dużego pontonu i przy pełnej mocy potężnego silnika przecina wody cieśniny z kursem na stały ląd.

Kajsa Corfitzen pokiwała głową. Widać było, że nie zamierza się bronić.

— Tak. Domyśliłam się, że to fruwające coś było od ciebie — powiedziała.

— Dlaczego złamałaś naszą umowę?

— A co tak naprawdę na mnie miałeś? Nagranie dźwiękowe, w którym przyznaję się do zastrzelenia Arvidsena. Żaden sąd nie uznałby takiego dowodu. Widziałam się z moim adwokatem... Więc pomyślałam, że czemu nie skorzystać z okazji, skoro się nadarza.

— Mimo wszystko podtrzymuję moją obietnicę listu żelaznego.

— W zamian za archiwa?

— Tak. Możesz usunąć z archiwów Północy materiały, które

mogą obciążać ciebie — jeśli takie istnieją.

— Nie istnieją. Historia z Arvidsenem nie została odnotowana na piśmie. A nic więcej nie ma.

— Więc gdzie?

— Po tym, jak Oxen i Franck się tu włamali, archiwa zostały przeniesione do elektronicznie zabezpieczonego sejf, który ojciec wiele lat temu umieścił w lesie.

— A Południe?

— W piwnicy pod małym wiejskim domem na terenach zamku Gram.

— I Wschód?

— W piwnicy pod głównym budynkiem na Egholmie. Za jednym z paneli w boazerii jest sekretne zejście na dół. To tam odbywaliśmy zebrania.

— Pójdiesz ze mną. Dziś Północ. Jutro Południe. Pojutrze Egholm.

Kajsa Corfitzen znów skinęła głową.

— Ty decydujesz.

— Jeszcze parę wyjaśnień, zanim pójdziemy do lasu. Wiesz, gdzie ukryto ciało tamtej Litwinki?

— Ojciec miał obsesję na punkcie dokładności i wszystko zapisywał. Ciało zostało pochowane. Nie pamiętam, gdzie dokładnie, ale gdzieś jest o tym mowa.

— A K.K.K. — Knud Klint Kopparstierna?

— W moim archiwum go nie ma — jest na Egholmie.

— Tak, to jasne. Ale chciałbym się tylko dowiedzieć, czy go zabiliście.

Kajsa Corfitzen przytaknęła i westchnąwszy, wyjaśniła:

— Ówczesne kierownictwo Danehofu zdecydowało o jego usunięciu, tak... Uznano go za zagrożenie. Najwyraźniej

zamierzał sabotować działania organizacji, ale nie wczytywałam się w akta sprawy.

— Johan Wolf-Witte planował się wycofać. To dlatego chcieliście z Villumem zaatakować. Wiesz, kto miał przejąć po nim pałeczkę?

— Nie mam pojęcia.

— A przypuszczenia?

— Żadnych. Takie są zasady.

— Ojciec Wolfa-Wittego też był prezesem Sądu Najwyższego... Czy i on był liderem Danehofu?

— Zgadza się.

— A przed nim?

— Brockenberg-Wiig. Arystokrata i potentat rolny.

— Słyszałem gdzieś to nazwisko... Pomyślałem, że być może to celowy zabieg, aby najwyższy lider organizacji reprezentował trójpodział władzy.

— Istnienie zarówno władzy ustawodawczej, jak i prawodawczej i sądowniczej zawsze było dla nas sprawą absolutnie fundamentalną. Z historycznego punktu widzenia szczególną wagę przywiązywaliśmy do władzy sądowniczej. Nie było jednak gwarancji, że zawsze będziemy mieli w swoim gronie prezesa Sądu Najwyższego. Danehof po raz ostatni zebrał się w tysiąc czterysta trzynastym roku w Nyborgu. Eryk Pomorski przeniósł wówczas centralną administrację państwową do Kopenhagi, a Danehof został zastąpiony Radą Królewską. Danehof przeszedł do podziemia, od razu zabezpieczył sobie w niej swoje wpływy i przez wiele lat posiadał w Radzie Królewskiej swoich przedstawicieli. Ale to historia. Mnie zaś interesuje to, co teraz. Odpowiedzialność za rozwój państwa. I od teraz, o ile mogę ci wierzyć, będę zdana na twoją łaskę lub niełaskę, czy tak, panie Mossman?

— Tak. Jesteś zdana na moją łaskę do końca życia. Taka jest cena, Kajso. I to jest dobra cena.

— Możesz mi wierzyć lub nie... Nigdy nie akceptowałam

stosowania przemocy. Czy to w imię prywatnej korzyści, czy w imię Danehofu. Byłam wstrząśnięta, kiedy się zorientowałam, w jaki sposób mój ojciec sprawował swój urząd: seks, podglądanie, wymuszenia. Złamał mi serce...

— Sama dopuściłaś się zbrodni w imię Danehofu.

— Tak. Arvidsen.

— On i teraz Wolf-Witte.

— Gdybym nie zabiła Arvidsena, Niels Oxen wytropiłby nas już wtedy. A z Wolfem-Wittem miałam osobisty rachunek do wyrównania. Jak sam zauważyłeś: on mnie pociągnął w dół. Więc tu wybór był łatwy.

— Zatwierdziłaś również zabójstwo Rosborga.

Wzruszyła tylko ramionami.

— A także zatwierdziłaś całą nagonkę na Nielsa Oxena i *zniszczenie* go w dosłownym znaczeniu tego słowa.

Kajsa Corfitzen pokiwała smutno głową. A potem podniosła na niego niewidzący wzrok.

— Niels Oxen... hm... — Przez chwilę milczała. Potem mówiła dalej: — Polubiłam go. Ale tak, niestety... nie było innego wyjścia. Oxen to przypadek szczególny. Jego historia zaczęła się zupełnie gdzie indziej. To jak — idziemy?

— O nie, aż tak mi się nie śpieszy. Opowiedz o Oxenie...

Rozdział 88.

Euforię, jaka ich ogarnęła po obaleniu Danehofu, szybko ostudziły wątpliwości. Mossman kazał im jeszcze uzbroić się w cierpliwość, bo potrzebował czasu aby „załagodzić atmosferę i uścisnąć kilka dłoni”. Tak brzmiały jego ostatnie słowa, zanim kazał mu wracać do pokoju w piwnicy i czekać na zielone światło.

Stary olbrzym z PET siedział teraz na wprost niego razem z Margrethe Franck. On zaś miał obok siebie Christiana Sonnego o rozpalonych z emocji policzkach.

Zasiedli przy stole w sali zebrań w głównej kwaterze Policyjnej Służby Wywiadowczej w Søborgu.

Był to gabinet nowego szefa, Karstena Salomonsena. Na stanowisku był od niedawna. Po odejściu Mossmana przez długi czas jego miejsce zajmował dowódca tymczasowy.

Salomonsen wyglądał jak wycięty według znanego szablonu: czterdzieści kilka lat, krótkie włosy, zadbany, ubrany w grafitowy garnitur, białą koszulę i niebieski krawat. A jednocześnie w jakiś sposób inny. Nosił okrągłe okulary, nieco większe niż te, które kiedyś nazywano lenonkami. Zza grubych szkieł spoglądało na nich dwoje życzliwych, lekko skośnych i sennych krecich oczu, które budziły ufność, co było istotnym elementem szablonu. Jednak na tym akurat stanowisku podobieństwo do kreta pod każdym innym względem byłoby niefortunne.

Salomonsen osobiście ich przyjął na dole, w recepcji, i zaprowadził do swojego gabinetu.

Mossman wyrażał się o nim pochlebnie i z szacunkiem, powołując się na obiegową opinię, że „ma diabło bystry umysł, doskonały zmysł strategiczny, a przy tym jest miłym człowiekiem”.

Sam wcale nie miał ochoty siedzieć przy stole z Salomonsenem.

Nadal był martwy, a jeśli nie był martwy, to był poszukiwany za zabójstwo.

„Spokojnie, żołnierzu. Salomonsen dał mi słowo, że nie zostaniesz aresztowany. Masz być w Søborgu o dziesiątej. Franck i Sonne też przyjdą”. Tak zapewnił go Mossman, kiedy zadzwonił do niego dzień wcześniej.

Nowy głównodowodzący PET usiadł na końcu stołu.

— Chciałbym wam podziękować — zaczął. — Ogromnie jesteście wdzięczni za wasz wkład. To, czego dokonaliście, jest... nadzwyczajne. Mogę was poinformować, że efekt waszej pracy stoi w tej chwili na tyłach budynku w trzech ciężarówkach wypełnionych materiałem archiwalnym Danehofu Nord, Syd i Øst. Ciężarówki są pilnowane przez całą dobę i wkrótce rozpoczniemy szeroko zakrojone prace nad czytaniem dokumentów i ich zindeksowaniem w jakiś czytelny sposób.

Więc to prawda, co powiedział im Mossman. Że archiwa zostały odnalezione i są zdeponowane w PET. Tyle że w jego mniemaniu to wcale nie oznaczało, że są bezpieczne. Dał znak, że chce zabrać głos. Salomonsen przerwał i skinął na niego.

— Z tego, co rozumiem, umowa z Mossmanem jest taka, że każdy może zajrzeć do archiwów, jeśli istnieje uzasadnione podejrzenie, że został w nich wspomniany. Ja zostałem — niewątpliwie. Kiedy więc mogę się do nich dostać?

Krecie oczy uśmiechnęły się i Salomonsen pokiwał głową uspokajająco.

— Zgadza się. Za chwilę do tego wrócę, Niels. Jak się słusznie domyślasz, wszystko dokładnie omówiłem z moim poprzednikiem. Odbyliśmy szereg spotkań, w czasie których Axel Mossman wprowadził mnie w złożoną strukturę sprawy. Sprawa niewątpliwie przytłacza — zarówno swoim ciężarem, jak i zasięgiem. Chciałbym jednak zacząć od was. To dzięki waszej odwadze i ciężkiej pracy te dokumenty ujrzały światło dzienne. Zapłaciliście za to ogromną cenę. Zarówno ty, Margrethe, jak i ty, Christianie, zostaliście wyrzuceni z korpusu ze skutkiem natychmiastowym. Na podstawie dowodów, jakimi wówczas

dysponowaliśmy, wydawało się to jedynym rozsądnym rozwiązaniem... Teraz historia wygląda zupełnie inaczej. Chciałbym naprawić wyrządzone szkody i zaoferować tobie, Christianie, powrót do służby w Komendzie Policji Okręgu Jutlandii Wschodniej w Aarhus. Wszystko ustaliłem już z tamtejszym komendantem.

Sonne był wyraźnie poruszony. Oxen klepnął go raz po udzie i zauważył, jak jabłko Adama wędruje w górę i w dół, jak winda.

Salomonsen tymczasem mówił dalej:

— Z przyjemnością chciałbym również zaproponować tobie, Margrethe, powrót na twoje dawne stanowisko tu, u nas.

Margrethe zachowała kamienną twarz. Wciąż była sobą — silną i niezależną.

— Nie musicie odpowiadać od razu — szybko dodał Salomonsen. — Oczywiście otrzymacie również zadośćuczynienie. Trudno mi w tej chwili ocenić, czy to, co was spotkało, można nazwać „bezpodstawnym zwolnieniem”. Wiem natomiast, że bardzo się ucieszę, jeśli się zgodzicie.

Aha. Axel Mossman odwalił zatem kawał dobrej roboty za kulisami. Spojrzał na Franck — chyba jednak dostrzegł na jej policzkach odrobinę koloru.

— Co się zaś tyczy ciebie, Niels... — Krecie oczy znów się uśmiechnęły. A gdy szef PET w zamyśleniu podniósł rękę, by podrapać się po karku, prawy rękaw podsunął się i odsłonił bransoletkę z małych kolorowych paciorków. Wyglądała jak dzieło zdolnego przedszkolaka, które w ramach zajęć wykonało prezent dla swojego taty. Może zapomniał ją zdjąć. A może właśnie nie zapomniał. Salomonsen w końcu podjął wątek — ...tu oczywiście zaistniały bardzo szczególne okoliczności, które musimy dogłębnie zbadać. Twój aktualny status jest taki, że jesteś wolnym człowiekiem i możesz robić, co chcesz, pod warunkiem że pozostaniesz w kraju.

— A dostęp do archiwów? — powtórzył swoje pytanie. Musiał mieć coś, czego mógłby się uchwycić.

— W ciągu kilku dni. Podczas przeglądania będzie ci towarzyszył jeden z moich pracowników, zgoda?

Pokiwał głową. Pasowało mu to. Dziwne, ale w jakiś banalny sposób poczuł się pewniej, gdy zobaczył koralikową bransoletkę na nadgarstku szefa PET.

— Są również pewne sprawy, które chciałbym omówić z wami wszystkimi. Następnie poproszę, abyście każde z osobna złożyli wyjaśnienia. Przekażę je ludziom ze specjalnej grupy roboczej, którą stworzyłem do tego zadania. Wiem, że nie zdołacie zrobić tego w jeden dzień, ale przynajmniej zacznijmy.

Rozdział 89.

Pierwsza ciężarówka ruszyła z rykiem silnika o drugiej w nocy z placu na tyłach głównej siedziby PET w Søborgu. Za nią druga i trzecia.

W blasku świateł mijania można było dostrzec dużą postać, która niespokojnie chodziła tam i z powrotem, najwyraźniej wydając jakieś polecenia. A gdy mężczyzna na moment stanął w wiązce lewego światła pierwszej z ciężarówek, widać było jego twarz. Cała była pokryta fałdami skóry, jakby mężczyzna się zmniejszył, a skóra nie podążyła za zmianą. Nadal był jednak postawny, a gesty miał kanciaste i szorstkie.

Uniósł prawą rękę i wykonał szereg kolistych ruchów, jakby wydawał milczący rozkaz niewidocznemu kierowcy siedzącemu wysoko nad dwoma mocnymi reflektorami: „Dalej, ruszamy...”.

Kierowca wrzucił bieg i odjechał kawałek w przód. Duża postać pośpieszyła do pierwszego z dwóch stojących na placu samochodów osobowych — czarnego audi. Zanim wsiadł do tyłu, mężczyzna odwrócił się i spojrzał w jedno z okien na samej górze budynku. Pokazał uniesiony kciuk i choć była ciemna noc, w jednym ze słabo oświetlonych okien dało się wypatrzyć zarys twarzy w okrągłych okularach. Mężczyzna w oknie również uniósł kciuk w górę.

Duży mężczyzna wgramolił się na tylne siedzenie i zamknął drzwi. Drugi samochód, stojący za audi uruchomił silnik. Na dachu miał koguta, który strzelał w ciemność niebieskimi błyskami.

Samochody wolno ruszyły do przodu. Szlaban został podniesiony i jeden po drugim wyjechały na Klausdalsbrovej i dalej, w stronę skrzyżowania ze światłami, gdzie skręciły w prawo w Buddingevej. Za ostatnią z trzech ciężarówek konwój zamykał trzeci samochód osobowy. On też miał na dachu niebieskiego

koguta.

Konwój poruszał się przez stosunkowo pustą o tej godzinie Kopenhagę płynnym ruchem, nie zatrzymując się na światłach. Od Gladsaxe Møllevej, przez Borups Allé, Bispeengbuen, H.C. Andersens Boulevard i przez Langebro na drugą stronę kanału, potem wzdłuż Vermlandsgade, Kløvermarksvej i Forlandet, by na koniec, niespełna dwadzieścia minut i szesnaście kilometrów później, skręcić w górę w Kraftværksvej i zbliżyć się do terenu, gdzie na końcu drogi wyrastały potężne budynki Amagerværket i spalarnia Amager Ressource Center, ARC.

Wysiadł z samochodu przed szeroką bramą z galwanizowanej stali zagradzającej wjazd na teren ARC. To tutaj łatwopalne stołeczne śmieci były przerabiane na prąd i komunalne ogrzewanie.

Do spalarni wiodły cztery tory — każdy zagrodzony szlabanem, a ruch, który za dnia musiał być ogromny, był regulowany światłami i nadzorowany z umieszczonej wysoko dyżurki.

Dokładnie na wprost wznosił się olbrzymi budynek Amager Bakke. Była to nowoczesna spalarnia śmieci, która zapisze się w historii, bo na jej dachu, od majaczącego w chmurach szczytu aż na sam dół, ma powstać stok narciarski.

Próbował to sobie wyobrazić. Śnieg i trasy alpejskie z drzewami iglastymi po obu stronach i skrzynki z kwiatkami, które według projektu mają zdobić ściany budowli od góry do dołu.

Niestety. Brakowało mu fantazji, aby to zobaczyć. Po nartach ludzie mieliby odpoczywać, paląc w barze dwie tony śmieci?

Do bramy szybkim krokiem zbliżał się jakiś człowiek w jaskrawożółtej kamizelce i białym kasku na głowie.

— Dobry wieczór. Nazywam się Axel Mossman — przedstawił się, gdy tamten stanął po drugiej stronie bramy. — Mamy specjalne pozwolenie z Ministerstwa Sprawiedliwości. — Między prętami podał mężczyźnie dokumenty. Tamten pod kamizelką miał na sobie szary garnitur i nie wyglądał na kogoś, kto

zamierzał zostać instruktorem narciarskim. Przeczytał wszystkie papiery i szybko pokiwał głową.

— Wszystko się zgadza. Zapraszam. Czekaliśmy na was. Trzy ciężarówki — i ile samochodów osobowych?

— Trzy. Stoją za ostatnią ciężarówką.

— Samochody zaparkujcie z przodu. Ciężarówek nie będziemy ważyć. Gdy zaświeci się zielone światło, po prostu wjedźcie. Podprowadzę was w górę rampy. Dyrektor czeka na górze.

— Świetnie. Bardzo dziękuję.

Mężczyzna odwrócił się i dał znak komuś, kto przyglądał im się zza ciemnych szyb budynku biurowego. Po kilku sekundach ciężka metalowa brama zaczęła się odsuwać.

On sam podszedł do kierowcy pierwszej ciężarówki i przekazał mu informacje, po czym wrócił na tylne siedzenie audi.

Gdy brama się odsunęła, podniósł się czerwono-biały szlaban i wjechali na teren zakładu. Ciężarówki jedna za drugą wjechały na ogrodzony teren spalarni, gdzie skierowano je na prawo, w górę zasłoniętej rampy, szerokiej jak autostrada.

Dostali żółte kamizelki i kaski, po czym mężczyzna w szarym garniturze pomachał do nich, by dołączyli do niego na górze. Na końcu rampy, w ogromnej hali, przed boksami do rozładunku w równym szeregu stały ciężarówki.

To tu zrzucano śmieci. W powietrzu czuć było słodkawy odór rozkładu. Zauważył ją przy pierwszym boksie. Stała z jakimś mężczyzną. To musiał być szef spalarni. Oboje mieli żółte kamizelki i kaski.

Gdy i ona go dostrzegła, ruszyła mu na spotkanie. Od czasu gdy wyrzuciła go z pracy, widział ją tylko raz. Całkiem niedawno, gdy uzyskał audiencję i spotkał się z nią w jej gabinecie, by zaproponować jej jedyne rozwiązanie, które może przynieść pożytek krajowi.

— Dobry wieczór, Mossman. — Minister sprawiedliwości Helene Kiss Hassing wyciągnęła do niego rękę i się uśmiechnęła.

— Witaj, Hassing.

— Wszystko idzie zgodnie z planem?

Pokiwał głową i położył jej uspokajająco dłoń na ramieniu. Niczego się nie działo, jeśli pielęgnuje się wrogość. A przyjaźń to rzadki towar, którego nie wolno brać za pewnik. Dlatego najważniejsze są sojusze. Oraz, naturalnie, spryt i przenikliwość. W przeciwnym razie szanse na powodzenie w jego konkretnej branży były takie jak na śnieżycę w piekle.

— Tak, wszystko tak jak zaplanowaliśmy.

— A Karsten Salomonsen?

— Był w swoim gabinecie aż do naszego wyjazdu. Nadzorował wszystko, wydał polecenia swoim ludziom.

— Powiem tylko, że początkowo nie wydawał się zachwycony całym przedsięwzięciem. Myślę jednak, że ostatecznie udało mi się przemówić mu do rozsądku — powiedziała minister.

— Na to wygląda. Mnie powiedział, że tak będzie najlepiej dla wszystkich.

— Bo to prawda. Cieszę się, że przyszedłeś z tym do mnie — pomimo naszych wcześniejszych... nieporozumień.

— *Well*, nie jestem typem, który chowa urazę.

— Wykonałeś świetną robotę, ujawniając całą tę aferę. Wielkie dzięki, Mossman.

Poszli dalej, bo Mossman chciał się przywitać z szefem ARC, który już wydał instrukcje. Grupa pracowników zakładu zaczęła wynosić kartony z pierwszej ciężarówki.

— Wiozą je windą na górę i wrzucają bezpośrednio do komory. Tak jak pani prosiła. — Dyrektor uśmiechnął się do minister. — Zresztą chodźcie ze mną, to sami zobaczycie.

Schodami weszli w głąb budynku, skąd dużą windą wjechali na górę. Po chwili wyszli na korytarz, gdzie dyrektor otworzył metalowe drzwi i zaprosił ich do środka.

— To dawniej było stanowisko operatora dźwigu. Teraz nikt już

tu nie siedzi. Wszystko jest zautomatyzowane — wyjaśnił dyrektor.

Stali w szklanej kabinie wystającej kawałek nad przepaścią. Poniżej zionął ogromny betonowy szyb wypełniony odpadami, na samym jego dnie można było dostrzec boksy rozładunkowe.

Rozejrzał się. Na dwóch fotelach z wysokimi oparciami i zagłówkami siedzieli operatorzy dźwigu, którzy wykonywali swoją pracę za pomocą najróżniejszych joysticków. Została po nich popielniczka i stara filiżanka. Poza tym, że wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu, kabina była jak kapsuła czasu, w której zatrzymano moment, gdy operatorzy opuścili swoje stanowisko. Nagle na stalowej linie wysunął się ogromny chwytak i wypuścił swój ładunek do jednego z otworów przy przeciwległej ścianie.

— Tam znajdują się cztery piece. I teraz wszystko robi się samo.
— Dyrektor wzruszył ramionami.

Poniżej otwarły się drzwi i na betonowy pokład po ich prawej jeden po drugim ostrożnie zaczęli wychodzić ludzie z pudłami, które wrzucali do najbliższego otworu.

— Zsysem zjeżdżają prosto do pieca. I finito — powiedział dyrektor, wskazując w dół.

Mossman pokiwał głową i mimowolnie się uśmiechnął. Archiwa Północy, Południa i Wschodu nie mogłyby zostać zniszczone w sposób bardziej skuteczny. Nie miał pojęcia, ile metrów sześciennych zajęło imperium terroru Danehofu, ale wiele kartonów będzie musiało przejść przez czyściec, nim ostatecznie zakończy ono swoje istnienie.

— Czy mógłbym zamienić z panią minister kilka słów w cztery oczy? — spytał dyrektora, który pokiwał głową, odparł „naturalnie” i niezwłocznie opuściłabinę.

— Miałem okazję trochę poszperać w archiwach. Kresten Hildmand był ostatnią ofiarą. Niestety, nigdzie nie ma ani słowa, kogo wynajęli.

— Hildmand? — Minister wyglądała na zaskoczoną.

— Pewnie się bali, że mogą istnieć jakieś ślady wiodące od kartelu wprost do nich.

Helene Kiss Hassing pokiwała głową. Przez chwilę milczeli i patrzyli tylko, jak ludzie poniżej wrzucają w ogień kolejne pudełka. Niektóre materiały w twardej oprawie wypadały z pudełek w momencie rzucania.

— Palenie książek to jeden z tych symboli, które zawsze przywołują określone obrazy — skomentowała cicho minister.

— Niektóre książki zawierają rozdziały tak mroczne, że lepiej, by zostały spalone... Zaraz, czekaj chwilę...

Ostrożnie pogrzebał przy kołnierzyku minister i strzepał coś, po czym wytarł rękę w nogawkę spodni.

— Pajęczyna — wyjaśnił. — Cholernie dużo pajęczyn wokół nas ostatnio.

— Dziękuję... W głowie się nie mieści, że coś takiego mogło mieć miejsce. Przez tyle stuleci, od Danehofu w Nyborgu do teraz. Przysięgam, Mossman, dostaję gęziej skórki, jak o tym pomyślę...

— Władza nie ma terminu przydatności.

Minister pokiwała tylko milcząco głową.

Drzwi na betonowy pokład znów się otwały i na skraj platformy wyniesiono kolejną porcję pudełek.

— Jak mówiłem na naszym spotkaniu... — zaczął, nie odrywając wzroku od pracujących poniżej mężczyzn. — Wolf-Witte zdążył wybrać swojego następcę. Nie wiem, kto nim jest, ale w tej chwili i tak została zniszczona cała struktura władzy. Zarówno jej aspekt organizacyjny, jak i finansowy. Dlatego nie sądzę, by dało się ją wskrzesić. Ten człowiek stałby się szefem... niczego.

— Mossman, nikt nie zdołałby tego rozwiązać lepiej niż ty. Poza tym ministerstwo jest gotowe, by oficjalnie potwierdzić utworzenie komisji. Tamtą... drażliwą kwestię ominiemy, wskazując, że gdy odchodziłeś, informowaliśmy, że robisz to ze względów zdrowotnych. Teraz podreperowałeś zdrowie i mogę bezpiecznie powierzyć rolę przewodniczącego komisji osobie

o największym doświadczeniu i najlepszych możliwych kwalifikacjach. Coś w tym stylu... Może tak być?

— Brzmi doskonale.

— Będziemy się odtąd dość często spotykali. Bardzo mi zależy, abyśmy starali się unikać określeń typu terroryzm. Wolałabym położyć nacisk na bezpieczeństwo. Obrócić to w coś pozytywnego. Moim zdaniem właśnie tak powinniśmy przedstawić rolę tej komisji: bezpieczeństwo. Pomyśl o tym, dobrze?

Uśmiechnął się i przytaknął.

Czy ta biedna kobieta myśli, że odkryła coś nowego? Każdą sekundę swojej pracy zawodowej poświęcił kwestii bezpieczeństwa. Bezpieczeństwa, które jest iluzją, lecz iluzje są po to, by je podtrzymywać. W przeciwnym razie życie stałoby się nie do zniesienia.

To dlatego znaleźli się w tym miejscu. I w tej chwili. By ochronić pewną iluzję. Kolejny karton poleciał do pieca. Zamierzał tu zostać, dopóki nie zniknie ostatni z nich.

Axel Mossman i trzy osobowe samochody służbowe właśnie odjechali. Ostatnia ciężarówka również zbliżała się do stojącego pionowo szlabanu przy wyjeździe. Helene Kiss Hassing przed chwilą podziękowała dyrektorowi zakładu i na pożegnanie obdarowała go kolejnym ciepłym ministerialnym uściskiem dłoni, pamiętając, by mu zwrócić kamizelkę i kask.

Wsiadła za kierownicę swojego samochodu. Przekręciła kluczyk. Spojrzała na zegarek. I zadzwoniła.

— To ja. Wszystko zostało zniszczone... Będę za pięć minut.

Rozdział 90.

Po lewej mijąca pogrążoną w egipskich ciemnościach plażę Amager, skręciła i wolno przejechała przez most Lagunebroen. Na małym rondzie trzymała się lewego pasa i pojechała na sam koniec, na parking przy Strandstation 3.

Wiele razy była tu z rodziną. W wyjątkowo ciepłe wiosenne dni albo w upalne lato, gdy wszyscy przebierali się w kostiumy kąpielowe i wskakiwali do wody. Ale zaglądała tu również w pochmurne jesienne dni. Nigdy natomiast nie była tu nocą. O tej porze to miejsce wydawało się równie ponure jak powód, dla którego tu przyjechała. Otrząsnęła się z tej myśli, zaparkowała i wysiadła. Poza dwiema przyczepami kempingowymi na parkingu stał tylko jeden inny samochód.

Cienki skrawek księżyca wystarczał, by rozrzedzić ciemność, kiedy wzrok się do niej przyzwyczył.

Na pierwszej ławce siedziała samotna postać. Mężczyzna. Usiadła obok niego.

— Cześć, Per.

— Witaj, Helene.

— Długo czekasz?

Prokurator generalny Per Eilertsen wzruszył ramionami.

— Z godzinę, tak myślę. Jest ciepła noc... dobrze tak posiedzieć i porozmyślać. Nigdy nie bałem się ciemności, nawet w dzieciństwie. Powiedziałbym nawet, że wręcz ją lubię. Sprowadza spokój... Wszystko poszło sprawnie?

— Tak. Wszystko zniknęło. Były tego trzy ciężarówki. Co prawda niepełne, ale mimo wszystko było to całkiem sporo pudełek. Wrzucali je bezpośrednio do jednego z pieców. Byłam tam i widziałam wszystko razem z Mossmanem. W dzień dym byłby

lepiej widoczny.

Oboje odwrócili głowy w prawo. W linii prostej było to całkiem blisko. Cztery białe kominy ze świecącymi na czerwono obręczami. Trzy z brzegu należały do elektrowni. Czwarty, samotny, był kominem spalarni. Unosiła się z niego cienka smuga.

Minister Helene Kiss Hassing mówiła dalej:

— Został tylko popiół.

— Tak jest najlepiej. Archiwa od zawsze stanowiły ryzyko. Według mnie należało je zniszczyć już dawno. To, co się stało, to nie koniec. To nowy początek. Mamy pełną swobodę działania. Możemy zrobić, co tylko zechcemy. Dlatego musimy się wspólnie dobrze zastanowić, w jaki sposób najlepiej przysłużymy się Danii.

— Mossman jest przekonany, że nie ocalało nic. Ani ze struktur, ani ze źródeł finansowania, jak stwierdził.

— Wolf-Witte, gdy się dowiedział, co się święci za jego plecami, zdążył mnie poinstruować, jak uruchomić procedurę awaryjną. To był niesłychanie ostrożny człowiek... Bez obaw, damy sobie radę. Ale Axel Mossman niech dalej myśli swoje. Tak naprawdę w pojedynkę położył na łopatkę całą organizację — podsumował prokurator z pewnym uznaniem w głosie.

— Myślisz, że to Mossman? A może to ten żołnierz, ten od tych wszystkich odznaczeń?

— Niels Oxen. Taa... To namacalny dowód istnienia porządku rzeczy. Gdyby nie powstał z martwych, w ogóle by nas tu nie było. A co z pozostałą dwójką?

— Kobieta wraca do PET. A siostrzeniec Mossmana na komendę w Aarhus.

— Doskonale. Niech tak zostanie. Odcinamy się od tego wszystkiego, Helene. Zamykamy ten rozdział. *A new beginning...* Ogromna odpowiedzialność. Ogromne wyzwanie. Jak często człowiek dostaje w życiu taką szansę?

— Fakt. Zapowiada się ciekawie, bardzo ciekawie. Już się cieszę.

Ale co robimy z Kajsą Corfitzen?

— Ona odpada. Zbyt ryzykownie byłoby ponownie ją wtajemniczać.

— A Consilium? Nie stworzymy lepszego narzędzia do nadawania tonu i sterowania debatą publiczną. Ośrodek cieszy się dużym poważaniem.

Prokurator generalny potarł miękką skórę pod podbródkiem. A potem z wahaniem w głosie odparł:

— Nie możemy dalej używać Consilium. Odtąd stale będzie na celowniku.

— W spalarni Mossman powiedział, że Kresten Hildmand był ostatnią zamordowaną osobą. Sprawa kartelu mogła być dla ciebie przełomowa jako dla prokuratora generalnego. Ale dla ciebie jako przyszłego szefa Danehofu musiała być wyjątkowo ciężka. To musiał być dla ciebie taniec na linie, balansowanie pomiędzy sprzecznymi interesami. Bo zakładam, że wiedziałeś o Hildmandzie?

Sama słyszała oskarżycielski ton w swoim głosie. Eilertsen tylko pokiwał głową.

— Oczywiście, że wiedziałem. Jest mi niezmiernie przykro, że byłem zmuszony podać ci nieprawdziwe informacje, ale musiałem najpierw cię poznać. Hildmand zdaniem Wolfa-Wittego byłby jak słoń w składzie z porcelaną. Stąd taka decyzja. Ale jeszcze na długo, zanim wynikła sprawa Hildmanda i kartelu, uzgodniliśmy z Wolfem-Wittem, że zadaniem, którym wkupię się do Danehofu, będzie pozyskanie ciebie. Postanowiliśmy tak wyłącznie na podstawie twoich kompetencji. Dlatego jedno z drugim tak naprawdę nie ma żadnego związku. Poza tym mogę cię poinformować, że twoje pięć milionów jest gotowe do wypłaty. Tylko trzeba je przepuścić bardzo ostrożnie. Zastanawiałaś się już, jak to zrobimy?

Pokręciła głową.

— Moje konta jako członka rządu muszą być czyste jak iza.

— Tak, to oczywiste.

— Chyba najlepsza byłaby gotówka. Ale na razie wstrzymaj wypłatę. Dla mnie liczą się misja i wyzwanie. Szansa, by coś zmienić. Pieniądze mają znaczenie drugorzędne. Poczekajmy, aż wszystko się uspokoi, i spotkajmy się u mnie za miesiąc, w pierwszy dzień roboczy. Już późno. Albo wcześniej, w zależności od temperamentu. Jedź pierwszy.

Uściskała go lekko, wstała i ruszyła z powrotem do samochodu. Czuła motyle w brzuchu. Niesłuchanie ekscytujące będzie przejąć stery. Tworzyć wizje. Układać strategie. I cudownie będzie widzieć, jak są realizowane bez mozolnego przepychania projektów przez parlamentarne bagno.

— *Well, well, well*, a to dopiero... — mruknął pod nosem i zadowolony zakończył połączenie ze swojej komórki.

Siedział na ławce przy plaży po lewej stronie Lagunebroen, gdzie na jego prośbę wysadził go kierowca z PET. Był to zresztą ten sam zaufany pracownik, który zamontował GPS w samochodzie minister sprawiedliwości, kiedy była zajęta doglądaniem palenia dokumentów.

Patrzył przed siebie w ciemność. Za chwilę po drugiej stronie mostu pojawią się światła mijania, gdy minister włączy silnik.

Zamierzał zająć pozycję w krzakach tuż obok mostu i nagrać krótki film, kiedy będzie przejeżdżała. Potem zaczeka i nagra następny samochód, który wyjeżdżał teraz z terenu plaży na Strandvejen. W samochodzie, jak wynikało z rozmowy, którą właśnie podsłuchał, siedział prokurator generalny Per Eilertsen z Wydziału do spraw Zwalczania Przeszłości Gospodarczej i Międzynarodowej.

Zatem poza wysokim stanowiskiem w aparacie państwowym Per Eilertsen był również spadkobiercą pozycji najwyższego lidera Danehofu. To ci niespodzianka... Choć w sumie była w tym jakaś logika.

Dwa pliki wideo same w sobie nie będą dowodem, ale nabiorą

większej mocy w połączeniu z rozmową, która właśnie została zapisana na małym twardym dysku na jego kolanach.

Znów mruknął z zadowoleniem. Niniejszym ostatecznie elementy układanki elegancko powędrowały na swoje miejsce.

Nawet jako emeryt, odsunięty na boczny tor, zachował swój *touch*. Niezrównaną zdolność rozpoznawania sytuacji, w których coś jest inne, niż się wydaje.

Nie potrafił dokładnie określić, w którym momencie nabrał podejrzeń co do Helene Kiss Hassing. Może już wtedy, gdy go zwolniła? Nie dlatego, że to zrobiła. Lecz dlatego, że w ogóle nie miała ochoty go wysłuchać. Osoba kompetentna i poważana próbowała jej wyjaśnić rolę, jaką w sprawie odegrał Danehof, a ona kompletnie go zbyła i uznała, że bredzi.

Na to pewnie nałożył się również fakt, że w krótkim czasie minister sprawiedliwości zaczęła być powszechnie opisywana jako polityk szczery i całkowicie odporny na korupcję. Na takie sygnały w kręgach władzy należy być szczególnie wyczulonym.

O słuszności swoich podejrzeń ostatecznie się przekonał, gdy minister nie poprosiła nawet o czas do namysłu, kiedy zaproponował, by dla dobra kraju zniszczyć archiwa.

Na jej zakiecie nie było żadnej pajęczyny, kiedy stali w przeszklonej kabinie i patrzyli, jak pudełka znikają w ogniu. Pod pozorem życzliwego gestu przyczepił jej maleńki mikrofon. I pomodlił się w duchu, by jego przeczucie się potwierdziło.

Wstał i schował dysk do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

Znów ustawił się na dogodnej pozycji. Dzięki przebiegłości i sprytowi. Klasyczna dramaturgia, jak u Sofoklesa albo Ajschylosa.

Nagranie trafi do jego piwnicy, gdzie będzie dojrzewać wraz z pozostałymi eksponatami jego już i tak sporej kolekcji najcenniejszych skarbów świata: wiedzy.

Idąc w stronę krzaków przy moście, poklepał się po piersi, by poczuć twardy dysk.

Miał w kieszeni czyste złoto — znowu.

Rozdział 91.

Zebry i gnu odbywały właśnie coroczną masową wędrówkę z Serengeti w Tanzanii do Masai Mara w Kenii, kiedy ktoś zapukał do drzwi jego pokoju.

Miał wrażenie, że pół życia spędził, idąc w ślad za zwierzętami całego świata, ale nigdy go to nie nudziło.

— Proszę.

Axel Mossman po raz drugi wstąpił w jego skromne progi. W ręce trzymał aktówkę.

Podniósł się na kanapie do pozycji siedzącej, ale telewizora nie wyłączył.

— Wielka migracja? *The great migration...* Fascynuje za każdym razem — mruknął Mossman i usiadł na jedynym krześle.

— Idą w ślad za porą deszczową, nieszczęśniki. Za chwilę przyplyną krokodyle.

Mossman się uśmiechnął, ale nic nie powiedział.

A może to były brednie? Bo najgroźniejszy krokodyl już przyszedł. Siedział na jego krześle.

— Byłem raz z żoną w Luksorze — zaczął Mossman. — Wybraliśmy się na rejs po rzece. Tam widzieliśmy krokodyla nilowego. Wielkości piętrowego autobusu, *give and take...* Co za bestia. Doskonale zaprojektowany zabójca. Największy ocalały z nich wszystkich.

— Przyszedłeś pooglądać ze mną Animal Planet?

Mossman pokręcił lekko głową.

— Jak zawsze bez ogródek. Nie, przyszedłem ci coś powiedzieć. Ale musisz mi obiecać, że nie urwiesz mi głowy. Bo mam naprawdę dobre wyjaśnienie. Okej?

Rozłożył tylko bezradnie ręce. Jak może cokolwiek obiecać z góry?

— *Well*, archiwa Danehofu zostały zniszczone. Spalono je dziś w nocy w spalarni Amager Ressource Center...

— Co?! Jak mogłeś...? — Poderwał się z kanapy i przystawiając wskazujący palec do bocznej twarzy Mossmana, wycodził przez zęby: — Spalono? A cała sprawa? Co z nią? Co z zabójstwem Rybaka? Co ze mną? Oskarżeniami? Co tu się, kurwa, dzieje, co?! — Czuł, że cały się trzęsie. Tylko mały stół z kafelkowym blatem powstrzymywał go przed złapaniem Mossmana za gardło.

— Chryste, Oxen, uspokój się! O tym właśnie mówiłem... Istnieje dobry powód. Oddychaj głęboko. I usiądź!

Gotowało się w nim. Mossman za to wyglądał na nieskończenie pewnego swojej racji. Całkowicie niewzruszonego. Wziął kilka głębokich wdechów i wbił chmurny wzrok w krokodyla.

— Uspokoileś się już? — spytała bestia.

Pokiwał głową. I wyrzucał sobie, że znów puściły mu nerwy.

— Posłuchaj. Tylko uważnie. Zostały *zniszczone*, bo z punktu widzenia demokracji stanowiły ohydne dziedzictwo. *Zniszczono* je, bo ewentualny przewód sądowy podważyłby naszą wiarę w ową demokrację. Bo niczemu się nie przysłużymy, jeśli podamy do publicznej wiadomości, że od stuleci istniał tajny krąg mrocznych ludzi sprawujących władzę. Najprawdziwsze państwo w państwie. Duńskie wydanie włoskiej Propaganda Due. Ludzie cholernie nie lubią, kiedy się ujawnia ich słabości. A my, Oxen, jesteśmy narodem uzależnionym od poczucia bezpieczeństwa. Nadal pielęgnujemy w sercu wizję policjanta, który wstrzymuje ruch na jezdni, by kacza rodzina mogła bezpiecznie przejść na drugą stronę. Lubimy myśleć, że Kopenhaga jest wolnym, beztroskim miastem cyklistów. Lubimy wierzyć, że ludki w futrzanych czapach strzegą naszej królowej i naszej demokracji. *Dammit*, to wszystko iluzja! Rzecz w tym, że jesteśmy wrażliwym społeczeństwem i przez to łatwym łupem. Przekonaliśmy się o tym, gdy tamten szaleniec zaatakował centrum kultury i synagogę w stolicy. A to był tylko jeden

człowiek, żaden skoordynowany atak... Mimo to w takiej sytuacji natychmiast paraliżuje nas strach. I potem długo nie możemy się otrząsnąć. Mamy pozwolić, by ten strach się rozszerzył? Zburzyć iluzję i odsłonić odrażającą gębę Danehofu, aby wszyscy mogli ją zobaczyć w wiadomościach? A pięć minut później zacząć się nerwowo oglądać za siebie? Odpowiedź brzmi: nie, nie i jeszcze raz nie. Wiele lat poświęciłem na podtrzymywanie tej iluzji. Nie ci w niedźwiedzych czapach, tylko ja. To ja nigdy nie śpię. To ja czuwam, gdy śpią inni. Zawsze tak było. I wciąż tak jest. Dlatego to *ja* zdecydowałem. *Ja* i nikt więcej. Dlatego kłamałem. I dlatego pewne rzeczy przemilczałem.

Axel Mossman zamilkł. Girlandy skóry zwisające z jego twarzy drżały. Niemal się zasapał. Teraz to stary olbrzym z PET musiał oddychać głęboko.

Postanowił nie naciskać go dalej. Mossman pewnie miał coś więcej. Musiał tak to sobie tłumaczyć. Krokodyle chowały swoje łupy pod konarami na dnie albo pod nawisami ziemi przy brzegu.

— A Franck? Ona wie? — spytał.

— Potwornie się wkurzyła. Na jakieś pół minuty. Była gotowa rzucić się na mnie z pięściami. Ale potem się uspokoiła. Ona wie, że złudzenia są wszystkim. I że trzeba stać na straży. Rozumiesz to, żołnierzu?

Wolno pokiwał głową. Owszem, rozumiał, ale wcale mu się to nie podobało.

— Więc... za twoją sprawą pierwszy zabił drugiego, a trzecia — pierwszego. A teraz wszystko ładnie posprzątałeś. Dobry plan, znakomite wykonanie. Tylko co teraz? Co z *moją* sprawą? I *moim* życiem?

Mossman otworzył teczkę i wyjął z niej jakieś kartki.

— Masz... Czytaj. — Podał mu jedną kartkę A4. Tekst był po angielsku. Zaczął czytać powoli i dokładnie.

Było to zeznanie Erica Bancrofta — alias Johna Smitha. Złożone przed jakimś George'em Wallace'em, szefem departamentu w MI5 w Thames House w Londynie. Bancroft przyznał się, że

gdy realizował prywatne zlecenie na terenie Danii, wydał pewien rozkaz. Rozkaz ten można było zrozumieć tak, że żąda, by zabito starszego mężczyznę, właściciela stawów hodowlanych na Jutlandii. Nie to jednak miał na myśli, wydając ów rozkaz. Nim jednak zdołał interweniować, staruszek został śmiertelnie pchnięty nożem myśliwskim.

Bancroft przyznał, że nóż został zabrany z miejsca zamieszkania Nielsa Oxena, zanim jego dom spłonął. Zabójcą był Duńczyk, niejaki Morten Lundbye. Poniżej wymieniono nazwiska czterech świadków, którzy byli obecni przy zabójstwie.

Zeznanie zostało podpisane odręcznie przez Erica Bancrofta.

Oxen przez chwilę patrzył na kartkę wielkimi oczami.

— Czyli skłamałeś. Pozwoliłeś mu uciec, prawda? Zawarłeś z nim układ?

— Tak, żołnierzu. Złożyłem mu ofertę, której nie mógł odrzucić. Czasem warto jest cofnąć się o kilka kroków. Spojrzeć z dystansu na daną scenę i zadać sobie pytanie, co będzie najlepsze dla wszystkich zainteresowanych. Poinformowałem już Karstena Salomonsena. Ale oczywiście otrzymasz oficjalne powiadomienie. Wszystkie zarzuty wycofano. Jesteś wolny...

Kątem oka widział, jak krokodyle podrzucały i rozrywały swoje łupy. Wolny?

— Więc to był *on*, Lundbye?

Mossman przytaknął.

— Tak. Wciąż nie wrócił do domu. I pewnie już nie wróci. PET przejęło sprawę. Wysłali za nim międzynarodowy nakaz aresztowania.

— A Bancroft?

Mossman wzruszył ramionami.

— Parał się tym i owym. Zarówno na własny rachunek, jak i dla piątki i szóstki. Wydaje mi się, że oni najchętniej trzymaliby go na kilometr od jakiegokolwiek sali sądowej. Zwłaszcza po tym, jak zobaczyli zawartość dysku USB, który mi pożyczyłeś... To była

nasza wielka szansa... Pozwolili mu wyjechać do Afryki. Może nie wróci stamtąd żywy. Ty w każdym razie nie masz się czego obawiać z jego strony. Przynajmniej tu, w kraju. Ale jest coś innego, co moim zdaniem powinieneś przeczytać. Pochodzi z archiwów Wschodu, z sierpnia dziewięćdziesiątego szóstego. Notatkę sporządził sam Wolf-Witte.

Wziął od Mossmana kolejną kartkę i zaczął czytać.

Z dniem dzisiejszym kończymy, przynajmniej tymczasowo, starania, by obronić nasz cenny nabytek, dowódcę batalionu Mogensa Yssinga, przed falą krytyki, jaka na niego spadła po sytuacji, która miała miejsce podczas wielkiej ofensywy Chorwatów Operation Oluja (Operacja Burza) w sierpniu zeszłego roku. Zawarliśmy dżentelmeńską umowę z bezpośrednim przełożonym Yssinga podczas misji ONZ, ukraińskim pułkownikiem Aleksejem Trefilovem. Zgodnie z nią Trefilov, jeśli to będzie konieczne, publicznie podkreśli, że to on jako dowódca sektora rozkazał żołnierzom ONZ pozostanie na swoich pozycjach, także podczas chorwackiej ofensywy. Mimo że na spotkaniu na krótko przed nią jasno oświadczył, że wobec powagi sytuacji odpowiedzialność decyzyjną pozostawia dowódcom poszczególnych kontyngentów. Postanowiliśmy docenić dobrą wolę Alexandra Trefilova i wypłacić mu dwieście dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Osiem dni temu podobną umowę zawarliśmy z ówczesnym austriackim attaché wojskowym w Berlinie, Kurtem Prödlem. On zgodził się wycofać ze swoich wypowiedzi o tym, jakoby chorwaccy oficerowie wielokrotnie alarmowali go o planowanej ofensywie, a on w konsekwencji wielokrotnie ostrzegał między innymi dowództwo batalionu duńskiego o zbliżającym się ataku Chorwatów. Tę obietnicę wynagrodziliśmy kwotą stu dziesięciu tysięcy dolarów. Podobną umowę zawarto jedenaście dni temu z ówczesnym pułkownikiem i jedną z osób odpowiedzialnych za planowanie Operacji Burza, Tomislavem Tudorem. Tudor twierdził wcześniej, że osobiście zwracał się do wielu dowódców misji UNPROFOR, w tym Mogensa Yssinga, z prośbą o wycofanie personelu ONZ, by nie znalazł się pod ostrzałem

nadchodzącej chorwackiej ofensywy. Tomislav Tudor zobowiązał się od tego momentu prostować swoje wcześniejsze wypowiedzi, tłumacząc, że został źle rozumiany i że żadnego kontaktu z jego strony nie było. Za ten życzliwy gest postanowiliśmy mu podziękować wypłatą stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Tym samym najpoważniejsze źródła krytyki zostały unieszkodliwione.

Westchnął głęboko i rozłożył ręce.

— Przecież to właśnie próbowałem tłumaczyć całymi latami! Że wszyscy o tym wiedzieli. I nikt nic nie zrobił... Że mieli nas wycofać w odpowiednim czasie. Wtedy Bo Hansen żyłby do dziś. Oluja była tajemnicą publiczną. Dlaczego kazali nam tam siedzieć i obserwować — z perspektywą rozjechania przez Chorwatów? Niech ich szlag, mniej niż kilometr dalej bylibyśmy bezpieczni! I oni zapłacili, żeby wyciszyć sprawę. Pamiętam tamtego Ukraińca. Uparty i zawzięty. Wszyscy oni to banda skorumpowanych bydlaków. Teraz to widzisz?

Mossman przytaknął.

— Jasne... Potem wszystko sprowadziło się do dylematu, który znamy z wielu obszarów życia: posłuchać własnego rozumu i zaryzykować czy zasłonić się zasadami i ślepo ich przestrzegać? Zasady ONZ w zakresie rozwiązań siłowych mówią, że broni można użyć wyłącznie w samoobronie. Gdyby więc dowództwo wyszło po was i ostrzeliwując się, spróbowało was ściągnąć do bazy, złamałoby te zasady. W swojej pracy spotkałem wielu wojskowych i tyle ci mogę powiedzieć, że tym ludziom bardzo trudno jest wyjść poza reguły.

Podsunał kartkę Mossmanowi pod sam nos.

— I co teraz? Pewnie nic. Bosse zginął i został pochowany wieki temu.

— Nie powiem ci, co się stanie. Ale mogę ci powiedzieć, że nie uda ci się zwołać nowej komisji śledczej. Już pozamiatane. Za to co się tyczy szefa obrony... szepnąłem w odpowiednie ucho kilka słów. Teraz musimy poczekać...

Pokręcił tylko głową. Nie miał siły nic mówić. Te układy zostały skonstruowane tak, by zamykały się w sobie. Bosse gównem ich obchodzi. Zawsze są jakieś ofiary. I dobre powody. Droga do piekła jest wyłożona teflonem.

Mossman pochylił się i z teczki wyjął grubszy stos kartek.

— W archiwum Wschodu jest więcej materiałów, które ciebie dotyczą. Dużo więcej... niestety... Kajsa Corfitzen opowiedziała mi całą historię, kiedy niedawno odwiedziłem ją w Nørlund. Teraz sam będziesz mógł się przekonać. Wszystko tu jest, czarno na białym... Obawiam się, żołnierzu, że będzie to dla ciebie lektura wyjątkowo nieprzyjemna. Dlatego lepiej już pójdę i zostawię cię z tym samego. Na koniec jeszcze jedno: zostaliśmy zaproszeni jutro na dziesiątą do siedziby Kopparstierna Fonden. Barbro chciałaby podsumować akcję. Zgadzasz się?

Wyjątkowo nieprzyjemna lektura. Pokiwał głową. Choć ledwo słyszał, co do niego mówiono.

— Zatem do jutra, do dziesiątej.

Znów skinął głową...

Mossman wręczył mu stos kartek i wstał.

— Mam wobec ciebie dług, żołnierzu... Uratowałeś mi życie wtedy na wyspie. A ja wyrzodziłem ci wielką krzywdę. Nie zostało mi zbyt wiele życia, by spłacić ten dług. Potraktuj to jak jedną ratę.

Patrzył na dokumenty, które trzymał w ręce. *Wyjątkowo nieprzyjemna lektura.*

Już w drzwiach Mossman się odwrócił.

— Jedna prośba, Oxen. Gdy to przeczytasz... Nie zrób niczego głupiego, okej? Oddychaj głęboko. Do nikogo nie dzwoń. Nigdzie nie wychodź. Zostań na kanapie przez resztę dnia. Skup się na tym, czego pragniesz najbardziej na świecie. I użyj tych kart, które właśnie ci dałem. Widzimy się jutro.

Rzeka Grumeti już dawno spłynęła krwią, a jej brzeg pokrywały krwawe strzępy martwych zwierząt, gdy skończył czytać.

Potał dłońmi twarz. I raz jeszcze przeczytał wybrane strony. Wszystko się zgadzało. Od początku do końca. Nie był w stanie się ruszyć. Jakby siedział na kanapie obok swojego ciała i obserwował się z boku. Wszystko zamarło w bezruchu.

Nie potrafił sformułować jakiegokolwiek myśli.

Odwrócił się w stronę telewizora i pustym wzrokiem śledził antylopy i zebry ciągnące gromadą ku następnej rzecznej masakrze. Jakby nic się nie stało. Ani im — ani jemu. Siedział w bańce, która się wokół niego zamknęła.

Powoli, lecz konsekwentnie trybiki w jego głowie jednak zaczęły pracować. Z mozołem obracały się koła zębate, w tył — i w przód. Przed oczami przesuwwały mu się twarze, a w uszach słabym echem rozbrzmiewały urywki starych rozmów.

Jedna myśl przechodziła w następną, aż wszystko zaczęło wirować z taką gwałtownością, że zrobiło mu się niedobrze.

Wiele rzeczy mu się wydawało.

Wiele razy, odkąd wszedł do lasu Rold i został wciągnięty w ten wir nieprawdopodobnych zdarzeń, doświadczał rzeczy nierealnych, które jednak były całkiem realne.

Ale nie coś takiego...

Tego nie byłby sobie w stanie wyobrazić. Nigdy. Nigdy. Nigdy.

Rzucił kartki na podłogę.

I się rozplakał.

Rozdział 92.

Barbro Kopparstierna pojawiła się w sali zebrań jako ostatnia. Wyprostowana i dumna. Tym razem miała na sobie prostą granatową garsonkę i białą bluzkę, a na szyi złoty medalion na długim łańcuszku.

Uśmiechnęła się i skinęła wszystkim na powitanie, po czym przeszła wokół stołu, by każdemu z osobna uścisnąć dłoń i podziękować.

Zaczekał przed wejściem do budynku przy Havnegade, aż pojawiła się Margrethe. Razem przeszli przez kontrolę bezpieczeństwa i wkroczyli do sanktuarium Kopparstierna Fonden.

Chwilę potem przyszedł Mossman z Sonnem, który przyjechał aż z Aarhus, bo nie chciał, aby go ominęła ostatnia okazja, by stanąć przed obliczem jej wysokości.

Znów siedzieli przy jednym stole. Barbro dotarła właśnie do Margrethe. Osobiście trudno mu było się skupić na czymkolwiek.

— I naturalnie dziękuję panu, panie Oxen. Jest pan zaprawdę człowiekiem... godnym podziwu. — Uścisnął ostrożnie wyciągniętą ku niemu rękę, jakby się bał, że ją zmiażdży przez nieuwagę.

Barbro Kopparstierna usiadła na końcu stołu, obok swojego brata, i powiedziała:

— Zacznę od tego, że Axel Mossman już wcześniej poinformował mnie telefonicznie o losie, jaki spotkał mojego zmarłego męża. Wynik samego śledztwa więc jest mi znany. Postanowiliśmy jednak poczekać ze szczegółowym omówieniem do dzisiejszego spotkania, by mógł go wysłuchać również mój brat i abym mogła wam podziękować. Panie Mossman, będzie pan łaskaw?

Kopparstierna skinęła na Mossmana, który najwyraźniej kupił

sobie nowe ubrania. W każdym razie to, co miał na sobie, nie wisiało już na nim jak łachmany.

Mossman przedstawiał swoje ustalenia, ale on nie był w stanie się skupić na słowach, które padały z ust świeżo wyfiokowanego mózgu całej operacji. Jego myśli krążyły wyłącznie wokół spotkania, na które był umówiony o siedemnastej w przystani w Skovshoved.

Posłuchał rady Mossmana i wczoraj nie zrobił nic. A kiedy w którymś momencie skończyły mu się łyzy i smarki, został na kanapie i patrzył w ścianę.

Dopiero dziś rano, gdy się z tym przespał — o ile można to nazwać snem — zadzwonił i umówił się na spotkanie. Wsunął rękę do kieszeni, by sprawdzić, czy wciąż tam jest. Trzydziestopięciomilimetrowy, ostry jak igła samogwintujący wkręt do drewna, który znalazł na parapecie w piwnicy starszej pani.

Poważny głos Mossmana co jakiś czas mimo wszystko przebijał się do jego świadomości.

— ...możliwość przejrzenia archiwów Wschodu i wynikiem są dokumenty, które mam przed sobą. Dzienniki, w których na bieżąco, dzień po dniu, zapisywano obserwacje dotyczące pani zmarłego męża. Potem oczywiście zostawię je pani do przejrzenia. Mogę podsumować, że materiały archiwalne w pełni potwierdzają pani podejrzenia. Pozwolę sobie...

To była bardzo dziwna rozmowa, jaką odbyli z Birgitte. Najpierw niemal w panice twierdziła, że nie wierzy, że on żyje. Bo *przecież* zginął na morzu. Sama *widziała* w telewizji.

Wrócił głos Mossmana:

— ...opisać możliwie najdokładniej. Knud Klint Kopperstierna został *zamordowany* w Teatrze Królewskim. Otrzymał domięśniowo zastrzyk suksametonium, kiedy był w toalecie. Pięć mililitrów, jak zapisano w dziennikach. Suksametonium to jedna z trzech substancji podawanych we wstępnej fazie pełnej narkozy. Moja żona jest lekarką, więc stąd... Dwie pozostałe to środek

nasenny, na przykład propofol i środek przeciwbólowy, zwykle fentanyl. Suksametonium sprawia, że mięśnie — w tym mięśnie przełyku i struny głosowe — wiotczeją, pozwalając na wprowadzenie tak zwanej tuby, plastikowej rury, przez usta i dalej, do tchawicy. Śmierć następuje, gdy...

Mossman przerwał i spojrzał niepewnie na Barbro Kopparstiernę.

— Niech pan mówi, panie Mossman. Jestem gotowa poznać prawdę.

— Rozumiem. Pani mąż został sparaliżowany. Był przytomny. Słyszał, widział i czuł. Lecz nie oddychał. Przyczyną śmierci było powolne uduszenie. Nagłe zatrzymanie krążenia wywołane hipoksją, czyli niedotlenieniem. Jeśli chodzi o sekcję zwłok... Suksametonium jest wyjątkowo trudne do wykrycia, chyba że specjalnie się go szuka. Z opisu wynika również, że zastosowano bardzo cienką igłę. Aby na pierwszy rzut oka nie było śladów zbrodni, jak brzmi wyjaśnienie, które znalazłem. Nie mamy też możliwości skonfrontowania z nikim tej wiedzy — lekarz, który przeprowadzał sekcję, zmarł pięć lat temu, miał grubo ponad osiemdziesiąt lat.

Znów dotknął śruby w kieszeni. Palcem nacisnął szpic. Prawie jak igła, gruba igła do cerowania.

Więc to prawda. K.K.K. został zamordowany. Usunięty, bo naraził się czemuś większemu i potężniejszemu od siebie. Zmarł o wiele za wcześnie. Powinien siedzieć na końcu stołu, obok swojej żony, a jego, Sonnego, Mossmana i Franck w ogóle nie powinno tu być.

Należałoby przewinąć czas wstecz, wyciąć zło, jakie wyrządzono, nałożyć film na nową szpulę i odtworzyć od nowa, w udoskonalonej wersji.

Wtedy i on nie musiałby się spotykać z byłą żoną w przystani w Skovshoved. Nie musiałby jej oglądać ani z nią rozmawiać, po raz pierwszy od pięciu lat.

Gdyby wszystko można było cofnąć, pewnie wróciłby z pracy

dopiero wieczorem, może zrobiłby po drodze zakupy. A Magnus, duży chłopak, pewnie siedziałby w swoim pokoju i odrabiałby lekcje. Nie, wróć... grałby na komputerze.

Axel Mossman przewertował swoje papiery i podjął wątek:

— Jak wiemy, Knud Klint Kopparstierna wszedł do zarządu zakładów metalurgicznych Ryttingera, Ryttinger Jernindustri. Nie tyle dlatego, że schlebiało mu zainteresowanie starego Ryttingera jego osobą, ile dlatego, że jego koledzy ze świata biznesu naciskali na niego albo go namawiali, by się zgodził. Wielu z nich służyło Danehofowi. Miejsce w zarządzie miało być początkiem procesu rekrutacji Kopparstierny, w którym lider Danehofu widział swojego potencjalnego następcę.

Oczywiście wcale nie zamierzał prosić Birgitte o spotkanie w jej domu. „Twoja noga tu nie postanie”, wrzasnęła wściekle w słuchawkę. Z początku zresztą w ogóle nie chciała się z nim spotkać.

— I mąż pani w istocie dał się zwerbować, lecz najwyraźniej po to, by stać się kretem i zdemaskować organizację. Jej ówczesny lider, prezes Sądu Najwyższego Fritz Witte, napisał, że po roku udało im się przejrzeć zamiary pani męża. Danehof przeprowadził rewizję w waszym domu i znaleźli kserokopie obciążających ich materiałów zebranych przez pani męża. Lecz to nie było wszystko... Ukrytym dyktafonem pani mąż nagrał całe godziny rozmów i debat. Dlatego po pierwszym akcie opery w Teatrze Królewskim Danehof przypuścił atak. Drinki na bankietach zwykle są już nalane i ustawione na stołach. Według zapisków z archiwum w czasie antraktu do szklanki pani męża wiano syrop z ipekakuany. Jest to środek wymiotny uzyskiwany z korzeni roślin. To dlatego mąż musiał nagle iść do łazienki. Tam czekali na niego morderca wraz z pomocnikiem. Tu dodam, że zdaniem mojego rodzinnego eksperta również ipekakuana raczej nie zostałaby wykryta podczas sekcji. Substancja na tyle szybko jest z organizmu usuwana, że nie zdążyłaby zostać wchłonięta przez organizm i tak zwana analiza sądowa najprawdopodobniej by jej nie wykazała. Z tego też powodu, wbrew wszelkim nadziejom, to nie pani mąż został nowym liderem Danehofu, lecz syn

ówczesnego lidera, Johan Wolf-Witte, zastrzelony niedawno przez snajpera, którego nie udało nam się zidentyfikować — tonem podsumowania powiedział Mossman.

Znów pogрузzył się w rozmyślaniach i nie zwrócił nawet uwagi, czy Mossman mówił coś jeszcze, czy nie. Myśli na nowo zaczęły wirować mu w głowie, tak jak przez całą niespokojną noc.

Czuł się, jakby go pędzono pod różgami przez album starych fotografii. Odskakiwał na boki, by nie dać się zmiążyć kolejnym arkuszom, połączonym ze sobą i wydającym ciche mlaśnięcia za każdym razem, gdy niewidzialna ręka kartkowała je w tempie, nad którym nawet on sam nie umiał zapanować. Do tego szła ścieżka dźwiękowa — tony miękkie na zmianę z piskliwym jazgotem.

Nikt nie może cofnąć czasu. A ich wspólna końcówka była już naprawdę gówniana. Ale kto wie, może mogło być inaczej? Mossman nie kłamał, mówiąc, że będzie nieprzyjemnie. W tej chwili wolałby nigdy nie dostać papierów Danehofu.

Margrethe patrzyła na niego zza stołu z dziwnie pytającym wyrazem twarzy.

W pokoju było całkiem cicho. W końcu ponownie głos zabrała Barbro Kopparstierna:

— Wraz z bratem postanowiliśmy nie rozgrzebywać głębiej tej rany. Swoją pracą w jakiś sposób oddaliśmy mojemu mężowi sprawiedliwość. My zaś wyzbyliśmy się niedającej spokoju niepewności. Życie musi się toczyć dalej. Mnóstwo ludzi na całym świecie nadal potrzebuje nowych leków, aby łatwiej było im żyć. Mój mąż również by sobie tego życzył — abyśmy patrzyli w przód. Nie wstecz. Od Axela Mossmana wiem, że wszyscy tutaj ponieśliśmy ogromne osobiste koszty walki z tym... monstrum. Dlatego w imieniu całej rodziny chciałabym uhonorować państwa trud i dać wyraz naszej wdzięczności. Kwota nie jest może ogromna, lecz być może wystarczająca, by choć po części zrównoważyć bilans zysków i strat. Każdemu z państwa pragniemy dziś wręczyć czek na dwa miliony koron. I raz jeszcze... z całego serca wam dziękuję.

Rozdział 93.

Chmury nad Sundem były granatowe od gniewu. Nad jego głową wielokrotnie przetaczały się dochodzące stamtąd grzmoty, ale nad Skovshoved nie padało — jeszcze nie.

Siedział na ławce przed zabudowaniami klubu wioślarskiego. Widział stąd keję i czerwono-białe budynki kapitanatu. Właśnie zmienił miejsce. Przyszedł wcześniej. Może po to, by wyciszyć nerwy.

Wypił kawę przed małym bistro o włosko brzmiącej nazwie, która natychmiast wyleciała mu z głowy. Knajpka stała pomiędzy świetlicą harcerskiej drużyny wodniaków a lokalami zajmowanymi przez nurków z Podmorskiej Brygady w Skovshoved. To przywiodło mu na myśl jego własną, nie podmorską, lecz podziemną drużynę: Sonnego, Mossmana i Franck. Każde z nich i każde na swój sposób w końcu wyszło na światło dzienne.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien zaproponować Birgitte kawy, lampki wina albo czegoś innego. Być może to złagodziłoby atmosferę? Nawet jeśli myśl, że na tym miałyby polegać jego rola, była niedorzeczna. Ostatecznie zarzucił ten pomysł. Był pewien, że ona będzie chciała załatwić to jak najszybciej. Dlatego zmienił ławkę. Żeby móc się z nią rozprawić w spokoju.

Burzowe chmury w nim kłębiły się od dawna. Lęki, napady paniki i wściekłości. Żywioły szarpały się między sobą i od dłuższego czasu utrzymywały ciało w stanie najwyższej gotowości, gdy jak mantra powtarzał sobie: „Nieważne co, nieważne jak... Oddychaj głęboko. Mów spokojnie. Panuj nad sobą”.

Odruchowo znów sprawdził kieszeń. Wkręt nadal tam był.

Wiadomo dokładnie, w których miejscach globu w równych odstępach czasowych płyty tektoniczne się ze sobą ścierają. On z podobną dokładnością mógł to powiedzieć o sobie i Birgitte. Wkrótce przystań Skovhoved będzie można porównać do uskoku San Andreas, ale bez względu na to, jak bardzo zatrzęsie się ziemia, nie wolno mu stracić głowy.

Zobaczył, jak białe bmw wjeżdża na parking przed kapitanatem. Kilka sekund później zobaczył ją. Szła zdecydowanym krokiem wzdłuż drewnianych budynków. Umówili się przy wioślarzach.

Zbliżała się szybko. Może już go widziała? Ubranie, które miała na sobie, wyglądało na eleganckie i drogie, z zupełnie innej kategorii cenowej niż to, co wypełniało ich wspólną szafę w małym bliźniaku u zarania dziejów.

Łopaty wirnika dużego Black Hawka hałasowały ogłuszająco. Po raz ostatni sprawdził sprzęt, podobnie jak pozostałe nieprzystępne twarze wewnątrz amerykańskiego śmigłowca bojowego, który obniżył się w chmurze pyłu. Wtedy w jego uszach wyraźnie zabrzmiał rozkaz z charakterystycznym południowym akcentem:

►*Okay guys, get ready. Dziesięć sekund do celu, odliczam, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, go, go, go!*◄

Pewnym siebie krokiem szła w stronę ławki. Była już całkiem blisko. Minęło pięć lat... Birgitte wyglądała na znacznie starszą niż wtedy. Była chudsza i miała wydatniejsze rysy twarzy — i więcej zmarszczek. Miała też prawdziwą opaleniznę.

— Cześć! — Uniósł dłoń i się uśmiechnął.

— Hm. Więc to jednak prawda.

— Co?

— Że nie umarłeś. — Birgitte wysiliła się na uśmiech i usiadła obok niego.

— Nie. Jak widać, żyję sobie w najlepsze — powiedział i od razu

usłyszał, jak głupio to zabrzmiało. — A ty?

Wzruszyła ramionami.

— W porządku. Mnóstwo pracy, ale poza tym świetnie... Słuchaj, może od razu przejdziemy do rzeczy? Muszę wracać do domu przygotować kolację. Czego chcesz, Niels?

Wymacał wkręt palcami, umieścił go w odpowiedniej pozycji na dłoni i ostrożnie zamknął wokół niego palce. Potem wziął głęboki wdech i wypuściwszy powietrze, wysapał:

— Chcę... się spotkać... z Magnusem.

W tej samej sekundzie z czarnych chmur zabrzmiało głośnie dudnienie i poczuł, jak płyty ścierają się tuż pod ich ławką.

— Powiedz mi, czy tobie kompletnie już odbiło? — Birgitte odwróciła się i popatrzyła mu prosto w twarz.

— Chciałbym tylko wkrótce się z nim zobaczyć. Zobaczyć się z moim synem.

— Jesteś i pozostaniesz żalonym frajerem. Najpierw znikasz jak kamfora. A potem...

— Birgitte, nie czułem się najlepiej. — Zacisnął dłoń w kieszeni.

— Pierdol się! Teraz — teraz znów chcesz go widzieć?! Po pięciu pieprzonych latach! Co ty sobie wyobrażasz? Że pozwolę ci ot tak wejść z buciorami do naszego życia? Otóż nie — nie pozwolę. Magnus długo nie potrafił się z tego otrząsnąć. Ale w końcu zrozumiał, że ciebie nie ma. Że zniknąłeś, całkowicie. I co, myślisz, że możesz to wszystko odkręcić? Nie, kurwa!

Oddychał głęboko, wciągając powietrze do samego końca. Siedział nieruchomo na ławce. I tylko coraz mocniej zaciskał pięść w kieszeni.

— Ale... przecież wtedy to ty mi nie pozwalałaś. Robiłaś wszystko, by nie dopuścić, żebym się z nim widział. Napisałaś, że jestem kryminalistą, człowiekiem nieobliczalnym i agresywnym.... Zapomniałaś już?

— Oczywiście, że nie zapomniałam! Jesteś popaprańcem.

Magnusowi nic dobrego nie przyjdzie z przebywania z kimś takim jak ty.

W chmurach znów zadudniło. Chwilę potem się błysnęło. Ale wciąż nie padało. Ławka na dobre zaczęła się ruszać. Oddychaj głęboko, głęboko. Spokojnie policz. No, dalej, do cholery!

Nie poruszywszy najmniejszym mięśniem twarzy, jeszcze mocniej zacisnął pięść wokół wkrętu.

— *Nalegam* na spotkanie z Magnusem.

— Ach, tak — nalegasz! Możesz sobie nalegać do usranej śmierci. Nigdy! Rozumiesz? Nigdy! Nigdy na to nie pozwolę.

— Rozumiem. Ale on jest również moim synem, czyż nie?

— Powiedziałam: *nigdy*.

— Birgitte, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko pokazać ci to.
— Lewą ręką z kieszeni kurtki wyjął teczkę z fragmentami materiałów z archiwum. — Tutaj jest wszystko, czarno na białym. Wiedz, że sprawiło mi to więcej bólu i złości, niż czułem kiedykolwiek. Z wszystkich ludzi na ziemi ty również w tym uczestniczyłaś.

Popatrzyła na niego z podniesionymi brwiami.

— W czym uczestniczyłaś? O czym ty bredzisz?

— Dałaś się kupić organizacji o nazwie Danehof. Może nie wiedziałaś, że tak się nazywa ani jak wielki ma zasięg, ale tu wszystko jest napisane. Jest data i kwota. Zobacz.

Podał jej jedną z kartek. Po czym ściszone głosem mówił dalej:

— Zobacz. Co do grosza. Ktoś cię uderzył. A ty zgłosiłaś przemoc domową. Wiedziałaś dokładnie, gdzie nacisnąć, aby zabolalo mnie najbardziej. Jaki ojciec, taki syn... Czy nie o tym pomyślałaś? To ty, zgodnie z instrukcją, podpaliłaś nasz dom i wpędziłaś mnie w to bagno z wyłudzeniem odszkodowania. Współpracowałaś z nimi, by mnie zdyskredytować i zastraszyć. Mówiąc krótko: aby mnie zniszczyć. I odniosłaś na tym polu pełny sukces. Wynagrodzenie zapisano tutaj. Jednorazowa wypłata półtora miliona koron i nowa, dobrze płatna praca. W dodatku

jaka ważna. Mogli także wpływać na przebieg sprawy i rozstrzygnięcie o prawie do opieki. *Win-win-win*. Pozbyłaś się mnie. Dostałaś Magnusa na wyłączność. I dostałaś grubą kasę i nową pracę. Łatwo i przyjemnie.

Cały kolor odpłynął z jej twarzy. Osłupiała patrzyła na kartki — chyba nawet ich nie czytała.

On sam poczuł ciepłą krew między palcami. Podał jej jeszcze jedną kartkę.

— A tutaj... Tu jest napisane, że na ich polecenie miałaś zaproponować, żebym pomógł temu biedakowi Ballebo „Balboa” z kompanii Bravo. Kiedy o tym przeczytałem, nagle przypomniałem sobie, że to faktycznie był twój pomysł. Ty, która zawsze nienawidziłaś wszystkiego, co miało związek ze środowiskiem weteranów i żołnierzy. Dostałaś pieniądze za to, by podsunąć mi myśl, abym go przyjął pod swój dach na kilka dni, krótko po tym, jak po raz kolejny się wyprowadziłaś. Dzięki temu mogli podłożyć te wszystkie narkotyki w naszym garażu. Pamiętasz? Ja pamiętam... Osiemset pięćdziesiąt gramów heroiny, trzysta pięćdziesiąt gramów amfetaminy i pięćdziesiąt sztuk diazepamu. I obciążyli tym mnie. Komendant Bøjlesen miał doskonały powód, by mnie wyrzucić z korpusu, zgodnie z rozkazem, który dostał od komendanta głównego policji, będącego częścią układu. Żeby zamknąć mi gębę, wcisnęli mi wolny wstęp do Jægerkorpset. A wiesz, co zrobili potem, Birgitte? Potem zabili Balboę — przez przedawkowanie. Żeby nie było świadków. A tobie wcisnęli dwadzieścia pięć tysięcy koron. To wszystko tu jest. Z datami i całą resztą. Niedobrze się robi...

Ostatnie dodał szeptem.

Wkręcił wwiercił się głęboko w dłoń.

Palce i ścięgna aż do przedramienia miał napięte i skurczone. Oddychał głęboko.

— Rozmyślałem jak szalony. W kółko zadawałem sobie pytanie: *jak mogłaś?* Czy naprawdę aż tak mnie nienawidziłaś? Czy naprawdę tak daleko się zapędziliśmy? Kiedyś, dawno temu... wtedy... wtedy się kochaliśmy, prawda? Birgitte, to przerasta

moje zdolności pojmowania.

Ona wciąż się nie odzywała. Lekko rozchyliła usta. Nad Sundem znów rozległ się grzmot, ale jemu wydało się, że ziemia pod ławką się uspokoiła.

Znów szeptem powiedział:

— Może wtedy nie wiedziałaś nawet dlaczego? Zresztą pewnie było ci to obojętne. Otóż powiem ci dlaczego: chcieli obronić przed moją krytyką głównodowodzącego z Bałkanów. Stworzyć wokół niego barierę ochronną, żeby go nie pociągnięto do odpowiedzialności za śmierć Bossego. To by mu zamknęło możliwość dalszej kariery. Mogens Yssing, tak się nazywał. I wiesz co? Udało im się. W marcu został szefem obrony kraju. Więc teraz wiesz przynajmniej, jak wielką odegrałaś rolę.

Zwilżyła usta i odwróciła głowę.

— Doprowadzałeś mnie do obłędu wiecznym gadaniem o śmierci Bossego. Bosse to, Bosse tamto. Całe to gówno, które przywiozłeś z Bałkanów, kompletnie tobą zawładnęło. Prawda jest taka, że ani przez moment za tobą nie zatęskniłam. I teraz co? Będziesz mnie szantażować? Chcesz mi odebrać Magnusa? O to ci chodzi?

Wciąż była blada jak ściana, a dolna szczęka jej drżała, gdy patrzyła mu w oczy.

— Mam na ciebie dość, aby na bardzo długo posłać cię za kratki. Z całą pewnością na to zasłużyłaś. Ale Magnus na to nie zasłużył... Dlatego proszę tylko, abyśmy ustalili, że odtąd będę się z nim widywał w co drugi weekend oraz doraźnie, według umowy. Tak, jak potrafią się dogadać inni rozwiedzeni rodzice.

— Podła świnió... — wycedziła przez zęby.

Czarne chmury przesunęły się nad Szwecję i spomiędzy rozproszonych szczelin w szarobiałym niebie wychyliło się słońce. Teraz poczuł się pewniej. Płyty tektoniczne się rozsunęły.

Rozluźnił zaciśniętą w kieszeni pięść. Gdy tylko ona stąd pójdzie, będzie mógł ją wyjąć.

— Birgitte, mówiąc całkiem szczerze... dobrze by ci zrobiła

odrobina samokrytyki.

Rozdział 94.

Było pięć po. Od dziesięciu minut czekał przed wejściem do ratusza w Gentofte, wyglądając starego suzuki alto. Ale wciąż ani widu, ani słyhu. Spotkanie zaczynało się za pięć minut.

Gdzie ona się podziewała? Obiecała, że przyjdzie. To był jej pomysł, że powinien na nowo zameldować się jako członek społeczeństwa. Bo to było początkiem wszystkiego — zameldowanie.

Siedział na murku pomiędzy fontanną a starą rzeźbą przedstawiającą dwóch mężczyzn. Jeden stał z mieczem w dłoni. Drugi leżał u jego stóp, konający. Tabliczka wbita w trawnik mówiła, że pomnik upamiętnia lata okupacji od 1940 do 1945.

Symbolika była banalna. Ale słowa na cokole mimo wszystko poruszyły w nim jakąś strunę. „Aby polegli, narodu diadem, co chrzest wolności dla Danii odzyskali, oręż, wiarę i zapal ukazali młodym”.

On był jednym z poległych. Ale szczerze wątpił, by w którymkolwiek momencie udało mu się komukolwiek zwrócić jego wolność. Zdołał za to podarować ją sobie samemu. Zapalem i wiarą.

Jeżeli będzie mógł zbliżyć się do Magnusa, to być może zdoła również przekazać coś z tego zapalu następnemu pokoleniu. Wówczas uznalby, że coś mu się jednak w życiu udało, nawet jeśli w większości spraw nawalił na całej linii.

Tak, całkiem zgrabnie ułożono ten wierszyk o odległych bohaterach, tu, na trawniku przy...

Od Bernstorffsvej dobiegł go potężny ryk silnika rozpędzonego czerwonego, lśniącego mini coopera z czarnymi pasami wyścigowymi i czarnym dachem, który sekundę później zmienił bieg na niższy, zahamował gwałtownie i wypadł na wąską dróżkę

biegnącą wzdłuż ściany ratusza, jakby to był finisz Rajdu Monte Carlo.

Nie tylko on się gapił na to zjawisko. Ludzie wychodzący bocznym wyjściem również przystawali, by popatrzeć.

Za kierownicą siedziała kobieta. Teraz wysiadła. Miała jasne włosy, sprane džinsy i krótką, czarną skórzaną kurtkę. Na nogach wściekle czerwone kalosze.

To była... Margrethe Franck.

Zauważyła go, pomachała mu, przewiesiła sobie torbę przez ramię, zatrzasnęła drzwi i ruszyła w jego stronę. Wyszedł jej naprzeciw.

Minęło trochę czasu, odkąd widział ją po raz ostatni. Na tlenionej głowie miała okulary pilotki. Włosy mocno przystrzyżone po bokach i sterczące na górze. Zwichrzona grzywka opadała na podkreślone tuszem oczy. W górę lewego ucha znów piął się srebrny wąż. A usta miała czerwone jak samochód.

— Wow...

— Co: wow? — Zaśmiała się i uściskała go, zanim zdążył się odsunąć.

— Samochód... i w ogóle.

— Fajna maszyna, co? Odebrałam przedwczoraj... nazywają to czerwien chili. Specjalna wersja od John Cooper Works, *state of the art*. Czterocylindrowy dwa koma zero TwinPower Turbo, dwieście dwadzieścia osiem koni, od zera do setki w sześć koma trzy i dwieście czterdzieści sześć w maksie. To się nazywa wolność, Niels. To jest właśnie cholerna, jebana wolność. — Franck uśmiechnęła się od ucha do ucha.

— I wąż wrócił?

— Żeby być suczą, trzeba mieć siłę. Również ekonomiczną. I tu ślę ciepłe myśli ku Barbro Kopparstiernie. Ma kobieta klasę. I zdecydowanie nie jest skąpa. Ale dość o tym, bo chyba jesteśmy umówieni na spotkanie...

— Powinniśmy tam już być.

Wyciągnęła do niego rękę.

— To chodź. Weź mnie za rękę, komandosie nieboraku, bo inaczej będę wyglądać jak opiekunka społeczna.

— Myślę, że takiego ryzyka nie ma.

Urzędniczki z magistratu przedstawiły się, uścisnęły mu dłoń i zaprosiły do środka, lecz ich imiona natychmiast wyleciały mu z głowy. Jedna miała ciemne włosy, druga siwe. Obie były z pomocy społecznej i zajęły miejsca po jednej stronie stołu, on z Margrethe usiedli po drugiej.

Nie zaczęli nawet jeszcze rozmawiać, gdy ktoś zapukał do drzwi i do pokoju wszedł niski mężczyzna.

— Cześć! Przepraszam, że tak się wpraszam. To ja jestem burmistrzem. — Mężczyzna energicznie wyciągnął ku niemu rękę. — Ejnar Thychosen.

— Niels Oxen.

— Chciałem skorzystać z okazji, by się przedstawić i powitać pana w naszej gminie. W końcu nie co dzień człowiek ma okazję spotkać kogoś takiego... jak pan. To, czego pan dokonał, robi wrażenie. Widziałem też zdjęcie Krzyża Waleczności. Piękne odznaczenie. Witamy w gminie Gentofte, panie Oxen. Mam nadzieję, że uda się wam dziś rozwiązać wszystkie sprawy. I że dobrze się pan będzie u nas czuł. Nie przeszkadzam dłużej, sam śpieszę się na spotkanie. Na razie! — I już go nie było.

Siwowłosa wzruszyła ramionami i pokręciła przepaszająco głową.

— Proszę wybaczyć... Burmistrz *bardzo* chciał pana poznać. Odkąd usłyszał, że ma pan do nas przyjść, stale o pana pytał. No, ale teraz przejdźmy już do rzeczy, dobrze?

Pokiwał głową. Najchętniej miałby to jak najszybciej za sobą.

— Musimy znaleźć rozwiązanie, z którego to pan będzie zadowolony, panie Oxen. Zacznijmy od zakwaterowania. Pan ma syna, prawda? W Skovshoved?

— Tak. To dlatego wybrałem tę okolicę. Stąd będę miał do niego stosunkowo blisko.

Wciąż mówiła tylko ta siwa. Najwyraźniej była przewodniczącą komisji.

— Widzi pan, dysponujemy pulą lokali socjalnych, które możemy przydzielać mieszkańcom gminy, ale obawiam się, że nie możemy panu zapewnić w tej kwestii swobody wyboru. Sporządziliśmy spis kilku miejsc dostępnych niemal od ręki. Proszę, oto one. — Odwróciła laptop ukosem, by pokazać mu ekran.

— Tværbommen, Hyldegårdsvej 60, Stolpehøj, Dalstrøget w Dyssegård i jeszcze to... Kildegårdsparke przy Lyngbyvej. Zresztą może pan je sobie sam poprzeglądać. Proszę się nie śpieszyć...

Palec Franck natychmiast powędrował do ekranu.

— To nie... i to chyba też nie, co? Brzmi jak niezła nora.

Popatrzył trochę po rozmaitych adresach. Po prawdzie żadne z tych miejsc nie było tym, o co mu chodziło, ale gdzieś musiał mieszkać. Przynajmniej na początku. Musiał zaistnieć w społeczeństwie, mieć mieszkanie i adres, żeby odzyskać Magnusa. Człowiek bezdomny nie może mieć syna.

— Hm. Wezmę Dalstrøget...

Ciemnowłosa zanotowała informację w swoim bloku i pokiwała głową. Siwa mówiła dalej:

— Musimy również przeprowadzić pana dokładną analizę. Niekoniecznie dziś, ale...

Analizę?

Wyobraził sobie sterylne laboratorium, ludzi w białych kitlach i siebie z elektrodami przyczepionymi do głowy. Podniósł na kobietę pytający wzrok.

— Chodzi o analizę kompetencji... — wyjaśniła. — Musimy zobaczyć, jak w dalszej perspektywie możemy panu pomóc. Punktem wyjścia jest jednak pełny obraz sytuacji. I ustalenie pewnych faktów. Ostatecznym celem zaś będzie oczywiście

pozytywna inkluzja.

Inkluzja?

Wyobraził sobie małą barcę, która brnie przez kolejne śluzy na kanale w Runcorn w objęcia Manchesteru.

— Na szczęście mamy szereg skutecznych programów, po które możemy sięgnąć, i jestem przekonana, że nasze ukierunkowane działania przyniosą skutek.

Programy?

No, tu chyba lepiej od razu wybrać gotowanie. Pranie w trzydziestu czy czterdziestu stopniach z całą pewnością nie załatwi sprawy.

— W pierwszej kolejności chciałabym jednak zająć się naszym największym wyzwaniem. Chodzi o to, o czym sam nas pan poinformował — o objawach, które się u pana pojawiły w związku z wykonywanym zawodem. O pańskie traumy, zespół stresu pourazowego, PTSD. Kontaktowaliśmy się z kolegami, którzy dysponują większym doświadczeniem w tego typu sprawach niż my, tu w Gentoft. Na podstawie konsultacji z nimi chcemy panu zaproponować rodzaj terapii kognitywnej, panie Oxen.

Jedli lody, siedząc na jednym z granitowych bloków odgradzających maleńki trójkąt jasnego piasku stanowiący plażę Svanemøllen.

Margrethe uparła się, by przewieźć go chili cooperem, i obiecała odstawić go potem do jego pokoju w piwnicy w Kokkedal. Udało im się dotrzeć na miejsce bez mandatu za prędkość, choć zdarli cały asfalt na Bernstorffsvej.

Spotkanie w magistracie poszło gładko. Zachował spokój. Odczekał po prostu, aż ciemnowłosa i siwowłosa skończą, żeby mógł stamtąd wyjść. Do nowego mieszkania ma się wprowadzić za dwa tygodnie.

Drugie piętro, Dalstrøget, Dyssegård, Vangede... Trochę zajmie, nim się przyzwyczai. Vangede? Byle tylko wszystko poszło dobrze.

Franck wskazała głową na duże, białe bloki po lewej, w Tuborg Havn.

— W pierwszym z brzegu jest mieszkanie Villuma Grund-Löwenberga — powiedziała. — Mam wrażenie, jakbym zaledwie wczoraj stała tam na dachu i walczyła z taśmą klejącą i moim dyndającym telefonem. A kiedy byłam w Hiszpanii, pewnie tam spałeś, co?

— Spałeś to może za dużo powiedziane.

— Mossman sprytnie to rozegrał, że sami siebie wykończyli...

— To diabeł, ale dobrze go mieć po swojej stronie. Tak naprawdę wszystko, o co mi chodziło, on podał mi jak na tacy. Prawie jakby chciał mi zrobić prezent. Myślisz, że ma wyrzuty sumienia? Za Mr. White'a?

Franck prawie udławiła się lodami.

— Wyrzuty sumienia? *Mossman*? Proszę cię. Chciałabym w to wierzyć. Byłam u niego niedawno. Oczywiście gwizdnął z archiwów trochę akt. Nie mógł przecież zostawić swoich dawnych spraw. Ten, który zastrzelił starego Ryttingera, był policjantem. Leży na cmentarzu w Nakskov. Ten, który zepchnął z autostrady Sigrid Ryttinger Bulbjerg, sam zginął w wypadku samochodowym podczas wakacji w Tajlandii. Jest więc jakaś sprawiedliwość... Samobójstwo Gregersena na Fanø było sfingowane. Zabójcą był ten sam człowiek, który wypchnął żonę Gregersena z balkonu. Widnieje w aktach pod fałszywym nazwiskiem. Mossman sądzi, że jest na jego tropie. Gość mieszka na Gran Canaria i ma sześćdziesiąt dwa lata. Brak za to jakichkolwiek informacji o tym, kto zjął Hildmunda. Kwestie praktyczne najprawdopodobniej dopiął mój dawny kolega Kaare Nielsen. Teraz pewnie jak sępy rzucą się na tę całą kasę, którą po sobie zostawił, jak myślisz?

— Hm. Mossman nie odpuszcza.

— I na koniec będzie mógł ze spokojną głową stanąć na czele komisji. Ten człowiek jest wprost bezwstydnie próżny. Naprawdę...— Telefon w kieszeni jej kurtki wydał krótki sygnał.

Spojrzała na niego. — Mam włączone powiadomienia z kilku aplikacji informacyjnych. Co pół godziny pojawia się wiadomość dnia. Teraz pewnie ktoś ukradł sznur na pranie w Nørrebro. A co u ciebie? Rozmawiałeś już z byłą żoną, tą wredną suką?

— Raz, przez telefon. Musimy przecież jakoś ustalić opiekę nad Magnusem.

— Najprościej byłoby posłać ją prosto do pierdła. Masz klasę, Niels, szacun...

Franck mimo wszystko wyjęła telefon z kieszeni i zerknęła na ekran.

— O kurwa — wyrwało jej się.

— Co?

— Posłuchaj tego: „Szef obrony kraju odchodzi. Mogens Yssing wystosował dziś oświadczenie, w którym oznajmia, że ze skutkiem natychmiastowym ustępuje ze stanowiska. »Niestety, właśnie zdiagnozowano u mnie poważną chorobę, a walka z nią będzie wymagała mojej pełnej uwagi. W związku z tym jestem zmuszony wycofać się z pełnionej funkcji dowódcy sztabu«, mówi Yssing, który swoje stanowisko zajmował od zaledwie kilku miesięcy”.

— Mossman... znowu...

Franck pokiwała głową.

— Tak. Znowu Mossman. Opowiedział mi o tym, co znalazł w archiwach. Danehof przekupił ukraińskiego dowódcę sektora i dwie inne grube ryby, żeby się zamknęli, a jeśli ktoś będzie pytał — skłamali. I kilka lat później faktycznie zostali przepytani — przez twoją komisję.

— Mossman dał mi kopie. To było dokładnie to, co próbowałem wszystkim powiedzieć.

— Ale nowej komisji śledczej nie dostaniesz?

— Nie. Mossman powiedział, że już za późno. Ale nie powiedział, że Yssing poniesie konsekwencje.

- Więc jednak wygrałeś.
- Tak, chyba można tak powiedzieć.
- Może faktycznie gryzie go sumienie... Mossmana.

Dokończyli lody w milczeniu. Plażą przeszła grupka chłopców z piłką. Niedługo, w taki słoneczny dzień jak ten, będzie tu pełno ludzi. Niech tylko temperatura wzrośnie o kilka stopni.

— A co z pracą? Kiedy zaczynasz? — zapytał.

— W przyszłym tygodniu. Salomonsen dał mi wolną rękę, więc wybrałam dział operacyjny. Cieszę się jak dziecko. A Anders, Anders Becker — pamiętasz go?

— Twój chłopak?

— Chłopak to może nie, ale... W każdym razie Salomonsen go wywalił. Z wilczym listem. Wydaje mi się, że Salomonsen jest w porządku.

— Chyba nie miał wyjścia — gość dał się kupić.

Franck pokiwała głową. Wciąż nie umiała sobie wybaczyć, że tak się wtedy dała zrobić w konia. Szybko zmieniła temat.

— Niedługo będą wakacje. Masz jakieś plany? Może razem z Magnusem?

Wzruszył ramionami. Tak daleko w przyszłość jeszcze nie wybiegał. Dla niego nie istniała wyraźna różnica pomiędzy codziennością a wakacjami, więc o tym nie myślał.

— Nie mam pojęcia. Najpierw muszę go przecież poznać.

— Kiedy?

— Jeszcze nie ustaliliśmy. Birgitte ma go trochę oswoić z tą myślą. Dać mu to wszystko przetrawić.

— A ty co o tym wszystkim myślisz?

Wzruszył ramionami i nic nie powiedział.

Chwilę później ponownie odezwała się Margrethe:

— Jesteś przerażony, co?

Przytaknął i poczuł, jak objęła go ramieniem.

— To potrwa. A ty musisz być cierpliwy. Daj mu tyle czasu, ile tylko będzie potrzebował. I po prostu bądź sobą. Wtedy na pewno wam się ułoży.

Zamilkli i patrzyli na chłopaków ganiających po piasku za piłką. Nagle przypomniał sobie, że o czymś jej nie powiedział.

— W przyszłym tygodniu jadę do Wilna. Swego czasu obiecałem Ievie Zakalskyte, że dam jej znać, gdy sprawa się wyjaśni. Przy okazji przygotuję rodzinę Virginii na wiadomość, że jej szczątki zostaną odesłane do kraju, gdy tylko policja Jutlandii Północnej wykopie je z Nørlund.

— A co z drugą siostrą?

— Szczątków Simony nie znajdziemy. W archiwach napisano tylko, że wrzucono ją do jeziora Esrum. To duży akwen i minęło sporo czasu.

— Faktycznie, brzmi jak niemożliwa misja.

— Aha, i wybieram się też na szwedzki archipelag — dodał.

— Do tamtej...

— Tak, do Tessy. Jestem jej winien czterdzieści pięć tysięcy koron. I muszę jeszcze pojechać do Finderup, na cmentarz. Ale poza tym nie muszę już nic.

— Do Finderup? Przecież to dopiero w sierpniu, prawda? W rocznicę śmierci Bossego.

— Nie chcę czekać tak długo.

Franck pokiwała głową. Ostrożnie zsunęła dłoń z jego ramienia. Jeden z chłopców kopnął piłkę do wody. Stali więc i czekali, aż fala im ją zwróci.

Za ich plecami przeszła młoda matka z wózkiem. Zatrzymała się kawałek dalej, wzięła dziecko na ręce i usadowiła się w słońcu.

— Daj znać w sprawie przeprowadzki... Może będę ci mogła jakoś pomóc — zaoferowała Franck.

— Nie ma nic do przeprowadzania. Nic nie mam.

— No tak.

Piłka wróciła i chłopcy wznowili grę.

— Yyy... a tak w ogóle... — Franck spojrzała na niego. — Jesteś mi winien kolację. Pamiętasz, że byliśmy umówieni wtedy w zajeździe Rold Storkro, a ty mnie wystawiłeś? Zostawiłeś tylko głupią kartkę.

Pokiwał głową. Pamiętał nawet, co na niej napisał. Położyła mu rękę na kolanie.

— Teraz w końcu mamy co świętować, prawda? Nasze płomienie zapłonęły na nowo. To dobra okazja, byś mi wynagrodził stratę i zaprosił gdzieś dziś wieczorem.

Rozdział 95.

Cmentarny plastikowy wazon wcisnął w ziemię przed nagrobkiem. Nalał wody z konewki i wstawił gałązki bzu. Zerwał je z krzaka przy drodze.

Mały, szary głąz pasował idealnie. Tu nikt nie udawał kogoś, kim nie był.

„Poległ w boju

Kochamy i tęsknimy

Bo »Bosse« Hansen”.

Napis również się zgadzał. Zawierał tylko słowa niezbędne. Choć tam, na Bałkanach, raczej nikt nie opłakiwał Bossego. Zmarł, nie przekazawszy dalej niczego i nikomu. Bosse uwielbiał zapach bzu. On sam zresztą też. Nie mógł wybrać lepiej.

Wyjął z kieszeni swój stary nóż myśliwski Seal 2000. Po raz ostatni poczuł jego ciężar w dłoni, po czym ostrożnie przesunął kciukiem po ostrzu. Potem kucnął i wbił nóż w ziemię obok wazonu.

Na koniec wyjął zapalniczkę i zapalił mały znicz, który kupił w kwiaciarni w Slagelse. Trochę go docisnął w delikatny żwir, którym wysypano grób.

Przyjechał tu po raz ostatni. Takie zakończenie było konieczne. I konieczne było to pożegnanie. Bosse jako pierwszy by to przyznał: że teraz trzeba ruszyć dupę i nie oglądać się za siebie. Pora zająć się żywymi, a nie martwymi.

W kieszeni zadzwonił mu telefon.

— Witaj, żołnierzu. Przeszkadzam?

Przedstawianie się było zbędne.

— Nieee. Jestem na cmentarzu w Finderup. Koło Høng.

— U twojego kompana, Bo Hansena, tak?

— Tak.

— W końcu może spoczywać w pokoju. Dzięki tobie.

— Jestem pewien, że wolałby żyć.

— Jakaś sprawiedliwość istnieje, Oxen. Czasem tylko trzeba jej dopomóc... Mam ci coś do przekazania.

— Mów.

— Morten Lundbye się znalazł.

— Gdzie?

— W Bilbao w Hiszpanii. W ponurej uliczce ponurej dzielnicy. Zastrzelony, martwy — i ograbiony z wszystkiego, co mógł mieć przy sobie. Kraj Basków bywa bezlitosny.

Przez chwilę stał w milczeniu. Mossman też nic nie mówił.

— Zastrzelony? — W końcu przerwał milczenie.

— Podobno trzema strzałami. Lokalna policja bada okoliczności. Ale już teraz widać, że to brzydka sprawa — mruknął olbrzym z PET.

— Jego śmierć jest bardzo na rękę wszystkim zainteresowanym, prawda?

— Na pewno nie jest niemiłe widziana.

— A co z Johnem Smithem, czy raczej Erikiem Bancroftem? Są o nim jakieś nowe wieści?

— Nie, ale nie przepowiadam mu długiego życia. Nic to. Miłego dnia, żołnierzu. Jesteśmy w kontakcie.

Zaczęło padać, gdy chował telefon. Cichy, spokojny deszcz. Tak potrafi padać godzinami. Na niebie zebrały się chmury, szare i ciemne od spodu. I było prawie bezwietrznie.

Ostatni raz spojrzął na nagrobek. Na ten głaz. Ten napis. Rośliny. Bez. Sztylet. I znicz... Potem powoli uniósł do czoła prawą dłoń, zasalutował, odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia.

Brak pochyłego przykościelnego parkingu lśnił od deszczu. Wsiadł do wynajętego samochodu i ostatni raz spojrzął na kościół w Finderup, malowniczo położony na niewielkim pagórku.

Chciał jeszcze pojechać do Høng i odwiedzić rodziców Bossego w małym domu z czerwonej cegły przy głównej ulicy. Dać się zaprosić na kawę i pijąc ją, opowiedzieć im, że ten, kto ponosi odpowiedzialność, został ukarany, choć oficjalnie nigdy nie zostanie to powiedziane. I powie im jeszcze, że świat nie wygląda tak, jak nam się wydaje. Na koniec przekaze im to, co przed chwilą ustalił z Bossem: że ta wizyta na cmentarzu była jego ostatnią.

Potem przespaceruje się obok swojego rodzinnego domu, o ile można tak powiedzieć o miejscu, gdzie się mieszkało tylko dwa lata. Postoi chwilę na chodniku i — już teraz wiedział — będą nim wstrząsać rozmaite emocje, gdy sobie przypomni ojca przekraczającego próg, kipiącego ze złości i szukającego zaczepki oraz matkę, siostrę i siebie chowających się przed nim po kątach.

Przekręcił kluczyk, uruchomił wycieraczki i wyjechał z parkingu.

A gdy zrobi już to wszystko, pojedzie dalej — i nigdy nie wróci.

Spojrzął na zegarek. Zostały nieco ponad siedemdziesiąt dwie godziny.

Deszcz towarzyszył mu przez całą drogę z zachodniej Zelandii do Kopenhagi. Teraz siedział na parapecie z kubkiem kawy. Para z kubka osiadała na szybie. Po drugiej stronie szyby, od góry do dołu dużego okna salonu, spływały małe strumyki. Przedwiośnie było w tym roku wyjątkowo mokre.

N. Oxen, Dalstrøget, Dyssegård, Vangede.

Nazwie *Vangede* dobrze by zrobiła odrobina charakteru albo jakaś twardo brzmiąca samogłoska dla przełamania tej łagodności. A może musiał tylko przyzwycząć się do stałego adresu. Parę dni to trochę za krótko.

Mieszkał w jednym z najwyższej położonych domów po prawej

stronie Dalstrøget. Były to żółte ceglane trzypiętrowe bloki. Pierwsze miały charakterystyczne zygzaki z czerwonej cegły na dole fasady. Gdy padało, wyglądały, jakby z ich dachów spadały pojedyncze krople krwi. To pewnie jedyne miejsce w Vangede, gdzie lała się krew. Gdy nie padało, wzory wyglądały jak zwykłe owrzodzenie.

Jego dom, ostatni w szeregu, oszczędzono i tylko na krawędziach dwóch wysuniętych fasad odznaczała się odrobina zabliznionej tkanki.

Były to jedyne dramatyczne akcenty na jego ulicy. Poza nimi Dalstrøget była jak przyjazna i bezpieczna ciepła kołdra w deszczowy ranek. Żadnych spalonych samochodów, żadnych wozów bojowych, czarnych ruin ani zwęglonych krajobrazów.

Były drzewa, zaokrąglone żywopłoty z buku i kwietne rabaty na zadbanych pasach trawników pomiędzy budynkami. Wszystko wypielegnowane czyjąś troskliwą ręką.

W Ikei przy Nybrovej kupił talerze. A gdy nie miał co na nich położyć, osiemdziesiąt metrów od domu miał Netto. A jeśli Netto mu nie wystarczało, to miał niecałe dwieście metrów do Munketorvet, gdzie był Lidl. Obok niego zaś był rzeźnik, a obok rzeźnika sklep ze wszystkim, co potrzebne do kuchni włoskiej. Nazywał się Lago di Garda i przypominał mu, jak któregoś roku matka ostrożnie podpytywała ojca, czy nie mogliby kupić przyczepy kempingowej i pojechać na wakacje nad jezioro Garda. Gdy zapytała po raz trzeci, w odpowiedzi podbił jej oko.

Wyprostował nogi na szerokim parapecie i wziął kolejny łyk kawy. Dobra kawa rozpuszczalna.

Woda nieprzerwanie spływała po oknie. Po drugiej stronie chodnika, na zamkniętym balkonie drobiła kroczi starsza pani w różowym szlafroku, który miała na sobie również w poprzednie dni. Codziennie przemierzała tak wiele metrów — nie ruszając się z miejsca.

Naprzeciwno Lago di Garda, po drugiej stronie ulicy, przy światłach, była stacja kolejowa Vangede. Stąd można było postawić pierwszy niepewny krok w nieskończenie wielki świat.

Pojechać do Hammel, Helmand albo do Hongkongu. Do Dalstrøget nie było się przykutym łańcuchami. Ale tylko skończony dureń wybrałby Helmand.

Odwrócił wzrok od nietwarzowego szlafroka sąsiadki i rozejrzał się wokół. W jego salonie nie było nic poza telewizorem i dużą poduszką na podłodze. W pokoju obok na podłodze leżał materac — również z Ikei — a w kuchni miał mały stolik i taboret, oczywiście także stworzony przez zaradnych Szwedów. Jedyne, co nie było nowe, lecz wprowadziło się tu wraz z nim, to Siódemka.

Raz jeszcze w myślach przeanalizował sobie to wszystko. Spojrzał na zegarek i policzył, ile zostało mu czasu.

Bosse, cmentarz i Høng to były ostatnie punkty na jego liście. Te już odhaczył. Podobnie jak Ievę w Wilnie, Tessę na Klöverön, pieczeń w sosie pietruszkowym autorstwa żony Fritsena i wizytę na plebanii u Pastora, któremu zdał raport.

Wszystkie sprawy domknięte.

Żadnych więcej spalonych mostów.

Był w trakcie Wielkiego Resetu.

Jutro rano czekało go pierwsze starcie z psychologiem, którego poleciły mu urzędniczki. Na samą myśl ścisnęło go w brzuchu. Franck pogroziła mu ostrzegawczo palcem i poradziła, żeby potraktował psychologa jak przyjaciela, a nie jak wroga. I żeby się liczył z tym, że nieskończenie wiele razy wyląduje na dupie, ale nie powinien się tym załamywać, bo w końcu zawsze się podźwignie. Bo jest twardym skurczybykiem i ma więcej żyć niż kot.

Margrethe była niesłychanie wkurwiająca. I wprost przeciwnie...

Nie widział się z nią, odkąd poszli do restauracji wtedy po spotkaniu w pomocy społecznej. Kilka razy rozmawiali przez telefon. Wiele razy myślał o tym, by zadzwonić. Za każdym razem jednak to ona dzwoniła. Miała mnóstwo pracy na nowym stanowisku w PET. Nie chciał jej przeszkadzać — a także nie miał jej w zasadzie nic do powiedzenia. Poza tym i tak pewnie

codziennie po pracy objeżdżała Kopenhagę wzdłuż i wszerz chili cooperem z Metallicą na tylnym siedzeniu.

Znów spojrzał na zegarek. Minęło ledwie kilka minut. Wciąż zostało mu sześćdziesiąt siedem godzin do spotkania z Magnusem.

Niezbyt przemyślaną propozycję Birgitte, żeby spotkali się w Tivoli, musiał odrzucić. Za duży tłum. Nie chciał podejmować takiego ryzyka. Mógł zaryzykować co najwyżej zoo i na tym stanęło. Chciał, żeby to było miejsce, gdzie będą mogli pochodzić i popatrzeć na coś innego niż tylko na siebie. Porozmawiać. Może się pośmiać? Gdyby potrafili razem się śmiać...

Liczył na wsparcie całej ekipy, od lemura po tygrysa, a nawet najbardziej zapchlonego wilka. O wielu z nich mógł sporo opowiedzieć. Bo trochę się znał na zwierzętach.

To było najważniejsze spotkanie w jego życiu. I niewątpliwie najtrudniejsza misja. Poza skrawkiem chodnika przed wejściem głównym nie miał innych namiarów. Żadnej gwarancji wsparcia czy to z ziemi, czy z powietrza. Żadnego punktu zbornego. Żadnej drogi ewakuacji.

Szedł nieuzbrojony. Szedł sam. Szedł nagi — taki jaki się urodził.

Sześćdziesiąt siedem godzin było jak sekunda roztrzaskana przez granat. I jak trwająca lata wędrówka do punktu na horyzoncie.

Zaszedł daleko, lecz bez względu na to, ile jeszcze przejdzie, nigdy nie wróci do domu.

Deszcz nadal spływał po szybie wąskimi strumieniami. I płynął również z jego oczu, zostawiając ślady na policzkach i niżej, na szyi.

Świat za oknem w Vangede zaczął drgać.

Postowie

Minęło sześć lat, odkąd zacząłem snuć opowieść o Nielsie Oxenie i wysłałem go z kopenhaskiej piwnicy w głąb lasu Rold Skov i dalej, w podziemny świat władzy.

W czasie podróży otwierałem zamki i pałace, a także serca, dzieląc się zdobytą w ten sposób wiedzą o sprawach ważnych i mniej ważnych. Najwyższa pora wszystkim podziękować.

I na koniec jak zwykle kilka słów wyjaśnienia... Z wykształcenia jestem dziennikarzem i być może dlatego lubię wiedzieć, czy w fikcji są jakieś fakty. Owszem, są.

Danehof z siedzibą w Nyborgu istniał naprawdę i był średniowiecznym parlamentem złożonym z najbardziej wpływowych mężczyzn w królestwie. Zamek istnieje do dziś, mieści się w nim muzeum.

Zamek Torup również istnieje i jest położony tak malowniczo, jak to opisałem, kawałek na wschód od Malmö w Szwecji. Jego historię pokrótce streściłem.

W ostatnich czasach zamek pozostawał w rękach rodziny Coyetów, której najbardziej wyróżniającą się postacią była Henriette Coyet. Ród Coyetów połączył się przez małżeństwo z rodem von Leithnerów. Ostatni dziedzic rodu wyprowadził się z zamku w 2012 roku, choć zamek już w 1970 roku został wykupiony przez gminę Malmö.

Park zamkowy jest otwarty dla wszystkich, a w sezonie letnim można zwiedzać z przewodnikiem również część zamkowych wnętrz.

Rodzina Kopparstiernów jest w stu procentach fikcyjna, choć mocno się inspirowałem istniejącym potężnym duńsko-szwedzkim rodem szlacheckim Gyllenstiernów. Streszczając dzieje rodu

Kopparstiernów, zapożyczyłem niektóre z ważnych stanowisk publicznych zajmowanych właśnie przez Gyllenstiernów.

Klöverön leży tam, gdzie leży — na szwedzkim archipelagu. Istnieje również duńska wyspa Egholm.

Krzyż Waleczności, którym odznaczono mojego bohatera Nielsa Oxena, jest najwyższym duńskim wyróżnieniem wojskowym. Przyznano je jak dotąd tylko jeden jedyny raz.

Jens Henrik Jensen

Tego samego autora:

Wienerringen, powieść 1997

Trylogia o Kazanskim:

Kællingen i Kraków, powieść 1997

Hofnarren i Murmansk, powieść 1999

Ulven i Banja Luka, powieść 2002

Trylogia o Ninie Portland:

Økseskibet, powieść 2004

Kulmanden, powieść 2007

Spøgelsesfangen, powieść 2010

Trylogia o Oxenie:

Zanim zawisną psy, powieść 2012

Mroczni ludzie, powieść 2014

Zamrożone płomienie, powieść 2016

Więcej o autorze na stronie:

www.jenshenrikjensen.dk

Spis treści

[Rozdział 1.](#)
[Rozdział 2.](#)
[Rozdział 3.](#)
[Rozdział 4.](#)
[Rozdział 5.](#)
[Rozdział 6.](#)
[Rozdział 7.](#)
[Rozdział 8.](#)
[Rozdział 9.](#)
[Rozdział 10.](#)
[Rozdział 11.](#)
[Rozdział 12.](#)
[Rozdział 13.](#)
[Rozdział 14.](#)
[Rozdział 15.](#)
[Rozdział 16.](#)
[Rozdział 17.](#)
[Rozdział 18.](#)
[Rozdział 19.](#)
[Rozdział 20.](#)
[Rozdział 21.](#)
[Rozdział 22.](#)
[Rozdział 23.](#)
[Rozdział 24.](#)
[Rozdział 25.](#)
[Rozdział 26.](#)
[Rozdział 27.](#)
[Rozdział 28.](#)
[Rozdział 29.](#)
[Rozdział 30.](#)
[Rozdział 31.](#)
[Rozdział 32.](#)
[Rozdział 33.](#)
[Rozdział 34.](#)
[Rozdział 35.](#)

[Rozdział 36.](#)
[Rozdział 37.](#)
[Rozdział 38.](#)
[Rozdział 39.](#)
[Rozdział 40.](#)
[Rozdział 41.](#)
[Rozdział 42.](#)
[Rozdział 43.](#)
[Rozdział 44.](#)
[Rozdział 45.](#)
[Rozdział 46.](#)
[Rozdział 47.](#)
[Rozdział 48.](#)
[Rozdział 49.](#)
[Rozdział 50.](#)
[Rozdział 51.](#)
[Rozdział 52.](#)
[Rozdział 53.](#)
[Rozdział 54.](#)
[Rozdział 55.](#)
[Rozdział 56.](#)
[Rozdział 57.](#)
[Rozdział 58.](#)
[Rozdział 59.](#)
[Rozdział 60.](#)
[Rozdział 61.](#)
[Rozdział 62.](#)
[Rozdział 63.](#)
[Rozdział 64.](#)
[Rozdział 65.](#)
[Rozdział 66.](#)
[Rozdział 67.](#)
[Rozdział 68.](#)
[Rozdział 69.](#)
[Rozdział 70.](#)
[Rozdział 71.](#)
[Rozdział 72.](#)
[Rozdział 73.](#)
[Rozdział 74.](#)

[Rozdział 75.](#)
[Rozdział 76.](#)
[Rozdział 77.](#)
[Rozdział 78.](#)
[Rozdział 79.](#)
[Rozdział 80.](#)
[Rozdział 81.](#)
[Rozdział 82.](#)
[Rozdział 83.](#)
[Rozdział 84.](#)
[Rozdział 85.](#)
[Rozdział 86.](#)
[Rozdział 87.](#)
[Rozdział 88.](#)
[Rozdział 89.](#)
[Rozdział 90.](#)
[Rozdział 91.](#)
[Rozdział 92.](#)
[Rozdział 93.](#)
[Rozdział 94.](#)
[Rozdział 95.](#)
[Posłowie](#)